

ROCZNIK LUBUSKI

II



LUBUSK

Lubuskie Towarzystwo Kultury

ROCZNIK LUBUSKI

II

LUBUSKIE TOWARZYSTWO KULTURY
Z I E L O N A G Ó R A
1 9 6 0

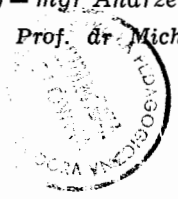
Rocznik Lubuski, II

Komitet Redakcyjny:

*Wiesław Sauter (przew.), Tadeusz Kajan, Władysław Korcz, Janusz Koniusz,
Bolesław Soliński*

Konsultanci naukowi:

*Doc. dr Zygmunt Dulczewski (Poznań) — Doc. dr Maria Frankowska (Poznań)
— Doc. dr Józef Gierowski (Wrocław) — Doc. dr Marian Haisig (Wrocław)
— Prof. dr Wojciech Kočka (Poznań) — mgr Andrzej Kwilecki (Poznań) — Doc.
dr Czesław Łuczak (Poznań) — Prof. dr Michał Szczaniecki (Poznań)*



Okladkę projektował:

Klem Felchnerowski

Całość wydano przy współudziale finansowym:

Rady Naczelnej TRZZ

oraz

*Prezydium Powiatowej Rady Narodowej
w Szprotawie i Nowej Soli*

Wydawca: Lubuskie Towarzystwo Kultury — Zielona Góra 1960

*Nakład 1000+80. Oddano do składania w czerwcu 1960, druk ukończono w lutym
1961. Zielonogórskie Zakłady Graficzne nr zam. 2251 — Wydano na podstawie
zezwolenia Min. Kultury i Sztuki. F-3*

1 artykuły i rozprawy

S Z K O Ł A
A
Ż Y C I E

Wśród wielu problemów związanych z funkcjonowaniem naszych szkół na szczególną uwagę zasługuje zagadnienie rozbieżności, jakie występują między wymaganiami programu, szkoły i nauczyciela, a faktycznymi wiadomościami uczniów.

Rozbieżności te wyrażają się w statystyce wysokimi odsetkami ocen niedostatecznych, liczbami uczniów drugorocznych i takich, którzy opuścili szkołę jeszcze przed jej ukończeniem. Budzą one zrozumiałe rozczarowanie wśród młodzieży, niejednokrotnie stają się przyczyną konfliktów domu ze szkołą, pobudzają do podjęcia badań zmierzających do ustalenia przyczyn niepowodzenia te budzą zrozumiały niepokój, zwłaszcza na terenie szkół średnich ogólnokształcących. Udostępnienie szkoły średniej szerokim rzeszom młodzieży w okresie ostatnich lat polegało głównie na wzroście liczby uczniów. Szkoła średnia swą społeczną funkcję ograniczyła do pracy dydaktycznej i wychowawczej raczej do tej młodzieży, która osiągała dobre lub przynajmniej dostateczne wyniki. Uczniowie niedostateczni natomiast, pozostawieni przeważnie własnemu losowi ulegali zniechęceniu i często opuszczali szkołę jeszcze przed jej ukończeniem.

Jakie są tego przyczyny i jakich środków wymaga ich przezwyciężenie? – oto pytania, na które należy odpowiedzieć chcąc skutecznie niwelować rażące jeszcze różnice w poziomie intelektualnym naszego społeczeństwa, zabiegając o to, by każda jednostka miała możliwości rozwoju swoich sił umysłowych i służyła nimi z pożytkiem dla całego kraju.

Zagadnienie to było już w Polsce przedmiotem badań socjologicznych i pedagogicznych w pierwszej połowie bieżącego stulecia. Rezultatem tych badań była praca B. Nawroczyńskiego p. t. „Uczeń i klasa z r. 1923”. Terenem badań B. Nawroczyńskiego była szkoła średnia, do której dostęp miały dzieci robotników uprzywilejowanych społecznie i ekonomicznie. W pracy tej autor dowodził, że przyczyną drugoroczności i odsiewu w szkołach średnich jest przypadkowy dobór uczniów. Wynikały stąd konsekwencje selekcji uczniów według wrodzonych uzdolnień, zróżnicowania poziomu poszczególnych klas oraz tworzenia różnych typów szkół średnich, które odpowiadałyby uzdolnieniom i zainteresowaniom młodzieży. Wniosek B. Nawroczyńskiego broniły tezy o zależności wyników nauczania od wrodzonych uzdolnień ucznia.

Badaniom społecznych przyczyn niepowodzeń szkolnych poświęciła wiele wysiłku H. Radlińska. Praca zbiorowa pod jej redakcją zawiera bogatą argumentację przeciwko stosunkom ekonomiczno-społecznym Polski przedwrześniowej. Wielu bowiem zdolnych uczniów, którym po ukończeniu szkoły powszechnej udało się dostać do gimnazjum, musiało powtarzać tę samą klasę, względnie opuszczało szkołę przed jej ukończeniem. Głównym zainteresowaniem w badaniach H. Radlińskiej był los uczniów szkół powszechnych. Jako przyczyny niepowodzeń szkolnych H. Radlińska wymienia bezrobocie i nędzę, ciasnotę mieszkaniową, konieczność wczesnego rozpoczynania pracy w celu przyjsia z pomocą rodzicom w wychowaniu liczego młodszego rodzeństwa. Brak badań nad społeczną funkcją szkoły średniej w Polsce Ludowej przez wiele lat uniemożliwiał ustalenie obiektywnych, naukowo uzasadnionych przyczyn niepowodzenia młodzieży w nauce. Badania takie, przeprowadzone w roku 1958 w kilkunastu szkołach w kraju, a między innymi i w trzech liceach ogólnokształcących w województwie zielonogórskim, dostarczyły wiele cennego materiału mówiącego o funkcji społecznej obecnej szkoły średniej.

Z materiałów zebranych na Ziemi Lubuskiej wynika, że 1/3 uczniów przyjętych przed czterema laty do klasy VIII dotarła bez opóźnień do klasy XI. Z pozostałych uczniów 1/3 stanowią uczniowie, którzy w jednej z klas nie uzyskali promocji i w znacznej większości przenieśli się do innych szkół, przeważnie zawodowych. Pozostali uczniowie przerwali naukę z powodu niedostatecznych postępów i obecnie pomagają rodzicom w gospodarstwie domowym na wsi, względnie podjęli pracę zawodową. Z dokumentacji szkolnej wynika, że największy odsetek uczniów drugorocznych i przerywających naukę jest wśród młodzieży pochodzenia chłopskiego i z tego głównie powodu w klasach jedenastych mamy dwukrotnie mniejszą ilość tej młodzieży w porównaniu ze stanem w klasach ósmych.

W roku szkolnym 1954/55 do klasy VIII w badanych szkołach przyjęto 252 uczniów w tym: 62 uczniów czyli 27 proc. dzieci robotników

72 uczniów czyli 28 proc. dzieci chłopów

82 uczniów czyli 33 proc. dzieci inteligencji

29 uczniów czyli 12 proc. dzieci rzemieślników

Natomiast w roku szk. 1957/58 z tej młodzieży do kl. XI uczęszczało ogółem 76 uczniów w tym: 18 uczniów czyli 23,7 proc. dzieci robotników

13 uczniów czyli 17,1 proc. dzieci chłopów

35 uczniów czyli 46,1 proc. dzieci inteligencji

10 uczniów czyli 13,3 proc. dzieci rzemieślników

Przytoczone dane liczbowe wyraźnie wskazują na zależność wyników nauczania od środowiska społecznego, z którego pochodzą uczniowie. Jednocześnie wskazują one na zależność powodzenia ucznia w szkole od jego warunków domowych. W związku z tym w badaniach należało ustalić jakie elementy życia rodzinnego wywierają wpływ na stosunek ucznia do obowiązków szkolnych.

Poszukiwanie odpowiedzi na to pytanie wymagało zachowania znacznej ostrożności ze względu na różne rozumienie w poszczególnych środowiskach wyrażenia: „warunki życia domowego”. Wobec braku możliwości porównania zebranego materiału z budżetami domowymi uczniów, którzy zostali objęci badaniami, zasadnicze kryterium oceny tych warunków stanowiły:

1. Odpowiedzi na pytania w kwestionariuszach skierowanych do rodziców uczniów drugorocznych i uczniów, którzy przerwali naukę:
 - a) kto z rodziny pracuje?
 - b) zawód rodziców
 - c) sytuacja materialna rodziców.
2. Odpowiedzi na pytania w kwestionariuszach skierowanych do uczniów klasy jedenastej:
 - a) jakie mam warunki nauki w domu?
 - b) ile czasu codziennie przeznaczam na naukę w domu?
3. Odpowiedzi uzyskane uzupełniając w ankietach i wywiadach społecznych w sprawie uczniów opóźnionych w nauce i uczniów, którzy odeszli ze szkoły:
 - a) Jakie są warunki odrabiania lekcji w domu?
 - b) Czy i jakiego rodzaju prace wykonuje uczeń w domu?
 - c) Jaki jest stosunek rodziców do nauki ucznia?

Cechą charakterystyczną przeważającej części tych odpowiedzi jest równoczesne wymienianie kilku przyczyn drugoroczności i przerwania nauki oraz podanie bliższych szczegółów dotyczących warunków domowych ucznia.

Znamienny jest przy tym fakt, że prawie jednakowa jest ilość wypowiedzi uczniów klas jedenastych, które stwierdzają, że przyczyną niepowodzeń w nauce są:

- a) trudne warunki materialne (29,1 proc. wypowiedzi)
- b) atmosfera domowa i stosunek rodziców do nauki (26,8 proc. wypowiedzi)
- c) codzienne dojazdy do szkoły (25,6 proc. wypowiedzi).

ZESTAWIENIE PORÓWNAWCZE WYPOWIEDZI UCZNIÓW

Autorzy ankiet	Ilość ankiet	Przyczyny niepowodzenia w nauce							
		Trudne warunki materialne		Atmosfera domowa i zainteresowanie rodziców nauką dziecka		Codzienny dojazd do szkoły		Zły stan zdrowia i choroba ucznia	
		ilość wypow.	%	ilość wypow.	%	ilość wypow.	%	ilość wypow.	%
Uczniowie kl. XI o swoich kolegach	86	25	29,1	23	26,8	22	25,6	16	18,5
Uczniowie drugorocznici	29	4	13,8	2	6,9	4	13,8	5	17,2
Rodzice uczniów drugorocznych	25	4	16,0	2	8,0	3	12,0	5	20,0
Byli uczniowie	32	6	18,8	12	37,5	9	28,1	4	12,5
Rodzice byłych uczniów	27	8	29,6	5	18,5	6	22,2	3	11,1
Nauczyciele	26	8	30,7	1	3,8	2	7,6	2	7,6

W wypowiedziach uczniów drugorocznych i ich rodziców na uwagę zasługuje zgodne akcentowanie ujemnych skutków, jakie wywiera na wyniki nauczania codzienne dojeżdżanie do szkoły (13,8 proc. wypowiedzi uczniów, 12 proc. wypowiedzi rodziców), oraz choroby ucznia (17,2 proc. wypowiedzi uczniów i 20 proc. wypowiedzi rodziców). Podobna zgodność ilości wypowiedzi wskazujących, że choroba ucznia jest przyczyną drugoroczności występuje również w kwestionariuszach uczniów, którzy przerwali naukę oraz w kwestionariuszach ich rodziców (12,5 proc. wypowiedzi uczniów, 11,1 proc. wypowiedzi rodziców).

Nieznaczną jest również różnica w ilości wypowiedzi byłych uczniów i ich rodziców w sprawie ujemnych skutków codziennego dojeżdżania do szkoły (28,1 proc. wypowiedzi byłych uczniów i 22,2 proc. wypowiedzi rodziców).

Za obiektywnością tych uwag przemawia jednak ilość wypowiedzi uczniów klasy jedenastej w sprawie trudności w nauce, powodowanych dojeżdżaniem (25,6 proc. wypowiedzi), bądź też chorobą ucznia (18,5 procent wypowiedzi). Spostrzeżeń tych nie potwierdzają jednak wypowiedzi nauczycieli. Wprawdzie 30,7 proc. kwestionariuszy wypełnionych przez nauczycieli wskazuje na złe warunki materialne, jako przyczynę niedostatecznych wyników w nauce, to jednak pojęcie warunków materialnych nauczyciele rozumieją głównie jako ekonomiczną podstawę egzystencji rodziny. Tylko 3,8 proc. nauczycieli przyczynę niepowodzenia młodzieży w nauce widzi w złym stanie zdrowia uczniów. Również tylko 3,8 proc. nauczycieli zwraca uwagę na atmosferę domową ucznia, jako czynnik wywierający wpływ na rezultaty jego pracy. Przypuszczać należy, że większość nauczycieli nie zna dokładniej warunków domowych ucznia, a zwłaszcza atmosfery życia rodzinnego. Natomiast sami uczniowie z pewnością dostrzegają rolę atmosfery domowej w ich życiu, jeżeli 37,5 procent byłych uczniów oraz 26,8 procent uczniów klasy jedenastej pisze o tym w swoich kwestionariuszach. Potwierdzają to również uczniowie drugoroczni (6,9 procent wypowiedzi). Oto np.: uczennica drugoroczna pisze: „Trudno mi jest powiedzieć dlaczego nie otrzymałam promocji do następnej klasy, możliwe, że wpłynęły na to konflikty rodzinne (jestem bardzo wrażliwa), ale też było dużo mojej winy”. Inna uczennica drugoroczna z tej szkoły stwierdza: „Nie jestem zbyt zdrowa, no i mam daleko do szkoły, co dzień dojeżdżam rowerem. Nadzwyczaj zdolna też nie jestem”. Podobnej treści są również wypowiedzi uczniów, którzy odeszli ze szkoły i przerwali naukę. Np.: była uczennica pisze: „W szkole podstawowej uczyłam się dobrze. Miałam nawet opinię zdolnej uczennicy. Oceny niedostateczne otrzymałam w klasie ósmej nie z mojej winy,

bo po całonocnych awanturach w domu przychodziłam do szkoły zmęczona. Odejście tatusia z domu do reszty mnie załamało”.

Na uwagę zasługuje fakt, że wypowiedzi rodziców w sprawie wpływu atmosfery domowej na wyniki nauki ich dzieci występują o wiele rzadziej, niż spotyka się to w kwestionariuszach młodzieży. Do charakterystycznych należą dwie wypowiedzi. Jedna z matek następująco uzasadnia przyczyny niepowodzenia swej córki w nauce: „Była zdolna i chciała się uczyć. Liczyłam na pomoc męża, ale zawiodłam się i teraz trudno mi dalej dać córce odpowiednie warunki do nauki. Ojciec pracuje, ale nie daje na utrzymanie”.

Na uwagę zasługuje również uzasadnienie odejścia ze szkoły „łatwością znalezienia zarobku”.

Przyczyny tej nie dostrzegają wprawdzie rodzice (brak wypowiedzi w tej sprawie), ale pisze o niej sama młodzież (15,6 proc. wypowiedzi) oraz niektórzy nauczyciele (7,5 proc. wypowiedzi).

PRZYZCZYNY ODEJŚCIA ZE SZKOŁY

Autorzy ankiet	Ilość ankiet	Trudne warunki materialne		Atmosfera domowa i zainteresow. rodziców		Codzienne dojazdy do szkoły		Choroba ucznia		Łatwość znalezienia pracy	
		ilość wypowied.	%	ilość wypowied.	%	ilość wypowied.	%	ilość wypowied.	%	ilość wypowied.	%
Byli uczniowie	32	7	21,8	9	28,1	6	18,7	2	6,2	5	15,6
Rodzice byłych uczniów	27	12	44,4	3	11,1	4	14,8	4	7,4	—	—
Nauczyciele	26	8	30,7	1	3,8	—	3,8	—	3,8	2	7,5

Mimo, że wypowiedzi tego typu jest niewiele, należy się spodziewać, że wypadków podobnych jest więcej. Rzeczą charakterystyczną jest, że głosicielami takich poglądów jest młodzież, która odeszła ze szkoły z kla-

sy dziewiątej, a nawet ósmej. Największy bowiem odsiew występuje w klasie ósmej i dziewiątej. Z ogólnej liczby 252 uczniów przyjętych do klasy VIII w roku szkol. 1954/55 aż 52,7 proc. pozostało na drugi rok, względnie odeszło ze szkoły z klas VIII i IX. Młodzież rozczarowana niepowodzeniami w nauce przeważnie opuszcza szkołę w wieku 15–17 lat, a więc w wieku, w którym nie jest jeszcze zdolna do samodzielnego stałego zarobkowania.

Jedna z byłych uczennic pisze: „Przerwałam naukę w klasie dziewiątej. W tym czasie bardziej zainteresowałam się kinem i wieczorkami tanecznymi, niż nauką. Chciałam się ładnie ubierać, a w domu nie było na to pieniędzy. Dlatego poszłam do pracy bo wiedziałam, że i po maturze więcej nie zarobię”. W innej wypowiedzi byłego ucznia czytamy: „Gdy chodziłem do szkoły, codziennie dojeżdżałem pociągami. Praca kolejarzy bardziej mnie zainteresowała, niż nauka w szkole, z którą miałem trudności. Przestałem się uczyć i zacząłem pracować na kolei. Teraz zarabiam, mam własne pieniądze, wydaję je na co mam ochotę i trochę pomagam rodzicom”.

W związku z odczuwanym brakiem rąk do pracy w woj. zielonogórskim młodzież ta podejmuje się każdego zajęcia, by jak najwcześniej wykazać się samodzielnością i niezależnością.

Z akt dokumentacji szkolnej wynika, że najwyższy jest odsetek uczniów drugorocznych i przerywających naukę wśród dzieci robotniczych i chłopskich, a najniższy wśród dzieci pracowników umysłowych i rzemieślników. Wskazuje to na wciąż jeszcze istniejące upośledzenie naszej młodzieży robotniczej i chłopskiej. Czy jednak jest ono skutkiem szczególnie niekorzystnych warunków materialnych rodzin robotniczych i chłopskich?

Na podstawie wypowiedzi zawartych w kwestionariuszach rodziców oraz przeprowadzonych wywiadów społecznych należałoby raczej wnioskować, że nie ma bardziej rażących różnic między wysokością dochodów rodzin robotniczych, a dochodami większości rodzin inteligenckich.

Podobnie przedstawia się też porównanie warunków materialnych dzieci pracowników umysłowych i robotników z warunkami dzieci chłopskich. Nadmienić przy tym należy, że przeważnie rodzice zaliczani do inteligencji pracującej są drobnymi urzędnikami administracji państwowej i gospodarczej, a tylko w Zielonej Górze nieznaczny odsetek uczniów stanowią dzieci lekarzy, inżynierów, prawników – lepiej zarabiających.

Należy więc przypuszczać, że bardziej istotną rolę w tym wypadku odgrywa nie pochodzenie społeczne, lecz raczej liczebność rodziny, ilość

osób pracujących w jednej rodzinie, charakter pracy zawodowej, ich stan zdrowia, organizacja życia rodzinnego i sposób wydatkowania zarobków. W pewnym stopniu przemawia za tym również uzasadnienie niepowodzenia dziecka w nauce złymi warunkami materialnymi, które występują prawie w jednakowym stopniu w kwestionariuszach robotników, chłopów i inteligencji pracującej.

Prawdopodobnie bardziej istotną rolę w kształtowaniu się warunków domowych ucznia odgrywa sam stosunek rodziców do nauki ich dziecka uzależniony od tego w jakim celu skierowali je do liceum ogólnokształcącego.

Z wypowiedzi rodziców uczniów drugorocznych i rodziców uczniów, którzy przerwali już naukę wynika, że kierowali się oni różnymi względami w podjęciu decyzji w sprawie wyboru szkoły i kierunku dalszej nauki dziecka.

Przeważnie spotyka się w nich stwierdzenie:

- a) „... by dać synowi możliwość zdobycia średniego wykształcenia”, (40 proc. wypowiedzi rodziców uczniów drugorocznych),
- b) „... by po ukończeniu klasy dziewiątej dziecko mogło przenieść się do szkoły zawodowej i zdobyć zawód...” (29,6 proc. wypowiedzi rodziców byłych uczniów),
- c) „... z powodu braku możliwości dostania się do szkoły zawodowej...” (22,2 proc. wypowiedzi rodziców byłych uczniów),
- d) „...by kierować syna (córkę) na studia wyższe...” (28 proc. wypowiedzi rodziców uczniów drugorocznych),
- e) Tylko w bardzo niewielu wypowiedziach rodziców występuje stwierdzenie: „ze względu na małą odległość szkoły od domu”.

Ponieważ w odpowiedziach rodziców nie spotyka się uwag, które wskazywałyby, że wybór dalszego kierunku nauki ich dziecka nastąpił pod wpływem szkoły i nauczyciela, należy przypuszczać, że na decyzję tę wpłynęły w głównym stopniu osobiste przekonania rodziców oraz sugestie wynikające z niestabilizowanych jeszcze planów życiowych samej młodzieży. Plany te tylko częściowo pokrywają się z przekonaniami rodziców, którzy myślą głównie o umożliwieniu dziecku zdobycia zawodu, podczas gdy sama młodzież dostrzega raczej środki wiodące do tego celu.

W wypowiedziach ankietowych uczniów klas od ósmej do jedenaściej aż 56 proc. stwierdziło, że uczęszcza do liceum ogólnokształcącego by w przyszłości dostać się na studia wyższe nie wymieniając jednak ewentualnego kierunku dalszej nauki, a więc i przyszłego zawodu. W poważnym

ZESTAWIENIE ILUSTRUJĄCE WIEK UCZNIÓW I KLASĘ, W KTOREJ
PRZERWALI NAUKĘ

Liczba i wiek uczniów, którzy opuścili szkołę																	
klasa VII						klasa IX						klasa X					
1939		1940		1941		1939		1940		1941		1939		1940		1941	
L. ucz.	%	L. ucz.	%	L. ucz.	%	L. ucz.	%	L. ucz.	%	L. ucz.	%	L. ucz.	%	L. ucz.	%	L. ucz.	%
3	8,4	6	16,8	3	8,4	3	8,4	8	20,0	5	13,8	2	5,5	4	11,2	2	5,5
3	11,1	8	29,7	5	18,5	2	7,4	4	14,8	1	3,7	1	3,7	2	7,5	1	3,7
4	14,3	11	39,3	5	17,9	1	3,6	3	10,5	1	3,6	1	3,6	2	7,2	—	—
Razem																	
10	11	25	27,4	13	14,3	6	6,6	15	16,5	7	7,7	4	4,4	8	8,8	3	3,3

**ZESTAWIENIE PORÓWNAWCZE WYPOWIEDZI ZAWIERAJĄCYCH
UZASADNIENIE PRZYZYCINIA DO LICEUM
OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO**

Lp.	Autorzy ankiet	Uczn.	W jakim celu wstąpiłem (skierowałem dziecko) do tego typu szkoły?															
			Studia wyższe		Zdobycie średniego wykształc.		Ukończenie 9 klas i pzyjście do szkoły zawodowej		Brak możliwości dosta- nia się do szkoły za- wodowej		Pod wpł. kolegów		Pod wpł. rodziców		Pod wpł. naucz.		Najbliż- sza szkoła	
			il. wyp.	%	il. wyp.	%	il. wyp.	%	il. wyp.	%	il. wyp.	%	il. wyp.	%	il. wyp.	%	il. wyp.	%
1	Uczniowie drugorocz.	29	13	44,8	4	13,8	4	13,8	2	6,9	—	—	—	—	—	—	—	—
2	Rodzice ucz. drug.	25	7	28,0	10	40,0	—	—	3	12,0	—	—	—	—	—	—	1	4
3	Byli ucz.	32	4	12,5	8	25,0	6	18,8	5	15,6	1	3,1	—	—	—	1	2	6,2
4	Rodzice byłych ucz- niów	27	3	11,1	9	33,3	8	29,6	6	22,6	—	—	—	—	—	—	1	3,7
5	Uczniowie kl. VIII-X	420	246	58,6	85	20,2	32	7,6	16	3,8	2	0,5	14	3,3	1	0,2	13	3,1

Szkoła a życie

stopniu dziecięce plany życiowe ulegają jednak ewolucji z biegiem lat pobytu w szkole średniej i liczba uczniów myślących o studiach wyższych stopniowo maleje.

Mówią o tym bardzo wyraźnie w kwestionariuszach wszystkich uczniów odpowiedzi na pytanie: Czy ponownie wstąpiłbym do liceum ogólnokształcącego?

Zestawienie porównawcze wyników odpowiedzi na pytanie: Czy ponownie wstąpiłbym do liceum ogólnokształcącego?

Autorzy kwestionariuszy	Liczba ankiet	T a k		N i e	
		ilość wypow.	%	ilość wypow.	%
Uczniowie kl. VIII	195	160	82,0	35	18,0
Uczniowie kl. IX	134	105	78,3	29	21,7
Uczniowie kl. X	90	57	63,4	33	36,6
Uczniowie kl. XI	85	46	54,1	39	45,9
R a z e m	504	368	57,0	136	27,0

Porównując liczbę uczniów, którzy bez żadnych opóźnień dotarli do klasy jedenastej i w dalszym ciągu myślą o studiach wyższych (46 uczniów) z liczbą uczniów przyjętych do klasy ósmej w roku 1954/55 – (252) możemy przekonać się jak niewielu uczniów (18,2 proc.) realizuje swoje pierwotne plany życiowe. Jak już wiemy są to dzieci głównie inteligencji pracującej.

Na podstawie obu ostatnich zestawień liczbowych oraz treści wypowiedzi uczniów i rodziców możemy chyba słusznie stwierdzić, że w tym czasie. gdy dziecko kończy szkołę podstawową, zarówno uczniowie jak i rodzice nie mają jeszcze konkretnych planów, dotyczących wyboru przyszłego zawodu. O kierunku dalszej nauki w zbyt małym jeszcze stopniu decyduje poradnictwo zawodowe, oparte na znajomości uzdolnienia dziecka, lecz jakże często przypadek lub ambicje rodziców. Przypuszczać należy, że ambicje te bardziej istotną rolę odgrywają w życiu rodzin inteligentnych, w których przyszłe powodzenie życiowe dziecka w poważnym stopniu uzależnia się od wyników nauki w szkole.

Nie tylko charakterystyczne w tym środowisku są zainteresowania intelektualne i tryb życia rodziny, lecz także większe niż wśród rodzin robotniczych i chłopskich zrozumienie rodziców, że wysiłek umysłowy uczącego się dziecka wymaga odpowiednich ku temu warunków. Z opracowanych w wyniku analizy treści wypowiedzi ankietowych należałoby wnioskować, że młodzież robotnicza, inteligencka i rzemieślnicza posiada dogodne warunki do nauki. (57,9 proc. młodzieży robotniczej określa bowiem swoje warunki nauki w domu jako bardzo dobre, analogicznie ocenia swoje warunki 59,5 proc. młodzieży inteligenckiej oraz 50 proc. młodzieży rzemieślniczej).

ZESTAWIENIE ILUSTRUJĄCE ZALEŻNOŚĆ OSIĄGANÝCH WYNIKÓW
W NAUCE OD PRZYNALEŻNOŚCI SPOŁECZNEJ UCZNIĄ

Przynależność społ. ucznia	Liczba uczni.	%	Warunki nauki w domu							
			bdb		db		przec.		złe	
			ilość wyp.	%	ilość wyp.	%	ilość wyp.	%	ilość wyp.	%
robotnicze	18	27,7	5	27,8	5	27,8	5	27,8	3	16,6
chłopskie	16	19,3	1	6,3	4	25,0	5	31,3	6	37,4
int. prac.	39	47,0	14	35,9	10	25,6	10	25,6	5	12,9
rzemieśln.	10	12,0	2	20,0	3	30,0	3	40,0	1	10,0
R a z e m :	83	100	22	26,5	22	25,5	24	28,9	15	18,1

Najbardziej więc niekorzystnie przedstawiają się warunki nauki młodzieży chłopskiej, która aż w 67,7 proc. ocenia je jako złe lub przeciętne, a tylko 35,3 proc. jako bardzo dobre i dobre.

Rzeczą bardzo istotną przy tym porównaniu było stwierdzenie co autorzy wypowiedzi rozumieją używając pojęcia: „dobre warunki w domu?”. Otóż jako wyjaśnienie treści pojęcia: „dobre warunki nauki” wielu uczniów wymieniło, że odrabia lekcje w oddzielnym pokoju, rodzice nie odrywają ich podczas nauki do różnych zajęć domowych. Uczniowie oceniający swoje warunki nauki jako przeciętne, stwierdzili, że odrabiają lekcje

przy jednym stole wspólnie z rówieśnikami, że uczą się i mieszkają w internacie w siedmioosobowym pokoju, że przeszkadzają im w nauce kole-dzy, że dużo czasu zabiera im wykonywanie różnych prac w gospodarstwie domowym, opieka nad młodszym rodzeństwem itp.

W wypowiedziach oceniających warunki domowe jako złe uwagi są raczej ogólnikowe. Niektóre z nich zawierają jednak istotne informacje o atmosferze panującej w rodzinie.

Jedna z uczennic pisze: „Miejsce do odrabiania lekcji mam, obo-wiązki domowe nie przeszkadzają mi w nauce, tylko nie mam spokoju”. Przeprowadzony w związku z tym wywiad społeczny ujawnił, że spokój do-mowy jest często zakłócany sprzeczkami rodziców, które wywołuje ojciec w stanie nietrzeźwym.

Inny uczeń w swej wypowiedzi zauważa: „Pokoju osobnego nie mam. Jestem często odywany do pracy. Odwiedziny sąsiadek zakłócają mnie spokój”.

Trzeci uczeń pisze: „Warunki pracy domowej są złe z powodu częs-tych zmian mieszkania”, jako uzasadnienie złych warunków nauki kilku uczniów podaje ciasnotę mieszkaniową (w Zielonej Górze) oraz codzienne dojazdy do szkoły i związane z tym zmęczenie.

ZESTAWIENIE LICZBOWE WYKAZUJĄCE ZALEŻNOŚĆ WYNIKÓW NAUCZANIA OD WARUNKÓW DOMOWYCH UCZNIA

Wyniki rozwiązywania zadań testowych w %	Warunki nauki w domu							
	Ldb		dobre		i rze ciętnie		złe	
	il. ucz.	%	il. ucz.	%	il. ucz.	%	il. ucz.	%
do 30	2	9,1	6	27,3	5	20,8	—	—
od 30 do 40	5	22,1	7	31,8	8	33,3	9	0,0
od 40 do 50	9	40,9	6	27,3	9	37,5	5	33,8
od 50 do 70	6	27,3	3	13,6	2	8,4	1	6,7
R a z e m	22	100	22	100	24	100	15	100

W przeprowadzonych badaniach został również ustalony, przy pomocy sprawdzianów testowych, zasób wiedzy uczniów kl. XI (z materiału nauczania języka polskiego, matematyki, fizyki, biologii, historii). Porównanie wyników rozwiązania zadań testowych z wypowiedziami ankietowymi wykazało, że uczniowie uczący się w nieodpowiednich warunkach osiągają gorsze wyniki w nauce. Tylko 6,7 proc. uczniów, którzy stwierdzili w kwestionariuszu, że posiadają złe warunki do nauki uzyskało w wyniku badań testowych od 50 do 70 proc. Natomiast w grupie uczniów posiadających dobre warunki do nauki analogiczny odsetek wyników rozwiązania zadań testowych osiągnęło 13,6 proc. badanych, a w grupie uczniów posiadających dobre warunki do nauki, wyniki takie same osiągnęło 27,3 proc. W grupie młodzieży, która uzyskała najwyższe wyniki w ocenie zadań testowych nie było jednak ani jednego dziecka chłopskiego, co potwierdza słuszność wysuniętych już spostrzeżeń, że najbardziej niekorzystnie przedstawiają się obecne warunki nauki dziecka chłopskiego.

W znacznym stopniu wpływają na to nieodpowiednie warunki domowe, powodowane nie tyle brakiem środków do życia, lecz przede wszystkim niedocenianiem przez wielu rodziców znaczenia nauki szkolnej.

Ostatnie porównanie w rozważaniach na temat wpływu warunków domowych ucznia na wyniki jego nauki dotyczyły ustalenia w jakim stopniu warunki domowe ucznia wpływają na ilość czasu przeznaczanego na naukę. Z porównania tego wynika, że znacznie więcej czasu na naukę przeznacza młodzież posiadająca złe i przeciętne warunki do nauki:

Ilość czasu przeznaczonego codziennie na naukę	Warunki nauki w domu							
	bdb		dobre		przeciętne		złe	
	ilość wyp.	%	ilość wyp.	%	ilość wyp.	%	ilość wyp.	%
do 2 godz.	4	18,2	2	9,1	1	4,2	—	—
od 2 do 3 godz.	4	18,2	3	13,6	3	12,5	1	6,7
od 3 do 5 godz.	11	50,0	9	40,9	17	70,8	6	40,0
ponad 5 godz.	3	13,6	8	36,4	3	12,5	8	53,3
R a z e m	22	100	22	100	24	100	15	100

Na uwagę zasługuje fakt, że 53,3 proc. uczniów posiadających złe warunki do nauki w domu, na wykonanie zadań domowych przeznaczają codziennie ponad 5 godzin, podczas, gdy w grupie uczniów posiadających przeciętne warunki, odsetek ten wynosi 12,5 proc. Jednocześnie w grupie uczniów posiadających złe warunki tylko 1 uczeń uczy się w domu do 3 godzin dziennie, podczas gdy w grupie uczniów znajdujących się w bardzo dobrych warunkach ośmiu uczniów wykonuje zadania w czasie krótszym niż trzy godziny (36,4 proc.). Widzimy więc, że nawet uczniowie, którzy dość poprawnie rozwiązali zadania testowe i posiadają dobre warunki domowe, zbyt wiele czasu poświęcają na odrabianie zadań.

Przyczyny tego stanu należałoby szukać w wadliwej organizacji pracy dydaktycznej w szkole i przeładowaniu programów nauczania. Omówione zależności między warunkami domowymi ucznia, a czasem przeznaczonym na odrabianie zadań i osiąganymi wynikami nauczania mogą jednak budzić pewne zastrzeżenia chociażby ze względu na to, że zostały ustalone metodą statystyczną. Podczas badań nie ustalono natomiast, jak uczniowie organizują samodzielną pracę umysłową w domu i jaka jest jej intensywność, co oczywiście wpływa na ilość czasu niezbędnego do utrwalenia wiadomości zdobytych w szkole.

Jeżeli przy tym porównaniu weźmiemy pod uwagę, że większość młodzieży posiadającej złe warunki do nauki jest pochodzenia chłopskiego, to jeszcze raz potwierdzają one słuszność omówionego już przypuszczenia, że upośledzenie intelektualne środowiska wiejskiego, brak troski rodziców o stworzenie dziecku odpowiednich warunków do nauki i wadliwa organizacja życia wielu rodzin chłopskich oraz codzienne dojazdy do szkoły stanowią istotne przyczyny niepowodzenia w nauce tej części młodzieży.

Jak wynika z dotychczasowych rozważań warunki domowe ucznia wpływają na jego wyniki w nauce. W obecnej sytuacji nie tylko chodzi o materialne podstawy egzystencji rodziny, lecz także o atmosferę życia rodzinnego i opiekę wychowawczą nad uczniem.

Na podstawie zebranego materiału oraz przeprowadzonych wywiadów i obserwacji należałoby raczej uważać, że tylko w nielicznych wypadkach rozpoczęcie pracy zarobkowej wynikało z konieczności pomocy materialnej w utrzymaniu rodziny. Na skutek możliwości znalezienia pracy, młodzież w ten sposób chciała usamodzielnic się i w pracy zarobkowej, lub zamążpójściu, a nie w nauce widziała perspektywę swego życia. Mimo zmian ustrojowych w dalszym ciągu trudne warunki domowe ujemnie wpływają na wyniki nauczania. Sądzić należy, że obecnie rolę decydującą odgrywają w tym wypadku nie tyle podstawy ekonomiczne egzystencji ro-

dziny, co panująca w niej atmosfera. Pijaństwo, niezgoda rodziców, rozbicie ogniska domowego, brak doceniania przez rodziców wysiłku ucznia, brak zrozumienia harmonijnego współdziałania domu ze szkołą – oto zasadnicze najczęściej występujące przyczyny drugoroczności i odsiewu szkolnego, powodowane przez samych rodziców. Spostrzeżenia niniejsze potwierdzają się z myślami zawartymi w artykule J. Konopnickiej pt. „Niepowodzenia w nauce szkolnej”, w którym autor jako najważniejszą przyczynę ekonomiczno-społeczną niepowodzeń szkolnych wymienia brak opieki nad dzieckiem. Do tej grupy należałoby również zaliczyć wymienione już męczące dojazdy ucznia do szkoły, wadliwą organizację życia w niektórych internatach szkolnych oraz popełniane niejednokrotnie błędy przy rozdziale stypendiów.

W poszukiwaniu przyczyn niepowodzeń szkolnych nie można jednak ograniczyć się tylko do zbadania wpływu warunków domowych ucznia na jego wyniki w nauce, lecz uwzględniając złożoność zagadnień dydaktycznych i wychowawczych należało zbadać i inne okoliczności związane z tym zjawiskiem. W wyniku takiej właśnie organizacji badań, dostrzegającej znaczenie aktywnego udziału ucznia w procesie dydaktycznym, rolę zainteresowań intelektualnych młodzieży oraz wpływ osobowości nauczyciela i sposób organizacji procesu nauczania, można stwierdzić, że warunki domowe ucznia są jedną z przyczyn wpływających na niepowodzenia szkolne.

Najstarsze dzieje Gorzowa i jego okolicy

Dzieje człowieka na terenie powiatu gorzowskiego sięgają czasów bardzo odległych. Mógł on pojawić się tutaj dopiero z chwilą ustąpienia lodowca, gdy na skutek ocieplenia się klimatu powstawały sprzyjające warunki dla rozwoju fauny i flory. O życiu człowieka w tych zamierzchłych czasach mówią nam wykopaliska, mówi cały szereg zabytków archeologicznych, które kryje w sobie ziemia. Z okresu, dla którego nie rozporządzamy jeszcze źródłami pisanymi, zabytki te stanowią jedyną podstawę do odtworzenia procesu dziejowego minionych społeczeństw ludzkich. Celem tego artykułu będzie przedstawienie w najogólniejszych zarysach, w oparciu o źródła archeologiczne, dziejów człowieka na terenie powiatu gorzowskiego od czasów najdawniejszych do okresu wczesnego średniowiecza.

Krajobraz ziemi gorzowskiej w głównej mierze ukształtowany został przez lodowiec, który kilkakrotnie przesunął się przez te obszary. Dziś siejsza, bogata i urozmaicona rzeźba terenu jest wynikiem ostatniego, tak zwanego północnego zlodowacenia. Po ustąpieniu lodowca nastąpiło stopniowe ocieplenie klimatu, początkowo niezbyt wielkie. Na obszarach tych, pokrytych tundrą żyły renifery, mamuty, nosorożce włocha te, zające – bielaki, lisy polarne, i inne zwierzęta, dziś żyjące tylko na dalekiej północy. W ślad za tą zwierzyną posuwały się od południa pierwsze koczownicze gromady ludzkie, żyjące z myśliwstwa i zbieractwa, np. grzybów, jagód, dzikich owoców, ptasich jaj itp. W łowiectwie człowiek ówczesny posługiwał się głównie łukiem ze strzałami zaopatrzonymi w małe krzemienne grociki. Narzędzia swoje wykonywał

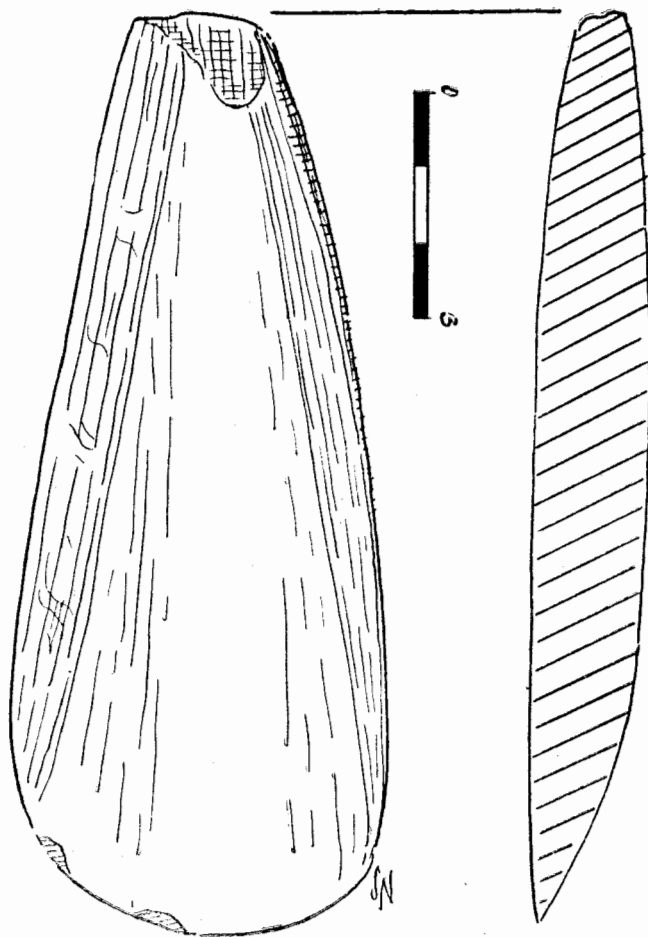
on z krzemienia, kości, rogu i drzewa. Z terenów powiatu gorzowskiego znane są dotychczas tylko nieliczne ślady bytności owych ludów. Pochodzą one z końca starszej epoki kamienia, zwanej paleolitem, która kończy się wraz z końcem epoki lodowej ok. 10000 lat p. n. e. Po niej nastąpił okres środkowej epoki kamienia, tzw. mezolit, posiadający wyraźnie przejściowy charakter między starszą a młodszą epoką kamienia. Czas trwania tego okresu przyjmuje się na lata od ok. 10000 do ok. 4000 p. n. e. Miejsce tundry i tajgi zajmowały teraz lasy i częściowo stepy z antylopą, jeleniem, sarną, dzikiem i inną drobną zwierzyną, na północ natomiast uchodziła, lub też wymierała, zwierzyna typowa dla surowego klimatu epoki lodowej. W tych warunkach na terenach powiatu gorzowskiego pojawiły się nowe gromady ludzkie reprezentujące tzw. kulturę tardenuaską. W gospodarce ludności mezolitycznej, obok łowiectwa i zbieractwa, dużą rolę zaczynało odgrywać rybołówstwo. Postępujący stopniowo rozwój sił wytwórczych przejawiał się m. in. w doskonalszym wykonywaniu narzędzi pracy i w większej ich różnorodności. W okresie tym można się już przypuszczać liczyć z zaczątkami uzyskiwania krzemienia do wyrobu narzędzi z kopalni odkrywkowych, w dalszym ciągu jednak głównie posługiwano się krzemieniem narzutowym. Jest to także okres początków bardzo prymitywnej jeszcze wymiany, której przedmiotem był krzemień. Tymczasowe swe obozowiska ludność ta zakładała najchętniej na terenach otwartych, dzisiejszych wydmach, w pobliżu jezior i rzek dostarczających ryb, wody do picia.

Człowiek starszej i środkowej epoki kamienia był biernym eksploatatorem przyrody, żył z tego co upolował lub ubierał. Obce były mu umiejętności wytwarzania pożywienia. Trudne warunki bytowe, konieczność zbiorowego polowania; powodowana prymitywnymi sposobami łowieckimi i niskim stanem sił wytwórczych wymagały współpracy większej grupy ludzi, zmuszały ludność ówczesną do skupiania się w gromady, które obowiązywała społeczna własność wszystkich dóbr materialnych.

Zasadnicze zmiany w trybie życia i gospodarce ówczesnej ludności rozpoczęły nowy okres – młodszą epokę kamienia zwaną neolitem, której czas trwania przyjmuje się na lata od ok. 4000 do ok. 1800 p. n. e. Społeczeństwo ludzkie osiągnęło w tym czasie wyższy etap rozwoju, którego cechą znaną była umiejętność wytwarzania pożywienia, a więc zaznajomienie się z uprawą ziemi i hodowlą zwierząt. Na skutek stopniowego powiększania się liczebności rodów, dotychczasowe formy zdobywania pożywienia, czyli zbieractwo, łowiectwo i rybołówstwo, stawały się niewystarczające, zaistniała zatem konieczność przejścia do nowych form zdobycia środków utrzymania. Przyczyniło się do tego również powolne kurczenie się ilości zwierząt łownych, dziko żyjących. Stopniowo zmieniał się stosunek człowieka do zwierzyny, zaczynał on dbać o nią, często przenosił młode zwierzęta do osady, oswajał je i chronił przed drapieżnikami. W ten sposób doszło powoli do udomowienia niektórych gatunków zwierząt, takich jak bydło rogate, świnie, owce. Stopniowo, w wyniku długotrwałego procesu rozwojowego, doszło również do wykształcenia się drugiej podstawowej ga-

łęzi gospodarki, mianowicie uprawy roślin, która powstała, jak się przypuszcza, ze zbieractwa. Długotrwała obserwacja roślin dziko rosnących doprowadziła stopniowo do poznania praw rządzących rozwojem roślin i świadomego ich wysiewania. Ta rewolucja gospodarcza nie dokonała się jednak na naszych terenach. Wszelkie zdobycze neolitu przedostały się do nas w formie już gotowej za pośrednictwem przybyłych z południa plemion ludności rolniczej, reprezentujących tzw. kulturę ceramiki wstęgowej. Ludność ta, będąca na wyższym stopniu rozwoju, współistniała z zamieszkującymi już nasze tereny ludami mezolitycznymi, częściowo je asymilując. Przyniosła ona z sobą szereg zdobyczy gospodarczych, technicznych i społecznych typowych dla okresu neolitu, a mianowicie początki stałego osadnictwa, umiejętność uprawy ziemi i hodowli zwierząt, lepienia naczyń, znajomość tkactwa, ulepszoną technikę obróbki narzędzi kamiennych polegającą na starannym wygładzaniu ich powierzchni oraz umiejętność wiercenia otworów w kamieniu. Nowa forma gospodarki – uprawa ziemi – zmuszała ludność tę do bardziej osiadłego trybu życia; nie należy jednak rozumieć tego w pojęciu dzisiejszym. Bardzo prymitywne metody uprawy oraz nieznaną ilość sposobów nawożenia ziemi zmuszały pierwotnych rolników po wyjałowieniu się uprawianych pól do zmiany miejsca osiedlenia w poszukiwaniu nowych terenów pod uprawę. Uzyskiwano je wypalając lasy i krzewy, a popiół ze spalonych drzew użyźniał jednocześnie ziemię. Ludzie ci uprawiali nieduże poletka, nie znali oni jeszcze orki, spulchniali tylko ziemię małymi kamiennymi motykami (ryc. 1), była to więc bardzo prymitywna uprawa kopieniacza. Motyki takie znane są z Gorzowa, ponadto z Deszczna, Borku, Lipiek Małych, Łagodzina i Santocka, w pow. gorzowskim. Ze zbóż wysiewali oni pszenicę, jęczmień i proso, sadzili groch, bób, soczewicę. Uprawa ziemi wymagała zapewne współpracy całej grupy ludzi; możemy się jednak liczyć z pewnym podziałem pracy wg płci – cięższe czynności związane z przygotowaniem pola pod uprawę (ścinanie drzew i krzewów, wypalanie, karczunek pozostałych pni) wykonywali mężczyźni, natomiast samą uprawą ziemi, sianiem i zbieraniem plonów zajmowały się kobiety. Pewną rolę pomocników spełniały zapewne też dzieci. Inne zajęcia, jak zbieractwo, garncarstwo, tkactwo były przypuszczalnie także w rękach kobiet. Duże znaczenie pracy kobiety w gospodarce tej ludności przyczyniło się jednocześnie do poważnego wzrostu społecznej jej pozycji w ówczesnym społeczeństwie. Myśliwstwo odgrywało w zajęciach plemion „wstęgowców” znacznie mniejszą rolę; rozwijały się natomiast hodowla – hodowano krowy, kozy, owce, świnie, trzymano też psy, które udomowione zostały już w mezolicie. Panującą formą ustrojową w tym okresie była rodowa wspólnota pierwotna (rodem nazywamy grupę ludzi powiązaną pokrewieństwem krwi, liczącą się od wspólnego przodka), przejawiająca się we wspólnym wytwarzaniu dóbr materialnych i społecznej ich własności.

Ludność kultury ceramiki wstęgowej, której nazwę tę nadano od typowego dla niej ornamentu na naczyniach, przybyła na tereny Polski kilkoma falami. Śladów najstarszej jej fazy tzw. kultury ceramiki wstęgowej rytej



Ryc. 1. Pow. Gorzów, miejscowość nieznana.
Motyka kamienna tzw. kultury ceramiki wstęgowej. (rys. St. Nyka)

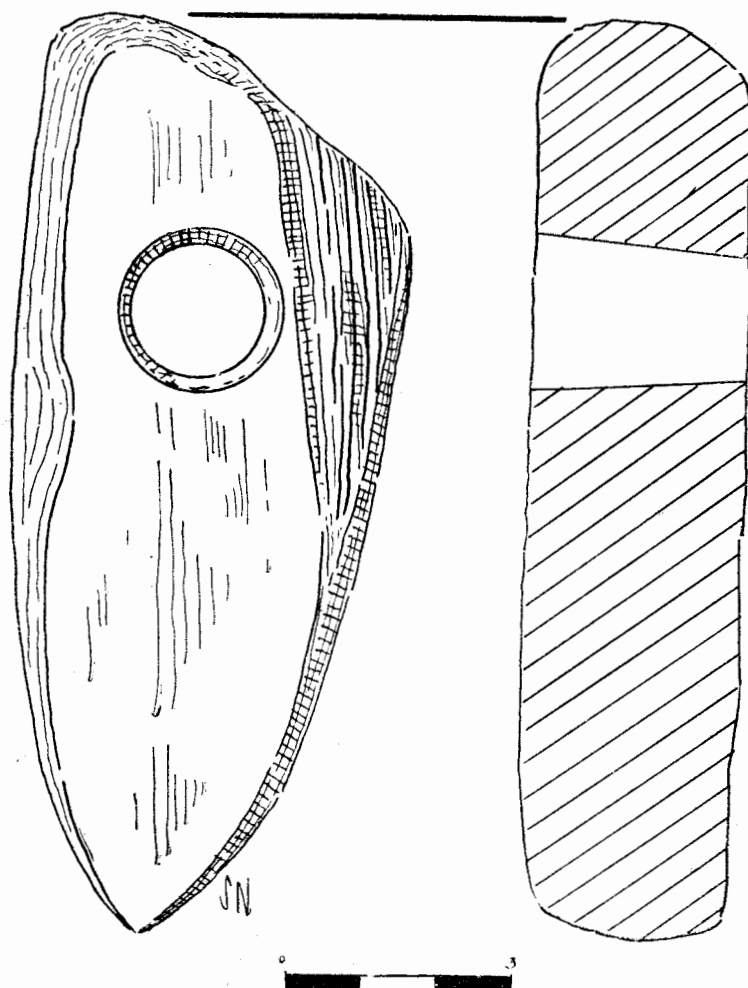
z powiatu gorzowskiego dotychczas nie znamy, nie znaczy to jednak, że nie było jej na tych obszarach. Stwierdzono je natomiast na urodzajnych terenach Ziemi Pyrzyckiej, dokąd przybyła ona zapewne wzdłuż Odry ze Śląska, lub Notecią i Wartą z Kujaw, musiała więc zahaczyć także o Ziemię Lubuską. Znane są natomiast z Gorzowa i jego okolic liczne pozostałości osadnictwa młodszej grupy tej kultury, tzw. kultury ceramiki wstęgowej klutej. Jedną z osad tej ludności odkryto w Marzęcinie w pow. gorzowskim, ponadto ślady jej występowania znane są z Gorzowa oraz Deszczna, Borku, Lipiek Małych, Łagodzina i Santocka (pow. Gorzów).

Zetknięcie się i długotrwałe współzycie łowiecko-rybackiej ludności mezolitycznej z kopieniackimi plemionami kultury ceramiki wstęgowej doprowadziło do wykształcenia się nowej grupy kulturowej, tzw. kultury pucharów lejkowatych. Gospodarka tych plemion, których nazwa pochodzi od charakterystycznej dla nich formy naczyń w kształcie lejkowatego pucharu, opierała się w głównej mierze na hodowli zwierząt, w mniejszym zaś stopniu na uprawie ziemi. W związku z dużym znaczeniem hodowli dominującą rolę w życiu gospodarczym i społecznym, w przeciwieństwie do plemion kopieniackich, zaczynał spełniać teraz mężczyzna. Na czele rodu stał patriarcha – najstarszy mężczyzna w rodzie, wokół niego skupiała się grupa starszych wiekiem współplemieńców. To zróżnicowanie społeczne doprowadziło stopniowo, w miarę dalszego rozwoju, do zaczątków zróżnicowania majątkowego. Sprzyjające ku temu warunki stwarzała rozwijająca się hodowla, która dawała możliwości otrzymania pewnych nadwyżek produkcyjnych. Dowodem dużego znaczenia mężczyzny w życiu gospodarczym i społecznym był zwyczaj wznoszenia olbrzymich kurhanów w kształcie wydłużonego trójkąta (o długości dochodzącej nieraz do 115 m), w których w miejscu centralnym chowano mężczyznę – może naczelnika rodu? Obok pochówku centralnego znajdowało się zwykle jeszcze kilka grobów pobocznych. Grobowce te od częstego występowania na Kujawach zwane są kujawskimi. Ponadto występują one także w północnej Wielkopolsce i na Pomorzu Zachodnim.

Osady swojej ludność omawianej kultury zakładała najczęściej na terenach mniej urodzajnych, w pobliżu rzek, jezior oraz łąk. Istnienie takiej osady stwierdzono m. in. na wzgórzu, na wschodnim krańcu Gorzowa. Dostarczyła ona licznych ułamków dużych naczyń zasobowych służących do przechowywania zapasów, oraz mniejszych używanych do gotowania, jedzenia i innych czynności (ryc. 3). Z narzędzi, którymi posługiwał się ówczesny człowiek znaleziono krzemienne siekierki, noże, skrobacze itd. Podobną osadę odkryto także w Lipkach Wielkich w pow. gorzowskim.

Duża ruchliwość plemion kultury pucharów lejkowatych sprzyjała rozwojowi wymiany międzyplemiennej. W okresie tym nie było jeszcze zorganizowanego handlu, lecz poszczególne rody nabywały różne niezbędne dla nich towary drogą wymiany za inny towar.

W młodszych fazach neolitu na terenie Polski północnej pojawiło się kilka nowych ludów: plemiona kultury amfor kulistych, kultury ceramiki sznurowej oraz plemiona kultury ceramiki dołkowo-grzebykowej. Powszechnie przyjmuje się, że ludy kultury amfor kulistych (nazwa pochodzi od typo-



Ryc. 2. Santok, pow. Gorzów.
Toporek kamienny tzw. kultury ceramiki wstęgowej. (rys. St. Nyka).

wej formy naczyń w kształcie kulistej amfory) przybyły do nas z środkowych Niemiec. Gospodarka tych plemion opierała się w głównej mierze na uprawie ziemi i hodowli zwierząt. W świetle materiałów archeologicznych widoczne są bliskie powiązania pod względem gospodarczym i społecznym między kulturą pucharów lejkowatych i amfor kulistych. Wspólną cechą obu tych kultur był także zwyczaj budowania olbrzymich grobowców magalitycznych, różniących się jednak formą i charakterem. Groby ludności kultury pucharów lejkowatych były jednostkowe, kurhany zaś wznoszone nad nimi miały zarys wydłużonego trójkąta; Groby natomiast plemion kultury amfor

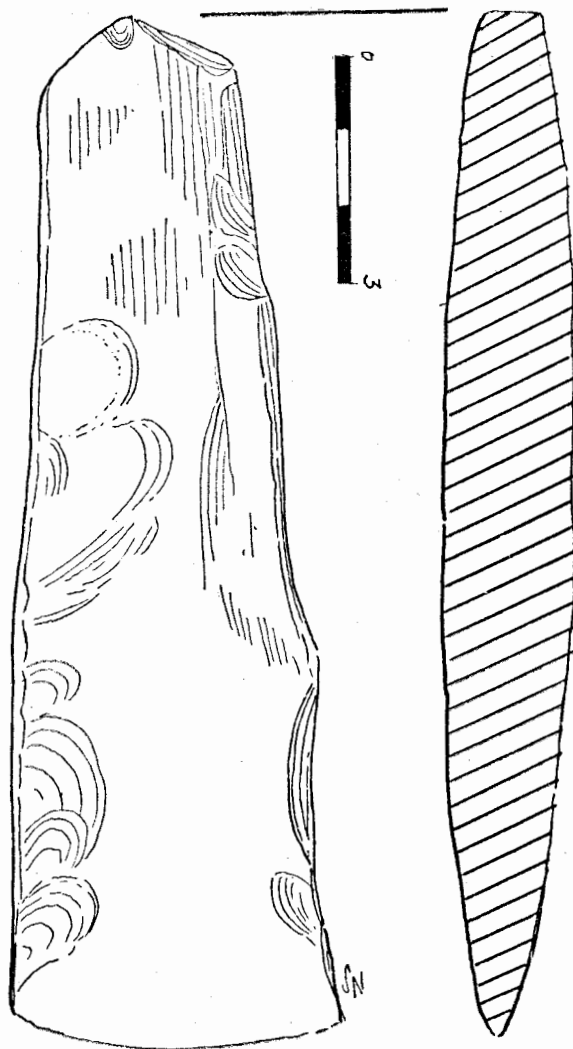


Ryc. 3. Gorzów.

Naczynia z osady tzw. kultury pucharów lejkowatych. (wg Buchholza).

kulistych były zbiorowe, rodzinne (w jednej dużej komorze grobowej znajdowało się zwykle kilka lub kilkanaście szkieletów), a wznoszone nad nimi nasypy ziemne były okrągłe lub owalne.

Z powiatu gorzowskiego nie znamy dotychczas osad ludności kultury amfor kulistych, znane są natomiast znaleziska grobowe, co jednak pozwala przypuszczać, że w ich pobliżu musiały znajdować się także osady. We wschodniej części Gorzowa, w okresie międzywojennym, rozkopano grobowiec tej ludności. Grób ten w kształcie dużej (długość ok. 4,75 m i szerokość ok. 1 m) wkopanej w ziemię trapezowatej skrzyni, zbudowany był z kamiennych płyt (ryc. 5). Był to grobowiec rodzinny. O używaniu go przez dłuższy okres świadczy znaleziona w nim większa ilość szkieletów. Kości były rozrzucone, można jednak przypuszczać, że pochowano w nim 14 osobników. Zmarłych zaopatrywano w naczynia z jadłem i napojem oraz w przedmioty ich codziennego użytku. Wiązało się to z głęboką wiarą, że wszystko co używał zmarły za życia będzie mu też potrzebne w jego życiu pośmiertnym. W grobowcu gorzowskim jako wyposażenie dane zmarłym znaleziono m. in. jedno naczynie, siekierkę i dłutko krzemienne, kamienny



Ryc. 4. Pyrzany, pow. Gorzów.
Siekierka krzemieniana z młodszej epoki kamienia. (rys. St. Nyka).

topór, fragmenty bursztynowych wisiorków. Pozostałością pożywienia były fragmenty kości zwierzęcych. Omawiany grobowiec po wyeksplorowaniu przeniesiono i zrekonstruowano w parku gorzowskim, gdzie znajduje się do chwili obecnej. Grobowiec ten wchodził w skład większego cmentarzyska, w jego pobliżu bowiem odkryto jeszcze dwa podobne groby.

Drugim ludem, który rozprzestrzenił się szeroko na naszych terenach, są twórcy tzw. kultury ceramiki sznurowej. Nazwa ich pochodzi od charakterystycznego ornamentu na naczyniach w postaci odcisków sznura. Geneza tej kultury jest dotychczas bliżej jeszcze niewyjaśniona. Ludność ta współistniała z zamieszkującymi już nasze tereny plemionami kultury pucharów lejkowatych i amfor kulistych i wszystkie te grupy wzajemnie na siebie oddziaływały. W przeciwieństwie do ludów kultury amfor kulistych, „sznurowcy” wiedli mniej osiadły tryb życia, była to ludność bardziej ruchliwa, koczownicza. W gospodarce jej dużą rolę odgrywała hodowla, mniejszą natomiast uprawa ziemi. Powszechnie przypisuje się „sznurowcom” udomowienie konia, dzięki któremu mogli oni z łatwością pokonywać rozległe przestrzenie. Z okolic Gorzowa znamy dotychczas dwa groby tych plemion (Kamień Mały i Lipki Małe). Zmarłych swoich grzebali oni najczęściej w grobach płaskich, jednostkowych, rzadziej w masowych. — W odkrytym np. grobie w Lipkach pochowanych było czworo dzieci. Cmentarzyska są na ogół rozproszone i niewielkie, obejmujące zwykle tylko kilka grobów. Zmarłych, podobnie jak w poprzednich kulturach, wyposażano w przedmioty ich codziennego użytku. Rozproszenie oraz małe rozmiary cmentarzy, a także osad omawianej ludności świadczą również o dużej ruchliwości tych plemion. Do dużej specjalizacji doszli „sznurowcy” w wykonywaniu narzędzi krzemiennych i kamiennych, osiągając w ich wytwórczości wysoki poziom. W przeciwieństwie do omawianych już wyżej plemion młodszej epoki kamienia, ludność kultury ceramiki sznurowej, oprócz łuku, używała także jako broni krzemienne szpilety i oszczepy z krzemiennymi grotami (ryc. 6). W walce posługiwała się ona także kamiennymi czekanami bojowymi (Mościce, w pow. gorzowskim).

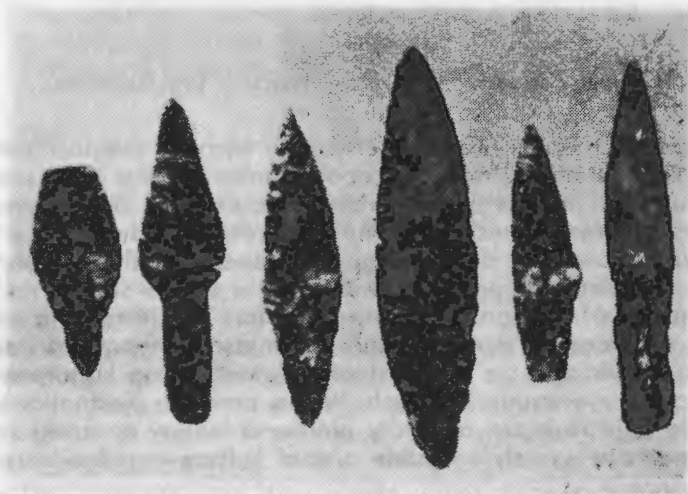
Z północnego wschodu, wzdłuż rzek i jezior, przybywały na nasze tereny nieliczne gromady ludów żyjących głównie z rybołówstwa i łowiectwa, częściowo zajmujących się także hodowlą, reprezentujące tzw. kulturę ceramiki dołkowo-grzebykowej. Osady swoje zakładali oni najczęściej na terenach wydmych, w pobliżu rzek i jezior. Stopniowo, współzyskując z ludnością zamieszkującą już nasze tereny, plemiona te asymilowały się, a część ich pod wpływem ludności miejscowej przeszła na gospodarkę hodowlano-rolniczą. Ślady pobytu ludów kultury ceramiki dołkowo-grzebykowej znamy z licznych ich obozowisk rozproszonych nad Wartą i Notecią.

Od około 18 stulecia p. n. e. zaczynały pojawiać się na tych terenach narzędzia brązowe, datując jednocześnie początek epoki brązu, trwającej od ok. XVIII do VII wieku p. n. e. Warto jeszcze dodać, że miedź znana już była na terenie Polski niemal wszystkim kulturom neolitycznym. Metal ten przybył do nas z południa, najczęściej w postaci gotowych już wytworów. Nie rozpowszechnił się jednak na większą skalę ze względu na to, że sprowadzany z innych terenów był za kosztowny, a ponadto jako zbyt miękki nie



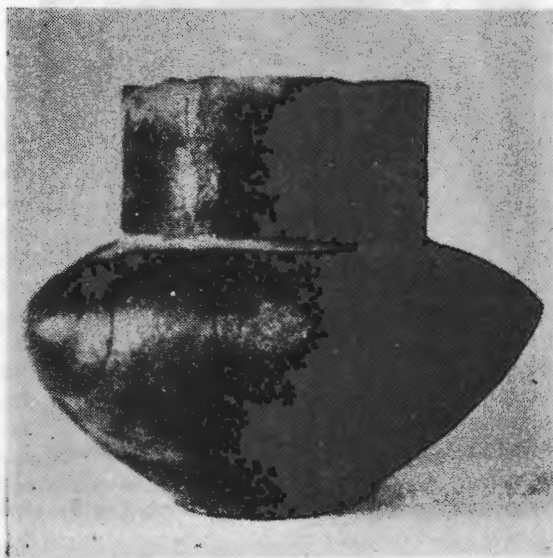
Ryc. 5. Gorzów.

Grób megalityczny tzw. kultury amfor kulistych. (wg Buchholza).



Ryc. 6. Od strony lewej: Ciecierzycze Małe, Santok, Mościce, Bolemin, Marzęcin, Polichno, pow. Gorzów. Krzemienne sztylety i groty oszczepów tzw. kultury ceramiki sznurowej. (wg Buchholza).

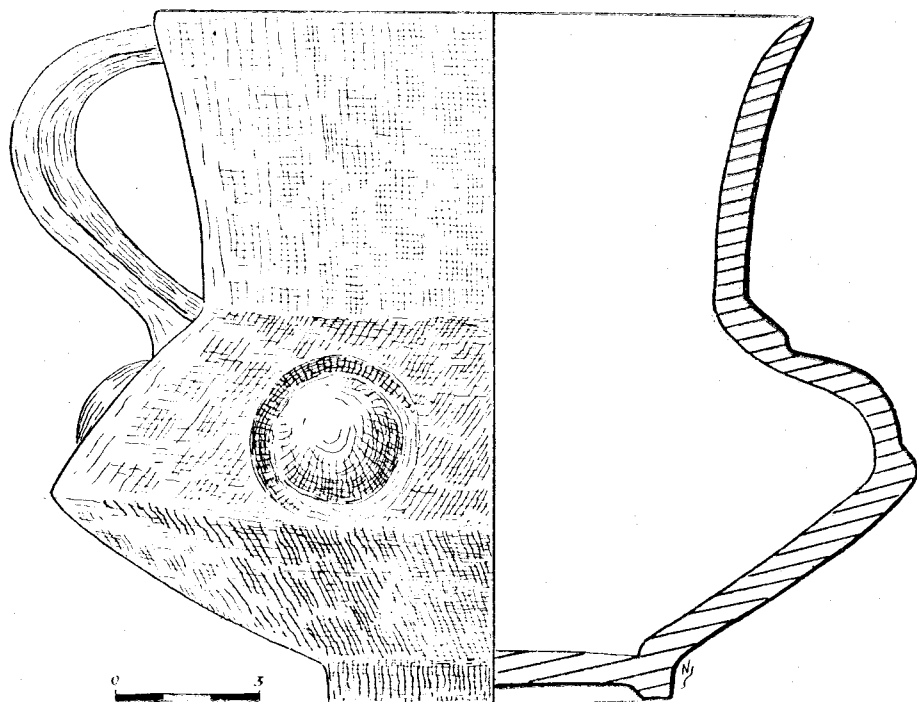
nadawał się do produkcji narzędzi. Pojawienie się brązu nie doprowadziło od razu do całkowitego wyparcia kamienia jako tworzywa do wyrobu narzędzi, nie od razu rozwinęła się u nas na większą skalę rodzima wytwórczość przedmiotów brązowych. Pierwsze wyroby z tego metalu dostały się do nas jako importy z terenów południowo-zachodnich, kulturowo wyżej rozwiniętych. Narzędzia kamienne pozostały więc we wczesnej epoce brązu (lata od ok. 1800 do 1300 p. n. e.) jeszcze w powszechnym użyciu.



Ryc. 7. Gorzów.
Naczynie z wczesnej fazy kultury lużyckiej. (wg Buchholza).

W początkach epoki brązu obserwujemy wyraźną ciągłość osadnictwa plemion z końcowych faz młodszej epoki kamienia. Jest to w zasadzie ta sama ludność, zmienia się tylko jej kultura materialna. Stosunkowo najdłużej przetrwały elementy kultury ceramiki sznurowej. Zachodzące w tym czasie przemiany prowadziły do pewnego ujednolicenia kulturowego. W okresie neolitu obserwujemy proces nawarstwiania się na siebie, na tych samych terenach, różnych grup kulturowych, które wzajemnie na siebie oddziaływały, we wczesnej epoce brązu, natomiast następowała pewna stabilizacja przejawiająca się w powstaniu niewielu grup kulturowych, terytorialnie dość silnie wyodrębnionych. W tym procesie ujednolicenia kulturowego rolę najważniejszą odegrały plemiona kultury ceramiki sznurowej, na której podłożu wyrosły wszystkie niemal kultury wczesno-brązowe.

Gospodarka plemion wczesnobrązowych opierała się w głównej mierze na hodowli i uprawie ziemi. Ludność ta nadal żyła w ustroju pierwotnej wspólnoty rodowej, pogłębiał się jednak proces narastania nierówności majątkowych i społecznych w obrębie rodów. Przejawem tego są np. dość licz-



Ryc. 8. Górzów.

Dzban z wczesnej fazy kultury lużyckiej. (rys. St. Nyka).

nie występujące w tym okresie skarby zawierające przedmioty brązowe. Świadczą one o gromadzeniu większej ilości bogactw w rękach pewnej grupy ludzi; mogły być także własnością kupców trudniących się handlem wyrobami brązowymi, lub też własnością samego odlewcy. Skarb brązowy znaleziony w Deszcznie w pow. górzowskim zawierał m. in. owalne naramienniki brązowe, bransolety ze spiralnie skręconej taśmy brązowej, szpile do spinania szat, brązowe siekierki.

Około 15 stulecia na podłożu istniejących już na terenie Polski kultur wyłoniły się dwie nowe kultury, dość jednolite, o szerszym zasięgu terytorialnym, będące wynikiem postępującego procesu stabilizacji kulturowej. Była to kultura przedłużycka, obejmująca swym zasięgiem także Ziemię Lubuską oraz kultura trzciniecka.

Z kultury przedłużyckiej i trzcinieckiej wykształciła się w środkowej epoce brązu (lata ok. 1300 do 1100 p. n. e.) tzw. kultura lużycka, nazwana tak od pierwszych typowych dla niej znalezisk pochodzących z Łużyc. Plemiona kultury lużyckiej uważa się za prasłowiańskie.

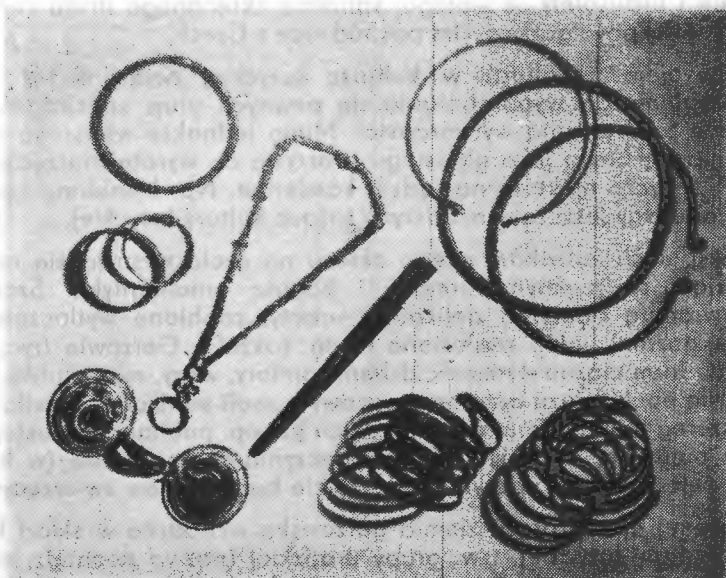
W okresie trwania kultury łużyckiej zaszły zasadnicze przemiany w wierzeniach ówczesnej ludności, znajdujące swój wyraz w zmianie form grzebania zmarłych. Zwyczaj ciałopalenia, którego sporadyczne wypadki znamy już z końcowych faz neolitu, stał się teraz powszechną formą obrządku pogrzebowego. Wiara w ciągłość życia duszy po śmierci ciała była już w młodszej epoce kamienia dość silna. Wskazywał na to chociażby rozpowszechniony zwyczaj wyposażania zmarłych w przedmioty ich codziennego użytku oraz w naczynia z jadłem i napojem. Wierzono jednak, że również po śmierci siedliskiem duszy jest ciało. W kulturze łużyckiej natomiast powstała wiara, że wyzwalając duszę z ciała przez jego spalenie, umożliwia się jej dalszą egzystencję. Ciała zmarłych palono na stosie, a niedopalone szczątki wsypywano do popielnicy. Wokół niej ustawiono mniejsze naczynia, tzw. przystawki z jadłem i napojem przeznaczonym dla duszy zmarłego. Oprócz grobów popielnicowych występowały także w kulturze łużyckiej groby jamowe, bez popielnic – niedopalone szczątki kostne wraz z resztkami stosu wsypywano luźno do jamy grobowej. W początkowych fazach kultury łużyckiej panowały dwie zasadnicze formy grobów – kurhany ziemne otoczone kręgiem kamiennym i z kamiennym jądrem wewnątrz oraz groby płaskie tworzące rozległe nieraz cmentarzyska. Groby kurhanowe następnie powoli zanikały, upowszechniały się natomiast cmentarzyska płaskie, które pod koniec epoki brązu zapanowały powszechnie. Takie płaskie cmentarzysko ludności kultury łużyckiej pochodzące z końcowych faz epoki brązu znane jest z miejscowości Borek w pow. gorzowskim. Występowały na nim groby popielnicowe i jamowe.

Dopiero w okresie kultury łużyckiej możemy się liczyć z masowym zastosowaniem brązu do wyrobu narzędzi. Powszechne użycie narzędzi brązowych wpłynęło na ogólny rozwój gospodarki ówczesnej ludności, stworzyło większe możliwości dla rozwoju rolnictwa i hodowli. Zajęcia te, a zwłaszcza hodowla, odgrywały najważniejszą rolę w gospodarce tych plemion Ziemi pod uprawę, podobnie jak w okresach poprzednich, uzyskiwano wypalając lasy i krzewy, zastosowanie jednak brązowych siekierok do wyrębu drzew znacznie ułatwiało i przyspieszało pracę. Uprawa ziemi, początkowo kopieniacza, zaczęła na przełomie epoki brązu i żelaza przechodzić powoli w sprzężajną. Jako siły pociągowej do orki radłem używano wówczas woły. Zboża żęto brązowymi sierpami.

Intensywny rozwój hodowli pozwolił na uzyskanie pewnych nadwyżek, za które można było drogą wymiany nabywać brązowe narzędzia, broń, ozdoby. Niektóre z narzędzi brązowych są importem z innych krajów jak np. znaleziona w Deszcznie siekierka pochodząca z obszarów nad górnym Dunajem.

W walce i w polowaniu posługiwał się człowiek ówczesny łukiem, oszczepem z brązowymi grotami, mógł używać także w tym celu siekierki i noże. Miecze są stosunkowo nieliczne i wszystkie są importem z terenów Węgier lub zachodnio-europejskich.

Z brązu wykonywano również wszelkiego typu ozdoby, jak bransolety, naramienniki, naszyjniki, różne wisiorki, szpile do spinania szat oraz upo-



Ryc. 9. Pszczelnik, pow. Gorzów.
Skarb brązowy. (wg Buchholza).



Ryc. 10. Deszczno, pow. Gorzów.
Figurka kultowa z epoki żelaza (wg Buchholza).

wszechniające się w późnej epoce brązu zapinki. Niektóre z używanych przez ludność kultury łużyckiej ozdób są importem z innych terenów, jak np. pierścienie i bransolety ze złotego, spiralnie skręconego drutu znalezione w Koszęcinie w pow. gorzowskim pochodzące z Czech.

Z rozwojem metalurgii w kulturze łużyckiej związany był również proces stopniowego wyodrębniania się pewnych grup specjalistów trudniących się tą dziedziną wytwórczości. Mimo jednakże wielkiego rozpowszechnienia się brązu jako głównego tworzywa do wyrobu narzędzi, nadal przetrwały jeszcze niektóre narzędzia kamienne. Np. kamienne siekierki i topory znane były jeszcze w młodszych fazach kultury łużyckiej.

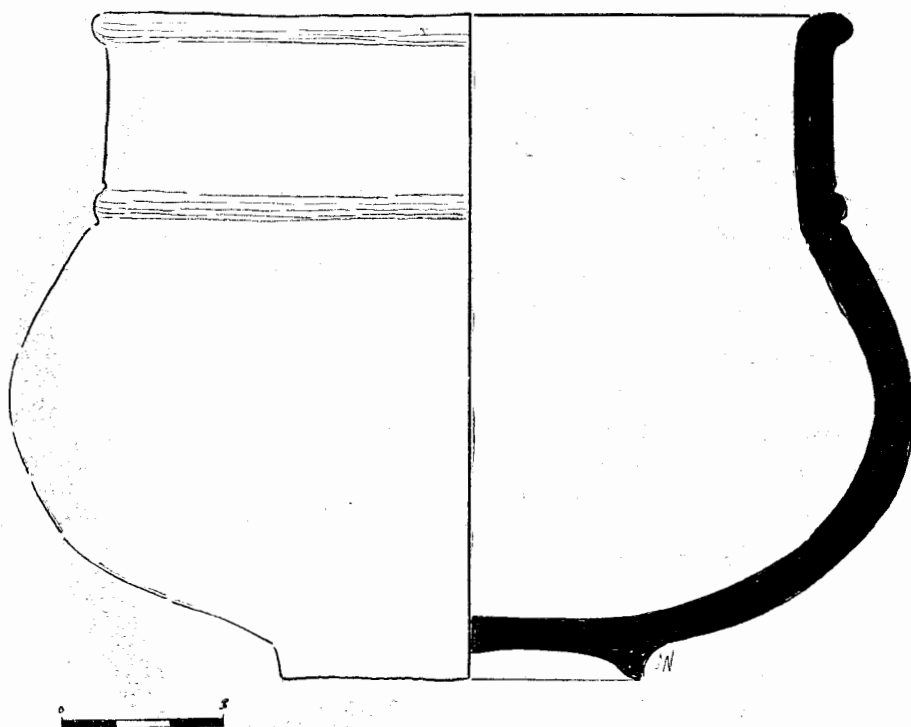
W zespołach zabytków z tego okresu na czoło wysuwa się ceramika odznaczająca się pięknymi formami i bogatą ornamentyką. Szczególną uwagę zwracają naczynia delikatnej roboty, zdobione wytłaczanymi od wewnątrz guzami, jakie znaleziono m. in. także w Gorzowie (ryc. 7 i 8). Z typowych form można wymienić dzbanki, amfory, wazy, misy, kubki. W późnym okresie epoki brązu ornament guzowy powoli zanikał, pojawiło się natomiast szereg nowych form naczyń, takich jak np. puchary na pustej nóżce, naczynia piętrowe, dwójaki i trojaki, naczynia zoomorficzne (w kształcie ptaków i zwierząt) oraz naczynia w kształcie buta i rogów zwierzęcych.

W późnej epoce brązu ziemia gorzowska wchodziła w skład lokalnej odmiany kultury łużyckiej, tzw. grupy uradzkiej (nazwa pochodzi od typowego cmentarzyska w Uradzie, w pow. słubickim) obejmującej swym zasięgiem Ziemię Lubuską oraz południową i środkową Wielkopolskę.

Ludność kultury łużyckiej żyła w ustroju pierwotnej wspólnoty rodowej. Następował jednak proces dalszego narastania i pogłębiania się nierówności społecznych i majątkowych w obrębie rodów, do czego prowadziła rozwijająca się hodowla, dająca możliwości uzyskiwania nadwyżek produkcyjnych, za które można było drogą wymiany nabywać różne przedmioty brązowe. Świadczą o tym m. in. liczne występujące w tym okresie skarby brązowe. Brąz, mimo rozpowszechnienia się, posiadał zawsze wysoką wartość (spełniał także funkcję środka wymiany), dlatego też tzw. skarby, które ukrywano w ziemi w celu uchronienia ich przed grabieżą są wyrazem zażądania pierwotnego ich posiadacza.

Około 7 stulecia p.n.e. na terenie Polski pojawił się nowy metal – żelazo – sygnalizujący jednocześnie początek epoki żelaza (lata od ok. 700 p. n. e. do 400 n. e.). W początkowej fazie tego okresu jako główny surowiec do wyrobu narzędzi, broni i ozdób występował w dalszym ciągu brąz, a przedmioty żelazne napływały do nas jako importy z południa. Dopiero z chwilą gdy także i u nas nauczono się wykorzystywać rodzime złoża rudy żelaznej, żelazo zaczęło rozpowszechniać się na szerszą skalę.

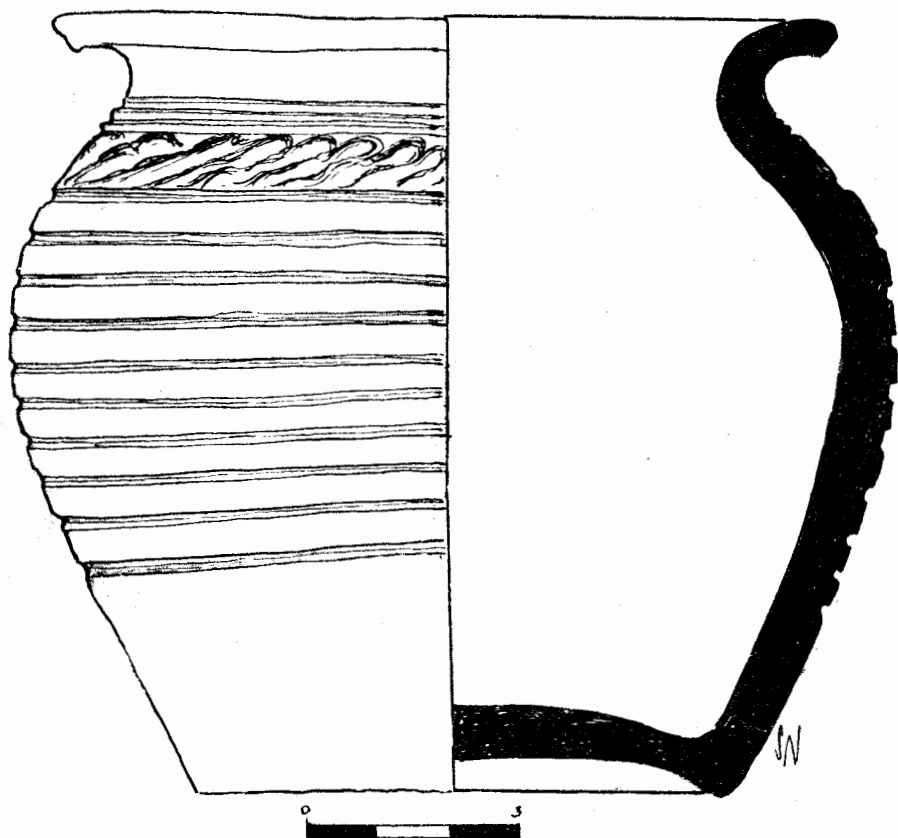
W początkach epoki żelaza kultura łużycka doszła do najpełniejszego swego rozkwitu. W okresie tym zaznaczyły się na naszych terenach silne wpływy kultury halsztackiej, która rozwinęła się na obszarze górnej Austrii. Wytworzyła ją ludność trudniąca się m. in. handlem solą. Nazwa jej pochodzi od typowego cmentarzyska w Hallstatt w górnej Austrii i stąd też czas



Ryc. 11. Pow. Gorzów, miejscowość nieznana.
Naczynie z okresu rzymskiego. (rys. St. Nyka).

trwania tej kultury oraz jej wpływów na inne tereny nosi nazwę okresu hal-
szackiego. W Polsce czas jego trwania przyjmuje się na lata ok. 700 do 400
p.n.e. (pierwszy okres epoki żelaza). Północną część Ziemi Lubuskiej zajmo-
wała w tym czasie lokalna odmiana kultury łużyckiej, tzw. grupa górzyc-
ka, której nazwa pochodzi od typowego cmentarzyska w Górzycy w powie-
cie ślubickim.

W okresie tym zaznaczył się dalszy intensywny rozwój dwóch podsta-
wowych gałęzi gospodarki ówczesnej ludności, mianowicie rolnictwa i ho-
dowli, pozostający w związku z procesem dalszego udoskonalenia narzędzi
pracy i wzrastającej ich różnorodności. Intensywny rozwój rolnictwa powo-
dowany stosowaniem lepszych metod uprawy ziemi związanych z upowszech-
nianiem się uprawy sprzężanej, przyczyniał się jednocześnie do dużego
rozwoju osadnictwa. Powstawały liczniejsze i większe osady zamieszkiwane
przez dłuższy okres. Nadal jednak najważniejszą gałęzią gospodarki pozostawała



Ryc. 12. Pow. Gorzów, miejscowość nieznana.
Naczynie z okresu wczesnego średniowiecza. (rys. St. Nyka).

stała hodowla będąca głównym źródłem bogactwa i miernikiem zamożności ówczesnego społeczeństwa.

W okresie tym obserwujemy również rozwój metalurgii, wzrost wytwórczości przedmiotów metalowych i większą ich różnorodność. Nowym rodzajem broni były np. żelazne czekany bojowe. Ważną rolę w rozwoju gospodarczym omawianej ludności odgrywała także wymiana.

W zespołach zabytków z tego okresu szczególną uwagę zwraca piękna ceramika. Pod wpływem śląskim pojawiły się delikatnej roboty naczynia z barwną ornamentyką wykonaną farbami ziemnymi. Najczęściej spotykane kolory to: żółty, czerwony i ciemnobrunatny, rzadziej biały i czarny. Naczy-

nie takie znaleziono w Deszcznie. Pozostałością form z poprzedniego okresu są m. in. naczynia zoomorficzne, w kształcie rogów oraz naczynia piętrowe.

Pogłębiające się nierówności majątkowe, w obrębie rodów przyczyniły się zwolna m. in. do rozkładu dawnych form ustrojowych. W okresie tym narastały elementy ustroju tzw. demokracji wojennej. Był to także okres wzmożonych walk międzyplemiennych, o czym świadczą m. in. liczne znaleziska broni ówczesnych wojowników oraz pozostałości obronnych osiedli. Osiedla takie zakładano najczęściej w miejscach naturalnie obronnych – na półwyspach, wyspach, na terenach trudno dostępnych. Aby wzmocnić jeszcze ich obronność, otaczano je wałami. Typową taką warownią jest słynny gród w Biskupinie w pow. żnińskim.

W VI i V wieku p. n. e. nastąpiło pewne zubożenie ludności kultury łużyckiej spowodowane niszczycielskim najazdem plemion scytyjskich. Widoczne to jest np. w ceramice grupy górzyckiej odznaczającej się teraz mniej starannym wykonaniem oraz zubożeniem form naczyń i ich ornamentyki.

W końcowej fazie okresu halsztackiego zaczyna się schyłek świetności kultury łużyckiej, która znajdowała się wtedy pod silnymi wpływami plemion tzw. kultury pomorskiej, będących przedstawicielami nadmorskiego odłamu Prasłowian. Kultura pomorska wykształciła się z grupy kaszubskiej kultury łużyckiej. Zajęła ona całą Wielkopolskę, część Śląska i niektóre tereny Ziemi Lubuskiej. Wyraźne staje się w tym czasie pewne zahamowanie życia gospodarczego plemion kultury łużyckiej. Zaczynający się u schyłku okresu halsztackiego jej upadek potęguje się w II okresie epoki żelaza, tzw. okresie lateńskim, którego czas trwania przyjmuje się na lata od ok. 400 p. n. e. do przełomu naszej ery.

Od VI – V wieku p. n. e. coraz powszechniejsze stawało się użycie narzędzi żelaznych, lecz produkcja ich aż do II wieku p. n. e. opierała się głównie na surowcu importowanym z południa. Najbujniejszy rozwój metalurgii przypada na okres od ok. II wieku p. n. e. Wiąże się on przede wszystkim z powszechnym wykorzystywaniem rodzimych złóż rud żelaza, przede wszystkim darniowych, występujących licznie na terenie całego kraju.

W okresie lateńskim Ziemia Lubuska znajdowała się pod silnymi wpływami wysokiej kultury Celtów, którzy ze swoich siedzib ze wschodniej Francji i południowych Niemiec rozchodzili się szeroko w różnych kierunkach. W Polsce ślady ich bytności stwierdzono na Śląsku i w zachodniej Małopolsce, pozostałe zaś tereny znajdowały się pod silnymi wpływami ich kultury. Pod wpływem Celtów przyjęło się szereg nowych zdobyczy technicznych, jak np. żarna rotacyjne, niektóre narzędzia, silne wpływy zaznaczyły się także w ceramice, narzędziach, broni, ozdobach. Oprócz naśladownictw celtyckich w wytwórczości rodzimej spotykało się także w Polsce importy z ich terenów. Jednakże mimo tych silnych obcych wpływów wyraźnie trwały nadal pewne tradycje kultury łużyckiej.

Około I wieku p. n. e. na skutek silnej ekspansji imperium rzymskiego załamała się polityczna potęga Celtów, a podbój Gallii przez Juliusza

Cezara w połowie I wieku p. n. e. położył ostateczny kres ich świetności. Po upadku Celtów nastąpił okres silnych wpływów kultury prowincjonalno-rzymskiej, które objęły także tereny Polski. Był to III okres epoki żelaza, tzw. okres rzymski, przypadający na czas od przełomu naszej ery do ok. IV wieku n. e. Rolnictwo i hodowla stanowiły nadal ważną gałąź w gospodarce ludności zamieszkującej w tym czasie tereny Polski. Do dalszego intensywnego rozwoju tych dwóch podstawowych gałęzi gospodarki przyczyniał się postępujący proces doskonalenia narzędzi i metod pracy. W okresie tym nastąpił znaczny rozwój metalurgii pozostający w związku z powszechnym wykorzystywaniem rodzimych złóż rud żelaza. O wysokim poziomie kowalstwa świadczą liczne pochodzące z tego okresu wyroby żelazne, przede wszystkim jednak broń. Uzbrojenie wojownika z okresu rzymskiego składało się z miecza, oszczepu z żelaznym grotem, tarczy, ostróg. Wysoki poziom oraz duże znaczenie metalurgii w gospodarce ówczesnej ludności przyczyniały się także do poważnego wzrostu społecznej pozycji specjalistów trudniących się tą dziedziną wytwórczości.

Jednym z głównych czynników rozwoju społeczno-gospodarczego w omawianym okresie były ożywione kontakty handlowe z Cesarstwem Rzymskim. Za pośrednictwem kupców docierały na nasze ziemie rozmaite przedmioty pochodzące z wysoko rozwiniętych warsztatów produkcyjnych, znajdujących się na terenie imperium rzymskiego. Z importów tych na szczególną uwagę zasługują piękne naczynia brązowe odznaczające się bogactwem form, naczynia ze specjalnej, delikatnej, czerwonej glinki z plastycznym ornamentem, zwane terra sigillata, naczynia srebrne i szklane, ponadto różne narzędzia, broń, ozdoby; najliczniej jednak występowały monety. Z terenów Polski wywożono natomiast bursztyn, skóry, futra, być może także zboża i bydło, ponadto niewolników poszukiwanych bardzo na rynkach imperium rzymskiego, opierającego się przede wszystkim na pracy niewolniczej.

W dziedzinie stosunków społecznych zachodziły w tym czasie dość wyraźne przemiany. Potęgował się rozkład wspólnoty rodowej na rzecz wspólnoty terytorialnej, rozwijał się ustrój demokracji wojennej. Wyodrębniała się warstwa arystokracji, składająca się przede wszystkim z starszyzny plemiennej i naczelników wojskowych. Skupiała ona w swych rękach wielkie bogactwa przyczyniając się do dalszego narastania nierówności majątkowych.

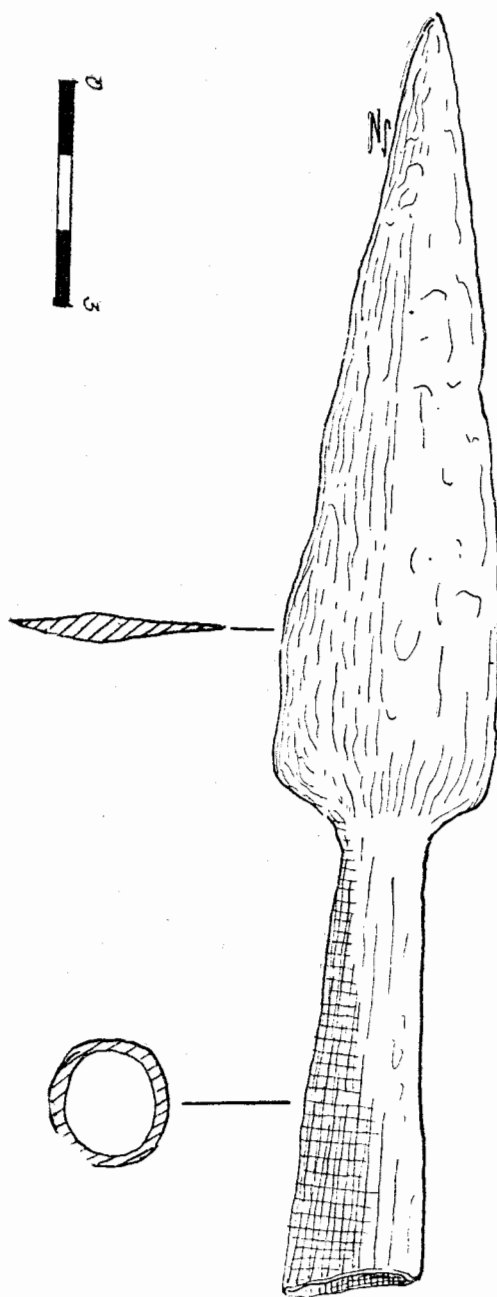
Stosunkowo słabo poznany jest następny etap naszych dziejów, tzw. okres wędrówek ludów, zamykający się w latach od ok. 400 do 600 n. e. Uderzenie koczowniczego ludu Hunów na państwo Gotów nad Morzem Czarnym rozpoczęło okres wielkich przemarszów grup ludów germańskich i Hunów przez tereny wielkiego imperium rzymskiego. Pod naporem najeźdźców Cesarstwo Rzymskie upadło osłabione już zresztą ścierającymi się w jego łonie przeciwnieństwami ustroju niewolniczego. Te wielkie wędrówki ludów, które nie ominęły także terenów Polski, nie obyły się bez wpływów na proces rozwoju społeczno-gospodarczego na naszych ziemiach. Obserwujemy w tym czasie pewne zahamowanie życia gospodarczego przejawiające się m. in. w upadku wielu gałęzi wytwórczości, przede

wszystkim zaś garncarstwa i metalurgii. Po upadku Cesarstwa Rzymskiego osłabiły się również kontakty handlowe naszych ziem z terenami dawnego imperium, stałe natomiast stosunki handlowe utrzymywane były z Bizancjum. W dziedzinie stosunków społecznych potęgowało się w dalszym ciągu różnicowanie społeczne i majątkowe prowadzące w konsekwencji do zupełnego rozkładu wspólnoty pierwotnej i kształtowania się załazków ustroju wczesno-feudalnego, charakterystycznego dla następnego okresu, okresu wczesnego średniowiecza, trwającego do początków XIII wieku. Polska wkraczała w tym czasie w nowy etap rozwojowy, wiążący się przede wszystkim z kształtowaniem się ustroju feudalnego.

Okres wczesnośredniowieczny dzieli się na dwa podokresy: przedpiastowski (od końca VI do połowy X wieku) i wczesnopiastowski (od połowy X do końca XII wieku).

Wczesne średniowiecze jest okresem wielkich przemian społecznych i gospodarczych w dziejach naszego kraju. Jest to okres kształtowania się podstaw ustroju feudalnego, powstania i rozwoju klasy feudalów, skupiającej w swych rękach wielką własność ziemską. Po chwilowym zastoju, jaki miał miejsce po upadku imperium rzymskiego i w okresie wędrówek ludów, zaczyna się powoli rozwijać wytwórczość rodzima, osiągając najbujniejszy swój rozwój od X wieku. Następował znaczny rozwój rzemioł wyodrębniających się z przemysłów domowych. Ważnym też momentem było oddzielenie się rzemiosła od rolnictwa – rzemieślnik rezygnował z pracy na roli oddając się wyłącznie swojej specjalizacji. Powstały w tym czasie załazki pierwszych miast. Konsekwencją tych wszystkich przemian było formowanie się i powstanie organizmu państwowego jako głównego aparatu panowania warstwy możnych nad pozostałymi klasami ówczesnego społeczeństwa.

Uprawa ziemi i hodowla zwierząt stanowiła nadal podstawę gospodarki. W rozwoju ich zainteresowana była najbardziej kształtująca się w tym okresie klasa wielkich właścicieli ziemskich, ciągnąca stąd największe korzyści. Szczególny nacisk kładła ona jednak na rozwój hodowli, będącej głównym źródłem jej bogactwa i miernikiem zamożności. Do intensywnego rozwoju rolnictwa przyczyniało się coraz szersze stosowanie sprzężajnej uprawy ziemi. Ze zbóż siano: pszenicę, żyto, owies, jęczmień, proso. Duże znaczenie miała uprawa lnu. Zboże żęto żelaznymi sierpami lub półkoskami, młócono najczęściej przy pomocy cepów. Mielono je w żarnach kamiennych, a od XII i XIII wieku w dobrach wielkiej własności ziemskiej zaczynały pojawiać się pierwsze młyny. Z warzyw znano bób, groch, soczewicę, ogórki, rzepę, mak, marchew, kapustę, czosnek, cebulę. Liczne znaleziska pestek owoców w grodach i osadach wczesnośredniowiecznych świadczą, że hodowano jabłonie, grusze, śliwy, wiśnie, czereśnie, brzoskwinie. Znaleziska kości zwierzęcych poświadczają hodowlę bydła, koni (użytkowano je głównie do jazdy wierzchem i hodowla ich rozwijała się przede wszystkim w dobrach wielkiej własności ziemskiej, a jako



Ryc. 13. Gorzów.

Żelazny grot oszczepu z okresu wczesnośredniowiecznego. (rys. St. Nyka).

siła pociągowa służyły woły) świń, kóz, owiec; trzymano też psy, z drobiu hodowano kury, rzadziej gęsi i kaczki. Rozpowszechnionym zajęciem było także bartnictwo.

Wytwórczość rodzima osiągnęła w okresie wczesnośredniowiecznym wysoki poziom. Najintensywniejszy jej rozwój zaczął się od X wieku. Wraz z rozwojem postępu technicznego wiele dziedzin wytwórczości, wyodrębniając się z przemysłów domowych, przeszło w ręce specjalistów, stopniowo przekształcając się w rzemiosło, nastawione wyłącznie na produkcję na zbyt. Wyodrębnionym już w tym czasie z przemysłu domowego rzemiosłem było garncarstwo. Zastosowanie od połowy X wieku szybkoobrotowego koła garncarskiego, pozwalającego na obtaczanie całej powierzchni naczyń, stworzyło tym samym możliwości masowej i doskonalszej ich produkcji. Postępujący proces feudalizacji coraz bardziej uzależniał rzemiosło od klasy panującej. Obok wytwórczości rzemieślniczej, przybierającej charakter coraz bardziej masowy i stwarzającej tym samym większe możliwości dla rozwijających się stosunków handlowych, istniała także wytwórczość domowa, zaspokajająca we własnym zakresie potrzeby ludności uboższej.

Ludność z tego okresu mieszkała w osadach (Brzeźno w pow. gorzowskim) i w grodach. Grody ówczesne spełniały ważną rolę jako punkty obronne, były także ośrodkami politycznymi, administracyjnymi i gospodarczymi. Zakładano je podobnie jak poprzednio w miejscach naturalnie obronnych, trudno dostępnych dla wroga, np. na wzniesieniach, półwyspach, wyspach, na wyniosłościach wśród bagien, w widłach dwóch rzek itp. otaczając je wałami i fosami z wodą. W przypadku jakiegoś niebezpieczeństwa w grodach chroniła się także ludność z okolicznych osad. Na terenie powiatu gorzowskiego najlepiej zbadany jest gród w Santoku, położony w widłach Warty i Noteci. O doniosłej roli jaką spełniał on we wczesnym średniowieczu, świadczy wzmianka kronikarza Galla Anonima, który nazywa go „kluczem i strażnicą Królestwa Polskiego”. Najstarszy gród w Santoku w początkowych swych fazach otoczony był jedynie ostrokołem z gęsto obok siebie wbijanych pali drewnianych zaostrzonych na wystających końcach. W okresie późniejszym jednak (za panowania pierwszych Piastów) wzniesiono mocniejszy i potężniejszy wał o konstrukcji drewniano-ziemnej (ryc. 14). Większość domów mieszkalnych odkrytych w Santoku zbudowana była w konstrukcji zrębowej (ryc. 15), lecz wznoszono także budowle słupowe ze ścianami plecionkowymi, które spełniały najczęściej rolę zabudowań gospodarczych. Ulice wymoszczone były drewnem.

W IX i X wieku przy grodach powstawały podgrodzia, również obwarowane, skupiające ludność pracującą na potrzeby grodu, przede wszystkim rzemieślników trudniących się takimi rzemiosłami jak: garncarstwo, hutnictwo, kowalstwo, bednarstwo, kołodziejstwo, złotnictwo, obróbka rogu i kości, szewstwo itp. Podgrodzia były także głównymi ośrodkami handlu. Stopniowo zaczynały one przybierać charakter miejski. Ludność wiejska mieszkająca w osadach, trudniąca się uprawą ziemi, hodowlą, bartnictwem, rybołówstwem i innymi zajęciami, zobowiązana była dostarczać

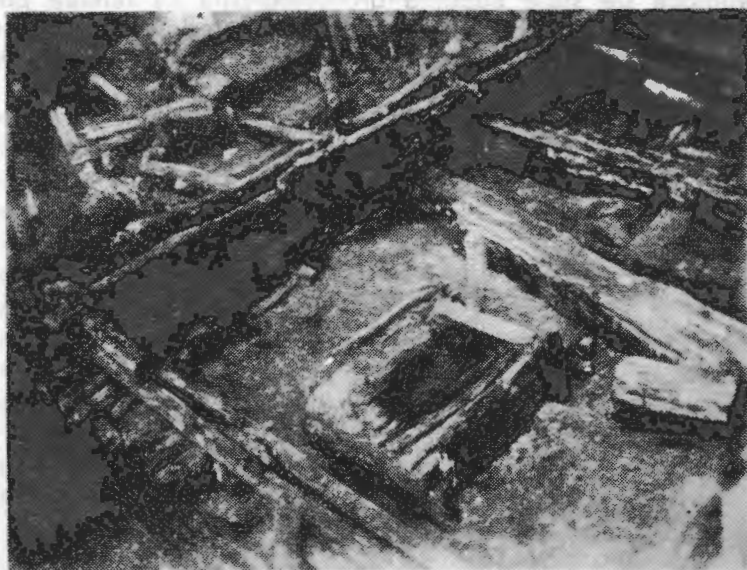


Ryc. 14. Santok, pow. Gorzów.

Fragment drewnianej konstrukcji wału. (wg Doppelfelda).

na potrzeby grodu daniny w naturze. Osady te stanowiły zatem ważne jego zaplecze gospodarcze. Na terenie powiatu gorzowskiego była kilka grodzisk, będących pozostałościami dawnych grodów wczesnośredniowiecznych. M. in. znane jest wspomniane już wyżej grodzisko w Santoku, cztery grodziska na terenie Gorzowa, jedno w Czechowie.

Częstymi znaleziskami z okresu wczesnośredniowiecznego są również skarby srebrne. Skarby takie z X i XI wieku, zwane siekańcowymi, ponieważ znaczna część znajdujących się w nich monet i ozdób była pocięta lub połamana, znane są także z powiatu gorzowskiego. Jeden skarb zawierający półbrakteaty duńskie odkryto w Gorzowie, oraz dwa w Gralewie, zawierające monety polskie, czeskie, niemieckie, duńskie, angielskie włoskie, bizantyjskie i arabskie, ponadto fragmenty placków srebrnych, ułamki różnych srebrnych ozdób, wśród nich także importowanych ze Skandynawii. Skarby te zakopywano w ziemi celem zabezpieczenia ich przed grabieżą. Świadczą one o potęgującym się zróżnicowaniu majątkowym i skupieniu wielkich nieraz bogactw w rękach jednostek, jak i o rozległych kontaktach handlowych naszych ziem z innymi krajami. Polska utrzymywała w tym czasie stosunki handlowe ze Skandynawią, Europą zachodnią, z Rusią, Bizancjum, krajami arabskimi. Sprowadzano m. in. broń



Ryc. 15. Santok, pow. Gorzów.

Pozostałości wczesnośredniowiecznej chaty zrębowej z widocznym wewnątrz paleniskiem.
(wg. Doppelfelda).

(Skandynawia, Europa zachodnia, Ruś), luksusowe tkaniny i ozdoby z Bizancjum i z krajów arabskich, ozdoby srebrne ze Skandynawii. Wywożono natomiast skóry, futra, miód, ryby suszone i wędzone, tkaniny, ozdoby, bursztyn, ponadto niewolników, poszukiwanych bardzo na rynkach wschodnich.

W dziedzinie obrządku pogrzebowego zaszły w tym czasie istotne przemiany. Pod wpływem idei chrześcijaństwa zwyczaj grzebania zmarłych niespalonych zaczyna powoli wypierać ciałopalenie. Zmarłych układano zwykle na wznak w pozycji wyprostowanej, niekiedy w drewnianych trumnach. Groby te tworzyły często dość regularne rzędy i dlatego też cmentarzyska tego typu nazywa się w archeologii cmentarzyskami rzędomymi. Pozostałością przeżywających się idei pogańskich jest panujący nadal zwyczaj wyposażania zmarłych w przedmioty ich codziennego użytku.

W dziedzinie stosunków społecznych w wyniku pogłębiających się różnicowań społecznych i majątkowych wyraźnie zarysowywały się przeciwieństwa klasowe ustroju feudalnego. Rozwijająca się klasa wielkich feudalów, skupiająca w swych rękach wielką własność ziemską, coraz bardziej uzależniała od siebie ludność rzemieślniczą i wiejską. Konsekwencją tych wszystkich przemian ustrojowych było powstanie państwa jako głównego aparatu panowania warstwy możnych nad pozostałymi klasami ówczesnego społeczeństwa.

Wanda Tetzlaff

Rozwijające się stale badania archeologiczne na terenie powiatu gorzowskiego dostarczą niewątpliwie nowych materiałów do poznania najdawniejszych dziejów tego wycinka naszego kraju, oraz jego roli w procesie kształtowania się państwowości polskiej.

PODSTAWOWA LITERATURA

1. **Brackmann A., Unverzagt W.**, Zantoch, eine Burg im deutschen Osten, Leipzig 1936.
2. **Buchholz F.**, Vor- und frühgeschichtlicher Überblick, „Die Kunstdenkmäler des Stadt- und Landkreises Landsberg „(Warthe)“. Berlin 1937.
3. **Hensel W.**, Studia i materiały do osadnictwa Wielkopolski wczesnohistorycznej, t. 1. Poznań 1950, t. II, Poznań 1953.
4. **Jasnosz St.**, Cmentarzysko kultury łużyckiej w Borku pow. Gorzów. Ziemia Lubuska „Fontes Praehistorici“, t. III, Poznań 1953.
5. **Kostrzewski J.**, Pradzieje człowieka. „Ziemia Lubuska“ t. III, Poznań 1950.
6. **Kostrzewski J.**, Wielkopolska w pradziejach, Warszawa-Wrocław 1955.
7. **Kowalenko W.**, Grody i osadnictwo grodowe Wielkopolski wczesnohistorycznej, Poznań 1938 r.
8. **Smoczyńska Ł.**, Kultura ceramiki wstęgowej w Wielkopolsce, „Fontes Praehistorici“, t. III, Poznań 1953.
9. **Umbreit K.**, „Neue Forschungen zur ostdeutschen Steinzeit und frühen Bronzezeit“. Leipzig 1937.

Nadodrzańska o s a d a warzelników soli

Zalążki większości miast dzisiejszego Nadodrza, sięgają czasów przedhistorycznych. Takie z nich jak Lubusz, Kostrzyn, Krosno, Bytom Odrzański, Głogów, w pierwszym okresie swego rozwoju, były osadami wojskowymi.

Historia Nowej Soli jest inna. Miasto to zawdzięcza swe powstanie – soli. Wydać się to może dziwne, tym bardziej, że na okolicznych terenach nie występują złoża tego minerału.

Śląsk bogaty w złoża kopalne, soli nie posiadał zupełnie. Od XIII wieku głównym dostawcą tego artykułu były saliny w Wieliczce. Poza tym Śląsk korzystał z soli pochodzącej z Halle i Luneburga. Już z dokumentu Henryka Brodatego (1211) wynika, że cystersi lubiączy, zaopatrywali się w sól w Gubinie¹⁾, gdzie magazynowana była sól halijska, lub w Lubuszu, gdzie obok soli halijskiej magazynowano także sól luneburską. W drugiej połowie XIII wieku, margraf brandenburski Jan, założyciel miasta Frankfurt n. Odrą, nadając mu różne prawa i przywileje. Kupcy frankfurccy z czasem zmonopolizowali nieomal cały handel solą, zaopatrując w nią Ziemię Lubuską, Wielkopolskę, a także częściowo Śląsk. Z Frankfurtu na Śląsk przez Rzepin, Krosno, Kozuchów, Polkowice, Lubin, Prochowice, Środę Śląską do Wrocławia prowadził tzw. trakt solny.

Niezależnie od tej trasy, istniały nielegalne szlaki handlowe, na których napotkanym kupcom konfiskowano ładunek i pojazd. Chodziło w tym wypadku o zabezpieczenie opłat celnych i interesów miast i kupiectwa.

Z Halle na Śląsk prowadziły trzy szlaki solne:

- 1) Halle, Torgau, Finsterwalde, Cottbus, Gubin. Był to tzw. szlak łużycki.
- 2) Halle, Eilenberg, Liebenwerda, Senftenberg, Spremberg, Mużaków, Żary, Głogów i dalej do Polski.
- 3) Halle, Camenz, Budziszyn, Zgorzelec, Bolesławiec, Środa Śląska, Wrocław.

Sól luneburska docierała na Śląsk jedynie za pośrednictwem kupców frankfurckich, którzy sprowadzali ją Odrą ze Szczecina.

Sól z Wieliczki miała także kilka tras. Jedna z najczęściej używanych, prowadziła przez Kraków, Częstochowę, Kluczbork, Namysłów do Wrocławia. O ile dostawa soli luneburskiej i hallijskiej spoczywała wyłącznie w rękach kupców, to zaopatrywaniem Śląska w sól polską, trudnili się także możnowładcy i szlachta, których nie obowiązywały przepisy celne tak surowo jak kupców. Oficjalnie sprowadzano tą drogą sól na potrzeby własne dworów szlacheckich. W rzeczywistości jednak przenikała ona w dużych ilościach do miast, oczywiście bez cła. Sprawy te niepokoiły urzędników fiskalnych Austrii. Zapobiec temu jednak nie potrafili.

W XV wieku Krosno Odrzańskie otrzymało prawo składu. Frankfurt mocno tym zagrożony, rozpoczął bardzo skomplikowaną politykę handlową, która doprowadziła do wojny gospodarczej między obu miastami. Wypadki te odbiły się pośrednio na handlu śląskim.

W czasach późnego średniowiecza, śląskie drogi handlowe nie były bynajmniej bezpieczne. Bandy rozbójnicze organizowane najczęściej przez drobną i średnią szlachtę niemiecką, rabowały na drogach wszystko co się dało. Większe miasta, jak Wrocław, czy Głogów były w stanie zapewnić bezpieczeństwo jedynie w zasięgu immunitetu miejskiego. Zatargi książąt śląskich miast i szlachty, prowadziły do częstych walk bratobójczych i zajazdów. Wszystko to oczywiście działało hamująco na rozwój handlu solą. Na Śląsku było jej zawsze za mało. Z tego czasu datują się pierwsze próby znalezienia własnych pokładów tego minerału na Śląsku. Dwory książęce zatrudniały ródźkarzy i innych szarlatanów. Próbowano w tym czasie także produkować sól ze słonych źródeł, dość licznych na Śląsku. Produkcja jednak nie opłacała się, a nieznaczne ilości warzonki uzyskiwane tą drogą posiadały dziwny smak, ponieważ woda źródłana zawierała również inne minerały, najczęściej siarkę.

Badając stosunki polsko-śląskie, możemy zauważyć, że Habsburgowie uczynili wszystko, by uniezależnić Śląsk od wielickich żup. Gdy w drugiej połowie XVI wieku gdańszczanin Antoni Danczko (nazywany także Schmidt) zaproponował cesarzowi uruchomienie warzelni soli nad Odrą, któraby produkowała sól w oparciu o surowiec sprowadzany z Francji – otrzymał patent upoważniający go do uruchomienia takiego przedsięwzięcia.

Przed przedsiębiorcą stanęły teraz trzy zasadnicze zadania:

- 1) wybudować warzelnię,
- 2) zaopatrzyć ją w surowiec,
- 3) uregulować koryto Odry – zupełnie w tym czasie zaniedbanej i uczynić je spławnym.

Pierwsze próby zlokalizowania śląskiej warzelni, podejmowane były w okolicy Wrocławia. Jednak wylewy Odry, brak drzewa opałowego i trudności transportowe, uniemożliwiły budowę. Dopiero niedaleko od miejscowości Zabór, znalazł Danczko odpowiednie warunki. Kotły do warzenia solanki sprowadzono z Gdańska; gorzej przedstawiała się sprawa z surowcem. Polityka celna Kurfirstów brandenburskich nie sprzyjała tego rodzaju przedsięwzięciom. Niemniej jednak istniały pewne możliwości zakupu surowca i przewozu go Odrą.

Surowiec, na którym Danczko zamierzał oprzeć swoją produkcję, pochodził z Francji. W Bretanii już w IX wieku istniały nad brzegiem morza osady solników. Uzyskiwanie soli z wody morskiej, było proste. Nad brzegiem zakładano stawy, które na wiosnę napelniano wodą. W ciągu lata słońce wysuszało je, a sól osiadała na dnie. W XIII wieku okręty Hanzy z Hamburga i Lubeki były nieomal wyłącznymi dostawcami tej soli do Niemiec i Pomorza Zachodniego, lecz już w XIV wieku, okręty kupców gdańskich zaczynały z nimi konkurować. Sól uzyskiwana z wody morskiej była jednak zanieczyszczona i do spożycia nadawała się dopiero po uprzednim warzeniu.

Danczko zamierzał zaopatrywać się w surowiec za pośrednictwem kupców szczecińskich. W tym celu, ponieważ na drodze od Szczecina do warzelni znajdował się szereg odrzańskich komór celnych, a przede wszystkim dwa miasta posiadające prawo składu Frankfurt i Krosno, Danczko musiał uciec się do przekupstwa i poczynić „podarki” różnym miejskim dygnitarzom.

Nielatwą sprawą było również uregulowanie Odry na przestrzeni od warzelni do Wrocławia. Na tym odcinku znajdowało się aż 11 zapór wodnych, zamykających zupełnie koryto Odry. Ponieważ zapory te należały najczęściej do możnowładców, usunięcie ich było trudnością nie do pokonania. Nie pomogły cesarskie patenty, a później nawet specjalny komisarz mianowany przez cesarza. Moźnowładcy a także i miasta nie chcieli dopuścić do zniszczenia tam, ponieważ unieruchomiłoby to młyny, folusze i zniszczyłoby wiele sztucznych jezior tworzonych przez rybaków.

Dno Odry pokryte było setkami zatorów z pni drzewnych, na środku rzeki znajdowały się piaszczyste ławice, brzegi często bagniste porastały krzewy i trzcina. Ogromne koszty włożone w regulację rzeki, stały się też później główną przyczyną upadku przedsięwzięcia. Odra – w pierwszej połowie XIV wieku nie spełniała warunków drogi wodnej³⁾. Zdawało się, że w czasach Ferdynanda sprawa ta doczeka się rozwiązania w związku z budową kanału mającego połączyć Odrę z Łabą, ale rozpoczęta budowa nie została doprowadzona do końca, a do regulacji Odry w ogóle nie przystąpiono. Gdy więc w roku 1553 Antoni Danczko zaczął ubiegać się o zezwolenie na założenie warzelni na Śląsku, Ferdynand I nałożył nań obowiązek regulowania Odry. Danczko zgodził się na warunki cesarza. Nie będąc jednak zbyt zamożnym zorganizował spółkę akcyjną. Podział udziałów był następujący:

- 1) Antoni Danczko i Herman Schmidt z Gdańska, posiadali wspólnie trzy udziały.
- 2) Cosmus Schwabsdorf, także z Gdańska – dwa udziały.
- 3) Jorg – były dzierżawca mennicy toruńskiej – dwa udziały.
- 4) Ignatius Schulz z Gdańska – dwa udziały.

Ogółem spółka założona przez Antoniego Danczko składała się z ośmiu udziałów. Każdy z udziałowców zajął się innym odcinkiem pracy. Danczko robotami regulacyjnymi na Odrze, Schwabsdorf początkowo budową warzelni, a później produkcją. Pozostali dwaj udziałowcy dostarczaniem surowca, sprawami celnymi, transportem itd.

Najpilniejszą a zarazem i najtrudniejszą do załatwienia była sprawa regulacji Odry. Miasto Głogów zgodziło się na założenie śluzy, przez którą mogłyby przepływać barki z solą, możnowładcy natomiast zgodzić się nie chcieli. Danczko wykonywał prace wielokrotnie z narażeniem życia. Cesarz Ferdynand I usiłował coprawda wpłynąć na opornych przez stworzenie im możliwości pobierania cła po 6 srebrnych groszy od barki. Oprócz tego przyrzekł wypłacić za każdy unieruchomiony młyn po 200 guldenów. Nie odniosło to jednak skutku. Między robotnikami Danczki a ludźmi feudalów, często dochodziło wręcz do bójek, które uniemożliwiały podjęcie prac na długie tygodnie. Nie można było też skłonić, pomimo cesarskiego poparcia, właścicieli lasów nadodrzańskich, by wykarczowali drzewa nad rzeką i umocnili jej brzegi. Gdy nawet miasto np. Głogów, zbudowało wał ochronny wzdłuż niskiego brzegu rzeki, „nieznani sprawcy” często go niszczyli.

Ostatecznie pierwsza barka z solą przybyła do Wrocławia 19 kwietnia 1557 roku, co nie dowodzi wcale, że Odra w tym czasie była już spławna. Przy niektórych zaporach, barki trzeba było wyładowywać i przeciągać brzegiem. Używanie wiosel i żagli na Odrze, też nie zawsze było możliwe. Załoga barek, często zmuszona była holować je na linach.

Innym zagadnieniem były wylewy Odry przy wysokim stanie wody. Danczko dążył do tego, by możnowładcy i miasta – właściciele terenów nadbrzeżnych, zobowiązani zostali do usypiania wałów ochronnych uniemożliwiających wylewy, które znacznie utrudniały transport rzeczny. Wszystkie te bardzo pożyteczne zamierzenia, zrealizowane zostały tylko w części. Mimo to Antoniego Danczko uznać możemy za jednego z pionierów żeglugi odrzańskiej.

W międzyczasie w pobliżu Zaboru, wyrastały powoli zabudowania warzelni. Początkowo skromne. Budynek, w którym odbywać się miała produkcja, był zwykłą drewnianą szopą, obok również drewniany choć nieco lepszy budynek krył w sobie biura, mieszkania udziałowców, kuchnie i spiżarnie. Dla robotników zatrudnionych na zasadzie wolnego najmu, wybudowano nieopodal barak mieszkalny. Całość ta obramowana była parkanem.

Przy budowie zatrudnionych było stale około 15 robotników, którzy zarabiali 3 grosze dziennie oprócz wyżywienia i zakwaterowania. Zajęcia ich

ograniczały się początkowo do wyrębu lasu, ciosania belek i desek, oraz układania stosów drewna opałowego. Przygotowany budulec i drewno opałowe, zwozili na miejsce budowy chłopci okolicznych wsi, z którym warzelnia zawieriała umowę i na którego ręce przekazywała należność za wykonaną pracę. Skutkiem tego w pobliskich wioskach, wzrósł ucisk pańszczyźniany, to też poddani, ustosunkowywali się do warzelni niechętnie. Z nadejściem pierwszych transportów surowca, warzelnia rozpoczęła właściwą produkcję.

Wyładowywanie przywiezionego surowca należało do obowiązków marynarzy. Koszta wyładunku pokrywała jednak warzelnia. Za jeden laszt soli marynarze otrzymywali po 3 srebrne grosze. Jako magazyn surowca, służyła szopa stojąca tuż przy rzece. Wyładowywanie soli było pracą ciężką, ponieważ w jednej beczce⁵⁾ mieściło się netto ca 150 kg. Jeżeli barki przybywały w warunkach ciężkich (wysoki lub niski stan wody), marynarze otrzymywali „premie” w postaci beczki piwa. Za całość transportu odpowiedzialny był materialnie kapitan flotyli. Zdarzały się wypadki, że potracono mu z kosztów przewozu równowartość zauważonych braków.

Z magazynów przenoszono surowiec w koszach do warzelni. Początkowo stał tam duży płaski miedziany kocioł, zwany patelnią, wsparty o prymitywne palenisko. Dopiero później dwóch murarzy z Zielonej Góry wybudowało odpowiednie piece.

Proces oczyszczania surowca polegał na rozpuszczeniu soli w czystej wodzie, dodaniu do niej krwi bydlęcej i gotowaniu aż do skryształizowania się roztworu solnego. W rogu patelni znajdowało się naczynie do którego, po zagotowaniu się wody, spychano specjalnymi łopatami wszelkie nieczystości i szumowiny. Silnie zanieczyszczoną sól, poddawano procesowi warzenia aż do skutku. Po oczyszczeniu, pozostałą wodę zlewano do naczyn (zawierała jeszcze pewne ilości soli), a skryształizowaną sól suszono w magazynach. Dopiero po wysuszeniu przeznaczano ją do sprzedaży.

Pracowano na dwie zmiany: nocną i dzienną. Początkowo każda zmiana liczyła 6-ciu robotników i tyluż pomocników, których praca ograniczała się głównie do noszenia drewna opałowego. Później ilość robotników znacznie wzrosła. Na czele produkcji stał nadzorca wynagradzany lepiej od innych. W późniejszym okresie nazywano go mistrzem warzelniczym. Robotnicy rekrutowali się przeważnie ze zbiegłych chłopów. Były wypadki, że zatrudnieni nie chcieli podawać swego nazwiska, co zaznaczano czasem w listach płac. Wśród pracowników warzelni dużo było tzw. płynnego elementu. Należy przypuszczać, że czasową przystań znajdowali tu również przestępcy, uciekający przed wymiarem sprawiedliwości.

Obok robotników zatrudnionych bezpośrednio przy produkcji soli, warzelnia zatrudniała znaczne ilości koszykarzy, bednarzy, cieśli itp. Charakterystycznym jest, że nie najmowano do pracy rzemieślników zawodowych, zrzeszonych w cechach, lecz opierano się na chałupnikach z pobliskich wiosek. Podlegali oni nadzorowi „kierownika technicznego” – bliżej nieokreślonego mistrza pochodzącego z Gdańska. Istniejące źródła z pierwszego okresu działalności warzelni są nader skąpe i nie dają dokładnego

obrazu organizacji pracy. Nie była ona z pewnością czymś stałym, lecz w trakcie rozwoju warzelni, ulegała zmianom i ulepszeniom.

Surowiec przywożono w barkach drogą wodną ze Szczecina. Przywilej na handel solą morską posiadało dwóch zaledwie kupców szczecińskich. Oni zaopatrywali także warzelnię w pobliżu Zaboru. Transport soli zlecany był żeglarzom odrzańskim z Krosna, Frankfurtu lub Szczecina.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa pierwszy okres zamknął się bardzo nieznaczną ilością wyprodukowanej soli, którą sprzedano w Głogowie i okolicznych miastach. Udziałowcy, chcąc jednak utrzymać w mocy przywilej cesarski, wysłali jedną barkę z solą do Wrocławia w roku 1557^o). Bilans tego roku zamknięty został stratą w wysokości -4.500 talarów. Nie znaczy to bynajmniej, że produkcja soli była w tym czasie deficytowa. Towarzystwo straciło jedynie na pracach związanych z organizacją warzelni i regulacją Odry, bowiem produkcja początkowa była zbyt niska, by od razu można było pokryć wszystkie wydatki. Między udziałowcami doszło jednak do nieporozumień. Kierującego produkcją Schwabsdorfa, oskarżono o rozrzutność i niedbałą gospodarkę. Ten ostatni wytoczył proces buchalterowi warzelni o nadużycie. Proces ten toczył się przed sądem ks. Barnima w Szczecinie, który buchaltera uniewinnił. Jako świadek występował w tym procesie udziałowiec Jorg, oskarżony następnie przez Schwabsdorfa o oszustwo celne. Sąd szczeciński ks. Barnima i tym razem wydał wyrok uniewinniający.

Podwyższenie cel za przewóz soli na terenach brandenbursko-nowomarchijskich, ostatecznie przesądziło losy warzelni. W późniejszym okresie ustalono, że członkowie towarzystwa nie byli wcale ludźmi zamożnymi. Surowiec zakupili za pożyczone pieniądze, za które pokryli również nieomal wszystkie wydatki związane z budową warzelni.

Spółka założona przez Antoniego Danczko skończyła bankructwem. Jej majątek częściowo przejęli wierzyciele.

W międzyczasie, około roku 1560, powstało w pobliżu kilka innych warzelni: w Głogowie, Gubinie, Krośnie, a nawet w dalekim Drezdenku. Ta ostatnia miała zaopatrywać w sól Wielkopolskę, lecz wyprodukowała zaledwie 20 łasztów, po czym upadła.

Antoni Danczko zabiegał u dworu austriackiego o zezwolenie na zaopatrywanie w sól księstwa głogowskiego, później o zwrot kosztów włożonych w regulację Odry. Starania te pozostały bezowocne. Cesarz austriacki przyznał mu jedynie rentę w wysokości 100 talarów. Danczko wkrótce potem zmarł.

Jak już wspominaliśmy uprzednio, jedynie dwóch kupców szczecińskich posiadało przywilej handlu solą morską. Byli to: bracia Leitz oraz Andrzej Lindholz. Szczególnie bracia Leitz utrzymywali rozległe stosunki handlowe. Usiłowali oni opanować teraz handel solny na Śląsku. Proponowali cesarzowi austriackiemu udzielenie poważnej pożyczki oraz opodatkowanie jednego łasztu soli wpierv dwoma, a potem aż czterema talarami, na rzecz cesarza. Stany oraz kupiectwo śląskie energicznie się jednak temu przeciw-

stawilo. Dwór cesarski skłonny był przyjąć propozycję braci Leitz, jednakże cesarz, nie był w stanie przeprowadzić swoich planów solnych.

Sól warzona nie cieszyła się wówczas wśród ludności śląskiej popularnością. Jak wynika z jednego ze sprawozdań, wysyłanych przez komórkę głogowską do Wiednia – ludność domagała się (Pollagken salt) – soli polskiej, mimo iż była ona droższa. Kto wie, czy to właśnie nie stało się przyczyną upadku warzelni towarzystwa. Na to wskazywałoby również między innymi to, że w dokumencie z 1555 roku, cesarz Ferdynand zezwolił warzelni również na handel solą luneburską. A zatem albo przedsiębiorcy zakładali, że produkcja warzonki nie wystarczy na potrzeby Śląska, albo nie znajdowała ona chętnych nabywców. Lekarze śląscy byli np. zdania, że warzonka jest szkodliwa dla zdrowia i że można z niej korzystać jedynie wówczas, gdy doda się do niej w czasie warzenia pewną ilość krwi bydłej.

Historycy niemieccy twierdzili natomiast, że popularność soli polskiej na Śląsku była wynikiem niskiego poziomu umysłowego społeczeństwa, oraz zakorzenionych zabobonów).

W 1562 roku cesarz postanowił zmonopolizować handel solą morską. Już przedtem z jego polecenia zaczęto przeprowadzać badania nad rentownością warzelnictwa. Wyniki ich były na ogół pozytywne. Dlatego zwlekano z udzieleniem zezwolenia właścicielowi Zaboru von Tschammerowi i Jorgowi – byłemu akcjonariuszowi towarzystwa Antoniego Danczki, na dalszą produkcję, mimo iż Danczko scedował na nich swój przywilej. Wreszcie urząd cesarski postawił warunek, że jeśli von Tschammer i Jorg pokryją całkowicie zapotrzebowanie Śląska na sól, a za ćwierć soli nie będą pobierać więcej jak 6 groszy, wówczas mogą liczyć na zatwierdzenie przywileju. Teraz z kolei wspólnicy zwlekali z odpowiedzią. Byli oni faktycznymi posiadaczami warzelni, z jej produkcji starali się pokryć teraz sumy pożyczone swego czasu towarzystwu. Wkrótce potem założyli warzelnię w Krośnie Odrzańskim.

Warzelnictwo soli zostało upaństwowione. W Szczecinie powołano faktorię, która miała zakupywać przywożoną sól i magazynować odpowiednie rezerwy surowcowe.

Warzelnię założoną przez Danczkę, wykupiono z rąk obecnych właścicieli. Projekt nabycia Zaboru od von Tschammera, nie doszedł do skutku. Chcąc uniemożliwić rozpoczęcie produkcji, Tschammer nie zgodził się na zaopatrywanie warzelni w drewno opałowe. Trudności te skłoniły urząd głogowski do szukania nowego miejsca, bogatego w opał (w pobliżu lasów cesarskich), w którym możnaby nową warzelnię zlokalizować. Sprawę tę powierzono komisarzowi cesarskiemu von Braunowi. Jego wybór padł na tereny leżące niedaleko Modrzyc. Trudność jednak polegała na tym, że cesarz oddał je niedawno na dłuższy okres czasu w zastaw, ponadto ciążyły na nich liczne serwituty. Badając sprawy na miejscu von Braun i jego towarzysze, dziwili się nazwom granicznym, takim jak: Surawitz, Kotaline, Stasinewald, Batschen, Niwe, Malachow, Krotoschine, Podlas, Radlieske, Bagniske, Burke, Kopenze, Kaotzurę, Obschitzen, Patzesken, Staduńsky,

Struge, itp. By zorientować się w uprawnieniach chłopów do korzystania przez nich z lasów i łąk nadodrzańskich, rozpytywali chłopów o równie dziwnych, niespotykanych w Austrii nazwiskach: Jakub Silski, Andrzej Januche, Jan Reke, Marcin Chlewe, Jerzy Król, Jan Wojtyła, Lorenz Chudy, Marcin Kaotzschalka, Szymon Tschacha i innych.

Chłopi nie byli uradowani nowymi przybyszami i okazywali im wręcz jawną nienawiść, którą później przenieśli także na warzelnię.

Mimo, iż sprawy prawne nie zostały jeszcze załatwione, rozpoczęto budowę warzelni. Budynek wznoszono prymitywne i wyłącznie drewniane. Dla robotników zatrudnionych przy budowie, wzniesiono domek drewniany o dług. 14 łokci, podobny do budy jarmarcznej. Tuż nad samym brzegiem Odry, stanęła warzelnia. Miała ona również charakter tymczasowy. Urządzenia wewnętrzne przywieziono ze starej warzelni z Zaboru. Na czele zakładu i całego handlu solą na Śląsku stał naczelnik (Oberamtsmann). Stanowisko to nie było jednak początkowo obsadzone. Planowano zatrudnić około 100 osób, lecz ostatecznie kierownik warzelni zadowolili się musiał znacznie mniejszym personelem. Oprócz robotników zatrudnionych bezpośrednio przy produkcji, ilość personelu nie przekraczała liczby 10 osób. Urzędnicy administracyjni wynagradzani byli 40-60-cioma talarami rocznie.

Koszty wybudowania nowej warzelni, były niezmiernie niskie. Nieomal wszystko zrobić musieli okoliczni chłopi. Ogólny koszt budowy, zamknął się sumą 400 talarów. Urzędnicy fiskalni byli zdania, że warzelnia ma przynosić wysokie zyski przy najniższych kosztach.

W połowie 1563 roku, stały już pierwsze zabudowania. Nowa warzelnia podobnie jak towarzystwo Antoniego Danczki, spotkała się z niechęcią ludności i magistratu koźuchowskiego. Zdołano jednak dojść z nimi do porozumienia. Inaczej przedstawiała się sprawa z właścicielami ziemskimi Rothenbergami i Schöneichami.

Rothenberg – właściciel Otynia, władał nadodrzańskimi lasami na podstawie zastawu, za udzieloną cesarzowi pożyczkę. (Zastaw ten wygasł dopiero po 15 latach). Sprzeciwiał on się powstaniu warzelni i zabraniał wycięcia lasów, a chłopów, którzy zgłosili się do pracy, wtrącał do więzienia. Dopiero po dwóch latach doszło do ugody między nim, a dworem cesarskim. Fabian von Schöneich kupił sobie do końca z zarządzeń cesarskich, władz Głogowa i Wrocławia.

Pierwszy transport surowca nadszedł do nowej warzelni 4. X. 1563 r. a 13 listopada tegoż roku, pierwszy transport gotowej soli opuścił warzelnię. Zakładano, że modrzycka warzelnia dostarczy rocznie co najmniej 3.000 łasztów soli, a suma zysków zamknie się kwotą ca 60.000 talarów.

Planowano, że przedsiębiorstwo to zaopatrzy w sól cały Dolny Śląsk i część Łużyc. Górny Śląsk z powodu trudności transportowych miał być w dalszym ciągu zaopatrywany w sól z Wieliczki. Po roku produkcji sprawozdanie komory wrocławskiej wymienia 10 kotłów (początkowo było ich 7). Spodziewanych dochodów nie można się jednak było doczekać. Przez

ostatni kwartał 1563 r. i cały 1564 rok, zużyto zaledwie 148 łasztów surowca. Za sprzedaną sól otrzymano 6.100 guldenów. W roku następnym produkcja wzrosła na 415 łasztów za co otrzymano 16.290 guldenów. W roku 1566 – 892 łaszty, a później produkcja utrzymywała się w granicach 700 – 750 łasztów. Wartość rocznej produkcji nie przekraczała 29.000 guldenów. W roku 1570, a także w następnych latach, przerób surowca spadł do 485 łasztów.

Z jednego łasztu surowca produkowano przeciętnie 31 szefli soli jadalnej (około 2325 kg). Zdobycie surowca, nie było bynajmniej rzeczą łatwą. Poza tym warzelnia krośnieńska konkurowała skutecznie z warzelnią śląską, korzystając z licznych ulg celnych, a nawet z poparcia kupiectwa frankfurckiego, które nie chciało dopuścić do rozwoju przemysłu solnego na Śląsku. Warzelnia krośnieńska produkowała sól znacznie taniej i przeznaczała ją na Śląsk. Wywołało to protesty dworu austriackiego, które jednak żadnych doraźnych skutków nie miały. Niezależnie od tego ludność Śląska bardzo niechętnie używała soli warzonej.

Władze brandenburskie i pomorskie zgodziły się na obniżenie cła przewozowego, zadowalając się ryczałtem rocznym. Gorzej było z miastami – Kostrzyniem, Frankfurtem i Krosnem Odrzańskim. Lecz i one po pewnym czasie poszły na ustępstwa.

Koszty handlowe kształtowały się następująco: za surowiec płacono przeciętnie à 10 talarów za łaszt. Transport ze Szczecina do warzelni – 5 talarów za łaszt. Cło, opłaty miejskie (prawo składu) we Frankfurcie, Krośnie i Szczecinie oraz amortyzacja statków i beczek, przeciętnie 8 talarów i 11 srebrnych groszy. Do tego dochodziły koszty produkcji 4 guldeny i 26 srebrnych groszy. Łaszt soli sprzedawano za 39 guldenów i 8 srebrnych groszy. Czysty zysk wynosił przeto 11 guldenów i 1 grosz. Jak widzimy więc, zysk był dosyć duży i przy dostatecznej ilości surowca, warzelnia mogła dawać znaczne dochody. Surowca jednak zawsze było mało.

Obok warzelni, która otrzymała nazwę „Der Saltzhaus zu Moderitz” wybudowano karczmę i browar. W połowie 1572 roku silny huragan zniszczył większość zabudowań powstającej osady. Już poprzednio wylew Odry dosłownie zabrał ze sobą niektóre domy. Prymitywna i szybka budowa, zemszczyła się teraz.

Po reorganizacji warzelnictwa, która miała charakter raczej administracyjny, stosunki ze Szczecinem nie układały się zbyt dobrze. Dlatego też obok fraktorii szczecińskiej, założono drugą w Hamburgu. Stamtąd częściowo drogą wodną przez Łabę i jej dopływy, częściowo wozami, postanowiono dostarczać surowiec.

Okoliczne wioski, zostały wykupione z rąk dotychczasowych posiadaczy i poddane zostały warzelni, która powoli zaczęła urastać do ośrodka administracyjnego. Powołano tu także urząd wójta płatnego 24 groszy na tydzień, czyli tak jak mniej więcej zarabiali robotnicy zatrudnieni bezpośrednio przy produkcji. Obersalzamtmanowi podlegały teraz dwie warzelnie – Modrzycka i Gubińska, mimo, iż każda z nich pracowała na własnym rozrachunku. Obie warzelnie zobowiązane były przedkładać co kwar-

tał sprawozdania komorze wrocławskiej. Wydano też odpowiednie zarządzenie mówiące o zwalczaniu soli importowanej, przeważnie polskiej. Sól tej nie wolno było sprzedawać w Głogowie, Kozuchowie i innych miastach, miano również ograniczyć znacznie jej przywóz. Produkcja modrzycka widocznie nie zaspokajała zapotrzebowania na sól. Zabroniono także niszczyć biały popiół drzewny, tzw. potasz uzyskiwany przy produkcji w dużych ilościach. Instrukcja polecała pakować go do beczek i odsyłać do portów, gdzie znajdował chętnych nabywców.

Odbudowa zniszczonych klęskami żywiołowymi zakładów warzelniczych, przeprowadzana była teraz już z większą starannością. Wokół zakładu wyrosły domy dla robotników, kierownictwa, karczma, więzienie i magazyny soli. Dostawa surowca w dalszym ciągu kulała. Z Hamburga soli się nie doczekano. Pewną ilość dostarczyli kupcy gdańscy. Dopiero około roku 1580, produkcja soli znacznie wzrasta.

Miasta Głogów i Kozuchów, mimo, że otrzymały w swoim czasie polecenie cesarskie by zaopatrywać się wyłącznie w sól modrzycką, nie miały zamiaru polecenia tego wykonywać. Specjalna komisja cesarska wysłana do modrzyckiej warzelni, ustaliła, że w magazynach Kozuchowa, Głogowa, Góry Śląskiej, Polkowic, Świebodzina i Szprotawy, znajduje się sól polska. Próby porozumienia się z tymi miastami nie doszły do skutku. Proponowano wspomnianym miastom, by 2/3 zapotrzebowania na sól zaspokajały w Modrzycach, a 1/3 według własnego uznania. Propozycja ta również została odrzucona. Wreszcie cesarz Rudolf zagroził konfiskatą znajdującej się w magazynach soli polskiej i to dopiero zmusiło miasta do pozornego przynajmniej podporządkowania się cesarzowi.

W roku 1585 Obersalzamtmanem został Daniel Preuss, który w znacznej mierze przyczynił się do rozwoju warzelni. Za jego czasów zaczęła wreszcie napływać sól z Hamburga. Na ogół jednak nie produkowano w tym czasie zbyt wielkich ilości soli. Jedynie około 500 łasztów rocznie. W tym też czasie warzelnia otrzymała nazwę „Neusalzburg”.

W 1590 roku nowosolska warzelnia była przedsiębiorstwem pleno tytułu poważnym. Obroty jej wynosiły 107.470 guldenów, z czego czysty zysk – 48.758 guldenów. Krąg nabywców, dzięki energicznym zarządzeniom dworu cesarskiego powoli się rozszerzał. Głogów jednak w dalszym ciągu nie kupował modrzyckiego produktu, próbował nawet bardzo energicznie zwalczać próby bezpośredniego rozprowadzania soli po wioskach. Dochodziło do zatrzymywania wozów z solą modrzycką na drogach, bicia furmanów i rozrzucania całego ładunku.

W roku 1592 Rudolf II wystosował do Rady Miejskiej Głogowa pismo, w którym zarzuca miastu, że w dalszym ciągu zaopatruje się w sól zagraniczną. Równocześnie zawiadomił miasto, że sprawa ta została przekazana wyposażonemu w odpowiednie kompetencje Obersalzamtmanowi.

Głogów a także inne miasta, posiadające przywileje na handel solą z dawnych lat, nie przestraszyły się jednak cesarskich pism. Magazyny soli były najczęściej wydzierżawiane kupcom, którzy w swoim własnym interesie

sie dbali o to, aby warzelnia nie robiła interesów przynajmniej w zasięgu immunitetu miejskiego. W Głogowie, np. obłożono cłem każdy przejeżdżający wóz z warzonką. Gdy stwierdzono, że wysłannik warzelni rozprowadza sól na terenie wiosek miejskich, aresztowano go, konie konfiskowano, a wóz bez ładunku zabezpieczano do czasu porozumienia się stron.

Cesarz nie był w stanie przełamać uporu miast, które znajdowały dostateczną ilość argumentów prawnych, wobec których kontrargumenty cesarskie były zbyt słabe. Tak samo miała się sprawa z zaporami wodnymi na Odrze. Moźnowładcy i miasta byli w posiadaniu odpowiednich przywilejów, otrzymanych od cesarzy, klauzulą „Na wieczne czasy”, które nadały im prawo budowania zapór z którego rezygnować nie mieli zamiaru. Uprawnienia te można było jedynie dobrowolnie wykupić, jednak czynione w tym kierunku kroki większych rezultatów nie dały.

Stany Śląskie ulegając presji uznały, że dochody z handlu solą stanowią własność cesarzy (1574). Zaczął się więc monopol solny, szczególnie po zarządzeniu Rudolfa II z roku 1580, w którym ustalił, jak już podawaliśmy, że 2/3 zapotrzebowania na sól pokrywane ma być z warzelni cesarskich. W międzyczasie jednak wzrosły znacznie ceny surowca, co automatycznie podniosło cenę warzonki. Sól polska okazała się więc tańszą, a co za tym idzie wzrósł znacznie przemysł soli polskiej na Dolny Śląsk.

W roku 1668 otwarty został kanał łączący Odrę ze Sprewą i transport surowca solnego z Hamburga drogą wodną, stał się możliwy. Nie poprawiło to jednak zaopatrzenia warzelni, ani też nie obniżyło kosztów soli. Doszło do tego, że dochody warzelni spadły nieomal do zera. Wobec permanentnego braku soli z jednej strony i kwitnącego przemysłu soli polskiej, z drugiej, cesarz w roku 1683, wydał zezwolenie na importowanie soli polskiej, ustalając dla siebie odpowiedni udział w zyskach, z których po kilku latach zrezygnował. W roku 1700, wolny handel z Polską, został ponownie zakazany. Przyczyną było chyba zawarcie traktatu handlowego z Brandenburgią na dostawę odpowiednich ilości soli. Warzelnia cesarska stała się właściwie teraz hurtownią soli brandenburskiej. Obok soli kopalnej, sprowadzanej za pośrednictwem kupców frankfurckich, importowano także jeszcze sól zanieczyszczoną. Mimo ułatwień celnych i innych udogodnień jakich teraz brandenburczycy nie szczędzili, ilość sprowadzanego surowca nie przekraczała 400 łasztów rocznie.

Statki z solą jadalną nie były prawie wcale poddawane kontroli celnej, co doprowadziło z kolei do niebywałego dotąd przemysłu. Handel z Brandenburgią nie miał jednak cech trwałych. Co prawda w roku 1703 doszło do odnowienia traktatu handlowego, lecz już w roku następnym wrócono do zasady wolnego handlu i znów sól polska była bezkonkurencyjną.

Przylączone zostały do warzelni wioski cesarskie: Przyborów, Kieřcz, Rudno, Modrzyce⁸⁾. Wioski te na ogół biedne, rządziły się dawnymi podobno jeszcze polskimi prawami⁹⁾. Z chwilą uruchomienia warzelni, mieszkańcom tych wsi przybyły nowe obowiązki pańszczyźniane, ponieważ siła robocza warzelni oparta była właśnie na pańszczyźnie. Wyładowywanie

barek, transport soli z brzegu Odry do magazynu¹⁹), wyrąb lasów, zwózka drewna, opałowego i transport gotowej soli do odległych nieraz miejscowości, oto najważniejsze z nowych obowiązków chłopskich. Równocześnie, ograniczono chłopom serwituty (prawo korzystania z lasów, łąk i rybołówstwa), co było przedmiotem stałych zatargów między władzami warzelni a okolicznym chłopstwem. Sprawy te zostały uregulowane dopiero w pierwszej połowie XIX wieku.

Ogólnie rzecz biorąc, przyłączenie okolicznych wiosek było dla warzelni rzeczą bardzo pożyteczną. Urosła ona (jak mówiliśmy poprzednio) do miary pewnego ośrodka administracyjnego, co przyczyniło się do jej rozwoju. Mimo iż wszystko było tu początkowo podporządkowane produkcji, na terenie tym zaczęli osiedlać się rzemieślnicy i kupcy nie związani z warzelnią. Przy końcu XVI wieku, w Nowej Soli mieszkało (pod uwagę bierzemy tylko rzemieślników:

krawców	— 4
kowali	— 3
piekarzy	— 2
cieśli	— 2
warzelników	— 1
szewców	— 1
bednarzy	— 1
rybaków	— 1
rzeźników	— 1
żeglarzy	— 1

Razem mistrzów — 17

Należy przyjąć, że każdy z mistrzów zatrudniał na pewno jednego czeladnika i jednego ucznia. Z liczby tej jedynie warzelnik związany był bezpośrednio z pracą zakładu. Pewne prace na rzecz warzelni wykonywać mogli także kowale, cieśle, bednarze i żeglarz. W powyższym wykazie nie figuruje piwowar, a wiadomo, że warzelnia posiadała przywilej cesarski upoważniający ją do warzenia piwa i prowadzenia karczmy. Jest również pewne, że chłopci okolicznych wiosek w tym czasie także trudnili się rzemiosłem. Oni to właśnie w ramach obowiązków pańszczyźnianych pracowali dla warzelni.

Powoli nazwa pierwotna „Zum Neuen Saltze bei Modaritz” zaczęła się zacierać. W jakiś czas później, nazywano osadę warzelników — „Neu Saltz Burg”, wreszcie krótko „Neu Saltz”. Nazwa ta przetrwała do roku 1945.

W roku 1591 zbudowany został w Nowej Soli kościół protestancki. Nowa Sól liczyła wtedy niewiele ponad 250 osób, nie licząc okolicznych wsi służebnych. W roku 1719, wybudowano wiatrak i kilka domów dla chłopów i komorników.

Jak więc widzimy, Nowa Sól w swoich pierwszych 150 latach, była jedynie osadą o charakterze przemysłowym i rozwijała się, pomimo bardzo dogodnych warunków, powoli.

Najstarsza księga kościelna chrztów i ślubów, podaje ciekawe cyfry, które potwierdzają powyższe tezy. Chrzty i śluby na przestrzeni około 30 lat, dają powien pogląd na sprawy demograficzne i ludnościowe.

Rok	Śluby	Chrzcziny
1598	2	5
1599	3	6
1600	3	7
1601	2	4
1603	3	10
1606	1	5
1607	3	7
1608	1	6
1611	1	6
1612	5	—
1624	8	9

Wojna trzydziestoletnia zahamowała przyrost ludności w osadzie nowosolskiej. W 1631 roku w wyniku zarazy zginęło około 100 osób. Śmiertelność po 1625 roku, wynosiła przeciętnie około 10 osób rocznie. Pogląd na dalszy rozwój osady i wzrost liczby jej mieszkańców daje poniższe zestawienie.

Rok	Ilość mieszkańców
1600	100
1743	800
1791	1503
1800	1800
1864	4881
1868	5109
1890	9075
1914	13474
1929	16459

Właściwy rozwój Nowej Soli datuje się z czasów późniejszych – XVIII wieku. W roku 1743 kiedy osada przekształcona została w miasto, liczyła niecałe 100 domów. Sól dała miastu początek, lecz do jego rozwoju przyczynił się w pierwszym rzędzie przemysł metalurgiczny (ruda darniowa) i lniany. Nie bez wpływu na rozwój miasta pozostali Bracia Czescy, którzy w połowie XVIII wieku, osiedlili się tu. Sprawy te wykraczają jednak poza ramy niniejszego artykułu.

Wracając do cesarskiej warzelni, widzimy, że początek XVIII wieku, przynosi właściwie jej upadek. Import soli ustalono na 1000 łasztów. Wkrótce jednak zapotrzebowanie okazało się większe. Zaopatrywanie Śląska w sól polską, z powodu trudności transportowych, upadło. W 1706 roku

przedłużono traktat handlowy z Brandenburgią na dalsze 20 lat. Zakaz importu soli polskiej zawarty w patencie Rudolfa IV z roku 1713, wyparł ostatecznie sól z Wieliczki z rynków śląskich. Władze austriackie chciały tą drogą unieważnić przywileje szlachty śląskiej, która zaopatrywała się w sól w Wieliczce, nie opłacając cla ani dodatkowych opłat wynikających z cesarskiego monopolu solnego, ani też związanych z nim podatków pośrednich. W roku 1710 rachunki warzelni nowosolskiej nie wykazują już żadnych operacji z warzonką. Tak więc solny epizod pozostawił po sobie trwały ślad w postaci znanego dziś szeroko miasta przemysłowego.

W szeregu miejscowości wzdłuż Odry powstały liczne magazyny soli brandenburskiej. Miały one charakter pomocniczy. Znajdowały się one w Cigacicach, Stanach k. Kozuchowa, Bytomiu Odrzańskim, Głogowie, Wilkowie k. Głogowa i Prochowicach k. Legnicy. Poza tym istniały składnice: w Nowej Soli, Chobienii, Lubiążu, Ścinawie, Malczycach i Wrocławiu.

Oprócz soli brandenburskiej, południowo-wschodnia część Śląska, zaopatrywana była w sól węgierską.

W 1710 roku, odebrany został Szczecinowi stary przywilej handlu solą morską. W 1723 roku władcy Brandenburgii zakazali transportowania tej soli przez swoje terytorium. Miało to na celu umocnienie pozycji kupiectwa brandenburskiego i zapobieżenie warzelnictwu. Upadek miast w Polsce i idący za tym zastój życia gospodarczego, sprzyjał podbojowi Śląska przez Brandenburgię.

* * *

Wkład ludu polskiego i polskich sił gospodarczych w powstanie i rozwój Nowej Soli jest znaczny. Gdańszczanin Danczko był założycielem warzelnictwa na Śląsku, Gdańsk był dostawcą urządzeń warzelniczych i pokaźnych ilości surowca, polski wreszcie chłop z Modrzych, Rudnej, Przyborowa, Kielcza i innych okolicznych wiosek wznosił własnymi rękoma pierwsze fundamenty miasta. Wśród władz miejskich Nowej Soli w XVIII w. spotykamy także jeszcze liczne nazwiska pochodzenia polskiego jak: Bleschka, Jenkwicz, Pirscher, Wende, Mache, Waintzik, Pornisch, Semlin i wiele podobnych. Ich polskie nazwiska z czasem zostały zniemczone, co stwierdzić można w spisach władz miejskich i księgach adresowych, lecz mimo to brzmieć one będą obco dla każdego Niemca, tak jak brzmiały w XVI w. w uszach von Brauna.

PRZYPISY

- 1) Dokument Henryka Brodatego z kwietnia 1211 r.: „W imię świętej nierozdzielnej Trójcy Henryk z Bożej łaskawości książę Śląska. Wszystkim wiernym tak współczesnym jak przyszłym, chcemy aby było wiadome, że my, za radą i zezwoleniem pana Wawrzyńca, biskupa wrocławskiego nadajemy świętej Marii w Lubiążu wolną na zawsze dziesięcinę w Lignicy z całego pola Sławno, dla zbawienia naszej duszy, w ten sposób, aby czy to nasze, czy naszych synów i spadkobierców, czy kogokolwiek innego pole orne tam było, zawsze dziesięcina z niego była w całości płacona klasztorowi Lubiążkiemu. Oprócz tego, dajemy temuż klasztorowi 14 kamieni wosku, dla zbawienia duszy ojca naszego, aby przy grobie jego w dzień i w noc wosk gorzał. To postanawiając, aby zawsze ten wosk był płacony (z monety) w Legnicy. Pozwalamy ponadto braciom Lubiążkim, aby raz w roku swobodnie udawali się dwoma okrętami na Pomorze po śledzie i dwa razy w roku także dwoma okrętami po sól do Gubina i Lubusza, bez cła przez całą ziemię i władztwo nasze, dodając rozumie się, że jeżeli nie chcieliby lub nie mogli jechać okrętami, pozwalamy zarządcy każdego dworu jechać po sól 40 wozami, także bez cła przez całą naszą ziemię i tak, aby jeśli który nie ma tyle wozów naraz, jechał dwa lub trzy razy, nie przekraczając tej liczby wozów. Więc aby to wszystko pozostało ważne i niezmienione tę (kartę) kazaliśmy spisać i naszą a zarazem i pana biskupa pieczęciami opatrzyć.

Datowane roku od narodzenia Pana 1211
w Rokitnicy, 15 kwietnia, w obecności pa-
na Pawła, wybranego na biskupa poznań-
skiego i wielu innych szlachetnych, tak du-
chownych jak i świeckich”.

- 2) Dokument z 5 grudnia 1553 r. Ferdynand I wydał Antoniemu Danczko przywilej na założenie warzelni soli na Śląsku. Produkcja warzelni miała być oparta na surowcu przywożonym z Francji, tzw. zanieczyszczonej soli morskiej. Na mocy tego przywileju, mógł wspomniany sprowadzać surową sól Odrą na miejsce gdzie została zlokalizowana warzelnia, produkować sól jadalną i rozprowadzać ją. Produkcja warzelni miała pokryć całkowicie zapotrzebowanie Śląska na sól. Wspomnianym wyżej dokumentem, udzielił cesarz przedsiębiorcy i jego współnikom prawo wyłączności na 15 lat. Od 1 łaszt soli (łaszt okrętowy – ok. 2,5 tony), miała warzelnia płacić po talarze podatku z wyjątkiem pierwszych 3 lat. Dokument tracił swoją moc, jeżeli w przeciągu dwóch lat, przedsiębiorca nie przystąpi do produkcji.
- 3) Król Czeski – Jan Luksemburczyk – wydał w roku 1337 rozporządzenie dotyczące utrzymania koryta Odry w odpowiedniej szerokości, uniemożliwiającej żeglugę, ponieważ jak z dokumentu wynika, rzeka jest w wielu miejscach niespławna. Rozporządzenie to nie zostało w praktyce wykonane.
- 4) Jeszcze w XIX w. z dna Odry wyłowiono duże ilości pni dębowych. W latach 1816–1875 wydobyto ich ponad 28.000 sztuk.
- 5) Łaszt okrętowy – ca 2500 kg – 16 beczek zwykłych – 12 beczek lubeckich. Beczka zwykła – 4 szefle. Szefel – 37,5 kg. Beczki lubeckie służyły wyłącznie do przewożenia soli czystej.
- 6) W 1555 roku, cesarz Ferdynand I przedłużył termin rozpoczęcia produkcji o dalsze 2 lata.

- 7) Schulz Wilhelm Grotthald – Zum Neuem Saltze, Nowa Sól 1926 str. 84 „Der Gemeinde und der Brauersmann bevorzugte ohne-dies aus Aberglauben „der Pollagken Salz” wie der Kammerbericht klagt „wenn sich auch dass Seesalz billiger stellte”.
- 8) Do warzelni dołączono także obszar ziemi zwany „kożuchowską wolnizną”. Teren ten odpadł od księstwa żagańskiego w roku 1525. Ciągnął się wzdłuż Odry wąskim pasmem od 0,5 do 1 mili na przestrzeni 5-ciu mil.
- 9) Schulz W. G. op. cit.
- 10) Odra zmieniła w międzyczasie swoje koryto. Odległość magazynów od brzegu była znaczna. Surowiec przewożono na taczkach. Praca ta należała do obowiązków pańszczyźnianych.

Z dziejów
wschowskich
cechów
pod koniec
XVIII wieku

Jedno z najstarszych miast w Polsce – Wschowa, leżąca na rozległej równinie w pasie granicznym pomiędzy południowo-zachodnią Wielkopolską, a północno-zachodnią częścią Dolnego Śląska, początkami swymi sięga odległych wieków. Jeżeli bowiem już w roku 1136 bulla papieża Innocentego II wymienia Wschowę jako jedną z posiadłości diecezji gnieźnieńskiej mamy prawo sądzić, że osada, której rozmiarów ani wielkości bulla nie podaje, została założona wcześniej.

Znaczenie samej nazwy „Wschowa”, której pochodzenie słowiańskie zdaje się nie budzić żadnej wątpliwości, jest do dziś niejasne.

W okresie feudalnego rozdrobnienia dzielnicowego Polski, zapoczątkowanego testamentem Bolesława Krzywoustego (1138), ziemia wschowska stała się terenem ścierania się wpływów książąt wielkopolskich i śląskich. Żyzna ziemia wschowska była łakomym kąskiem dla trudnej do zaspokojenia pożądlivości ziemi i władzy książąt feudalnych. Nie jest wykluczone, że pierwszy dziedzic Wielkopolski, syn Bolesława Krzywoustego – Mieszko Stary, dla pozyskania tak cennego nabytku, jakim była by dla Wielkopolski Wschowa, obdarował ją przywilejem książęcym.

Rozwijające się miasto, oscylując pomiędzy wpływami śląskimi i wielkopolskimi, nabiera w XIII wieku dość dużego znaczenia. Wiąże się to zapewne z faktem otrzymania praw miejskich, który nastąpił prawdopodobnie około połowy wieku; plan bowiem oraz układ urbanistyczny wykazują, że lokacja nastąpiła przed rokiem 1273. Pod koniec tego stulecia (1289) Wschowa była grodem kasztelańskim. W dziesięć lat później, po ostatecz-

nym zwycięstwie wpływów śląskich, Wschowa została włączona przez księcia Przemysława do księstwa głogowskiego. W tym związku pozostała ona do roku 1322, kiedy Władysław Łokietek, realizując ideę zjednoczenia całego królestwa przyłączył Wschowę do państwa polskiego.

W trudnych i ciężkich walkach o całość ziem polskich nie zdołał jednak Łokietek utrzymać Wschowy. Przekazawszy ją, przez małżeństwo swej wnuczki Konstancji Świdnickiej z księciem głogowskim Przemysławem II, z powrotem księciu głogowskiemu, nie mógł Łokietek zapobiec odsprzeda- niu miasta przez następcę wiernego Polsce Przemysława II – Jana ze Sci- nawy – królowi czeskiemu Janowi, pretendentowi do korony Polski.

W czasie wyprawy na Śląsk w roku 1332 nie zdołał Łokietek odbić Wschowy. Dokonał tego dopiero syn jego Kazimierz Wielki, zdobywając miasto w roku 1343. Zapoczątkowało to zaostrenie się stosunków z Czechami. Dotychczasowy bowiem władca Wschowy, książę zagański Henryk V, udał się „pod opiekę króla czeskiego, swego pana lennego, i złożywszy mu ponownie hołd otrzymał przyrzeczenie, że otrzyma z powrotem ziemie zabrane mu przez Kazimierza”¹⁾).

Gdy zaś do sprawy wschowskiej dołączyła się realna możliwość przerwa- nia istniejących dotąd związków zależności biskupstwa wrocławskiego, od arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, o co zabiegali Luksemburgowie, uzy- skawszy od przychylnego im papieża Klemensa VI zezwolenie na utworze- nie arcybiskupstwa w Pradze, stało się oczywiste, że konflikt musi wybuch-nąć. Sprzymierzeńcem Kazimierza Wielkiego w walce o Śląsk był najpotęż- niejszy z ówczesnych Piastów Śląskich książę Bolko Świdnicki, jedyny, któ- ry dotąd nie złożył hołdu lennego Czechom. W czasie walk, które nie przy- niosły żadnej ze stron rozstrzygnięcia, Kazimierz szukał porozumienia z in- nymi książętami piastowskimi dzielnic opolskiej. Ostatecznie, wskutek komplikującego się położenia międzynarodowego w związku z objęciem tronu cesarskiego przez Karola IV, zarazem króla Czech, Kazimierz uznał dalsze prowadzenie wojny za zbyt ryzykowne i zawarł z Karolem pokój w Namysłowie Śląskim, 22 listopada 1348 roku.

Próba odzyskania Śląska mieczem doznała niepowodzenia. Wschowa jednak utrzymała się przy Polsce, dając liczne dowody wierności Kazimie- rzowi przez cały czas trwania wojny. Nagrodił ją też król hojnymi przy- wilejami. Miasto otrzymało wieś Przyczynę Górą, prawo wyrębu w lasach królewskich i co najważniejsze wolność od cel w całej Polsce. Ten ostatni przywilej położył podwaliny rozwoju miasta, jako ważnego ośrodka handlo- wo-przemysłowego. Już bowiem w tym samym stuleciu sukiennicze wyroby wschowskie, były towarem poszukiwanym przez kupców zagranicznych. Wy- syłano je bezpośrednio na Ruś, lub też za pośrednictwem kupców gdań- skich dostawały się na okręty Związku Hanzeatyckiego i płynęły do Nowo- grodu Wielkiego, gdzie sprzedawano je, zgodnie z zobowiązaniem z roku 1385, na równi z suknem niderlandzkim.

Sukiennictwo stało się jednym z głównych zajęć mieszkańców Wschowy i podstawą rozkwitu miasta. „Data początkowa rozwoju tkactwa weł- nianego nie jest znana. W potwierdzeniu praw mieszczan wschowskich

przez Władysława Jagiełłę, w roku 1404, jest mowa o foluszu we wsi Przyczyna, która była w posiadaniu miasta od roku 1273".³⁾

Normalny proces rozwoju miasta w oparciu o przywileje królewskie zakłócony został w roku 1383 zbrojnym napadem księcia głogowskiego Henryka VII Rumpolda, który próbował zdobyć Wschowę. Otrzymawszy jednak krwawą odprawę zmuszony został do zrezygnowania ze swych zamiarów.

W okresie panowania pierwszych Jagiellonów Wschowa, jako stolica wyodrębnionej Ziemi Wschowskiej, otrzymała prawo wyboru burmistrza i rady miejskiej (złożonej z 12 rajców, z 10-letnim okresem urzędowania), podnosząc tym wydatnie swoje znaczenie wśród pozostałych miast w Polsce. Straszliwy pożar, jaki strawił miasto w roku 1435 na krótko tylko zahamował jego rozwój. Zasobni mieszkańcy szybko odbudowali miasto, zabezpieczając je murami obronnymi o dwóch bramach: południowej, zwanej głogowską, rozebranej w roku 1801, oraz północnej, zwanej polską, której ocalałą wieżę obronną włączono w roku 1604 jako dzwonnice do zbudowanego wtedy kościoła ewangelickiego.

W roku 1474 Wschowa została wciągnięta w wir wypadków wojennych, w wojnie Kazimierza Jagiellończyka z królem węgierskim Maciejem Korwinem, pretendentem do korony czeskiej, obok kandydatury do tejże korony syna króla polskiego. Polem starcia dynastycznych ambicji stał się Śląsk. Kilkuletnie walki, w czasie których Maciej dotarłszy pod Wschowę nadaremnie próbował ją zdobyć, przyniosły Kazimierzowi same niepowodzenia i przesądziły definitywnie o losach Śląska na rzecz korony czeskiej.

Przejęciowe trudności polityczne nie zahamowały jednak rozwoju gospodarczego miasta. „W ciągu piętnastego wieku sukiennictwo wschowskie wybiło się na czołowe miejsce w kraju. Sądzić o tym możemy głównie na podstawie stanu następnego stulecia, gdyż podobnie jak z wielu innych miast polskich, źródła ówczesne są w tym zakresie bardzo niedostateczne".⁴⁾

Już pierwsze dwudziestolecie XVI wieku przynosi Wschowie dwa cenne przywileje (1513 r. i 1520-23) otrzymane od Zygmunta Starego a niezmiernie ważne dla dalszego rozwoju miasta, szczególnie sukiennictwa. W tym samym czasie uregulowano również działalność istniejącej tam od XIV wieku mennicy. Bito w niej oprócz kwartników, drobną (i bardzo lichą zresztą) monetę zwaną tymfem od nazwiska miejscowego mincerza Andrzeja Tymfa.

Dzięki dotychczasowym przywilejom, oraz dużej skrzętności i zapobiegliwości swoich mieszkańców, Wschowa w wieku XVI dochodzi do największego rozkwitu gospodarczego.

Mniej więcej od połowy stulecia rozpoczyna się ożywiony ruch emigracyjny z Zachodu na Wschód, znany w naszych dziejach pod nazwą drugiej kolonizacji niemieckiej. Szczególnie żywo kolonizacja ta zaznaczyła się na terenach przygranicznych i zaważyła w znacznym stopniu na rozwoju tamtejszych miast. Dwie były przyczyny, które wywołały tę nową falę kolonizacji w kierunku Polski. „Ucisk religijny protestantów w katolickich kra-

jach Rzeszy i ucisk gospodarczy ludności poddanej, zwłaszcza w Brandenburskiej i w państwie pruskim w ogóle. Nie dobrowolnie więc opuszczali Niemcy swe siedziby. Wypędzała ich stamtąd konieczność, a kierowali się do Polski, ponieważ w niej spodzielali się większej wolności, zarówno w dziedzinie religijnej jak i społeczno-gospodarczej".⁴⁾

Zjawisko drugiej kolonizacji niemieckiej nie jest jeszcze wyczerpująco i bezspornie omówione w literaturze polskiej. O ile kolonizacja niemiecka 12 – 14 wieku doczekała się gruntownej krytyki, o tyle druga wciąż jeszcze obraca się w kręgu przypuszczeń i fragmentarycznych opracowań.

Z najbliższego Wschowie terenu Śląska napływali coraz liczniej nowi mieszkańcy. Miasto zaczęło się rozrastać. Starosta wschowski Hieronim Radomicki zbudował poza obrębem murów Nowe Miasto, które szybko rośło, (w ciągu pięciu lat od 1630 r. przybyło 88 domów), a w roku 1633 otrzymało ono prawo miejskie. Przyływ poważnej ilości nowych mieszkańców do miasta wywoływał od czasu do czasu wybuch doraźnych konfliktów pomiędzy nowymi mieszczanami z przedmieścia, a mieszkańcami dawniejszymi. Konflikty wynikały z obaw o konkurencję, szczególnie w tak atrakcyjnej gałęzi produkcji jak sukiennictwo, bowiem wśród przybyszów było wielu sukienników. Autochtoniczni zaś sukiennicy strzegli zazdrośnie uzyskanych przywilejów, zwłaszcza zwolnienia od cel. Ponadto nieustające ucieczki ludności ze Śląska spowodowały interwencję cesarską u Zygmunta III. Zygmunt w wyniku tej interwencji wydał specjalny manifest 27. VI. 1629 r., w którym wyraźnie zabraniał przyjmowania nowych przybyszów do miast i miasteczek. Można spodziewać się, że zakaz ten, wydany raczej ku zadowoleniu cesarstwa, w praktyce nie był realizowany.

Nowa fala kolonistów napłynęła z momentem wybuchu wojny trzydziestoletniej i wzmożonych prześladowań religijnych zainicjowanych przez fanatycznego cesarza Ferdynanda II. W wyniku przyboru fali kolonizacyjnej powstał na naszym północno-zachodnim pograniczu cały szereg nowych miast, względnie istniejące już zostały rozbudowane, jak widać to w wypadku Wschowy.

Druga kolonizacja przyniosła naszemu życiu gospodarczemu niewątpliwie pozytywne rezultaty, przyczyniając się do powstania szeregu miast i ożywienia przemysłu, szczególnie tkackiego⁵⁾, przyniosła też i duże szkody wyrażające się poważnym zniemczeniem żywiołu miejskiego.

Jeżeli chodzi o rezultaty gospodarcze drugiej kolonizacji warto zauważyć, że do miast przybyli rzemieślnicy i kupcy, przynosząc ze sobą lepszą technikę produkcji, uzyskawszy dodatkowe przywileje potrafili w wielu wypadkach uniezależnić się od monopolu cechowego. Ze zjawiskiem tym stykamy się we Wschowie w XVII wieku. Ciekawe wiadomości o pierwszej manufakturze wschowskiej zawiera praca Antoniego Mączaka „Sukiennictwo wielkopolskie XIV – XVII wieku”. Okazuje się, że założycielem pierwszej manufaktury we Wschowie był Włoch Nicolo Bacaralli, którego nazwisko zresztą w różnym brzmieniu jest zanotowane (Pacrał, Bacrał, Bakkaral).

„Musiał on być człowiekiem wyjątkowo energicznym – pisze Antoni Mączek – skoro potrafił uzyskać od Zygmunta III i Władysława IV aż 4 piśma i przywileje dla siebie i swego zakładu”.⁶⁾

Pierwsza wiadomość o pionierze kapitalizmu na terenie Wschowy jest z roku 1625, w związku ze skargą wniesioną przeciwko Włochowi przez jednego z mieszczan. W stosunku do oskarżyciela dopuścił się Bacaralli oszustwa sprzedając mu zbyt krótkie postawy sukna, a przy tym niskiej jakości. W następnym roku pozwano z kolei Włocha przed trybunał królewski oskarżając go o nielegalny wywóz towarów (sukna) na Śląsk i do innych krajów, bez opłacenia należnego cła. Tytułowano go przy tym „farbiarzem, obywatelem i kupcem wschowskim”. Skończyło się widocznie wszystko jak najgorzej, bo już w dwa lata później Bacaralli obdarzony został łaską królewską. Osobny dokument królewski stwierdza, że stał się on ofiarą ludzkiej zawiści.

Łaska królewska i otrzymany wnet potem przywilej uprawniający do skupu sukna nie tylko wschowskiego wywołały nową falę intryg i zawiści przeciwko Włochowi. Wmieszał się w to z kolei Władysław IV i w marcu 1635 roku zakazał cechowi sukienniczemu (bo ten był głównym motorem akcji) przedsięwzięcia jakichkolwiek kroków przeciwko Bacaralliemu „i sługom jego”. Ponadto król wyraził zgodę na dalsze uprawianie bez przeszkód dotychczasowych prac farbiarskich przez Włocha. Brak jest wiadomości, jakie były dalsze losy przedsiębiorstwa mistrza Mikołaja.

Trwający już około stu lat proces napływu nowych osadników na ziemię polską, uległ niemal całkowitej likwidacji w okresie wojen, które wstrząsnęły podwalinami państwa polskiego w drugiej połowie XVII i na początku XVIII wieku.

Podobnie jak inne miasta wskutek wojen podupadła i Wschowa. Nieodstępni towarzysze wojen; pożary i zarazy, poważnie osłabiły bogate ongiś miasto. W poszukiwaniu potrzebnych pieniędzy Rada Miejska zaciągała pożyczki u bogatych członków cechu sukienniczego. Znany jest w dziejach Wschowy wypadek pod koniec siedemnastego stulecia, gdy stary cechmistrz sukienniczy Cybon spowodował poważne rozruchy przeciw władzom miejskim, które nie mogły mu zwrócić wypożyczonych w czasie wojen szwedzkich 15 tysięcy złotych.

WIEK XVIII

Długie lata wojen w XVII i początkach XVIII wieku doprowadziły większość miast w Polsce niemal do całkowitego upadku. Nie oparła się zniszczeniu i Wschowa, której pierwszy dziesięć lat XVIII wieku nie przyniósł najmniejszej poprawy. Wojna północna otarła się o bramy Wschowy. Karol XII wypierając Augusta II z Polski, rozbił pod Wschową armię Sasa i pośiłkujące go wojska Piotra Wielkiego. W ślad za wojną wtargnęła do miasta zaraza, z której najsrozsza w roku 1709 uśmierciła około 2.200 mieszkańców. Na domiar złego król August II odebrał Wschowie przywilej wolnego wyboru burmistrza i Rady Miejskiej, w roku zaś 1728 zamknął mennicę i skasował sądy miejskie, wprowadzając starościńskie. Kwitnący stan miasta należał do przeszłości. Mieszczanie wschowscy mogli jedynie wspominać czasy świetności, gdy przywileje królewskie wymieniały Wschowę jako jedno z pierwszych miast Rzeczypospolitej.

Miarą upadku Wschowy może być stan jej zabudowania, fatalny jeszcze pod koniec XVIII wieku, gdy najgorsza sytuacja w jakiej było miasto w pierwszej połowie tego wieku, została już przewyższona. Otóż „Wschowa na 807 domów miała tylko 32 domy z cegły, a nadto 14 domów mieszkalnych stało puste i było 62 pustych placów”.⁷⁾

Jakże charakterystyczny jest list mieszczan wschowskich do Marszałka Sejmu Stanisława Małachowskiego, w którym proszą go, aby nie dopuścił do powiększenia garnizonu we Wschowie, tym bardziej, że miała tam przybyć kawaleria, której utrzymanie naraziłoby miasto na wielkie koszty. Oto co piszą mieszczanie wschowscy: „Do Jaśnie Wielmożnego Marszałka Sejmowego, 29 październik 1789 rok. Jaśnie Wielmożny Panie Protektorze nasz Miłościwy. Jest publiczny odgłos, że kawaleria narodowa ma oblużować w mieście, J.K.M-ci Wschowy systujący regiment szefostwa Wielmożnego Pana Brodowskiego, gdy zaś kawaleria wymaga obszernych potrzeb dostarczających jako to pastwisk, łąk, stajni etc. a miasto najbardziej z rękodzielnych fabryk i mieszczan złożone, do przystawienia takowych potrzeb niezdolne, nawet i okupnicy płatne posiadają grunta, z których dla najjaśniejszej Rzeczypospolitej dostatecznie wypłacają swe powinności; nadto iż dla potrzeby wychowu inwentarza własnego w niedostatku łąk swych ciż właściciele podobne żywioły zagranicą nabywać muszą, co rzeczywistym i jawnym okazem, że i jedna chorągiew kawalerii dla miasta większym jak dotychczas konsystencja terażniejszego garnizonu byłaby ciężarem.

Jaśnie Wielmożnego Pana Dobrodzieja i Protektora Miłościwego więc najpokorniej upraszać poważamy się, abyś wielowładną protekcją swoją temuż miastu był pomocnym iżby garnizon tutejszy pomniejszony a w przypadku nastąpić mianej kawalerii, i toż w mniejszej liczbie dla wyż okazanych przyczyn dokonana być mogła; które świadczone dobrodziejstwo w potomne wieki niewygasła będzie pamięcią, my zaś dozgonnie być nie pozostaniemy z najwyższym uwielbieniem Jaśnie Wielmożnego Pana i Protektora naszego Miłościwego najniższymi podnóżkami”.⁸⁾

W związku z ożywieniem gospodarczym, które ogarnęło cały kraj po pierwszym rozbiorze, zaczynały się z wolna dźwigać i miasta. Wzrastała liczba ludności, ożywała się produkcja przemysłowa. Wschowa jednak nie wróciła już do okresu swojego największego rozkwitu. Jeszcze w początkach XVIII wieku liczba ludności Wschowy obliczana była na 7 tys. mieszkańców. Pod koniec tego stulecia ilość ta uległa zmniejszeniu. G. Rolbiecki powołując się na Korzona podaje liczbę mieszkańców Wschowy z roku 1783 na 5.480 osób.⁹⁾

„Gdy weźmie się pod uwagę fakt, – pisze G. Rolbiecki – że ludność Poznania w roku 1732 oblicza się na 4.000, w roku 1777 na 4.655 a dopiero w 1793 roku na 12.000, wliczając w to wszystkie przedmieścia, uwypukli się w całej pełni dominujące stanowisko miasta Wschowy w XVIII wieku w Wielkopolsce, a w Polsce w ogólności. Nic też dziwnego, że ustawa podatkowa o pobieraniu podymnego z 1775 roku klasyfikuje Wschowę – wyłączwszy stolicę – do rzędu trzech miast największych, zaliczając do nich Kraków, Poznań i Wschowę”.¹⁰⁾

Nieco odmienne cyfry podaje Janusz Deresiewicz, co dziwniejsze powołując się również na Korzona: „Poznań – pisze Janusz Deresiewicz – liczył według Korzona w roku 1788 – 15 tysięcy mieszkańców (Łesno 8.600, Rawicz 7.500, Wschowa 6.500)”.¹¹⁾

W świetle tych ostatnich cyfr trzecie miejsce Wschowy po Krakowie i Poznaniu wygląda na bardzo wątpliwe, mimo, że ma za sobą autorytet Korzona i Volumina Legum, t. VIII str. 881, na które powołuje się G. Rolbiecki.

Bez względu jednak na większą czy mniejszą ścisłość danych cyfrowych, wydaje się, że Wschowa w drugiej połowie XVIII wieku należała do większych miast Polski, a z punktu widzenia gospodarczego do najbardziej żywotnych. Fakt, że „w chwili rozbiorów było 200 majstrów sukienniczych ze 180 warsztatami i 117 płócienników z 80 krosnami” mówi sam za siebie. Rolbiecki podaje nieco inne dane, bardzo charakterystyczne, zbliżone do wyżej wymienionych. „Należy zdać sobie sprawę – pisze autor, „Prawa przemysłowego miasta Wschowy w XVIII wieku” – z tego, że przedsiębiorców sukienniczych i płócienniczych łącznie było we Wschowie około 250. Zatrudniali oni 80 czeladników. Razem więc zatrudniał przemysł sukienniczo-tkacki 330 ludzi, pomijając liczne rzesze przadek i dziewek, które po wsiach okolicznych czesały, czyściły i przędły wełnę. Wliczywszy w to jeszcze rodziny otrzyma się co najmniej tysiąc ludzi, czyli 1/6 mieszkańców Wschowy, którzy żyli wyłącznie z przemysłu sukienniczo-tkackiego. Te cyfry chyba dostatecznie jasno wskazują na to, że przemysł sukienniczo-tkacki był przemysłem kluczowym we Wschowie a byt i rozkwit miasta łączył się nierozdzielnie ze stanem właśnie tego przemysłu”.¹²⁾

Sytuacja sukienników była szczególnie korzystna. Nawet w ramach obowiązujących statutów cechowych było możliwe zwiększenie produkcji. Statut bowiem zezwalał jednemu majstrowi na posiadanie do czterech warsztatów. Ponadto na podstawie specjalnego dekretu miejskiego sukiennikom wolno było angażować do pracy dowolną ilość pracowników wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych z miast i okolicznych wsi. Dodajmy

do tego prawo wykonywania wszystkich czynności produkcyjnych, z monopolem zakupu surowca (wełny i przędzy) włącznie, plus szerokie uprawnienia w zakresie czynności handlowych, a będziemy mieli dostateczny obraz sytuacji w jakiej znajdowali się sukiennicy wschowscy pod koniec XVIII wieku.

Nie należy przy tym zapominać, że zbytniej produkcji sukienniczej dzięki posiadanym przywilejom o zwolnieniu od cel, był ułatwiony, a rozległe rynki Korony i Litwy, Prus, Brandenburgii, Śląska a nawet Bliskiego Wschodu – stały otworem. Baza surowcowa również była zabezpieczona dzięki rozległemu zapleczu jaki stanowiła dla Wschowy Korona i Litwa.

Wzrastający stan pomyślności Wschowy w ostatniej ćwierci XVIII wieku, uległ gwałtownemu zahamowaniu od chwili wcielenia miasta do Prus w II rozbiórce Polski. Fakt ten był tak uderzający, że zainteresowały się nim władze pruskie w specjalnej ankiecie, której zadaniem miało być wykrycie przyczyn upadku przemysłu wschowskiego oraz znalezienie środków zaradczych. Odpowiedź cechu sukienników wschowskich z dnia 14 sierpnia 1794 roku skierowana na ręce Fryderyka Wilhelma II wskazywała, jako główne przyczyny upadku, utratę rynków zbytu, zbyt wysokie obciążenia celne i handlowe oraz trudności w nabywaniu surowców.

ORGANIZACJA ŻYCIA GOSPODARCZEGO

Wiele już dotąd zostało powiedziane o życiu gospodarczym Wschowy w XVIII wieku. Czas z kolei zatrzymać się nieco dłużej nad formami organizacyjnymi tego życia. Jak z dotychczasowych rozważań widać, zasadniczy obraz życia gospodarczego Wschowy uzależniony był od rozwoju przemysłu. Ta dziedzina gospodarczej działalności człowieka decydowała o znaczeniu Wschowy i wyznaczała miastu jego wysoką pozycję wśród pozostałych miast Polski.

Zasadniczą formą, w którą całe życie gospodarcze ówczesnych miast było wtłoczone, w ciągu całego XVIII wieku, pozostawały wciąż jeszcze cechy. Ich dominujące stanowisko było tak wielkie, że nawet próbę, a można za taką uważać wyżej omówioną działalność Bacarallego, wyłamania się spod ich nacisku traktować trzeba jako coś wyjątkowego.

Kopalnią wiadomości o życiu i organizacji cechów na terenie Wschowy, jest wspomniana i cytowana już kilkakrotnie praca Guntrama Rolbieckiego „Prawo przemysłowe miasta Wschowy w XVIII wieku”.¹³⁾

Mimo zarzutów z jakimi się spotkała, jeżeli chodzi o jej ujęcie metodologiczne¹⁴⁾, pozostała pozycją niezwykle cenną, ze względu na bazę źródłową, na której się opiera, a której niestety jesteśmy dziś pozbawieni, wskutek zniszczeń wojennych w stanie naszych archiwów. Stąd praca G. Rolbieckiego stanowi cenne źródło do poznania organizacji życia gospodarczego epoki schyłku feudalizmu i początków układu kapitalistycznego.

„...nie da się zaprzeczyć – pisze w przedmowie prof. Władysław Rusiński, który przygotował książkę Rolbieckiego do druku – że praca napisana jest metodą tradycyjną, że autor unikał na ogół wychodzenia poza formalną interpretację interesujących go przepisów, że nie starał się wnikać w ich genezę, w ich treść społeczną”.

Jednak – kończy prof. Wł. Rusiński – „...ze względu na to, że wykorzystane w pracy archiwalia są dzisiaj prawie w całości niedostępne, druk pracy uznać trzeba za rzecz nader pilną”.

Materiał zawarty w pracy G. Rolbieckiego jest tak olbrzymi, że nie jest rzeczą łatwą dokonać wyciągu interesującego mnie w tej chwili zagadnienia. Źródła zanalizowane przez Rolbieckiego pozwalają dojrzeć całą, niezmiernie skomplikowaną, stronę stosunków gospodarszych w XVIII wieku „przełomowym w dziejach gospodarki cechowej”.

Ustrój cechowy Wschowy w swoim rozwoju nie odbiegał od znanych gdzie indziej wzorów. Podobnie jak w innych miastach podstawę organizacji cechowej dawał statut zatwierdzony przez magistrat lub przez króla. Ten ostatni warunek nie zawsze był realizowany, a mimo to statut obowiązywał wszystkich członków cechu. Na 30 cechów wschowskich, 10 cechów nie posiadało statutowo zatwierdzonych przez króla, natomiast jeden tylko nie miał statutu zatwierdzonego przez magistrat.

Statut, zgodnie zresztą z funkcją cechu, normował całokształt stosunków cechowych, nie pomijając niemal żadnej dziedziny życia społecznego i gospodarczego. Charakter zawartych w statucie norm był bezwzględnie obowiązujący, a ich przekroczenie było karalne, kary stosowano przeważnie pieniężne, rzadziej uiszczano je w naturze.

Na osobną wzmiankę zasługuje statut wydany przez Komisję Dobrego Porządku. Na mocy reskryptów Stanisława Augusta z roku 1765 wydelegowane zostały za pośrednictwem sądów asesorskich, specjalne komisje zwane Komisjami Dobrego Porządku, które zgodnie z życzeniami króla miały głównie miasta królewskie przywrócić do dawnego stanu.

Komisje miały do spełnienia wielorakie zadania. „Po zbadaniu zewnętrznego stanu miast zabrały się komisje do przeprowadzenia kontroli gospodarki finansowej władz miejskich. (...) Zajęły się także zbadaniem stosunków, panujących w handlu i rzemiośle, pragnęły bowiem wiedzieć, jakie były przyczyny ich upadku. (...) Starły się przeprowadzić sanację w każdej dziedzinie zabagnionych stosunków magistratów do cechów rzemieślniczych i kupców, wprowadzały odpowiednie porządki ogniowe i sanitarne i dawały miastom nowe statuty czyli ordynacje...”¹⁵⁾

Działalność Komisji wnet zaczęła przynosić dobroczynne skutki. We Wschowie komisja przyrzekła tym, którzy będą odbudowywali swoje domy dostarczyć cegły z miejskiej cegielni i pokryć jedną dziesiątą, względnie 1/6 kosztów budowy. Ponadto w razie pokrycia dachu dachówką „przez połowę, co ona kosztuje, wynagrodzić się ma”.

W skład Komisji działającej na terenie Wschowy (od 3 stycznia 1780 r. do 5 listopada 1781 r.) wchodziło 5 komisarzy królewskich. Byli nimi: Józef

Mielżyński, kasztelan poznański, Franciszek Kwilecki, starosta wschowski, Mikołaj Krzyżanowski, cześnik poznański, Józef Joneman, wschowski rejent ziemski, pełniący równocześnie funkcję sekretarza komisji i bliżej nieokreślony Nepomucen Objezierski.

Ukoronowaniem działalności Komisji we Wschowie był wydany przez nią w dniu 5 listopada 1781 roku statut, który miał od chwili ogłoszenia obowiązywać wszystkie cechy wschowskie.

Przepisy zawarte w nowym statucie były bezwzględnie obowiązujące. Za ich naruszenie obok kar pieniężnych, przewidziane były w pewnych przypadkach, w uzależnieniu od uznania władz miejskich, kary cielesne wobec mistrzów cechowych. Statut KDP obowiązywał we Wschowie do roku 1793, tj. do chwili zaboru jej przez Prusy.

Problem ujednolicenia i uporządkowania spraw cechowych we Wschowie wysuwał się na czołowe miejsce, zważywszy ilość działających na terenie miasta cechów. Do roku 1781, tj. do przyjęcia statutu KDP, było ich 31, w drugim okresie (1781 – 1793), 32. Z tego wśród 31 pierwszego okresu, 21 obejmowało rzemieślników tylko jednego zawodu (np. kapeluszników, krawców, piekarzy, sukienników itd.), zorganizowanych w ramach cechu zwyczajnego, 10 zaś tworzyło tzw. cechy łączne (np. kowalsko-kołodziejsko-mieczniczo-kotlarsko-nożowniczy, szewsko-pantoflarsko-garbarski itd., itd.). Po roku 1781 do istniejących już cechów doszedł tylko jeden – cech zegarmistrzowski poprzednio egzystujący w ramach cechu łącznego (ślusarsko-rusznikarsko-ostrogarsko-trackiego).

Duże zróżnicowanie zawodowe wśród rzemieślników wschowskich odbijało się w sposób bezpośredni na równie dużym zróżnicowaniu organizacyjnym samych cechów. Już wyżej wymienione zostały dwa rodzaje cechów: zwyczajny i łączny. Ponadto rozróżniano na terenie Wschowy następujące rodzaje cechów: a) zamknięty, skupiający ograniczoną ilość mistrzów. Były 3 względnie 4 takie cechy: chirurgów-balbierzy, szewców-pantoflarzy-garbarzy, piekarski i rzeźniczy, b) łączny. Cech o tej nazwie składał się z rzemieślników różnych zawodów. Obok statutu, który stanowił podstawę prawną, jednoczącą w ramach organizacji cechowej różnych rzemieślników, cechy łączne posiadały „wspólny skarb, skrzynkę cechową, wspólne było życie towarzyskie, religijne, polityczne itp.”¹⁶⁾. W ramach tej wspólnoty poszczególne zawody zachowywały swą samodzielność.

c) Naczelny. „Przez cech naczelny będziemy rozumieli tutaj – pisze G. Rolbiecki¹⁷⁾ – zorganizowaną na podstawie statutu, przymusową, rzemieślniczą grupę zawodową na terytorium obejmującym zwykle jedną dzielnicę. Cech naczelny mógł się składać bądź z rzemieślników tego samego zawodu, bądź z rzemieślników różnych zawodów. Zatem charakter prawny cechu naczelnego mogły posiadać zarówno cechy zwyczajne jak i cechy łączne”.

Znaczenie cechu naczelnego polegało na znacznie szerszym niż innych, oddziaływaniu terytorialnym. Np. do wschowskiego naczelnego cechu

kapeluszniczego należały m. in. Kargowa, Międzyrzecz, Międzychód i Rawicz. A do mydlarsko-woskarsko-świecarskiego nawet Poznań.

Dla zamknięcia rozważań o rodzajach cechów należałoby jeszcze wspomnieć o cechach wyznaniowych i narodowościowych: Nazwy te bliższych wyjaśnień nie wymagają. Sprawy narodowościowe na terenie Wschowy zbiegały się dość mocno z wyznaniowymi. Utożsamianie wyznania rzymsko-katolickiego z narodowością polską, protestanckiego z niemiecką i mojżeszowego z żydowską, pokrywało się na ogół z faktycznym stanem rzeczy. Zważywszy jednak przewagę jaką wśród mieszczan mieli Niemcy, odkrywamy źródło nietolerancji w stosunku do wyznania katolickiego, nietolerancji, która łączyła się w sposób widoczny z rywalizacją gospodarczą. Katolików odsuwano od urzędów miejskich, nie dopuszczano do cechów, czyniono trudności w uzyskiwaniu obywatelstwa miejskiego, a nawet zmuszano do opłat na rzecz kościoła protestanckiego. W wypadku polsko-niemieckiej rywalizacji – kwestie wyznaniowe pokrywały się z narodowościowymi. Jeszcze gorzej sprawa wyglądała w stosunku do Żydów, którym nie wolno było mieszkać w mieście, wstępować do cechów, ani tworzyć nowych, własnych. Praca uboczna w rzemiośle stanowiła dla Żydów jedyne źródło dochodów.

Tę jaskrawą nietolerancję sankcjonował statut KDP, zaznaczając wyraźnie, że członkiem cechu może być tylko wyznawca „religii chrześcijańskiej w kraju panującej katolickiej lub dysydenckiej prawami koronnymi warowanej”.

Formy organizacyjne, a przede wszystkim funkcje cechów w społeczno-gospodarczym życiu miast w sposób decydujący wpływały na dobór członków. Ścisłe przepisy i daleko posunięta selekcja miały utrzymać i ugruntować zdobycze cechów. Tendencja zamykania się do kręgu skupulatnie dobieganych ludzi, obawy przed szerokim napływem nowych kandydatów, doprowadziły działalność cechów do kompletnego skostnienia a w końcu do rozkładu. Druga połowa XVIII wieku jest okresem, w którym rozkład ten występuje zupełnie wyraźnie. Dzieje Wschowy dostarczają ciekawych w tym zakresie materiałów. Zanim jednak przejdziemy do ich rozpatrywania, należy zatrzymać się nieco nad zagadnieniem hierarchii wśród członków cechu.

Członkowie cechów składali się z trzech zasadniczych grup: 1) mistrzów, 2) czeladników i 3) uczniów. Najbardziej uprzywilejowaną grupę stanowili oczywiście majstrowie. Z ich łona wywodził się zarząd cechu, stanowiący starszyznę cechową, która nadawała ton życiu członków danego cechu. Oni byli tymi, którzy czuwali nad przebiegiem nauki w rzemiośle, wyznaczali ilość uczniów, dopuszczali czeladnika do wyzwolenia i uzyskania stopnia majstra, oni wreszcie regulowali produkcję i kontrolowali ceny. Trzymając się ściśle zatwierdzonych przez magistrat statutów mistrzowie prowadzili właściwą dla reprezentowanego przez siebie cechu politykę. Polityka ta podyktowana była ich egoistycznym interesem. Obawy przed konkurencją ze strony czeladników dojrzających do awansu na majstrów, doprowadziły do wytwarzania celowych utrudnień, uniemożliwiających wyz-

wolenie. U źródeł tych utrudnień leżała nie tylko niechęć ewentualnego dzielenia się zyskiem z nowym mistrzem, ile jeszcze większa obawa pozbycia się w ten sposób taniej siły roboczej. Nie trzeba bowiem dodawać, że cały ciężar pracy w warsztacie spoczywał na czeladnikach, którzy byli właściwymi producentami. Nie byli jednak właścicielami środków produkcji i to decydowało o ich pozycji społecznej, upośledzonej w stosunku do mistrzów.

Po odbyciu praktyki w rzemiośle w charakterze ucznia, dotychczasowy uczeń przez wyzwolenie przechodził do grupy czeladników. Za tę „przemianę” musiał uiścić szereg opłat zgodnie z prawami cechowymi.

Do podstawowych obowiązków czeladnika jako wykwalifikowanego pracownika należało zawieranie umów o pracę i wykonanie zamówienia na rachunek mistrza pracodawcy. Czeladnik nie miał natomiast prawa do prowadzenia przedsiębiorstwa przemysłowego na własny rachunek i do szkolenia uczniów. Odstępstwo od tej zasady mogło mieć miejsce jedynie w wypadku śmierci mistrza. Wdowie pozwalało na dalsze utrzymywanie przedsiębiorstwa pod warunkiem, że będzie prowadzić je dobry czeladnik.

Ciekawe uprawnienia posiadali wschowscy czeladnicy cechu sukieników. Mogli oni pracować w warsztatach dwu mistrzów, pod warunkiem jednak zgody na to mistrza pracodawcy. Ponadto mieli możliwość korzystania z mieszkania u mistrza i udziału w zebraniach cechowych. Jeżeli zaś chodzi o pracę w warsztacie to normowana ona była szczegółowymi przepisami, zmierzającymi do tego, aby czeladnik obowiązki swoje spełniał w sposób należyty. W wypadku, gdy czeladnik pracował niesumienne i przez to naraził na straty mistrza, statuty cechowe przewidywały, że taki czeladnik zanim zawrze po raz drugi umowę o pracę, będzie musiał założyć w cechu specjalną kaucję.

Jako członek cechu czeladnik obowiązany był do posłuszeństwa wobec starszyny cechowej, aby nie narazić się na karę, do oskarżenia przed władzami miejskimi włącznie. W stosunkach pomiędzy mistrzem, jego rodziną a czeladnikiem, tego ostatniego obowiązywał szacunek i skromność, a całe jego zachowanie winna była cechować powaga i bogobożność. Przebywanie przez całą noc poza domem było zabronione, a karczmarza, któryby odważył się przetrzymać czeladników na pijatyce, czekała odpowiedzialność przed cechem. Tego rodzaju przepisy uzasadnione były nie tyle troską o moralność czeladników, ile dobrze rozumianym interesem gospodarczym. Przecież czeladnicy mieli rankiem stanąć przy warsztatach, a dzień roboczy trwał kilkanaście godzin, musieli więc zachować pełną zdolność do pracy.

Przepisy regulujące życie czeladników nie pozostawiały na uboczu najdrobniejszych nawet spraw. Zakazywano np. chodzić z młodszymi czeladnikami do karczmy, lub kupować większe ilości piwa bez zezwolenia starszych. Wszystkie zaś sprawy sporne czeladnicy obowiązani byli przekazywać do rozstrzygnięcia sądowi cechowemu. Perspektywy wyzwolenia się spod ucisku rygorystycznych przepisów nie były zbyt różowe. Przede wszystkim majstrowie robili wszystko, aby nie stracić z warsztatu zbyt szybko ta-

niej siły roboczej. Zdarzało się niejednokrotnie, że nie zdradzali czeladnikom wszystkich tajników swego rzemiosła, utrudniając im w ten sposób pełne zapoznanie się z rzemiosłem i odsuwając w przyszłość możliwość wykonania sztuki mistrzowskiej. Starsi cechowi mogli z kolei wystawić czeladnikowi ubiegającemu się o wyzwolenie opinię, przekreślającą możliwość awansu. Na koniec, na wyzwolenie i założenie własnego warsztatu potrzebna była gotówka i to duża, którą z zasady czeladnik nie dysponował. Czeladnik, który nie był w stanie pokonać tych wszystkich przeszkód, a chciał się usamodzielniać, przechodził w szeregi tzw. partaczy, zrywając łączność z cechem. Utrzymanie się jednak takiego partacza nie było łatwe. Cech potrafił uniemożliwić mu pracę. Jedynie w wypadku gdy partaczem zaopiekował się jakiś możny, mógł on wytrzymać nacisk cechu. Nie trzeba dodawać, że partacze broniąc się przed cechem doprowadzali niejednokrotnie do krwawych zaburzeń w miastach, pociągając za sobą przeciwko patrycjatowi pospólstwo miejskie, wśród którego było także wielu czeladników.

W wypadku odmiennym, gdy czeladnik potrafił uporać się z przeszkodami stojącymi na drodze uzyskania dyplomu majstra, musiał zadość uczynić podstawowemu warunkowi, tj. odbyć kilkuletnią (zazwyczaj od dwóch do trzech lat) wędrowkę. Wędrowka ta polegała na pracy u różnych mistrzów tego samego zawodu, ale poza miastem, w którym czeladnik dotąd przybywał i uczył się. Dla czeladników wschowskich miastami, do których wędrowali były: Wrocław, Drezno i Berlin. O ile organizacja cechowa była w gruncie rzeczy organizacją konserwatywną, nie zabiegającą o postęp w dziedzinie przemysłowej, o tyle wędrowka była instytucją sprzyjającą doskonaleniu się rzemieślników. Była jak gdyby wyższym stopniem szkolenia zawodowego. Przez przebywanie w nowym środowisku i zapoznawaniu się z nieznanymi sobie niejednokrotnie metodami pracy, czeladnik wydoskonalał swoje umiejętności i sam z kolei stawał się rzecznikiem nowości w swoim rzemiośle.

Obok naczelnej organizacji cechowej zrzeszającej wszystkich rzemieślników, ale niestety wysuwającej na czołowe miejsce interes majstrów, istniały jeszcze tzw. związki czeladnicze. Czeladnicy w poczuciu krzywdy wyrażonej im przez mistrzów rozpoczęli walkę o samodzielność.

Mistrzowie i starszyzna cechowa nie mogąc zahamować procesu wyłamywania się spod kompetencji bezwzględного prawa cechowego, starali się utrzymać swój wpływ w związkach czeladniczych przez zainicjowanie zorganizowania samodzielnego związku i narzucenie mu następnie przez siebie zatwierdzonego statutu i formalnej kontroli w postaci stałych dozorców czeladzi, złożonych z dwóch mistrzów, rekrutujących się przeważnie z mistrzów stołowych. Podobny fakt miał miejsce przy organizowaniu kuśnierskiego związku czeladniczego w początkach XVII wieku. Ten sposób rozładowywania niezadowolenia wśród czeladników doprowadzał niejednokrotnie wśród najbardziej radykalnych elementów czeladniczych do proklamowania strajków. Licząc się z takimi możliwościami, statut KDP zawierał szereg szczegółowych przepisów, mających zapobiec wybuchom straj-

ków, do ich zakazu włącznie i bezwzględnej walki z pracownikami strajkującymi, jako buntownikami.

Do środków zapobiegawczych należał urząd dozorców czeladzi. Dozorcy oprócz obowiązków utrzymywania wpływów cechu w związkach czeladniczych, byli odpowiedzialni przed cechami za spokojne zachowanie się czeladników. Żadne więc ich zebranie nie mogło odbyć się bez uprzedniego porozumienia się z dozorcami. Obowiązek denuncjacji obejmował mistrzów-pracodawców i polegał na tym, że mistrz zawiadamiał dozorców czeladzi i starszych cechowych o zatrudnionym u siebie pracowniku, skoro ten ostatni, według ich mniemania zdradzał inicjatywę do szerzenia niepokojów i buntów. Powołany w następstwie tego doniesienia sąd pracy badał okoliczności faktyczne i jeżeli dochodził do wniosku, że środkami prawnymi nie można uspokoić czeladnika, nakazywał mu natychmiast opuścić miasto. W motywach wyroku podawano, że zamierza się w ten sposób uchronić resztę pracowników, przed zarażeniem ich ze strony elementów buntowniczych. Nie wykonanie obowiązku denuncjacji przez obowiązanego do tego mistrza, pociągało za sobą, na wypadek wybuchu strajku, jako karę, pokrycie własnym majątkiem wszystkich wynikłych szkód materialnych. Przede wszystkim jednak liczono na generalny zakaz strajków. Jako bunt w pojęciu prawodawstwa państwowego strajk był czynem niedozwolonym, zaliczonym do spraw kryminalnych. Po wtóre w ramach organizacji cechowej był czynem bezprawnym, mającym na celu realizację pewnych własnych postulatów drogą złamania praw cechowych, zatwierdzonych przez przywileje królewskie. Jeszcze innym sposobem likwidacji elementów radykalnych wśród czeladników było na wypadek stwierdzenia podburzania do strajków, natychmiastowe wypowiedzenie pracy i rozwiązanie umowy z pozbawieniem takiego czeladnika zdolności do zawierania nowych umów o pracę we Wschowie na przeciąg całego roku. Tego rodzaju wyobcowanie czeladnika ze społeczności pracujących doprowadzało niejednokrotnie do powiększenia szeregów tzw. „ludzi luźnych”, zjawiska niezmiernie charakterystycznego dla XVIII wieku w Polsce.

W gorszej jeszcze sytuacji, niż czeladnicy znajdowali się terminatorzy lub uczniowie. „W hierarchii cechowej uczniowie zajmowali pozycję najniższą, byli dopiero kandydatami na przyszłych członków cechu. Główne ich zadanie polegało na wyuczeniu się, przygotowaniu się do obranego zawodu”.¹⁸⁾

Ilość uczniów, którą przyjąć mógł jeden majster, przepisy cechowe ograniczały do liczby trzech. Podyktowane to było z jednej strony troską o możliwość lepszego wykształcenia uczniów, z drugiej zaś było wyrazem egoistycznej tendencji majstrów utrudniających nowym elementom wstęp do cechu.

Wśród różnorodnych warunków, którym musiał odpowiadać kandydat na ucznia, wymienić należy: a) odpowiednie warunki fizyczne (płeć, wiek,

zdrowie), b) pochodzenie, narodowość, religię i c) nienaganne prowadzenie się.

Cechy wschowskie przewidywały przyjmowanie na naukę rzemiosła również młodych dziewcząt. Dopiero statut KDP rozstrzygnął o dopuszczeniu do cechu wyłącznie mężczyzn.

Wiek, w którym uczeń mógł być przyjęty na naukę, wynosił przynajmniej lat 16. Odnosnie pochodzenia zgłaszający winien był dostarczyć zaświadczenie, że nie jest niczym poddanym, że jest „pocziwego urodzenia”, tj. pochodzi ze związku małżeńskiego zawartego prawnie i zgodnie z zasadami religijnymi (nie trzeba dodawać, że panującej religii katolickiej) i wreszcie musiał dostarczyć świadectwo moralności i o dotychczasowym uczciwym zachowaniu się.

Po sporządzeniu odpowiedniej umowy (nie zawsze musiała być na piśmie), pomiędzy rodzicami ucznia, lub tzw. rękodzielnymi, znającymi zgłaszającego się na naukę, uiszczeniu opłaty za naukę, na nowo przyjętego spadały obowiązki; odbycia określonych lat nauki (od 2 – 7 lat), wykonywania czynności przemysłowych i posług, poczęstunku dla majstra oraz dostarczenia pościeli i odzieży.

Życie uczniów, podobnie a może jeszcze w wyższym stopniu niż życie czeladników, było bardzo ciężkie. Obok zaznajamiania się z podstawowymi pojęciami wybranego przez siebie rzemiosła, musieli oni wykonywać szereg prac, które z tym rzemiosłem niewiele miały wspólnego „Chłopiec wypełniał najprymitywniejsze roboty, jak noszenie wody, pilnowanie ognia, czyszczenie niektórych narzędzi itp. Nierzadko uczeń pracował w gospodarstwie domowym majstra, pod czujnym okiem pani majstrowej”.¹⁹⁾

Miarą sytuacji uczniów były częste ich ucieczki bez względu na przykre na ogół konsekwencje. Nawet statut KDP przewidywał wysokie kary na uciekających uczniów. Uczniowie woleli jednak wybierać ryzykowną drogę ucieczki, niż udawać się do sądu cechowego, z oskarżeniem przeciwko swemu majstrowi; zdawali sobie bowiem sprawę, że sąd rozstrzygnie sprawę z reguły na korzyść majstra. Sędziowie byli przecież dobrymi znajomymi oskarżonego.

Dalszą karą za ucieczkę była utrata odbytych już lat nauki, w najskrajniejszym w swym sformułowaniu doprowadzona do zakazu wyuczenia się zawodu.

Zazwyczaj po statutowo przewidzianym okresie uczeń wyzwalał się na czeladnika. Wyzwolin dokonywał osobiście mistrz i nauczyciel, co uroczysto wpisano do ksiąg cechowych. Odmienne niż w wielu miastach, we Wschowie nie wymagano od ucznia wykonania specjalnej próby, która miałaby wykazać jego zaawansowanie w rzemiosle. Wystarczające było stwierdzenie mistrza, że uczeń zna rzemiosło i że w czasie nauki prowadził się dobrze i uczciwie, był pilny i okazywał bogobożność.

Przy omawianiu trójstopniowej hierarchii cechowej zaznaczyliśmy, że najważniejsze stanowisko w niej zajmowali majstrowie, którzy w większości

wypadków wchodził w skład starszyny cechowej. Starszyna zaś obok zebrania cechowych i mistrzów stołowych stanowiła jeden z organów władz cechowych.

Zebrania, jako najwyższa władza cechu w zakresie ustawodawczym, wykonawczym i sądowym, dzieliły się na zwyczajne i nadzwyczajne. Zebrania zwyczajne nazywano kwartalnymi lub kwartualiami. Zebrania zwoływali w sposób statutem przewidzianym, starsi cechowi. Udział w zebraniach przysługiwał zgodnie z uprawnieniami mistrzom i czeladnikom. W praktyce zazwyczaj uczestniczyli sami mistrzowie, tym bardziej, że obecność ich na zebraniach była bezwzględnie obowiązkowa, a nieobecność karalna. Kary przewidziane dla czeladników były o sto procent niższe niż dla mistrzów.

Najważniejszą funkcją zebrania było uchwalanie statutów lub innych uchwał cechowych. W zakresie władzy wykonawczej zebranie rozpatrywało bieżące sprawy administracyjne i zawodowe, które nagromadziły się od czasu ostatniego zebrania. Odnośnie sądownictwa zebrania zwyczajne załatwiała wszelkie sprawy sporne pomiędzy mistrzami, niekiedy pomiędzy czeladnikami. Ponadto wszystkie zebrania wybierały drugi organ władz cechowych – starszych. Starsi cechowi stanowili w odróżnieniu od zebrania, ciało bardziej sprężyste. Stale urzędując mogli sprawnie załatwiać wszystkie sprawy bieżące. Starsi reprezentowali cech na zewnątrz i oni właściwie byli tymi, którzy cechem zarządzili.

Obok starszych cechowych istniała jeszcze w cechach wschowskich instytucja mistrzów stołowych. Brak jest jednak danych, co do charakteru tej instytucji. Wiadomo tylko, że mistrzowie ci zasiadali razem ze starszymi, pisałem cechowym i przemawiającymi przy stole prezydiálním. Przy stole zaś prezydiálním mogli zasiadać tylko uprzywilejowani i specjalnie do tego wyznaczeni mistrzowie. Co do charakteru spełnianych funkcji mistrzowie stołowi, stanowili raczej ciało doradcze i samodzielnie rzadko występowali. Byli jak gdyby uzupełnieniem kompletu starszych.

Jednym z zasadniczych terenów ingerencji władzy cechowej był proces produkcyjny. Przepisy dotyczące tej dziedziny były niekiedy bardzo szczegółowe, niekiedy zupełnie ogólne. Ilustracji wyjątkowo szczegółowych norm o sposobie prowadzenia procesów produkcyjnych, dostarcza cech sukienniczy. Przede wszystkim przepisy określały rodzaj surowca, jaki ma być użyty do wyrobu sukna. Okazuje się, że sukiennicy wschowscy używali wełny naturalnej owczej i tak zwanej wełny kuśnierskiej, otrzymywanej jako produkt uboczny przy garbowaniu skór. Używanie jednak tej ostatniej uzależnione było od posiadanego zezwolenia starszych cechowych, a w wypadku braku takiego zezwolenia, produkujący używając tej wełny narażony był na karę w wysokości 10 grzywien.

Nie obojętną dla przepisów była kwestia koloru surowca. Rozróżniano bowiem sukno jedno lub różnokolorowe, przyjmując zasadę nie barwienia naturalnej białej, czarnej lub szarej wełny. Kolor wełny decydował w tych ostatnich wypadkach o kolorze sukna. Przy produkcji sukna koloro-

wego przepisy wyznaczały szerokość pasów, poszczególnych kolorów. Próba obejścia tych przepisów kończyła się karą w wysokości 10 grzywien. Dalej przepisy podawały dokładny opis pozostałych czynności przy wyrobie sukna. Oprócz sposobów farbowania z podaniem kolorów i gatunków farb, zawarte były wszystkie dalsze czynności wymagane przy produkowaniu sukna. I tak: wełnę trzeba myć, potem ubijać i tkać. Utkane sukno poddać folowaniu, następnie rozpiąć skurczone przy folowaniu na specjalnych ramach, potem farbować.

Pofarbowane sukno czesano, strzyżono, powtórnie folowano, prasowano. Zespół tych wszystkich czynności sukiennicy wykonywali w ramach swego zawodu, przy pełnej niezależności od innych cechów. Ze względu jednak na istnienie we Wschowie cechu fałbierskiego i postrzygaczy wolno domyślać się, że musieli w pewnej mierze korzystać z ich usług. Niewiadomo tylko w jakim zakresie.

Oprócz sukienników szereg innych zawodów posiadało mniej lub więcej szczegółowe przepisy, których ostatecznym celem miało być doprowadzenie produkcji do wysokiego stopnia jakości. To zaś odpowiadało interesom nie tylko konsumenta, ale i cechów.

TENDENCJE ANTYCECHOWE W POLSKIEJ POLITYCE GOSPODARCZEJ W DRUGIEJ POŁOWIE XVIII WIEKU I ICH ODBICIE WE WSCHOWIE

W dziejach rozwoju kapitalizmu na ziemiach polskich problem konfliktów z organizacjami cechowymi, nie został dotąd przez naukę polską opracowany. A jest chyba oczywiste, że pomiędzy narastającymi elementami ustroju kapitalistycznego a starymi formami produkcji, koncentrującymi się w cechach, musiało dojść do starcia. Konkretnie w Polsce w drugiej połowie XVIII wieku mamy do zanotowania szereg sporów, które były jaskrawymi przejawami, istnienia rzeczywistego konfliktu. Działające w tym czasie Komisje Dobrego Porządku, przejawiały wyraźne dążenie w kierunku reformy cechów, dając tym samym do zrozumienia, że takie były oficjalne tendencje realizowanej ówczesnie polityki gospodarczej Rzeczypospolitej szlacheckiej. Te dość widoczne dążenia reformatorskie nasza historiografia dostrzegała, nie umiała ich jednak powiązać z antagonizmami klasowymi wewnątrz samych cechów. Dążenia te tłumaczono nade wszystko, jako wyraz walki z nadużyciami i wypaczeniami, które pojawiły się w okresie upadku miast i rzemiosła miejskiego.

Na usprawiedliwienie jednak trzeba powiedzieć, że problem zaostrezenia się walki klasowej wewnątrz cechów nie występował w ówczesnej Polsce w tak ostrej formie, jak w innych krajach europejskich. Elementy kapitalizmu nie były w Polsce jeszcze zbyt silne.

„Z uwagi... na dominujące w dalszym ciągu na wsi stosunki feudalno-pańszczyźniane, formy kapitalistyczne, pojawiające się w zaczątkowym sta-

dium rozwojowym w przemyśle, nie miały warunków swobodnego rozwoju. Słabo zaznaczający się rozkład feudalizmu, utrudniał wyzwianie się elementów kapitalistycznych.²⁰⁾

Poza tym manufaktury zakładane przez magnatów powstawały w większości wypadków w małych miasteczkach prywatnych lub na wsi, gdzie nie mogło być mowy o jakimkolwiek konflikcie z cechami (szczególnie na wsi, gdzie przecież cechów nie było) i wreszcie same cechy w mniejszych ośrodkach miejskich, były często zbyt słabe ekonomicznie, aby mogły przeciwstawić się silnym gospodarczo jednostkom, lub grupom łamiącym przywileje cechowe.²¹⁾

Bez względu jednak na słabość elementów kapitalistycznych w Polsce, w drugiej połowie XVIII wieku, w świetle zachodzących przemian w życiu społeczno-gospodarczym, należy stwierdzić, że organizacje cechowe ulegają coraz wyraźniejszemu rozkładowi.

Przeciwko organizacjom cechowym występują przede wszystkim zwolennicy reform, w argumentacji których widać już wpływy kapitalistycznego punktu widzenia. Domagają się oni nieskrępowanej swobody działalności gospodarczej, której nie powinny hamować przywileje stanowe, ani monopole grup i korporacji. W imię podniesienia jakości produkcji, o którą w wielu wypadkach nie dbają zapewnieni o swym monopolistycznym stanowisku rzemieślnicy cechowi, wskazywali reformatorzy na konieczność stworzenia warunków umożliwiających wolną konkurencję.

W przywilejach cechowych widziano jedną z przeszkód uniemożliwiającą osiedlanie się w Polsce rzemieślników, cudzoziemców, co przy słabości ilościowej i jakościowej rodzimego rzemiosła, było zagadnieniem pierwszorzędnej wagi.

Tendencje antycechowe wzrastały z roku na rok. Cała postępową opinią, żywo reagującą na przemiany zachodzące w kraju, zarówno w literaturze, jak i w publicystyce wypowiadała się przeciwko cechom.

Jerzy Michalski w cytowanej już pracy wspomina o publikacji z tego okresu, anonimowego autora pt. „Uwagi względem cechów w miastach polskich”, które „...wskazywały na obniżenie jakości produkcji przez monopol cechowy, dzięki czemu mało biegły w swym fachu rzemieślnik, któremu udało się dostać do rejestru cechowego, wolny jest od konkurencji. Podkreślały dalej „Uwagi” szczególną szkodliwość ustaw cechowych reglamentujących ilość pracowników w warsztacie, co miało zrażać zwłaszcza zagranicznych rzemieślników do osiadania w Polsce, podobnie jak dawniej zrażały ich w jeszcze większym stopniu ograniczenia wyznaniowe”.

„Nie można ani obawiać się, ani imaginować – kończy anonimowy autor „Uwag” – aby przez zniesienie cechów, kraj jakową krzywdę i szkodę poniósł”.²²⁾

Wśród prądów nurtujących ówczesną warstwę ludzi wykształconych poważną rolę odgrywał fizjokratyzm francuski. Zgodnie z podstawowymi założeniami teoretycznymi fizjokratyzm wysuwając na pierwsze miejsce w

życiu gospodarczym rolnictwo, uważał produkcję przemysłową za nieistotną, a rzemieślników określał mianem klasy jałowej, nieplodnej. Stąd już tylko mały krok do wystąpienia przeciwko cechom i ich monopolistycznemu stanowisku w ówczesnym rzemiośle. Nawet Ferdynand Nax, jeden z naszych najwybitniejszych ekonomistów wieku Oświecenia mimo stanowiska zachowawczego w stosunku do cechów, nie zgadzał się jednak z ustawami cechowymi krępującymi wolność rzemieślnika. Rolę cechów chciałby był Nax ograniczyć do wydawania zaświadczeń stwierdzających kwalifikacje rzemieślnika, co miałoby zapobiec tworzeniu się partaczy i samowolnemu skracaniu czasu nauki.

Tendencje antycechowe dotarły również i do członków rządzącej ówczesnie w Polsce – Rady Nieustającej. Już w roku 1776 dojrzał projekt zniesienia w całym kraju cechów przygotowywany przez Departament Policji, odroczony jednak ze względu na konieczność dłuższej deliberacji nad tą materią. Wrócono doń dopiero później, w związku z doświadczeniami w pracach Komisji Dobrego Porządku, wśród których materiał zebrany we Wschowie był jednym z podstawowych.

Wśród ścierania się poglądów na rolę i zadania cechów występowali i ich obrońcy, zarówno w łonie Rady Nieustającej, jak i poza nią. Andrzej Zamojski autor, nieuchwalonego nigdy „Zbioru praw” reprezentował stanowisko procechowe, wprowadzając jedynie do ustroju cechów pewne poprawki organizacyjne. Różnorodność opinii, dyskusje i różne plany odnośnie reorganizacji cechów, wyniosły je pod koniec XVIII wieku do rzędu problemów, które musiały zostać rozwiązane. Ta gorąca i podniecona atmosfera dotarła również do samych cechów. Dawna pewność siebie, właściwa w postępowaniu starszemu cechowej, wynikająca z niczym nienaruszonej, ustabilizowanej i uświęconej organizacji życia gospodarczego, w świetle zachodzących zmian, zaczyna się kruszyć i łamać. Konflikty, jakie wybuchają zaczynają wykazywać nieznaną dotychczas w cechach ustępliwość i ostrożność w postępowaniu.

Przejawilo się to wyraźnie we Wschowie w latach 1788-1790, w sporze pomiędzy cechem szewców i garbarzy, a Samuelem Gottliebem Rohrmanem.

Wspomniany Rohrman, wydoskonalony podobno zagranicą w sztuce garbowania skór sposobem angielskim, syn ławnika wschowskiego i członka cechów (sam młody Rohrman do cechu nie należał) pragnął uzyskać przywilej na założenie garbarni angielskiej. Cech nie zgadzał się na wydanie przywileju, obawiając się o swój dotychczasowy monopol.

Rohrman miał jednak przyjaciół. Poparł go ówczesny starosta wschowski Kwilecki, jeden z członków działających we Wschowie Komisji Dobrego Porządku. Jego niewątpliwie interwencji przypisać należy, że zainteresowana sporem Rada Nieustająca wydaje w dniu 1 stycznia 1788 r. decyzję przychylną dla Rohrmana. Cech jednak nie ustąpił i złożył protest przeciwko wydanemu przywilejowi w kancelarii pieczęci koronnej. Ponadto zażądał, aby Rohrman wstąpił do cechu i przejął po swym ojcu warsztat szewski. Rohrman niezmiennie sprzeciwiał się żądaniom cechu, a ponadto wyko-

rzystując swe znajomości oraz wzrastające i korzystne dla niego nastroje antycechowe, zabiegał o kontrakt w Komisji Skarbu Koronnego na zakup wszystkich skór, składanych w komorze wschowskiej.

Wygląda na to, że kontrakt taki otrzymał, przeciwko czemu szeroko argumentując protestuje cech szewców i garbarzy. Oto jak brzmi pismo wymienionych cechów:

„Prześwietna Komisja Rzeczypospolitej Skarbu Koronnego. Panowie Miłościwi i Protektorowie.

Na memoriał sławetnego Gottlieba Rohrmana Prześwietna Komisja Skarbu Koronnego pod dniem 11 grudnia roku przeszłego Wielmożnemu superintendentowi prowincji Wielkopolskiej zlecić raczyła iżby za poprzedzającym zaręczeniem wszystkie skóry do własnej fabryki zmianowanego Rohrmana na trzechmiesięczny kredyt wydane były.

Gdy zaś uprzywilejowany cech garbarski, szewski tutejszy mniemanego Rohrmana już dawniej względem supremacji prawa cechowego do sądów J.K.M-ci Assesorskich zapoznawał, a tenże naodwrot temuz cechowi mandaty wydał i sprawa dotychczas w assesorii wisi, więc każdy, raz obroną drogą iść musi.

Ojciec Gottlieba jest garbarzem i szewcem, a syn jego bez żadnej posesji w ojcowskiej garbarni skóry jedynie takowe jak wszyscy majstrowie cechowi garbarscy, szewcy wyprawiają, wyprawia, a jeśliby też próbę swej wyprawy Prześwietniej Komisji okazał, cech przerzeczony za zaświadczeniem naszym równą odeśle próbę.

Jaśnie Wielmożny Kanclerz Koronny Protektor nasz miłościwy podług przyłączonej kopii Sub. Litt. A nakazał, abyśmy między cechem i Rohrmanem zachodzące sprzeczki załatwili, w tej mierze wszelką staranność dolożywszy, usilne remonstracje stanom zabopolnym bezskutecznie przekładawszy, a na w uporczywości zostającego Rohrmana przytoczony dekret Sub. Litt. B. stanął.

Sumiennie przyznać musimy, iż urzędowe powinności do tegoż dekretu nas zniewoliły, ile zawsze lepiej jednego do cechu inkorporować się, nie chcącego, a przeto upartego, jak część miasta utracić, bo umysł Rohrmana nie inny tylko wszystkie skóry odebrać, uprzywilejowane cechy garbarskie, szewskie, rymarskie, siodlarskie, białoskórnicki itd. doszczętu zniszczyć, wszelkie procedury do życia im wskazać, monopolium sobie wyrobić tym samym tychże wszystkich rzemieślników zagranicę wygnąć, a podobnych do części utraciwszy, tenże Rohrman kontrybucji publicznych i cywilnych za nich płacić nie wydola, ani w stanie. Prześwietną Komisję Rzeczypospolitej Skarbu Koronnego przeto jak najpokorniej upraszamy, aby temu Rohrmanowi żadnej protekcji nie dawała, bardziej Wielmożnemu Superintendentowi prowincjonalnemu zlecić raczyła, iżby przyrzeczeni rzemieślnicy nie na kredyt (jak Rohrman), lecz za gotowe pieniądze do potrzeby swojej skóry nabywać mogli w czym pochlebiając sobie łaskawego wyroku, z najgłębszą zostajemy adoracją Prześwietniej Komisji Rzeczypospolitej Skarbu Koronnego Panów Miłościwych i Protektorów najpokorniejsi pod-

nóżkowie – Burmistrz, Direktor i Radcy Miasta J.K.M-ci Wschowy.
Warszawa, 15 stycznia 1790 r.”²³⁾

Cechy w swym sporze z Rohrmanem nie ograniczały się tylko do protestów utrzymywanych, jak widzieliśmy to wyżej, w bardzo pokornym tonie. Próbowaly w inny sposób podważyć pozycję Rohrmana i poderwać jego opinię jako fachowca, rzekomo wyszkolonego w Anglii. W piśmie do Prezydenta Warszawy Dekerta czytamy m. in., że „...Samuel Bogumił – (spolszczono mu imię W.K.) Rohrman Najjaśniejszą Radę Nieustającą opacznie zainformował, bo zagranicę na wędrownce ani posłał, tylko się w Lesznie uczył, a stamtąd do Wschowy powrócił...”²⁴⁾

„...żadnej nie ma posesji, tylko w domu ojca swego Jerzego Fryderyka Rohrmana garbarza i szewca tutejszego robi i żadnego podatku Rzeczypospolitej nie opłaca...”²⁵⁾

Sporem cechów wschowskich z Rohrmanem zainteresowała się nie tylko Rada Nieustająca, ale i najwyższe osobistości w ówczesnej Polsce. Cechy wystosowały odpowiedni list do marszałka sejmu Stanisława Małachowskiego, w którym prosiły o opiekę, podkreślając równocześnie upór Rohrmana uniemożliwiający ukończenie konfliktu i zmuszający cech do uciekania się na drogę prawną. W zakończeniu listu zaręczali, że „...dobrodziejstwo takowe niewygasną będzie pamięcią, my zaś do zgonu najłaskawszą protekcję pańską na wszelkie skinienia z najgłębszą być nie przestaniemy adoracją, Jaśnie Wielmożnego Pana i Protektora Miłościwego najuniżeńsi podnóżkowie, Burmistrz, Direktor i Radcy Miasta J.K.M-ci Wschowy”.²⁶⁾

W drugim liście cechu również do Stanisława Małachowskiego, znajdujemy charakterystyczne szczegóły przy postępowaniu z Rohrmanem. „Cech garbarski, szewski, zaś z wielką pokorą dotychczas oczekiwania decyzji tej sprawy i zapewnić możemy, że ani gwałtów czynił, bynajmniej, do porywczych kroków się porwał, tym mniej też rady takiej po porywczości słuchał”.²⁷⁾

Wracając ponownie do oceny kwalifikacji fachowych Rohrmana cech specjalnie podkreślał, że nie miał on żadnej fabryki garbarskiej „...ojciec zaś jego jest uprzywilejowanym garbarzem i szewcem, a dla słabości zdrowia gdy rzemiosła nie prowadzi, więc syn jego ojcowskiej garbarni nie inne tylko takie skóry jak wszyscy majstrowie tegoż cechu garbuje...”²⁸⁾

Oprócz listów do Małachowskiego, cech pisał również do Franciszka Barsa, plenipotentą miast prowincji wielkopolskiej – jak go nazywali.

W podpisach na przytoczonych pismach cechowych wymieniony był zawsze burmistrz miasta obok rajców miejskich. Istotnie cech miał poparcie magistratu wschowskiego. Na mocy wyroku sądu wójtowskiego z 7. I. 1790 roku garbarnia Rohrmana miała być opieczetowana aż do rozstrzygnięcia sporów. Zdając sobie jednak sprawę, że naczelne władze państwowe niechętnie patrzyły na monopol cechowy, magistrat i cech donosiły, że wobec Rohrmana nie popełniono żadnego gwałtu, co potwierdzało załączane, jego własne świadectwo w którym czytamy: „Osobiście w dzisiejszej

sesji radzieckiej zapoznany sławetny Samuel Gottlieb Rohrman stanął, który zapytany został, sumiennie zeznać, czyli cech garbarski, szewski, jemu stawiającemu gwałt jakowś kiedyś uczynił, dla którego by gruntowną skargę wnosić mógł, na co zmiarkowany Rohrman przystojnie odpowiedział, że cech garbarski, szewski, żadnej gwałtowności przeciw jemu wypełnił, a z tym i zaskarżenia żadnego w tej mierze ku temuż nie ma, owszem na żądanie to samo przysięgą stwierdzić chce, a dla tym większego dowodu, swoje wyznanie w aktach niniejszych ręką własną podpisał. Samuel Gottlieb Rohrman".²⁹⁾

Ponadto cech wyraził zgodę, aby Rohrman w każdej chwili mógł mieć dostęp do opieczętowanej garbarni dla zabezpieczenia skór od zepsucia.

Spór Rohrmana odbił się głośnym echem w Radzie Nieustającej. Wypadek wschowski postanowiono wyzyskać w celu uregulowania stosunków miejskich we wszystkich miastach. Na polecenie Rady, Departament Policji miał przygotować na najbliższy sejm projekt ustawy o cechach. Na razie zaś wydana przez Departament Policji rezolucja miała regulować stosunki cechowe na terenie Wschowy. Rezolucja uderzała w monopol cechowy, w postanowieniach swoich precyzowała całkowicie nowe dla cechu postulaty, m. in. nakaz przyjęcia do cechu każdego, chcącego uprawiać daną profesję. W tej sprawie ostateczną decyzję przeniesiono na magistrat z apelacją do starosty a następnie do Departamentu Policji.³⁰⁾

Dalej rezolucja znosiła wszelkie specjalne ulgi w cechach dla synów mieszczan wschowskich, uregulowała opłaty, poddając całą rachunkowość cechów pod kontrolę starosty.

Najważniejsze natomiast było stwierdzenie, że ustawy cechowe nie mogą być przeszkodą uniemożliwiającą komukolwiek prowadzenie działalności przemysłowej.

W sprawie natomiast sporu Rohrmana z cechem szewców i garbarzy Rada wydała decyzję następującą: „Ponieważ wyżej wspomniana rezolucja wyraźnie ostrzegła, że cechy nie mogą się dawnymi rządzić ustawami, tylko ile się te nie sprzeciwiają zamiarowi rozkrzewienia przez wolność rękodziel i handlu, zaczyn przywileje cechu wschowskiego we Wschowie, nie mogą być na zawadzie sławetnemu Rohrmanowi do założenia garbarni angielskiej”.³¹⁾

Zwycięstwo Rohrmana możemy śmiało przyjąć jako pewnego rodzaju symbol. Kończył się ustrój feudalny ze swą skostniałą organizacją życia gospodarczego, nadchodził nowy ustrój z innymi formami. Jak w każdym momencie przejściowych nie brakło konfliktów. Wschowa dostarczyła nam ciekawego przykładu starcia przestarzałych organizacji gospodarczych z tworzącymi się dopiero nowymi. Jedne były już przeżyte, drugie ledwie rozpoczynały życie. Konsekwencje takiego stanu rzeczy są zbyt skomplikowane, aby możliwym było ujęcie ich w najbardziej nawet syntetycznym skrócie.

ZAKOŃCZENIE

Omówiony tu epizod z dziejów cechów wschowskich wykracza swoją specyficzną tematyką poza ramy historii regionalnej. Jeszcze raz potwierdza się zasada, że badania nad historią poszczególnych regionów mogą dostarczyć materiału spełniającego rolę istotnej części wielkiej syntetycznej całości. Mogą niejednokrotnie być ilustracją ogólnych procesów rozwojowych, szczególnie silnie zaznaczających się w pewnych zamkniętych regionach.

Niestety, brak źródeł, szczególnie dotkliwy jeżeli chodzi o Wschowę końca XVIII wieku, nie pozwolił na szczegółowe rozpatrzenie interesującego konfliktu pomiędzy cechami, a młodym, rozpoczynającym dopiero swą karierę kapitalistą.

Jeżeli praca niniejsza zwróci przynajmniej uwagę bardziej kompetentnych badaczy na problem konfliktu pomiędzy cechami i pojawiającymi się formami kapitalistycznymi, autor będzie uważał, że spełniła swoją rolę, mimo poważnych braków, wynikających m. in. z ograniczonego wyłącznie do cechów tematu.

Dodatkowa rola, o spełnieniu której marzy autor, to wypełnienie choć w minimalnym stopniu luki, jaka wciąż istnieje w badaniach nad naszym regionem. Jeżeli ta praca znowu choć w skromnym zakresie ułatwi poznanie dziejów środkowego Nadodrza, z jego najdalej na wschód wysuniętymi pod regionami, a mieszkańcom miasta niegdyś królewskiego – Wschowy pokaże mały wycinek jej historii, długiej i ciekawej, autor będzie uważał, że spełnił swój społeczny obowiązek wobec najbliższej ojczyzny – regionu lubuskiego.

P R Z Y P I S Y

1. Jan Dąbrowski, „Dzieje Polski średniowiecznej”, t. II (od r. 1333 – 1506) Kraków 1926 str. 47.
2. Antoni Mączak, „Sukiennictwo wielkopolskie” XIV – XVII, Warszawa 1955, str. 267.
3. Antoni Mączak j. w. str. 267.
4. Zdzisław Kaczmarczyk, „Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry”, Poznań 1947, str. 151.
5. Jan Ptaśnik, „Miasta i mieszczaństwo w dawnej Polsce”, Warszawa, 1949 wyd. II str. 288.
„Do wielkiego rozkwitu wtedy dochodzą miasta zasilone nowym przybyśmem niemieckim. Wschowa, Leszno i inne. Niewątpliwie pod względem materialnym zyskiwał wiele kraj, bo w granicach jego powstawał potężny przemysł sukienny, który skutecznie rywalizował z obcym, zwłaszcza angielskim. Skarży się też pod rokiem 1650 gdańszczanin Jan Kostner, że dawniej Anglicy przywozili do Gdańska w wielkiej ilości sukno, na czym 3 miliony guldenów rocznie miasto zarabiało, obecnie wszystko się skończyło, bo teraz we Wschowie, Lesznie i innych miastach wyrabia się sukno nie tylko z każdym dniem lepsze, ale i tańsze”.
6. Antoni Mączak j. w. str. 192.

7. Janusz Deresiewicz, „Z badań nad początkami układu kapitalistycznego w przemyśle poznańskim w drugiej połowie XVIII wieku”, *Przegląd Zach.* nr 9/10 1951.
8. Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Zielonej Górze, akta m. Wschowy „Correspondence” Nr 142.
9. Guntram Rolbiecki, „Prawo przemysłowe miasta Wschowy w XVIII w”. Poznań 1951 rok str. 1-2.
10. Jak pod 9.
11. Janusz Deresiewicz j. w.
12. Guntram Rolbiecki j. w. str. 504.
13. Cytowane dalej: G. Rolbiecki.
14. Por. dyskusję nad referatem J. Deresiewicza, *Przegl. Zach.* Nr 11/12 1951, wypowiedź Witolda Kuli.
15. Jan Ptaśnik j. w. str. 326 – 328.
16. G. Rolbiecki j. w. str. 60.
17. G. Rolbiecki j. w. str. 65.
18. G. Rolbiecki j. w. str. 103 – 104.
19. A. Mączak, H. Samsonowicz, B. Zientara „Z dziejów rzemiosła w Polsce” – Warszawa 1954 „Wiedza Powsz.” str. 32.
20. Jerzy Topolski, „Rozkład feudalizmu i powstawanie kapitalizmu w Polsce w drugiej połowie XVIII wieku”. Materiały i studia t. I Inst. Nauk. Społ. przy KC PZPR, Książka i Wiedza 1954.
21. Jerzy Michalski, „Zagadnienie polityki antycechowej w oczach Stanisława Augusta”, *Przegląd Histor.* t. XIV z 4 str. 635 – 651.
22. por. J. Michalski j. w.
23. Wojew. Arch. Państw. w Zielonej Górze, Akta m. Wschowy „Correspondence” nr 142.
24. Jak pod 23.
25. Jak pod 23.
26. Jak pod 23.
27. Jak pod 23.
28. Jak pod 23.
29. Jak pod 23.
30. J. Michalski, jak pod 21.
31. J. Michalski, j. w.

Niniejsza praca jest próbą popularno-naukowego przedstawienia ważniejszych epizodów z przeszłości Szprotawy i okolic bez szerszej analizy i polemiki z dotychczasową literaturą na ten temat, głównie niemiecką. Próby polemiki występują tu jedynie przy problemie polskiej tradycji Szprotawy fałszowanej, względnie przemilczanej, w opracowaniach niemieckich.

Od roku 1908 w którym to ukazała się praca F. Matuszkiewicza (Niemca polskiego pochodzenia) pt. „Geschichte der Stadt Sprottau” nie ukazało się żadne opracowanie, które omawiałoby szerzej ten problem. Brak takiego opracowania odczuwa się zwłaszcza ostatnio, kiedy wzrosło zapotrzebowanie na prace historyczne dotyczące poszczególnych regionów Ziemi Zachodnich. Szkic niniejszy ukazuje się w związku z obchodzoną w 1960 roku 700-letnią rocznicą uzyskania praw miejskich przez Szprotawę.

Do roku 1000 nie posiadamy żadnych wiadomości pisanych o mieszkańcach terytorium dzisiejszego powiatu szprotawskiego. Wiemy tylko, że teren ten za mieszkany był przez ludność słowiańską, przez plemię Dziadoszan. Liczne wykopaliska w XIX wieku (1800, 1816, 1825, 1876) z terenu miasta Szprotawy oraz okolicznych wsi: Zarzecza, Puszczykowa, Witkowa, Suchej Dolnej, w postaci urn z prochami, broni, narzędzi, naczyń i kości, świadczą o bardzo dawnym osadnictwie na tym terenie. Niektórzy autorzy odnoszą te znaleziska do V – X stulecia nowej ery.

Pierwszą wzmiankę historyczną dotyczącą okolic Szprotawy spotykamy u niemieckiego kronikarza Thietmara z 1000 roku.

Z przeszłości Szprotawy

Biskup Thietmar towarzyszył w 1000 roku pielgrzymce cesarza niemieckiego Ottona III do Gniezna i w swej kronice opisał spotkanie Ottona III z Bolesławem Chrobrym na granicy państwa polskiego w Iławie (Ilua). Iława jest dziś przedmieściem Szprotawy. Zachowały się tu nad Bobrem resztki wału grodowego, a do początku XIX wieku dochowały się ruiny zamku. Na wzgórzu, na terenie dawnego grodu stoi kamienny kościół romański z połowy XIII wieku. W kościele zachował się piękny portal romański, a wewnątrz z ciekawszych zabytków wymienić można chrzcielnicę: romańską i gotycką oraz późnogotycki tryptyk i rzeźbę pasji na tarczy. Z opisu Thietmara wyraźnie wynika, że spotkanie to odbyło się na ziemi polskiej, a więc jest to świadectwo wczesnej polskości tych ziem. (Pięknie opisał to spotkanie w swej powieści pt. „Bolesław Chrobry” A. Gołubiew). Jak głoszają stare legendy Bolesław Chrobry i Otton III mieli w swej podróży odpoczywać pod stojącym do dziś dnia tysiącletnim dębem. Dąb ten zwany popularnie „Chrobrym” stoi blisko szosy Szprotawa – Przemków we wsi Piotrowice.

Thietmar nie wspominał nic o Szprotawie, ale to nie świadczy, że nie było wówczas jeszcze śladu grodu, gdyż nie wspominał poza Głogowem również i o innych grodach, przez które przejeżdżali.

Wyjątkowo korzystne położenie, przemawia za bardzo wczesnym osadnictwem na tym terenie. Miejsce wzniesione w widłach Bobru i rzeki Szprotawy otoczone puszcą i bagnami, a równocześnie leżące na szlaku wiodącym, rzadszą w tej okolicy puszcą, z dorzecza Łaby, z Saksonii i Miśni do Głogowa i Wielkopolski, szlaku wiodącym przez bród na Bobrze w Iławie, było bardzo dogodnie pod budowę grodu, względnie osady.

Mimo, że do połowy XIII wieku nie spotykamy dalszych pewnych wzmianek o Szprotawie, to jednak biorąc pod uwagę liczne wzmianki o Iławie i wykopaliska, możemy śmiało stwierdzić, że teren dzisiejszej Szprotawy był zamieszkały.

Śląski Niemiec, historyk Joachim Cureus pisał w 1571 roku w swoich „Rocznikach” o wczesnym pochodzeniu piastowskiego zamku w Szprotawie. Sądził on, że zamek ten powstał jeszcze w XII wieku.

Tenże Cureus pisał również, że nazwa Szprotawa i nazwy okolicznych wsi są polskie. Ten fakt jest o tyle znamienity, że Cureus znany jest ze swego antypolskiego nastawienia.

Również inny Niemiec, Mateusz Merian, w swej topografii Śląska wydanej w 1650 roku twierdził, że nazwa „Szprotawa” jest polska.

Uczony polski M. Rudnicki, nazwę „Szprotawa” wywodzi od rzeki Szprotawy, a mianowicie od rdzenia staropolskiego: pręt, pront, prąd, prędki z dodawanym na początku s, co się często spotykało np. Swidnica-widnica, Swidny-widny itp. Szprotawa oznaczać ma nazwę rzeki: szybka, prąca naprzód.

Trudno przychodzi ustalić datę otrzymania praw miejskich przez Szprotawę. Jedni uczeni wymieniają tu rok 1260, inni 1263, a jeszcze inni twierdzą, że musiało to nastąpić wcześniej, w latach 1253 – 1260. Trudność

oznaczenia dokładnej daty lokacji miasta Szprotawy wynika z tego, że nie zachował się ani w oryginale, ani w odpisie akt lokacyjny.

Zaginął on podczas pożaru miasta wkrótce po lokacji, a odnowiony został dopiero 15 lipca 1304 roku. Pewne jest natomiast, że już w 1260 roku, Szprotawa występowała jako *civitas* (miasto). Dowiadujemy się tego z dokumentu wystawionego w Szprotawie 1 grudnia 1260 roku przez duchownego Witalisa z zakonu Dominikanów.

Ogłasza on odpust 40-dniowy za odwiedzenie ołtarza św. Marii w szprotawskim kościele. Równocześnie wzywa on do daniny na rzecz kościoła w wysokości jednego korczyka pszenicy i owsa z łanu. Dokument ten wymienia również następujące wsie: Szprotawka (*Sprotauia*), Wiechlice (*Uechlic*), Cieciszów (*Cecis*), Dziećmiarowice (*Dettrihej*), Leszno (*Lesin*), Sieraków (*Cirakou*), Bobrouice (*Bobrouice*) i Kopernia (*Cupera*).

Lokacja Szprotawy i innych miast okolicznych, wiąże się ściśle z osobą Konrada, syna Henryka Pobożnego, poległego w bitwie z Tatarami.

Tenże Konrad Głogowski rozpoczął panowanie w swej dzielnicy od wprowadzenia na szerszą skalę lokacji na prawie niemieckim i od sprowadzenia pewnej ilości osadników niemieckich, głównie kupców i rzemieślników.

I tak w 1253 roku otrzymała lokację stolica księstwa Głogów, a następnie inne miasta w księstwie. Od Głogowa prawa miejskie przejęła Szprotawa. Istniał bowiem zwyczaj, że miasto otrzymujące lokację na prawie niemieckim, szukało sobie wzoru u innego miasta i dopiero za jego zgodą takie prawo wprowadzało.

Od Szprotawy wzór lokacji przejęło w roku 1290 miasto Wąsosz.

Datę lokacji określa rok lokacji Głogowa i rok 1260, w którym Szprotawa występuje już jako miasto.

Niemiecki historyk Matuszkiewicz, autor monografii Szprotawy wydanej w 1908 roku, pisząc o lokacji miasta, wyraźnie stwierdzał, że koloniści niemieccy przyszli do „bis dahin polnischen Sprottau” (dotąd polskiej Szprotawy) i nazywa Szprotawę „die Uralte Slavische Ortschaft” (prastara słowiańska miejscowość). Podkreśla wyraźnie, że koloniści niemieccy rozpoczęli budowę miasta tam, gdzie przedtem istniała polska osada.

Obok osady, kościoła, istniał również stary gród kasztelański. Kasztelan od czasu kolonizacji niemieckiej sprawował władzę sądową nad Polakami, a władzą dla Niemców był sąd wójtowski.

Fakt istnienia grodu kasztelańskiego i oddzielnej władzy sądowej dla Polaków, wskazuje na liczne polskie osadnictwo na tym terenie, zarówno w Szprotawie jak i w okolicznych wsiach.

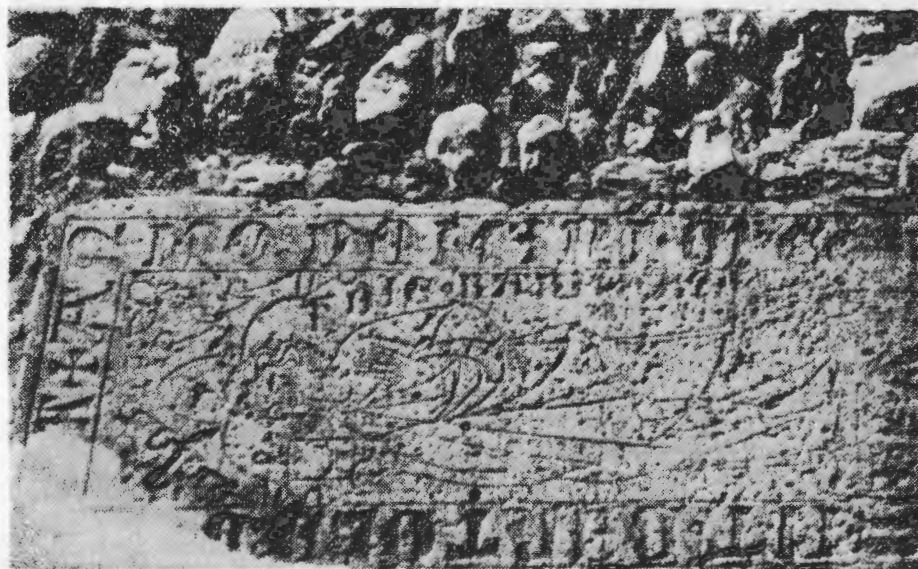
Po otrzymaniu przywileju lokacyjnego od księcia, mieszczanie przystąpili do urządzenia miasta zgodnie z warunkami lokacji.

Przy budowie miasta wytyczono pierw kwadratowy plac na rynek. Z każdego narożnika rynku wychodziły dwie ulice w kierunku murów. Dalsze ulice biegly równolegle do ścian rynku. W rynku pobudowano ratusz, w którego dolnej części mieściły się kramy kupieckie. Dookoła rynku pobudowano domy. Obok ratusza umieszczono pręgierz, który stał na miej-



Dokument z roku 1260, w którym pierwszy raz wymieniona jest Szprotawa.

(Fot: Archiwum)



Płyta nagrobna duchownego szprotawskiego Bertolda z Wierzba z roku 1316, umieszczona w północnej ścianie kościoła parafialnego w Szprotawie. Jest to najstarszy zabytek tego typu na Ziemi Lubuskiej i jeden z najstarszych w Polsce.

(Fot: Jan Wojtaszek)

scu dzisiejszej fontanny przy zachodniej ścianie ratusza. W pobliżu rynku stał kościół. Ten układ miasta zachował się zresztą do dziś.

Cale miasto otoczono następnie głębokim rowem oraz wałem z palami ostro zakończonymi. Mur obronny zbudowano dopiero w XIV wieku.

Do miasta prowadziły dwie bramy: Głogowska, zwana początkowo glinianą, oraz Żagańska, zwana kamienną.

Poza obrębem miasta leżały pola i ogrody miejskie. Do miasta należało 30 łanów ziemi (łan – ok. 30 mórg) oraz 5 łanów pastwisk. Miasto posiadało również dwa młyny na Bobrze i na Szprotawie oraz prawo połowu ryb pół mili w dół i pół mili w górę Bobru. Do miasta należał również las wraz z pastwiskiem, ciągnący się aż do wsi Leszno Dolne.

Kupcy i rzemieślnicy mieli zagwarantowane przez księcia prawo, że w obrębie jednej mili (ok. 7.500 m) tylko oni mogą produkować i sprzedawać swoje towary, a ludność mieszkająca w tych granicach tylko u nich może się we wszystkie towary zaopatrywać, a nie gdzie indziej. Ta mila musiała być często przekraczana, skoro w jej obrębie spotykamy nawet wsie powiatu... lubińskiego w XIII wieku.

Jedynie raz w roku, w czasie jarmarku (do 1583 roku w Szprotawie odbywał się tylko raz w roku jarmark, w czwartek po Bożym Ciele) byli na rynek dopuszczani obcy kupcy, którzy za dość wysoką opłatą mogli sprzedawać swoje towary. Sprzedaż ta mogła odbywać się dopiero po godzinie 12-tej, podczas gdy miejscowi kupcy, mogli sprzedawać już od rana.

Miasto za otrzymane przywileje i lokację musiało po upływie pewnego czasu płacić księciu roczną daninę.

Władzę sądową sprawował w mieście wójt dziedziczny z udziałem ławników. Mogli oni rozstrzygać wszystkie sprawy karne i cywilne za wyjątkiem trzech przestępstw: gwałtu, napaści na dom i rozboju na drogach. Te trzy sprawy podlegały sądownictwu książęcemu.

Wójt z tytułu swych obowiązków czerpał specjalne dochody. Posiadał 9 łanów ziemi, folwark oraz pobierał część opłat z podatków i kar pieniężnych.

Władzę administracyjną w mieście sprawował burmistrz wybierany podobnie jak i radni raz w roku, w środę popielcową, przez wszystkich mieszczan. Do rady należała w szczególności troska o bezpieczeństwo, porządek i zabezpieczenie miasta przed pożarami.

Ludność miejska w XIII wieku obok uprawy roli, zajmowała się sukiennictwem, piwowarstwem i rybołówstwem.

Spotykamy tu również rzeźników, piekarzy, krawców i szewców.

Obok miasta istniał gród kasztelański. Kasztelan reprezentował interesy księcia oraz sprawował władzę sądową w imieniu księcia.

Tak wyglądało miasto i jego życie krótko po lokacji. Rozwój jego został wkrótce zahamowany przez pożar, jaki miał miejsce niedługo po lokacji. Miasto szybko się jednak odbudowało. Podobnie i później po każdej klęsce, szybko wracało do dawnej świetności i dalej się rozwijało.

W drugiej połowie XIII wieku rozpoczęła się również kolonizacja na wsi szprotawskiej. Obok starych polskich wsi, powstawały nowe, zamieszkałe w większości przez Niemców. Wsi tych było jednak niewiele.

Burżuazyjni uczeni niemieccy zaliczali do wsi niemieckich wszystkie wsie założone na prawie niemieckim, ale pamiętać trzeba, że wiele wsi powstałych na prawie polskim (*ius polonicus*) przechodziło w tym czasie na prawo niemieckie.

Jak powstawały nowe wsie? Założyciel wsi (łac. *locator*) po otrzymaniu od księcia prawa założenia wsi, wytyczał na oznaczonym terenie, prostą linię, ulicę, a po jej obu stronach koloniści budowali zagrody (ulicówka). Za zagrodami ciągnęły się kawałki ziemi (łany). Każdy kolonista otrzymywał jeden łan, za wyjątkiem sołtysa (*locatora*), który gospodarzył na większej ilości łanów. On też reprezentował władzę na wsi. Razem z siedmioma ławnikami sądził mieszkańców wsi oraz zbierał podatki. Za swe obowiązki zatrzymywał dla siebie jedną trzecią wpływów wszystkich kar, a ponadto jedną szóstą podatków.

Na wypadek wojny, sołtys musiał się stawiać konno do dyspozycji księcia.

Na ziemi szprotawskiej powstało dość dużo wsi na prawie niemieckim, ale większość była pochodzenia polskiego. Sądząc z typowej budowy oraz innych źródeł, do wsi założonych przez kolonistów niemieckich zaliczyć można: Kartowice, Witków, Długie, Mycielin, Gościeszowice, Niegosławice, Borowinę, Piotrowice, chociaż wykopaliska i znaleziska z okolic Witkowa i Mycielina wskazują, że przed wsiami na prawie niemieckim istniały tam już osady słowiańskie. Nazwy ich pochodzą bądź od sołtysów założycieli, bądź wywodzą się od sąsiednich wsi polskich z dodaniem określenia *Neu* (nowy), *Gross* (wielki) wzgl. *Deutsch* (niemiecki). Przedrostki te często spotykało się przy nazwach miejscowości na Śląsku.

Na przykład w dokumentach z 1295 roku występuje jedna *Ylavia* (Iława). Natomiast w roku 1318 występuje już *Ylavia slavica* (polska Iława) w odróżnieniu od *Ylavia magna* (niem. *Gross-Eulau*), która powstała w międzyczasie. Podobnie jest i z Długiem. W 1295 roku występuje w dokumentach „*Henrici villa polonialis*”, a po roku 1299 spotyka się już nową wieś nazywaną przez Niemców *Heinersdorf*.

Większość jednak wsi, mimo przejścia na prawo niemieckie, zachowała zarówno swój dawny wygląd, a więc wieś o kształcie raczej owalnym z placem na środku (typ okolicy) oraz polską nazwę zniekrztalconą później przez Niemców i dostosowaną do ich wymowy.

Do takich wsi należą niewątpliwie: Iława, Leszno Dolne, Zarzecze, Małomice, Dziećmiarowice, Bobrowice, Lubiechów Polkwiczki, Sieraków, Wiechlice, Bukowiec, Stara Jabłona, Cieciszów, Rudziny i inne.

Niemieccy historycy badający tę część Śląska podkreślali, że wsie te długo zachowały polski charakter.

W drugiej połowie XIII wieku, a mianowicie w 1280 roku lokację na prawie niemieckim otrzymał również Przemków. Prawo miejskie zawdzięcza on księciu Przemkowi I Szprotawskiemu i od niego przyjął swą nazwę. W dokumentach z XIII i XIV wieku występuje on pod nazwą *Primislavia*, *Prymikau*, *Prympkenaw*, *Primke* i in.

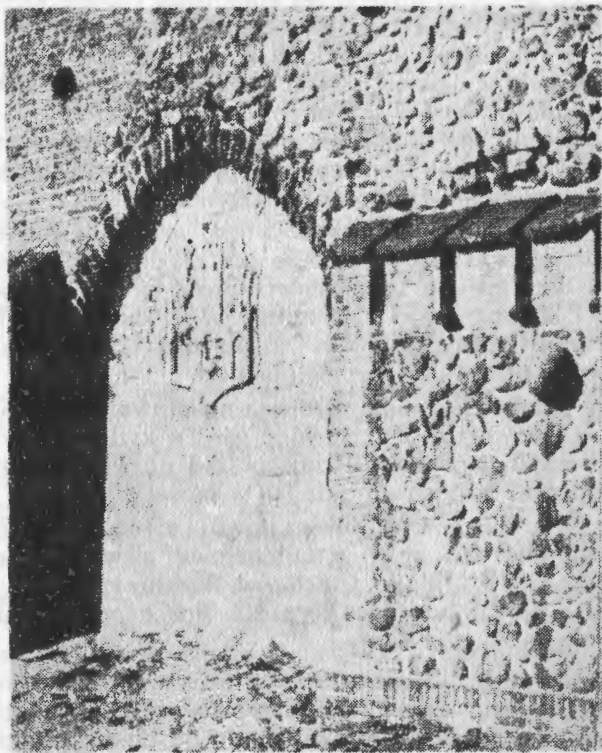
Pamiętać trzeba, że wszystkie dokumenty do XVI wieku pisane są po łacinie, a nie po niemiecku.

Do Przemkowa należało w XIII wieku 10 wsi, a wśród nich Krempa, Piotrowice, Młynowo, Wysoka i inne. Wsie te zobowiązane były wszystko kupować i sprzedawać w Przemkowie.

Mimo posiadania wszelkich uprawnień miejskich, władzę sądową nad Przemkowem i okolicznymi wsiami, sprawował sąd w Szprotawie.

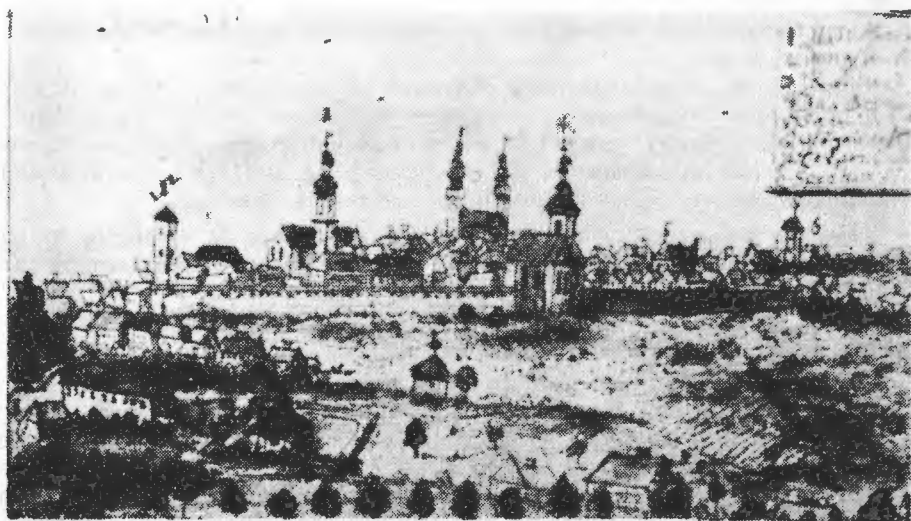
Założyciel Szprotawy, książę Konrad I zmarł w 1274 roku, Przedtem w 1272 roku księstwo jego zostało przez biskupa wrocławskiego Tomasza obłożone interdyktem (zakaz odprawiania nabożeństwa), za ociąganie się z płaceniem dziesięciny na rzecz kościoła. W 1273 roku, za nieprzestrzeganie interdyktu, zostało ekskomunikowanych kilku duchownych z okolic Szprotawy.

Konrad zostawił trzech synów, Henryka III, Konrada II i Przemka I. Szprotawa wraz z Żaganiem, Ścinawą, Kozuchowem przypadła w udziale Przemkowi. Książę ten odegrał dość dużą rolę w historii Polski, gdzie jest znany jako „dux sprotaviensis” (książę szprotawski) i mimo, że siedzibę swą miał w Ścinawie, określany jest przez historyków jako Przemko Szprotawski.



Fragment murów obronnych w Szprotawie i Brama Żagańska.
Widoczne w murze kule pochodzą z okresu oblężenia miasta przez Węgrów w 1488 roku.

(Fot: Jan Wojtaszek)



Panorama Szprotawy wg ryciny z XVIII wieku.

(Fot: Archiwum)

Dzięki niemu Szprotawa jest szerzej znana historykom polskim i innym.

Przemko był zwolennikiem Henryka IV Probusa, księcia wrocławskiego i popierał jego kandydaturę do korony polskiej. Popierał dość gorliwie i razem ze swoim rycerstwem wyruszył na czele sprzymierzeńców Henryka do Krakowa bronić tam jego praw do korony.

W drodze powrotnej zginął jednak 26 lutego 1289 roku w bitwie pod Siewierzem, gdzie spotkał się z oddziałem Władysława Łokietka, który już wówczas walczył o koronę polską. Jego bohaterska, a zarazem okrutna śmierć (został zabity po odarciu ze zbroi), opisana jest dokładnie w starych rocznikach polskich.

Przemko pochowany został pod posadzką klasztoru w Lubiążu, gdy przedtem ofiarował temu klasztorowi dwie wsie. Na płycie nagrobkowej widnieje napis łaciński, który w tłumaczeniu polskim brzmi: „Cokolwiek w darze dał Bóg i natura Polakom wzniosłego i cnotliwego to Przemka było udziałem”.

Szprotawa zawdzięcza więc Przemkowi z jednej strony rozgłos, a z drugiej strony lokację Przemkowa i fundację wielu kościołów.

Po śmierci Przemka, Szprotawa przeszła w posiadanie jego brata, księcia Konrada II. Na okres jego panowania przypadł dalszy rozwój Szprotawy. W 1299 roku pewien mieszczanin szprotawski, kupił prawo pobierania cła w Szprotawie i okolicy za sumę 145 grzywien, co również przyczyniło się do rozwoju miasta.

W 1304 roku, Konrad II w czasie pobytu na zamku szprotawskim, wydał na prośbę mieszczan szprotawskich znane już potwierdzenie dotychczasowych przywilejów. Oprócz przywileju lokacyjnego, Szprotawa otrzy-

mała od tegoż księcia prawo prowadzenia handlu solą oraz prawo do własnej miary i wagi.

Na lata te przypadł również początek szprotawskiej mennicy. W każdym bądź razie za panowania następcy Konrada II (zm. 11 października 1304 roku), jego brata Henryka III, w szprotawskiej mennicy bito już monety.

Do czasów międzywojennych zachowały się trzy typy szprotawskich kwartników, znanych powszechnie nauce polskiej i niemieckiej.

Monety te przedstawiają z jednej strony głowę w książęcej mitrze (prawdopodobnie głowę Henryka III), a z drugiej strony rozetę, symbol patronki miasta N. Marii Panny.

Od Henryka III Szprotawa otrzymała nowe przywileje. Np. w 1306 roku miasto otrzymuje dalszych 50 łanów ziemi.

Henryk III zmarł 15 grudnia 1309 roku zostawiając pięciu synów: Henryka IV, Konrada, Jana, Przemka i Bolka. Władzę w księstwie objęła wdowa po księciu Mechtylda razem z Henrykiem IV, gdyż pozostali synowie byli małoletni.

Był to zarazem okres coraz bardziej pogłębiającego się rozdrobnienia feudalnego. Henryk III umierając, zostawił po sobie dzielnicę, w skład której wchodziły oprócz ziemi głogowskiej z Żaganiem i Szprotawą, również Kalisz, Poznań, Gniezno i inne. Kilka lat później, z wielkiego księstwa, pozostały tylko drobne ksiąstewka.

Nowy podział księstwa głogowskiego miał miejsce 29 lutego 1312 roku. Konrad i Bolko otrzymali Oławę, Kalisz i Gniezno wraz z Wołowem, Lubiążem, Wąsoszem, Miliczem, Trzebnicą, Namysłowem, Bolesławcem i in.

Henryk IV, Jan I i Przemko II otrzymali: Poznań, Żagań, Szprotawę, Ścinawę, Lubin, Zieloną Górę, Krosno Odrzańskie, Kościan, Śrem, Oborniki, Gostyń, Wschowę i inne.

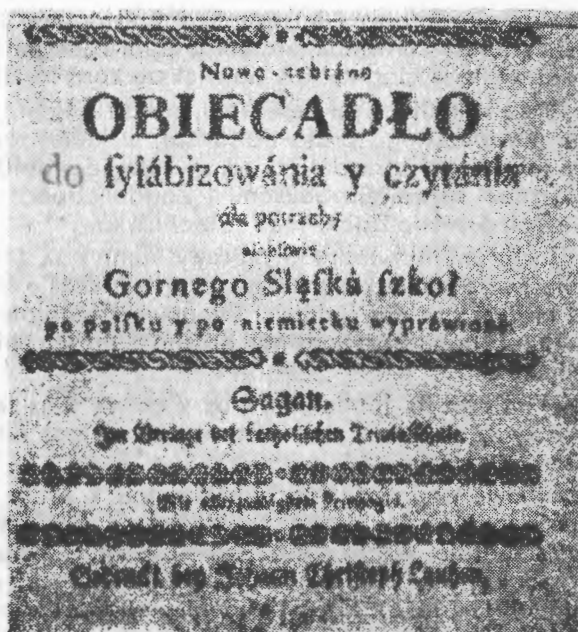
Wdowa Mechtylda otrzymała jako dożywocie Głogów, Bytom, Koźuchów i Przemków.

Początek XIV wieku, to okres systematycznego wzbogacania się miast śląskich i idący w parze z tym upadek znaczenia władzy drobnych książąt dzielnicowych. Pod względem ekonomicznym miasta były już wówczas silniejsze od niejednego księcia, właściwego władcy miast. Niektórzy książęta chcąc ratować swoją sytuację ekonomiczną, wydzierżawiali miasta, a ściśle mówiąc niektóre uprawnienia w stosunku do nich, bogatym rycerzom i właścicielom ziemskim, związanym z dworem księcia.

Podobny los spotkał również Szprotawę, którą w 1312 roku dzierżawił Wolfram Pannewicz, kasztelan szprotawski z lat 1296 – 1311. Po nim dzierżawę przejął Henryk Biberstein (1314 – 1317).

W 1320 roku nastąpił dalszy podział księstwa głogowskiego, a zwłaszcza jego zachodniej części.

Przemko II otrzymał Głogów, Jan I Ścinawę i Zieloną Górę, Henryk IV Żagań i Szprotawę. 29 kwietnia 1329 roku Jan Ścinawski uznał się lennikiem króla czeskiego Jana a wkrótce po nim, to samo uczynił Henryk IV (10 maja 1329 roku). Henryk wśród swoich posiadłości – grodów – wymienił w dokumencie lennym Szprotawę i Małomice. Jest to jedna z pierwszych wzmianek o Małomicach.



Elementarz do nauki języka polskiego drukowany w Żaganiu w XVIII wieku.

(Fot: Archiwum)

Jeśli chodzi o wypadki polityczne dotyczące Szprotawy w XIV wieku i w pierwszej połowie XV wieku, to nie ma tu wiele ciekawego do odnotowania, w odróżnieniu od spraw ekonomicznych i społecznych.

Wśród władców Szprotawy, trzeba w tym okresie wymienić Henryka IV (1320 – 1342), Henryka V Żelaznego (1342 – 1369). W latach 1369-78 problem władcy w księstwie głogowskim był dość skomplikowany, gdyż synowie Henryka V nie mogli dojść do porozumienia między sobą. Do ugody i podziału doszło wreszcie w 1378 roku, w wyniku czego Szprotawa, Koźuchów, Zielona Góra, Przemków, Sława i Sulechów, przypadły Henrykowi VIII. Pozostałe ziemie otrzymali Henryk VI (Żagań) Henryk VII Głogów, Scinawę i Górę.

Po śmierci Henryka VI (1393) i Henryka VII (1394) ziemie ich przypadły władcy Szprotawy, Henrykowi VIII. Ten jednak wkrótce w 1397 roku zmarł, zostawiając czterech małoletnich synów, w imieniu których władzę sprawował Ruprecht z Legnicy. Po dojściu do pełnoletności, władzę kolejno sprawowali Henryk X, Jan I, Henryk IX i Henryk XI.

W okresie panowania Jana I, na początku XV wieku, Szprotawa bardzo się rozwijała, otrzymała nowy przywilej bicia monety (1404), kupiła od księcia okoliczne wsie, stając się jak gdyby bankiem książęcym.

Po śmierci Jana I w 1439 roku doszło znów do walk między Piastowiczami, a zwłaszcza między Henrykiem IX i synami Jana I, Janem II i Bałtazarem.

Jan II, to znany awanturnik i intrygant drugiej połowy XV wieku. Lawirując między Maciejem Korwinem, królem Węgier i Jerzym z Podiebradu, królem Czech, starał się wyciągnąć jak największe korzyści dla siebie.

W 1472 roku po kilkudniowym oblężeniu, zdobył Żagań, paląc go przy tym i biorąc do niewoli swego brata Baltazara, w której ten wnet zmarł. W tymże samym roku Jan II sprzedał Żagań za 55 tysięcy guldenów węgierskich, swoim kuzynom księżętom Saksonii i Żagań odpadł z tą chwilą z księstw piastowskich przechodząc w ręce saksończyków.

W międzyczasie umarli władcy Szprotawy Henryk IX (1467) i Henryk XI – (1476). Księstwo głogowskie przeżywało w tym czasie kryzys polityczny. Zbliżały się ciężkie dni dla ludności Głogowa, Szprotawy, Kozuchowa Zielonej Góry, Sulechowa, Świebodzina, Krosna i innych miast wchodzących w skład księstwa.

W księstwie należącym formalnie wraz z całym Śląskiem do korony czeskiej, ukształtowały się cztery stronnictwa, popierające czterech pretendentów do korony książęcej.

Jedno stronnictwo popierało Macieja Korwina – króla węgierskiego, roszczonego sobie prawo do Śląska, uważającego się również za króla Czech. Drugie popierało Władysława Jagiellończyka, syna króla Polski Kazimierza Jagiellończyka. (Władysław był królem Czech, a następnie i Węgier w latach 1471 – 1516). Trzecie stronnictwo opowiadało się za margrabią brandenburskim występującym w interesie swej córki Barbary, wdowy po Henryku XI. Inni wreszcie popierali wspomnianego już Jana II, który po sprzedaniu Żagania był jak go nazywano „Janem bez ziemi”. Jan w międzyczasie pustoszył wraz z zorganizowanym przez siebie oddziałem rycerzy – rabusiów wsie Wielkopolski i Śląska.

W 1476 roku Jan zjawił się nagle 11 grudnia wraz ze swym oddziałem pod murami Szprotawy. Można sobie wyobrazić przestрах mieszkańców miasta na widok oddziałów osławionego Jana. Szprotawa przeżyła sama niedawno pożar (1472) a poza tym miała w pamięci rozprawę Jana z Żaganiem w 1472 roku, to też po krótkim namyśle mieszcianie Szprotawy wpuszcili Jana bez walki do miasta.

Jan potwierdził wkrótce wszystkie przywileje miastu oraz uczynił Szprotawę swoją stolicą aż do 1481 roku.

Wkrótce po Szprotawie, Jan zdobył również i pozostałe miasta w księstwie, a w 1481 roku został oficjalnie uznanym przez Macieja Korwina i nuncjusza papieskiego – księciem głogowskim.

Ludność księstwa głogowskiego, a zwłaszcza miejska ponosiła cały ciężar wojen Jana II, a głównie wojny z Brandenburczykami. Jan został uznany księciem głogowskim przez Macieja Korwina pod warunkiem, że w wypadku śmierci Jana bez potomka męskiego, księstwo przypadnie Maciejowi. Warunek ten był zrozumiały, skoro weźmiemy pod uwagę fakt, że Jan był już w podeszłym wieku, a miał tylko cztery córki (jednej z nich Margarecie zapisał Szprotawę).

Chcąc ominąć ten warunek, Jan wydał swoje trzy córki za wnuków Jerzego z Podiebradu, czyniąc ich swoimi spadkobiercami. W tej sytuacji

doszło znów do ciężkiej wojny, tym razem z Maciejem Korwinem. W 1488 roku oddziały węgierskie zdobyły Głogów, zwyciężając Jana, wspomagającego przez zięciów.

Po klęsce głogowskiej, Jan zbierał nowe siły w Szprotawie, próbując odbić Głogów. Zwracał się nawet o pomoc do króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka.

16 listopada 1488 roku, udało mu się wreszcie zdobyć Głogów, co jednak nie wyszło na korzyść Szprotawie, gdyż Węgrzy wyparci z Głogowa, ruszyli wprost na Szprotawę, plądrując po drodze okolice. Niewiele było zresztą już w okolicy do splądrowania, gdyż wsie były już doszczętnie ograbione przez Czechów, walczących pod wodzą czeskich zięciów Jana II.

Oblężenie Szprotawy było bardzo ciężkie, gdyż Węgrzy dysponowali dużą ilością dział, które poczyniły duże szkody w murach miejskich i długo można było oglądać ślady pocisków, a nawet same pociski w murach i basztach.

30 grudnia 1488 roku, mieszczanie, nie chcąc narażać miasta na większe straty, po otrzymaniu zapewnień od Węgrów, że nie uczynią szkody miastu i jego mieszkańcom, poddali miasto.

Zamek szprotawski bronił się jednak nadal i dopiero 3 stycznia 1489 roku kasztelan szprotawski poddał twierdzę.

W styczniu 1489 roku całe księstwo głogowskie poddało się królowi węgierskiemu. Ostatni Piast z linii głogowskiej Jan II musiał uchodzić z księstwa i umarł na obczyźnie w 1504 roku.

W 1490 roku umarł król węgierski Maciej Korwin i Śląsk wraz z Głogowem i Szprotawą przypadł Władysławowi Jagiellończykowi, który odtąd władał koroną węgierską i czeską.

W 1491 roku Władysław oddał księstwo głogowskie w lenno bratu Janowi Olbrachtowi, późniejszemu królowi Polski. Jan Olbracht miał oddać księstwo z powrotem z chwilą powołania go na tron polski, jednak mimo powołania go na tron w 1492 roku, pozostawił księstwo pod swoim panowaniem do 1496 roku, po czym oddał je Władysławowi. Był to duży błąd ze strony Olbrachta, gdyż mógł on zatrzymać księstwo bez większego wysiłku przy Polsce.

Podobnie mógł to uczynić Zygmunt I w latach 1499 – 1506, kiedy był panem księstwa. Polska była wówczas silnym państwem, a Czesi pod panowaniem polskiego Jagiellona na pewno by się z tym faktem pogodzili. Obaj królowie zaprzepaścili więc ostatnią dogodną okazję przyłączenia Śląska z powrotem do Polski.

Pozostawienie Śląska przy Czechach, ułatwiło późniejsze przejście tych ziem pod panowanie Habsburgów i dalsze niemczenie.

Szprotawie na pocieszenie pozostał tylko fakt, że Zygmunt interesował się losami tego miasta i w 1506 roku potwierdził mu wszystkie dotychczasowe przywileje.

Po powrocie księstwa głogowskiego i Szprotawy pod panowanie czeskich Jagiellonów, ziemiami tymi zarządzali ich namiestnicy. Po śmierci

Ludwika II w 1526 roku, władcą Głogowa i Szprotawy został pierwszy Niemiec, Habsburg austriacki – król Czech i Węgier, arcyksiążę Ferdynand.

* * *

Szprotawa w XIV wieku była jednym z najbogatszych miast na Śląsku. Do miasta należały okoliczne pola i lasy oraz wsie llawa, Henryków, Zarzeczce, Bobrzany i Sieraków. Miasto posiadało kilka młynów i zamieszkałe było przez licznych kupców i rzemieślników.

W XIV wieku największą działalność przejawiały cechy: rzeźników, piekarzy, szewców i sukienników, a w XV wieku dużą rolę odegrały jeszcze cechy: kowali, krawców, kuśnierzy, rymarzy, cieśli i bednarzy. Bardzo kwitło piwowarstwo, a wielu ludzi trudniło się również rybołówstwem na bogatym w rybę Bobrze i na rzece Szprotawie.

Miasto otoczone było murem, którego duże fragmenty zbudowane z narzutniaków i częściowo rudy darniowej, zaopatrzone w bastiony i wieże oraz z bramą zachowały się do dziś. Obecny stan tych fortyfikacji pozwala odtworzyć ich wygląd z późniejszego okresu piastowskiego.

Oprócz dwóch bram w murze miejskim były trzy furtki, z których jedna u wylotu dzisiejszej ulicy Bieruta, prowadziła do przeprawy na rzece Szprotawie.

Mur był wzmocniony przez 25 baszt, bronionych w razie potrzeby przez poszczególne cechy i wyznaczonych z góry mieszkańców. Bóbr i Szprotawa połączone były sztucznym rowem, co dodatkowo wzmacniało obronność miasta.

Władzę w mieście sprawował wybieralny burmistrz i 7 rajców. Jednak władza miejska zależna była od księcia. Księcia na miejscu reprezentował kasztelan, rezydujący na zamku.

Miasto w XV wieku wykupiło od księcia wójtostwo i zwiększyło w ten sposób uprawnienia samorządu.

O świetności miasta w tym czasie świadczyło posiadanie własnej menicy, fakt udzielania przez miasto licznych pożyczek książętom oraz wykupowanie coraz to nowych przywilejów od księcia.

W 1423 roku Henryk X w zamian za uzyskaną pożyczkę od miasta, oddał w zastaw swoją koronę książęcą.

Językiem urzędowym w mieście był język łaciński, ale w mowie potocznej występował jeszcze w XIV wieku bardzo często język polski, co stwierdzał nawet niemiecki kronikarz J. G. Kreiss. Później wytworzył się pod wpływem kolonizacji niemieckiej swoisty dialekt śląski. Zachowały się pewne dokumenty w tym dialekcie z końca XIV wieku.

Jeśli chodzi o Polaków, to spotykano w tym czasie jeszcze większe skupiska polskie na terenie Żagania, Szprotawy, Kożuchowa i okolicy. Dla licznych w tej okolicy Polaków w żagańskim klasztorze utrzymywani byli specjaliści księży – Polacy. Wśród samych mnichów żagańskich na przełomie XIV i XV wieku byli również Polacy. Wielu Ślązaków, często o polskich nazwiskach, studiowało w XV i na początku XVI wieku w Akademii Krakowskiej. Wśród nich było również kilku rodowitych Szprotawian.

Domy w mieście, za wyjątkiem kościoła parafialnego i zamku były drewniane. Stwarzało to nieustanne niebezpieczeństwo pożaru w mieście. Z większych pożarów, należy wspomnieć o pożarach w 1422 i 1473 roku, kiedy to spłonęło całe miasto. W 1473 roku pożar został spowodowany przez nocującego w Szprotawie opata żagańskiego klasztoru Augustianów. Z pożaru ocalał tylko zamek i częściowo kościół. Nieszczęsny opat z trudem uszedł z życiem przed żądnymi zemsty mieszkańcami. Opaci żagańscy długo musieli omijać w swych podróżach Szprotawę w obawie przed zemstą.

Pożary miasta powtarzały się i później dość często. Obok pożarów dużą klęską dla miasta były najrozmaitsze epidemie dziesiątkujące ludność. Większe epidemie dotknęły miasto w latach 1412-13, 1416, 1436, 1464, 1542, 1552, 1614, 1631.

Skoro mowa o klęskach miasta, to warto zaznaczyć, że w kronikach Szprotawy zanotowano również... trzęsienie ziemi w 1433 roku.

Z okresu XIV i XV wieku jest jeszcze do dziś wiele zabytków. Obok wspomnianych już starszych zabytków, jak resztki murów starego zamku piastowskiego w południowo-wschodniej części kościoła ewangelickiego oraz resztki murów obronnych i bramy żagańskiej, są i inne.

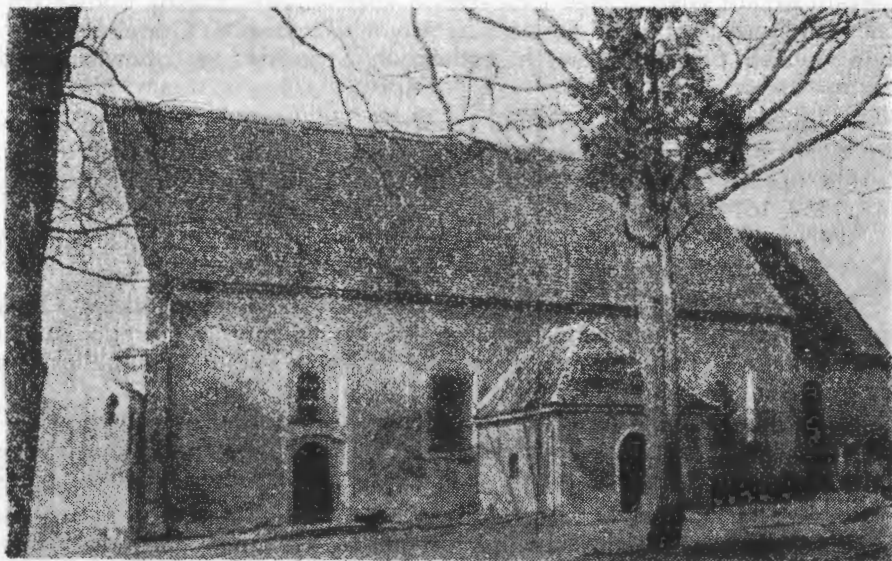
W ścianie kościoła parafialnego znajduje się nagrobek pewnego kleryka z 1316 roku. Jest to jeden z najstarszych nagrobków tego typu na Śląsku. Wspominają o nim wszystkie ważniejsze opracowania, a także przewodniki po Śląsku.

Sam kościół parafialny również jest bardzo ciekawym zabytkiem. Dziś jego wygląd przybrał on w wyniku rozbudowy w latach 1416-1422. Do tego czasu stał w tym miejscu stary kamienny kościół jednonawowy z początku XIV wieku.

Wzrost ilości mieszkańców (pod koniec XV wieku Szprotawa liczyła około 2000 mieszkańców, co na ówczesne czasy było dużą liczbą) wymagał powiększenia istniejącego kościoła. Do rozbudowy przystąpiono w ten sposób, że rozebrano ścianę południową, a następnie poszerzono zachodni front przez dobudówkę w stronę południową, a ścianę północną zostawiono bez zmian. W ten sposób powstał kościół trzynawowy. Dziś zresztą bardzo wyraźnie widać resztki starego muru kamiennego w odróżnieniu od ceglanych dobudówek. Stare wejście do kościoła z ozdobnym portalem gotyckim zostało zamurowane w 1673 roku. Wybito nowe wejście przystosowane do nowej linii środkowej kościoła. Odslonięty później ozdobny portal, jest do dziś przedmiotem podziwu znawców i miłośników sztuki.

Wspomnieć trzeba również o istniejącym wówczas w Szprotawie klasztorze sióstr Magdalenek. Zakon ten został sprowadzony do Szprotawy z Bytomia Odrzańskiego przez księżnę Mechtyldę. Klasztor Magdalenek był przez dłuższy czas największym posiadaczem w Szprotawie. Sprawował opiekę nad kościołem parafialnym oraz kościołem w Łławie. Należało do niego szereg wsi, nie tylko w powiecie szprotawskim. Klasztor cieszył się dużym poparciem biskupów wrocławskich i w licznych sporach z miastem zawsze dzięki temu poparciu zwyciężał.

Stosunki między miastem a klasztorem były dość napięte i często miasto musiało ustępować zakonnikom pod groźbą klątwy biskupiej. Zabudowania klasztorne mieściły się obok kościoła parafialnego i przy dzisiejszej ulicy Parkowej, za Bobrem. Budynek dzisiejszego sądu, jest właśnie budynkiem poklasztornym.



Kościół romański z lat 1230–1270 w Szprotawie – Ilawie. Tu w 1000 roku nastąpiło spotkanie Bolesława Chrobrego z Ottonem III.

(Fot: Jan Wojtaszek)

Kończąc omawianie okresu panowania Piastów w Szprotawie, trzeba zaznaczyć, że Szprotawa w tym okresie wybiła się na czołowe miejsce wśród miast księstwa glogowskiego. Nadchodzący okres reformacji, okres panowania Habsburgów, zastał miasto w dużym rozkwicie.

SZPROTAWA POD PANOWANIEM HABSBURGÓW

Dwa wydarzenia odegrały główną rolę w dziejach Śląska, pierwszej połowy XVI wieku: Zaszczepienie reformacji oraz przejście kraju pod rządy Habsburgów.

Reformacja na Śląsku natrafiła na bardzo podatny grunt. Duchowieństwo i klasztor, zajęte gromadzeniem majątku, nie wiele troszczyły się o sprawy religijne. Wystąpienie Lutra przyjęte więc zostało na Śląsku bardzo przychylnie.

W Szprotawie, gdzie stosunki między miastem a klasztorem były bardzo zastrzone, mieszczaństwo chętnie poddało się nowym prądom. Sprzyjało temu zarówno położenie Szprotawy (na drodze Wittemberga – Wro-

claw) jak i przychylne nastawienie do reformacji namiestnika głogowskiego, Karola Podiebradowicza.

Pierwszymi głosicielami nowej wiary, byli w Szprotawie Franciszek Rupertus, Mikołaj Grenewicz oraz kaznodzieja, magister Jan z Polkowic. Po wielu tarciach i nieporozumieniach między stronnikami wyznań, doszło w 1565 roku do kompromisowej ugody.

Katolicy pozwolili luteranom modlić się i odprawiać nabożeństwa w kościele parafialnym, ale bez prawa odbywania w nim chrztu i udzielania ślubów. Ewangelicy zresztą wnet wystawili swój kościółek.

Luteranie miejscowi oraz napływowi, rekrutowali się głównie z elementów niemieckich. Ludność polska w zdecydowanej większości pozostała przy wyznaniu katolickim. Dopiero w czasach pruskich, po 1741 roku, rozpoczęły się na ziemiach śląskich ostre represje w stosunku do katolików, a głównie w stosunku do Polaków.

Na początku XVI wieku Szprotawa przeszła w dzierżawę rodziny Schoeneich, która panowała na zamku przez cały XVI wiek. W międzyczasie, w latach 1540–44, dzierżawę Szprotawy wykupił od rodziny Schoeneich książę legnicki i brzeski, Piastowicz – Fryderyk II, ale później znów dzierżawa wróciła do Schoeneichów.

Pod koniec XVI wieku, znalazła się Szprotawa w rzędzie 11 uprzywilejowanych miast Śląska, które miały szczególne uprawnienia jako tak zwane miasta królewskie. Były to między innymi Wrocław, Świdnica, Głogów, Legnica, Dzierżonów i inne. Miasta te korzystały z prawa wysyłania swoich przedstawicieli na sejmy krajowe.

W życiu wewnętrznym miasta w pierwszej połowie XVI wieku warto odnotować dalszy rozwój, zwłaszcza na odcinku rzemiosła. Z tego okresu, z roku 1536 pochodzi ratusz szprotawski, później tylko powiększony. Miasto rozwijało się do tego stopnia, że zaczęto budować domy i ulice poza obrębem murów miejskich.

Rozwój miasta zahamowany został przez epidemię, która nawiedziła miasto w 1552 roku. Zmarło wówczas około 1400 osób.

Wspomnieć trzeba o kilku znakomitych mieszkańcach Szprotawy – Ślązakach z tego okresu, związanych w pewien sposób z Polską. Jednym z nich był Jan Teodoryk, syn mieszczanina szprotawskiego. Od roku 1500 studiował jak wielu innych Ślązaków na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a następnie w 1506 roku był rektorem szkoły katedralnej w Głogowie. Drugi, Jan Widner, urodzony w Szprotawie na początku XVI wieku, studiował filozofię i medycynę na Uniwersytecie w Bazylei. Zajmował się również astronomią i był gorącym zwolennikiem teorii Kopernika, którego bardzo sławił. Napisał on dzieło pt. „De arte chymica eiusque cultoribus”. Wielu innych znanych Ślązaków – Szprotawian z XVI wieku studiowało za granicą i w Polsce, a następnie było profesorami i lekarzami.

W pierwszej połowie XVII wieku Śląsk stał się między innymi areną wojny trzydziestoletniej, jaką prowadziły prawie wszystkie większe państwa europejskie z Habsburgami. Ta krwawa i wyniszczająca wojna nie ominęła również Szprotawy.

Cesarz Ferdynand II Habsburg, gorący katolik i przeciwnik protestantów, ograniczał prawa protestantów na rzecz katolików, co wywołało reakcję ze strony książąt i monarchów protestanckich. Dla Szprotawy wojna rozpoczęła się w 1621 roku licznymi kontrybucjami na rzecz wojsk cesarskich. Nie było miesiąca, by oddziały cesarskie nie stacjonowały w mieście i nie żądały kontrybucji i utrzymania.

19 sierpnia 1626 roku obrał sobie kwaterę w Szprotawie sam Wallenstein, wódz cesarski, zwycięzca króla duńskiego i wojsk protestanckich. Pociągnęło to za sobą olbrzymie koszty. Wojska Wallensteina uzupełniały sobie żołądki łupami bezbronných mieszkańców. Miastu zabrano całe zapasy piwa, chleba, owsa oraz mięsa. Gdy odmówiono zapłaty kilku tysięcy talarów, wówczas uwięziono burmistrza i radę miejską i głodzono ich do chwili zebrania przez mieszkańców żądanej sumy. W sierpniu następnego roku, znów przez miasto przeciągnęła 40-tysięczna armia Wallensteina grabiąc miasto. Zimą 1628 roku, przebywały w Szprotawie 2 kompanie kawalerii pod wodzą Hiszpana don Maradas. (Hiszpania walczyła po stronie cesarza).

W międzyczasie na polecenie cesarza rozpoczęło się nawracanie siłą protestantów na katolicyzm.

W księstwie glogowskim zastąpiły pod tym względem oddziały Lichtensteinczyków. 2 listopada 1628 roku jeden z oddziałów, 300 osobowy regiment wkroczył do Szprotawy, przepędził duchownych protestanckich i „nawracał” na wiarę katolicką miejscowych protestantów do 17 stycznia 1629 roku.

W tych ciężkich czasach wielu mieszkańców Szprotawy opuściło miasto, szukając bezpieczeństwa w Wielkopolsce lub w Saksonii. W latach 1630 – 1648 miasto wielokrotnie było łupione przez Szwedów, Kroatów, Barwarczyków, Kozaków zaciężnych i Niemców. Żołnierze obu stron, więcej zajmowali się grabieżą niż walką, gdyż w owych czasach żołnierz najemny żył wyłącznie niemal z łupu, kosztem ludności cywilnej. Miasto, czy wieś leżąca na drodze przemarszu, musiały składać wielki okup, jeśli chciały uniknąć grabieży. Często po odejściu jednego wojska przychodziło drugie i okup trzeba było płacić na nowo.

Szczególnie mocno ucierpiała ludność wiejska, nie chroniona przez żadne mury obronne. Jednym ratunkiem dla niej była ucieczka do lasu, gdyż po przemarszu wojska pozostawiała tylko zgłiszczka i popioły. Ludność straciła całkiem orientację kto był wrogiem, a kto przyjacielem, gdyż jedni i drudzy grabili.

Szprotawa w chwili zakończenia wojny w 1648 roku przedstawiała obraz nędzy i ruiny. Z kwitającego miasta pozostały mizerne szczątki. Z 3000 mieszkańców w 1622 roku, w trzy lata po zakończeniu wojny było zaledwie 450. Reszta zginęła z głodu, choroby, względnie na skutek działań wojennych, lub wyprowadziła się z miasta. Np. duchowni szprotawscy przetrzymali działania wojenne, przenosząc się na ten czas do Wielkopolski w okolice Wschowy.

Nowy cesarz i król czeski (pamiętać należy, że Szprotawa jak i cały Śląsk należały formalnie do Czech) Ferdynand III, jako katolik, po zakoń-

czeniu wojny ograniczał dalej wyznania protestanckie. W Szprotawie kazał on zamknąć ewangelicki kościół św. Barbary, zakazał zatrudniania ewangelickich nauczycieli i zabraniał wybierania do rady miejscowej ewangelików.

Do 1654 roku protestanci szprotawscy odprawiali swoje nabożeństwa w okolicznych wsiach: Lesznie Dolnym, Puszczykowie, Ilawie, gdzie nie przestrzegano tak ściśle cesarskiego zarządzenia. Później jednak i tam zakazano odprawiać protestantom nabożeństwa. Najdłużej, bo do roku 1668, nabożeństwa protestanckie odprawiano w Witkowie.

Nie będzie przesadą, jeżeli nazwiemy XVII wiek, wiekiem dla Śląska i Szprotawy bardzo niepomysłnym.

Sama wojna trzydziestoletnia kosztowała miasto ponad 400 tysięcy talarów, nie licząc pożyczek jakie miasto musiało zaciągnąć, aby przetrwać wojnę i trudny okres powojenny.

Ledwo skończyła się wojna, a już w 1657 i 1658 roku wielkie epidemie poczyniły dalsze szkody w już i tak przeredzonym mieście.

Po uregulowaniu spraw finansowych i częściowej odbudowie spotkała miasto nowa klęska.

19 czerwca 1672 roku wybuchł w mieście (wówczas jeszcze w większości drewnianym) pożar i obrócił miasto w perzynę. Nielatwo było dźwignąć się z tych klęsk, jednak przy pomocy sąsiednich miast, już w 1678 roku odbudowano Szprotawę. Nie odbudowano tylko zamku, zniszczonego częściowo podczas wojny trzydziestoletniej przez Szwedów w 1642 roku, a dotkniętego pożarem. Zamek przekształcono w... piwiarnię, a następnie w 1745 roku, po zasypaniu fosy okalającej resztki zamku, wykorzystując częściowo stare mury, rozpoczęto budowę kościoła ewangelickiego. W części południowej kościoła widoczne są do dziś szczątki starego zamku.

Klęski żywiołowe nie skończyły się w XVII wieku. W trzydzieści lat po ostatnim wielkim pożarze wybuchł nowy, 23 czerwca 1702 roku. I znów większa część miasta legła w gruzach. Odbudowa miasta trwała kilka lat, a wieże ratuszowe – odbudowano dopiero w 1728 roku wschodnią i w 1732 roku zachodnią.

Obok pożarów duże szkody wyrządziły miastu powodzie, powtarzające się z reguły co kilka lat. Zwłaszcza duże szkody spowodowały wylewy Bobru w latach 1702, 1703, 1718 oraz 1736. W roku 1719 dużą klęską dla miasta był pożar lasu miejskiego.

Na początku XVIII wieku miasto zaczęło powoli dźwigać się ze zniszczeń i dalej rozwijać. Powiększyła się ilość ulic i domów. Spokojny rozwój miasta przerwała dopiero wojna śląska i przejście Śląska pod panowanie pruskie w 1741 roku.

Nie mamy bliższych danych o tym, jak silny był w tym czasie żywioł polski w Szprotawie i okolicy, ale pewne światło rzuca na ten problem fakt, że w XVII wieku w różnych latach w gimnazjum w Toruniu uczyło się 19 synów mieszczan szprotawskich. Przybyli oni tam na pewno po to, aby z jednej strony uchronić się przed kontrreformacją, a z drugiej, aby nie zapomnieć języka polskiego. Po powrocie z Torunia powiększali oni niewątpliwie malejący żywioł polski.

Mimo, że nie mamy wiadomości, czy w Szprotawie w XV wieku byli polscy pastorowie, to jednak ciekawe jest, że w innych miastach śląskich w tym czasie spotykamy takich duchownych pochodzących ze Szprotawy. We wsiach Szklarki i Nowa Jabłona kościelnymi byli natomiast jeszcze w XVIII w. zawsze Polacy.

Wiemy również o drukowanym po polsku jeszcze w XVIII wieku w Żaganiu elementarzu do nauki języka polskiego, co świadczy o utrzymujących się w dalszym ciągu w tych okolicach wpływach polskich.

Można w każdym bądź razie stwierdzić, że do XVIII wieku polskość na tym terenie nie została jeszcze całkowicie wyteplona.

RZĄDY PRUSKIE W SZPROTAWIE

Przejęcie Śląska pod panowanie Prus w 1741 roku, przyniosło za sobą ostateczne wyteplenie resztek polskości na terenie dzisiejszego powiatu szprotawskiego.

Panowanie pruskie na Śląsku zaczęło się od ograniczenia swobód kościoła katolickiego i faworyzowania wyznawców kościoła ewangelickiego. Rozpoczęła się masowa budowa kościołów ewangelickich.

Podczas przejazdu Fryderyka II w 1744 roku przez Szprotawę, tutejsi ewangelicy zwrócili się do niego z prośbą o pozwolenie na budowę kościoła ewangelickiego i pomoc w realizacji budowy. Po otrzymaniu zgody, zaraz w następnym roku przystąpiono do budowy kościoła na miejscu dawnego zamku, a wówczas piwiarni.

W następnych latach przystąpiono również do budowy szkoły ewangelickiej (dzisiejsza szkoła zawodowa), którą ukończono w 1773 roku.

Prusy po zajęciu Śląska, wprowadziły też zaraz swoją administrację, na miejsce starej administracji samorządowej.

W połowie XVIII wieku, w czasie wojny siedmioletniej, Szprotawa była miejscem licznych potyczek austriacko-pruskich. Większe z nich miały miejsce 17 sierpnia 1759 roku koło Zarzecza i w Łławie oraz 27 sierpnia tegoż roku pod Szprotawą, kiedy to jak świadczą o tym zapiski archiwalne: „z obu stron byli zabici, ranni i wzięci do niewoli”.

Również i w następnym roku w październiku i listopadzie doszło w okolicach miasta do szeregu starć austriacko-pruskich. Liczne kontrybucje, konfiskaty i inne świadczenia na rzecz walczących armii; pruskiej, austriackiej i rosyjskiej, bardzo rujnowały miasto i okoliczne wsie.

W latach 1758-63, co kilka dni kwaterował w mieście oddział pruski lub austriacki, każąc żywić siebie, konie i robiąc zapasy w mieście. Kronika Szprotawy wspomina o wielu kontrybucjach, na rzecz walczących armii, głównie austriackiej i rosyjskiej, pomijając świadczenia na rzecz armii pruskiej, co jest zrozumiałe, gdyż kronika pisana była już w czasach pruskich. I tak dla przykładu można wspomnieć, że 16 sierpnia 1759 roku oddział austriacki zarekwirował 700 porcji chleba, duże ilości mięsa, wina

oraz paszę dla koni. 21 września 1759 Austriacy zabrali 5 tysięcy bochenków chleba, 300 korcy owca a ponadto siano, mąkę, groch i kaszę. 28 września tego samego roku oddział kozacki żądał 4 tysięcy talarów za pozostawienie miasta w spokoju.

18 września 1760 roku kozacy zarekwirowali 18 tysięcy bochenków chleba, a 14 września 1761 roku austriacki generał Beck nałożył na powiat szprotawski kontrybucję w wysokości 12 tysięcy talarów i 30 tysięcy porcji chleba, z czego miasto miało złożyć 14 a wieś 16 tysięcy. W międzyczasie było jeszcze szereg innych konfiskat i świadczeń. Szczególnie uciążliwe dla miasta i okolicy były krótsze i dłuższe kwatery nieraz dużych oddziałów wojskowych, będących wówczas na całkowitym utrzymaniu mieszkańców.

Oprócz tych dorywczych konfiskat ludność musiała regularnie płacić podatki i świadczenia na rzecz Prus.

Szprotawianie, jak zresztą mieszkańcy całego Śląska, mieli dość w tym czasie zarówno Prusaków, jak i Austriaków, mimo, że Prusaków zmuszeni byli zawsze przyjmować jako „wyzwolicieli” i uroczyście obchodzić ich święta.

To też pokój, kończący tę uciążliwą wojnę zawarty w 1763 roku wszyscy przyjęli z ulgą.

Zajęcie Śląska przez Prusy było nowym etapem zmierzającym do zniszczenia państwa polskiego.

Właśnie Fryderyk II był głównym projektodawcą pierwszego rozbioru Polski (1772), a następnie pilnie baczył, aby wyzyskać każdą nadarzącą się okazję do zagarnięcia dalszych ziem polskich. Prusy wreszcie uczestniczyły w obu dalszych rozbiorach Polski (1793 i 1795).

Rozbiory Polski nie odbiły się poważniejszym echem na Śląsku, izolowanym od Polski po zagarnięciu przez Prusy, w rezultacie czego kontakty polsko-śląskie jeszcze bardziej osłabły.

Jednak hasła demokracji polskiej, próbującej, w ostatniej chwili ratować upadające państwo, wywołały odgłosy na Śląsku.

W 1794 roku wybuchły na Śląsku rozruchy chłopskie pod wpływem haseł rewolucyjnych francuskich i polskich w dobie Powstania Kościuszkowskiego. Historyk niemiecki Ziekursch tak pisał o tym: „Jak silne było niezadowolenie ludu śląskiego ze swego położenia oraz podniecenie spowodowane wypadkami we Francji i w Polsce, sądzić można po tym, że wystarczyła wiadomość o wejściu w życie z dniem 1 czerwca 1794 roku powszechnego pruskiego prawa ziemskiego, aby w okresie od maja do lipca wywołać rozruchy w 35 dużych nieraz wsiach północno-śląskich powiatów Koźuchów, Szprotawa, Żagań...”

Państwu pruskiemu, żyjącemu w tym czasie jeszcze nadal mitem swej niepokonalnej armii, groziło jednak o wiele większe niebezpieczeństwo.

Napoleon rozgromiwszy w 1805 roku Austrię, pokonał armię cara Rosji Aleksandra i postanowił w 1806 roku skończyć z Prusami.

W październiku 1806 roku w bitwach pod Jeną i Auerstadt został zniszczony trzon świetnej armii pruskiej. Wnet Napoleon stanął w Berlinie, a roz-

bite oddziały pruskie z dworem Fryderyka Wilhelma III uciekły w popłochu na wschód.

Na zdobycie Śląska wysłał Napoleon IX Korpus swojej armii pod komendą swego brata Hieronima Bonapartego. W grudniu 1806 roku po miesięcznym oblężeniu zdobył Głogów, a w styczniu 1807 roku Wrocław.

Do Szprotawy już kilka dni po bitwie pod Jeną przybyli rozbitkowie armii pruskiej, głosząc klęskę Prus.

Sami Francuzi znaleźli się w mieście dopiero w lutym 1807 roku. Przebywali tu do zimy 1808/9, po czym wrócili dopiero w 1812 roku. W Głogowie garnizon francuski stał przez cały okres kampanii, a w latach 1809/10 część garnizonu głogowskiego stanowiły oddziały kawalerii polskiej Księstwa Warszawskiego.

W styczniu 1813 roku Szprotawa oglądała pierwszych niedobitków armii napoleońskiej wracającej spod Moskwy. Kronikarz szprotawski wspominał o ich okropnym wyglądzie, oni też przynieśli do miasta tyfus, który pochłonął wiele ofiar.

W marcu tegoż roku wkroczyli do miasta pierwsi Rosjanie, ścigający Francuzów. 27 maja 1813 roku doszło pod Szprotawą do wielkiej bitwy z udziałem 25 tysięcy żołnierzy francuskich i rosyjskich. W wyniku bitwy Rosjanie wycofali się w kierunku Przemkowa. Wypadki te przypomina kamień pamiątkowy stojący przy szosie Szprotawa – Przemków w odległości 8 km od Szprotawy.

W Szprotawie latem 1813 roku miał swą kwaterę gen. Bertrand wraz ze sztabem 4 armii. Tu w domu przy dzisiejszej ul. Bieruta 17 miał go odwiedzić sam Napoleon. Gen. Bertrand był ulubionym generałem Napoleona i towarzyszył mu później w zesłaniu na wyspę św. Heleny. Po odejściu Francuzów, aż do 1819 roku przez miasto przechodziły oddziały Rosjan, w pierwszej fazie na zachód, a następnie z powrotem.

Kampania napoleońska mocno wyniszczyła miasto i okolice, ale miasto szybko wróciło do równowagi.

W pierwszej połowie XIX wieku nastąpił dalszy rozwój miasta. W 1846 roku otwarto linię kolejową Żagań – Głogów, zbudowaną przy wydatnej pomocy mieszkańców Głogowa i Szprotawy. W latach 1833 – 1842 wybrukowano całe śródmieście, a następnie zburzono mury obronne, bramy: żagańską i głogowską, zasypano fosy i rowy otaczające miasto oraz mosty drewniane i zwodzone zastąpiono kamiennymi. W 1829 roku zbudowano zakłady metalurgiczne w ławie (dzisiaj DZM).

W XIX wieku miasto było kilka razy dotknięte powodzią, a zwłaszcza w 1804 roku (poziom wody na Bobrze 5,65 m) i w 1897 roku (5,39 m).

Miasto liczyło w 1810 roku 2.412, w 1849 – 4.749, 1900 – 7.846, a w 1940 roku 11.900 mieszkańców.

W XX wieku rozwój miasta i powiatu uległ zahamowaniu. Duży wpływ wywarły na ten proces polityczne skutki I wojny światowej. Powstanie niepodległego państwa polskiego i jego bliskie granice utworzyły z ziemi śląskiej i lubuskiej peryferyjne pogranicze Niemiec. Pociągnęło to za sobą systematyczny odpływ ludności z tych terenów w głąb Niemiec (znany pod

nazwa „Ostflucht”) oraz położyło kres wszelkim większym inwestycjom zarówno mieszkaniowym jak i przemysłowym. Początki Ostfluchtu (dosłownie: ucieczka ze wschodu) sięgają połowy XIX wieku. Według źródeł niemieckich, w latach od 1843 do 1933 wyemigrowało ze wschodnich terenów Niemiec przeszło 4,5 miliona osób. Po dojściu Hitlera do władzy proces ten został częściowo zahamowany, ale nie wiele, skoro w latach 1933 – 1939 ubyło dalsze ćwierć miliona mieszkańców.

Główną przyczyną tego zjawiska była niewątpliwie gorsza sytuacja gospodarcza tych ziem w porównaniu z zachodnimi okręgami Niemiec.

W powiecie szprotawskim straty migracyjne w latach 1871 – 1933 wyniosły 21,7 proc. liczby mieszkańców, a w sąsiednim powiecie głogowskim straty te były jeszcze większe.

Podobna sytuacja była na odcinku gospodarczym, gdzie obserwowaliśmy systematyczne kurczenie się produkcji przemysłowej i zmniejszanie się ilości przedsiębiorstw.

Klęska Niemiec w II wojnie światowej położyła kres panowaniu niemieckiemu na prastarej polskiej ziemi.



Herb Szprotawy z orłem piastowskim zachowany na oparciu renesansowego krzesła.

(Fot. Jan Wojtaszek)

ZIEMIA SZPROTAWSKA WOLNA

14 lutego 1945 roku wojska Frontu Ukraińskiego pod dowództwem marszałka Koniewa wyzwoliły Szprotawę. Stare piastowskie ziemie nad Odrą, Bobrem i Nysą znów wróciły do Polski.

Ziemia Szprotawska leżąc na głównym szlaku walk bardzo ucierpiała w wyniku działań wojennych.

Miasto Szprotawa zniszczone zostało w 60 proc. W poważnym stopniu zniszczona została wieś szprotawska. Nie było wsi, w której by pozostały wszystkie budynki.

Przemysł zniszczony był w blisko 90 proc. Zniszczone zostały linie kolejowe, stacje, mosty, łączność liniowa i kablowa.

Przed państwem stanęła konieczność zaludnienia tych ziem oraz kosztem wysokich nakładów inwestycyjnych, odbudowa zniszczonego przemysłu.

Odbudowa Ziem Zachodnich była trudna, skoro się zważy, że w tym samym czasie odbudowywać trzeba było przemysł na ziemiach starych, odbudowy wymagała spalona stolica Warszawa i szereg innych miast.

Państwa zachodnie z wielkim sceptyzmem odnosiły się do naszych planów zagospodarowania Ziem Zachodnich, wątpiąc w ich realizację.

Dziś po piętnastu latach, Zachód nie może już wątpić w nasze możliwości. Naród polski udowodnił, że potrafi nie tylko odbudować zniszczenia wojenne, ale dalej rozwijać ziemie, na które powrócił po kilkunastoletniej przerwie. Stolica Ziemi Lubuskiej – Zielona Góra, już od kilku lat rozbudowuje się przy podwójnej ilości mieszkańców w stosunku do stanu przedwojennego.

Również i ziemia szprotawska dźwignęła się z gruzów. Szprotawa, mimo że należała do najbardziej zniszczonych miast w województwie, szybko się zaludniła i przystąpiła do odbudowy przemysłu.

Dziś ilość mieszkańców odbiega jeszcze trochę od stanu z 1939 roku, co jednak przy tak dużym zniszczeniu wojennym jest zrozumiałe. W roku 1949 powiat liczył 23.881 mieszkańców, w 1954 – 28.578, a w 1958 roku 34.670 wobec 41.289 w 1939 roku. W 1957 roku przypadało w powiecie 58,3 osób na km² (VI miejsce w województwie przy średniej wojewódzkiej 50 osób na km²).

W poszczególnych miastach i gromadach powiatu stan ludności w 1958 roku w stosunku do 1939 roku wynosił:

Miasto lub gromada	1939	1959	Uwagi
m. Szprotawa	11.974	9.237	60 % zniszcz.
m. Przemków	4.260	4.273	
osiedle Małomice	3.210	3.116	
grom. Małomice	2.386	1.965	5 wsi
grom. Niegosławice	3.746	3.652	7 wsi
grom. Długie	1.463	1.613	2 wsie
grom. Henryków	2.503	2.450	7 wsi
grom. Leszno Górne	2.785	1.768	8 wsi
			(zniszczony przemysł)
grom. Nowa Jabłona	2.517	2.326	9 wsi
grom. Przemków	2.552	1.504	6 wsi
			(50% zniszcz.)
grom. Siecieborzyce	1.652	1.545	2 wsie
grom. Wysoka	1.194	1.230	5 wsi

Na 48 wsi w powiecie (nie licząc przysiółków), w 21 stan ludności jest większy niż w 1939 roku.

Biorąc pod uwagę wysoki przyrost naturalny wynoszący 27,7 proc. na 1000 mieszkańców, należy się spodziewać szybkiego przekroczenia stanu ludności z 1939 roku.

W ciągu piętnastu lat wykonana została olbrzymia praca. Odbudowany przemysł Ziemi Szprotawskiej daje państwu rocznie 279,3 milionów złotych dochodów. Pod względem produkcji globalnej przemysłu powiat ten zajmuje VI miejsce w województwie (po Zielonej Górze, Gorzowie, Nowej Soli, Żarach i Żaganiu). W latach 1959 – 1965 potencjał przemysłowy powiatu jeszcze bardziej wzrośnie. Kosztem ponad 100 milionów złotych uruchamia się największą garbarnię w województwie i jedną z największych w kraju w Lesznie Górnym. Uruchomienie w 1960 roku tego zakładu poważnie ożywi południową część powiatu, dając zatrudnienie około 700 osobom. Przewiduje się również dalszą rozbudowę Zakładów Metalurgicznych w Przemkowie (w trakcie rozbudowy), Dolnośląskich Zakładów Metalurgicznych w Szprotawie, Fabryki WYROBÓW BLASZANYCH w Małomicach i innych. Powstanie szereg nowych przedsiębiorstw w powiecie, takich jak przetwórstwa owocowo-warzywnego, wyrobów materiałów budowlanych itp.

Rozpoczęcie budowy kopalni miedzi w okolicach Głogowa ma również poważne znaczenie dla aktywizacji powiatu szprotawskiego.

Do roku 1965 zostanie zabudowane całe śródmieście Szprotawy (ok. 1700 izb). Zostanie wybudowany nowy dworzec kolejowy w Szprotawie, hotel, dom towarowy, most na Bobrze i szereg innych inwestycji komunalnych.

Ziemia szprotawska, dzięki swoim walorom turystycznym ściąga coraz więcej turystów. Dogodne położenie komunikacyjne, piękny krajobraz, zabytki historyczne oraz rzadkie okazy przyrody sprowadzają turystów z kraju i z zagranicy. Nakłada to na gospodarzy i mieszkańców Ziemi Szprotawskiej obowiązek gościnności i utrzymania czystości miast i wsi. Pod tym względem również wiele się w ostatnich latach zmieniło.

Mieszkańcy powiatu czują się właściwymi gospodarzami ziemi, na której mieszkają. Przybysza coraz częściej witają na wsi szprotawskiej schludne zagrody otoczone ogródkami z nowymi płotami i odremontowanymi budynkami.

Już blisko 50 proc. mieszkańców powiatu szprotawskiego to młodzież, która w rubryce miejsce urodzenia pisze: Szprotawa, Przemków, Małomice i inne miejscowości na Ziemiach Zachodnich. Jej życie związane jest całkowicie z Ziemią Zachodnią, które są dla niej ziemią rodzinną.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA I OPRACOWANIA

A. ŹRÓDŁA

1. „*Annales Glogoviensis 1051 – 1493*” (Scr. rer. Sil t. x)
2. *Codex diplomaticus Silesiae*, tom VII, XVI, XVIII, XXII, XXXI.
3. J. G. Kreiss „*Chronik der Stadt Sprottau*” 1830 – 1832.
4. *Kronika Thietmara*. Poznań 1953.
5. „*Rocznik gospodarczo-statystyczny*” woj. zielonogórskiego 1958, Zielona Góra 1958.
6. T. A. Tschoppe, G. A. Stenzel. „*Urkundensammlung zur Geschichte des Ursprungs der Städte in Schlesien*”. Hamburg 1832.
7. *Zespół akt miejskich Szprotawy* – Pow. Archiwum Państw. w Szprotawie.

B. OPRACOWANIA

1. „*Dolny Śląsk*” t. I – II Poznań 1948.
2. Guerquin B. „*Zamki śląskie*”, Warszawa 1957.
3. *Historia Śląska od najdawniejszych czasów do roku 1400* t. I – III 1933 – 1939.
4. Keyser E. „*Deutsches Städtebuch*”, Band I, Stuttgart – Berlin 1939.
5. Kiersnowski R. „*Wały śląskie*”. Przegląd Zachodni, 1951.
6. *Konferencja Śląska Instytutu Historii PAN* t. I – II. Wrocław 1954.
7. Maleczyński K. „*Polskość ziem zachodnich*”, Warszawa 1954.
8. Maleczyński K. „*Z dziejów wsi śląskiej w okresie przed kolonizacją na prawie niemieckim*”, Wrocław 1953.
9. Matuszkiewicz F. „*Geschichte der Stadt Sprottau*”, Szprotawa 1908.
10. *Oblicze Ziemi Zachodnich* t. I – II.
11. Piwarski K. „*Historia Śląska w zarysie*”. Katowice – Wrocław 1947.
12. Rudnicki M. „*Nazwy Odry i jej ważniejszych dopływów*”. Monografia Odry. Poznań 1948.
13. Sułowski Z. „*Najstarsza granica zachodnia Polski*”. Poznań 1952.
14. Świechowski Z. „*Architektura na Śląsku do połowy XIII wieku*”, 1955.
15. „*Szkice z dziejów Śląska*”, Warszawa 1955.
16. Ziekursch „*Schlesische Wirtschaftsgeschichte*”, Lipsk 1913.

Pruska ordynacja praw szkolnych dla mniejszości polskiej z 1928 r.

Pracowanie to ma charakter przyczynku źródłowego. Pretekstem do jego przygotowania były obchody 30 rocznicy powstania szkolnictwa polskiego, zorganizowane na Warmii, w Bytowskim, Złotowskim, Międzyrzeckim oraz na Babimojszczyźnie wiosną i latem 1959 r. Z tej okazji ogłoszono drukiem kilka publikacji (Olsztyn, Złotów, Zielona Góra), a także opracowań „na prawach rękopisu” pod egidą władz naczelnych bądź okręgowych Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich. W pracach tych najmniej stosunkowo miejsca przeznaczono na ogłoszenie i omówienie dokumentacji związanej bezpośrednio z „Ordynacją dotyczącą uregulowania szkolnictwa dla mniejszości polskiej” („Ordnung zur Regelung des Schulwesens für die polnische Minderheit”) z dnia 31 grudnia 1928 r., łącznie z samym tym aktem prawnym. Brak tych właśnie ujęć wyniknął zapewne z trudnego dostępu do odpowiednich materiałów źródłowych. Nie jest to zresztą przypadek odosobniony w badaniach nad dziejami ruchu polskiego w Niemczech międzywojennych. Stąd nieodzownym wydaje się udostępnianie wszelkich wartościowych materiałów o charakterze przyczynków źródłowych, które mogą luki te wypełniać. Bezsprzecznie takim właśnie materiałem jest „Ordynacja...” wraz z uzupełniającymi ją lub wyjaśniającymi okolicznościami jej opracowania tekstami dokumentalnymi.

Tekst „Ordynacji...”, który będzie poniżej przytaczany, ogłoszony został w „Zentralblatt für innere preussische Verwaltung” w nr z dnia 23 stycznia 1929 r. W połowie tego roku natomiast nakładem Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech tekst jej (współ z późniejszymi zarządzeniami wykonawczymi) ogłoszony został w formie broszury (12 stron druku). „Ordynacja...” publikowana w tej – w nielicznych tylko egzemplarzach dostępnej obecnie w kraju broszurze – ogłoszona została dwujęzycznie. Na stronie przedzielonej po środku, po lewej stronie znajduje się polskie tłumaczenie jej tekstu, po prawej drukowana jest w języku oryginału.

Pozostała, przytaczana w tej publikacji dokumentacja, ogłoszona jest w zasadzie po raz pierwszy. Pochodzi ona z prywatnego archiwum Janá Baczewskiego, udostępnionego mi wspólnie z innymi dokumentami przez Jego Rodzinę. Są to odpisy określonych dokumentów dokonane jeszcze przed 1933 r., nie włączone do żadnych opracowań bądź aneksy do nieogłoszonej, przygotowanej w latach 1930 – 1932, znajdującej się w maszynopisie pracy J. Baczewskiego pt. „Der Werdegang der polnischen Minderheitsschule in Preussen”, w części włączone później w tłumaczeniu do opracowanego w latach 1956/58, a dotąd jeszcze nie ogłoszonego drukiem przez „Czytelnika”, gdzie złożony został manuskrypt – tomu pt. „Ze wspomnień warmińskiego działacza”. Do określonego tytułem zakresu tematycznego tej publikacji odnoszą się:

1) relacja oparta na oryginale protokółarnym, ujęta w formie skróconego odpisu z protokołu posiedzenia Rad Naczelnych Związku Polaków w Niemczech i Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech z dnia 1 października 1928 r., na którym omawiano rządowy projekt „Ordynacji...”;

2) odpis pisma (w oryginale – język niemiecki) obu Rad Naczelnych, przygotowanego w efekcie owego posiedzenia, a złożonego na odpowiedniej konferencji w Ministerstwie Oświaty w dniu 2 października 1928 r., zawierającego zastrzeżenia strony polskiej do rządowego projektu „Ordynacji...”;

3) odpis protokołu (w oryginale – język niemiecki) z konferencji w Ministerstwie Oświaty w dniu 2 października 1928 r. (nr pisma: A. III. O. Nr 2966/28), na której przedstawiciele Ministerstwa wysłuchali i przedyskutowali uwagi oraz zastrzeżenia strony polskiej do rządowego projektu „Ordynacji...”, którą reprezentowała specjalna delegacja.

Sprawa polskich praw szkolnych i w efekcie tego – szkolnictwa polskiego, od momentu ukształtowania się ruchu polskiego w powersalskich Niemczech, wysunęła się na czoło problemów, które jako najistotniejsze dla społeczności polskiej, musiał on dla dobra sprawy narodowej najkorzystniej rozwiązać. W tym celu powołana została specjalna organizacja – Związek Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech, którego Komisja Organizacyjna powstała 28 sierpnia 1922 roku, a ostateczne ukonstytuowanie nastąpiło na pierwszym walnym zebraniu 10 czerwca 1923 r. Zasadniczy nurt zabiegów o prawa szkolne dla ludności polskiej kształtował się na płaszczyźnie parlamentarnej i w bezpośrednich pertraktacjach z pruskim Ministerstwem Oświaty, szczególnie nasilonych po 1925 r. Przewodził

i kierował tym nurtem zabiegów i starań Prezes Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech, w latach 1922 – 1928 poseł do pruskiego Landtagu – Jan Baczewski. Rolę jego w tej mozolnej walce dobitnie określa fakt, że Niemcy często określali „Ordynację...” terminem „lex Baczewski”.

Pierwszą zapowiedź, że projekty uregulowania polskich praw szkolnych zaprzętą w sensie realizacyjnym uwagę władz pruskich przyniosły wystąpienia przedstawicieli Ministerstwa Oświaty w marcu 1927 r. na forum Landtagu, kiedy odpowiadali na interpelacje poselskie Baczewskiego. Pierwsza wspólna konferencja czynników rządowych i przedstawicieli strony polskiej (Jan Baczewski, dr Józef Michałek) w tej sprawie odbyła się 29 maja 1927 r. Miała ona charakter informacyjny, z tym, że ze strony polskiej złożony został projekt normatywu ustanawiającego podstawy prawne przyszłego szkolnictwa polskiego. Stał się on jednym z materiałów, który rozpatrywała działająca już wtedy wspólna komisja rządów Rzeszy i Prus, badająca możliwości – jak później ogłoszono w oficjalnym komunikacie o zakończeniu jej prac wiosną 1928 r. – uregulowania spraw mniejszościowych w Niemczech.

28 kwietnia 1928 r. pruska Rada Ministrów zatwierdziła ogólne wytyczne projektu ordynacji szkolnej dla ludności polskiej. 20 sierpnia 1928 r. Związek Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech został oficjalnie poinformowany o zakończeniu wstępnych prac nad projektem ordynacji szkolnej, lecz dopiero 27 września 1928 r. przekazano stronie polskiej tekst urzędowego projektu, celem wyrażenia opinii. W związku z tym na dzień 1 października 1928 r. zwołane zostało wspólne posiedzenie Rad Naczelnych Związku Polaków w Niemczech i Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech. Zebraniu temu przewodniczył – wówczas jeszcze wiceprezes, w roku 1932 formalnie wybrany na Prezesa Związku Polaków w Niemczech – ks. dr Bolesław Domański (równocześnie Prezes V Dzielnicy (Pogranicze) Związku Polaków w Niemczech i członek Zarządu Polsko-Katolickiego Towarzystwa Szkolnego w Złotowie na rejencję Piła). Z innych uczestników, którzy w trakcie dyskusji na tym posiedzeniu odegrali istotną rolę, wymienić należy: Jana Baczewskiego, dr Jana Kaczmarka (Kierownik Wykonawczy Związku Polaków w Niemczech, Sekretarz Generalny Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech), Antoni Józefczak (Prezes III Dzielnicy westfalsko-nadreńskiej Związku Polaków w Niemczech), Stefan Szczepaniak (Kierownik Wykonawczy I Dzielnicy (śląskiej) Związku Polaków w Niemczech), ks. prob. Maksymilian Grochowski (Prezes Polsko-Katolickiego Towarzystwa Szkolnego w Złotowie na rejencję Piła).

Dotychczasowe pertraktacje z pruskim Ministerstwem Oświaty i projekt ordynacji szkolnej zreferował Jan Baczewski.

Jako pierwszy zabrał głos dr Kaczmarek. Zaproponował odmowę udziału w zapowiadanej konferencji z komisją rządową, gdyż normatyw reguluje tylko kwestie szkolne, a nie całokształt praw mniejszościowych, oraz odnosi się jedynie do mniejszości polskiej, a nie do wszystkich mniejszości narodowych, zamieszkujących w Niemczech, a więc nie tylko w państwie pruskim, ale w całej Rzeszy. Zdaniem dr Kaczmarka przyjęcie przez stronę

polską takiego ujęcia, godzi w całość i jedność Związku Mniejszości Narodowych w Niemczech.

Z polemiką, przeciwko takiemu stanowisku wystąpił Baczewski. Jego zdaniem – sytuacja obecna, tzn. przygotowanie przez czynniki oficjalne projektu ordynacji szkolnej tylko dla ludności polskiej, wynika z faktu, że tylko Związek Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech prowadził starania o możliwość organizowania własnego, mniejszościowego szkolnictwa, tak jak oddzielnie zabiegali o uregulowanie swoich praw szkolnych, choć w innej formie, przedstawiciele mniejszości duńskiej. Z przykładów dotychczasowej praktyki działania Związku Mniejszości Narodowej w Niemczech – wywodził dalej Baczewski – wynika, że żadne z poprzednich zabiegów prowadzone przez przedstawicieli poszczególnych mniejszości w obronie konkretnych interesów swojej mniejszości lub celem zdobycia dla niej określonych praw albo gwarancji, dotyczących z reguły określonych wycinków życia mniejszościowego, a rzadziej jego całokształtu – nigdy dotąd nie podważyło spójności i autorytetu Związku Mniejszości Narodowych w Niemczech. Przykładowo wskazuje Baczewski na wywalczenie przez przedstawicieli polskich prawa rewizyjnego dla polskiej spółdzielczości, kiedy to dr Kaczmarek również był przeciwny prowadzeniu pertraktacji, wówczas nie ufając w ich pozytywny efekt, w związku z czym odmówił osobistego udziału w tych staraniach. Zdaniem Baczewskiego, każdy sukces poszczególnej mniejszości w obronie jej interesów lub zdobyciu wycinkowych nawet praw, ułatwia działalność Związku Mniejszości Narodowych, stwarzając jeszcze bardziej realną płaszczyznę dla zabiegów o regulowanie całokształtu życia mniejszościowego w Niemczech. Baczewski ponadto podkreśla, że dochodzenie ogólnych praw mniejszościowych poprzez ustawodawstwo Rzeszy, przeciągnie sprawę na długie bardzo lata, gdyż musiałoby być poprzedzone szeregiem dodatkowych zmian w obowiązującym aktualnie stanie prawnym, a poza tym np. w myśl obowiązujących w Niemczech przepisów, sprawy szkolne należą do kompetencji rządów krajowych, tak więc ostatecznie w kwestii polskich praw szkolnych, a przede wszystkim ich wykonaniu, decydował będzie rząd pruski. Baczewski postuluje, aby uznać zastrzeżenia dr Kaczmarka za niewystarczające dla odmówienia udziału w konferencji ministerialnej nad projektem ordynacji polskich praw szkolnych, proponując jednocześnie, aby zastrzeżenia te uczynić przedmiotem dyskusji na owym wspólnym posiedzeniu w Ministerstwie Oświaty.

Obie Rady Naczelne aprobowały to stanowisko Baczewskiego jako wiążące.

Dalsza dyskusja kolejno dotyczyła kwestii w istocie wykraczającej poza zagadnienia ordynacji praw szkolnych, jakkolwiek musiała stać się przedmiotem zainteresowania uczestników tego zebrania, gdyż określone ujęcie jej miało swoje konsekwencje w samej ordynacji. Była to mianowicie kwestia kryterium przynależności do mniejszości narodowej. Nacjonalistyczne oficjalne koła pruskie w odniesieniu do mniejszościowej społeczności polskiej stosowały jako kryterium zasadę: „Mniejszością jest kto chce”. Subiektywne wyrażenie woli, określało więc ich zdaniem przynależność narodową. Strona polska stała natomiast na stanowisku, że „Mniej-

szością jest kto jest", to znaczy, że o przynależności do określonej mniejszości narodowej decydują w pierwszym rzędzie: pochodzenie i język ojczysty, a w dalszej kolejności subiektywna wola. Takie ujęcie wynikało z wymownych doświadczeń niedawnej przeszłości, szczególnie okresu plebiscytowego, który wykazał, że nieskrępowane wyrażanie woli w tym względzie w państwie prowadzącym z założenia politykę wynaradawiania mniejszości (germanizację) jest fikcją, bo nawet w końcu, jeśli nie przymusem, to poprzez judaszowe srebrniki można osiągnąć odżegnanie się jednostek lub grup całych od swojej narodowości. Ponadto oficjalne czynniki pruskie np. w odniesieniu do mniejszości duńskiej stosowały zasadę „Mniejszością jest kto jest”. Tak więc zagadnienie kryterium przynależności mniejszościowo-narodowej rozpatrywane było przez władze pruskie w uzależnieniu od interesów i przewidywanej skuteczności pruskiej polityki germanizacyjnej. Uczestnicy tego zebrania postanowili jednomyślnie zaprotestować przeciw temu.

Dość drastyczny jednak moment sporny miał miejsce w bezpośrednio dalszym toku dyskusji. Jan Baczewski zaproponował bowiem, wychodząc z założenia, że uwzględnienie tego protestu ze strony czynników rządowych jest bardziej niż problematyczne, aby włączyć w zestaw polskich postulatów również wniosek o nauczanie z urzędu języka polskiego w pruskich szkołach ludowych na terenach zamieszkałych przez społeczność polską, wszędzie tam, gdzie dopuszczane przez projekt ordynacji warunki, stwarzające możliwość założenia polskich szkół prywatnych, nie będą mogły być dopełnione. Baczewski podkreślił, że w znanych mu poprzez kontakty nieoficjalne, poprzednich redakcjach projektu ordynacji, ten wniosek, zgłoszony zresztą w toku poufnych pertraktacji przez stronę polską, był uwzględniony. Wyłączony on został dopiero niedawno – informował Baczewski – na interwencję nacjonalistów z Prus Wschodnich, którzy widzieli w nim niebezpieczeństwo wzmocnienia się polskich wpływów, szczególnie w środowisku mazurskim. Przeciwno temu projektowi ostro wystąpili dr Kaczmarek i Antoni Józefczak, twierdząc, że uwzględnienie przez Niemców owego wniosku o nauczanie języka polskiego z urzędu, a w następstwie jego realizacja, sprowadza niebezpieczeństwo germanizacji dzieci polskich w ich ojczystym języku.

Dalsza dyskusja w tej materii, po bardzo burzliwym przebiegu, sprowadziła się ostatecznie do sporu w sprawie taktyki i metod działania w środowiskach, gdzie ruch polski nie był ugruntowany. Na ten temat w pamiętnikach Jana Baczewskiego znajduje się m. in. następująca relacja: „Odpowiedziałem mu (dr Kaczmarkowi – T. K.), że szkoły polskie należy otwierać wszędzie tam, gdzie będziemy mieli możliwość i gdzie wpłyną odpowiednie wnioski rodziców, którzy oprą się wszelkim nagonkom, szykanom i prześladowaniu gospodarczemu. Wszędzie tam jednak, gdzie to nie będzie możliwe, należy w początkowej fazie wprowadzić z urzędu naukę języka polskiego. W ten sposób należy powoli przygotowywać miejscowości do późniejszego otwarcia własnych szkół polskich. Stanowisko moje poparli wszyscy delegaci z ziem zamieszkałych przez polską ludność rodzimą. Niestety nie zostało ono zrozumiane przez przedstawicieli naszej emigracji pol

skiej. Prezes III Dzielnicy (westfalskiej) Związku Polaków w Niemczech, oświadczył, że na przykład na Mazurach należy zorganizować najsamprzód towarzystwa polskie, a następnie założyć tam szkoły polskie... Trudno mi było mu dziwić się. Człowiek ten nie był nigdy na terenach autochtonicznych i zupełnie nie znał panującej tam sytuacji. (...) Nie uwzględniali oni (dr Kaczmarek i A. Józefczak – T. K.) specyficznej sytuacji panującej na terenach zamieszkałych przez ludność rodzimą. Z tych też powodów nie mogli zrozumieć, że wprowadzenie z urzędu nauki języka polskiego we wszystkich szkołach powszechnych na terenach zamieszkałych przez ludność rodzimą, przy równoczesnym otwarciu szkół polskich tam, gdzie byliśmy silni i gdzie starczyłoby wniosków rodziców, jest dla nas jedynym wyjściem i potencjonalnie wzmacnia nasz stan posiadania".¹⁾

Na zebraniu tym nie zdołano jednak ujednoclić stanowiska o tej kwestii, w związku z czym wniosek ten nie został włączony do zestawu zastrzeżeń strony polskiej wobec rządowego projektu „Ordynacji...”

Ostatnia część posiedzenia poświęcona była omówieniu szczególnych uwag strony polskiej wobec określonych artykułów i paragrafów projektu ordynacji, które później ujęto w oficjalnym piśmie.

Obie Rady Naczelne, wychodząc z założenia, że w ówczesnej sytuacji, nie jest możliwe uzyskanie generalnie czegokolwiek więcej w kwestii uregulowania polskich spraw szkolnych, a uznanie w projekcie „Ordynacji...” zasadniczego postulatu, od lat podtrzymywanego przez kierownictwo ruchu polskiego, tj. możliwości zakładania polskich szkół prywatnych, stanowi korzystne ustępstwo na rzecz społeczności polskiej – postanowiły, z uwzględnieniem własnych zastrzeżeń na piśmie, przyjąć rządowy projekt „Ordynacji...”, jako podstawę dalszych ostatecznych pertraktacji. W tym celu wybrano specjalną, upoważnioną delegację w składzie: ks. dr Bolesław Domański, Jan Baczewski, dr Jan Kaczmarek, Stefan Szczepaniak, Antoni Józefczak.

Przygotowane w efekcie tego posiedzenia pismo z uwagami strony polskiej wobec projektu „Ordynacji...” brzmi:

„Mniejszość polska reprezentowana przez ks. dr Bolesława Domańskiego, Jana Baczewskiego, dr Jana Kaczmarka, Antoniego Józefczaka i Stefana Szczepaniaka wyraża swoje zadowolenie z tego, że rząd pruski dał jej obecnie możliwość do urzeczywistnienia długich nadziei na przedstawienie i wspólne szukanie dróg do porozumienia w sprawie ochrony mniejszości narodowych w Niemczech.

W związku z tym podkreślamy:

Problem mniejszości narodowych wymaga ustawowego zagwarantowania praw dla mniejszości narodowych przez rząd Rzeszy, który zobowiązany jest do ochrony mniejszości narodowych.

Równość i wspólnota wszystkich mniejszości narodowych w Niemczech wymagają także wspólnego i równego uregulowania problemu mniejszości narodowych w całych Niemczech, jakkolwiek struktura i sytuacja każdej

mniejszości, wymaga jednak innego podejścia prawnego. Mniejszość polska jako członek Związku Mniejszości Narodowych w Niemczech ubolewa nad rozdzieleniem tych spraw.

Do przedłożonego nam projektu ordynacji szkolnej dla mniejszości polskiej mamy następujące uwagi:

1. Przedłożony nam projekt przewiduje jedynie rozwiązanie części zagadnień ochrony mniejszości narodowych w Prusach.
2. W projekcie brak jest postanowienia o powołaniu instancji centralnej, która byłaby zobowiązana do współpracy z mniejszością polską i zagwarantowałaby mniejszości głos współdecydujący.

Zauważamy następujące braki:

1. Brak postanowienia, które stanowiłoby i gwarantowało stałość ordynacji.
2. Brak uregulowania spraw sił nauczycielskich i pomocy szkolnych.
3. Brak uregulowania spraw przedszkoli.
4. Brak postanowień, które zagwarantowałyby przyjęcie prywatnych szkół mniejszościowych przez państwo.
5. Brak możliwości państwowego wykształcenia narybku nauczycielskiego dla szkół mniejszościowych.
6. Brak gwarancji ze strony państwa na popieranie kursów prywatnych języka polskiego, przeznaczonych dla dzieci szkolnych, które nie mogą brać udziału w nauce języka polskiego, przewidzianej w ordynacji szkolnej.
7. Nie wyznaczono obowiązujących terminów.

Do poszczególnych artykułów ordynacji szkolnej zauważamy co następuje:

W art. I:

Do § 1: Brak jest określenia przynależności narodowej na podstawie pochodzenia i języka ojczystego.

W art. II:

Do § 4: Brak jest postanowienia, które nie uzależnia zezwolenia na nauczanie od obywatelstwa państwowego nauczyciela.

W art. III:

Do § 1: Brak gwarancji na udzielenie zezwolenia, gdyż jedynie paragrafy 2 – 6 art. II będą miały zastosowanie, a nie paragrafy 1 – 6.

Do § 2: Brak stwierdzenia, że udziela się zezwolenia na egzaminy z ważnością na terenie całego państwa w wypadku, gdy plan nauczania ułożony został zgodnie z założeniami niemieckiej władzy szkolnej.

W art. V:

Do § 1: Brak postanowienia o pomocy ze strony państwa dla sił nauczycielskich nie zatrudnionych w pełnym wymiarze godzin oraz pomocy państwa na utrzymanie i urządzenie szkół.

Do § 2: Brak postanowienia, które przewidywałoby jakąkolwiek pomoc ze strony państwa.

Do § 3: Brak postanowień o zabezpieczeniu pomieszczeń szkolnych w czasie, kiedy pomieszczenia nam przyznane potrzebne są dla innej nauki.

W art. VI:

Do § 1: Brak postanowienia, które przyznawałoby prawo nadzoru w publicznych szkołach mniejszościowych.

Do § 2: Brak ograniczenia przy ewentualnej odmowie projektu zgłoszonego z naszej strony.

Do § 3: Brak postanowień, które usunęłyby nasze zastrzeżenia do projektu ordynacji.

Nie uznajemy zawartych w art. 7 ograniczeń terytorialnych.

Berlin dnia 2 października 1928 roku.

Podpisali: Ks. dr Bolesław Domański, Jan Baczewski, dr Jan Kaczmarek, Antoni Józefczak, Stefan Szczepaniak".²⁾

Wokół kwestii podniesionych w tym piśmie toczyła się dyskusja na ministerialnej konferencji w dniu 2 października 1928 r. Zachował się protokół z tego zebrania. Pismo to opatrzone jest urzędową sygnaturą ministerialną: A. II. O. Nr 2966/28. Ma ono właściwie nie tyle charakter pełnego szczegółowo-wiernego protokołu z przebiegu zebrania, ile nosi znamiona dwustronnego oświadczenia końcowego. Tekst jego brzmi:

„Ministerstwo Oświaty zwołało na podstawie polecenia z dnia 23 września 1928 roku – A. III. 2720 – konferencję celem wysłuchania przedstawicieli mniejszości polskiej na temat zamierzonej regulacji podstaw prawnych polskiego szkolnictwa mniejszościowego. W konferencji uczestniczyli panowie wymienieni w załączonej liście.

Konferencję zagał tajny radca rządowy Gürich i powitał przybyłych. Ks. dr Domański podziękował w imieniu mniejszości polskiej za okazję do przedstawienia jej postulatów w sprawie projektu ordynacji szkolnej. Postulaty te przedstawione zostaną na piśmie.

Tajny radca rządowy Gürich w krótkim wywodzie przedstawił zasady projektowanej ordynacji szkolnej i zaznaczył, że Rada Ministrów na swoim posiedzeniu w dniu 28 kwietnia 1928 roku, zaaprobowwała jedynie ogólne wytyczne ordynacji, a nie zatwierdziła jeszcze szczegółowych jej postanowień opracowanych przez specjalną komisję.

Rada Ministrów zaaprobowwała następujące wytyczne:

- a) rozszerzenie zakresu działania ordynacji na całe państwo pruskie;
- b) uznanie jako wiążącej przy opracowaniu ordynacji zasady: „Mniejszością jest kto chce”;

- c) przewiduje się polskie szkoły prywatne jako prywatne szkoły mniejszościowe bez dotacji państwowych, polskie szkoły prywatne mniejszościowe jako prywatne mniejszościowe szkoły powszechne z dotacjami państwowymi oraz publiczne powszechne szkoły mniejszościowe.

Rada Ministrów uznała powyższe wytyczne jako podstawę pertraktacji.

Uczestnicy konferencji przeszli następnie do dyskusji nad projektem ordynacji dla szkół mniejszościowych. Tajny radca rządowy Gürich oświadczył, że sprawa uregulowania szkolnictwa mniejszościowego poprzez ustawy wydane przez rząd Rzeszy została przedyskutowana przez komisję. Komisja uznała, że załatwienie tych spraw na szczeblu Rzeszy będzie trwało bardzo długo, gdyż wchodzi tutaj w grę kompetencje poszczególnych krajów. Doświadczenie praktyczne wykazało, że jest to bardzo długa droga. Rząd Rzeszy ma prawo ustanawiać wytyczne, jednak w celu wprowadzenia ich w życie potrzebne są ustawy uchwalone przez poszczególne kraje. Rozpoczęcie regulacji spraw mniejszościowych od „góry”, to znaczy poprzez ustawodawstwo Rzeszy, a następnie dopiero poprzez ustawodawstwo krajowe trwałoby bardzo długo. W wypadku wkroczenia na tę drogę mniejszość musiałaby czekać na załatwienie tych samych spraw jeszcze kilka lat, by w efekcie dojść do stanu dzisiejszego. Ordynacja szkolna ma zagwarantować prawa szkolne mniejszości i w żadnym wypadku nie zamyka drogi do załatwienia tych spraw przez ustawy wydane przez władze Rzeszy. Każdego czasu może być wydana odpowiednia ustawa przez władze Rzeszy.

Jan Baczewski przyznał, że droga poprzez ustawodawstwo Rzeszy do ustaw na szczeblu krajowym byłaby zbyt długa i dlatego skłania się do przyjęcia drogi poprzez ustawodawstwo krajowe. Pan Baczewski wyraził także życzenie, by powołać do życia instancję centralną, która załatwiałaby sprawy zezwolenia na wyjazd i na pobyt dla nauczycieli o obcej przynależności państwowej (obywatelstwie). Instancja taka konieczna jest z uwagi na potrzebę szybkiego wydawania decyzji.

Dyrektor Departamentu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych dr Loehrs oświadczył, że w pruskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych utworzono specjalny referat dla skarg mniejszości narodowych i tutaj wszystkie skargi będą szybko opracowane i załatwione. Referat specjalnie będzie rozważał sprawy wchodzące w zakres policji dla cudzoziemców, a mianowicie m. in. sprawy dopuszczania nauczycieli o innej przynależności państwowej. Przedstawiciele mniejszości zadowolili się tym oświadczeniem i uznali punkt 1 za załatwiony.

Do pkt. 2: (Równość i wspólnota źródeł prawnych).

Tajny radca rządowy Gürich wskazał, że ustawodawstwo niemieckie zapewnia mniejszościom narodowym odpowiednią wolność. Mniejszość ma prawo organizowania zebrań oraz prawo zrzeszania się i jest dopuszczana także do urzędów. Nie ma więc potrzeby wydawania specjalnych ustaw, które byłyby jedynie powtórzeniem istniejących już praw. Mniejszość narodowa może korzystać z tych samych praw z jakich korzystają wszyscy obywatele Rzeszy. Nie można jej przyznawać większych praw, gdyż byłoby to niezgodne z Konstytucją, która przewiduje, że wszyscy są równi przed prawem.

Ks. dr Domański odpowiedział, że mniejszości narodowe nie dążą do uprzywilejowania. Domagają się jednak, by stworzono odpowiednie ustawy ochronne oraz urząd centralny, który zajmowałby się skargami mniejszości narodowej.

Dr Kaczmarek wskazał, że chodzi tutaj o całokształt praw mniejszościowych, jednak zadowolili się wyjaśnieniami przedstawiciela rządu pruskiego.

Radca ministerialny Tiedje z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Rzeszy zauważył, że rząd Rzeszy konferował już w sprawie szkolnictwa mniejszościowego z odpowiednimi rządami krajowymi. Podano to w swoim czasie mniejszości polskiej do wiadomości. Dopiero po załatwieniu tych spraw przez rządy krajowe można będzie myśleć o jakimś generalnym załatwieniu ich przez rząd Rzeszy.

Jan Baczewski oświadczył, że mniejszość polska zgadza się odczekać i w pierwszym rządzie w niedalekiej przyszłości sprawdzić, jak nowa ordynacja działać będzie w praktyce i wówczas dopiero orzec, czy istnieje potrzeba stworzenia jakiegoś urzędu centralnego.

Na tym zakończono omówienie ogólnych problemów i przystąpiono do omówienia poszczególnych punktów a mianowicie tych, o których oświadczenie polskie powiada: „Zauważa się następujące braki”.

Punkt 1. – Uznano za załatwiony.³⁾

Punkt 2. – Załatwienie spraw nauczycielskich i spraw pomocy szkolnych.

Przedstawiciele mniejszości oświadczyli, że do tej pory nie istnieją jeszcze żadne pomoce szkolne dla szkół mniejszościowych, za wyjątkiem Górnego Śląska, gdzie zresztą spraw tych też nie załatwiono w zupełności. Dla polskich szkół mniejszościowych potrzeba będzie elementarzy, czytańek i śpiewników. Stwierdzono, że sprawy te należy uregulować w zarządzeniach wykonawczych. Przedstawiciele polscy prosili, by na czas przejściowy zezwolić na używanie w polskich szkołach mniejszościowych tych podręczników, które są już w użyciu na Górnym Śląsku.

Przedstawiciel Ministerstwa Oświaty powiedział, że państwo nie występuje z inicjatywą wydawania podręczników szkolnych, a jedynie wydaje zezwolenia. Państwo będzie jednak dawało dotacje, by cena podręczników szkolnych w szkołach mniejszościowych nie przekraczała ceny niemieckich podręczników szkolnych.

Tajny radca rządowy Gürich oświadczył, że Związek Polskich Towarzystw Szkolnych już teraz może przedłożyć w Ministerstwie odpowiednie podręczniki celem ich oceny i dopuszczenia do nauki. Zezwolenia wydawać się będzie dla każdej książki osobno.

Dr Kaczmarek uznał te odpowiedzi za wystarczające i zadowolające i poinformował, że mniejszość polska przedłoży niebawem odpowiednie książki do oceny.

Przedstawiciele Ministerstwa Oświaty przyrzekli szybką ocenę.

Do punktu 3 – Przedszkola. Tajny radca rządowy Gürich oświadczył, że nie istnieje potrzeba wydawania specjalnych przepisów w tej sprawie

dla mniejszości narodowych, gdyż wobec nich obowiązują również ogólne przepisy, które przyznają również mniejszościom narodowym prawo utrzymywania własnych przedszkoli.

Jan Baczewski nadmienił, że chodzi tutaj o zezwolenie sprowadzenia przedszkolań z zagranicy i że ta sprawa powinna więc także znaleźć się w nowej ordynacji. Na terenie np. rejencji kwidzyńskiej pracuje obecnie 6 przedszkolań z zagranicy. Dalszym przedszkolankom nie zezwolono jednak na pracę.

Przedstawiciele Ministerstwa Oświaty przyrzekli zbadać tę sprawę.

Do punktu 4 wyjaśnił tajny radca rządowy Gürich, że rząd pruski nie przyjął dotąd w bezpośrednią administrację ani jednej szkoły średniej. Szkoły średnie utrzymywane są przez władze komunalne. Ordynacja szkolna nie może więc w tej sprawie czynić żadnego wyjątku. Co do szkolnictwa średniego istnieje zasada, by nie otwierać nowych szkół państwowych (rządowych) i nie przejmować w administrację szkół prywatnych. Naturalnie, że rząd znalazłby podstawy prawne do przejęcia szkół średnich i wyższych, jednak nie może dawać w tym kierunku mniejszościom narodowym żadnych zapewnień, gdyż wykraczałoby to przeciwko zasadzie równości wszystkich obywateli. W każdej chwili jednak rząd będzie mógł przejmować szkoły mniejszościowe. Jednak muszą być to szkoły silne.

Jan Baczewski odpowiedział, że wobec istnienia możliwości przejęcia utrzymania prywatnych szkół mniejszościowych przez rząd uważa on ten punkt za wyczerpany.

Do punktu 5 oświadczył tajny radca rządowy Gürich, że rząd przyjmuje na siebie obowiązek wykształcenia narybku nauczycielskiego dla szkół mniejszościowych w państwowych (rządowych) seminariach nauczycielskich. Fakt dopuszczenia otwarcia szkół mniejszościowych sam to już warunkuje.

Ks. dr Domański wyraził życzenie, by otworzyć wobec tego osobne seminarium nauczycielskie. Przyznał jednak, że życzenie takiego seminarium stoi w sprzeczności z ogólnymi zasadami kształcenia sił nauczycielskich.

Przedstawiciel Ministerstwa Oświaty dr Wende powiedział, że rząd stworzy możliwość kształcenia nauczycieli dla szkół mniejszościowych na akademiach pedagogicznych i na uniwersytetach. Po tej odpowiedzi przedstawiciele mniejszości polskiej uznali ten punkt za wyczerpany.

Do punktu 6 stwierdzono, że w rozumieniu odpowiedniego punktu ordynacji, przewiduje się pozostawienie prywatnych kursów języka polskiego również i po wejściu w życie ordynacji szkolnej. Zarządzenie wykonawcze do ordynacji nadto dostatecznie wyjaśni tę sprawę.

Przedstawiciele mniejszości polskiej proszą, by zwalniać od wycieczek i dodatkowych zajęć w pruskich szkołach publicznych dzieci, które w tym czasie brać będą udział w kursie języka polskiego.

Tajny radca rządowy Gürich oświadczył, że nowa ordynacja szkolna nie zabrania prywatnych kursów językowych i że przedstawiciele niemieccy

nie mają żadnych zastrzeżeń co do umieszczenia tego punktu w zarządzeniach wykonawczych.

Jan Baczewski prosił, by zezwolono na kursach prywatnych na naukę śpiewu polskiego.

Przedstawiciele Ministerstwa Oświaty odpowiedzieli, że nauka śpiewu jest nauką obowiązkową we wszystkich szkołach powszechnych i jest objęta planem nauczania. Nauczyciele, którzy udzielają lekcji śpiewu muszą posiadać odpowiednie wykształcenie. Takiego samego wykształcenia domagają się pruskie władze szkolne od nauczycieli, którzy na kursach prywatnych udzielać mają lekcji śpiewu.

Do punktu 7 wyjaśnili przedstawiciele mniejszości polskiej, że chodziło im tutaj o wyznaczenie określonych terminów przeszkolenia uczniów oraz terminów otwarcia prywatnych związków szkolnych.

Przedstawiciele rządu pruskiego wyjaśnili, że nie można wyznaczać żadnych terminów na przejścia dzieci z jednej do drugiej szkoły. Wyznaczenie terminu otwarcia szkół nie jest konieczne, ponieważ otwierać można szkoły każdego czasu. Naturalnie nie oplatą się otwierać nowej szkoły bezpośrednio przed końcem roku szkolnego.

Odpowiedzi te zadowoliły przedstawicieli mniejszości polskiej.

Następnie delegaci przeszli do omówienia zastrzeżeń mniejszości polskiej dotyczących poszczególnych artykułów i paragrafów.

Do art. 1 § 1 przedstawiciele mniejszości polskiej wyjaśnili, że domagają się wprowadzenia stwierdzenia przynależności narodowej według narodowości, to znaczy według pochodzenia oraz na podstawie języka ojczystego. Nadmienili oni, że nie można wszak w szkołach mniejszościowych nauczać dzieci, które nie należą do mniejszości polskiej. Dalej powiedzieli, że często członkowie mniejszości polskiej boją się przyznawać do pochodzenia polskiego z powodu zależności gospodarczej. Jest przecież rzeczą bardzo łatwą stwierdzić w jakim języku dzieci rozmawiają z rodzicami.

Tajny radca rządowy Gürich odpowiedział, że Rada Ministrów odrzuciła stwierdzenie przynależności narodowej według cech zewnętrznych. Rada Ministrów przyjęła zasadę, że mniejszością jest, kto chce. Daje się temu wyraz również w zarządzeniu wykonawczym oraz zaznacza, że nie wolno żadnym urzędom wywierać jakiegokolwiek wpływu przy podejmowaniu decyzji o przynależności narodowej. Rząd nie ma jednak specjalnej kontroli nad tym i nie jest w stanie zabraniać osobom prywatnym, by nie wywierały swojego wpływu. Rząd zobowiązuje mniejszość narodową do nie dopuszczania do swoich szkół dzieci, które nie są pochodzenia polskiego. Szkoła prywatna ma prawo decyzji o przyjęciu lub nie przyjęciu dziecka do swojej szkoły. Publiczne jednak szkoły mniejszościowe nie mogą nie przyjmować dzieci jedynie dlatego, że może nie są one członkami mniejszości.

Przedstawiciele mniejszości polskiej przyjęli te wyjaśnienia do wiadomości.

Do art. 2 § 4 powiedział Jan Baczewski, że w ordynacji szkolnej dla mniejszości duńskiej powiedziano wyraźnie, że dopuszcza się nauczycieli – obcokrajowców. W ordynacji szkolnej dla mniejszości polskiej powiedziano natomiast, że nauczyciele – obcokrajowcy mogą być dopuszczani.

Tajny radca rządowy Gürich odpowiedział, że ordynacja szkolna dla mniejszości duńskiej wydana została po konferencjach i pertraktacjach z rządem duńskim. Rząd duński wyraził gotowość kształcenia na swój koszt nauczycieli dla niemieckich szkół mniejszościowych w Danii. Jest to porozumienie obustronne. Rząd polski jednak do tej pory nie poczynił żadnych kroków, z których możnaby wnioskować, aby gotów był do podobnej umowy. Zresztą przedstawiciele mniejszości polskiej, sami przyznali, że wewnętrzna struktura i położenie każdej mniejszości narodowej wymagają pewnych odrębnych rozwiązań. Takie rozstrzygnięcie zastosowano w tym przypadku.

Mniejszość polska zadowolili się takim wyjaśnieniem.

Życzenia odnośnie art. 3 § 1 i 2 zostały załatwione na podstawie wyjaśnienia sensu tych przepisów.

Podkreślono w wyjaśnieniach, że zezwolenie na prywatne szkoły powszechne wymaga innych formalności jak zezwolenie na szkoły prywatne, gdyż cele szkół prywatnych są dalsze od celów prywatnych szkół powszechnych. Ordynacja w tym względzie nie daje specjalnych uprawnień mniejszości polskiej, lecz przyznaje jej jedynie to, że nauka języka polskiego w szkołach powszechnych nie może być traktowana gorzej od nauki języka niemieckiego w innych szkołach.

Art. 3 przewiduje, że świadectwa polskich szkół mniejszościowych mają takie same znaczenie prawne jak świadectwa szkół niemieckich.

Omawiano także prawo przeprowadzenia egzaminów w prywatnych szkołach mniejszościowych.

Wyjaśniono przedstawicielom mniejszości polskiej, że nie można takiego prawa udzielać już przed otwarciem szkoły, lecz prawo takie udzielić można dopiero po całkowitym uruchomieniu szkoły. Szkoła musi wykazać, że spełnia wszystkie wymagania, które warunkują udzielanie takiego prawa.

Wyjaśnienia do art. 5 § 1, 2 i 3 przyczyniły się także do załatwienia podnoszonych w tym przypadku zastrzeżeń.

Tajny radca rządowy Gürich oświadczył, że z zasady państwo nie udziela pomocy przy otwarciu i urzędzeniu nowych szkół, a jedynie pomaga w utrzymaniu istniejących już szkół prywatnych.

Przedstawiciele mniejszości polskiej odstąpili od żądania dotacji dla nauczycieli, którzy nie będą zatrudnieni w pełnym wymiarze godzin.

Do art. 6 § 1 – przedstawiciele Ministerstwa Oświaty odrzucili wniosek polski o ustanowienie polskich powiatowych inspektorów szkolnych. Wobec tego przedstawiciele mniejszości polskiej życzyli sobie, by przekazano nadzór nad szkołami polskimi urzędnikowi, który zbliżony jest do mniejszości.

Do art. 6 § 2 przedstawiciele mniejszości polskiej wyjaśnili swoje stanowisko tym, że pod pojęciem ograniczenia dla odmowy projektu rozumią, że spośród zaproponowanych kilku nauczycieli dla jednej szkoły władza szkolna powołać musi chociaż jednego z nich.

Przedstawiciele Ministerstwa Oświaty wyjaśnili, że takie życzenie nie jest zgodne z obowiązującymi ustawami. Przyznano mniejszości polskiej prawo wnoszenia projektów i już samo takie prawo gwarantuje współudział mniejszości w tych sprawach.

Do art. 6 § 3 wyjaśniali przedstawiciele mniejszości swoje życzenia w ten sposób, że interpretowane powinno być, iż zarządzenie Ministra Oświaty z dnia 31 grudnia 1918 roku może być stosowane wszędzie tam, gdzie zamieszkuje polska ludność rodzima. Prosil więc o rozciągnięcie mocy działania tego zarządzenia na te tereny, na których ono jeszcze nie obowiązuje, a mianowicie na teren całych Prus Wschodnich włącznie z rejencją kwidzyńską, na teren Pogranicza, Górnego Śląska oraz na powiaty bytowski i lęborski i to bez względu na wyznanie uczniów.

Przedstawiciele Ministerstwa Oświaty ustosunkowali się pozytywnie do tego życzenia.

Jan Baczewski domagał się wprowadzenia z urzędu nauki języka polskiego w szkołach na terenach zamieszkałych przez rodzimą ludność polską.

Przedstawiciele niemieccy odpowiedzieli, że wprowadzenie z urzędu nauki języka polskiego w niemieckich szkołach powszechnych nie może być pozytywnie załatwione.

Do art. 7 oświadczył Stefan Szczepaniak, że wyłączenie Górnego Śląska z zakresu działania ordynacji szkolnej nie jest niczym usprawiedliwione, gdyż konwencja genewska wygasa w roku 1937.

Tajny radca rządowy Gürich wyjaśnił, że konwencja genewska przewiduje przedłużenie jej ważności na podstawie obopólnego porozumienia. Na terenie objętym działaniem konwencji genewskiej międzynarodowe instancje czuwają nad wykonywaniem zawartych w niej przepisów.

Stefan Szczepaniak wobec tego na razie odstąpił od swojego życzenia.

Dyskutowano jeszcze o następującej sprawie:

Przedstawiciele mniejszości polskiej oświadczyli, że chętnie powitaliby wprowadzenie dostatecznej ochrony wniosków o otwarcie szkół mniejszościowych.

Przedstawiciele Ministerstwa Oświaty przeczytali im wówczas projekt zarządzeń wykonawczych i wskazali na fakt, że kodeks karny uwzględnia także ochronę praw mniejszości.

Pan Józefczak prosił, by wezwać nauczycieli szkół powszechnych w szkołach z uczniami pochodzenia polskiego do wyjaśnienia tym dzieciom, że rodzice ich mogą stawiać wniosek o naukę języka polskiego i że dzieci mogą na taką naukę uczęszczać. Nauczyciele winni także wskazać później na istniejące szkoły mniejszościowe.

Przedstawiciele Ministerstwa Oświaty odpowiedzieli, że zadaniem rządu jest niedopuszczać do jakiegokolwiek w tym względzie oddziaływania nauczycieli na dzieci, szczególnie zaś w sprawach narodowościowych. Gdyby wydano takie zarządzenie, to nauczyciele spotkaliby się z różnymi nieprzyjemnościami.

Przedstawiciele mniejszości polskiej zrozumieli powody wyłożone im odnośnie tej kwestii.

Po zakończeniu konferencji przedstawiciele mniejszości polskiej prosili o przekazanie im odpisu projektu zarządzeń wykonawczych.

Przedstawiciele Ministerstwa Oświaty oświadczyli, że na razie tego uczynić nie mogą, gdyż zarządzenia wykonawcze nie są opracowane jeszcze we wszystkich częściach. Skoro jednak dobiegnie to końca, wówczas nie mają żadnych zastrzeżeń, aby odpis zarządzenia przekazać mniejszości polskiej jeszcze przed opublikowaniem.

Na zakończenie delegat rządu Rzeszy prosił przedstawicieli mniejszości o zachowanie w ścisłej tajemnicy treści ordynacji szkolnej oraz wszystkich innych informacji przekazanych im w czasie konferencji. Sam fakt wysłuchania opinii przedstawicieli mniejszości polskiej w sprawie praw szkolnych może być opublikowany.

Przedstawiciele mniejszości polskiej przyrzekli zachowanie tych spraw na razie jeszcze w tajemnicy.

Ks. dr Domański na zakończenie podziękował rządowi krajowemu za wysłuchanie głosów przedstawicieli mniejszości polskiej. Specjalnie podziękował tajnemu radcy rządowemu Gürichowi za obiektywną i rzeczową pracę oraz kierownictwo nad przygotowaniem projektowanej ordynacji szkolnej.

OBECNI:

Tajny radca rządowy Gürich	pruskie Ministerstwo Oświaty
Radca ministerialny dr Wende	pruskie Ministerstwo Oświaty
Radca ministerialny dr Stolze	pruskie Ministerstwo Oświaty
Wyższy radca rządowy dr Schweckendieck	pruskie Ministerstwo Oświaty
Dyrektor departamentu dr Loehrs	pruskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych
Radca ministerialny dr Rathmann	pruskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych
Radca rządowy dr Weichmann	pruska Rada Ministrów
Radca ministerialny Tiedje	Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Rzeszy
Jan Baczewski	Prezes Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech

Dr Jan Kaczmarek	Sekretarz Generalny Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech
Ks. dr Bolesław Domański	Viceprezes Związku Polaków w Niemczech
Stefan Szczepaniak	Kierownik Dzielnicy I Związku Polaków w Niemczech.
Antoni Józefczak	Prezes Dzielnicy III Związku Polaków w Niemczech". ⁴⁾

W dalszych trzech miesiącach, które upłynęły do momentu wydania ordynacji praw szkolnych, przedstawiciele strony polskiej nie mieli już żadnego wpływu na tok prac przygotowawczych do ogłoszenia tego normatywu. Nie odbyło się bowiem ani ponowne oficjalne spotkanie z przedstawicielami pruskich czynników urzędowych, ani też nie omawiano tej kwestii przy żadnej innej okazji. Dopiero w drugiej połowie grudnia 1928 roku kierownictwo ruchu polskiego otrzymało poufną informację co do przypuszczalnego terminu ogłoszenia „Ordynacji...”, które miało nastąpić – jak doniesiono – w najkrótszym czasie.

Fakt, że rząd pruski ukrywał i zwlekał z terminem wydania tych przepisów, wynika głównie z trzech powodów: 1) Obawiano się reakcji ze strony nacjonalistycznej części niemieckiej opinii publicznej. 2) Chciano mimo wszystko osiągnąć pewne polityczno-prestiżowe korzyści, które równałyby się nie tylko określonej uznaniu zagranicy za ten – zdaniem kół pruskich – wspaniałomyślny gest (zważmy, że w skrojonej przez postanowienia wersalskie Europie tzw. sprawy mniejszościowe były niezwykle drażliwymi), ale także stanowiłyby plusy w polityce wewnętrznej. Mianowicie rok 1928 przyniósł porażkę wyborczą ruchowi polskiemu. Żaden polski kandydat nie został wybrany do Landtagu pruskiego. Władze pruskie, wydając „Ordynację...” właśnie po tym fakcie, sądziły, że na mniejszości polskiej sprawią wrażenie bezinteresownych strażników praw mniejszościowych i w ten sposób uda im się nadwyżyć spoistość ruchu polskiego. Diabeł, miałby się więc przez to okazać nie takim strasznym, jak go malują – co mogliby dyskutować przy innych okazjach (w tym także jako kolejny wobec zagranicy dowód rzekomej sprawiedliwości pruskiej polityki mniejszościowej). 3) W końcu wreszcie chciano, aby tradycyjna polityka germanizacyjna wobec Polaków, w stosunku do której „Ordynacja...” stanowiła niemiłe i znaczne ustępstwo, wyszła z tej opresji obronną ręką. Miało tym być wydanie „Ordynacji...” w takim terminie, aby realizowanie jej nastręczało najwięcej trudności. Rok szkolny w Prusach rozpoczynał się 1 kwietnia. Im bliżej więc tego terminu ogłoszona byłaby „Ordynacja...”, tym większe prawdopodobieństwo, że szkoły polskie nie zostałyby otwarte z początkiem roku szkolnego. Im bardziej natomiast przedłużałby się wstępny okres organizacyjny, tym więcej czasu na kontrakcję miałyby koła nacjonalistyczne,

głównie lokalne, wobec których utrzymywano najpierw rzecz całą w tajemnicy, a później zamierzano się nimi posłużyć jako główną siłą uderzeniową.

W pruskich kołach urzędowych liczono się poważnie z tym, że wydanie „Ordynacji...” w krótkim czasie przed rozpoczęciem roku szkolnego, już nie tyle bezpośrednio z powodu kontrakcji nacjonalistycznej, ile z oczywistych, naturalnych przyczyn organizacyjnych, stworzy już u samych rodzin szkolnictwa polskiego przeszkody trudne do usunięcia. Sądzone, że np. po ewentualnym nawet uruchomieniu szkoły, ale w znacznie późniejszym terminie, doprowadzi się do zachwiania procesu nauczania, co m. in. uczyni go uciążliwym dla dziecka, a przez to rozczaruje do szkoły polskiej, a sama placówka szkolna będzie mogła stać się obiektem kłopotliwego dla niej zainteresowania pruskich władz oświatowych. W ten sposób wprowadzi się nerwowość w życie szkoły i pracę nauczyciela. Słowem – utrudni ich stabilizację, którą wtedy nadto już będzie mogła skutecznie podważać miejscowa działalność szowinistyczna. To tylko jeden wariant doprowadzenia do tego czego sobie życzone. By to osiągnąć opróżniono – już po wydaniu samej „Ordynacji...”, ogłoszenie zarządzeń wykonawczych oraz uregulowanie innych związanych z tym kwestii (sprowadzenia niezbędnej kadry nauczycielskiej z Polski, zatwierdzenia podrechników oraz programu nauczania).

Na trzy miesiące przed rozpoczęciem roku szkolnego – 31 grudnia 1928 r. pruska Rada Ministrów zatwierdziła ordynację praw szkolnych dla ludności polskiej, ogłaszając jej tekst w dzienniku urzędowym z 23 stycznia 1929 r. Tekst „Ordynacji...” w tłumaczeniu na język polski przytoczony zostaje dosłownie według broszury wydanej w 1929 r. przez Związek Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech:

Art. I.

§ 1.

Do mniejszości w myśl poniższych zarządzeń zalicza się te części ludności Rzeszy, które przyznawają się do polskości.

§ 2.

Przyznania się do mniejszości nie wolno ani sprawdzać ani kwestionować.

Umieszczenie dziecka na wniosku o otwarcie szkoły mniejszościowej lub zameldowanie go przez upoważnionych do wychowania, jest dostatecznym dowodem przynależności tego dziecka do mniejszości.

§ 3.

Dzieci mniejszości spełniają obowiązek szkolny również uczęszczając regularnie do prywatnej szkoły mniejszościowej.

§ 4.

Dla udzielenia pozwolenia na utworzenie i prowadzenie prywatnej mniejszościowej szkoły ludowej wymaga się, aby ten, który otrzymać ma pozwolenie, posiadał dowód uzdolnienia na przyjęcie posady w pruskim szkolnictwie. Pozwolenie może być również udzielone nauczycielowi(ce), który(a) posiada odpowiednie kwalifikacje w polskiej służbie szkolnej i przeciwko któremu(ej) nie ma żadnych zastrzeżeń, zwłaszcza natury rzeczowej albo moralnej.

Dla dopuszczenia takiego nauczyciela(ki) nie wymaga się dodatkowego świadectwa naukowego, ani też pod względem językowym.

Dla nauczycieli(lek), zatrudnionych ewentualnie obok kierownika, obowiązują te same przepisy o kwalifikacji nauczycielskiej, co dla kierownika.

§ 5.

Ubikacje szkolne muszą odpowiadać słusznym wymaganiom, przyczem należy uwzględnić liczbę dzieci, uczęszczających na naukę; nie należy jednak stawiać takich samych wymagań, co dla szkół publicznych. Przed otwarciem szkoły musi być zapewniony potrzebny inwentarz szkolny.

§ 6.

Za dowód posiadania dostatecznych środków, potrzebnych do utrzymania szkoły, wystarczy między innymi także gwarancja, przejęta przez prawnie uznane towarzystwo, liczące przynajmniej 100 członków, obywateli niemieckich. Dalszych gwarancji w tym wypadku można wymagać tylko wtenczas, jeżeli liczba w pełni zatrudnionych nauczycieli(lek) w szkołach, za które towarzystwo przejęło gwarancję, przekracza 5 procent członków towarzystwa.

§ 7.

Uchylenia od planu nauki niemieckich szkół ludowych są dopuszczalne o tyle, o ile konieczność tego wymaga, aby uczniom dostatecznie przyswoić znajomość polskośći podczas nauki. Miejsce języka niemieckiego zastępuje język polski, jako język wykładowy. Język niemiecki musi być przedmiotem nauczania w dostatecznej ilości godzin.

Wakacje muszą być te same, co w publicznych szkołach ludowych.

Art. II.

§ 1.

Potrzeba utworzenia prywatnej mniejszościowej szkoły ludowej z językiem polskim jako językiem wykładowym dla szkolnych dzieci mniejszości polskiej, obywatelstwa niemieckiego, zamieszkałych w jednym ob-

wodzie szkolnym, lub takiej odległości, że jest zapewnione regularne uczęszczanie do szkoły, będzie zawsze uznana, chyba że nauka dzieci należących do mniejszości jest już dostatecznie umożliwiona przez istnienie publicznych lub prywatnych szkół mniejszościowych.

§ 2.

Dzieci obywateli obcych mogą uczęszczać do prywatnej, mniejszościowej szkoły ludowej o ile udowodni się ich przynależność do narodowości polskiej na podstawie pochodzenia lub języka.

Art. III.

§ 1.

Dla zakładania szkół prywatnych z polskim językiem wykładowym o poziomie wyższym od poziomu szkoły ludowej obowiązują te same przepisy, odnoszące się do zakładania szkół prywatnych w ogóle. Przepisy artykułu II, par. 2 – 6, znajdują odpowiednie zastosowanie

§ 2.

Przy udzielaniu zezwoleń na egzaminy, nadające państwowe uprawnienia, obowiązują te same zasady, co dla innych szkół prywatnych, o ile w szkołach mniejszościowych jest udzielana wystarczająca nauka niemieckiego.

Art. IV.

Aby nauczycieli prywatnych szkół mniejszościowych poza tym jeszcze zaznajomić ze specjalnymi zadaniami szkolnictwa mniejszościowego i aby im przyswoić specjalne kwalifikacje do nauczania w takich szkołach, mogą towarzystwa z siedzibą w Rzeszy, albo pojedyncze osoby, obywatele niemieccy, na własny koszt utworzyć osobne instytucje lub urzędy także w formie stałych kursów.

Działalności kierownika(czki) lub nauczyciela(ki) przy szkole mniejszościowej nie wolno władzom szkolnym uzależniać od brania udziału w oświatowych urządzeniach.

Art. V.

§ 1.

Wynosi liczba dzieci szkolnych uczęszczających do prywatnej szkoły mniejszościowej w związku szkolnym o ludności do 20 tysięcy co najmniej 40, w związku szkolnym o więcej niż 20 tysięcy lecz nie więcej jak 50 tysięcy ludności, co najmniej 80, w związku szkolnym o więcej jak 50 tysięcy

lecz nie więcej jak 100 tysięcy ludności conajmniej 120, w związku szkolnym ponad 100 tysięcy ludności conajmniej 240, wtedy należy udzielić prywatnej szkole ludowej subwencji państwowej na utrzymanie. Zmiany w liczbie dzieci szkolnych w ciągu roku szkolnego nie uwzględnia się.

Subwencja państwowa w zasadzie ma wynosić 60 od sta kwoty, którą się zużywa na uposażenie w pełni zatrudnionych nauczycieli(lek).

O ile państwo albo związek szkolny daje szkole mniejszościowej ubikacje do bezpłatnego użytku, natenczas wartość użytkowania tych ubikacji policzona być może jako część subwencji gotówkowej.

Za związek szkolny w myśl niniejszych przepisów należy uważać również istniejące jeszcze gminy szkolne.

§ 2.

Dla subwencjonowania prywatnych szkół mniejszościowych o wyższym poziomie od szkoły ludowej, obowiązują przepisy, odnoszące się do szkół pruskich tego samego rodzaju.

§ 3.

Władze szkolne upowaznia się do udzielania zezwoleń na korzystanie z lokali szkół publicznych dla nauki prywatnych szkół mniejszościowych.

Art. VI.

§ 1.

Jeżeli przy prywatnej szkole mniejszościowej odnośnie do liczby uczęszczających do niej dzieci szkolnych warunki, zawarte w artykule V § 1, dotyczące udzielania subwencji państwowej, istniały w przeciągu trzech lat z rzędu i nadal istnieją, szkoła ta na wniosek wychowawców conajmniej 40 dzieci szkolnych, uczęszczających do tej szkoły, winna być przekształcona na publiczną szkołę ludową z polskim językiem wykładowym.

Dla utrzymania tej szkoły ludowej, angażowania i uposażenia sił nauczycielskich, obowiązują wtenczas te same przepisy, jak w innych publicznych pruskich szkołach ludowych. Jeżeli jednakże wychowawcy większej liczby dzieci, jak tej, którą zastępują wnioskodawcy, sprzeciwiają się przekształceniu na szkołę publiczną, przekształcenie nie nastąpi.

Do 1 kwietnia 1934 roku należy otworzyć w związku szkolnym na wniosek wychowawców przynajmniej 40 dzieci szkolnych publiczne szkoły ludowe z polskim językiem wykładowym albo prywatne szkoły przekształcić na publiczne, jeżeli ilość dzieci szkolnych, objętych wnioskiem danego związku szkolnego, wynosi conajmniej 5 procent wszystkich dzieci, należących do tego związku szkolnego i podlegających przymusowi szkolnemu z początkiem roku szkolnego.

Za obwód szkolny w myśl niniejszych przepisów należy uważać również istniejące jeszcze gminy szkolne.

§ 2.

Przed zamianowaniem sił nauczycielskich przy takiej szkole winna być dana radzie rodzicielskiej tej szkoły sposobność stawiania propozycji, również winno być wysłuchane zdanie rady rodzicielskiej przed wprowadzeniem specjalnych podręczników szkolnych.

§ 3.

Przy zaprowadzeniu polskiej nauki pisania, czytania i religii, obowiązują obecnie rozporządzenia.

Art. VII.

Przepisy artykułów I – VI niniejszej ordynacji nie obowiązują na terenie, gdzie obowiązuje konwencja genewska; na obszarze całej rejencji opolskiej obowiązuje jednak obok postanowień konwencji genewskiej rozporządzenie ministra oświaty z dnia 31 grudnia 1918 r. U III A nr 1420.

Berlin, dnia 31 grudnia 1928 r.

Pruska Rada Ministrów – Braun, Becker, Grzesinski.

St. M. I 15514/28, M. f. W., K. u. V. A III O 3662/28. I⁵).

Ostateczne brzmienie „Ordynacji...” nie odbiega od uprzednio, choćby na posiedzeniu w dniu 2 października 1928 r. – diskutowanego jej projektu, przyczem zasadnicze zastrzeżenia strony polskiej nie zostały uwzględnione. Dała ona mniejszości polskiej tylko prawo zakładania szkół mniejszościowych z polskim językiem nauczania i polskimi pedagogami, szkół zrównanych w prawach z pruskimi szkołami publicznymi. Mimo że prawo to jest w istocie ograniczone, to jednak w ówczesnych warunkach stanowiło maksimum tego co można było zdobyć.

Jeszcze przed urzędowym ogłoszeniem „Ordynacji...” kierownictwo ruchu polskiego w Niemczech w następującej uchwale tak wyraziło swoje stanowisko wobec niej:

„Pruska Ordynacja w sprawie uregulowania szkolnictwa mniejszości polskiej, która w krótkim czasie ma być urzędowo ogłoszona i wejść w życie z rozpoczęciem nowego roku szkolnego przyjęta jest przez nas z poważnymi zastrzeżeniami. Ordynacja nie zawiera przepisów, które zabezpieczyłyby i ułatwiłyby każdemu dziecku o polskim języku ojczystym w Niemczech naukę języka polskiego. Pruska ordynacja mimo stałego podkreślania jej liberalności daje ciężko pracującemu ludowi polskiemu w Prusach pewne prawa jedynie w dziedzinie szkolnictwa prywatnego. Cała odpowiedzialność za budowę tego szkolnictwa spada na barki ludu polskiego. Otwarcie publicznych polskich szkół powszechnych utrudnione zostało różnymi warunkami. Ordynacja nie reguluje także w sposób konkretny i niedwuznaczny sprawy nauczycieli dla mających być otwartych szkół

polских. Rząd pruski, który w ostatnich latach nic w tym kierunku nie uczynił pozostawia otwartą możliwość sprowadzenia nauczycieli z Polski. Możliwość ta nie jest bliżej określona. Mimo naszych żądań nie załatwiono w dostateczny sposób sprawy przedszkolek dla naszych przedszkoli.

Powyższe braki wywołują nasze zastrzeżenia. Zastrzeżenia nasze są tym większe, gdyż wiemy, że po smutnych doświadczeniach na Górnym Śląsku i po smutnych doświadczeniach z różnymi tajnymi zarządzeniami, niełatwo nam będzie urzeczywistnić szkolnictwo polskie nawet w tak skromnych ramach. Urzeczywistnienie szkolnictwa polskiego w dużej mierze zależeć będzie od tego, jak niższe urzędy i administracja szkolna ustosunkują się do zarządzeń wykonawczych ordynacji i jak je wykonają.

Niższe urzędy i administracja szkolna zapewne do dnia dzisiejszego nie mają jeszcze szerokich instrukcji, by wstrzymać się od wszelkiego przeciwdziałania i wpływu na powstające szkolnictwo polskie. Wszędzie tam, gdzie zamieszkuje ludność polska rozpoczęła się już żywa propaganda przeciwko otwieraniu szkół polskich. Propaganda ta prowadzona jest przez niższe urzędy oraz przez wielką ilość organizacji narodowo-niemieckich.

Stwierdaliśmy, że czynniki urzędowe widzą w tej ordynacji apel do nowej walki na polu narodowo-kulturalnym. Ma to wszędzie tam miejsce, gdzie od setek lat zamieszkuje ludność polska. Nie tak dawno radca ministerialny dr Rathenau z pruskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych stwierdził w artykułach, które ukazały się w niemieckich periodykach „Tygodniku Prawnym” i „Dzienniku Berlińskim”, co następuje: „Droga do współzawodnictwa na polu kulturalnym została otwarta”. Wzywa on z tego powodu ludność niemiecką, by nie szczędziła ofiar i środków w tej walce. Z jego wywodów wyraźnie można wyczuć, że w zrozumieniu czynników urzędowych ordynacja szkolna otwiera pole do ostrej walki, w której zaognić się muszą przeciwności narodowe.

Pomimo wszystkich tych zastrzeżeń i niepokojących stwierdzeń, które czuliśmy już w przededniu wydania ordynacji stwierdzamy: Rada Naczelna Związku Polaków w Niemczech zdecydowana jest urzeczywistnić szkolnictwo polskie w ramach tej ordynacji. Wzywamy cały lud polski w Niemczech do podjęcia jak największego wysiłku w tym kierunku.

Mimo podjęcia największych wysiłków lud polski nie dąży do walki. Jeżeli zmuszony będzie do tej walki, to ją podejmie i przeprowadzi z całą energią aż do ostateczności⁶⁾.

Pod koniec stycznia 1929 r. władze pruskie przystąpiły do ostatecznego opracowania przepisów wykonawczych „Ordynacji...”, które wydano dopiero 21 lutego 1929 r. czyli faktycznie na miesiąc przed rozpoczęciem roku szkolnego. Mimo to zawiodły się w swoich rachubach. Pierwsze szkoły polskie powstały nadspodziewanie szybko. Ale to już kwestia oddzielna, której tutaj nie podejmujemy, tak jak do oddzielnego opracowania, dla którego być może znajdzie się miejsce w kolejnym tomie „Rocznika Lubuskiego”, pozostawiamy omówienie problematyki polskich praw szkolnych w zakresie ich postanowień wykonawczych.

PRZYPISY

1. Jan Baczewski „Ze wspomnień warmijskiego działacza”, maszynopis.
2. Oryginał w zbiorach J. Baczewskiego, aneks do pracy tego autora „Die Werdegang der polnischen Minderheitsschule in Preussen” (maszynopis).
3. Jak mi w rozmowie jeszcze za życia wyjaśniał J. Baczewski, odnotowanie w ten sposób dyskusji wokół tego punktu nastąpiło na życzenie przedstawicieli rządu Rzeszy i pruskiej Rady Ministrów, którzy wątpliwości i zastrzeżenia strony polskiej w tym zakresie odpierali i rozwiewali wyjaśnieniami związanymi z kwestiami niemieckiej polityki zagranicznej i racją stanu Rzeszy, co traktowali jako ściśle poufne objaśnienia, po których nie może pozostać ślad nawet w tego rodzaju urzędowym dokumencie.
4. Oryginał w zbiorach J. Baczewskiego.
5. „Ordynacja dotycząca uregulowania szkolnictwa dla mniejszości polskiej oraz rozporządzenia wykonawcze” („Ordnung zur Regulung des Schulwesens für die polnische Minderheit nebst Ausführungs-bestimmungen”), 1929 r. „nakładem: Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech T. z.

Pruska ordynacja praw szkolnych

6. Cyt. za J. Baczewski „Ze wspomnień...”, por. też T. Kajan „Z walk o szkołę polską na Ziemiach Zachodnich” (w pr. zb. „Nie damy pogrześć mowy...”, wyd. Lubuskie Towarzystwo Kultury – Zielona Góra, 1959 r.), str. 54-56.

ŹRÓDŁA I LITERATURA

1. „Ordynacja dotycząca uregulowania szkolnictwa dla mniejszości polskiej oraz rozporządzenia wykonawcze” („Ordnung zur Regelung des Schulwesens für die polnische Minderheit nebst Ausführungsbestimmungen”), 1929 r., nakładem: Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech T. z.
2. Jan Baczewski „Der Werdegang der polnischen Minderheitsschule in Preussen” (maszynopis niedrukowanej pracy w języku niemieckim z lat 1930 – 1932).
3. Jan Baczewski „Ze wspomnień warmińskiego działacza” (maszynopis – praca w druku).
4. Jan Baczewski „Sprawy polskie w Sejmie Pruskim w latach 1922 – 1928” z rękopisu opracował i uzupełnił Tadeusz Kajan (w przygotowaniu do druku).
5. W. Junosza „Szkolnictwo polskie w Niemczech 1928 r.”, Warszawa.
6. W. Junosza „Szkolnictwo prywatne w Prusiech”, „Strażnica Zachodnia”, nr 4/1929 r. Toruń.
7. H. Lewandowski „Szkolnictwo polskie w Niemczech i Prusach Wschodnich”, 1931 r.,
8. „Nie damy pogrześć mowy...” – praca zbiorowa 1959 r., Lubuskie Towarzystwo Kultury – Zielona Góra.
9. E. Zdrojewski „Szkolnictwo polskie w Niemczech”, 1934 r., Warszawa.

Rodzina Cichych należy do zdawna osiadłych w Nowym i Starym Kramsku. Dochowana w Nowym Kramsku kronika kościelna rozpoczynająca się w 1638 roku już na trzeciej stronie wymienia nazwisko Cichy wśród dzierżawców gruntów kościelnych. Na innej stronie w spisie mieszkańców, sporządzonym *ex antiquo libello*, którzy zobowiązani są do opłat mesznych, figuruje między innymi nazwisko Cichego – zobowiązanego do oddawania „5 wiertel Babimojskich żyta i owsa”. Nieco dalej zapis ujmujący zwyczaj dawny „mur około kościoła, który powinni poprawować, iako ab antiquo poprawowali kmiecie nowokramscy y starokramscy według osad swoich... ab Anno 1650... iako niżej” – wymienia Cichego, jako zobowiązanego do reperacji 13 łokci tegoż muru. Z dalszego tekstu wynika, że obowiązek taki mieli przede wszystkim dzierżawcy ziemi kościelnej, a rozmiary tego obowiązku uzależnione były od tego ile „śladów” ziemi dzierżawili.

W księdze chrztów pod r. 1638 podano, że Barbara Cicha trzymała do chrztu w dniu 30. VI. Christophorusa Kukla. Parokrotnie osoby o tym nazwisku figurują jako członkowie rady parafialnej – nie istniały jeszcze w tym czasie świeckie organizacje społeczne.

Z tych z dawna osiadłych w Nowym i Starym Kramsku rodzin wywodzi się na pewno Jan Cichy, który urodził się 21. 10. 1878 roku w Starym Kramsku w rodzinie małorolnego chłopca o tym samym imieniu. W czasie odbywania obowiązku szkolnego przeżył razem z innymi dziećmi strajk szkolny w 1890 r. Liczył 12 lat gdy władze niemieckie zarządziły nauczanie religii

JAN CICHY

i odmawianie pacierza przed i po lekcjach w języku niemieckim. Doszło do ostrych starć z ówczesnym nauczycielem Wittchenem, gdyż rodzice przeciwwstawiali się zarządzeniu. Dzieci posłuszne rodzicom nie chciały podporządkować się Wittchenowi. Nie pomogło bicie. Rozpoczął się kilkutygodniowy strajk. Ostatecznie wygrała niemiecka szkoła, ale wydarzenie stało się sygnałem ostrzegawczym dla ludności, która odczuła, że polityka rządu niemieckiego postawiła sobie za cel wynarodowienie Polaków. Od tego bodaj czasu narastać będą zabiegi ludności, zmierzające do zachowania mowy i obyczaju polskiego, tym gorliwsze im bardziej wzrastać będzie nacisk germanizacyjny. Podobne strajki miały w tym czasie miejsce tylko w kilku miejscowościach Wielkopolski.

W parę miesięcy po ukończeniu szkoły¹⁾ od 1 stycznia 1893 r. – jako czternastoletni chłopak dochodził Cichy do pracy w majątku. Sytuacja w rodzinie liczącej siedmioro dzieci była trudna. Trzeba było pomóc rodzicom. Jego zarobek tygodniowy wynosił 5 marek i 10 fenigów. 10 fenigów zostawiała mu matka jako kieszonkowe. Po trzech latach ruszył za przykładem wielu innych mieszkańców Babimojszczyzny na zachód do pracy w cegielni. Kramszczanie mieli tam dobrą sławę jako zręczni strycharze. Przez 3 lata pracował nieprzerwanie w cegielni w Pewesin koło Brandenburga. Zarabiał tam lepiej, lecz w roku 1898 powołano go do wojska, do odbycia dwuletniej służby. Przez następne 3 lata pracował znów w cegielni w Cetniku (Zedenick) za Berlinem, a zimą w cukrowni w Nauen. W ciągu tych paru lat zaoszczędził nieco pieniędzy niezbędnych do założenia rodziny. Ożenił się z Weroniką Sikucińską i stał się współwłaścicielem 15 ha gospodarstwa w Nowym Kramsku, które prowadził aż do śmierci.

W tym czasie Jan Cichy rozpoczął pracę jako społecznik. Kontynuował ją przez całe życie, zdobywając sobie opinię jednego z najdzielniejszych i najbardziej zasłużonych patriotów tzw. Pogranicza. Dokumentem umożliwiającym ustalenie dokładnej daty rozpoczęcia społecznej pracy Cichego jest znajdujące się w aktach Komisarjatu w Kargowej pismo datowane 1. III. 1904 r. podpisane przez ks. Rosochowicza, proboszcza w Nowym Kramsku i Józefa Konopnickiego, pierwszego prezesa towarzystwa, zawiadamiające o założeniu we wsi Nowe Kramsko organizacji pod nazwą „Katholische Arbeiterverein”. W dołączonym statucie, przesłanym łącznie z wnioskiem o zalegalizowanie organizacji, wpisano na str. 13 „Statut przyjęty został na Walnym Zebraniu, które odbyło się w dniu dzisiejszym dla Nowego Kramska i miejscowości Stare Kramsko i Wojnowo. Nowe Kramsko, 28 lutego 1904 r.”. Pod tym dopiskiem figurują podpisy zarządu towarzystwa.

Na karcie tytułowej statutu urzędnik niemiecki dopisał: „W polskich statutach organizacja nazywa się „Towarzystwo Robotników Polskich – also Verein Polnischen Arbeiter”. Świadczy to o właściwym rozeznaniu przez Niemców sensu organizacji. Pod pozorem organizacji katolickiej utworzono patriotyczną organizację polską.

W nowoutworzonym towarzystwie, do którego z miejsca wstąpiło 119 członków – listę ich dołączono do wniosku – Cichemu powierzono funkcję bibliotekarza, zaznaczając, że chwilowo brak jeszcze biblioteki. Prezesem

towarzystwa był Józef Konopnicki, sekretarzem Józef Szypuła – organista, jego zastępcą krawiec Józef Piwecki, skarbnikiem Kazimierz Tomiak, a członkami zarządu Roman Kubik, Józef Piwecki – stróż nocny i Wawrzyn Likus, murarz.

Wkrótce dzięki pomocy z Poznania uruchomiono bibliotekę Towarzystwa Robotników w mieszkaniu Stefana Fabisia, którą później przeniesiono do Cichego. Liczyła ona ok. 60 książek, a przed wybuchem drugiej wojny światowej prowadził ją Feliks Bednarkiewicz. Liczyła wówczas 100 tytułów.

W kilka lat później Cichy, który już dał się poznać jako gorliwy społecznik, został wybrany na prezesa Towarzystwa Robotników Polskich i funkcję tę pełnił nieprzerwanie, aż do 1939 r., do napadu Hitlera na Polskę. Wyjątek stanowiły lata 1914-16, kiedy przebywał w wojsku, a pisma za niego podpisywał ks. Dudziński. Zresztą działalność organizacji w tym czasie siłą rzeczy musiała podupać. Trudno w tej chwili ustalić, w którym roku wybrano Cichego prezesem, w aktach niemieckich istnieją luki, spowodowane być może małą aktywnością organizacji w pierwszych latach jej istnienia. Pisma i prośby o zezwolenia na imprezy stanowią w początkowym okresie raczej rzadkość. Pamięci ludzkiej też trudno zawierzyć, jest ona zawodna i sam Cichy mawiał, że rozpoczął pracę społeczną jako bibliotekarz Towarzystwa Robotników w 1906 r., a dokumenty świadczą, że rozpoczął ją już w 1904 roku.

Pierwszy dokument stwierdzający, że Cichy pełnił funkcję prezesa datowany jest 29. X. 1910 roku. Stanowi on odpowiedź na żądanie komisarza Wagnera, aby przesłano mu statut Towarzystwa Robotników Polskich. Dokument bardzo charakterystyczny, śmiały i silny, symbolicznie wytyczający całą przyszłą drogę Cichego w pracy społeczno-politycznej – nieustępliwego wobec wrogich władz – chłopca-patrioty. Píše w nim Cichy: „W odpowiedzi na Pana pismo z 25. X. 1910 r., dotyczące przesłania statutu Towarzystwa Robotników w Nowym Kramsku, pozwalam (ośmielam) sobie donieść, że według nowej ustawy o stowarzyszeniach brak uzasadnienia do wysłania statutu”. – Oczywiście i do żądania! Zirykowało to ówczesnego komisarza Wagnera do tego stopnia, że z listem tym wybrał się do Kramska, by wyrzucić nacisk na Cichego i zmusić do uległości. Nie znamy dokładnie przebiegu jego rozmowy z Cichym, w każdym razie po powrocie 13. 2. 1911 r. zanotował on na tym dokumencie, że organizację robotników traktować trzeba jako polityczną.

(Dosłowne brzmienie wysłanego listu).

Neukramzig d. 29. 10. 1910
An den Kgl. Herrn Polizei Komissar
in. Unruhstadt

In Erwiderung auf Ihr Schreiben v. 25. 10. 1910 betreff Einsendung der Vereinssatzungen des Arbeitervereins in Neukramzig, erlaube ich mir mitzuteilen, dass nach der neuen Vereinsgesetz kein Grund zur Einsendung der Satzungen vorliegt.

Achtungsvoll
Johann Cichy

Od tego czasu teczka z dokumentami Towarzystwa Robotników narażała w widoczny sposób, ożywiała się działalność tej organizacji. Świadczy o tym liczne wnioski o udzielenie zezwoleń na zabawy, przedstawienia, wieczornice ze śpiewami, wycieczki i poświęcenie sztandaru. Wszystkie one poczynawszy od wniosku datowanego 12. I. 1911 r. podpisywane są przez Jana Cichego, jako prezesa Towarzystwa. Dla przykładu przytoczymy kilka z nich, obrazujących, jakie sztuki teatralne wystawiali amatorzy w tych latach.

W styczniu 1911 r. prosił Cichy w imieniu Towarzystwa o zezwolenie na wystawienie dramatu J. Korzeniowskiego „Rokiczana” oraz A. Wrońskiego „Tajemnice Starego Miasta” – obie sztuki ze śpiewami.

W styczniu 1912 r. – o zezwolenie na wystawienie dwuaktowej sztuki „Okreżne” – (autor nie podany) i jednoaktówki pt. „Kominarz i młynarz”.

W styczniu 1913 r. znajdujemy wniosek o zezwolenie na przedstawienie dwu sztuk pt. „Tak jak widocznie było sądzone” i „Brzytwa swatem”.

W rok później, w roku wybuchu pierwszej wojny światowej, prosił Cichy o zezwolenie na śpiewy ze śpiewnika Towarzystwa i wystawienie dwu sztuk „Łobzowanie” i „Bursztyn Kasi”.

Oprócz przedstawień Towarzystwo urządzało zabawy letnie, przeważnie na brzegu lasu od strony Wojnowa.

Władze bardzo skrupulatnie przesyłały wnioski do oceny do Poznania, gdzie decydowano, czy wolno sztukę wystawić. Tak na przykład odmówiono zezwolenia na wystawienie „Bursztynów Kasi”. Podobnej aprobaty wymagało także śpiewanie pieśni w języku polskim. Na wezwanie komisarza musieli robotnicy dodatkowo przesłać numery pieśni, które chcą śpiewać i dopiero po kontroli cenzury udzielał komisarz zezwolenia. Z zasady, władze zakazywały używania w pochodach sztandaru Towarzystwa, o poświęcenie którego stoczono całe batalie. O każdej imprezie nadsyłał żandarm urzędujący w Nowym Kramsku dokładną relację, czy wszystko odbyło się spokojnie, czy nie przekroczono ram zezwolenia, podkreślał przy tym zawsze (widocznie wymagał tego komisarz), że w pochodzie przez wieś sztandaru nie niesiono.

W czasie kadencji Cichego liczba członków Towarzystwa wzrosła w latach 1911-12 do 140–150 członków, a spadła dopiero w okresie międzywojennym do ok. 90 osób.

Wyrazem aktywności Towarzystwa w okresie międzywojennym były jego starania o wybudowanie własnej sali do przedstawień i zabaw. Koncepcja tej budowy powstała w 1925 roku i zaniepokoiła bardzo ówczesnego komisarza Erbta, co wynika z jego korespondencji z landratem powiatu Babimost. Chwilowo po zbadaniu sprawy doszedł on do wniosku, że gospodarze w Nowym Kramsku są przeciwni budowie, a zabiega o nią tylko dwóch ludzi we wsi. Według naszego przypuszczenia tymi ludźmi byli Cichy i Bednarkiewicz, gdyż z rozmów z Cichym, prowadzonych po drugiej wojnie przekonaliśmy się jak drogą mu była sprawa budowy sali, jak ubolewał, że dzieła nie udało się doprowadzić do końca. Stopniowo ci „dwaj

ludzie" przekonali widocznie członków Towarzystwa Robotników o tej akcji – a włączyli się do niej również gospodarze, z których wielu choć nie było robotnikami, zapisało się do Towarzystwa Robotników. Postarało się ono o plac przy szkole drogą zapisu testamentowego przez Katarzynę Leg (gdyż na zakup władze nie zezwoliłyby łatwo), a następnie przygotowano materiały budowlane. Członkowie Towarzystwa wyprodukowali ok. 60.000 cegieł (wielu strycharzy!), a gospodarze ofiarowali bądź sprzedali po przystępnej cenie budulec drewniany z własnych lasów. Bardzo małymi kosztami przygotowano podstawowe materiały do rozpoczęcia budowy. Nie doszła ona do skutku tylko dlatego, że władze niemieckie celowo wstrzymywały zatwierdzenie planów budowy aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Po jej zaś rozpoczęciu złożony na placu materiał uległ konfiskacie w związku z likwidacją wszystkich organizacji polskich.

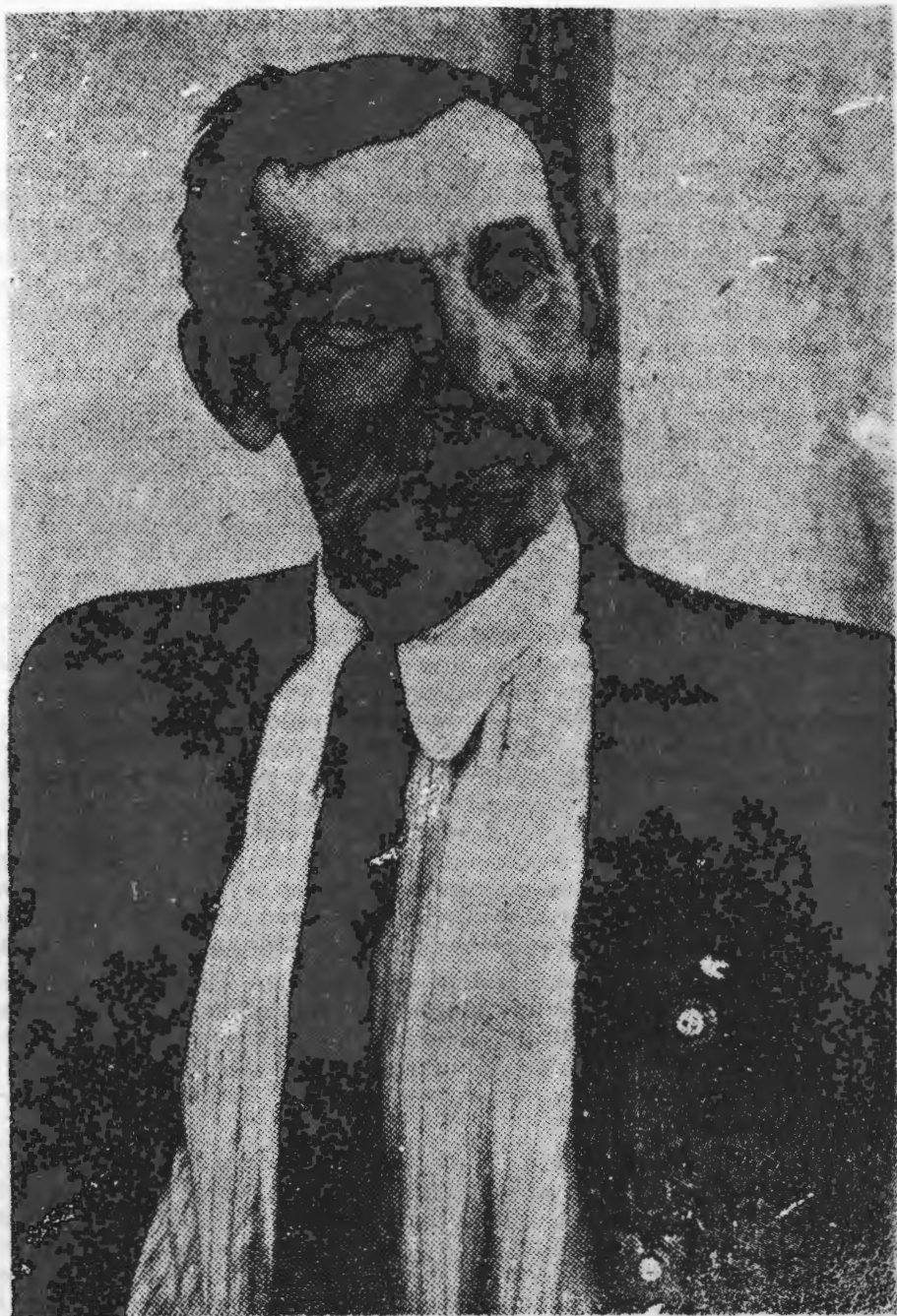
Dopiero po drugiej wojnie światowej na tym samym placu postawiono barak sprowadzony z Wojnowa. Trzeba było widzieć jak Cichy przewodził wówczas pracom związanym z rozebraniem, przewiezieniem i ustawieniem baraku, jak krzątał się i wedle sił swoich pomagał przy budowie murarzem i cieślom. 20 lat czekał, nim mógł swoje zamierzenia w czyn wprowadzić.

Towarzystwo Robotników nie było jedyną organizacją, w której aktywnie pracował Jan Cichy. W 1937 roku z okazji 25-lecia wydano broszurę pt. „Bank Ludowy w Nowym Kramsku”. Broszura ujmuje na stronach od 8 do 10 wzięcie historii tego banku i z niej dowiadujemy się, że Cichy od chwili założenia instytucji w dniu 9. IX. 1912 r. wchodził w skład Rady Nadzorczej. Musiał wyróżniać się aktywnością, skoro w 1935 r. wybrano go na członka zarządu wspólnie z Feliksem Bednarkiewiczem i Kazimierzem Tomiakim (bank ten miał początkowo siedzibę w Babimoście, a od 1928 roku przeniesiono go do Nowego Kramska). Bank rozwijał się pomyślnie, o czym świadczy umieszczony na stronie 9 wykres wzrostu bilansu, udzielonych pożyczek i depozytów. Jedynie okres I wojny światowej i powojenne lata devaluacji spowodowały zahamowanie rozwoju pożytecznej dla Polaków instytucji.

W czasie pierwszej wojny światowej Cichy powołany do armii niemieckiej uczestniczył w walkach Niemców z Rosjanami na terytorium Polski, w rejonie Warszawy, a następnie pełnił służbę w garnizonach na Zachodzie, w Belgii i Francji. W 1917 roku został zwolniony na własną prośbę, gdyż w gospodarstwie nie było rąk do pracy.

W walkach powstańczych w 1918/19 roku, które sięgnęły aż do Kramska i Kolesina, Cichy nie uczestniczył. Obarczony drobnymi dziećmi zaniechał zaangażowania się w nie – zresztą w powstaniu uczestniczyła prawie wyłącznie młodzież w wieku 16 – 20 lat, a Cichy liczył już wówczas 40 lat i miał na swych barkach pokaźną rodzinę.

Kiedy w 1919 roku Międzynarodowa Komisja Aliancka objeżdżała teren, aby wytyczyć zgodnie z Traktatem Wersalskim nową granicę, Cichy wspólnie z innymi organizował manifestacyjne wyjazdy do miejscowości urzędowania tej komisji, aby wywrzeć nacisk na sprawiedliwe rozstrzygnięcie. Z samego Nowego Kramska jechało kilkadziesiąt wozów do Wielkiej Wsi,



Jan Cichy

do Chlastawy, później do Kargowy, umajony i udekorowany flagami polskimi, aby manifestacyjnie żądać przyłączenia wiosek Bobimojszczyzny do Polski. Niestety zabiegi te nie przyniosły rezultatów i kilka wsi wbrew ich etnicznemu składowi pozostawiono krzywdząco w granicach Rzeszy Niemieckiej.

Nie pozostawało nic innego, jak podjąć na nowo pracę, która przyczyniłaby się do utrzymania polskości Babimojszczyzny – pracę społeczną zakrojoną już na szerszą skalę. W początkowym okresie istnienia Republiki Weimarskiej istniały pomyślniejsze warunki do rozwijania takiej pracy niż w okresie Bismarcka i jego następców w początku XX wieku. Polacy wykorzystali tę sytuację zakładając dwie potężne organizacje, a mianowicie:

1. Związek Polskich Towarzystw Szkolnych (10. 6. 1922)
2. Związek Polaków w Niemczech (22. 8. 1922)

Organizowali się wspólnie z innymi mniejszościami narodowymi, pozostającymi w obrębie Rzeszy, jak Duńczykami, Serbo-Lużyczanami, Fryzami i Litwinami, aby zdobyć swe przedstawicielstwo w parlamencie pruskim. W r. 1922 udało się wprowadzić do sejmu pruskiego dwóch przedstawicieli: Stanisława Sierakowskiego i Jana Baczewskiego, ponieważ Polacy osiągnęli 112.451 głosów. W czasie następnych wyborów w 1924 roku chodziło o utrzymanie tego stanu posiadania. Polacy wystawili listę nr 15 „Polska Partia Ludowa”, a resztówki głosów zdecydowali się oddać na państwową listę „Mniejszości narodowych Niemiec” noszącą numer 18. Trzeba wyjaśnić, że poszczególne stronnictwa musiały deklarować przed wyborami, na jaką listę przeznaczają utracone głosy wskutek braku określonego minimum do wyboru posła, względnie pozostałe z listy wyborczej. W głosowaniu w dn. 7. 12. 1924 r. Polacy wobec nawrotu do dawnych metod nacisku germanizacyjnego, który jak wyżej wspomniano zelżał nieco po rewolucji w Niemczech, uzyskali tylko 81.234 głosy w całej Rzeszy i to w rozbiciu takim, że jedynie Śląsk zdobył jeden mandat obsadzony przez ks. Czesława Klimasa. Do uzyskania mandatu trzeba było 40.000 głosów. Cała zatem resztówka głosów z terytorium Niemiec w ilości 41.234 głosów przeszła na listę państwową oznaczoną nr 18. Dołączono do niej głosy innych mniejszości, które nie zdołały zdobyć nigdzie osobnego mandatu.

Ponieważ na pierwszym miejscu tej listy figurował Jan Baczewski, siłą rzeczy wszedł on do parlamentu jako drugi Polak, reprezentując równocześnie interesy innych mniejszości. Dopiero w 1928 roku Polacy nie osiągnęli quorum głosów niezbędnego do uzyskania mandatu. W wyborach 1932/33 nastąpił dalszy spadek głosów. Kandydowali wtedy z listy polskiej ks. Domański i Kaczmarek.

W czasie wyborów w 1924 r. Cichy okazał się działaczem, wychodzącym poza granice własnej wioski. Organizował on wiece przedwyborcze nie tylko w Nowym Kramsku, ale i w Babimoście oraz w Podmoklach. Na wiecie te przyjeżdżali kandydaci z list polskich. Do Nowego Kramska zawiązał wtedy po raz pierwszy Jan Baczewski. Ten ostatni tak się wyraził w związku z akcją wyborczą: „Podziwiałem w Cichym, bo to prosty chłop z wioski, ducha polskiego i niesamowitą jak na chłopą inteligencję. Odważ-

ny, gotów na każde poświęcenie... Jan Cichy przewodził nie tylko gromadzie, ale w całej okolicy życiu polskiemu. Dlatego też znany był w kołach niemieckich i w naszych kołach jako ten „król polski”. Podobnie wyrażał się o nim żyjący w Podmoklach działacz Franciszek Taberski, który uczestniczył w wiecach w Babimoście i Podmoklach. Uważał on Cichego za najodważniejszego w tych czasach Polaka i doskonałego mówcę, który nie wahał się przeciwstawiać agitatorom centrum niemieckiego, usiłującym pozyskać dla siebie głosy polskie.

Zresztą o szacunku, jakim Cichy cieszył się na Babimojszczyźnie, świadczy fakt, że prawie zawsze kandydował on i był wybierany do Rady Powiatowej (Kreistag) a kandydował nawet do Rady Prowincji (Landtag). Jeszcze w trudnym okresie, kiedy w Niemczech dochodził do władzy hitleryzm, w wyborach w r. 1933 został on wybrany do Kreistagu w Sulechowie, jako jedyny, ostatni przedstawiciel ludności polskiej. W archiwum Erbta znajduje się kartka wyborcza z okresu tych wyborów, kiedy Cichy kandydował razem z Grochowskim, Budychem IV i Noryskiewiczem do Landtagu z listy nr 16 „Polenliste”. Ponadto znaleźliśmy tam protokół z wyników wyborów do rady powiatowej. Protokół ten ustala, że na ogólną liczbę 7399 głosów, na listę nr 16 padło 488 głosów i dzięki temu z listy tej wszedł do rady Jan Cichy, rolnik z Nowego Kramaska. Warto dodać, że na 20 mandatów hitlerowcy „Natzionalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei – Hitlerbewegung” zdobyli połowę to jest 10 mandatów, centrum tylko 5 (Deutsche Zentrums-partei).

Ciekawa jest historia zakończenia kariery Cichego w tej radzie. Kiedy na pierwszym posiedzeniu rady powiatowej hitlerowcy, którzy stali się w radzie czynnikiem decydującym, zaintonowali Horst-Wessel-Lied a Cichy wraz z kilku oponentami nie powstał z miejsca, wskazano im drzwi i zmuszono do opuszczenia sali już bezpowrotnie. Reżim hitlerowski pokazywał już wówczas swe pazury, w nielegalny sposób pozbywając się niewygodnych przeciwników.

To wszystko nie przeszkadzało Cichemu w dalszej patriotycznej działalności. Wcześniej bo w 1923 roku założył on w Nowym Kramsku jedno z najliczniejszych na Pograniczu kół Związku Polaków w Niemczech, a pomagał zakładać koła tegoż Związku na całej Babimojszczyźnie. Związek mianował go swym mężem zaufania na powiat sulechowski i świebodziński. Uczestniczył też w utworzeniu Towarzystwa Szkolnego na czele którego stał Wacław Fabiś, a po dwu latach Stanisław Obst. Cichy niestrudzenie dzierżył urząd prezesa koła Związku Polaków aż do wybuchu drugiej wojny światowej. W tych latach miewał on stałe kontakty z wieloma działaczami Polonii w Niemczech: Janem Baczewskim, ks. Domańskim, dr Kaczmarkiem, Stefanem Szczepaniakiem, Arką Bożkiem, Augustynem Wagnerem i innymi, przez co poszerzyły się jego horyzonty myślowe. Stał się on wytrawnym mówcą, prężnym organizatorem, nieugiętym działaczem i bojownikiem sprawy polskiej. Nie pracował teraz samotnie – umiał zwerbować do pracy swoją odwagę i przykładem wielu innych. Pracę Cichego wysoko cenili przywódcy Związku Polaków w Niemczech i w marcu 1933 roku Cichy otrzymał od związku dyplom za wytrwałość i ofiarną pracę w ciągu dziesięciu lat istnienia organi-

zacji. Choć wiele dokumentów Cichego uległo zniszczeniu przez rodzinę po jego aresztowaniu we wrześniu 1939 roku, dyplom ten cenił do tego stopnia, że potrafił go przechować w najkrytyczniejszych czasach. Dziś oprawiony w ramę wisi na ścianie pokoju, w którym spędzał ostatnie lata życia. Chyba było to też najzaszczytniejsze wyróżnienie, jakie Cichy otrzymał przed wojną.

Kiedy pod egidą Związku Polaków powstał w Nowym Kramsku cały szereg organizacji polskich, za pośrednictwem których planowało się połączyć wszystkich mieszkańców z kulturą polską, Cichy krzątał się, pomagał, doradzał i inicjował różne prace. Oficjalnie figurował w spisie sporządzonym przez Niemców tylko w trzech organizacjach: Związku Polaków, Towarzystwie Robotników i Banku Ludowym, ale wszędzie się w pracach angażował.

W 1929 roku powstały na Babimojszczyźnie szkoły polskie, jako rezultat długiej walki, prowadzonej przez naszych przedstawicieli w parlamencie pruskim. Ordynacja z dnia 31. 12. 1928 roku o polskim szkolnictwie mniejszościowym, zwana popularnie „lex Baczewski”, stwarzała możliwości otwierania szkół dla dzieci polskich. Cichy miał znów okazję do pracy. Pomagał w uruchomieniu szkoły w Starym Kramsku, uczestniczył w otwarciu szkół w Dąbrówce, Podmoklach i był głównym założycielem szkoły w Nowym Kramsku. Dokumentują to nie tylko relacje Baczewskiego, ale i dochowana kronika szkoły w Nowym Kramsku oraz akt erekcyjny szkoły. Akt erekcyjny podpisali: Jan Baczewski, prezes Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech, Jan Różyński, kierownik Polskich Towarzystw Szkolnych dla dzielnic V w Złotowie, Szews, kierownik szkoły, Jan Cichy, jako mąż zaufania i Mańczyński, nauczyciel. Na pierwszej stronie kroniki pod datą 11. VI. 1929 r. czytamy, że „zagał uroczystość mąż zaufania p. Cichy, zwracając w słowach swych uwagę na doniosłość uzyskania pozwolenia otwarcia szkoły, co należy przypisać niestrudżonym zabiegom p. Baczewskiego, któremu w imieniu tutejszych obywateli wyraża uznanie i podziękowanie. Apelowal dalej do rodziców, aby zachęcali opieszłych rodziców do spełniania swego obowiązku i do miłej i zgodnej współpracy ze szkołą polską”.

Cichego trzykrotnie wymienia kronika w związku z otwarciem szkoły. Nawet, gdy chodzi o udekorowanie klasy na uroczystość, wymienia kronika Cichego, jako najbardziej gorliwego z rodziców. Na zakończenie Cichy przyjął w swym domu przybyłych na uroczystość, zamieszcanych gości.

Już 1 maja 1929 r. pomagał on w przygotowaniach do otwarcia szkoły polskiej w Starym Kramsku. Bez niego nie daliby sobie organizatorzy rady. Gdy w rok później powstawała w bardzo trudnych warunkach szkoła polska w Babimoście i tam okazał wiele aktywności i uczestniczył w jej otwarciu, o czym świadczy choćby dochowane zdjęcie.

Nazwisko Cichego od tych lat niejednokrotnie wymienione jest w kronice szkolnej, a akta komisarzy Erbta nieustannie wymieniają Cichego, jako działacza szkoły polskiej. Na jednym z dokumentów żandarm niemiecki z Nowego Kramska donosił na Cichego, że w czasie uroczystości gwiazdko-

wej szkoły polskiej, wypędzał z sali dzieci, które chodziły do szkoły niemieckiej. Pod tym względem był on nieprzejednany, Polak, który posyłał dzieci do szkoły niemieckiej stawał się jego wrogiem. Pogardliwie nazywał takich „renegatami” i prowadził z nimi nieustępliwą walkę. Jeszcze długo po II wojnie światowej nie mógł im tego darować. Jego zdaniem władze polskie powinny ich traktować inaczej niż tych niezłomnych, którzy do ostatka należeli do Związku Polaków i posyłali swe dzieci do szkoły polskiej.

Nadszedł rok 1939 i napad Hitlera na Polskę. 9 września 1939 r. w związku z pożarem w sąsiednim gospodarstwie Weimanna – spłonęła też stodoła Cichego, a w zgłiszczach Niemcy znaleźli karabin. Stało się to powodem aresztowania Cichego, osadzenia go w więzieniu w Świebodzinie, gdzie wytoczono mu proces o nielegalne gromadzenie broni i przygotowywanie akcji zbrojnej przeciwko Rzeszy. Wobec braku wystarczających dowodów winy sąd nie mógł jednak wydać wyroku skazującego i wtedy zaczęło działać Geheime Staatspolizei – Gestapo.

W zespole „Akta Magistratu miasta Świebodzina” w Powiatowym Archiwum w Sulechowie w poszycie zanumerowanym 1944, a zatytułowanym „Transport więźniów” na str. 171–173 znajdują się dokumenty, które zdecydowały o tym, że Cichy znalazł się w obozie koncentracyjnym. Najważniejszy z nich ze str. 171 przytaczamy w przekładzie: (Dokumenty te odnalazł W. Lemiesz i zwrócił mi na nie uwagę).

Świebodzin, 11 października 1939

*Tajna Policja Państwowa we Frankfurcie n. Odrą
Komisariat Graniczny w Świebodzinie
L. dz. 2559/39 III*

*Do Pana Burmistrza
jako Miejscowej Władzy Policyjnej
w Świebodzinie*

Na zarządzenie Tajnej Policji Państwowej we Frankfurcie nad Odrą należy przywódcę Polaków i rolnika Jana Cichego, ur. 21. 10. 1878 r. w Starym Kramsku, zamieszkałego w Nowym Kramsku pow. Sulechów-Świebodzin, przebywającego od 9. 9. 1939 r. w tamtejszym więzieniu sądowym w charakterze więźnia — dostarczyć w transporcie zbiorowym do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen.

Proszę o powiadomienie mnie o dokonaniu wyżej wymienionego przetransportowania).*

(—) Keferstein

Przytoczony dokument, jak i następne na str. 171 i 172 bezspornie określają kim był Cichy w oczach Niemców. Zaszczepny tytuł „Polenführer” konkretnie określa pozycję Cichego wśród Polaków na Pograniczu, świadcząc równocześnie o doskonałym rozpracowaniu przez Gestapo sytuacji i ludzi na Babimojszczyźnie. Jak wynika z dalszych dokumentów, przewiezienie do obozu nastąpiło 18. X. 1939 r. Tam spotkał się Cichy z wszystkimi wybitniejszymi działaczami Pogranicza, których aresztowano zbiorowo 11. IX. 1939 r. – w dwa dni po zabraniu Cichego i wywieziono bezpośrednio do Sachsenhausen.

Wspólnie przecierpieli o głodzie i chłdzie wiele miesięcy. Wielu o słabszym zdrowiu nigdy już stamtąd nie wróciło. Niektórzy, szczególnie młodzi i nauczyciele, musieli cierpieć w obozie do końca wojny. Niewielką liczbę starszych wiekiem zwolniono do domów w marcu i kwietniu 1940. Do Nowego Kramska powrócili wtedy Szczepan Sikuciński, Kazimierz Wachowski, Stefan i Kazimierz Tomiak. Ten ostatni powrócił 26. II. 1940 r. Cicha miał tak poodmrażane, że zmarł 1. III. 1940 r. w parę dni po powrocie. Powrócili również Ignacy Ołończyk, Wojciech Kazimierzczak i Cichy, który liczył wtedy 62 lata. Jednym z głównych powodów zwolnienia Cichego był fakt, że dwóch jego synów służyło w tym czasie w armii niemieckiej, a w myśl ustawodawstwa niemieckiego, o ile ktoś z rodziny siedział w obozie koncentracyjnym, nie można było zatrzymywać jego dzieci w wojsku – bo służba w armii hitlerowskiej to „zaszczyt”. Ponieważ w r. 1940 jasne się stało, że wojna przeciągnie się na parę lat, a żołnierze byli potrzebni, z dwójga złego władze niemieckie wybrały zwolnienie Cichego z obozu. Tym bardziej, że jeden z jego synów, Jan, który zapowiadał się także na działacza społecznego, domagał się zwolnienia z wojska na tej zasadzie, że ojciec przebywa w obozie koncentracyjnym.

Po powrocie Cichy musiał zrezygnować do końca wojny z wszelkiej działalności społecznej. Tacy ludzie pozostawali pod bezustanną, czujną obserwacją. Każde nieostrożne poruszenie groziło powrotem do obozu i nieuniknioną już w tym wieku śmiercią. Szczególną ostrożność musiał Cichy zachować, kiedy rozpoczął się odwrót spod Stalingradu.

Szybkim krokiem zbliżał się koniec wojny, a z nim upragnione wyzwolenie. Fortuna kołem się toczy. Niemcy stosowali w walkach Blitzkrieg a teraz tę samą metodę odczuwali na swojej skórze ze strony potężnej Armii Radzieckiej. W chwili gdy front doszedł do Wisły, w gronie najbliższej rodziny, Cichy czynił przygotowania do zorganizowania polskich władz administracyjnych.

29 stycznia 1945 r. nadszedł upragniony dzień wyzwolenia Nowego Kramska przez wojska radzieckie. Sióstrzeniec Cichego Łucjan Brudło zorganizował pierwsze na Ziemiach Odzyskanych „Starostwo Pogranicza” z siedzibą w Dąbrówce, a Cichy objął najpierw funkcję sołtysa w Nowym Kramsku, a potem wójta na gminę Babimost. Podlegały mu bezpośrednio cztery wsie z ludnością polską i początkowo także miasto Babimost. Dzięki zdolnościom organizacyjnym Polaków zabezpieczone zostały akta gminy i urzędów stanu cywilnego z wiosek. Organem porządkowym stały się od-

działy ochotniczej Milicji Obywatelskiej. We wsiach rozpoczęli urzędowanie nowomianowani sołtysi.

Zanim w końcu marca i początku kwietnia zjechały na Ziemię Lubuską ekipy organizacyjne Polskiej Partii Robotniczej, w Babimojszczyźnie zaprowadzono już wzorowy porządek. Teraz Cichy miał okazję wyładować swój zapał do pracy społecznej. Osobiście dopilnował uporządkowania budynku szkoły w Nowym Kramsku, w którym rozpoczęła pracę polska szkoła w Polsce Ludowej. Sam jeździł nawet po szkło do Zbąszynia, aby można było uzupełnić brakujące szyby w budynku szkolnym. Przemawiał na uroczystości otwarcia szkoły polskiej 8 maja 1945 r.

Odtąd Cichy uczestniczył w różnych pracach społecznych, w warunkach jakże odmiennych niż przed wojną.

W grudniu 1946 roku powstało w Nowym Kramsku koło Stronnictwa Ludowego. Cichy pracował w nim parę lat jako członek zarządu a po śmierci pierwszego prezesa Kleofasa Heyduka – wybrany prezesem, pełnił tę funkcję aż do śmierci, darzony zawsze zaufaniem członków. W pracach SL-u, późniejszego ZSL wyróżniał się gorliwością, gotowością do służenia organizacji a przez to Polsce Ludowej. Wiele śladów jego pracy pozostało w aktach rad narodowych. Przez parę lat od 1947 roku Cichy był członkiem Gminnej Rady Narodowej w Babimoście, od 1950 roku członkiem Powiatowej Rady Narodowej w Sulechowie. Przez 3 lata pracował w Komisji Komunikacyjnej Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze. Przejściowo, po odejściu Michała Białasa na burmistrza Babimostu, piastował znów urząd wójta na gminę Babimost.

Nie odmawiał Cichy uczestnictwa w działalności Frontu Narodowego i stał na czele Gminnego Komitetu w okresie wyborów do drugiego sejmiku PRL.

Stopniowo stał się osobistością znaną w całej Polsce. W 1952 roku w Warszawie, na Kongresie Pokoju wybrano go do Ogólnopolskiego Komitetu Obronców Pokoju. W 1956 roku na sejmiku kulturalnym w Poznaniu stał się przedmiotem manifestacyjnych owacji zebranych. W 1957 r. Rada Państwa nadała mu wysokie odznaczenie, Krzyż Komandorski Polonia Restituta, którym udekorował go na Święcie Ludowym w Babimości poseł na Sejm i prezes Wojewódzkiego Komitetu ZSL Stanisław Romanowski.

Na sejmiku kulturalnym w Zielonej Górze w lipcu 1957 roku na wniosek komisji mandatowej powołano go owacyjnie na prezesa honorowego Lubuskiego Towarzystwa Kultury.

Jego pracę społeczną doceniają wszyscy. Miała ona charakter zupełnie bezinteresowny, nigdy nie ciągnął z niej korzyści osobistej, a w czasach niewoli narażał swą osobę na szykany, prześladowania i przez to należał do najgorzej sytuowanych rolników w Nowym Kramsku.

Nie sposób wymienić wszystkich poczynąń, do których Cichy przyłożył swą rękę w latach powojennych i w okresie niewoli. Wypada obiektywnie stwierdzić, że nie było w tych czasach żadnej akcji patriotycznej, w której by nie uczestniczył, nie pomagał swym autorytetem i dobrym przykładem.

Kiedy w dniu 18. 12. 1957 roku zakończył po krótkiej chorobie swe pracowite życie, pogrzeb stał się manifestacją, w której uczestniczyły delegacje z sąsiednich wiosek, przedstawiciele Prezydów WRN z Poznania i Zielonej Góry, delegacje KW PZPR i WK ZSL z Zielonej Góry, liczne poczty sztandarowe ZSL, delegacje ZBoWiD-u i wojska, Lubuskiego Towarzystwa Kultury i innych. Po przemówieniach, które podkreślały zasługi Cichego, odegrano hymn państwowy, a mogiłę przykryły dziesiątki wieńców o barwach narodowych.

BIBLIOGRAFIA

1. **Akta Magistratu** miasta Świebodzina – poszyt 1944 Powiatowe Archiwum Państwowe w Sulechowie
2. **Akten des Königl. Distriktsamts Unruhstadt betreffend.** Teczka „Katholische Arbeitervereine” Fach 44 Nr 7 Powiatowe Archiwum Państwowe w Lesznie.
3. **Akten des Distriktsamts Karge** Teczka 31/124 „Provinzionallandtags – und Kreistagswahlen”. Powiatowe Archiwum Państwowe w Lesznie.

4. **Jan Baczewski** – wywiad udzielony dla Lubuskiego Towarzystwa Kultury w Zielonej Górze – nagranie na taśmie magnetofonowej. Archiwum taśmowe LTK.
5. **Jan Baczewski** „Warmia w szponach prusactwa” – rękopis.
6. **Bank Ludowy** w Nowym Kramsku 1937 Druk „Nowiny” Opole (Oppeln O/S).
7. **Kronika kościoła** w Nowym Kramsku.
8. **Kronika szkoły** w Nowym Kramsku.
9. **Liber baptisatorum** parafii Nowe Kramsko.
10. „**Polacy na Ziemi Lubuskiej i na Łużycach**”. Tajny memoriał niemiecki opracował dr K. Kolańczyk i dr Wł. Rusiński Wyd. Instytutu Zachodniego, Poznań 1946, Biblioteka Ziemi Lubuskiej nr 1.
11. **Franciszek Taberski** – wywiad udzielony dla LTK w Zielonej Górze – nagranie na taśmie magnetofonowej. Archiwum taśmowe LTK.

B a d a n i a kultury ludowej Ziemi Lubuskiej

Niejednokrotnie wskazuje się na konieczność badania kultury ludowej. W całej Polsce powołane są do tego zakłady uniwersyteckie i placówki Polskiej Akademii Nauk. Każda z tych jednostek prowadzi prace badawcze na swoim terenie. Na obszarze Ziemi Lubuskiej badania kultury ludowej prowadzone były dotychczas przez poszczególnych badaczy, opracowujących wybrane zagadnienia, stanowiące treść ich zainteresowań¹⁾. Brakło natomiast placówki naukowej, któraby koordynowała wszystkie prace badawcze, nadając im charakter systematycznego gromadzenia wiadomości. Obecnie organizowaniem badań kultury ludowej na obszarze Ziemi Lubuskiej zajął się Dział Etnograficzny Muzeum Okręgowego w Zielonej Górze.

Jakie to badania i jaki jest ich zakres? Jaki układa się program i jak się go realizuje — oto treść niniejszego artykułu.

Zakres rzeczowy projektowanych badań kultury ludowej obszaru Ziemi Lubuskiej obejmuje całokształt tej kultury, a więc zagadnienia związane z gospodarką ludową, rzemiosłem, technikami ludowymi, budownictwem, ubiorem.

Obok kultury materialnej poruszane będą zagadnienia twórczości artystycznej ludu, jego obyczajów i wierzeń. Opracowanie tych zagadnień znajdzie odbicie w monograficznych ujęciach poszczególnych działów tej kultury. Problemy będą badane w powiązaniu z warunkami geograficznymi terenu, np. rolnictwo z rodzajem gleb, stopniem zalesienia, układem hydrograficznym, ponieważ wszystkie te czynniki wywarły wpływ na rodzaj i kierunek rozwoju uprawy ziemi.

Obszar Ziemi Lubuskiej jest dla etnografa niezmiernie interesujący ze względu na mozaikę ludnościową, jaka tu występuje. Obok ludności rodzimej zamieszkują wsie przybysze „zza Bugu” – jak zwykła ich nazywać ludność miejscowa. Są więc przesiedleńcy z Wileńszczyzny, Polesia, Wołynia, jak również przybyli tu niektórzy z Małopolski wschodniej, z województwa lubelskiego, warszawskiego, poznańskiego. Ze względu na ten układ stosunków etnicznych wspomniane monografie uwzględnią przemiany w kulturze ludności miejscowej i kulturze osiedleńców, zachodzące na skutek wzajemnego ich oddziaływania.

Obszar podległy badaniom Działu Etnograficznego Muzeum Okręgowego w Zielonej Górze – to w zasadzie woj. zielonogórskie. W badaniach etnograficznych nie można jednak podziału administracyjnego przyjąć za bezwzględnie obowiązujący, ponieważ nie odpowiada on dokładnie podziałowi na regiony etnograficzne. Dlatego też, jakkolwiek badania nasze będą się koncentrowały na historycznym terytorium Ziemi Lubuskiej, uwzględnione zostaną i tereny sąsiednie, wchodzące w skład województwa zielonogórskiego, a także te, sięgające nawet poza jego zakres, które umożliwiają nam zbadanie kultury ludowej na pograniczu lubusko-pomorskim, lubusko-wielkopolskim, lubusko-śląskim. Specjalna uwaga poświęcona zostanie zagadnieniu terytorium położonego pod granicą polsko-niemiecką.

Na plan pierwszy wysunięto badanie wschodnich powiatów województwa zielonogórskiego, a mianowicie pow. pow.: Miedzyrzecz, Świebodzin, Sulechów – następnie obszar badań zostanie rozszerzony w kierunku północnym, potem zachodnim, na koniec przewidziane jest prowadzenie poszukiwań w południowych, śląskich powiatach województwa zielonogórskiego.

Badanie kultury ludowej obszaru Ziemi Lubuskiej ma na celu przedstawienie w zasadzie obecnego stanu tej kultury. Tym niemniej, chcąc wykazać ciągłość polskiej kultury ludowej na tym terenie, należy zwrócić uwagę na okresy wcześniejsze, poczynając od wieku XIX, do którego ostatnich dziesięcioleci można otrzymać w czasie etnograficznych badań terenowych wiadomości od najstarszych informatorów, aż do momentu, kiedy Ziemia Lubuska wchodziła na arenę dziejową jako część składowa państwa polskiego²⁾). Cennych danych do tego zagadnienia dostarczą badania archeologiczne i historyczne, z których jako pomocniczych musi skorzystać etnografia, chcąc zrozumieć historię kultury ludowej.

Punkt ciężkości zamierzonych prac opiera się o terenowe badania etnograficzne; od nich rozpoczęto gromadzenie materiałów. Równoległe z tymi pracami zamierza się prowadzić, co już częściowo zrobiono, poszukiwania w literaturze. Tutaj napotykamy na duże trudności ze względu na prawie zupełny brak literatury etnograficznej, odnoszącej się do interesującego nas obszaru. Trzeba więc korzystać z prac traktujących o historii i geografii tego terenu, a także szukać pewnych danych w niemieckich albumach fotografii krajoznawczych, czasopismach i innych źródłach. Gromadzone w literaturze wiadomości są bardzo nieliczne, ale mimo to stanowić będą pewne uzupełnienie materiałów.

W roku 1959 w terenowych badaniach kultury ludowej obszaru Ziemi Lubuskiej, zorganizowanych przez Dział Etnograficzny Muzeum Okręgowego w Zielonej Górze brała udział sześciuosobowa grupa etnografów. Każdemu z badaczy powierzono odrębny temat, do którego gromadził wiadomości na określonym terytorium.

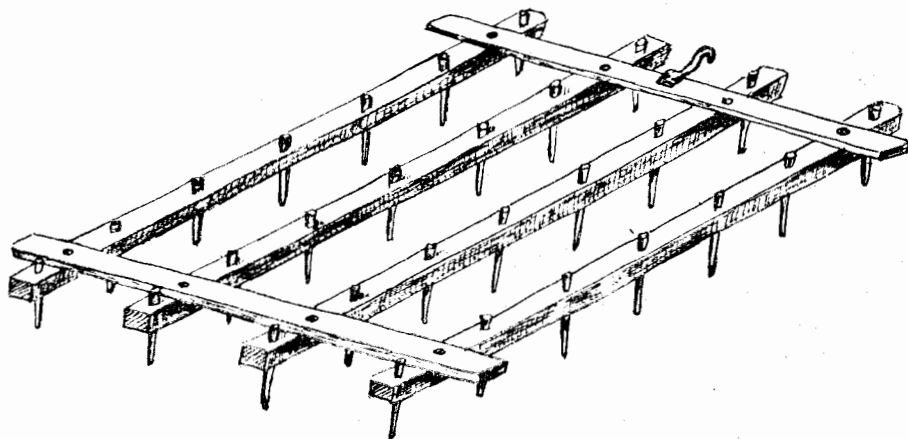
Przeprowadzono penetrację na terenie trzech powiatów woj. zielonogórskiego, mianowicie pow. pow.: Międzyrzecz, Świebodzin, Sulechów. Badania zapoczątkowano na stosunkowo małym wycinku a to z tego względu, że były to pierwsze, doświadczalne prace tego typu organizowane przez Muzeum Okręgowe w Zielonej Górze. Dopiero po ocenie wyników przeprowadzonych badań okaże się, czy w następnych latach będzie się je prowadzić od razu na terenie całego województwa, jako penetracje rekonesansowe, czy szczegółowo na małym wycinku terenu, stopniowo rozszerzając ich zakres, jak to było pierwotnym zamierzeniem.

Badania prowadzono w miesiącach letnich od lipca do września. Zgromadzone materiały w formie sumarycznych sprawozdań zostały złożone w Muzeum Okręgowym w Zielonej Górze.

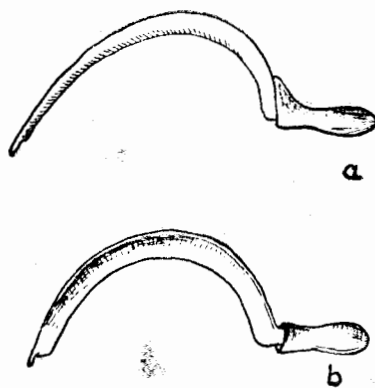
Na plan pierwszy podjętych badań wysunięto ludową kulturę materialną. Zbierając wiadomości do zagadnień z zakresu gospodarki wiejskiej, prowadzono badania nad rolnictwem. Zajęto się również rybołówstwem ludowym, ze względu na bogatą sieć hydrograficzną na terenie, wyznaczonym do przebadania (pasmo jezior obrzańskich). Ponadto zebrano pokaźny materiał do zagadnienia budownictwa ludowego. Sprawa ta jest szczególnie ważna z uwagi na ciągle wypieranie interesującego nas dawnego budownictwa wiejskiego przez nowoczesne. Główny nacisk położono na zagadnienie urządzeń ogniowych. Z technik ludowych badane były plecionkarstwo i obróbka lnu. Ze względu na specyfikę badanego obszaru zwrócono uwagę na problem wzajemnego oddziaływania ludowej kultury materialnej ludności miejscowej i ludności przybyłej z innych części Polski. Sprawa ta jest rozpatrywana przy każdym z podjętych zagadnień. Mimo to jednak wyodrębniono ją jako osobny temat, w którym te wzajemne wpływy zostały rozpatrzone w szerszym zakresie, w stosunku do wszystkich działów ludowej kultury materialnej.

W czasie prac terenowych nad rolnictwem położono główny nacisk na poszukiwania dawnych narzędzi rolniczych. Chodziło bowiem jednocześnie o zorientowanie się, czy i które z nich będą mogły być przejęte przez Dział Etnograficzny Muzeum, jako niezmiernie potrzebne dla projektowanej ekspozycji. Nawiasem można dodać, że odnaleziono w terenie cenne choć nieliczne zabytki, które w najbliższym czasie znajdą się w Muzeum Okręgowym w Zielonej Górze.

W czasie penetracji w terenie stwierdzono, że obecnie na przebadanym obszarze dominują nowoczesne, fabryczne narzędzia do uprawy ziemi. Widoczny jest tu wpływ rozwoju niemieckiej techniki rolniczej, dzięki której w ostatnich dziesięcioleciach lat ubiegłego stulecia wprowadzono w gospodarstwach wiejskich narzędzia fabryczne. Również w okresie powojennym, w ramach akcji zagospodarowania Ziemi Odzyskanych, propagowano tu i realizowano mechaniczną uprawę ziemi, która znalazła uznanie u miej-



2. Brama drewniana, Świdwowiec pow. Międzyrzecz (rys. B. Kołodziejska)

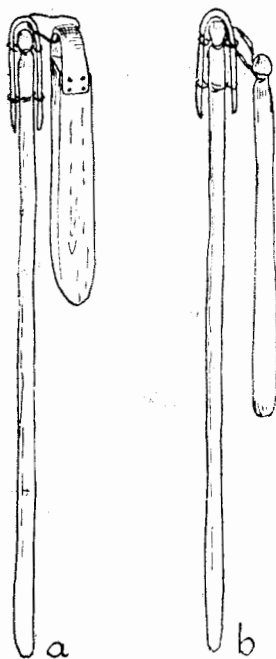


3. Sierpy, a) sierp przywieziony przez przesiedleńców „zza Bugu”, b) sierp „poniemiecki”
– Świdwowiec pow. Międzyrzecz (rys. B. Kołodziejska)

scowej ludności, wskutek czego zaniechała ona uprawy bardziej prymitywnymi narzędziami. Drewnianego pługa nikt tu już nie używa, a nawet trudno zdobyć informacje, do kiedy był znany. Pamiętają go jedynie przesiedleńcy ze wschodnich terenów Polski. Niektórzy z nich przywieźli pług ze sobą, ale ponieważ miało to miejsce w latach 1945-47, obecnie trudno go na wsi spotkać. Inni sporządzali sobie pług na wzór znanych ze swych stron, z drzewa lub z żelaza.

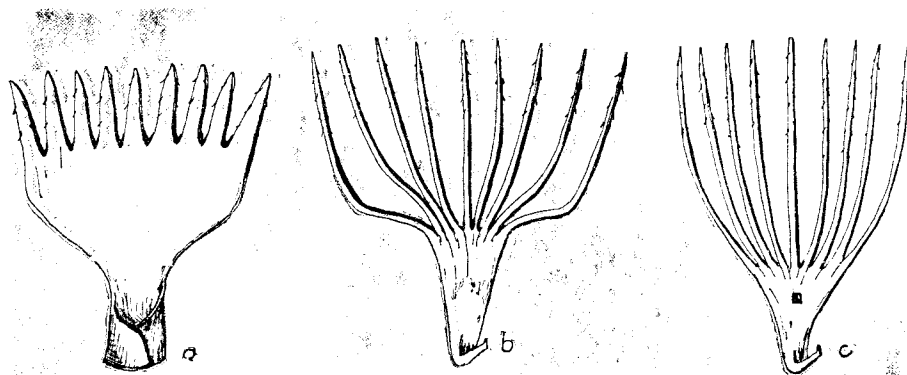
Drewnianych radeł rylcowych, które były charakterystyczne dla terenu Ziemi Lubuskiej, obecnie nie znaleziono. Do obradlania ziemniaków używane jest radło żelazne, fabryczne.

Interesującym okazem jest spotkana w terenie drewniana brona (ryc. 2). Jest to brona beleczkowa, całkowicie wykonana z drewna, z drewnianymi zębami. Informator, właściciel tego narzędzia, twierdzi, że jest to brona „poniemiecka”, co byłoby dowodem zachowania się na tym terenie przez tak długi okres czasu prymitywnego, drewnianego narzędzia. Ten sam informator twierdzi, że w okolicach z których pochodzi (tj. tarnopolskiego) były w użyciu brony drewniane jednak z żelaznymi zębami, stanowiące dalszy etap rozwoju poprzednio wymienionej. Tamte brony jak



4. Cepy, a) cepy „poniemieckie”, b) cepy wykonane przez przybyszów ze wschodnich terenów Polski, na wzór stamtąd przywiezionych, Świdwowiec pow. Międzyrzecz

(rys. B. Kołodziejską)



5. Ości, a-b) Trzciel pow. Międzyrzecz, c) Strzyżewo pow. Międzyrzecz (rys. B. Kołodziejska)

wiadomo ustępują pod względem rozwoju kultury rolniczej zachodnim obszarom Polski, tym ciekawszym jest więc stwierdzenie zachowania tu do chwili obecnej prymitywnej brony drewnianej. Dziś w użyciu są brony żelazne, wykonywane fabrycznie.

Zwrócono również uwagę na narzędzia do zbioru zboża. Obiektem zainteresowania były wychodzące dziś z użycia kosa i sierp. Żniwa odbywają się w zasadzie przy pomocy kosiarek mechanicznych. Kosa służy do tego, aby przed wprowadzeniem na pole maszyny obkosić łan dookoła. Obecnie nikt nie tnie zbóż wyłącznie kosami.

Sierpy stanowiły tutaj kiedyś pomocnicze narzędzia do sprzętu zbóż. Służyły mianowicie do zagarniania skoszonego zboża w snopki. Dziś sierpy zachowały się jako narzędzia do ścinania małych ilości trawy i zielska. Na interesującym nas obszarze spotyka się sierpy dwojakiego rodzaju: o ostrzu szerszym gładkim – są to sierpy „poniemieckie” (ryc. 3) i o ostrzu węższym, zaopatrzonym w ząbki przywieszone przez przesiedleńców (ryc. 3a).

Na uwagę zasługują również cepy, jako narzędzia do młócki, wychodzące już z użycia. Cepy można jeszcze spotkać stosunkowo często: stosuje się je jednak coraz rzadziej, wyłącznie do młócenia małych ilości zboża albo roślin strączkowych. I w tym wypadku dostrzegamy zasadniczą różnicę między narzędziem ludności miejscowej a narzędziem przybyszów. Kapicowe cepy ludności rodzimej posiadają bijak krótszy i o przekroju prostokątnym (Ryc. 4, a), natomiast cepy osiedleńców zaopatrzone są w bijak dłuższy, cieńszy i o przekroju okrągłym (Ryc. 4 b). Przesiedleńcy nie pracują chętnie cepami, jakie zastali na nowych ziemiach. Uważają je za niewygodne w użyciu. Najczęściej przywieźli z sobą swoje, a gdy te uległy z biegiem czasu zniszczeniu, sporządzili nowe na wzór poprzednich.

W większym stopniu niż cepami młóci się przy pomocy młockarni kieratowych, choć i one ustępują miejsca maszynom.



6. Fragment domu – wiazanie węglowe, Kolesin pow. Sulechów (fot. B. Matuszewska)



7. Stodola drewniana zbudowana „na węgiel”, Rybojady pow. Międzyrzecz,
(fot. B. Kołodziejska)

Rybołówstwo badane było szczególnie w paśmie jezior obrzańskich. Treścią zainteresowań badaczki było dążenie do stwierdzenia, które z dawnych przyrządów rybackich i sposobów łowienia ryb zachowały się na wspomnianym terenie. Jednocześnie zajęto się sprawą przynależności zawodowej rybaków, zrzeszaniem się ich w związek, którego jednym z zadań jest walka z kłusownictwem. Rezultatem przeprowadzonych z rybakami wywiadów było m. in. stwierdzenie, że z prymitywnych przyrządów rybackich, używanych obecnie tylko przez kłusowników, zachowały się ości zwane tu „ościeniami”, albo „spiżami”. (Ryc. 5). Wykonują je z żelaza najczęściej sami kłusownicy, niekiedy miejscowi kowale. Mają one kształt wielozębnych widelców, zaopatrzonych w zadziory. Podczas połowów rybacy posługują się sieciami ciągnionymi, zwanymi przywłokami, „niewodami” oraz zastawnymi: „wątopy”, „objazdy”, „żaki”, „więcierze”. Z prymitywnych sposobów łowienia ryb znane jest branie ryb ręką, ogłuszanie pod lodem oraz trucie przy pomocy ciasta, sporządzonego z kartofli nasyconych spirytusem. Sposobem tym łowią kłusownicy. Znane są połowy z nagonką oraz straszaniem ryb „pogonkiem”³⁾ lub przy pomocy liny, do której przymocowuje się słomę.

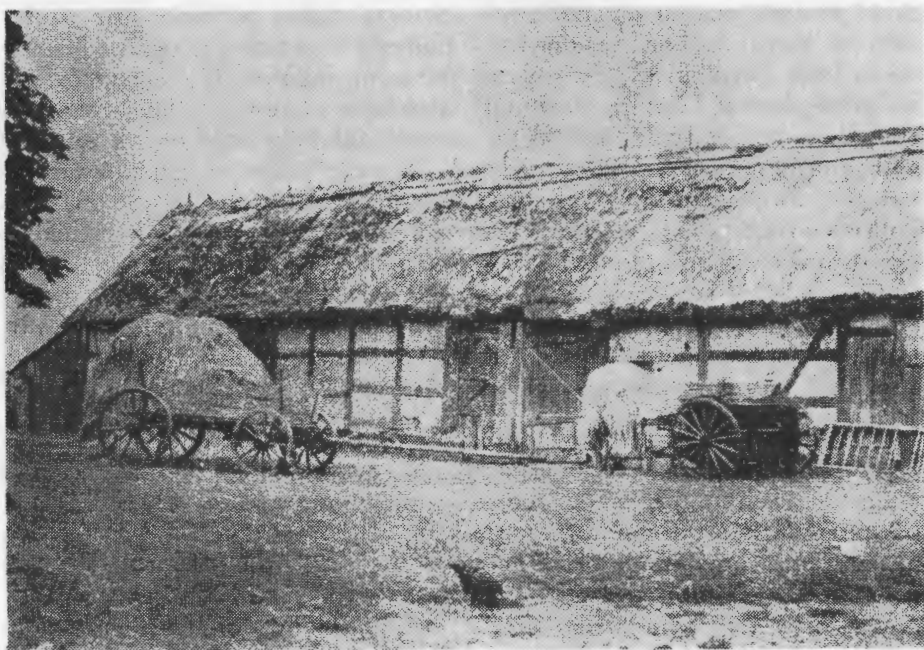
Połowy odbywają się głównie w okresie wiosennym i jesiennym. Zimą łowi się ryby przeciągając sieci pod lodem. Do tych połowów używa się najczęściej niewodów. Niemniej ryb łowi się w miesiącach letnich.

W zakresie badań nad budownictwem ludowym stwierdzono, że budynki występujące na przebadanym obszarze można podzielić pod względem ich konstrukcji na „węglówki” – budynki drewniane i „ryglówki” zwane tu jako „strychulce”. Budynkami murowanymi z cegły nie zajmowano się szczegółowo. Chałupy drewnane, stawiane z szerokich bali, zawęglowanych w narożnikach (Ryc. 6) są prawdopodobnie najstarszym tutaj typem budynku mieszkalnego⁴⁾. Budynki te mają dachy o konstrukcji krokwiowej, dwuspadkowe, kryte słomą (Ryc. 8), rzadziej trzcina. Ściany tych budynków oblepiane są grubą warstwą gliny. Konstrukcja strychulcowa przedstawia się następująco: ściany budynku stanowi krata z drewnianych słupów, między którą wkłada się pionowo „strychulce”, tj. drążki drewniane, owijane zaglinioną słomą. Ten typ budynku występuje na omawianym terenie dość powszechnie i jest on prawdopodobnie chronologicznie młodszym od poprzednio omówionego (Ryc. 9–12).

W rozplanowaniu wnętrza chałupy można zauważyć pewną prawidłowość. Istnieją tu domy z sienią środkową; po jednej jej stronie znajduje się izba, po drugiej również izba, a za nią usytuowana wzdłuż szczytu – komora. Wejście do chałupy znajduje się w ścianie dłuższej. Ten typ budynku skierowany jest do drogi stroną szczytową. Drugi rodzaj układu pomieszczeń w chałupie jest następujący: po środku sień, a po obu jej stronach – izby, jedna po każdej stronie; wzdłuż ściany jednej z nich odcięta jest komora albo alkierz. Tego typu chałup jest więcej i są one usytuowane stroną frontową wzdłuż drogi.



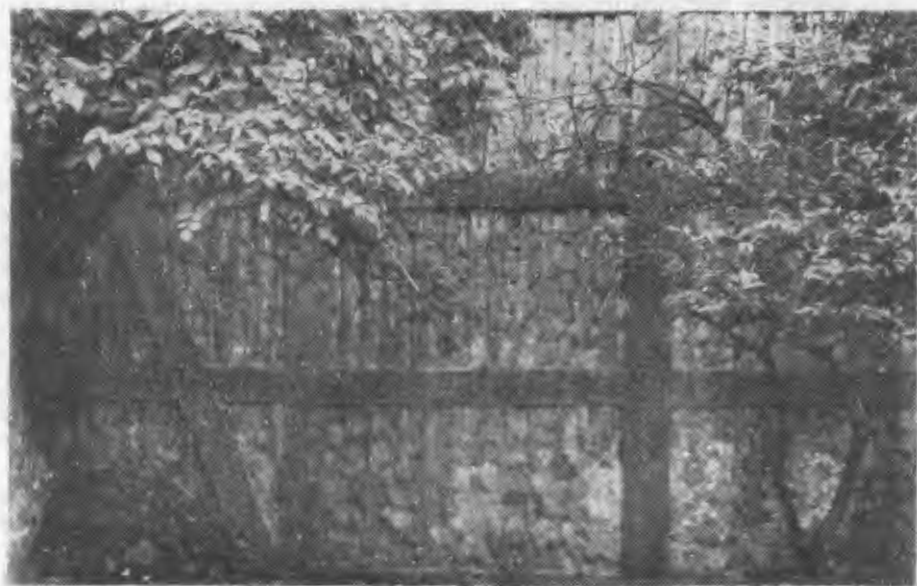
8. Dom liczący 300 lat (?), Podmokle Małe pow. Sulechów, (fot. B. Matuszewska)



9. Stodoła o konstrukcji ryglowej, Świdowiec pow. Międzyrzecz, (fot. A. Kołodziejski)



10. Fragment domu o konstrukcji ryglowej, Podmokle Wielkie pow. Sulechów
(fot. B. Matuszewska)



11. Fragment ściany stodoły, widoczne ustawione pionowo – strychulce, Podmokle Małe pow. Sulechów, (fot. B. Matuszewska)

Badaczka zajęła się w dużej mierze sprawą urządzeń ogniowych, w szczególności zagadnieniem pieca chlebowego. Na podstawie zebranych materiałów stwierdziła, że w chałupach najstarszych, spotkanych na przebadanym terenie, piec do chleba znajdował się wewnątrz dużego komina. Piece takie były dużych rozmiarów, o przekroju okrągłym i kopulastym, zbudowane na planie okrągłym lub gruszkowatym. Obecnie piece te nie są już używane. Zjawiskiem nowszym wydaje się być oddzielenie pieca do pieczenia chleba od reszty urządzeń ogniowych, skupionych w chałupie. W takich wypadkach stawia się go w ogrodzie lub na podwórzu. (Ryc. 13 – 14). Zagadnienie usytuowania pieca chlebowego pozostaje jeszcze nie rozstrzygniętym i dopiero dalsze badania pozwolą, być może, na jego rozwiązanie.

W czasie prowadzenia badań nad plecionkarstwem ludowym stwierdzono, że zachowała się tu do dziś technika wyplatania przedmiotów, zwłaszcza z wikliny. W plecionkarstwie używa się również korzeni drzew; te jednak mają mniejsze zastosowanie. Wikliniarstwo jest szerzej rozpowszechnione w związku z występowaniem w terenie dużej ilości wikliny. Wiklinę czerpie się również z plantacji, założonych specjalnie dla potrzeb koszykarstwa. Znana jest tu i praktykowana technika żeberkowo-krzyżowa. Wykonuje się nią wszelkiego rodzaju kosze, opałki do sieczki i inne.

Rzadko spotykane wyplatanie ze słomy znajduje swój wyraz w pracach, wykonywanych przez Szulcową z Babimostu. Trudni się ona wyrobem ozdobnych pudełek, koszyczków, pierścionków itp.

Obecnie plecionkarstwem zajmują się we wsiach głównie ludzie starsi, młodzież pracuje jedynie w spółdzielniach koszykarskich, produkujących na szeroki zbyt. W wytwórczości tej z plecionkarstwa ludowego zapożyczono są przede wszystkim techniki, natomiast formy odpowiadają zapotrzebowaniom odbiorców (produkuje się meble, koszyki-torebki, tacki itp.).

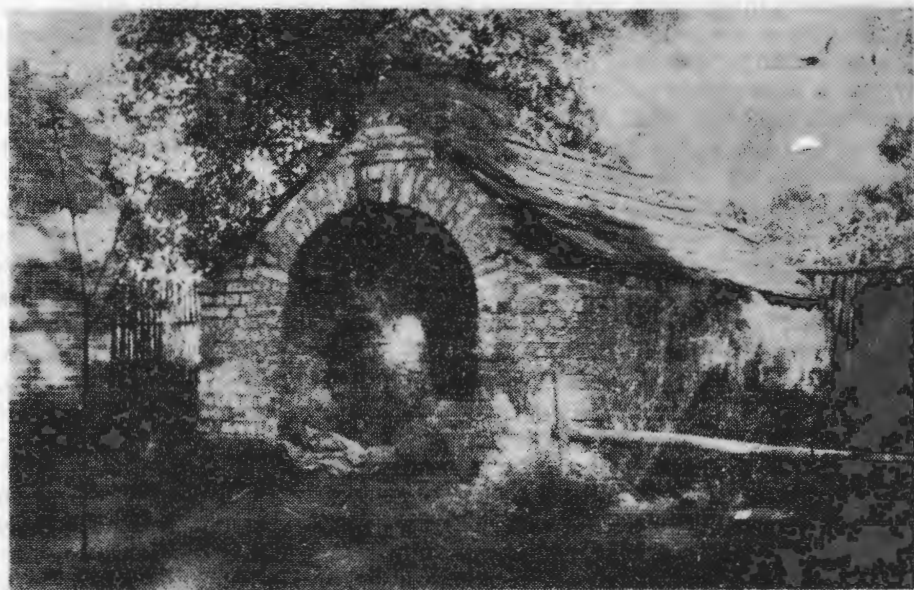
O obróbce lnu niewiele można powiedzieć, ponieważ jego uprawa została już niemal całkowicie zaniechana. Ludność rodzima, uprawiała len przed przybyciem przesiedleńców. Ci ostatni zaś praktywali tę uprawę w swoich stronach. Zaprzestanie uprawy lnu tłumaczą łatwością nabywania tanich tkanin fabrycznych. Nieliczne wypadki uprawy obejmują len niebieski, który w przeciwieństwie do białego wymaga mniejszej pielęgnacji.

Obszerny temat, jaki podjęto w roku 1959, o czym wspomniano już poprzednio, to problem wzajemnego oddziaływania kultury ludności rodzimej i kultury osiedleńców. Dotychczas zajęto się wpływami i przemianami w zakresie kultury materialnej. Zagadnienie to obejmuje również strefę obyczajów i zwyczajów, współżycia tych dwóch grup, ich wiedzy medycznej i wierzeń.

W odniesieniu do przebadanych zagadnień można powiedzieć, że właściwości ludowej kultury przybyszów stopniowo zanikają. Mimo to jednak w niektórych dziedzinach kultury przesiedleńcy zachowali odrębność. Np. urządzali sobie często łaźnie parowe, które nie znalazły uznania u ludności miejscowej. Interesującym jest fakt, że w wypadku gdy ludność napływowa przejmuje używanie jakichś przedmiotów, np. urządzeń kuchennych, naczyń, od ludności rodzimej, nie przyswaja sobie ich nazwy. Może



12. Fragment konstrukcji domu ryglowego, okap również ryglowy, Podmokle Wielkie
pow. Sulechów, (fot. B. Matuszewska)



13. Piec chlebowy w ogrodzie, Rokitnica pow. Świebodzin, (fot. B. Matuszewska)



14. Piec chlebowy za domem, otwór od strony wewnętrznej domu, Kramsko Stare, pow. Sulechów, (fot. B. Matuszewska)

najbardziej intensywne przenikanie kultury obu omawianych tu grup – dokonuje się w zakresie przyrządzania pożywienia. Cały szereg potraw przejęli od ludności rodzimej przesiedleńcy i naodwrot. Stwierdzono też, że łowiczanki zaprzestały ozdabiania wnętrz swoich chałup barwnymi, pięknymi wycinankami, ponieważ ludność miejscowa wyśmiewa ten zwyczaj. I ten motyw wywiera wpływ na zanik odrębnych cech kultury przybyszów z innych stron Polski.

Reasumując wyniki badań nad kulturą ludową obszaru Ziemi Lubuskiej, dokonane w roku 1959 należy stwierdzić, że materiały, które zebrano stanowią cenny wkład do całości zamierzonych prac. W latach następnych gromadzić się będzie materiały do podjętych już zagadnień z pozostałej części interesującego nas terenu. Rozszerzony zostanie również zakres tematyczny prac. Jako uzupełnienie rolnictwa będą prowadzone badania innych, ubocznych gałęzi gospodarki wiejskiej, mianowicie hodowli, ogrodnictwa, sadownictwa. Pomocniczym dla zagadnienia budownictwa ludowego będzie problem osadnictwa wiejskiego, który ma wejść w zakres przyszłorocznych badań terenowych. Ponadto planuje się objęcie badaniami zagadnienia ubioru. Zostało ono już częściowo opracowane w monograficznym ujęciu stroju międzyrzecko-babimojskiego⁵⁾. Chodzi jednak o przebadanie ubioru na obszarze całej Ziemi Lubuskiej. Być może, uda się wtedy wyznaczyć drobniejsze regiony, dostrzec wpływy terenów sąsiednich. W związku z akcją gromadzenia zbiorów dla Działu Etnograficznego Muzeum Okręgowego w Zielonej Górze, która przebiega równolegle z naukowym opra-

cowywaniem podjętych tematów, projektowane jest opracowanie spotkanych w terenie zabytków ludowej twórczości artystycznej – rzeźb, obrazów itp.

Tak rozpoczęte zbieranie materiałów w oparciu o zasadnicze trzy bazy źródłowe: badania terenowe, literaturę i archiwalia, prowadzone systematycznie – powinno dać w wyniku pełne zobrazowanie lubuskiej kultury ludowej w jej historycznym rozwoju.

PRZYPISY

1. Indywidualne badanie etnograficzne prowadzili na tym terenie m. in. dr A. Glapa i mgr St. Błaszczyk. Oprócz tego prowadzono penetracje w celu przygotowania materiałów etnograficznych do zbiorowego opracowania pt. „Ziemia Lubuska”. W roku 1958 grupa etnografów pod kierunkiem mgr St. Błaszczyka prowadziła badania wybranych zagadnień, na obszarze byłej kosztelanii międzyrzeckiej. Ponadto Sekcja Regionalna Lubuskiego Towarzystwa Kultury zajmuje się gromadzeniem i naukowym opracowywaniem pieśni lubuskich. Pracami tymi kieruje Wiesław Sauter. Obecnie zbiór w. w. pieśni jest już na ukończeniu i obejmuje ponad 200 utworów.
2. Jako punkt końcowy, do którego sięgają nawiązania do okresów wcześniejszych przyjęto datę 963 r., kiedy Mieszko I, po walce z margrabią brandenburskim Hodonem, włączył znaczną część Ziemi Lubuskiej do Polski.
3. „Pogonek” jest to długa tyczka, zakończona wrzecionowatym zgrubieniem, wewnątrz którego znajduje się otwór. Przez ten otwór przeciąga się słomę. „Pogonek” zanurza się w wodzie i poruszając nim straszy się ryby.
4. Konstrukcję węglową posiadają również niektóre budynki gospodarcze (ryc. 7).
5. Mowa tu o pracy A. Glapy pt. „Strój międzyrzecko-babimojski”, Wrocław 1956. Atlas Polskich Strojów Ludowych cz. II, zesz. 4.

2 pamiętniki i wspomnienia

Moje wspomnienia

Kiedy sięgam pamięcią w odległą i z każdym dniem bardziej oddalającą się przeszłość i myślę o czasach mej służby zagranicznej w Niemczech, a w szczególności w okręgu konsularnym Pity, ogarnia mnie dziwne uczucie. Czegoś tak niesamowitego, czegoś tak sztucznie i wbrew rozumowi stworzonemu, że po prostu raczej śmiać się chcę, jak myśleć poważnie o rzeczach, które jednak mimo takiego podejścia, były pełne wagi i znaczenia politycznego. Niemcy zawsze, a w szczególności w czasach po I wojnie światowej celowali w tworzeniu kombinacji i teorii fabrykowanych wedle potrzeb sytuacji politycznej, a nie mających podstaw w rzeczywistym i uzasadnionym stanie rzeczy. Nauka i myśl, którą w cudzysłowie nazwać mogę „polityczną”, stwarzały takie twory i takie tezy, że jedynie traktując je jako wytwory realne, nierealnych planów i założeń, można było traktować je jednak jako rzeczy poważne. Oczywiście w tym tylko znaczeniu „poważne”, że istniejące wbrew oczywistej logice i potrzebom życia.

Z takim to sztucznym tworem założeń politycznych było mi danym spotkać się w życiu, bacznie śledzić przez lat parę jego koncepcję i rozwój, po to, aby dojść do przekonania, że twór ten w samym fakcie swego istnienia, mieści dowód, iż istnieć nie powinien i musi ulec zwycięskiemu zawsze prawu celowości i rozumu w naturze.

Traktat pokoju podpisany w Wersalu, pamiętnego 28 czerwca 1919 r. wszedł w życie z dniem 10 stycznia 1920 r. Z tym dniem wojska niemieckie wycofały się poza linię nowej granicy, a wojsko polskie i władze polskie objęły rządy na obszarze zwróconym Polsce po długich latach niewoli.

Obszar ten administracyjnie obejmował całą niemal pruską prowincję poznańską oraz obszary rejencji bydgoskiej i gdańskiej. Ale linia graniczna nie pokrywała się w zupełności z linią granic tych okręgów administracyjnych i pozostawiała poza nowym pasem granicznym pewne stosunkowo niewielkie obszary, które zostać miały przy Niemczech. Były to – od północy idąc – powiat Człuchów z rejencji gdańskiej, powiat Złotów z rejencji bydgoskiej (części tych dwu powiatów zostały po polskiej stronie), powiat Wałcz, miasto Piła, część powiatu Czarnkowskiego, z której Niemcy stworzyli nowy powiat Trzcianka, powiat Skwierzyna, powiat Międzyrzecz, powiat Babimost i powiat Wschowa – te wszystkie z prowincji poznańskiej. Były to wszystko ziemie przygraniczne, skrawki od 5 do 30 i paru kilometrów szerokości, podzielone na trzy odrębne sektory, nie mające ze sobą żadnej innej więzi gospodarczej, jak tylko przymusowy podział administracyjny, pozbawione przemysłu, poza niewielkimi fabryczkami, obszary rolnicze, orientujące się wszystkie już to w stronę Poznania, już też Bydgoszczy i Gdańska, mniej Wrocławia. Z miejsca wysunął się przeto problem organizacji administracyjnej tych obszarów, które pozostały bez władzy nadrzędnej w postaci rejencji względnie prowincji. Rozum i logika nakazywałyby w takich przypadkach przydzielać owe powiaty do najbliższej terytorialnie położonych okręgów i tym samym ułatwić i umożliwić im normalny rozwój i życie Człuchów, Złotów, Piła i Trzcianka mogły zostać przydzielone do rejencji koszalińskiej, mając nie gorsze połączenie z Koszalinem od obecnego; Skwierzyna, Międzyrzecz i Babimost ciążyły do pobliskiego kręgu rejencji w Frankfurcie nad Odrą, a Wschowa do odległego o półtorej godziny jazdy kolejną Wrocławia, siedziby Prowincji Śląskiej i rejencji wrocławskiej.

Nie byłoby to wymagało żadnych wysiłków i sprawiało trudności administracyjnych, a nadto przybytek po parę powiatów do dużych już rejencji, nie dałby się nawet odczuć w zarządzie II instancji. Cała ludność tych obszarów nie przekraczała razem 250.000 ludzi i nadawała się doskonale do rozparcelowania. Oczywiście, gdyby sprawę tę traktowało się jedynie pod kątem widzenia dobrej administracji.

Ale stało się inaczej. Względny wspomnianej już poprawności administracyjnego podziału kraju, zostały pominięte, a na pierwszy plan wysunęły się jako decydujące – czynniki polityki odwetowej niemieckiej. Wychodząc z założenia, że Traktat Wersalski jest krzywdzącym dla Niemiec i jeśli idzie o obszary na Wschodzie stanowi prowizorium, postanowiono dać temu wyraz przez utrzymanie istnienia dla celów reminiscencji odwetowych, dawnych podziałów administracyjnych Poznańskiego i Prus Zachodnich. To były bowiem obszary, których większość przeważająca przypadła Polsce. W ten sposób powstała Prowincja pruska „Grenzmark-Posen-Westpreussen” – „Marchia Graniczna Poznań i Prusy Zachodnie”. W nazwie Marchia nawiązywano do najdawniejszych tradycji sprzed 1000 lat, z czasów

walk książąt słowiańskich i pierwszych władców Polski z naporem niemieckim, gdy okrutny Margrabia Geron tworzył marchie graniczne dla większego pogwałcenia Słowian.

Głównym twórcą i propagatorem tej koncepcji polityczno-administracyjnej był ostatni pruski Prezydent rejencji w Bydgoszczy von Bülow, pochodzący ze zniemczonej duńskiej rodziny, której gałąź pruska dała Niemcom szereg mężów stanu, polityków, wojskowych etc. Jego to głównie zabiegom zawdzięcza ta Prowincja swe powstanie i swą strukturę organizacyjną będącą w swoim rodzaju osobliwością. Otóż obszar ten był zarazem Prowincją czyli w administracji pruskiej III instancją, i równocześnie Rejencją czyli II instancją. Było to takie dziwadło, że gdy potem Hitler doszedł do władzy, zniósł on ten dualizm i zachowując Pile, która została stolicą, jako siedzibę rejencji, przydzielił ją do Prowincji Brandenburskiej w Poczdamie. Według własnej koncepcji von Bülow miał pewnego dnia opuścić swój ogromny gmach w Pile i na białym koniu wjechać do „uwolnionego” Poznania, jako prezydent odzyskanej prowincji, której „tradycję” popołu z tradycją Prus Zachodnich ucieleśniał w swym mniemaniu w sobie.

Jaki był dalszy los tej koncepcji, najlepiej wiemy. Ale wówczas koncepcja ta wymagała do swej realizacji ogromnych milionowych wkładów. Trzeba było zorganizować cały aparat rejencji – prowincji, ogromny sztab urzędników, bo w myśl tej właśnie zasady tradycjonalizmu Prowincja „Grenzmark-Posen-Westpreussen” wyposażona została we wszystko co do jej samodzielnego istnienia było potrzebne. Obok zatym właściwych władz administracji państwowej, stworzono osobny zarząd administracji samorządowej, miasto Piła otrzymało osobną Dyрекcję Policji, osobną Izbę Handlową oraz cały szereg pomniejszych władz i instytucji. Ba, nawet mały sąd w Pile awansowano do rangi Sądu Ziemiańskiego tj. II instancji. Pociągnęło to za sobą konieczność sprowadzenia do Piły ogromnego sztabu urzędników i oczywiście spowodowało szalony wzrost ludności. Trzeba przyznać, że problem mieszkaniowy rozwiązano doskonale, nie żałując pieniędzy na budownictwo, co naturalnie było posunięciem czysto politycznym, bo każdy nowy dom i nowe mieszkanie wzmagало potencjał elementu niemieckiego w Pile. Liczni polscy mieszkańcy Piły, już to przenieśli się dobrowolnie do Polski, już też tak byli wypierani i pozbawiani możliwości egzystencji przez Niemców, że liczba ich topniała. Zdołali się utrzymać tylko ci, co przedstawiali dla Niemców siłę roboczą fizyczną, lub nieliczni którzy dzięki posiadaniu ziemi czy domu mieli jaką taką niezależność.

Z punktu widzenia interesów polskich utworzenie Prowincji w Pile przedstawiało znaczenie czysto polityczne. Było jasnym, że ma ona na celu podtrzymywanie ducha odwetu i stanu płynności politycznej, mimo wszelkich pozorów stabilizacji, wyrażającej się w niezmiernym budownictwie gmachów na pomieszczenia władz oraz krystalizowaniu się procesu zcalania nowego aparatu rządzącego. Nieraz przypatrując się tej szybkiej i niezwykle kosztownej rozbudowie, będącej zaprzeczeniem nadziei niemieckich odnośnie „prowizoryczności” stanu rzeczy myślałem, że jedynym rozumnym wytłumaczeniem jest tylko to, że kiedyś wszystkie te gmachy przydadzą się nam – taka była bowiem sztuczność w tym wszystkim i taki ponad rzeczywiste potrzeby rozmach.

Ale oczywiście, nie w tym rzecz leżała. Z punktu widzenia naszych interesów, mimo wspomnianej już wyżej odwetowej i rewizjonistycznej koncepcji niemieckiej, która stała u kolebki Prowincji pilskiej, rzecz miała dla nas i swe dodatnie strony. Oto w tej małej na trzy części podzielonej Prowincji pruskiej Polacy stanowili element, który cyfrowo był oczywiście w mniejszości, ale nie była to mniejszość „mała”, lecz poważna, przedstawiająca czynnik, z którym w takiej właśnie małej prowincji, władze musiały się liczyć. Gdyby północne obszary tej prowincji zostały wcielone do rejencji koszalińskiej, to nawet wówczas Polacy w Złotowskim, Bytowie i samotnej wiosce Wierzchucinie, stanowiliby procentowo mniejszy czynnik od tego jakim się stał Złotów w stosunku do Pily.

Jeszcze drastyczniej sprawa ta przedstawia się na Ziemi Lubuskiej. Polacy w powiecie Międzyrzecz i Babimost wcieleni administracyjnie do Frankfurtu n/O. po prostu utonęliby w tym morzu niemieckim. Tutaj władze musiały się jednak z nimi liczyć. W ten sposób element polski pomimo wszystko więcej zyskiwał, aniżeli tracił przez ów dziwny twór administracyjny.

Dlatego też nigdy nie braliśmy sobie zbyt do serca, ani gróźb rewizjonistów wynikających z istnienia Prowincji w Pile, ani nie omieszkaliśmy przy każdej nadającej się okazji wykazywać, że błędy popełnione przy wytyczaniu granicy, zwracają się przeciwko samym Niemcom. Bo czyż można uznać w epoce, gdy wytyczenie granicy odbywa się na podstawie etnograficznej, za zadowalający fakt, że linię graniczną prowadzi się w ten sposób, że po stronie niemieckiej pozostają całe regiony i całe wsie z ludnością czysto polską. Faktu tego nic nie jest w stanie zmienić, nawet późniejsze usiłowania niemieckie, by przez sztuczki kolonizacyjne wzmocnić żywioł niemiecki w tych przygranicznych wsiach.

* * *

Gdy objąłem placówkę konsularną w Pile, jedną z pierwszych moich czynności było gruntowne zapoznanie się z przebiegiem granicy, wedle delimitacji wersalskiej. Było to o tyle ważne, że dawało obraz jak dalece różne względy wpływały na przebieg linii granicznej. Na ogół starano się wykorzystać granice naturalne – jak biegi rzek i jeziora, ale większą część linii granicznej tworzyła granica lądowa wytyczona na ogół dość niedbale. Jest jasną rzeczą, że ideału w takich przypadkach nie osiągnie się, niemniej jednak dwom czynnikom: braku staranności przy wytyczaniu granicy i złej woli ze strony Niemców zawdzięczać należy, że powstawały sytuacje wręcz absurdałne, wyzyskiwane potem dla celów propagandowych.

Przytoczę dwa takie przykłady, jeden z powiatu Czulchów, drugi – Międzyrzecz. Gdy wytyczano granicę pomiędzy powiatem Chojnice i Czulchów, postanowiła komisja delimitacyjna, że granica będzie biegła skrajem szosy idącej na północny-zachód od Chojnic. Szosa i rów były polskie, dalej już Niemcy. Ale w pewnym punkcie stała karczma, tak zbudo-

wana, że drzwi do niej otwierały się na polską stronę i trzeba było przechodzić przez małą kładkę położoną nad rowem. Z chwilą wytyczenia granicy, istnienie tego budynku było absurdalnym i powinien on być zlikwidowanym. Tym bardziej, że niedalekie domy, które dawniej dostarczały klienteli, pozostały po polskiej stronie, tj. za granicą, a karczmarz, by utrzymać się musiał ściągać gości z dość dużej odległości. Żadne ekonomiczne względy nie przemawiały za dalszą egzystencją karczmy. Niemcy zamknęli wejście od polskiej strony. Polacy usunęli kładkę nad rowem i do karczmy wchodziło się bocznym, po niemieckiej stronie położonym wejściem. Ale nieustannie zdarzały się „omyłki” wychodzono dawnym wejściem, by znalazłszy się „za granicą” odbywać potem pod opieką Straży Granicznej marsz do Sądu w Chojnicach za nielegalne przekroczenie granicy państwa. Oczywiście Niemcy jak najbardziej wykorzystywali to jako dowód jak źle wytyczono granicę.

Jeszcze drażliwsza sytuacja była w miejscowości Trzciel, przechrzczonej przez Niemców na Tirschtiegel, w powiecie Międzyrzecz. Podczas obrad komisji delimitacyjnej strona polska domagała się, aby linia kolejowa Zbąszyń – Międzychód pozostała po stronie polskiej. Oczywiście rozumiano przez to, że nie sam tylko tor kolejowy, ale i jego obustronne przyległości w postaci osad, dla których stanowił on arterię żywotności. Wymagało to oczywiście przejścia przez cały teren i ustalenia na podstawie wizji lokalnej oraz wysłuchania głosów mieszkańców, jak dalece poszczególne miejscowości związane są w swych potrzebach gospodarczych ze wspomnianą linią kolejową. Ale komisja międzynarodowa była wygodna. Załatwiła sprawę krótko i prosto. Zadekretoowano, że linia graniczna będzie biegła w odległości 10 m od środka toru kolejowego w kierunku z południa na północ. Jak natomiast rzecz będzie przedstawiała się w terenie, o to komisja nie troszczyła się. Gdy przyszło do delimitacji w terenie, okazało się, że miejscowość Trzciel pozostała po stronie niemieckiej, a stacja kolejowa po polskiej. Nie służyła ona nikomu. Ale po stronie niemieckiej właśnie, w pasie owych 10 metrów, znajdował się dom (a może i dziś jeszcze istnieje), który był w ten sposób postawiony, że część jego leżała w obrębie owego 10-metrowego pasa, pozostając tym samym w Polsce, a druga część po stronie Niemiec. Właściciel tego domu mieszkał zatem w dwóch państwach i na dobrą sprawę do przechodzenia z jednego pokoju do drugiego potrzebował paszportu lub przepustki granicznej. Granicę wytyczono w terenie, ale gdy przyszło do tego domu, sprawa stała się trudną. Zdrowy rozsądek nakazywał dom ten wywłaszczyć i zburzyć. Ale Niemcy nie chcieli się zgodzić, by niemiecka część domu została rozebrana, a Polacy nie byli technicznie w możności uczynić to z „polską” częścią budynku. Sprawa stała się absurdem i dziwołagiem. Nasze władze graniczne zastosowały wybieg, na domu we właściwym punkcie oznaczono miejsce, gdzie przebiegała linia granicy państwowej, a równocześnie otoczono od polskiej strony dom drutami kolczastymi, aby uniemożliwić przemyt i przedostawanie się tedy z jednego państwa do drugiego. Sprawa była przedmiotem korespondencji obustronnych władz granicznych, bez żadnego pozytywnego wyniku. Szereg raportów, jakie w tej sprawie wysłałem, też nie posunęły sprawy naprzód. O ile dla władz granicznych dziwołag

ten nasuwał pod względem celnym, kontroli ruchu granicznego, podatkowym i sądowym oraz rejestracji ruchu ludności jak największe trudności, o tyle ja, pozostawiając troski te staroście w Międzychodzie i wojewodzie w Poznaniu, miałem na oku inny o wiele poważniejszy i groźniejszy aspekt. Oto dom ten stał się dla Niemców niewyczerpanym źródłem dla akcji propagandowej przeciwko Polsce. Z całych Niemiec zwożono samochodami wycieczki do Trzciela i pokazywano ów rzeczywiście godny widzenia dom-dziwoląg. Każda taka wycieczka połączona była z demonstracjami antypolskimi przy szlabanie granicznym, i podniecaniem uczestników do akcji za zmianą granicy. Zdjęcia tego domu były szeroko rozpowszechniane i stanowiły gwóźdź wszystkich nacjonalistyczno-rewizjonistycznych publikacji niemieckich na temat „krwawiącej granicy”. Nie wiem, czy dom ów przetrwał burzę dziejową i czy nadal stoi na dawnym miejscu. Wypadki dziwnie się splatają w dziejach. Może Fortuna uważała, że lepiej przecześć, niech dom z całą miejscowością powróci do Polski, niżli go burzyć? W każdym razie, moim zdaniem, jeśli istnieje, to warto, by o jego dziwnych losach kronikarze miejscowości Trzciel – nie zapomnieli.

Nadmieniam, że opór ze strony niemieckiej przeciwko usunięciu tego drażniącego a niepotrzebnego kolca, był tak stanowczy, korzyści propagandowe dla Niemców tak duże, że nie udało się przeforsować likwidacji tego obiektu. Rzecz w istocie swej była zbyt małą, by zrobić kwestię stanu. Natomiast sprawa ta była dowodem, jak bardzo Niemcom zależało na jątrzeniu i podtrzymywaniu stanu zadrażnień na granicy. Zresztą – gdy powstawał jakiś incydent graniczny, co z reguły załatwiali bezpośrednio obustronne władze I-szej instancji, można było być pewnym, że ze strony niemieckiej będzie więcej tendencji raczej do pogłębienia, niż do niwelowania trudności.

* * *

Z punktu widzenia naszych interesów, większą gatunkowo wagę, miały sprawy położenia ludności polskiej, która pozostała po niemieckiej stronie. Na terenie dzisiejszej Ziemi Lubuskiej, znajdowało się pięć wsi zwarcie polskich: Nowe i Stare Kramsko, Podmokle Wielkie i Małe oraz Wielka Dąbrówka. Ludność tych wsi była w przeważającej mierze polska, wysoko uświadomiona, przechowująca starannie obyczaj, mowę i strój polski. Odnosi się to szczególnie do Dąbrówki Wielkiej, której przepiękny strój ludowy kobiet, noszony przez nie, budził ogólny zachwyt. W okresie międzywojennym w dziale etnograficznym Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu, znajdowała się duża gablota ze strojami z Dąbrówki Wielkiej. Nad gablotą widniał napis spowity krepą i otoczony koroną cierniową. „Dąbrówka Wielka – odcięta od Macierzy...”.

Gdy w roku 1931 późną jesienią z racji ekshumacji powstańców wielkopolskich poległych w walkach 1918–19 r. w tych stronach i przewożonych do Zbąszynia, przybyłem oficjalnie do Dąbrówki Wielkiej, czekał tam na

mnie wybitny przywódca i działacz społeczny spośród Polaków miejscowych Jan Budych IV oraz miejscowy komisarz policji. Budych zaprosił mnie do siebie i bardzo gościnnie podejmował. Jego miła żona wystąpiła w przepięknym stroju, jaki od święta noszą Polki w Dąbrówce Wielkiej. Od niego dowiedziałem się, że władze niemieckie zabroniły jakiegokolwiek udziału ludności w żałobnej uroczystości. Komisarz poinformował mnie, że samochód z trumnami jest gotów i że on osobiście będzie mi towarzyszył, aż do punktu granicznego w Zbąszyniu. Kondukt, jaki wyruszył z Dąbrówki Wielkiej, pozostanie mi na zawsze w pamięci. Na przodzie jechał samochód ze szczątkami powstańców, potem ja w samochodzie z flagą konsularną, następnie samochód z komisarzem policji, a na końcu na rowerze Jan Budych IV, który reprezentował całą ludność polską Dąbrówki Wielkiej. Na granicy podniosły się oba szlabany: niemiecki i polski. Trumny przeniesiono na polską stronę i zatrzymano się na samej linii granicy. Pożegnałem się z przedstawicielem władz niemieckich, serdecznie uściśnięciem dłoń Jana Budycha IV, który musiał zostać po niemieckiej stronie i szepnąłem mu tylko, by starał się słyszeć moje przemówienie. Przekazywałem w nim szczątki powstańców – ziemi zbąszyńskiej, z której pochodził i w serdecznych słowach dziękowałem ludności Dąbrówki Wielkiej za troskliwą pieczę nad grobami poległych współbraci przez tyle lat ich na jej ziemi spoczywania. Gdy skończyłem, zabrzmiały dźwięki hymnu narodowego, kompania honorowa sprezentowała broń i wolno ruszył do miasta Zbąszynia wielki kondukt przy ogromnym udziale ludności i organizacji. Jan Budych IV stał samotny po drugiej stronie granicy i długo śledził oczyma oddalający się kondukt. Idąc w pochodzie pomiędzy starostą powiatu zbąszyńskiego i dowódcą miejscowego garnizonu, myślałem sobie, co musiało dziać się w sercu tego gorącego patrioty w chwili, w której cały dramat Wielkiej Dąbrówki uwidaczniał się w swej smutnej rzeczywistości.

Z Janem Budychem IV i innymi działaczami z polskich wsi wyżej wymienionych zetknąłem się po raz pierwszy w dniu 1 kwietnia 1928 r. w Pile. W tym dniu obejmowałem kierownictwo placówki konsularnej i z całego okręgu konsularnego przybyli wówczas wszyscy działacze polscy, by pożegnać mego poprzednika konsula Stanisława Ptaszyckiego oraz powitać mnie. Zwrócili się wówczas do mnie przedstawiciele Dąbrówki Wielkiej z prośbą o interwencję w sprawie systematycznego opóźniania przez pocztę dostawy poznańskiego „Przewodnika Katolickiego”.

Ale zanim doszło do oficjalnej interwencji, zaszedł raz i drugi wypadek, że poczta polska w Poznaniu opóźniła się w dostawie czasopism niemieckich. Codziennie pociągami pospiesznymi wychodzącymi z Berlina około godziny 22-giej przybywało do Poznania około godziny 3-ciej nad ranem kilka tysięcy ostatnich wydań dzienników i periodyków niemieckich i już rano można było w kioskach otrzymać najświeższą prasę niemiecką. Była ona rozkupowana zarówno przez Niemców jak i przez Polaków. Jedno takie opóźnienie, tylko jednodniowe przemieniało prasę tę w makulaturę, bo nikt starych dzienników przecież nie kupuje. Wydawnictwa niemieckie poczęły ponosić straty idące w tysiące. Postarałem się o to, aby gdzie należy wykombinowano sobie ile to złego przynosi złe funkcjonowanie poczty

na odcinku dostawy czasopism. Okazało się wtedy, ile jest prawdy w przysłowiu o kiju, który ma dwa końce i o starej prawdzie: „Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe”. „Przewodnik Katolicki” zaczął przychodzić więc punktualnie i przez cały czas mego urzędowania w Pile żadnych uchybień nie było. Tak jak i nie było po takim obrocie sprawy – potrzeby złożenia z mej strony oficjalnej interwencji.

Polacy w wioskach na dzisiejszej Ziemi Lubuskiej przedstawiali element nadzwyczaj wartościowy. Doskonali gospodarze, wysoko intelektualnie stojący, twardzi i nieustępliwi Polacy. Obok wymienionych wyżej już miejscowości było jeszcze kilka innych, w których jednak żywioł polski był nieliczny, otoczony masą niemiecką i ciężko musiał walczyć, aby utrzymać się ekonomicznie i nie poddać się fali germanizacji.

Położenie ich wszystkich było nadto trudne organizacyjnie, bo skupisko to należało do V Dzielnicę Związku Polaków w Niemczech, ale siedziba jej była w Złotowie i stąd dojazd zarówno dla kierownictwa V Dzielnicę jak i na odwrót był utrudniony i kosztowny. Możliwości zatem bezpośrednich kontaktów były ograniczone. Związek Polaków w Złotowie posiadał tak mało pieniędzy, że założywszy np. Oddział w Zielonej Górze, nie był w stanie wysłać tam swych przedstawicieli i Polacy zielonogórcy byli pozostawieni sami sobie, co najwyżej mogli pisemnie kontaktować się ze Złotowem. Zielona Góra zresztą nie leżała w mym okręgu konsularnym. W niemniej trudnej sytuacji byłem i ja, jeśli idzie o ów kontakt z Polakami z Dąbrówki Wielkiej, z obu Podmokli i Kramsk oraz z pomniejszych miejscowości. Obywateli polskich nie było tam zupełnie. Dojazd jak najtrudniejszy i jak najbardziej zwracający na siebie uwagę. Niemcy bowiem niezwykle czujnie pilnowali tych polskich miejscowości i zjawienie się tam polskiego konsula, byłoby wywołało od razu z ich strony reakcję. Oczywiście nie w stosunku do mnie, ale w stosunku do tych Polaków, do których byłbym zajechał. Nie można ich było na to narażać. Były też i techniczne względy. Dopiero w drugiej połowie mego urzędowania w Pile otrzymałem służbowy samochód. Przedtem w ogóle nie było jak dojechać. Mimo tych przeszkód staraliśmy się jak tylko można podtrzymywać i zacieśniać stosunki z tymi rodakami. Do podtrzymywania ducha walcnie pomogło nam założenie szkół polskich w roku 1929, które obsadzone doskonałymi siłami nauczycielskimi, od razu stał się oczkiem w głowie ludności polskiej w Starym i Nowym Kramsku, w Podmoklach Wielkich i Małych, w Dąbrówce Wielkiej i później w Babimoście. Szkoły te, które po przerwie wojennej znów wznowiły swą pracę, spełniły wielką narodową służbę, bo wychowały i wykształciły w mowie i poczuciu polskości to pokolenie młodych Polaków, które dzisiaj przeżywa swój wiek dojrzały.

* * *

Poszukując Polaków rozproszonych w różnych miejscowościach mego okręgu konsularnego, natknąłem się na niejasne wiadomości, że w miejscowości Chwalim znajduje się ludność mówiąca ani nie po niemiecku,

ani nie po polsku, ale jakimś – jak mówiono – zbliżonym do polskiego językiem. Zaintrygowało mnie to i zacząłem się dowiadywać, co by to mogło być. Że nie chodzi tutaj o Serbów Łużyckich było dla mnie jasnym, po prostu dlatego, że była to miejscowość zbyt odległa od Łużyc. Polacy z tamtych okolic wyrażali się o nich z rezerwą, mówiąc, że „są to lutry, ale nie Niemce”. Tu muszę wtrącić, że pośród ludności polskiej w Niemczech utarła się taka klasyfikacja: „luter”, był synonimem Niemca, „katolik” był Polakiem, ale mógł też być Niemcem; tylko w odróżnieniu od „lutra”, który był zawsze „złym” dla Polaków Niemcem, „katolik” był niekiedy „dobrym” Niemcem. Stąd ludność polska trzymała się zdala od „lutrów” zarówno z uwagi na różnicę religijną, jak i narodowościową. Natomiast z „katolikiem”, Niemcem można było rozmawiać, bo to – jak mówiono – „wprawdzie Niemiec – ale katolik”. W tym podejściu mieściło się oczywiście bardzo duże niebezpieczeństwo germanizacji przez „dobrych katolików Niemców”, co też zresztą wykorzystywało stronnictwo katolickie w Niemczech tzw. Centrum i kler niemiecki. Ale dlatego też i dla Polaka katolika, ktoś mówiący po polsku, ale ewangelik, był tym „lutrem”, od którego trzeba trzymać się w oddali. Nie było też żadnych stosunków z tymi po słowiańsku mówiącymi „lutrami” z Chwalima i próby dotarcia do nich przez najbliższych zamieszkałych sąsiadów z polskich wsi w regionie lubuskim, nie udały się. Wobec tego postanowiłem działać na własną rękę. Wysłałem do Chwalima zdolnego urzędnika konsularnego mgr Stanisława Szydłowskiego, z poleceniem zbadania sprawy. Jego przyjazd do Chwalima stał się dla tej miejscowości wydarzeniem takim, jakim jest piorun uderzający z jasnego nieba. Sprawozdanie, jakie mi złożył, było jednym z najciekawszych raportów, jakie mi się zdarzyło w życiu czytać. Pokazało się, że w Chwalimiu mieszka ludność słowiańska, mówiąca starym bardzo językiem, jakiego się już dzisiaj nie spotyka. Nie był to język Polaków na Śląsku, który jak to powszechnie wiadomo, najbardziej zbliża się do staropolszczyzny, ale język odrębny, starszy, posługujący się wyrażeniami, które dawno już w Polsce wyszły z obiegu lub przybrały inne znaczenie. Utkwiło mi w pamięci, że w Chwalimie ludzie nazywali nauczyciela „zok”, co oczywiście pochodziło od średniowiecznego „žaka”, a gdy pastor wygłosił w zborze dobre kazanie, ludzie ci mówili, że „ksiąndz pięknie piał”. Gdy mgr Szydłowski wszedł do zboru miejscowego, znalazł na ławkach stare modlitewniki z XVII i XVIII wieku, które widocznie przechodziły z pokolenia na pokolenie, jako najcenniejszy skarb. O tym, by się ich wyzbyc za jaką bądź cenę – mowy nie było. Modlitewniki były w tym starym słowiańskim języku, którym posługiwał się w codziennym życiu ich właściciele. Głęboko religijni, z ciężkim sercem znosili dopust Boży, iż pastor był Niemcem i przemawiał do nich po niemiecku. Stąd też rozmowy, jakie mgr Szydłowski miał z nimi, wywarły na nich głębokie wrażenie. Zjawił się ktoś – kto to był nie wiedzieli i nigdy się nie dowiedzieli – który zaczął im mówić o wielkim państwie polskim, które żywo interesuje się losami braci słowiańskiej a nimi Chwalimiakami w szczególności. Państwie, które ma u siebie ludność ewangelicką i gdzie po zborach pastory głoszą słowo Boże w języku ojczystym wiernych. Gdzie słowo „luter”, nie ma charakteru dyskryminującego. Gdzie każdy może chwalić Wszechmocnego w swej ojczystej

mowie i nikt mu tego nie zabrania, ani nie wytyka. Po raz pierwszy zapewne od niepamiętnych czasów, może od całych pokoleń, przybył do Chwalima nieznaną gość, który do tych, przeważnie starych ludzi, mówił takimi słowami. Wrażenie było szalone, po wsi pośród ludzi rozeszła się wieść o wydarzeniu jakiego jeszcze w życiu swym nie doznali. A mgr Szydłowskiemu już nie było, tak, jak nie wiadomo skąd przybył do Chwalima, tak też zniknął w niewiadomym kierunku. Ale nie miało się na tym skończyć... Chwalimiaków czekała jeszcze większa niespodzianka.

Dzięki mgr Szydłowskiemu wiedziałem już jak sprawy stoją. Materiał, jaki przywiózł, był wystarczający dla zorientowania się zarówno w sytuacji jak i sposobie działania. Przede wszystkim chciałem się dowiedzieć, co to jest za język, którego próbki przywiózł mój wysłannik, a który jak się okazało, nieznaną był w Polsce. Za pośrednictwem konsula RP w Hamburgu, dr Władysława Namysłowskiego, który był naukowcem, interesował się językiem serbo-chorwackim i z tego tytułu pozostawał w stosunkach ze znakomitym uczonym sławistą prof. Vassmerem z Uniwersytetu we Wrocławiu, dowiedziałem się, że ludność Chwalima jest słowiańska i mówi językiem wymarłych już gwar dolnośląskich. Ostatni to pogrobowcy dawnej mowy, dawnego ludu słowiańskiego, który Niemcy wytępilli do szczytu.

Podjęcie w Chwalimiu szerszej akcji w znaczeniu kulturalno-oświatowym, nie byłoby „chwycito”. Ludzie ci byli niestety wyspą wyodrębnioną zupełnie od innych słowiańskich szczepów. Podejść do nich należało jednak z innej strony, z tej właśnie, dzięki której przez tyle wieków zachowali świadomość swego słowiańskiego pochodzenia i swej słowiańskiej mowy. Było nią przywiązanie do religii ewangelickiej. Był to klucz, który władny był otworzyć ich serca. Trzeba było umożliwić im słyszenie słowa bożego w tym, a nie niemieckim języku, i w ten sposób zbliżyć ich do wpływu polskiego. Najłatwiejszą rzeczą, byłoby wysłać do Chwalima, któregoś z polskich pastorów ewangelickich. Było ich dość i byli pomiędzy nimi ludzie, którzy doskonale do takiej misji nadawaliby się, a których patriotyzm dawał pełne gwarancje. Było jednak w takim podejściu jedno „ale”: nawet przyjąwszy, że Niemcy byliby pozwolili na przyjazd pastora z Polski, – byłoby to zbyt prostym i łatwym rozwiązaniem sprawy. W życiu i w polityce, nie zawsze takie sposoby rozplątywania sytuacji są skuteczne. Wybrałem zupełnie inną drogę. Ale tu muszę na chwilę przenieść się w inne strony i w inne stosunki.

Jest powszechnie znaną rzeczą, że ludność polska w dawnych Prusach Książących (albo Wschodnich), zwana powszechnie Mazurami, jest wyznania ewangelickiego. Są to wszystko wspomnienia dawnych czasów krzyżackich, kiedy to Zakon sekularyzował się, przeszedł na protestantyzm i oczywiście w myśl ówczesnej zasady „cuius regio eius religio” – czyli „jaki rząd – taka religia”, zmusił całkowicie od siebie zależną i uciemioną ludność mazurską do przyjęcia nowinek luteranckich. To przejście na protestantyzm nie było równoznacznym z germanizacją. Mazurzy mieli swe zbory po wsiach, a opiekę duszpasterską spełniali pastory mówiący po polsku, nieraz pochodzenia mazurskiego i nieraz całe nabożeństwo odbywało się w języku polskim. Mimo, że wpływ germanizacyjny na Mazurach

był ogromny, dający się mierzyć jedynie skalą zależności materialnej tych ludzi od pruskich panów, mimo, że systematycznie zatrutowano duszę tego ludu i starano się wpoić weni przeświadczenie, że nie ma on nic wspólnego z polskością, nie zdołano jednak wytrzebić mowy polskiej i Mazurzy mówili między sobą w życiu potocznym po polsku i modlili się w swych zborach oraz śpiewali po polsku. Szkoła była niemiecka, uczono w niej języka i wpa-jano służalczą wierność dla Prus oraz nienawiść do wszystkiego co nie jest niemieckie. Wszystkie władze państwowe też urzędowały w języku niemieckim. Tylko w zborze protestanckim, słyszał Mazur swój język ojczysty i w tym języku zanosił modlitwy do Wszechmocnego. Zdawał sobie dobrze sprawę z tego kościół protestancki, wiedząc, jak wielkie znaczenie ma to posługiwanie się mową ojczystą w życiu religijnym i przez stulecia nie stawiano przeszkód, licząc, że w ten sposób jeszcze bardziej przywiąże się niejeden Mazur do „niemieckiej” wiary, jeśli będzie mógł po polsku modlić się. Ale, aby wyłączyć go z kręgu prawdziwej polskości i jednolitej kultury polskiej, wprowadzono alfabet gotycki, tak zwaną „szwabachę” i w niej drukowano wszystkie książki i śpiewniki religijne. Mazur umiał czytać i pisać tylko w tym alfabecie, alfabet łaciński był dlań niedostępny. Otaczano w ten sposób biednego ewangelika mazurskiego, posługującego się w życiu religijnym językiem polskim, jakgdyby płotem przed autentyczną polskością. Pastorzy głosili słowo boże, po polsku, ale w duchu oczywiście pruskim, gdy tego było potrzeba. Każdy, kto tylko trochę zna te sprawy mazurskie, wie dobrze, jaką straszną krzywdę wyrządzali przez długie wieki Prusacy temu dobremu i biednemu ludowi, usiłując go w ten sposób zgermanizować. Do roku 1918 sytuacja w kościele protestanckim na Mazurach, nie przedstawiała szczególnych niebezpieczeństw z punktu widzenia niemieckiego na odcinku językowym. Stan rzeczy zmienił się po-powstaniu państwa polskiego. Wypłynięcie sprawy mazurskiej na konferen-cji w Wersalu, niepomyślny wprowadzie dla Polski wynik plebiscytu na Ma-zurach, obawa wpływów istniejącego już państwa polskiego mającego swą określoną linię polityczną, spowodowały, że ucisk i germanizacja na Mazurach wzmożyły się. Oazą polskości, jeżeli można użyć tak górnolot-nego zwrotu, okazał się w tym stanie rzeczy kościół protestancki, w którego zborach jawnie, oficjalnie posługiwano się mową polską. Władze niemiec-kie zaczęły po roku 1920 coraz to surowiej odnosić się do tej sytuacji. Na parafie mazurskie przysyłano pastorów nie umiejących po polsku, a pasto-rów mazurskiego pochodzenia lub znających język polski, osadzano na pa-rafiach często niemieckich, albo też na pastorów Niemców, w tych para-fiach, w których język polski był językiem obrzędowym, wywierano nacisk, aby zmniejszali i kasowali nabożeństwa polskie, zastępując je nabożeń-stwami w języku niemieckim. Mazurzy, którzy uważali się za lojalnych oby-wateli pruskich, i którym przez myśl nie przychodziło przez całe pokole-nie, iż posługując się w zborze językiem polskim, spełniają rzecz niemiłą, by nie rzec nieprzychylną dla Prus, nagle ujrzeli się w pozycji ludzi ucis-kanych i gnębionych na odcinku, który był im z dziada pradziada najdroż-szym i najczulszym, to jest religijnym. Bez żadnej interwencji zewnątrz, za-czął się pośród nich wytwarzać ferment i niezadowolenie, że utrudnia się i uniemożliwia odprawianie modłów w języku ojczystym i zmusza do posłu-

giwania się w zborze niemczyzną. Zbór z niemieckim kazaniem, niemieckimi modłami i niemiecką pieśnią religijną, zaczął dla nich stawać się rzeczą nie tylko obcą, ale przybierać cechy czynnika ucisku i niedoli. Powoli zaczęły zbory, z których usunięto polski język, pustoszeć, a ludzie zamiast iść w niedzielę do zboru, zaczęli się zbierać małymi grupkami w domach prywatnych. Tam wspólnie odmawiali modlitwy i śpiewali pobożne pieśni w języku ojczystym. Ten ruch spontaniczny i czysto wyznaniowy, nie mający w zaraniu żadnych politycznych, a nawet świadomie narodowych przesłanek, zaczął z biegiem czasu przybierać na sile. Grupki stawały się coraz to silniejsze, poczęły się tworzyć całe gromady, a na czele każdej takiej gromady, stawał jakiś świecki człowiek, który na zebraniach gromady, intonował pieśni pobożne, odmawiał głośno modlitwę i czytał Pismo Święte, a niekiedy próbował objaśniać je i nawet wygłaszał nauki. Ten ruch przybierał nazwę „gromadkarskiego” i nosił, jak to już wspomniałem, cechy czysto religijne. O żadnej akcji politycznej nie mogło być mowy i władze niemieckie nie miały się do czego przyczepić. Indagowani odpowiadali, że dlatego grupują się w „gromadkach”, bo w zborze nie mogą modlić się, jak dawniej, po polsku. To było prawdą i na to nie było żadnej właściwie rady, bo żeby ludzi tych, których wyгнаła ze zboru niemieckość, z powrotem do niego sprowadzić, trzeba by przywrócić, jak dawniej, język polski, a na to władze niemieckie nie mogły się zgodzić.

„Ruch gromadkarski” usuwał się zupełnie ze zboru i życia parafii niemieckiej. Tworzył faktyczną, własną organizację, na czele której stał „starszy” spełniający wszystkie czynności religijne, do których nie musiało się bezwarunkowo wzywać pastora. Taki „starszy gromadkarz” chrzczył dzieci, kierował wspólnymi modlitwami i nawet na pogrzebach wygłaszał nad grobem zwykle u protestantów żałobne przemówienie. Bojkot zboru z pastorem i niemiecką mową, był zupełny. Najwybitniejszym „gromadkarzem” i „starszym” był Reinhold Barcz ze Szczytna, z zawodu mistrz krawiecki z powołania kaznodzieja protestancki. On propagował ideę odsuwania się od niemieckich zborów, on wydawał i redagował osobne pismo religijne, w języku polskim, drukowane szwabachą z artykułami wyłącznie dewocyjnej protestanckiej treści, on był najwybitniejszym i najbardziej ideowym „gromadkarzem”. Jego wpływ osobisty był niezmierny. Był to człowiek z tego typu ludzi, co to opanowani myślą o jednej idei, gotowi są wszystko poświęcić. W swej działalności, która z punktu widzenia polskiego, była jak najbardziej dodatnią, Barcz nigdy nie poruszał struny nacjonalistycznej, niewzruszenie stojąc na gruncie religijnym. Z punktu widzenia naszej polityki, było to wystarczającym, boć chodziło przede wszystkim o to, aby Mazurzy poprzez wyznanie, pozostali jednak przy mowie polskiej, a nie ulegli zupełnej germanizacji.

Po tej długiej wycieczce w kraje pruskie i stosunki mazursko-ewangelickie powróćmy jednak do Piły.

Pewnego zimowego wieczora, przybył kaznodzieja (tak sam tytułował się) Barcz do Piły. Przyjechał pociągiem tranzytowym z Prus Wschodnich. Pociągi te, idące przez Iławę, Bydgoszcz i Piłę, były na terytorium polskim „zamkniętymi”, nie wolno było z nich nikomu wysiadać, ani też nie wolno

było do nich wsiadać. Żadnej rewizji paszportowej czy celnej nie było, ani jakiegokolwiek kontroli. Prosto z dworca, doskonale poinformowany jak ma iść, skierował się do gmachu Konsulatu, ale nie wszedł doń. Wszedł innym wejściem, prowadzącym do mieszkań niemieckich, przeszedł przez poddasze i dostał się na klatkę schodową prowadzącą do Konsulatu. Jeśli nawet ktoś go śledził, nie mógł wiedzieć, że Barcz zdążył do Konsulatu, gdyż nie posłużył się żadnym z dwóch oficjalnych wejść, stale przez posterunki policyjne pilnowanych. W konsulacie było ciemno i w żadnym pokoju nie zapaliło się światło. Barcz zadzwonił – drzwi się otworzyły i zaprowadzono go do jednego z salonów, którego okna zamknięte roletami i grubymi zasłonami, nie przepuszczały ani odrobiny światła. Tu odbyła się długa bardzo rozmowa ze mną i z mgr Stanisławem Szydłowskim, na temat Chwalima. Barcz, mężczyzna szpakowaty, niskiego wzrostu, barczystej budowy, o twarzy okrągłej i uduchowionych oczach, mówił spokojnym, cichym głosem, człowieka, w którym wyczuwa się głębokie życie wewnętrzne. Był to człowiek prosty i o sprawach religijnych wypowiadał się z głębokim przejęciem i wielką wiarą. Był to typowy „kaznodzieja”, przywódca religijny, który staje na czele wiernych, nie z mocy uprawnień hierarchicznych, ale na skutek swej wielkiej pobożności i głębokiego przeświadczenia w słuszność i prawdę, której służy. Barcz wyłożył mi wszystko, co było potrzebnym bym zorientował się w „ruchu gromadkarskim”; przy czym stale zbaczał w dziedzinę czysto religijną i dogmatyczną. Widać było, że jest to człowiek ożywiony „duchem bożym”, dla którego jego kaznodziejstwo jest treścią wszelkich przeżyć duchowych, a wszystko inne przesuwano na dalekie, inne plany. Szybko zorientowałem się, że kaznodzieja Barcz jest właśnie takim człowiekiem, jakiego potrzebowałem i że to, co mi o nim powiedziano, nie odbiega ani trochę od prawdy. Zorientowaliśmy go z mgr Szydłowskim w sprawie sytuacji w Chwalimie, wytłumaczyliśmy, że nie zamierzamy żadnej akcji politycznej prowadzić na tamtejszym terenie i chodzi jedynie o zajęcie się stroną religijną Chwalimiaków, tak bardzo zbliżonych pod względem położenia swego do braci ewangelików-gromadkarzy w Prusach Wschodnich. Ucieszyło to niezmiernie Barcza, dla którego moment religijny był decydującym i który dzięki temu co ode mnie usłyszał był „w sumieniu” zupełnie spokojnym. Oczywiście z tym większym zapalem przyrzekał mi, że sprawę Chwalimia weźmie do serca. Byłem z tego bardzo rad, bo chodziło mi o to, by Barcz rozciągnął swą robotę gromadkarską też na teren Chwalima. Ja nie mogłem tam nic więcej już zrobić, tym bardziej, że o podtrzymywaniu jakiego takiego kontaktu stałego w tej sprawie z Barczem nie mogło być mowy. Był on zanadto na widowni w swym regionie.

Było daleko po północy, gdy Barcz bardzo wzruszony, zegnał się. Wypowiadał słowa pożegnania w stylu biblijnym. Cicho opuścił gmach Konsulatu, nie zauważony przez nikogo, poszedł prosto na dworzec i pojechał do Chwalimia. Nigdy więcej nie ujrzałem go w życiu, ani nie otrzymałem odeń jakichkolwiek wiadomości, tak zresztą miał polecone. Wiem o nim tylko tyle, że podczas wojny Niemcy zamordowali go, a ruch gromadkar-

ski stał się zbędnym, bo polscy Mazurzy mogą teraz modlić się po swych zborach w języku ojczystym i pod przewodnictwem duszpasterzy – pastarów Polaków.

O tym, co potem działo się w Chwalimiu, dowiedziałem się później. Barcz wywarł ogromny wpływ, gdy zaczął obchodzić domy, mówić o słowie bożym i zachęcać do pobożności i modlenia się w starym języku ojców. Po wizycie mgr Szydłowskiego, zjawienie się kaznodziei Barcza, było ponownym, większym jeszcze przeżyciem dla mieszkańców Chwalimia. Barcz bowiem mówił do nich słowami i sposobem tak bardzo odpowiadającym ich potrzebom duchowym, że brał ich serca. Poruszenie, przejęcie tych ludzi było niezmierne. Oczywiście, wieść rozniosła się szybko po Chwalimiu, o tak niezwykłym gościu, dotarła też do uszu niemieckiego pastora i zaniepokoiła również policję niemiecką. Ale zanim zdołano „coś zrobić”, kaznodziei Barcza nie było już w Chwalimiu. Zniknął bez śladu, wyjeżdżając w zupełnie odmiennym kierunku i wracając bardzo okrężną i trudną do wyśledzenia drogą do rodzinnego Szczytna. Dla mieszkańców Chwalimia te dwie wizyty stały się tematem długich rozmów i rozważań. Obaj bowiem emisariusze, utrzymali się w ramach wysokich duchowych wartości, nie wkraczali w delikatne zagadnienia codziennego bytowania, nie żądali niczego, byle tylko ludzie w służbie Bożej nie zaniedbywali swego dawnego języka. O obydwóch nie wiedzano skąd przybyli i dokąd wyjechali. Wszystkie zresztą poszukiwania i dochodzenia policji nie dały żadnego wyniku.

* * *

Jeśli opisałem może obszerniej, moje wspomnienie z epizodem Chwalimia, to uczyniłem to dlatego, że był to jeden z licznych przykładów, jak na obszarach wschodnich Niemiec, żywioł słowiański mimo tysiącletniego pochodzu na wschód – „Drang nach Osten” – zachował się i jak na każdym kroku natrafiało się na jego ślady. Od rzeki Lech w Bawarii, od Lipy w Westfalii, poprzez Frankonię, Hanower, Dolną i Górną Saksonię, nie mówiąc już o Brandenburgii, Meklemburg-Strzelce i Meklemburg-Skwierzyna, Berlin i to, co Niemcy zwali Marchią wschodnią, wszędzie napotykało się na nazwy słowiańskie, na wspomnienia obyczaju słowiańskiego i na resztki dawnej ludności słowiańskiej, wytępionej przez Niemców. Te resztki mówiły jeszcze w domu starym swym językiem i modliły się w nim po świątyniach. A cóż dopiero takie ziemie, jak Pomorze, Lubuski kraj, Śląsk. Albo ziemie dawnej Rzeczypospolitej i to w jej ostatnich granicach historycznych.

Wzruszające wspomnienie. Jest w dzisiejszym województwie koszalińskim, w powiecie Szczecinek, uroczą miejscowość, która dzisiaj zwie się Stare Drawsko. Za niemieckich czasów zwała się Drahim po polsku, a po Niemiecku Draheim. Mówiono mi, że to ostatnie rubieże dawnej Polski batoriańskiej. Kraj, który leżał pomiędzy Piłą a Drahimem, był całkowicie zniemczony. Stara metoda: rozparcelowano wielką własność pomiędzy kolonistów niemieckich, po wsiach i miasteczkach osadzono rzemieślników,

kupców i wolne zawody też Niemców, zabroniono korzystać z usług polskich i zmuszono w ten sposób Polaków, którzy na zachód od Piły, w powiecie Wałcz i Szczecinek stanowili poważną pozycję jeszcze w końcu XIX stulecia, do emigracji. Jechałem przez ten kilkudziesięcio-kilometrowy pas ziemi i wszędzie nazwy wskazywały na polskie pierwiastki, mimo że Niemcy starali się je jak najbardziej germanizować. Sam Drahim, to wąski przesmyk lądu położony pomiędzy dwoma cudownymi jeziorami o szafirowych toniach i małych szmaragdowych wysepkach. Przesmyk ten, tak wąski, że idzie przezeń tylko droga, a obok niej ruiny zamku. To właśnie był zamek graniczny, w którym załoga polska czuwała nad ostatnimi rubieżami Rzeczypospolitej. Kilkaset metrów dalej pokazywano mi miejsce, gdzie biegła dawna granica pomiędzy Polską a Brandenburgią. W restauracji, przyległej do ruiny, sprzedawano widokówki z napisem: „Ruinen der Starostenburg”, a nadto przewodnik, w którym wyczytałem, że „Drahim został w 1657 r. zastawiony Brandenburgii za pomoc Polsce w wojnie ze Szwedami i nigdy nie wykupiony. Niemniej do pamiętnego roku 1772, mimo załogi brandenburskiej, był pod suwerennością Białego Orła. Zdumiało mnie, że Niemcy tak czuli na zacieranie śladów wszystkiego, co słowiańskie i polskie, pozwalali na upamiętnianie takiej wymownej historycznej przeszłości tych ziem. Zapytałem starego rybaka, gdy wiozł mnie łódką po jeziorze, co to właściwie znaczy to dziwne słowo „Starostenburg”? Wszak brzmienie tej nazwy jest tak mało germańskie? Popatrzył na mnie, pchnął silniej łódź wiosłami i gdy byliśmy daleko na jeziorze tak, że nikt nas nie mógł słyszeć, zaczął opowiadać, że te słowa, które mnie tak zaciekawiają, oznaczają, iż był to zamek starostów polskich. Cała ta ziemia należała do Polski i oni wszyscy tutaj są pochodzenia polskiego... „Ja nazywam się Lipiński” – dodał. Byłem głęboko poruszony, boć mijało już lat 274 z górą, jak Prusacy owdądnęli tym krajem, a tutaj wspomnienia dawnych polskich czasów były tak żywe, jak żywym opowiadanie starca-rybaka, który widać przekazywał mi tradycję rodzinną, jaka z pokolenia na pokolenie przechodziła. Zapomniano już wtedy o Drahimiu. Niemcy przesunęli granice swe jeszcze bardziej na wschód, zamek graniczny starostów polskich, rozpadł się w gruzy, ale pamięć pozostała i stary Lipiński, który nie umiał już po polsku, a na pewno nie przypuszczał, że łodzią swą po falach jeziora, wiozł przedstawiciela dawnej władczyni tych pięknych ziem i wód, zachował głęboko w swej pamięci wspomnienie minionych wieków historii i swego polskiego pochodzenia. Nie wiem, czy Lipiński, bądź jego potomkowie, żyją jeszcze, ale wiem, że tego głębokiego wzruszenia, jakie ogarnęło mną wówczas, gdy z łódki starego rybaka Lipińskiego patrzyłem na czerniejące pośród zieleni przesmyku ruiny zamku starostów polskich i przypomnieniem sobie dziejów dawnej Rzeczypospolitej, nie zapomnę nigdy. Myśl moja pobiegła w odległe czasy, a równocześnie sięgnąłem spojrzeniem w przyszłość. My tu musimy wrócić. Polska musi odzyskać te ziemie, które najpierw przez długie wieki do niej należały, a dzisiaj jeszcze pamięć o niej zachowała się we wspomnieniu ludowym. Kiedy piszę te wspomnienia, nie mogę zaprzeczyć sobie, że wówczas w Drahimiu, miałem jasne spojrzenie w przyszłość. Boć nie minęło lat 15 od tego pięknego letniego popołudnia, a Polska wróciła na te ziemie...

Są takie chwile w życiu, że przed oczyma człowieka uchyła się na moment zasłona przyszłości i ukazuje mu na jedno spojrzenie widok tego, co ma się kiedyś stać, a co nazywa się sprawiedliwością dziejową. Taką chwilę w życiu przeżyłem w Drahimiu na krańcu dawnej Polski w roku Pańskim 1931.

* * *

Gdy po wielu bardzo latach pisze się wspomnienia o rzeczach i ludziach, z którymi człowiek stykał się, tyle spraw przewija się w pamięci, tyle kwestii czasami drobnych, ale jakżeż dla jednostki nieraz istotnych. Podejmowane akcje i inicjatywy, zabiegi i starania. Szeregi nazwisk, wszystko co pamięć zachowała, bo z dokumentów nie zachowało się w mym posiadaniu nic.

Snują się te wspomnienia jak paciorki różańca, nanizane jedne za drugimi, a wszystkie odznaczają się niezmienną cechą: wielką miłością Ojczyzny. Każda pozycja była tutaj cenną, każdy wysiłek ludzki miał swą wartość.

Przypominam sobie, że dowiedziałem się, iż w Nowym Kramsku jest dzielny Polak i doskonały gospodarz Wacław Fabiś. Ma on córkę, którą kształci w Pniewach w znanym zakładzie wychowawczym S.S. Urszulanek Szarych, gdzie kończy ona średnią szkołę gospodarczą. Zakład ten miał pod względem naukowym doskonałą opinię. Nauki stały wysoko i panny, które wychodziły stamtąd z dyplomem maturalnym, miały rzeczywiście coś w ręku i w głowie. Zaciągnąłem informacji, jaką jest opinia kierownictwa zakładu o pannie Marii Fabiś i okazało się, że najlepsza. Na tym osnułem cały plan nowej akcji polskiej na Pograniczu.

Organizacja polityczna miała swój wyraz w Związku Polaków, który zajmował się całokształtem życia mniejszości polskiej w Niemczech. Sprawy szkolnictwa należały do kompetencji Związku Polskich Towarzystw Szkolnych z siedzibą władz centralnych w Berlinie i do Polsko-katolickiego Towarzystwa Szkolnego na rejencję Piła z siedzibą w Złotowie. Istniały jeszcze chóry kościelne, istniały polskie Banki Ludowe, poprzez szkoły polskie istniejące od 1929 r. mieli Polacy możliwość oddziaływania na młodzież w wieku szkoły powszechnej. W każdej wiosce dzięki moim zabiegom istniała bardzo zasobna biblioteka, a teren miał swój własny organ w postaci „Głosu Pogranicza i Kaszub”. Duch polski mógł zatem docierać do różnych odcinków życia i chronić przed, wciskającą się wszystkimi wolnymi miejscami, germanizacją. Ale była dziedzina niesłychanie ważna, mająca ogromny wpływ na przyszłość życia polskiego, leżąca jeszcze odłogiem. Była nią kobieta i jej życie. Młode dziewczęta wchodzące w świat po ukończeniu szkół powszechnych, później młode zameżne kobiety, nawet i starsze, nie miały swej organizacji, w której mogłyby znajdować zaspokojenie swych zainteresowań w zakresie domu i rodziny, a że w przeważającej liczbie był to element wiejski, więc też odpowiednio do tego trzeba było dać mu możliwość zaznajamiania się i dokształcania w tym zakresie. Postanowiłem przeto stworzyć pośród Polaków na Pograniczu kursa gospodarstwa domowego i kierownictwo tej akcji powierzyć jako instruktorkę pannie Marii

Fabiś. Kursy te prowadzone pod wielkim kapeluszem Związku Polaków miały w nim swe formalne pokrycie, a nie mogły budzić ze strony Niemców żadnego sprzeciwu, boć uczenie młodych kobiet gotowania, szycia, różnych tajników codziennego gospodarstwa, było z punktu widzenia społecznego akcją jak najbardziej pożyteczną. Wystarałem się o zgodę czynników odgórnych, co należy sobie przełożyć na język prostszy: po prostu uzyskałem fundusze potrzebne na opłacanie instruktorki – bardzo zresztą skromne. Nawiasem mówiąc, wszystkie akcje podejmowane pośród Polaków w Niemczech były przeprowadzane tak małymi środkami, że dla współczesnych ludzi, bardziej biegłych w przecenie pracy społecznej na brzęczącą monetę, są to rzeczy wręcz niezrozumiałe. Właściwie wszyscy pracowali „za bezcen”, jeśli nie za darmo. Ceną istotną był głęboki patriotyzm i wielka miłość Ojczyzny.

Mając zatem wszystko przygotowane, odczekałem chwili, gdy panna Fabiś zdobyła dyplom maturalny i powróciła pod dach rodzicielski. Wówczas dostała zaproszenie, aby z Nowego Kramaska odbyła podróż do Pily i zgłosiła się u mnie. Przedstawiłem jej całą moją koncepcję, wytłumaczyłem w jakim kierunku i jakimi metodami ma pracować i zaproponowałem objęcie stanowiska instruktorki kursów gospodarstwa domowego na Pograniczu. Z wielką przyjemnością wspominam sobie tę rozmowę, bo mój młody gość okazał się osobą bardzo inteligentną, o szerokim zakresie zainteresowań i dobrze wedle mej, mało zresztą miarodajnej kompetencji, przygotowaną w zakresie fachowym do takiej właśnie akcji. Ale gdy wszystko zostało już omówione i ustalone, wyszło „szydło z worka”. Proszę Pani – mówiłem do panny Fabiś – będzie Pani uczyć młode dziewczęta i młode kobiety różnych pożytecznych rzeczy z zakresu gospodarstwa kobiecego, rzeczy potrzebnych dla pani domu, matki rodziny i towarzyszek męża. Ale w te swoje fachowe nauki, będzie Pani dla urozmaicenia wplatała pogadanki o Polsce, o jej dziejach i wielkiej sławnej przeszłości, o jej życiu współczesnym, będzie Pani opowiadała im o swych wspomnieniach z kraju, Będzie Pani wpajała im tą gorącą miłość Ojczyzny i ziemi ojczystej, tak głęboko, by przyszłe żony i matki nie tylko same przejęły się tym jak najbardziej, ale żeby w ich sercach i duszy tyle się tych uczuć nabierało, by starczyło dla wielu przyszłych pokoleń. I to jest istotne zadanie Pani”.

Panna Fabiś słuchała mych słów z wielką uwagą. Musiały one wywrzeć na niej głębokie wrażenie, bo dalsza jej działalność do chwili aresztowania przez Niemców w 1939 r. na tym właśnie polu, jako organizatorki ówczesnych kół gospodyń wiejskich, była jak najpożyteczniejsza. Wybiła się ona jako jedna z cennych działaczek polskości w Niemczech. Ja po tej jednej rozmowie, nie zetknąłem się już z nią więcej. Przeniesiony do centrali Ministerstwa Spraw Zagranicznych, szereg lat pracowałem w innym zupełnie kierunku. Minęło wiele bardzo lat, gdy po wojnie poczta przyniosła mi list od Wielce Szanownej – już dzisiaj: Pani Mecenasowej Pawłowej Kwoczkowej z Opola, żony wybitnego obrońcy Polaków w Niemczech hitlerowskich, a dziś cenionego adwokata i posła na Sejm PRL. „Ja jestem tą Marią Fabiś – pisała Pani Kwoczkowa – którą pan przed laty skierował na drogę pracy pośród Polaków w Niemczech” Z wielkim wzruszeniem

czytałem list, w którym osoba, z którą raz tylko w życiu się zetknąłem, wyrażała mi swą wdzięczność i szacunek.

Opisałem ten epizod, bo zasłużył on na przejście do pamięci potomnych, jako przykład wysokich wartości moralnych i poczucia obowiązku i patriotyzmu ze strony ludzi dawnego Pogranicza.

* * *

Skupiska polskie na dzisiejszej Ziemi Lubuskiej, odznaczały się zawsze wysokim bardzo poczuciem polskości. Leżały one dawniej w zasięgu promieniowania Poznania z którym komunikację miały łatwą. Była to Wielkopolska, która zawsze wyróżniała się wysokim bardzo uświadomieniem narodowym i umiejętnością obrony swych praw polskich. Stąd też w tragicznej chwili, gdy wytyczano granicę i wioski polskie w powiecie Babinost i Międzyrzecz, odcinano od łona Macierzy, położenie ich mieszkańców było pod pewnymi względami lepsze od skupiska złotowskiego. Nie było tu co prawda żadnej tak zwanej inteligencji cenzusowej, wyrażającej się duchownymi, lekarzami i adwokatami, dyplomowanymi rolnikami lub handlowcami. Ale poziom intelektualny mieszkańców tych wiosek był tak wysoki, że zdolny był przeciwstawiać się skutecznie naporowi niemieckiemu. Nowet po roku 1920, gdy potencjalnie był on silniejszy i gdy Polacy ci mieli przeciwko sobie dosłownie wszystkie czynniki publiczne. A mimo to nie załamali się i przeciwstawili zwarty, solidarny front obrony swej polskości. Jest nieraz rzeczą trudną należycie oddać z jednej strony ówczesnemu obserwatorowi, a z drugiej współczesnemu czytelnikowi zrozumieć, cały klimat i cały nastrój tej ciężkiej atmosfery, w jakiej upływało życie mniejszości polskiej w Niemczech w okresie międzywojennym. Trzeba było dużo hartu ducha, wielkiego przywiązania do ziemi rodzinnej, by oprzeć się zarówno naciskowi niemieckiemu, jak i pokusie pójścia po linii łatwiejszej, to jest nie przeciwstawiania się akcji germanizacji.

Polityka, jaką prowadzili Niemcy na Pograniczu w stosunku do Polaków, była bardzo konsekwentna i stanowcza. Jednak poczucie praworządności, jakie jest zakorzenione w naturze niemieckiej, nie pozwalało na nieprzestrzeganie przepisów prawa w stosunku do Polaków. Można więc było zawsze powołać się na przepis prawny. Do czasów hitlerizmu, gdy przemoc i nie liczenie się z niczym, wzięto górę, mógł jeszcze Polak oddychać i wegetować, jeśli był w stanie tak zorganizować sobie życie, że posiadał jaką taką niezawisłość od Niemców. Jeśli jednak było odwrotnie, sprawa była stracona. Rolnik polski, gdy nie zapłacił podatku, wiedział co go czeka. Żadnej ulgi ani pobłażania nie było. Stąd gospodarka musiała być bardzo rozsądna i przemyślana, aby nie znaleźć się w sytuacji bez wyjścia. Podobnie było z wolnymi zawodami: lekarz czy adwokat polski, rzemieślnik czy kupiec nie mogli się utrzymać, jeśli nie mieli pewności, że klientela polska zapewni im możliwość zarobkowania. Żaden Niemiec nie poszedłby do Polaka, a gdyby to uczynił zostałby zbojkotowany i poniósł daleko idące skutki. W tym stanie rzeczy na Pograniczu najlepiej jeszcze mogli się utrzymać rolnicy, którzy mając własne gospodarstwa, byli w możliwości utrzymać się samodzielnie. Pomniejsze, wolne zawody rzemieślnicze

gorzej, chyba, że liczyli na Polaków. Podobnie kupcy i karczmarze. Wyższe wolne zawody, jak lekarze, adwokaci nie mieli dostatecznego zaplecza. Za moich czasów nie było też ani jednego tego typu pracownika na całym Pograniczu. Ludność polska doskonale zdawała sobie z tego sprawę i wykazując wielką solidarność i popieranie się tam, gdzie to tylko było możliwe – wytwarzała typ społeczeństwa pracowitego, solidnego, budzącego indywidualnie i jako zbiorowość zaufanie. Nie przypominam sobie, aby przez lata mego urzędowania w Pile zdarzył się nawet jeden wypadek, w którym Polak zasiadłby na ławie oskarżonych z tytułu przestępstwa kryminalnego lub też, by doszły do mych uszu wypadki zwane dzisiaj popularnie chuligaństwem, pijanstwem czy złym prowadzeniem się. Rodziny polskie, bardzo liczne, tworzyły budujące ogniska jedności rodzinnej i wysokiego szacunku dzieci dla rodziców. Panował nastrój wielkiej solidarności, rygoru oraz patriarchalności. Nic dziwnego, że środowisko polskie zdrowe fizycznie i moralnie, było w stanie oprzeć się naporowi germanizacji i doczekać się chwili wyzwolenia. Środowisko polskie nie byłoby wytrzymało tej nierównej wszak walki z germanizatorami, gdyby nie przedstawiało właśnie takich zalet charakteru, umysłu i serca.

Z wielką zawsze przyjemnością wspominam czasy i ludzi Pogranicza, gdyż stosunki z nimi były dla mnie niesłychanie krzepiące na duchu. Ja dawałem im ducha jako przedstawiciel rządu ich Ojczyzny, do której z serca i pochodzenia należeli, w zamian zaś od nich brałem tę nieugiętość charakteru i to głębokie przeświadczenie, że dobra sprawa zawsze musi zwyciężyć.

Ale nie można też zaprzeczyć, że planowa i systematyczna akcja niemiecka, obliczona na kruszenie murów obronnych polskich, była niebezpieczną. Przede wszystkim dlatego, że dążyła do stwarzania sytuacji zwanych „bez wyjścia”. Atakowany musiał albo poddać się albo zginąć. Dlatego też wyrazić należy ogromną radość, że dość wcześnie jeszcze w stosunku do możliwości wybiła godzina dziejowa i wszystkie te Pogranicza i dalej hen po Odrę ziemie, powróciły do Polski. Ocaliliśmy bardzo dużo wartościowego kapitału w ludziach.

* * *

Kiedy po latach wielu kreślę te wspomnienia, a czynię to tak, jak obrazy i sprawy napływają mi w pamięci, widzę w przebiegu wydarzeń historycznych, nieraz dla nas bardzo ciężkich i krwawo okupionych, przedziwne sprawdzanie się pewnych, niezmiennych prawd w życiu jednostki i narodu. Więc najpierw, głębokie przeświadczenie, że tylko prawda i uczciwość mogą zwyciężyć. Potem ta wielka siła duchowa, jaką daje zgodna postawa narodu, wiedzącego czego chce i do czego dąży. Po trzecie wreszcie – wielka niejako mistyczna wiara, że ziemie dawnej Rzeczypospolitej tak niesprawiedliwie nam przez Niemców zabrane i na siłę niemczone, muszą jednak powrócić do Macierzy.

Pamiętam, było to w roku 1903: jako małego chłopca zawieziono mnie do Kołobrzegu, który zwał się wtenczas Kolberg. Pokazywano mi wówczas mury starej świątyni, pokazywano wody Bałtyku i fort przy porcie i mówiono

mi, że wszystko to przed wiekami było polskie. Słuchałem tego z wielkim przejęciem, choć jako zbyt młody nie obejmowałem całokształtu wydarzeń dziejowych na przestrzeni wieków, ale zawsze mówiono mi, że Polska powstanie i wówczas ten piękny kraj, jakim z Krakowa przez Wrocław i Poznań oraz Piłę jechaliśmy do Kołobrzegu, wróci do Polski i to morze, którym się tak zachwycaliśmy, będą znowu polskie. To wszystko stało się za mojego życia. Widziałem te ziemie pod jarzmem niemieckim, potem w tej samej Pile, przez którą jechałem, byłem w ćwierćwieku później Konsulem RP, a dziś doczekałem się po wielu dziesiątkach lat tych szczęśliwych czasów, że Niemcy opuścili te ziemie i odeszli tak, jak odchodzi noc, wichur, ulewa i zły duch.

* * *

Oceniając z perspektywy czasu położenie ludności polskiej na dawnym Pograniczu, nie można pominąć milczeniem jednego ważnego momentu. W latach 1919–1920 pośród Polaków w Niemczech (i na Pograniczu) był żywy pęd do powracania do kraju i zajmowania placówek opuszczonych tam przez Niemców. Był to objaw zdrowy, jeśli idzie o Polaków przebywających w głębi Niemiec, którzy musieli emigrować z Wielkopolski i Pomorza, nie mogąc znaleźć pracy. Natomiast w odniesieniu do Polaków na Pograniczu, ta tendencja była bardzo groźna, gdyż równoła się dobrowolnemu opuszczaniu wiekowych pozycji. Jest w pewnej mierze zrozumiałym, że perspektywa przebywania w rodzinnym, wolnym kraju była pożądaną. Ale ponad te względy, natury raczej subiektywnej, wysuwał się fakt, że nieprzemyślana i pośpieszna akcja przenoszenia się do Polski, przyczyniła się w znacznej mierze do utrudniania położenia tych Polaków, którzy pozostali na ziemi swych przodków. Wyrażało się to brakiem inteligencji, brakiem dostatecznej liczby działaczy polskich i powodowało, że trzeba było nowo tworzące się organizacje polskie, opierać na świeżych zupełnie podstawach. Jest wielką zasługą Prezesa Związku Polaków w Niemczech oraz V-tej dzielnicy tegoż Związku, ks. dr Bolesława Domańskiego, proboszcza z Zakrzewia, że rzucił hasło nie opuszczania ziemi na Pograniczu i pozostania. Dzięki temu, utrzymaliśmy w większości nasz stan posiadania po wioskach polskich i tu podkreślić trzeba, niezmiernie przywiązanie do swych zagród Polaków - rolników, którzy nie ulegli pokusie zamiany swych gospodarstw i przeniesienia się do Polski, ale mimo bardzo nieraz trudnych warunków utrzymali się na posterunku i ziemi polskiej nie oddali w ręce niemieckie. W świetle tego, co się działo w okresie międzywojennym, trwanie Polaków na obszarach polskich pogranicznych, pozostałych przy Niemcach, niezmiernie wzmogło nasz potencjał polityczny, gdy w 1945 r. przyszła sprawa wytyczenia nowych granic. Fakt, że żywioł polski na tych ziemiach istniał, rozwijał się i wykazywał swój dynamizm, mimo trudnych warunków bytowania, był najlepszym dowodem polskości tych terytoriów. Wskazywało to nadto na fakt, że i inne obszary po Odrę były przez Niemców sztucznie i na siłę niemczone. Siła zaś i przemoc nigdy nie stanowią słusznego prawa. Dlatego też w układzie stosunków polityki międzynarodowej, który spowodował zwrot tych ziem Polsce, ci Polacy – miejscowi, którzy przetrwali i nie ulegli, godni są najwyższej pochwały.

F r a g m e n t y p a m i ę t n i k a

Na Ziemi Babimojskiej i Międzyrzeckiej 30 lat temu, w 1929 r., powstały szkoły polskie. Dla mniejszości polskiej w Niemczech był to rok pamiętny. Tragedia września 1939 r. była dotkliwa nie tylko dla Polaków w kraju, ale kilkakrotnie okrutniejsza dla mieszkańców tzw. Pogranicza.

Rok 1939 przekreślił egzystencję szkół polskich i przyniósł wiele cierpień ludności, która swoje dzieci do nich posyłała.

W 30 rocznicę powstania szkolnictwa polskiego w Niemczech postanowiłem spisać niektóre swoje przeżycia z okresu mej pracy w szkole polskiej w Podmoklach Wielkich w latach 1929.

o O o

Parę słów o Babimostcie i okolicy. Jest to miłe i schludne miasteczko, liczące coś ponad 3000 mieszkańców (przed 1939 r.). Miasto stare rozwijało się pomyślnie, aż urosło do miary miasta powiatowego. W czasie wojen szwedzkich w XVII w. zostało zniszczone i po tej pożodze wojennej aż do chwili obecnej nie odzyskało już dawnej świetności. Po drugim rozbiórze Polski w r. 1793, w którym miasto i powiat przypadły Prusom – Niemcy pozostawili tu siedzibę powiatu i przechrzcili nazwę na Bomst. Mimo, że w XIX w. miasto Wolsztyn przerosło Babimost i władze powiatowe doń się przeniosły, nazwa powiatu nie uległa zmianie. Po zakończeniu I wojny światowej resztówkę powiatu, która została pod zaborem, nadal nazywano powiatem babimojskim, choć Landratsamt znajdował się w Sulechowie.

Do dziś dochowały się dwa katolickie kościoły – 3-nawowa fara pod wezwaniem św. Wawrzyńca i mały kościółek pod wezwaniem św. Jacka. Kult tego świętego był bardzo żywy, a uczestnicząc w odpustach, miałem możliwość słyszeć, jak nawet księża niemieccy podkreślali polskość św. Jacka.

Poza miastem, nad szosą do Kargowej, istniały aż do I wojny światowej liczne winnice. Od starszych ludzi słyszałem pochwały babimojskiego wina; chwalili je także Niemcy (Bomster Wein). Skoro mowa o winnej lato-rośli – to muszę podkreślić, że Chwalim, wioska położona 4 km za Kargową uprawiała ją najdłużej z całej okolicy. Znałem wielu ludzi, którzy to wino pili.

Kiedyś z dwoma kolegami pojechaliśmy motocyklami do Chwalimia. Miejscowa ludność – to przeważnie luteranie i protestanci, ale mówiący również po polsku. Po nawiązaniu rozmowy poprosiliśmy o butelkę Chwalimer Wein. Odpowiedzieli: „Niestety, moi panowie, wina chwalimskiego już nie ma; około 1925 r. zaniechaliśmy tej uprawy”.

Przed odjazdem z Chwalimia prowokowaliśmy naszych rozmówców do wypowiedzi w języku polskim. Młodzi spoglądali na nas podejrziwym okiem, starsi tłumaczyli się, że nie mówią po polsku dobrze. Kilku tylko wypowiadało się po polsku – a ich polszczyzna podobna była do mowy serbo-łużyckan.

* * *

Kiedy na początku 1929 r. ukazał się komunikat o angażowaniu nauczycieli do mniejszościowych szkół polskich w Niemczech, skorzystałem z tego natychmiast. Warunkiem przyjęcia były: pełne kwalifikacje i znajomość języka niemieckiego w mowie i w piśmie. Po porozumieniu się z inspektorem szkolnym we Wrześni, gdyż pracowałem wówczas jako nauczyciel w Młodziejowicach, powiat Września, Julianem Staszewskim i po uzyskaniu jego zgody, złożyłem podanie na ręce pła Jana Baczewskiego, ówczesnego prezesa Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Berlinie. W odpowiedzi otrzymałem nominację na nauczyciela w Wielkich Podmoklach, powiatu babimojskiego.

Był czerwiec. Wyjazd za granicę wymagał załatwienia różnych kłopotliwych formalności. Inspektor szkolny zgodził się, że rok szkolny zakończy o jeden dzień wcześniej, tj. 20 czerwca. W Starostwie we Wrześni bez trudu uzyskałem paszport zagraniczny. W Kuratorium Okręgu Szkolnego Poznańskiego wszelkich informacji udzielał mi asesor Jasiek. Kiedy szło jednak o uzyskanie wizy wjazdowej do Niemiec, trzeba było w konsulacie niemieckim w Poznaniu czekać całymi dniami. Niemcy nieufnym wzrokiem mierzyli mnie od stóp do głowy. Po tygodniowych staraniach wizę wreszcie otrzymałem.

Po pożegnaniu się z działką w Młodziejowicach wyruszyłem przez Poznań do Chodzieży. Przyjechałem tu o 23.00 i zanocowałem u kuzyna, również nauczyciela. Nazajutrz wyruszyłem w dość uciążliwą podróż rowerem z Chodzieży przez Ujście do granicy (26 km). Do ujścia przyjechałem wcz-

śnie rano. Tutaj spotkała mnie przykra przygoda. Rower, który pożyzyłem od kuzyna, miałem pozostawić u jego znajomych. Tymczasem zastałem zamkniętą furtkę, a po podwórzu biegał i ujadał wściekle wilczur wielkości bernardyna. Tabliczka ostrzegawcza: „Ostry pies” – zmuszała mnie do cierpliwego czekania, aż właściciele domu się zbudzą. Tymczasem pociąg, którym chciałem dalej jechać, już odszedł.

Wreszcie oddałem rower, załatwiłem formalności w odprawie celnej i w biurze kontroli paszportów. Polscy urzędnicy celni ściskali mi dłoń z życzeniami powodzenia. Od nich dowiedziałem się, że następny pociąg wyruszy dopiero o 16.00.

Przekroczyłem granicę państwową na środku Noteci. Na przeciwnym brzegu napis: „Zur Passkontrolle und Zollabfertigung”. Niemcy byli początkowo grzeczni i uprzejmi, ale kiedy dowiedzieli się, że jadę do Gross Posemukel jako polski nauczyciel – krew ich załała. Chyba jeszcze takiego wypadku owi urzędnicy nie mieli, że przez ich biuro przekraczał Polak – polski nauczyciel, urodzony w Rzeszy Niemieckiej (w pow. Międzyrzecz) – aby uczyć w powstającej w Niemczech szkole polskiej.

Po załatwieniu wszystkich formalności – mając w tece zapas żywności, ruszyłem pieszo do rodzimego grodu Stanisława Staszica – Piły, gdzie odszukałem siedzibę konsulatu polskiego. Konsul, dr Szwarcenberg-Czerny przyjął mnie z największą uprzejmością i udzielił mi wyczerpujących rad, wskazówek i informacji. W międzyczasie urzędnicy zamienili mi zwykły paszport na paszport konsularny, upoważniający do przekraczania granicy w każdym punkcie.

Mimo dwugodzinnej jazdy rowerem z Chodzieży do Ujścia i czterogodzinnej marszu z Ujścia do Piły nie odczuwałem zmęczenia, bo wizyta w placówce Państwa Polskiego, u konsula Szwarcenberg-Czernego pokrzepiła mnie na duchu. Teraz pociągiem ruszyłem do Złotowa, bo tam znajdowało się biuro Polskiego Towarzystwa Szkolnego dla dzielnic V, którego kierownikiem był Jan Rożyński. Po załatwieniu formalności pojechałem wpierw przez Krzyż – Gorzów – Międzyrzecz do Zielomyśla, do mego ojca i siostr, którzy tam zamieszkiwali.

Nazajutrz kontynuowałem podróż do Podmokli Wielkich, w czasie której przedstawiłem się w Dąbrówce Wielkopolskiej Augustynowi Wagnerowi, który już parę miesięcy przebywał na tym terenie i był faktycznym organizatorem szkół na Babimojszczyźnie. Sprawa otwarcia szkół w Podmoklach i objęcia przeze mnie posady wymagała szczegółowego omówienia. Aby nie popełnić żadnego błędu, trzeba było dłuższej rozmowy, przeto musiałem zanocować w Wielkiej Dąbrówce. Przyjął mnie bardzo gościnnie twardy jak granit Polak, u którego później znajdowała się jedna z izb lekcyjnych szkoły polskiej – Wiktor Błoch.

Ostatnim etapem tej podróży była podróż z Dąbrówki poprzez Zbąszynek i Kosieczyn do Wielkich Podmokli.

Tutaj przedstawiłem się zarządowi Rady Szkolnej, w skład którego wchodził: Stanisław Trocholepszý – przewodniczący, Franciszek Taberski



Stanisław Knak

– sekretarz i Franciszek Weimann – skarbnik. Dzisiaj, po trzydziestu latach, wyrażam im serdeczne podziękowanie i hołd, że w ciągu siedmioletniej pracy w Podmoklach zawsze zgodnie ze mną współpracowali. Stanowiliśmy osobliwie zgodny kolektyw, nie było między nami różnic w poglądach na sprawy szkoły. Cel naszej pracy stanowiła obrona przed germanizacją; a przede mną stało dodatkowe zadanie: – postawienie szkoły polskiej wyżej od skarłowaciałej szkoły niemieckiej, w której uczył renegat Wusowski (prawdopodobnie prawdziwe jego nazwisko brzmiało Wąsowski – a zniekształcił je dla przypodobania się Niemcom).

Z tej Rady Szkolnej żyje jeszcze tylko Franciszek Taberski. Wszyscy trzej przeszli gehennę obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen i nic dziwnego, że nadwyrężywszy zdrowie, nie żyli już długo. Franciszek Weimann zmarł zresztą na skutek przykrego i wstrząsającego wypadku, jaki miał miejsce na zjeździe ludności rodzimej w Warszawie w 1946 r.

* * *

Nazwa wsi Podmokle pochodziła stąd, że leżąc nad jednym z dopływów Obry, miało grunty bagniste – podmokłe. W części zwanej Wielkimi Podmokłami, mniejszej niż Małe Podmokle, mieszkali rolnicy posiadający większe gospodarstwa. Nazwa pochodzi zapewne jednak stąd, że prawdopodobnie były tu kiedyś większe błota, bo tu właśnie przepływa rzeczka. Obie wsie stanowiły jedną całość kulturalną, a mieszkańcy jakby jedną rodzinę. Gdy przybyłem do Podmokli, skonstatowałem, że wioska stoi na wysokim poziomie kulturalnym. Czystość i schludność ulicy i obejść, wygląd dzieci i ludzi, drogi, uprawa pól, sady, zabudowania – wyróżniały tę miejscowość i stawiały ją w rzędzie najpiękniejszych wiosek, jakie spotkałem w życiu. Najwięcej ucieszyła mnie jednak patriotyczna postawa ludności.

Zabrałem się do pracy, aby jak najprędzej otworzyć szkołę i rozpocząć naukę. W chwili przybycia miałem do dyspozycji jedynie działkę; szkoła polska nie miała jeszcze ani własnej izby, ani ławki, ani żadnej pomocy naukowej. Porozumiałem się z władzą szkolną, niemieckim inspektorem szkolnym i z nim wspólnie ustaliłem, że w dniu 25 czerwca rozpocznie po południu naukę w miejscowej szkole niemieckiej. Rozpoczęcie nauki miało się odbyć bez zapraszania rodziców i gości.

Nadszedł upragniony dzień. W kilka minut po godz. 14.00 przyjechał Schulrat Loge, obejrzał dzieci, policzył je i przemówił do nich parę sympatycznych słów. Mnie życzył powodzenia w pracy i jak najlepszych wyników. Loge odjechał, a ja rozpocząłem naukę.

Trzeba podkreślić, że inspektor Hugo Loge odnosił się bardzo lojalnie i dodatnio do akcji otwierania szkół polskich. Kiedy nasz prezes Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Berlinie – poseł Baczewski odwiedzał teren Babimojszczyzny, wypadało wstąpić do kompetentnego Schulrata. Poseł Baczewski pojechał przeto do Kargowej, a po załatwieniu wszystkich spraw, związanych ze szkolnictwem polskim, zaprosił Loge'go na

szklanę wina. Przy kieliszku rozmowa toczyła się w dalszym ciągu wokół otwarcia szkół polskich. Kiedy obaj panowie do reszty omówili sprawę i mieli się rozejść – podnosi Schulrat Loge szklanicę i mówi: „Also Herr Baczewski, auf das Wohl der polnischen Minderheitsschulen” (A więc, panie Baczewski, na pomyślność polskich szkół mniejszościowych).

Jaki był dalszy los Schulrata Loge’go?

Po niedługim czasie nagle i niespodziewanie, jak bomba z jasnego nieba, spada na niego cios: Oberpräsident v. Bülow w Pile odwołał Schulrata Loge ze stanowiska inspektora i przesiedlił go do Kluczborka (1.4.31 r.). Mało tego. Choć Schulrat Loge cieszył się pierwszorzędną opinią dobrego pedagoga i administratora – gdy 30 stycznia 1933 r. doszedł do władzy Adolf Hitler – podczas tzw. „Gleichschaltung” – pozbawiono go całkowicie nawet urzędu nauczyciela. Czy dziś jeszcze żyje?

Przypuszczać należy, że może nawet nie dożył roku 1939, tylko padł ofiarą hitlerowców.

* * *

Wróćmy do naszej szkoły polskiej. Nauka mogła się odbywać tylko w godzinach popołudniowych w lokalu szkoły niemieckiej. W godzinach przedpołudniowych uczył tam dzieci renegat Wusowski. Po kilku dniach nauka toczyła się już normalnym trybem. Dzieci zaopatrzyłem w podręczniki, zeszyty musiałem częściowo sprowadzić z Polski, ze Zbąszynia – gdyż dzieci dotychczas znały tylko liniaturę niemiecką, tzw. Sitterlin’a (Sitterlinhefte). Do pisma polskiego trzeba było używać liniatury 1:2, 5:4. Trudno było w owych początkowych tygodniach podolać związanej z pracami organizacyjnymi bieganinie. Odczuwałem brak środka lokomocji. Postanowiłem kupić sobie motocykl. Gospodarz, u którego mieszkalem, Stanisław Piątyśzek, wybrał się ze mną do miasta i motor nabyłem. Wkrótce nasza władza centralna w Berlinie nadesłała nam niezbędne mapy i pomoce naukowe. Trzeba podkreślić, że Związek Polskich Towarzystw Szkolnych działał w błyskawicznym tempie. Zapotrzebowania i zamówienia wysyłałamy ekspresami i telegramami i szybko je realizowano.

W krótkim czasie własną izbę szkolną urządziliśmy u Franciszka Taberskiego, męża zaufania i sekretarza Rady Szkolnej. Lokal przygotowany w przeciągu kilku dni, więcej czasu trzeba było na urządzenie boiska, wykonanie ławek i zbudowanie ustępów szkolnych. Zjeżdżały komisje i komisjki z Bauamtu (Urząd Budowlany) utrudniając budowę. Ale daliśmy sobie z nimi radę i już 1.8.1929 r. rozpoczęliśmy naukę we własnym lokalu.

Na uroczystość tę przybyli rodzice i dzieci. Po raz pierwszy dzieci deklamowały i śpiewały pieśni w ojczystym języku. Rozrzewniło to obecnych i po licach wielu rodaków spływały łzy. Na moje przemówienie zakończone apelem – aby zagonu ojczystego strzec jak żrenicy w głowie, by największej wartości, którą są nasze dzieci, nie dać zgermanizować – odpowiedział prezes miejscowego Koła Związku Polaków a zarazem skarbnik Rady Szkolnej – Franciszek Weimann. Na uroczystość przybyli też moi ko-

ledzy z Małych Podmokli, a także ks. Karol Meissner z Babimostu. Zaproszono go na polecenie Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Berlinie. Przyjechał on mimo pogroźek Niemców – szowinistów, choć był Niemcem. Urodził się on w Święciechowie koło Leszna Wielkopolskiego, uczył się i święcenia odebrał w seminarium w Poznaniu i Gnieźnie. Władał językiem polskim w mowie i piśmie. W stosunku do polskich nauczycieli był zawsze uprzejmy i sprawiedliwy.

W latach 1900–1912 był proboszczem w Międzychodzie, gdzie miał wielu parafian Polaków. Pozostawił po sobie wśród nich dobrą pamięć.

* * *

Szkoła nasza rozwijała się jak najlepiej. Dzieci uczyły się dobrze. Oczywiście nawet najstarsze roczniki w wieku 13 i 14 lat musiały rozpocząć naukę języka polskiego od elementarza.

Kiedy stanąłem do tej zaszczytnej pracy nauczycielskiej w szkolnictwie polskim za granicą, miałem 26 lat, a za sobą sześcioletnią pracę nauczycielską. Mimo, że z seminarium nauczycielskiego w Lesznie Wlkp., które ukończyłem w 1923 r. wyniosłem jak najlepsze wiadomości metodyczne – okazało się, że rady i wskazówki, jakie dawał nam lubiany przez uczniów wychowawca i dyrektor seminarium Jan Wowczak, wiele w pracy mi pomogły. Przecież nikomu nie przyszło do głowy, że kiedyś będzie pracował w szkolnictwie w Niemczech. Tu trzeba było samemu znaleźć najwłaściwszą metodę. Przecież tych kilka szkół polskich na Babimojszczyźnie to tylko wysepka otoczona morzem Niemców, którzy pragnęli bankructwa polskiej szkoły, którzy wszelkimi sposobami utrudniali pracę nauczycielowi. Warunki pracy pogorszyły się, kiedy odwołano Schulrata Loge'go, a na jego miejsce Oberpräsident von Bülow – zamianował osławionego Strukata. Pochodził on z Märkisch Friedland. Mówiono o nim, że to renegat, ale czegoś dokładniejszego o jego pochodzeniu nie mogłem się dowiedzieć.

Schulrat Strukat przyjeżdżał do szkoły bardzo często. Wprawdzie jego wizytacje nie były zbyt długie, ale w widoczny sposób usiłował on przychwycić na czymś nauczyciela polskiego, by później z zadowoleniem i dumą donieść o tym do Oberpolizeipräsidium w Pile. W polskim nauczycielu i polskim dziecku widział on zawsze wroga. Wobec takiego stanu rzeczy, trzeba było mieć głowę na karku i z zimną krwią realizować swój plan.

Według instrukcji ze Związku Polskich Towarzystw Szkolnych należało przy ewentualnych zapytaniach ze strony władz niemieckich oświadczyć, że „unsere Aufgabe ist die Kinder der polnischen Minderheitsschulen zu lojalnen Staatsbürger zu erziehen” („naszym zadaniem jest dzieci polskich szkół wychować na lojalnych obywateli państwa”).

Schulrat Strukat rzucał czasem dzieciom pozornie banalne, ale podchwytliwe pytania. Moje kochane dzieci, nawet te najmłodsze, umiały dać pierwszorzędne odpowiedzi. Padaly nieraz takie pytania:

„Was sei ihr denn Kinder eigentlich?” (Kim wy właściwie jesteście, dzieci?).

Dzieci odpowiadały: „Wir sind Polen” (Jesteśmy Polakami).

„Wozu erzieht euch eurer Lehrer?” (Jak wychowuje was wasz nauczyciel?)

„Zu lojalen Staatsbürger”. (Na lojalnych obywateli).

Niemcy marzyli o tym, aby dzieci przez swe wypowiedzi skompromitowały i zdradziły nauczyciela. Skutek był taki, że swymi bzdurnymi pytaniami ośmieszali się oni w oczach nauczyciela, a nawet starszej dziatwy. Gdyby udało się nauczyciela skompromitować – wydano by go z granic państwa jako „Lästiger Ausländer” (uciążliwy cudzoziemiec).

Za dobrze znałem duszę Prusaków, ukończyłem preparandę w Międzyrzeczu (Königl.-Preussische Präparanden Anstalt), by się dać złapać. Dzięki temu mogłem wytrwać w Wielkich Podmoklach 7 lat.

. . .

Krótko omówię organizację szkolnictwa. Szkoła w Podmoklach była szkołą pięciooddziałową. Obowiązek nauki trwał 8 lat. Szkoły takie nazywano jednoklasówkami. Od rana do godziny 10 uczęszczały przeważnie dzieci z tzw. Oberstufe, czyli I i II oddziału, od 10 do 12 trwała nauka dla Mittelstufe oddziału III, a od 11 – 13 Grundstufe, czyli oddziałów IV i V stopnie podstawowe. W Niemczech jeszcze do dziś oddział I jest oddziałem najwyższym w przeciwieństwie do nas, gdzie szkoła zaczyna się od klasy I.

Klasy V i IV były klasami jednorocznymi, a klasy III, II i I dwuletnimi. W godzinach od 10–12 miałem przeważnie w jednej izbie szkolnej dzieci z wszystkich pięciu oddziałów, 8 roczników dzieci. Stwarzało to doskonałą sposobność do nauki śpiewu, wychowania fizycznego i rysunku.

Dzieci, które uczyły się pierwszy i drugi rok, obowiązywał tylko język polski. Nauka języka niemieckiego rozpoczynała się dopiero w trzecim roku nauki. Językiem wykładowym był oczywiście język polski. Nauka języka polskiego była najważniejszym przedmiotem, ale na naukę języka niemieckiego musieliśmy kłaść wielki nacisk. Chodziło o to, aby absolwent polskiej szkoły władał swobodnie i płynnie językiem niemieckim. Gdybyśmy wypuszczali ze szkoły uczniów z gorszą znajomością języka niemieckiego, godzilibyśmy w powodzenie i egzystencję szkół polskich. Wnet poznaliby się na tym rodzice, a uczniowie dotkliwie odczuliby braki w zakresie języka niemieckiego w codziennym życiu. Jako obywatele niemieccy zmuszeni byli przecież, czy to w urzędach, czy w sklepach, posługiwać się językiem niemieckim. Nawet mniej zdolne dzieci musiały opanować biegle język niemiecki. Aby ten cel osiągnąć, nauczyciel musiał pracować rzetelnie i z wielkim umiłowaniem. Była to praca nader trudna. A czy łatwa była ona dla wychowanków? Oj, nie! Musiało się ją wykonywać wyłącznie w urzędowych godzinach nauki. Nie praktykowano żadnych zajęć pozalekcyjnych, nie prowadzono kółek zainteresowań. Instrukcja podkreślała ponadto, żeby dzieci nie obarczać zbytnio pracą domową.

Oprócz normalnej pracy w szkole trzeba było zająć się młodzieżą pozaszkolną. Z końcem października kończyły się prace na roli związane z zasiewami ozimin i wykopkami ziemniaków. W życiu rolników następowało odprężenie, można było cokolwiek odsapnąć. Wieczory stawały się coraz dłuższe, rozpoczynaliśmy pracę kulturalno-oświatową ze starszą młodzieżą. Ponieważ mieszkańcy obu Podmokli tworzyli jedną rodzinę powstało jedno Koło Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. Zbieraliśmy się raz w jednej, raz w drugiej wiosce w szkole, a pracę podzieliliśmy następująco: Kolega Stanisław Żórawski wygłaszał referaty, kolega Józef Groth (zginął w czasie wojny w obozie koncentracyjnym) zajmował się śpiewem i muzyką, a mnie przypadła organizacja i kierownictwo zespołu amatorskiego. Księgarnie w Poznaniu, Związek Teatrów Ludowych w Poznaniu i Krakowie, wypożyczalnia filmów i kliszy do epidiaskopu w Warszawie sprawnie i szybko załatwiała nasze prośby.

Praca z młodzieżą podmoklańską układała się nadzwyczaj pomyślnie. Kiedy sięgam myślami w tamte czasy, jeszcze dziś podziwiam, jaka to była młodzież. Zbieranie się na próby było kwestią najwyżej 10 minut, przepisywanie ról teatralnych – jakby z bicia trzaś!; jeden odpisywał za drugim. Jeżeli „Janek” powiedział „Tomkowi” – „przyjdź jutro o godz. 15, już do tego czasu rolę odpiszę” – to nie zawiódł „Tomka”, a Tomek Benigny, czy też Helci. Wszystko szło jak na taśmie. Na słowie tych młodych można było polegać jak na Zawiszy. Jeśli ojciec wiedział, że syn będzie występował, to wyręczał go często w jego pracy, aby mógł w porę odpisać swoją rolę, czy iść na próbę.

– Ja za ciebie konie odpasę!

– Ja za ciebie dziś krowy wydoję! – jeno pisz, byś na czas skończyła.

Taka atmosfera panowała w okresie mej bytności wśród naszego pracowitego ludu w Podmoklach.

Jaka była frekwencja na zebraniach?

Prawie zawsze stu procentowa. Nawet choroba nie stanowiła nieraz przeszkody.

Od zimy 1930–31 mieliśmy osobny lokal, prawdziwą świetlicę w domu Stanisława Brychcego, członka Rady Szkolnej w Małych Podmoklach. On to pierwszy oddał swe mieszkanie dla nauczycieli szkoły polskiej – Br. Wojnarowskiego i Edmunda Styp-Rekowskiego. Jeszcze na kilka lat przed otwarciem szkół polskich niemiecki Sąd Okręgowy w Kwidzynie skazał go na 3 miesiące więzienia za sprawę polską. Najmłodszy jego syn Witold zginął bohaterską śmiercią w czerwcu 1944, w czasie lądowania wojsk alianckich we Francji. Był lotnikiem polskim w Anglii.

Kto pomagał polskiemu nauczycielowi w trudnej pracy z młodzieżą pozaszkolną? Można rzec, że wszyscy zacni rodzice, członkowie Zarządu Koła Młodzieży i Towarzystwa Robotników. Co roku dawaliśmy dwa większe przedstawienia amatorskie: jedno z ramienia Koła Młodzieży Polskiej, drugie Towarzystwa Robotników Polskich w Małych Podmoklach Jan Szymański pracował ciężko jako murarz, ale wieczory i resztę swych sił poświęcał pracy kulturalnej w obu towarzystwach. Jego częsta obecność na



Dzieci ze szkoły w Podmoklach Wielkich z kierownikiem Stanisławem Knakiem (31.8. 1929 r.)



Stanisław Knak przemawia na obchodzie 30-lecia Szkolnictwa Polskiego w Niemczech
– dnia 14. 6. 1959 r. – w Nowym Kramsku

próbach i w świetlicy działała mobilizująco na młodzież. Kto wie, czy niezmordowana pomoc Sylwestra Groszka, człowieka z oryginalnym sumias-tym wąsem, nie przyczyniła się do powodzenia naszych imprez? Był synem wielkiego wiarusa, który dwóch innych synów ofiarował Polsce w roku 1919 w czasie powstania o wolność Ziemi Babimojskiej i Zbąskiej. Ileż to on najeździł się i nachodził, aby pozatławić sprawy związane z przedstawieniami.

Ze Złotowa przyjeżdżał do nas z radą i pomocą Henryk Jaroszyk, instruktor kulturalno-oświatowy wszystkich organizacji młodzieżowych w Dzielnicy V, a do Przysposobienia Rolniczego młodzieży – Antoni Dorsz, który sumiennie traktował swój obowiązek. Opiekowałem się wówczas Przysposobieniem Rolniczym w Wielkich Podmoklach. Wyniki naszych konkursów na poletkach doświadczalnych były wprost niebywałe. I tak na przykład Władysław Wołek sprzątnął pewnego roku ze swego 100 m² liczącego poletka 96 kg kukurydzy, co dałoby plon z 1 ha 96 q. Feliks Trocholepsz y zbierał ze swego poletka buraki pastewne (Eckendorfa) wagi po 19 kg sztuka. Rekord światowy upraw w Meklemburgii wynosił 21 kg. Rolnicy w Podmoklach zdawali sobie jasno sprawę, że do grobowej deski trzeba się uczyć. Sprowadzałem więc do świetlicy książki i fachowe czasopisma rolnicze, wymowniejsi gospodarze z Kółka Rolniczego wygłaszali referaty. Trwała żywa dyskusja na zebraniach, przyjeżdżali specjaliści, urządzaliśmy wycieczki na Targi Poznańskie, gościliśmy u siebie braci rolniczą z ojczyzny, najczęściej z powiatu wolsztyńskiego i nowotomyskiego. Wyjeżdżaliśmy też do Polski, do Kólek Rolniczych w Wielkopolsce. Byliśmy w którymś roku na Dożynkach w Buku. W każdym zebraniu Kółka Rolniczego uczestniczyłem i na ile mnie było stać pomagałem w jego pracach, służyłem radą i wskazówkami.

Oceniając sytuację w Podmoklach można śmiało powiedzieć że:

1. Poziom nauki i wychowania w naszych szkołach był znacznie wyższy niż w niemieckich,
2. Młodzież polska o niebo przewyższała swych rówieśników Niemców,
3. Rolnicy, jeśli nie przewyższali swymi umiejętnościami gospodarzy niemieckich, to absolutnie im nie ustępowali.

* * *

Jak wyglądał przeciętny dzień pracy nauczyciela?

Mam tu na myśli siebie samego. Nauka w szkole trwała od 8 do 13. Porządkowanie dzienników i pomocy 20 minut. Obiad 13.30–14.00. Nauka wprawdzie tylko pięciogodzinna, ale tak wyczerpywała, że, aby móc zimą pracować wieczorami z młodzieżą 4–5 godzin, trzeba było po obiedzie odpocząć godzinę, chociaż nie byłem ułomkiem, przeciwnie, człowiekiem o silnej konstrukcji fizycznej. Od godz. 16–19 zimą, a w lecie od 16 do wieczora przygotowywałem się na lekcje w dniu następnym, załatwiałem korespondencję urzędową oraz sprawy osobiste. O 19 rozpoczynała się praca w świetlicy. Musiałem jeszcze znaleźć czas na czytanie gazet i słu-

chanie radia. Jeśli chodzi o pracę należało przecież orientować się nie tylko w prasie polskiej, ale i niemieckiej.

Młodzież w Podmoklach była inteligentna. Nauczyciel w tej sytuacji musiał znać na wylot szereg zagadnień, które interesowały młodzież. Podmoklscy chłopcy interesowali się nie tylko Żwirką, Wigurą, Bajanem, Kusocińskim, Kiepurą, Nowowiejskim, Paderewskim, ale podróżą „Daru Pomorza” naokoło świata, laureatami Nobla, rozwojem naszej Gdyni, najciekawszymi filmami świata, ich twórcami i aktorami. Sienkiewicza, Mickiewicza, Morcinka i innych pisarzy młodzież znała doskonale. A ileż to jeszcze innych zagadnień, które żywo obchodziły młodzież z Podmokli musiałbym wymienić? Nie zapomnijmy przy tym, że była to przecież młodzież od pługa, młota, dłuta i kielni.

Choć tak szeroki był wachlarz zainteresowań młodzieży, nie zaniedbywała ona swoich podstawowych prac. Pracujący na roli wcześniej rano wstawali. Wiosną i jesienią konie były przy wozach czy maszynach o godz. 7. W lecie, rano o godz. 6, jak na komendę niemal, otwierały się wrota każdego podwórza i w całej wsi słychać było turkot jadących maszyn, żniwiarek, snopowięzalek i grabiarek. Początkowo zastanawiała mnie ta punktualność. Wstawiałem o 6 i obserwowałem ruch we wsi. W ciągu pięciu minut pustoszały podwórza, wszyscy wyruszali do pracy w pole. We wsi stwierdziłem tylko dwóch „bumelantów”. Wyjeżdżali do pracy dopiero o 6.20–6.30.

Moja gospodyni Maria Wołkowa wyjaśniła mi kiedyś:

„Wie pan, u nas to już zawsze tak było”.

W sobotę po obiedzie, starsze kobiety, dzieci, a nieraz i mężczyźni z miotłami, szufelkami, grabkami i koszykami porządkowali ulicę, drogę we wsi, każdy na szerokości swego podwórza. Podwórza i ulice, jak wieś długa, były na niedzielę tak czyste, że nawet słomki nie znalazłeś. Nawet na codzień gdy z chlewa zrzucono siano dla bydła, uprzątno resztki miotłką. Zawsze było schludnie na podwórzu.

W Dąbrowce, której zwyczaje miałem okazję poznać, było podobnie. Rolnicy wstawali do pracy z paniem koguta, ale za to gdzieś około godz. 18 – 19 wszyscy już wypoczywali, nawet w okresie żniw i najgorętszych prac. Choć słońce o tej porze stało jeszcze wysoko i ktoś sądziłby, że do jego zachodu wiele można jeszcze zrobić – dąbrowieccy gospodarze kończyli już o tej porze robotę i pasenie bydła, by na schyłku dnia umyć, uczesać, w czystej koszuli, w „laczkach”, z cygarem w ustach – odpocząć, na ławce przed domem.

Każdego nauczyciela polskiego w takim środowisku ogarniał zapał do pracy, entuzjazm. Pensja wynosząca 285 mk miesięcznie zapewniała każdemu z kolegów spokojne życie. Nikt z nas nie potrzebował szukać pobocznych dochodów. Owa pensja stanowiła ekwiwalent za pracę w szkole. Nasza praca społeczna i kulturalno-oświatowa wymagały niemniej czasu, energii, trudu, aniżeli praca w szkole, ale nikt z nauczycieli w ogóle nie wpadł na myśl, by żądać za nią specjalnego wynagrodzenia.

Świadomi swego obowiązku nauczyciele dokładnie wiedzieli do czego są powołani. Nic dziwnego, że w krótkim okresie istnienia szkół polskich nazwano ich ambasadorami polskości.

Początkowo prawie wszyscy nauczyciele rekrutowali się z kraju, z Polski. Ani jeden z nich na przestrzeni tych dziesięciu lat nie ugiął się mimo częstych grózb, szykan i doznanych cierpień, ani jeden nie zawiódł i nie zdradził sprawy polskiej. To byli granitowi ludzie.

Po kilkuletnim istnieniu szkolnictwa zatrudniano także nauczycieli kończących niemieckie licea, względnie akademie pedagogiczne. Spośród nich bardzo nikły odsetek porzucił pracę w naszych szkołach i przeszedł do szkolnictwa niemieckiego. Do bardzo sporadycznych wypadków należało, by wśród nauczycieli znaleźli się ludzie mało odważni, rozmawiający w środowiskach czysto niemieckich po niemiecku. Niektórzy niepotrzebnie stosowali Hitlergruss w pierwszych latach panowania Hitlera, kiedy jeszcze nie było w tej sprawie żadnych zarządzeń.

* * *

Scharakteryzowałem działwę i młodzież oraz starszą generację. Chcę jeszcze dla uzupełnienia obrazu pokazać mieszkańców Podmokli przy zabawie. Brałem udział w każdej nieomal zabawie i proszono mnie na każde wesele. Zabawy odbywały się w miejscowych oberżach (u Dachwitza i Rau'a), w okresie chłodnych miesięcy. Zabaw tych nie urządzano tyle, co dziś.

Mimo, że w Wielkich Podmoklach „gościnnym” był Niemiec Rau, obsługa odbywała się w języku polskim. Córka oberżysty Elza mówiła płynnie po polsku i z przyjemnością tańczyła naszego krakowiaka i inne ogniste tańce polskie. Przygrywali nam nasi dudziarze, przeważnie niezmordowany muzykant wiejski z Wielkiej Dąbrówki Budych i Białeckiej z synami z Małych Podmokli. „Kozieł”, klarnet i skrzypce – stanowiły kapelę ludową na Babimojszczyźnie.

W pierwszym roku mej pracy wspomniane zabawy ludowe urozmaicane były niekiedy bijatykami. Kilku mścicieli uważało, że wywołać awanturę to bohaterstwo. Oprócz młodzieży w zabawach uczestniczyli starsi wiekiem, poważni obywatele. Skoro tylko znalazł się taki bohater, musiał się uspokoić, albo opuścić lokal. Podmoklan cechowało wielkie uszanowanie dla sędziwego wieku i bywało, że owi niesforni „zawiani” młodzieniaszkowie ze łzami prosili:

– Wuja, ja już będę spokojny, tylko mnie nie wyrzucajcie. Tego wstydzili się najbardziej. Tak działwa, jak i młodzież nie tytułowała starszych inaczej jak „wuja” i „ciotko”, co stanowiło wyraz szacunku dla nich.

Po mniej więcej roku pracy nauczycieli polskich na Babimojszczyźnie te awanturnicze jednostki wciągnięte przez nas do pracy społecznej uspokoiły się i mogę sumiennie stwierdzić, że przez całe dalsze lata mego pobytu w Podmoklach wszelkie zabawy były przyjemne, wesołe i bez awantur.

Podstawowym posiłkiem mężczyzn była kiełbasa i piwo. Rycerska młodzież męska zaopatrywała dziewczęta w czekoladę i napoje chłodzące. Skoro mowa o kiełbasie, koniecznie wypada zdradzić, że producentem jej był Jan Janeczek i jego małżonka Emilia.

Na zabawę przychodzili nawet staruszki i starcy popatrzeć chociaż przez chwilę, jak bawi się młodzież. Przy takich okazjach odwiedzali Podmokle również mieszkańcy okolicznych wiosek.

Urządzano zwykle duże zabawy letnie. Pierwsza, to „Majówka” organizowana przez młodzież. Odbывały się one na zmianę raz w Wielkich Podmoklach, przeważnie w ogrodzie Trocholepszego, a w roku następnym w Małych Podmoklach w ogrodzie Dachwitza. Na zabawach przygrywała wspaniała młodzieżowa orkiestra dęta z Wielkiej Dąbrówki pod batutą nauczyciela Jana Mazy (zamordowanego w czasie wojny w Hafenbruch). Zabawę rozpoczynały tradycyjne pochody przez obie wioski, ustrojone bogato girlandami.

Drugą imprezę stanowiła zabawa letnia dla młodzieży szkolnej w czerwcu. Był to prawdziwy „Dzień Dziecka”. Na czele pochodu kroczyły odświętnie ubrane dzieci, nauczyciele, Rada Szkolna a dalej młodzież i starsza generacja. Na przedzie niesiono sztandar Związków Polaków – Rodło na tle barw narodowych. Wiadomo, że Rodło oznacza bieg Wisły. Złośliwi Niemcy berlińscy, gdy dowiedzieli się skąd powstało Rodło – nazwali douczliwie Polaków „Weichselbrüder” (dosł. braciszkwie Wisły).

Miejscem zabawy był zawsze plac sportowy w Wielkich Podmoklach, tuż przy torze Babimost – Zbąszynek.

Na część oficjalną programu zabawy składały się krótkie przemówienia, deklamacje i śpiewy. Prawdziwą radość sprawiały rodzicom występy ich dzieci. Po części oficjalnej następowała urozmaicona część rozrywkowa. Do dziś dnia podziwiam sprawność organizacyjną młodzieży i dziewcząt. Plac zabawy stanowiło zwykle boisko. Trzeba było je upiększyć i przygotować do zabawy. Wystarczyło powiedzieć naszym chłopakom kilka słów, a wiedzieliśmy, że nas nie zawiodą. Dwa wieczory przed zabawą rozpoczynała się gorączkowa praca. Przychodzili wszyscy; ten grabkami równał dolki, ten zabijał kołki, trzeci, czwarty przybijał deski, inni budowali prowizoryczne stoły i ławy, odgradzali plac drutem, dziewczęta ozdabiały plac kolorowymi wstęgami. Gdy w czasie zabawy nadeszła chwila podwieczorku dla dzieci, podziwiałem dziewczęta. Jak iskierki uwijały się, obsługując dzieci szkolne. Jedne nosiły placki, inne kiełbaski, kawę. Schludnie, zgrabnie, prędko. Ciekawi Niemcy wybałuszali oczy na taką organizację. Gdzieś około 18 tańczono tradycyjnego poloneza, po czym dzieci z lampionami wracały w pochodzie z orkiestrą do wioski. Dorośli pozostawali na dalszą zabawę.

Tak było przed trzydziestu laty w Podmoklach. Polacy tworzyli jedną rodzinę, w której panuje jedność i zgoda. Nie darmo ludowy poeta – autochton Michał Kajka w „Nowym poemacie dla młodzieży polskiej” powiedział:

„Lecz kto w cnocie postępuje
Tego nawet wróg szanuje”.

Na zabawach było zawsze wesoło. Starsi swoim humorem urozmaicali zabawę, że wspomnę Andrzeja Wojtkę (powszechnie zwano go „Stary Luta” i Mikołaja Heppla „Sztakiel”). Ile werwy okazywali oni podczas wesołych przyspiewek i tańców! Młodzież śpiewała w przerwach między tańcami. Nieraz śpiewała cała sala.

Każda zabawa ma swój koniec. Gdy nadeszła godzina 1–2 w nocy, orkiestra grała „Wszystkie nasze dzienne sprawy...” co stanowiło sygnał, aby rozejść się do domów. Zabawy odbywały się zawsze w niedzielę, a w poniedziałek każdy normalnie punktualnie wstawał do pracy.

Wiele radosnych chwil przeżywały dzieci na tzw. „choince” urządzonej przez szkołę w okresie Bożego Narodzenia. Na program choinki składały się dwa przemówienia: jednego z członków Rady Szkolnej i moje, pieśni, deklamacje i „Jasełka”. Pod koniec zjawiał się „Gwiazdor”. Hojną ręką obdarzał dzieci z przedszkola i szkoły, młodzież i rodziców.

Pragnę, gdy mówię o zabawach, poświęcić nieco miejsca obyczajom weselnym w Podmoklach. Mieszkańcy tej wsi urządzali wesela przeważnie od października do kwietnia. W miesiącach letnich nie było na to czasu, bo przecież uroczystość weselna trwała od 2 do 4 dni. Kiedy narzeczeni i rodzice doszli do porozumienia i wyznaczyli termin ślubu, młoda para osobiście, ustnie zapraszała gości. Nie stosowano pisemnych zaproszeń. Narzeczonych podejmowano poczęstunkiem, co przedłużało czas trwania zaproszeń. W przededniu wesela odbywał się tzw. „Polterabend”. Chłopcy trzaskali i rozbijali stare garnki, naczynia i rzucali inne zbędne graty. Matka weselna wychodziła przed dom, częstowała zebranych plackiem, papierosami, winem, ci następnie grzecznie odchodzili do domów.

Nazajutrz od rana prawie w całej wsi panował niebywały ruch i zdernerowanie. Do domu weselnego zjeżdżali najpierw drużbowie, ubrani w czarne odświętne stroje z różowymi wstęgami przy ramieniu. Powózki piękne, piękne konie, ustrojone w kokardy, popędzano batem ozdobionym również kolorowymi wstążkami. Drużbowie zwozili swoje partnerki – druhny a potem gości weselnych. Na koniec drużbowie wyjeżdżali po Pana Młodego. Wszystko to odbywało się radośnie, ale Młodego Pana kawalerka wiozła z powagą i namaszczeniem. Siedział on uroczyście z odkrytą głową na powózce, otoczony swoimi drużbami – przyjaciółmi. Zwożenie gości trwało dość długo, a cała wieś obserwowała w tym czasie zza płotów przejeżdżające bryczki, gości weselnych i pokrzykujących drużbów, wywijających butelkami wina. Dla Podmokla była to zawsze sensacja i radość nielada.

Rodzice weselni podejmowali zebranych śniadaniem. Na podwórzu formowały się powózki do odjazdu do kościoła. Przed wyjazdem do ślubu matki i ojcowie obojga młodych udzielali im błogosławieństwa. Młodzi jechali do kościoła ostatnią powózką, a wracali pierwszą. Od chwili powrotu kapela ludowa (Budych, Białeccczy) wygrywała, ile jej tylko sił starczyło.

W ciągu siedmiu lat uczestniczyłem chyba w 50 weselach. Zapraszano na nie zawsze wszystkich nauczycieli z obu Podmokli. W ostatnich kilku latach, uczestniczyłem w weselach razem z kolegami Zórawskim i Grothem z Podmokli Małych. Z niedowierzaniem patrzyliśmy na stopy mięsiwa, wędlin, pieczywa, piwa, wina i innych wiktuałów. Po sutym obiedzie, kawie podwieczorkowej czy bogatej kolacji, na okrzyk ojca weselnego: „Družba, gdzie twoja służba!” wynoszono stoły pod szopy w podwórzu. Pozostawały krzesła i ławki. Następował taniec za tańcem, każdy z nich inny. Tańczył kto żywy i starzy i młodzi. Z grajków lał się pot, jak w najgorętsze żniwa. A te wesołe okrzyki tancerzy – oj wesółko! oj nasze! Ciach! Po nich następowała nagle przerwa. Ktoś z doświadczonych weselników stawał ze swoją drużyną przed starym kapelmistrzem Budychem albo Brudłą i intonował inną piosenkę. W mig podchwytywał ją kapelmistrz i koźlarz. Potem znowu melodia inna i inna.

Ktokolwiek, kto nie widział tego nigdy w życiu i nagle stanąłby w kole tych rozbawionych weselników, zdziwiłby się mocno i powiedział: „Boże co tu się dzieje!”

Tak bawiono się w Podmoklach na weselach przed laty trzydziestu. Było wesoło, był i porządek. Młodzi ustępowali starszym, grzecznie odnosił się jeden do drugiego, nikt nikogo nie trącił, najszywniejsze nogi szybko nauczyły się tańczyć. Kiedy drużbom zrobiło się ciepło, ściągali marynarki i tańczyli w „kabatkach” – ozdobnych kamizelkach. Po każdym prawie tańcu drużbowie i kucharki roznosili smaczne kanapki i ciasteczka, wino, piwo, lemoniadę i wódkę. Rozochoceni byli nieomal wszyscy goście, ale pijanych nigdy nie widziałem na polskich weselach w Podmoklach. Na każdym weselu było kilka kobiet ubranych w tutejszy strój ludowy. Głowę zdobiła piękna „kopa”. Był to biały czepiec haftowany ręcznie, przetykany niebieską wstążką, do tego piękna, długa spódnica i śliczny haftowany fartuszek. Dawniej wszystkie niewiasty taki strój nosiły odświętnie.

Urozmaicenie na weselach stanowiły „wiwaty”. Ile krzyku, śmiechu i humoru z nimi się wiązało. Jeden z wiwatów brzmiał: „Prosił mnie na wesele, na wesele – dali mi kapusty...” Wiwaty dawały okazję do poczęstunku. Sąsiadki, pełniące na weselu funkcje kucharek, szanował każdy z gości. Co pewien czas drużba zapowiadała: „Osobny kawałek dla kucharek”. Wieczorem aż do późnych godzin nocnych dom weselny oblepiony był ludźmi z całej wsi. Mówiono powszechnie, że czym więcej ludzi, tym ładniejsze wesele, a jak nie ma ludzi pod oknami – to żadne wesele. Każdy ojciec weselny dbał bardzo o widzów pod oknami: co pewien czas zapowiadał: „Osobny kawałek dla komory”, bo tak mówiono na ludzi z sieni i spod okien.

Goście weselni prosili też do tańca swych znajomych spod okien. Podczas tańca otrzymywali oni poczęstunek. Na weselach śpiewano mnóstwo piosenek, nie liczyłem ich, ale słyszałem ich chyba ze sto. Takiego bogactwa pieśni nigdzie w życiu nie spotkałem. Dziś jeszcze, po

kilkudziesięciu latach „mam w pamięci różne ciekawe postacie weselników. Taki Paweł Piwecki lubił śpiewać na weselu:

„Gdzie są moje kare konie,
Gdzie są moje lice (lejce)
Tam jest moja ulubiona
Tam jest moje dziecię”

Feliks Gaertner stanąwszy przed koźlarzem śpiewał:

„Skędy jedziesz Jasiu
Jadę ja z kiermaszu
Dałabym ci gemby
Ale ni mam czasu...”

Wielu z tych śpiewaków już nie żyje, ale słyszę do dziś niektóre z najbardziej znanych piosenek jak:

„Kazała mi moja matka czarną suknię szyc
A ja wcale nie myślałam zakonnica być”

albo:

„Na kramskim kalisku pływają łabędzie
Z naszego kochania pewnie nic nie będzie”

albo:

„Zalecał mi się podmokliś chłopiec”

albo:

„Przyprostynia wielka wieś
Dziewki chleba nie chcą jeść”.

Niejeden z czytelników z niedowierzaniem powie: „A ktoby tam wytrzymał na zabawie weselnej 3–4 dni!” Zaraz tę sprawę wyjaśnię: W pierwszy dzień wesela zabawa trwała do godz. 3–4 rano. Po bogatym posiłku około 2 w nocy, tzw. „podkurku”, na który składały się gorące kielbaski, galart z cielęciny, sałatki i inne potrawy, tańczono najdłużej do godz. 4 rano. Potem życzo no sobie dobrej nocy i pieszo rozchodzono się do domu. Ludzie wyspali się, wypoczęli, zmienili bieliznę i około południa rozpoczynał się na nowo ruch, hałas, muzyka, śpiewy, radość. Drużbowie znów byli przy swej służbie, bo goście zjeżdżali na dalszy ciąg wesela. Druhny zjawiały się każdego dnia w innej garderobie. Ludność gapiła się na ulicach obu Podmokli, bo taki zwyczaj ludowy. Zwożenie gości na obiad przez drużbów było zawsze swojego rodzaju atrakcją.

Zabawa w drugim dniu wesela była o wiele przyjemniejsza i radośniejsza, gdyż wszyscy się już dobrze znali. O ile wesele trwało 3 dni, to i w drugim nie tańczono dłużej, niż do 4. W ostatnim dniu wesela bawiono się dłużej, do jasnego dnia, a czasem do późnego rana.

Staruszkowie, których poznałem w Podmoklach, opowiadali, że za czasów ich młodości uroczystości weselne trwały cały tydzień. Goście weselni przynosili prowiant z domu, by pomóc rodzicom weselnym w wyżywieniu licznej nieraz gromady gości.

Jeszcze dziś, nie tylko w Podmoklach, pozostał zwyczaj, że przed weselem sąsiedzi i mieszkańcy wsi przesyłają w prezencie do domu weselnego masło, jajka i inne wiktuały.

Te wszystkie miłe i przyjemne zwyczaje przyczyniały się do zachowania polskości i wytrwania w walce z falami germanizacji.

* * *

Przypominam sobie przygodę na jednej z lekcji historii. Było to mniej więcej w roku 1931. Zaznaczam, że wolno nam było uczyć tylko historii Niemiec. Podręcznik obowiązywał ten sam, co w szkołach niemieckich, a autorem jego był prof. Nehring. Temat lekcji brzmiał: „Wschodni sąsiad Niemiec”.

Kończyłem właśnie wykłady, kiedy usłyszałem pukanie. Wszedł radca szkolny Strukat. Z lisią uprzejmością przywitał się ze mną. Podałem mu krzesło i na jego żądanie zacząłem pytać uczniów.

- Kto mieszkał na prawym brzegu Łaby? – pytam. Dzieci odpowiedziały:
- Słowianie. Widziałem, jak Schulrat niecierpliwie kręcił się na krześle.
- Pokażcie mi miasto Brandenburg an der Havel!
- Kto zbudował Brandenburg an der Havel?

Dzieci odpowiedziały: „Brandenburg an der Havel ist durch die Slaven gegründet worden, da die Slaven liebten gern in Städten zu wohnen”.

W miarę odpowiedzi rosła niecierpliwość Strukata, a kiedy lekcja się skończyła, wybuchnął na mnie:

„Panie, przecież pan tu wyklada historię Polski”. (Polnische Geschichte). Odpowiedziałem mu, że myli się, ponieważ uczy tylko historii Niemiec. Myślałem, że go krew zaleje, albo się wścieknie. Zanim zdążył coś powiedzieć, ciągnąłem dalej: Proszę, tutaj jest podręcznik Nehringa, niech pan spojrzy.

„Brandenburg a. d. Havel ist durch Slaven errichtet worden da die Slaven liebten gern in Städten zu wohnen”. Inspektor zdębiał, zasapał się ze złości, powiedział: „Auf Wiedersehen” i uciekł do niemieckiej szkoły, do renegata Wusowskiego.

Strukat przyjeżdżając do Podmokli, nigdy nie przychodził od razu do polskiej szkoły, mimo że koło niej przejeżdżał. Renegat Wusowski, szpicel i denuncjator, dostarczał mu wprawdzie informacji o polskiej szkole i polskim nauczycielu.

Ile nocy nie spał Strukat po tym zdarzeniu, nie wiem, ale ta lekcja historii musiała go bardzo dęczyć, bo opisał mnie w tygodniku „Ostlandbote”, polakożerczej gazecie. Wyraził się tam, że „Der polnische Lehrer behauptet, dass Brandenburg an der Havel Polen gegründet haben”. Szkoda, że zgubiłem tę gazetkę w czasie wojny. Mimo tego artykułu nie spotkała mnie żadna kara, gdyż prawdę historyczną udowodniłem niemieckim podręcznikiem prof. Nehringa.

Jak wyglądałbym, gdybym skapitulował. Na pewno odebranoby mi zezwolenie na nauczanie i zmuszono do powrotu do kraju. Dzięki zdecydowanej postawie wytrwałem na posterunku 7 lat i odszedłem, gdy nadszedł „narybek” młodych nauczycieli, już obywateli niemieckich, którzy w Polsce w seminarium nauczycielskim w Rogoźnie zdobyli kwalifikacje do nauczania.

Na marginesie dodam, że podręcznik Nehringa, obiektywnego i bezstronnego uczonego niemieckiego utrzymał się w szkołach tylko do stycznia 1933 r., to znaczy do momentu objęcia władzy w Niemczech przez Hitlera. Podstawą nauczania historii w późniejszym czasie stały się broszurki wydawane przez partię hitlerowską (NSDAP), sprzedawane po 10 fenigów, które zawierały tylko historię partii i naukę o rasach. Mieszkańców Gross-Deutschland dzielono tam na 6 grup. Szósta ostatnia grupa zwana „Ostbaltische Rasse” – obejmowała Słowian i Polaków. Ten typ ludzi określano jako krnąbrnych leniuchów, mało uzdolnionych, fałszywych, skłonnych do bijatyk i kradzieży, do mordów i lubiących się kąpać we krwi.

Historia II wojny światowej okazała, kto był największym złodziejem mienia innych narodów i największym mordercą bezbronnych ludzi i tyranem w podbitej Europie. W systematyce rasistowskiej Hitler należał do II grupy, do Dinarische Rasse – przepięknej, scharakteryzowanej w rasistowskiej klasyfikacji nazistów. A wspomnijmy tylko Majdanek i Oświęcim!

* * *

Było to w grudniu 1932 lub 1933 r. Dzieci wychodziły do domu po skończonej nauce. Wyprowadziłem je na drogę, upominając, aby przez wieś szły grzecznie. Za chwilę wróciłem do klasy i zamierzałem iść do domu na obiad, kiedy wszedł inspektor szkolny Strukat. Zażądał listy obecności uczniów i zaczął w niej czegoś szukać. Wreszcie powiada:

„Pan daje dzieciom za wiele urlopów!”.

Zaprzeczyłem i zaproponowałem przejrzanie listy obecności. Większość dzieci nie korzystała z urlopu, kilka opuściło 1 dzień, a zaledwie dwoje dzieci po 2 dni. Schulrat zrobił sobie dokładne zestawienie z datami. Oświadczyłem mu, że zwalniam uczniów tylko w wypadku istotnej potrzeby i mam prawo zwolnić ucznia sam nawet do 3 dni w miesiącu. Uczyniłem przy tym wymówkę, że na pewno polski inspektor podczas wizytacji w niemieckiej szkole w Polsce nie odniesie się do nauczyciela w sposób, jaki on to czyni. Wówczas Schulrat wpadł w furję i stwierdził, że ma dowody, jakoby uprawiał „kupowanie dusz” – Seelenkauf. Z doświadczenia wiedziałem, że w tym wypadku wygram tylko nieugiętą, zdecydowaną postawą. Z największą przeto powagą i stanowczością oświadczyłem:

„Panie Schulrat, tak poważny zarzut musi pan udowodnić faktami”.

Na to odrzekł on, że zaraz to uczyni, ale muszę chwilę poczekać. Wyszedł i udał się do renegata Wusowskiego. Po dłuższej chwili powrócił wreszcie z niemieckiej szkoły.

– Ile razy dawał pan urlop Johanowi Frąckowi?

„Tyle, ile zaznaczono w liście obecności”.

– Ja udowodnię panu, że uczeń Johann Frącek otrzymał urlop 16. X. br. Chyba pan pamięta, jak to wracał on z lasu z drzewem, a handlarze koło oberży Raua zatrzymali go, wyprzęgli konie i uciekli do Babimostu?

– Ten wypadek pamiętam, ale czy było to 16. X. nie wiem.

– Tak, widzi pan, to było dokładnie 16 października.

– W takim razie skontrolujemy listę obecności.

Otworzyłem spis i o dziwo: – Ma pan rację, panie Schulrat, 16. X. uczeń Frącek otrzymał ode mnie urlop.

Schulrat stracił rezon, bo był przekonany, że ta nieobecność Frącka nie znajdzie potwierdzenia w liście obecności, opuścił ręce, kompletnie zrezygnowany wyciągnął papierosnicę, częstując mnie papierosem. Czuł się pokonany, mruczał, zapewne wściekły na Wusowskiego. Wreszcie zdecydował się spisać ze mną jakiś protokół.

Siadł, pocił się, pisał, spisywał z listy obecności każdego ucznia od początku czwartego kwartału. Gdy doszedł do Frącka odezwał się:

– Więc dał pan kilkanaście razy urlop Frąckowi?

Teraz ja wybuchnąłem.

– Waaas?

– Ach, panie Knak, niech się pan nie gniewa, nie spotka pana żadna kara, wiem, że nie dał pan Frąckowi urlopu 100 razy, ale wypisałem „mehrere Male”. Zaczął mnie uspakajać.

– Panie Schulrat, może pan pisać, co tylko pan zechce, ale ja tego protokołu nie podpiszę.

Rozłościł się znów i spytał:

– No to ile razy mam napisać?

Mówię mu, że dwa razy, tak jak w liście obecności. Za kilka minut protokół był zakończony.

Przeczytałem go dokładnie i podpisałem. Powiedziałem mu przed rozstaniem przysłowiowe powiedzenie: „Der größte Lump im ganzen Land ist der Denunziant”. Był to przytyk do Wusowskiego. Za kilka dni otrzymałem od Inspektoratu pismo takiej mniej więcej treści: – Poczawszy od natychmiast w każdą sobotę o godzinie 15,30 zjawi się pan u mnie osobiście i przedłoży mi listę obecności uczniów.

Co sobotę musiałem przez blisko 5 miesięcy jeździć 16 km do Kargowej. Często spotykałem u Schulrata komisarza Erbta, kim zaś był Erbt wówczas – wiedział dobrze każdy Polak z powiatu babimojskiego.

Wreszcie Strukat powiedział mi:

– Ponieważ prowadzi pan dobrze listę obecności, od dziś zwalnię pana z tego obowiązku.

Po tej całej aferze opisał mnie znów Schulrat w „Ostlandbote”. Niestety i tego artykułu nie posiadam. Żadna inna kara mnie nie spotkała, tylko dlatego, że niczego mi nie udowodniono. W innym wypadku musiałbym w ciągu 24 godzin opuścić Podmokle.

Niemcy posądzali mnie, że dając wiele urlopów moim uczniom, chcę tym sposobem przypodobać się Polakom i zachęcić ich, aby posyłali swe dzieci do polskiej szkoły. Był to absurd. Niemców denerwowało to, że otwierając szkołę w Podmoklach Wielkich miałem tylko 14 dzieci, a gdy odchodziłem 31. 12. 1935 r. do szkoły polskiej uczęszczało aż 35 dzieci. W niemieckiej szkole u Wusowskiego liczba dzieci spadła w tym czasie do 7. Niemcy pienili się ze złości i propagandą, prośbami i groźbami wpływali na rodziców, aby odebrali dzieci ze szkoły polskiej i posyłali do niemieckiej. W jednym roku akcja ich dała rezultat i straciłem kilku uczniów, ale już po kilku miesiącach te zachwiane „dusze” powróciły do szkoły polskiej.

Wydaje mi się, że o sile przyciągającej szkoły polskiej decydowały: pracowitość nauczycieli w szkole i poza szkołą, atrakcyjnie prowadzone zajęcia, nieugięta postawa nauczyciela.

* * *

Tak jak w kraju – w Polsce – tak i na Babimojszczyźnie kilka szkół tworzyło jeden rejon konferencyjny, z którego nauczyciele 5 razy w roku odbywali wspólne konferencje samokształceniowe.

Jesienią 1932 r. jedna z takich konferencji odbyła się u mnie i z tego tytułu przypadło mi w udziale przeprowadzenie lekcji pokazowej. Temat jej brzmiał: „Regionalizm Wielkich Podmokli”.

Nie będę opisywał przebiegu całej lekcji, której wszyscy wysłuchali z zainteresowaniem. Przez kilka tygodni gromadziłem wszelkie pomoce naukowe, piosenki, przysłowia, powiedzonka Podmoklan, legendy, baśnie i najróżnorodniejsze dokumenty – dowody polskości tej ziemi. Ks. dziekan Meissner wypożyczył mi z archiwum kościoła parafialnego w Babimoście oryginalny dokument o założeniu cechu rybackiego w Podmoklach. Pisany on był na świńskiej skórze, nadawał cechowi prawa i przywileje, a podpisał go własnoręcznie Jan Sobieski, król Polski. Na lekcję przyniosłem też tzw. „cechę” dla W. Podmokli, tj. mosiężną tabliczkę z wytłoczonym konturem ryby i datą 1683 i cechę drewnianą w kształcie ryby z datą 1747 z Małych Podmokli. Znajdowały się one w rękach Andrzeja Wojtka i Pawła Janeczka i kiedyś służyły do zawiadamiania o zebraniach cechu (rodzaj kurendy). Wszystkie dzieci i zebrani nauczyciele mieli możliwość zobaczyć te zabytkowe przedmioty. Cech Rybacki powstał przypuszczalnie około

500 lat temu. Pod koniec lekcji wymieniałem nazwiska mieszkańców Podmokli, poległych w walkach powstańczych w 1919 r. wspomniałem też o ekshumacji zmarłego w Sulechowie powstańca, którego zwłoki za staraniem konsula w Pile przewieziono do Zbąszynia.

Po lekcji podszedł do mnie dyrektor Mozolewski i rzekł:

- Panie Staszku, dzięki Bogu, że tu nikt z Niemców nie wleciał...
- Niech się pan dyrektor o mnie nie boi, gdyby był ktoś, byłbym zmienił temat. Poza tym kolega Jaskólski baczył, by nie zaskoczyła nas niepożądana wizyta.

* * *

W jesieni 1935 r. złożyłem do Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Berlinie prośbę o wyrażenie zgody na mój powrót do Polski. Miałem wówczas pewne plany życiowe, które wpłynęły na decyzję powrotu. Początkowo wizytator Brasse powiadomił mnie, że mój powrót nie jest na razie aktualny, ale w pierwszych dniach grudnia otrzymałem pismo, że mogę, w dniu 31 grudnia 1935 r. powrócić do Polski, na moją starą posadę.

Po raz ostatni w drugie święto Bożego Narodzenia urządziłem dla dziatwy radosną i serdeczną choinkę. Na zakończenie pożegnać się musiałem z dziećmi i rodzicami. Rzewny to był moment dla dzieci i dla mnie. Obecnych podniosłem na duchu słowami: „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy”, zacytowanymi na końcu mego pożegnального przemówienia.

30 grudnia mieszkańcy Podmokli urządzili dla mnie pożegnanie w domu Kazimierza Michalskiego. Tego dnia w domu Michalskiego było gwaro jak na weselu. Przyszło wielu rodaków i delegacja młodzieży. Zaczęły matki przygotowywać suta kolację. Każda organizacja żegnała mnie osobno, wręczając pamiątkowe upominki. W imieniu Kółka Rolniczego przemawiał do mnie powszechnie poważany i lubiany Mikołaj Heppel. Gawędziliśmy serdecznie, wspominając wspólne przeżycia. Szybko minęła północ. Serdecznie ściskaliśmy sobie po raz ostatni nasze dłonie.

Moja praca w Wielkich Podmoklach należała do najtrudniejszych w dotychczasowym życiu, ale i najpiękniejszych i nigdy, dopóki żyć będę, jej nie zapomnę.

* * *

Mile jest wspomnieć o serdecznych przyjaciółach, o ludziach gościnnych, szczerych i szlachetnych. Gorąco wspominam patriotów, którzy na

oścież otworzyli polskiemu nauczycielowi bramę swego domostwa i użyczyli szkole polskiej i nauczycielowi mieszkania i izb lekcyjnych. W Wielkich Podmoklach uczynili to: Franciszek Taberski, Stanisław Piątysek, Maria Wołek i Kazimierz Michalski. Z wdzięcznością wspominam ząną rodzinę Wołków. Jan Wołek był pierwszym prezesem Koła Związku Polaków w Wielkich Podmoklach, a jego żona, dość wcześnie owdowiała, nigdy nie zmieniła swego postępowania, nawet gdy znalazła się po przedwczesnej śmierci męża w trudnych warunkach materialnych. Władysław – ich syn – był za moich czasów najzdolniejszym aktorem (niestety już także nie żyje). O nim zawsze mówiłem, że to „Mickiewicz” krocący za pługiem”. Wszyscy z żalem go wspominają.

Z Małych Podmokli muszę wymienić rodzinę Stanisława Brychcego, Stacheckiego, Leona Heppla, Jana Janeczka, Rychłych, Wołków i Jędrzejów.

Wszyscy Polacy, którzy posyłali dzieci do szkoły polskiej, urastają w naszych oczach do prawdziwych patriotów, ale chyba na szczególne wyróżnienie zasługują ci najodważniejsi, którzy pod swój dach przyjęli szkołę polską, bądź odnajęli mieszkania dla nauczycieli polskich. Stanowiło to warunek egzystencji szkoły polskiej.

* * *

Rok 1929 to rok powstania i narodzenia polskich szkół w Niemczech, a rok 1939 – to rok odwetu niemieckiego.

Z chwilą napadu Hitlera na Polskę zlikwidowano polskie szkoły, ginęli polscy nauczyciele męczeni i katowani w obozach koncentracyjnych, ginęli tamże ci rodzice, którzy stanowili ostoję polskiej szkoły. Prócz Franciszka Sarnowskiego z Wielkich Podmokli zginęli śmiercią męczeńską w obozach:

1. Piotr Olejniczak
2. Wincenty Frącek
3. Paweł Konopnicki
4. Jan Michalski

Trzynastu – Franciszek Weimann, Franciszek Taberski, Jan Tomaszewski, Marianna Tomaszewska, Kazimierz Michalski, Stanisław Trocholepsz, Feliks Trocholepsz, Katarzyna Heppel, Paweł Kania, Alfons Konopnicki, Stanisław Weimann, Mikołaj Heppel i Piotr Heppel – cierpiało w obozach za sprawę polską i cudem uniknęło śmierci.

W walce za obcą sprawę poniosło śmierć na polu bitwy wielu moich uczniów.

Tę samą tragedię przechodzili rodacy z Małych Podmokli. Chcę uczcić wśród nich taką Matkę-Polkę jak Rychła, która aż czworo dzieci ofiarowała Ojczyźnie. Podobne męczeństwo miało miejsce w każdej osadzie naszej Babimojszczyzny. A iluż tu braci rodaków z małymi dziećmi wygnano na poniewierkę z własnego domu, z własnego zagonu i zmuszono do niewolniczej pracy.

Urodziłam się 17 lipca 1908 r. w Berlinie, w samym sercu Niemiec. Ojciec mój, Antoni Pałuczak, pochodził z wielodzietnej rodziny. Dziadek, Jan Pałuczak, posiadał gospodarkę rolną w Starej Świętej blisko Złotowa. W czasie Wiosny Ludów został zaciągnięty do wojska niemieckiego. Zdezercerował jednak i przedostał się do polskich powstańców, do kosynierów. W ich szeregach walczył pod Miłosławiem. Po powrocie do domu był przez Niemców poszukiwany. Przetrzęsano całe mieszkanie i obejście. Przerzucono wszystkie snopki w stodołę oprócz ostatniego. Właśnie pod nim ukrywał się dziadek. Prześadowanie rodziny nie ustawało jednak i dziadek zgłosił się sam do policji. Zamknięto go w fortocy i skazano na śmierć. Z okazji nadania konstytucji przez Fryderyka Wilhelma IV został w końcu ułaskawiony.

Kilka lat temu, gdy syn mój czytał, nie pamiętam już w jakim czasopiśmie, artykuł o Wiośnie Ludów, spotkał wśród innych wymienionych, także nazwisko swego pradziadka.

Ojciec po odbytej służbie wojskowej objął gospodarkę po szwagrze w Wielkim Buczku, w powiecie złotowskim. Później jednak przeniósł się do Berlina, gdzie pracował przez kilka lat u dr. chemii, von Boltana. Ponieważ był zdolny, ambitny i obowiązkowy, uczęszczał wieczorami na Akademię Humboldta, gdzie doskonalił się w pracy chemika. Po śmierci dr Boltana ojciec objął posadę chemika w ogromnych zakładach fabrycznych Siemens, gdzie pracował przeszło 30 lat. Dzięki sumiennej pracy zdobył sobie zaufanie i szacunek, mimo że był Polakiem z krwi i kości.

Matka moja Ewa, z domu Skupień, pochodziła z Baranowa, w powiecie Kępno Wielkopolskie. Dziadek ze strony matki był małym chłopem, posiadał czterohektarowe gospodarstwo.

Mama знаła wymiennie sztukę gotowania i szycia, była zaradna i gospodarna. Umiała wiązać koniec z końcem, mimo że pensja ojca nie była zbyt wielka.

Rodzice poznali się w Berlinie, dokąd wyjechali za chlebem. Ksiądz nie chciał im udzielić ślubu w języku polskim. Dopiero po oświadczeniu ojca, że będzie z żoną żył „na knebel”, jakoś się namyślił. Było to w 1904 roku. Nie lepiej poszło z moimi chrzcinami. Dopiero 7 maja 1909 roku niejaki ksiądz Dudek raczył mnie ochrzcić w języku polskim. Imiona dostałam królewskie: Wanda, Regina i łatwo wymowne, żeby Niemcy nie połamali sobie języków. Kalczyli przecież już okropnie nasze nazwisko. Te królewskie imiona nie zdały mi się na nic, bo w życiu szło mi raczej źle niż dobrze. Ale rodzice myśleli, że imię królewskie, jakichś dostojników lub mędrców, wpłynie poniekąd na życie, dobrobyt i inteligencję dziecka.

Moje lata dziecinne, mimo dostatku (byłam przecież jedynaczką) nie były usłane różami. Rodzice byli dalecy od tego, by spełniać moje zachcianki. Ach, jak bardzo pragnęłam mieć sanki, których jednak nigdy nie dostałam. Z wałów nad Szprewą zjeżdżałam na własnych... majtach. Co wieczór dostawałam za to lanie. Matka miała ze mną mnóstwo kłopotów. Byłam dzieckiem upartym, nerwowym, żywym i odważnym. Nie wiem sama po kim te „zalety” odziedziczyłam. Rodzice kochali mnie bardzo, lecz wychowali po spartańsku. Jestem im teraz bardzo za to wdzięczna, gdyż inaczej załamałabym się później i zginęłabym pod ciężarem przeżyć. Byli oni niezmiernie pracowici. Od wczesnego dzieciństwa uczyli i mnie pracowitości i oszczędności. Matka wysłała mnie do przedszkola, aby mnie trochę ujarzmić, a głównie abym się nauczyła wreszcie języka niemieckiego. Opanowałam doskonale elementarz polski, który mi ojciec podarował i z którego mnie gorliwie uczył. W domu rozmawiano tylko po polsku, gdyż ojciec był wprost fanatykiem na tle polskości. Z naczyń kuchennych wytarł starannie wszelkie napisy w języku niemieckim. Abonował wytrwale „Dziennik Berliński”. Mimo prześladowań hitlerowskich nie wymazał kreski przy ł w nazwisku Bałuczak, na wizytówce naszych drzwi. Wychowywał mnie od najwcześniejszych już lat w duchu polskiego patriotyzmu. Matka żyła w ustawicznym strachu, żeby ojciec komuś kręgów nie połamał za to, że przezywali mnie „Polacke”, lub za to, że mnie bili. Nie raz matka odprowadzała mnie do następnego rogu ulicy, aby dzieci nie znęcały się nade mną. Toteż bardzo wcześnie obudziła się we mnie obok poczucia sprawiedliwości, wojownicza żyłka – chęć do wytrwałej, w każdym wypadku zwycięskiej walki. Byłam zdrowa i silna, więc waliłam przezywających mnie „szkiebrów”, gdzie tylko popadło. Zaczęli się ze mną liczyć i dali wreszcie spokój. Ale za to zjawily się znów kłopoty. Zaczęłam chodzić do szkoły niemieckiej. W pierwszym roku szkolnym układało się wszystko pomyślnie. Gorzej było w klasie drugiej, gdzie zaczęły mi się mieszać wiadomości polskie z niemieckimi. Często używałam zamiast naszych liter, liter gotyckich. Zamiast 29 – pisałam 92, co łączy się ściśle

z wymową w języku niemieckim i za co nie raz oberwałam. To błędzenie trwało jednak niedługo. Wiem, że później znienawidziłam naukę o „wszystkich świętych niemieckich”, jak nazywałam lekcje historii, w czym zyskałam gorącą aprobatę mamy.

W czasie wojny światowej 1914–17 urządzono w szkole zbiórkę złomu. Aby nie popaść w niełaszkę u nauczycielki, ściągnęłam z domu aluminiową łyżkę i oddałam ją w szkole. Mama jednak spostrzegła to zaraz. Poszła do szkoły i powiedziała nauczycielce, że nie chce przyczyniać się do tego, by się krew lała. Łyżkę przyniosła z powrotem do domu.

W okresie największej nędzy wojennej mama wyjechała ze mną na dwa lata – na wieś – do krewnych w powiecie złotowskim. Tam uczęszczałam do szkoły w Nowej Świętej. Kierownikiem i nauczycielem był wówczas niejaki Luks, zażarty Niemiec. Mieliśmy z nim zbierać różne liście na herbatę dla wojska. Wtedy mama pod groźbą, że mi skórę wygarbuje, zakazała zrywania liści. Kuzynka miała mnie przypilnować i oddać nauczycielowi list, w którym mama powiadomiła go, o zakazie. Jako nagrodę kuzynka otrzymała od mamy jedną markę na cukierki, którymi się też urczyłam.

Mijały lata. W grudniu 1922 roku powstał w Berlinie Związek Polaków w Niemczech, zarejestrowany w rok później, którego członkami zostali także moi rodzice. Związek Polaków wydawał „Dziennik Polski”, a także miesięcznik „Polak w Niemczech”. Ponieważ Niemcy twierdzili, że w Niemczech nie ma Polaków ani innych grup mniejszościowych, mniejszość polska za wszelką cenę próbowała połączyć się z innymi grupami mniejszościowymi, aby wspólnie walczyć o swoje prawa. Tak powstał w marcu 1924 r. „Związek Mniejszości Narodowych w Niemczech”. Prezesem tych dwóch organizacji został Stanisław Sierakowski. „Związek Mniejszości Narodowych w Niemczech” wydawał miesięcznik „Kulturwille”, którego tytuł zmieniono później na „Kulturwehr”. Obrońcami interesów Polaków, jak i wszystkich innych mniejszości narodowych, byli Jan Baczewski, ksiądz Klimas i Stanisław Sierakowski, którzy byli zarazem posłami na sejm pruski oraz doktor ekonomii Jan Kaczmarek. Za ich staraniem powstał „Związek Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech”, powstały polskie szkoły powszechne w Niemczech, których liczba w krótkim czasie wzrosła do 60. Otworzono także dwa gimnazja, w Bytomiu i w Kwidzynie.

Jan Baczewski, poseł polski na sejm pruski, mieszkał u nas na Schlossstrasse przez cały okres swej bytności w Berlinie. Wielu zasłużonych Polaków bywało u nas z tego powodu w domu. Dobrze znaliśmy wszystkie sprawy, dotyczące Polaków w Niemczech, ich bolączki jak i sukcesy. Często bywałam w sejmie, przysłuchiwałam się przemowom Jana Baczewskiego. To on pobudzał mnie do nauki, dawał za każdą piątkę bilet do teatru. Nie raz nadużywałam tej dobroci, pokazywałam zeszyt koleżanki.

Rodzice trzymali mnie bardzo krótko. Byłam na tyle sprytna, że umiałam sobie zarobić kieszonkowe. Ojciec zawsze mawiał: „Pieniądze leżą na bruku, trzeba je tylko umieć podnieść”. Zachęcał mnie drugim przysłowiem, że żadnej pracy w życiu wstydzić się nie powinnam, gdyż „praca nie



Ludwik Kasprzak z Dąbrowki

nańbi, lecz kształci i uszlachetnia człowieka". W niedzielę wyjeżdżałam z ojcem za Berlin, do lasu. Tam zbieraliśmy grzyby, jagody, przyłaszczki, konwalie szyszki itp. Jagody mama przerabiała na różne marynaty, soki, wino i konfitury. Grzyby, szyszki i kwiaty zanosila do hurtowni i spieniężała.

W chwilach wolnych od nauki robiłam na drutach piękne serwetki, które rozsprzedawałam między znajomymi. Miałam więc zawsze grosz na różne specjalne wydatki. Byłam i jestem rodzicom wdzięczna, że nauczyli mnie zaradności, która była mi tak pomocna w życiu.

W czasie wakacji wyjeżdżałam zawsze do krewnych w powiecie złotowskim, a także do Polski. Dwukrotnie byłam po kilka tygodni we Francji, w celu doskonalenia nauki języka francuskiego. Poznałam prawie całą Francję. Nie zapomnę nigdy gościnności Francuzów, czaru Paryża i Wersalu. Czasem migają mi jeszcze przed oczyma skrzydła Moulin Rouge, smukłe sławne tancerki w błyszczących cekinach, słyszę, jak przez sen melodie wersalskich fontann. Wspominam też wiele pięknych ogrodów, placów, parków, w których wszędzie królowały róże, róże, róże.

Po ukończeniu gimnazjum w 1929 r. rozpoczęłam w Berlinie studia farmaceutyczne. W Niemczech w tym okresie rozwijało się szkolnictwo polskie. Rozwścieczeni tym Niemcy szykanowali nauczycieli polskich, a później zwalniali niektórych nauczycieli z obywatelstwem polskim. Uległam namowom Jana Baczewskiego, rzuciłam studia farmaceutyczne i wyjechałam na jednoroczny kurs pedagogiczny do Poznania. Na kursie tym był też kolega Leon Horst, który pracuje obecnie w szkolnictwie powiatu złotowskiego. Niezmiernie miłe i życzliwe było dla nas grono profesorskie, profesorowie Kluskowski, Tylczyński, Zieliński, Baer i dyrektor dr Waga. Oglądam czasem stare fotografie i z przyjemnością snuję wspomnienia. Po uzyskaniu dyplomu zostałam w 1930 r. skierowana na praktykę do Obry w pow. wolsztyńskim, gdzie składałam przysięgę nauczycielską. Po rocznej praktyce w kraju, w r. 1931 przeszłam do dyspozycji Polskiego Towarzystwa Szkolnego w Niemczech. Jan Baczewski pozwolił mi wybrać sobie placówkę mej przyszłej pracy. Wybrałam Dąbrówkę, blisko trasy kolejowej Berlin-Poznań. Z Polską łączyły mnie przecież wspomnienia, z Berlinem — rodzice.

Nadeszła znów jesień. Srebrna przedza babiego lata snuła się po-przez pola. Pociąg pośpieszny pędził z Berlina do Poznania. I oto już Pogranicze. W Neu-Bentschen przesiadłam na Meseritz-Międzyrzecz. Na pierwszej stacji wita mnie napis: Gross-Dammer-Dąbrówka Wielkopolska. Wsiadam. Wszędzie pola uprawiane polskim sposobem. Wszędzie drogi polne wysadzone wierzbowymi, lipami drzewami owocowymi, na rozstajach „Boże Męki". Ze stacji widzę szczyt wieży kościoła i zamku. Kroczę w kierunku wioski. Spotykam ludzi mówiących po polsku.

Jak też ułoży się tutaj praca? Będzie przecież o wiele trudniejsza niż w kraju, więcej odpowiedzialna. Czy podołam?

U kierownika szkoły zastałam grono nauczycielskie. Było ich trzech: kierownik Sylwester Tomiak, wzrostu średniego o bardzo miłym wyglądzie i usposobieniu. Jan Maza, młody, wysoki czarnoooki, przystojny i Hewner,

nauczyciel w starszym wieku. Hewner odchodził do kraju, więc właśnie mnie skierowano na jego miejsce. Po zebraniu kolega Maza zaprowadził mnie do Tomasza Kleszki, rolnika mieszkającego przy stawie, naprzeciw zamku, gdzie miałam odtąd mieszkać.

* * *

„I nie ustaniem w walce
Siłę słuszności mamy
I mocą tej słuszności
Wytrwamy i wygramy”.

Tak brzmiało hasło Polaków w Niemczech. Dąbrowczanie nie ustawali w słusznej walce, bronili swej narodowości. Przez 138 lat byli przecież oderwani od Matki Polski, lecz nikt nawet na chwilę nie zapomniał o niej. Nikt się nie zgermanizował, bo każda matka była wzorową nauczycielką swych dzieci, które do roku 1929 musiały uczęszczać do szkoły niemieckiej. W każdym domu brzmiała polska pieśń, w każdym domu modlono się po polsku. Dąbrowczanie stawiali Niemcom odważnie czoła. Szkolna kronika niemiecka stwierdza: „W r. 1905 rozpoczęła Dąbrówka strajk szkolny, który trwał prawie przez cały rok. Ponieważ istniały tylko szkoły niemieckie rodzice chcieli wywalczyć dwie godziny nauki języka polskiego tygodniowo. Otrzymali odmowną odpowiedź. Dla ukarania rodziców za strajk, dzieci musiały uczęszczać o rok dłużej do szkoły niemieckiej.

Kuźniami charakterów i dobrych Polaków w Niemczech były różne polskie towarzystwa, które Dąbrowczanie umieli sobie zorganizować. W r. 1905 powstało Kółko Rolnicze oraz Towarzystwo Robotników, zaś w r. 1910 utworzono Towarzystwo Młodzieży. Założono również Towarzystwo Śpiewu św. Cecylii oraz „Sokół”. W pracach organizacyjnych brał udział zasłużony ks. dziekan Józef Braun, który był proboszczem w Dąbrówce. Działał on nie tylko w samej Dąbrówce, był również współorganizatorem Banku Ludowego w Babimoście w 1912 roku. Bank ten okazywał dużą pomoc okolicznej ludności polskiej.

W roku 1919 Dąbrówka śmiało zażądała nauczania religii rzymskokatolickiej w języku ojczystym – polskim, co po różnych trudnościach osiągnięto.

Zebrania Towarzystwa Robotników odbywały się u Piotra Budycha. Do niego też dotarła najpierw wieść, że powstaje Związek Polaków w Niemczech. W r. 1923 zostaje założone koło Związku Polaków do którego, jak mówi Paweł Budych, ludność gromadnie przystąpiła.

* * *

Niemcy, aby rozbić Polaków proponowali gospodarzom wymianę gospodarstw i przeniesienie się w głąb Niemiec. Polacy, aby wzmocnić się ekonomicznie, założyli w 1930 r. Bank Ludowy, którym kierował Tomasz



Jan Maza: kierownik szkoły w Dąbrowce

Kociołek. 25 czerwca 1939 r. hitlerowcy zlikwidowali Bank Ludowy. W dniu tym Tomasz Kociołek wraz z innymi Polakami, jak Ludwikiem Kasprzakiem, Michałem Kleszką i Franciszkiem Pawelskim zostali wysiedleni poza obręb Pogranicza. Wszyscy wyjechali do Berlina, gdzie zebrało się także wielu wygnańców z innych dzielnic. Ludwik Kasprzak mieszkał przez okres swego wygnania u rodziców, którzy pomagali nie tylko Polakom ale i Żydom, ukrywając ich przed prześladowaniami. Z wybuchem wojny Niemcy zarekwirowali Dom Związku Polaków w Berlinie przy Dorothenstrasse, w którym mieścił się także Bank Słowiański, potem Bursę na Lutherstrasse i Dom Polski na Dresdenerstrasse. Wygnańcy zostali bez środków do życia i lasce losu. 11 września 1939 r., a więc zaraz po wybuchu wojny, zaaresztowano większość z nich i osadzono w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen w Oranienburgu.

W dniu tym wcześniej rano, jeszcze o zmroku, przyszli gestapowcy do rodziców i zabrali Ludwika Kasprzaka. Następnego dnia mama poszła do Polizeipräsidentium i zażądała śmiało wyjaśnienia, gdzie przebywa zabrany przyjaciel Kasprzak. Ponieważ nie otrzymała bliższych wyjaśnień, pozostała dla niego żywność z prośbą o doręczenie.

Około połowy listopada 1939 r. Tomasz Kociołek, którego poszukiwało Gestapo wrócił potajemnie do Dąbrówki, gdzie ukrywał się w stodole swego gospodarstwa. Bardzo ciężkie było życie całej rodziny. Żona z czworgiem nieletnich dzieci obrabiała gospodarkę rolną. Co tydzień hitlerowski bandyta, gestapowiec Brand, przeprowadzał raz lub dwa razy rewizje w mieszkaniu. W zimowe wieczory, często przebrany za kobietę, wchodził Kociołek do mieszkania, aby się rozgrzać. Jak boleśnie ścisnęło się serce żony, gdy raz, podczas bardzo silnego mrozu, niespodziewanie wcześniej wszedł do mieszkania jej mąż. Najmłodszy synek, nie znając ojca, zawołał przerażony do matki: „Boję się dziada, jaki on straszny”. Ojciec ze łzami w oczach wcisnął czapkę głębiej i wyszedł chwiejnym krokiem w ciemną, zimną noc. Dzieciom nie wolno było znać ojca, bo przy stałych męczących przesłuchiowaniach mogłyby się wygadać i przez to stracić nie tylko ojca, ale i matkę. Bardzo niebezpieczne były te „rozgrzewki” w domu, gdyż o każdej porze dnia i nocy można było wpaść w ręce hitlerowców. Ci zaś nie patyczkowali się długo. W podejrzanych wypadkach obstawiali domostwo i wyważali drzwi. Takie życie szarpało nerwy i zdrowie. Tymczasem sytuacja nie ulegała polepszeniu, rosła natomiast i to w sposób zastraszający nienawiść do Polaków. Wszyscy podtrzymywaliśmy się na dachu. Byli i tacy, którzy wiedzieli o kryjówce Kociołka między innymi i ja.

Bardzo przykra sytuacja powstała wówczas, kiedy Kociołkowa dostała pisma, które stwierdzały o jej wywłaszczeniu, konfiskacie mienia oraz wysiedleniu z Dąbrówki.

Co zrobić z mężem? Kto będzie go żywił? Przecież odnajdą go w stodole.

W ostatni wieczór o zmroku, sami stali na straży. Udało się. Kociołek przeszedł przez ulicę do stodoły Marcina Kusiora i tam ukrywał się szczęśli-

wie do końca wojny. Pamiętam jak dziś ten wieczór. Każdy drżał o życie Kociołka i jego rodziny. Podziwialiśmy jednak bohaterstwo i odwagę Marcina Kusiora, starego, odważnego powstańca.

Podłość sługaszów hitlerowskich nie знаła granic. Nieszczęśliwej Kociołkowej zabrano na wojnę najstarszego syna. Trzymano go w wojsku do końca wojny, mimo że był ranny. Córkę zabrano do Arbeitsdienstu. Wtedy ułożyłam jej ironiczne pismo do władz Arbeitsdienstu z zapytaniem jak można do tak szlachetnej służby powołać córkę „zdrajcy”. W rezultacie wywalono ją natychmiast, a o to nam przecież tylko chodziło.

Do sprawy Kociołków dołączam odpisy pism Landrata i Regierungspräsidenta dotyczące konfiskaty mienia i wysiedlenia. Takie same dokumenty zostały doręczone wszystkim tym, którzy zostali wysiedleni z Dąbrówki. Bardzo ciekawe jest pismo Regierungspräsidenta z Frankfurtu z dnia 28 września 1942 roku, które zawiera wskazówki w sprawie konfiskaty majątku Polaków obywatelstwa niemieckiego.

Bardzo wiele przeżyła też Anna Pawelska, której mąż wrócił z obozu koncentracyjnego śmiertelnie chory i zmarł 16 lutego 1942 roku.

Los jej był więcej niż tragiczny. Starszy syn Anny Pawelskiej został przez hitlerowców zaciągnięty do wojska niemieckiego, jak wielu innych. Mimo to Anna Pawelska została wysiedlona. Hitlerowcy nie czekali nawet z wysiedleniem aż syn zostanie zwolniony z wojska, tylko zażądali brutalnie, żeby opuściła gospodarkę z dwoma nieletnimi dziećmi, z których córka Marianna miała i ma do dziś kaleką rękę. Została ona wywłaszczona z początkiem listopada 1942 roku. Wyrzucono ją przemocą i grożono obozem koncentracyjnym. Niech dołączone odpisy dokumentów mówią o tym, co hitlerowcy wyrabiali z bezbronną kobietą.

Polskie „Erbhofe” w Dąbrówce bardzo szybko zostały rozchwytywane przez Niemców.

Mówiąc o Tomaszu Kociołku wspomnę również o Pawle Budychu II, starym powstańcu. Paweł Budych, zwany we wsi Budych II, urodził się w Dąbrówce 6. 6. 1896 r. jako syn małego chłopca. Gdy dorastał, pomagał ojcu w gospodarstwie, później uczył się sztuki murarskiej. Przez pewien czas pracował jako listonosz, później jako murarz, a przez jakiś czas skupował nawet na własną rękę ziemniaki „bulwy”, co stało się przyczyną przezwiska „bulwiarz”. Budych nie dorobił się żadnej fortuny, ale doczekał się za to wielu przykrości.

Wcześniej zmarła mu żona. Dla swych nieletnich dzieci – Tomka i Małgosi – znalazł drugą matkę. Z tego małżeństwa doczekał się dwóch synów. Budych pracował całe lata po wojnie na swej gospodarce rolnej. Obecnie kieruje też pracą murarską na budowach. Jest to wielki patriota i człowiek odważny. Udowodnił to kilkakrotnie po wojnie światowej w 1918 i 19 roku.

W zimowy, mroźny wieczór, gdy szalejący wicher pozyrywał druty doprowadzające prąd, siedzieliśmy w przytulnej izdebce i przy ciepłym blasku piecyka opowiadał mi swe przeżycia.

Był kwiecień 1918 roku. Już dawno umilkły strzały armatnie. Wojsko wycofało się do drewnianego mostu. Zbąszyń był w rękach niemieckich. To nie mogło podobać się Polakom. Trzeba było zaradzić złu i wywalczyć cały Zbąszyń i także Dąbrowkę dla Polski. Znalazło się 14 odważnych ludzi. Kilku z Przyprostyni, Perzyn, Zbąszynia i dwóch z Dąbrowki: Paweł Budych i Marcin Kusior. Dowódcą ich został Paweł Kostyra z Perzyn, człowiek nieugięty, o prawym charakterze, mądry, odważny, gorący patriota. W życiu swym miał tylko jeden cel – służyć Ojczyźnie do ostatniej kropli krwi.

Paweł Kostyra utrzymywał tajne kontakty z wojskiem polskim w Poznaniu, które miało w wyznaczoną noc przybyć z pomocą do Zbąszynia. Niewiadomo jednak z jakich powodów wojsko nie przybyło w umówionym czasie. Powstańcy musieli sobie sami radzić. Wszyscy posiadali broń. Żołnierzy niemieckich, którzy pełnili obowiązki straży granicznej, wypędzono aż do mączkarni. Tam na przeciw siebie stanęły stráže polskie i niemieckie. Po kilku dniach ciszy Paweł Kostyra wysłał swego zaufanego Piotra Pawelskiego, który mieszkał z Zbąszyniu i wyznaczył im nowe spotkanie koło dworca zbąszyńskiego blisko bariery, celem podjęcia dalszej walki z Niemcami. Bardzo trudno było przedostać się przez las, który pilnowała niemiecka straż graniczna. Powstańcy nie zdążyli się jeszcze przygotować do ataku, gdy doniesiono, że z kierunku Klastawy idą uzbrojeni Niemcy – cywile. Niedługo potem rzeczywiście wyłoniły się z ciemności uzbrojone postacie. Na ich czele szedł nauczyciel niemiecki Szelak – oficer wojska niemieckiego, który pracował kiedyś w Dąbrowce. Chłopcy w tamtych czasach splatali mu niejednego figla za to, że bardzo szkodził Polakom. Pierwszy celny strzał z ręki Kostyry położył trupem Szelaka, gdy nagle nadjechały ciężarówki z wojskiem niemieckim. Powstańcy, którzy byli rozstawieni aż pod cegielnią, dali ognia. Wojsko niemieckie, wystraszone nagłym, silnym atakiem, wiało czym prędzej z powrotem w kierunku Dąbrowki. Polska straż graniczna przeprowadziła powstańców dąbrowieckich przez granicę. Chylikiem, idąc przez lasy, zagajniki, bagna, łąki i pola dostali się do wioski.

Paweł Budych mieszkał wówczas z rodziną u Marcina Kusiora. Zmęczeni usiedli oboje w ciemnej kuchni. Budych zmartwił się trochę, gdyż podczas walki zgubił czapkę. Obawiał się, że ktoś ją znajdzie i pozna. Na szczęście znalazła się druga taka sama. Rozmyślania przerwał nagle jakiś hałas na ulicy. Okazało się, że niemieccy żołnierze, którzy kwaterowali w sali u Stanisława Weissa zbuntowali się i rzucali broń. Wojna się przecież dawno skończyła, nie mieli więc ochoty więcej się narażać i uciekali. Dochodziło dalsze wojsko z „Depot” położonego w lesie za Dąbrowką, gdzie były magazyny amunicji. O zasadzce nie było już mowy. Wiadomość podano natychmiast do Pawła Kostyry w Perzynach.

Pomimo, że nie przechwycono żadnego powstańca z Dąbrowki, podejrzewano jednak ludność o branie udziału w powstaniu. Ogłoszono więc stan wyjątkowy. Po godzinie 17 nie wolno było nikomu wychodzić z domu. Po 4 tygodniach wojsko niemieckie opuściło Dąbrowkę, uzbrajając na wszelki wypadek cywilów w Rogozińcu. Krótco po tym Niemcy odbyli tajne zebranie w sprawie ustalenia granicy w sali Niemca Brescha w Rogozińcu. Paweł Budych, jako listonosz, dowiedział się o tym zebraniu. Jego brat, Piotr, przygotował dwa plakaty: Białe orły na czerwonym tle umieścili oni,

wysoko na rusztowaniu akurat na przeciw wejścia na salę. Sami ukryli się w ciemnej „gasce” opodal, obserwując co się będzie działo. Duża lampa oświetlała majestatyczne orły, które zdawały się kpić z wychodzących z zebrania Niemców. Zauważono je też od razu. Powstał wielki hałas i krzyk. „Die Polen sind schon hier”: Wszyscy wiali co tylko sił w nogach do swych domów. Obaj bracia przesunęli się tymczasem w pobliże kaliska-stawku, za starym chlebnym piecem. Po chwili do stawku przybiegali licznie Niemcy i wrzucali coś do wody. Była to amunicja i karabiny, które ze strachu przed Polakami wrzucali do wody. Zadowoleni z uzyskanego efektu Budychowie czmychnęli do lasu i wrócili do Dąbrówki.

Na drugi dzień roznoszącemu listy i gazety Budychowi zwierzył się stary Niemiec Stiller w Rogozińcu: „Heute Nacht sind polnische Adler über Rogen geflogen”. Niemcy wyznaczili wysoką nagrodę za schwytanie tego, który zawiesił w Rogozińcu orły. Nikt jej nie dostał, bo nic się nie wydało. Mniej więcej po tygodniu toczyła się walka o Nową Wieś. Atakowało wojsko niemieckie, przysłane z Frankfurtu nad Odrą, była niemiecka artyleria. Z Rogozińca przywieziono uzbrojonych cywilów, aby walczyli z Polakami.

Niedługo potem przybyła do Przyprostyni komisja, aby ustalić granicę polsko-niemiecką. Paweł Budych, dowiedziawszy się o tym zwołał tajne zebranie. Wybrano 7 przedstawicieli z Dąbrówki: Pawła Budycha, Marcina Kusiora, Marcina Kociołka, Jana Ruciocha, Józefa Gołka, Tomasza Kleszkę i Jana Bimka, którzy mieli udać się do Przyprostyni, by przedstawić tam sprawę przyłączenia Dąbrówki do Polski. W ciemną noc, poprzez zagajniki, oczekiwani i przeprowadzeni przez polską straż graniczną poszli do Przyprostyni.

Do komisji międzynarodowej należeli m. in. z polskiej strony – hrabia Mielżyński z Chobienic, ze strony angielskiej – Andrzejewski, ze strony niemieckiej – Hauptman von Britzke, właściciel zamku i majątku w Dąbrówce – von Kliting z Nowej Wsi, von Gersdorf z Bukowca i właściciel majątku z Pszczewa. Delegaci z Dąbrówki rozmawiali z Anglikiem Andrzejewskim, który im przyrzekł, że Dąbrówka będzie należeć do Polski; granicą będzie Zgniła Obra, która płynie poprzez łąki dąbrowszczan. Andrzejewski zapowiedział im też, że za kilka dni będzie u ks. dziekana Brauna w Dąbrówce.

Droga powrotna była bardzo uciążliwa. Granica niemiecka była pilnie strzeżona, nawet konno. Posterunek polski obserwował Niemców i w odpowiednim momencie, a było już szaro, dąbrowszczanie ruszyli grupami przez granicę. Teraz ciągnęli razem do Franciszka Nykla, gdzie umówili się na kolację.

Ksiądz Braun zmobilizował całą wioskę. Wszyscy ubrali się odświętnie w dąbrowieckie stroje. Z polskimi chorągwiami witali komisję, chcąc pokazać, że ludność Dąbrówki jest czysto polska, aby tym pewniej uzyskać przyłączenie do Polski. Niestety stało się inaczej. Ziemianie niemieccy byli silniejsi, bogatsi, umieli przepłacić i przekupić sprawę. Dąbrówkę odcięto od Macierzy.

Krew ojca miał w żyłach syn Pawła Budycha – Tomasz. 14 dni przed wybuchem wojny w 1939 r. 19-letni Tomasz Budych ze swym przyjacielem Stanisławem Kędziórą przeszli nielegalnie granicę, aby zgłosić się do wojska polskiego i walczyć przeciw hitleryzmowi. Przechwycono ich później i zasądzono za zdradę stanu na karę śmierci. Tomasz Budych umarł z wycieńczenia miesiąc przed straceniem. Michałowi Kędziórze zaś, jako jedyna pamiątka po synu pozostała, przesłana z więzienia zbroczona krwią odzież.



Dekoracja Wandy Chełkowskiej Złotym Krzyżem Zasługi na obchodzie 30-lecia Szkolnictwa Polskiego, w Nowym Kramsku dnia 14. 6. 1959 r.

Paweł Budych został aresztowany na miesiąc przed wkroczeniem wojsk hitlerowskich do Polski za zdradę stanu (Landes – und Hochverrat). Siedział on 1 i 3/4 roku w więzieniach w Świebodzinie, Frankfurt nad

Odrą i Berlinie. Sprawa sądowa odbyła się w Pile. Z powodu braku dowodów zasądzono go na 1/2 roku więzienia, zaliczając czas przetrzymania. Po zwolnieniu, przy przechodzeniu przez główną bramę więzienia, Paweł Budych został ponownie aresztowany. Przechodził znów z więzienia do więzienia. Później przebywał w obozie karnym w Wulheide, wreszcie osadzono go w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, gdzie pozostał do końca wojny. W całości przesiedział 5 i 3/4 roku.

Dąbrówka była ostoją polskości w powiecie międzyrzeckim. Jak żadna inna wieś umiała ona przed wojną, w czasie wojny, i po wojnie utrzymać swoją kapelę, tańce, pieśni i piękne stroje regionalne. Dąbrowczanie nie zgermanizowali się, choć otoczono ich kordonem „siedlerów”. Po wojnie pierwsza wysłała delegację do Kuratorium w Poznaniu z prośbą o uruchomienie szkół polskich, pierwsza też otworzyła szkołę. Tutaj zawiązało się najwcześniej życie społeczno-polityczne. Pierwszy starosta Pogranicza urzędował w Dąbrówce, dopiero później przeniesiono starostwo do Międzyrzecza. Pierwszym wójtem został Ludwik Kasprzak. Już w pierwszych dożynkach lubuskich, które miały miejsce w Gorzowie w 1945 r. Dąbrówka brała udział ze swym zespołem regionalnym. Później tutejszy zespół regionalny zdobywał liczne nagrody na występach, festiwalach i eliminacjach.

Mało wspomina się o człowieku, który był duszą całego polskiego życia kulturalnego wsi, a niestety nie doczekał się powrotu naszych przastarych ziem do Macierzy. Człowiekiem tym był niezapomniany przez ludność Dąbrówki Jan Budych IV – „prezes”, jak go krótko nazywano. Jan Budych, człowiek o bystrym umyśle, skromny i mało wymagający dla siebie, od młodych lat pracował nad utrzymaniem polskości tych ziem, marzył i wierzył, że sprawiedliwości stanie się zadość, że Polska będzie wolna. Kiedy niefortunna granica z 1919 roku odcięła Dąbrówkę od Polski, nie stracił on wiary, iż wróci ona kiedyś na łono Ojczyzny. Za naczelne zadanie uważał zapobieganie wynarodowieniu. Z grupą światlejszych obywateli zabiegał u władz niemieckich o naukę języka polskiego dla dzieci w szkole niemieckiej. Po długich staraniach władze zgodziły się na nauczanie języka polskiego w wymiarze jednej godziny tygodniowo. Ale nie tylko dzieci trzeba było uczyć języka polskiego. Należało też pamiętać i o starszych. Budych zorganizował w 1923 r. w Dąbrówce komórkę naczelnej organizacji polskiej na terenie Niemiec, jaką był Związek Polaków. Werbował do niej członków i był prezesem oddziału aż do roku 1939, to jest do rozwiązania organizacji przez Niemców. Świadczy to o wielkim zaufaniu, jakim darzyła ludność Dąbrówki Budycha, wybierając go co roku na swego prezesa. Największą aktywność wykazywał Budych w 1929 r., kiedy władze niemieckie zezwoliły na uruchomienie prywatnych szkół polskich z polskim językiem nauczania. I w Dąbrówce miała powstać szkoła, ale nielatwa była praca przy jej organizowaniu. Władze niemieckie z jednej strony zezwalały na otwarcie szkół, z drugiej starały się uniemożliwić jej otwarcie odmawiając budynku szkolnego. Prezes Budych uporał się jednak i z tą trudnością. Dzięki przychyłnej postawie miejscowych gospodarzy uzyskał izby na klasy szkolne u Błocha, Kostyry i Wieczorka. Druga ciężka praca, to zapisy dzieci do szkoły polskiej. Prezes Budych nikogo nie

nakłaniał do zapisania dziecka do szkoły, ale odwołał się do honoru narodowego. Mówił prosto: „Kto jest Polakiem, to wie, do której szkoły posła swoje dziecko”. I nie zawiódł się Budych na mieszkańcach Dąbrówki. Do szkoły polskiej zapisano 140 dzieci. W dniu 10 czerwca 1929 r. otwarto w Dąbrówce jedną z pierwszych szkół polskich na terenie Niemiec. Jest w tym niewątpliwie wielka zasługa Budycha. W dowód zaufania społeczeństwo wybrało Jana Budycha na przewodniczącego komitetu rodzicielskiego.

Jako prezes Związku Polaków interesował się Budych przysposobieniem rolniczym, zorganizowaniem kursu gotowania dla dziewcząt, działalnością koła śpiewaczego i orkiestry. Położył też zasługi przy założeniu i rozwoju Banku ludowego w Dąbrówce, w którym przez cały czas był przewodniczącym rady nadzorczej. Wkład pracy Jana Budycha doceniały najwyższe władze Związku Polaków w Niemczech i powołały go na członka Rady Naczelnej. Wyróżniono go też dyplomami i odznaczeniami. Członkiem Rady Naczelnej był Budych aż do wybuchu wojny.

Kiedy rozpoczęła się wojna, Jan Budych, liczący 55 lat, dostał się wraz z innymi do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen koło Oranienburga. Ale i tutaj nie załamał się, a przeciwnie, umiał podnieść na duchu tych którzy wątpili w odzyskanie wolności. Nie załamała go również wieść o wysiedleniu rodziny, miał na tyle hartu, że napisał do żony i dzieci słowa pocieszenia: „I dla nas jeszcze kiedyś słońce zaświeci”. Tam w obozie nie tracił nic ze swych dobrych cech charakteru. Dzielił się chlebem, a nawet jedynym papierosem. Dopiero pod koniec wojny, w marcu 1945 r. został wywieziony do Bergen-Belsen, gdzie zaginął po nim wszelki ślad.

Tych kilka słów nie wyczerpuje w zupełności zasług Jana Budycha. Dowodem jednak ich wielkości niech będzie fakt, że tuż po wojnie, w roku 1946, Polska Ludowa odznaczyła go pośmiertnie Złotym Krzyżem Zasługi.

* * *

Cofnijmy się znów myślą wstecz do czasu, kiedy dąbrowczanie tworzyli jedną wielką rodzinę. Żadna z innych polskich wiosek nie była tak silna i zwarta. Rodzice opiekowali się dziećmi bardzo troskliwie. Młodzież łączyła się z sobą, żeniono się w wiosce, aby się nie germanizować. O sytuacji w szkole kronika pisze: „Szkolą rodzice opiekowali się i dbali o nią jak o własną posiadłość. Dzieci uczyły się w 3 skromnych izbach, ale z większą dumą chodziły do szkoły jak dzieci niemieckie, którym wybudowano piękną, nową szkołę. Bank Ludowy zakupił także ziemię na plac pod budowę szkoły. Zbierano pieniądze, gospodarze dali z własnych lasów drzewo na budowę. Wszystko było przygotowane, tylko władze niemieckie nie dały zezwolenia na budowę.

Aby zgermanizować Dąbrówkę, Niemcy sprowadzili wybitnie wrogo usposobione do polskości rodziny niemieckie, którym nadano piękne gospodarstwa. Rozparcelowano majątek Britzkego, osadnikom wybudowano

nowe domy, powstał niemiecki „Siedlung”. Otoczono więc Dąbrówkę kordonem niemieczyny. Jednak nie zdołano zgnieść samej „ambasady polskości”.

„Trudna była praca dla tych, którym powierzono w owych czasach niewoli misję kultywowania ducha polskiego wśród robotników i chłopów polskich”. Tak pisała niegdyś jedna z polskich gazet i dalej nadmieniała: „Jest wzruszające, że ludzie idą na obce ziemie, ale do swoich braci. Idą, by służyć pomocą, by dawać im polskie słowo, jak wtedy, zda się, w tak odległych latach”. A Edmund Osmańczyk pisał między innymi: „Z trudem zdobyte słowo polskie stało się ogromnie wartościowym. Zrozumieliśmy, że za każde słowo wypowiedziane przyjmujemy na siebie odpowiedzialność”.

Mnie, młodej dziewczynie, powierzono właśnie taką pracę, odpowiedzialną, zaszczytną. Ani chwili nie zapominałam o swych obowiązkach wobec ojczyzny i ludu polskiego. Każdy z nauczycieli pracował więcej jak ze stuprocentowymi wynikami.

Kierownik Tomiak przekazał mi całą Grundschule, to znaczy klasy od pierwszej do czwartej. Praca była trudna, gdyż łączyłam klasę pierwszą z drugą, a trzecią z czwartą. Rezydencją moją była klasa w budynku Wiktora Błocha. W porównaniu do dzisiejszych klas była mała, lecz jakże miła. Na trzech lśniących czystością oknach wisiały śnieżno-białe firanki. Na parapetach stały doniczki z pelargoniami, które kwitły w różnych kolorach. Szafa była zrobiona zręcznie we wgłębieniu drzwi. Stół stał na podwyższeniu, tablica była duża, ławki bardzo długie, trochę niewygodne. To było moje królestwo. Klasę ozdobiłam dużymi, kolorowymi rysunkami i zdjęciami, które często zmieniałam i które wzbudzały zachwyt nie tylko naszego wizytatora Mozelewskiego, lecz nawet ponurego inspektora niemieckiego Quassa, który nawiasem mówiąc, wizytując nas trochę za dużo, nie tylko badał wyniki nauczania, lecz szperał bardzo starannie po wszystkich kątach, w szafie, w szufladach i nawet w teczkach dzieci. Często przyprowadzał z sobą inspektora z innego terenu, widocznie zgermanizowanego Polaka, gdyż znał on język polski. Zapominałam jego nazwiska. Wściekali się, gdy wyniki nauczania były dobre. Nigdy nie pochwalili. Dopiero, gdy byłam już mężatką i nie uczyłam, dowiedziałam się przypadkowo od nauczyciela niemieckiej szkoły p. Stachowicza, że inspektorzy bardzo chwalili mnie i według ich zdania byłam jedną z najlepszych młodych sił nauczycielskich naszego terenu. Nie mówię tego, aby się chwalić, tylko dlatego, aby pokazać stosunek niemieckich władz zwierzchnich do polskich nauczycieli. Nie pochwalili oni, aby cza-sem polski nauczyciel, zachęcony uznaniem, nie pracował, broń Boże, jeszcze wydatniej.

Oprócz religii, języka polskiego, matematyki, przyrody, historii, rysunków, prac ręcznych, uczyliśmy także trzy godziny w tygodniu języka niemieckiego. Niemcom zależało na tym, aby dzieci nasze władaly jak najgorzej językiem niemieckim, a nam zależało na tym, żeby dziecko opłano-owało język polski i również niemiecki. Dostateczna znajomość języka niemieckiego dawała dziecku swobodę poruszania się i była dla niego

kluczem do dalszego zdobywania wiedzy, dokształcania się, później zarobkowania. Na lekcjach języka polskiego opowiadaliśmy treść czytanki nie tylko po polsku, lecz także po niemiecku, co było niezmiernie trudne, gdyż dzieci mówiły w domu tylko językiem ojczystym i nie znały zupełnie języka niemieckiego. Nie wolno było tak uczyć, lecz dzieci zrozumiały naszą intencję, były przecież odpowiednio pouczone i nastawione. Najmniejszy szelest na korytarzu, a wszystkie dzieci natychmiast przestawiały się na przedmiot obowiązujący według planu.

Nasza praca nie kończyła się na zajęciach w szkole, jak to bywa teraz. Rozpoczynała się ona rano i trwała do późnej nocy. Często pracowaliśmy także w niedzielę. Po obiedzie. trzeba się było starannie przygotować do lekcji w dniu następnym. Oprócz tego nauczycielstwo wykonywało mnóstwo innych zadań i to zupełnie bezinteresownie. Pracowaliśmy w bibliotece, kierowaliśmy pracą młodzieży pozaszkolnej, mieliśmy różne wykłady, obsługiwaliśmy zebrania rodzicielskie, każdą akademię. Pisaliśmy regularnie sprawozdania i artykuły do gazet i czasopism polskich. Niektóre gazety z artykułami sprzed 26 laty szczęśliwym trafem dochowały się do dziś. Poniżej załączam odpis jednego z artykułów, który został zamieszczony w dodatku do „Gazety Olsztyńskiej” zatytułowanym „Głos Pogranicza i Kaszub” z dnia 16 grudnia 1932 r. (nr 51 rok IV).

ZEBRANIE RODZIELSKIE W WIELKIEJ DĄBRÓWCE

„W niedzielę 27 listopada br. po obiedzie o godz. 5-tej odbyło się na sali p. Weissa zebranie rodzicielskie. Zebranie trwało do godz. 8-mej, więc pełne trzy godziny. Ale mimo to na pewno nikt się nie nudził. Było nam wszystkim tak bardzo miło razem, że każdyby pewnie chętnie jeszcze raz tak długo siedział, przysłuchiwał i przyglądał się cudom, które nasza kochana działwa z pomocą swych troskliwych wychowawców przygotowała. No w każdym wypadku było tam bardzo ładnie; tak mi się wszystko podobało, że nie wiem wcale z którego końca mam rozpocząć swe opowiadanie. Było tego wszystkiego tak dużo, że mi się już połowa zapomniała, ale pomimo to postaram się o odtworzenie obrazu naszego wieczorku.

Nasz godny prezes p. J. Budyh IV przywitał serdecznymi słowami wszystkich zebranych na sali, a mówię wam, że było ich tak okropnie dużo, tak dużo, że się drzwi nie chciały dobrze zamknąć. No a teraz do tych cudów. Chór szkolny przywitał obecnych swoim wesołym „Bumcig” i nasze najmniejsze pociechy rozpoczęły, a nasze wielkie pociechy dokończyły.

Po dwóch wierszach o jesieni, które wygłosiło dwóch małych chłopczyków, kurtyna rozchyliła się po raz trzeci i ujrzano na scenie chłopczyka, przedstawiającego główkę pulchnej, zieloniutkiej kapusty, a drugiego, przedstawiającego potężną beczkę. Wesoły dialog beczki z kapustą nas wszystkich zabawił. Nastąpiła mała sztuczka pt. „Literki”. To nasze najmniejsze dziewczynki i chłopcyki siedzą na długiej ławie. Wielkie wstążki stroją ubrania i główki. Mała zgrabna dziewczynka trzyma książkę w ręce, marzy i opowiada dzieciom o literkach, które po chwili się naprawdę zjawiają; jedna po drugiej. Mali chłopcy przedstawiający litery: i, o, u, a, e wchodzi kłaniając się i rozmawiają z dziećmi. Bardzo się ta sztuczka wszystkim podobała. Nastąpiło znów parę wierszyków

i mała sztuczka „Wesoła trójka”, w której występują trzy małe dziewczynki, przystrojone za mydelko, grzebyk i miotłkę. I ta sztuczka się wszystkim podobała. Wiersz zakończył przedstawienie malców.

No a teraz ci wielcy się popisywali. Odegrano dość długą sztuczkę „Zaczarowany flet”. Niedobra, złośliwa macocha wywozi dziewczynkę do lasu i tam ją pozostawia, aby się dziecka na zawsze pozbyć. Biedactwo przełknięte woła, modli się, a wreszcie słodko zasypia. Przy marzącym świetle księżyca schodzą się ze wszystkich stron lasu prześlizne małe boginie, śpiewają i tańczą dookoła śpiącej dziewczynki. Rychło rano po zmówieniu paciorka, napotyka dziewczę staruszkę leśną-wróżkę. Sierota przebywa cały rok u staruszki, która daje jej na pamiątkę zaczarowany flet. Ów flet ma przedziwną moc. Wesołe jego tony uzdrawiają z każdej choroby, a gdy fujarka oddaje tony podobne do wyčia psa, to zły człowiek wypowiada natychmiast sam swoje winy i grzechy. Za pomocą fletu sierotka uzdrawia cierpiącego na melancholię królewicza, który z wdzięczności ofiarowuje jej swe serce i ją poślubia. Nieżyczliwa macocha i jej córka wyznają przy jękliwych tonach fletu swe ogromne przewinienie, które im jednak szlachetna sierotka daruje. Wszyscy cieszyliśmy się mocno, że spotkało biedne, ale dobre dziecko takie szczęście. Ale to tylko bardzo dobre i bardzo szlachetne sierotki mają takie wielkie szczęście.

Po odśpiewaniu piosenki „Sierotka” ogłoszono wierszyk „Słonko”. W końcu nastąpiły inscenizacje pięknego wiersza „Powrót taty”, bajek „Paweł i Gawel” i „Wyścigi jeża z żółcią”. W inscenizacji „Powrót taty” wzruszyło nas bardzo szlachetne serce zbója, które przy gorących modłach dzieci o swego drogiego ojca, się zbudziło i które zdołało nawrócić do dobrego, całą zgrają zbójów.



Szkoła w Dąbrówce

Bardzo śmieszne były wyścigi pomiędzy jeżem i zajęcem. No i wiecie wylazł tam na scenę prawdziwy zajęc, miał uszy i ogon, tylko był troszkę wielki, inaczej to byśmy się też omylili. Żebyście mogli słyszeć jak ten pan jeż na swoją babę wrzeszczał. Strach nas ogarnął. Z ostatnich dwóch bajek nauczyliśmy się, że nie powinno się nikogo krzywdzić. Tak samo nie mamy się wynosić ponad naszą wartość, nie mamy się w ogóle chwalić, bo na tym źle wyjdziemy.

Podczas przerw bawiła nas nasza wyśmienita orkiestra dąbrowiecka. Po przedstawieniu p. prezes Budych IV przemówił jeszcze raz kilka miłych słów i wszyscy rozeszliśmy się wracając pokrzepieni do naszych chat. Muszę wam jeszcze raz powiedzieć, że było bardzo ładnie. Siedzielibyśmy jeszcze godzinami, no ale trudno, wszystko dobre się kończy. Pociaszamy się jednak tą myślą, że wnet i to na gwiazdkę znów się wszyscy zobaczymy, co? A tymczasem do widzenia.

Każda zabawa letnia było uwieńczona tańcami, śpiewami i innymi występami artystycznymi naszych dzieci. Nauczyciel sporządzał wspólnie z dziećmi wszystkie stroje lub kierował ich wykonaniem. Praca uświadamiająca wśród młodzieży dorosłej i starszego społeczeństwa zabierała nam sporo czasu. Utrudniało ją także nieustanne śledzenie nas przez renegatów i gestapowców. Częste przesiedlania nauczycieli i utrata praw nauczania sprawiły, że od czerwca 1929 do 1 września 1939 r. uczyło w Dąbrowce aż 18 nauczycieli. Chcę tu wspomnieć o jednym z najbardziej lubianych i zasłużonych nauczycieli, jakim było kolega Maza, który pracował przez kilka lat w Dąbrowce.

Prowadził orkiestrę dętą, która utrzymała się do dziś. Ożenił się z Janiną Kowską, siostrą Bogdana Kowskiego, nauczyciela w Starym Kramsku. Ślub Janiny Kowskiej odbył się w Dąbrowce. Później kol. Maza przeniesiony został na Warmię, skąd hitlerowcy uprowadzili go do obozu koncentracyjnego i zamordowali. Pozostała jego żona i dwoje małych dzieci. Ostatnio pracowała ona jako nauczycielka w Złotowie, w woj. korszalińskim.

Mego męża poznałam w Dąbrowce. I znów trzeba było poświęcić się dla sprawy. Związek Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech nie chciał się absolutnie zgodzić na moje zamążpójście, gdyż jako mężatka utraciłabym od razu prawo nauczania. Aby przeszkodzić moim małżeńskim zamiarom, przeniesiono mnie do Wielkiego Buczka, w powiecie złotowskim. Z ciężkim sercem opuściłam Dąbrowkę, którą pokochałam. Pewnego poranka trzeba było się jednak pożegnać i wyjechać. Było to wiosną 1933 roku. Zajechałam do Lipki, w powiecie złotowskim. Ze stacji zawieziono mnie powózką do Wielkiego Buczka.

Mała ta, lecz czysto polska wioska, liczyła wtedy niecałe 500 mieszkańców. Zachwycało mnie cudowne jej położenie. Część wioski leżała w dolinie, część na pagórku, otoczona polami i bujnymi łąkami, przez które wiała się srebrzysta rzeczka. Było w niej dużo raków, a woda zimna jak lód. Dalej ciągnęły się ogromne lasy, w których rosły jałowce wysokie jak sosny, a w dolinach świeciły wieczorami miliony świetlików. Kryła się tu wszelkiego rodzaju zwierzyna leśna, a przede wszystkim jelenie, nawet

białe. W księżycowe jesienne noce słychać było ryk. Za lasami były jeziora. W ich sitowiu i trzcinie straszyły nocą dzikie kaczki i kurki wodne. Pokochałam szczerze tę cichą, maleńką wioskę.

Mili i serdeczni byli tu także ludzie, że wspomnę rodzinę Czarnotów, Lachów, Boninów i bardzo wiele innych, których nazwisk już nie pamiętam. Szybko zdobyłam sobie serca młodzieży szkolnej jak i pozaszkolnej. Założyłam świetlicę. Praca była bardzo wdzięczna, jak w małej której polskiej placówce. Zimowe wieczory spędzaliśmy w świetlicy, gdzie czytano książki, wykonywano ręczne roboty, śpiewano nasze polskie piosenki, przygotowywano amatorskie przedstawienia. Latem młodzież, nie wykluczając dziewczynek, zajmowała się sportem. Robiliśmy piękne majówki, pieszo lub rowerami, jeździliśmy łodziami na jeziorze koło Stołunia. W naszej pracy pomagał nam ksiądz proboszcz Sobierajczyk. Z początkiem wojny został zaaresztowany i osadzony w obozie koncentracyjnym, w którym zginął.

Nauczycieli było trzech. Praca nie różniła się wiele od pracy w Dąbrowce. Z płaczem żegnały mnie dzieci, gdy po półtorarocznej pracy przeniosłam się do Berlina. Długo otrzymywałam od nich całe pliki listów.

Dla dokładnego zobrazowania stanu polskiego prywatnego szkolnictwa w powiecie złotowskim, podaję spis według stanu z października 1933 r. z uwzględnieniem ilości nauczycieli, klas i dzieci.

Miejscowość	Ilość nauczycieli	Ilość klas	Ilość dzieci
Blenkwid	1	1	31
Buczek Wielki	3	3	90
Buntowo	1	1	25
Drożyska Wielkie	1	1	7
Głomsk	2	3	56
Głubczyn	1	1	19
Kleszczyna	1	1	24
Królewska Wieś	1	1	25
Nowa Święta	1	1	21
Osówka	1	1	21
Podróża	1	1	42
Radawnica	1	1	32
Rudnica	1	1	28
Sławianowo	1	1	18
Stawnica	1	1	37
Szkic	2	3	62
Święta	2	2	40

Wspomnienia

Wersk	1	1	12
Wiśniewka	2	3	58
Zakrzewo	4	5	146
Złotów	2	3	47
Złotów-Błoto	1	1	23
Razem:	32	37	864

W powiecie Międzyrzecz:

Dąbrówka Wielka	3	3	140
-----------------	---	---	-----

a w powiecie Babimost:

Nowe Kramsko	3	3	104
Stare Kramsko	1	1	14
Podmokle Małe	2	2	61
Podmokle Wielkie	1	1	32
Razem:	7	7	211

Ogółem na Pograniczu było 42 nauczycieli, 48 klas i 1215 dzieci.

W Berlinie pracowałam od 1. 7. 1934 do grudnia 1935 roku. Uczyłam na Charlottenburg-Goethestr., na Kranststr i na Alt-Moabit. Były to kursy popołudniowe. Frekwencja na nich była różna, co bardzo utrudniało pracę. Kierował nami kolega Golisz, którego hitlerowcy zamknęli w fortecy Tegel obok Berlina, skąd już nie wrócił. Prawdopodobnie został rozstrzelany. Prócz obowiązujących przedmiotów czytaliśmy z dziećmi przedstawienia. Dzieci występowały na licznych zebraniach rodzicielskich, akademiach i wieczorkach. Nauczyciel pracował tam całą duszą i sercem, nie szczędząc wysiłku.

Oprócz pracy z młodzieżą szkolną dużo czasu zajmowała nam praca z młodzieżą pozaszkolną, która uczęszczała także na kursy języka polskiego. Prowadziłam kurs dla początkujących, a kolega Feliks Straszyński dla zaawansowanych. Kursy odbywały się w Domu Polskim na Dresdenstr. Z młodzieżą żeńską zaś, uprawialiśmy gimnastykę, gry i zabawy sportowe i towarzyskie, uczyliśmy szycia i prac ręcznych. Wymienione zajęcia wypełniały nam czas po obiedzie, wieczory i niedziele. Przed obiadem pracowałam w biurze Związku Polaków na Dorothenstr. i to w różnych dziedzinach, najdłużej w redakcji „Dziennika Berlińskiego”. Tam poznałam Edmunda Osmańczyka, naszego wybitnego redaktora i publicystę, sekretarkę Związku Polaków w Niemczech, Eleonorę Bednarkiewicz, dziś Stejakowską, rodem z Nowego Kramska, Helę Lerównę i wielu innych działaczy. Często wołano nas do konsulatu lub ambasady i udzielano ważnych wskazówek lub ostrzeżeń.

Pracując w szkolnictwie polskim w Niemczech zetknęłam się z wieloma zasłużonymi działaczami polskimi. Poznałam Marię Zientarównę, obecnie Malewską, poetkę Warmii i Mazur. Pracowała w Berlinie, na Złotow-

szczyźnie i w Nowym Kramsku. Za pracę swą została aresztowana i wywieziona do obozu koncentracyjnego, skąd wróciła z nadszarpniętym zdrowiem. Już od młodszych lat pisała ona wiersze, mimo, że była zawsze bardzo zajęta pracą dla ludu. Po wojnie była wizytatorką przedszkoli w Olsztynie. Obecnie pisze dużo i recytuje swe piękne wiersze na spotkaniach autorskich. W pracy na ziemi złotowskiej wybił się Izydor Maćkiewicz, kierownik dzielnicy V Związku Polaków w Niemczech, organizator życia polskiego na Pograniczu. Za swą pracę został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi i dziś otrzymuje rentę dla zasłużonych jak i inni działacze Ziemi Złotowskiej oraz Warmii i Mazur. W Podmoklach działali nauczyciele Knak, Żurawski i Grot. Ostatni zamęczony został w obozie koncentracyjnym, a Knak pracuje w Pszczewie. W obozie zginął też nauczyciel Sarnowski z Podmokli. W Starym Kramsku przez dwa lata przed wojną był nauczycielem Bogdan Kowalski, który teraz znów tam pracuje jako kierownik szkoły. Za swą dzielną postawę został z innymi osadzony w obozie koncentracyjnym. W Nowym Kramsku poza Marią Zientarówną uczyli w szkole Henryk Jaroszyk, Jadwiga Kapałówna, Roman Jaskulski oraz bardzo znany i szanowany kierownik Władysław Sroka.

Do Nowego Kramska przyjeżdżaliśmy co najmniej raz na miesiąc i to do Banku Ludowego, po nasze pobory. Kierownikiem Banku Ludowego był Feliks Bednarkiewicz, znany, stary działacz, podobny do patriarchy. Gdy był młodszy i zdrowszy był duszą życia polskiego na Babimojszczyźnie. Zmarł nie doczekawszy się wolnej Polski, dla której całe życie przepracował. Córka jego Eleonora pracowała przez 16 lat w Centrali Związku Polaków w Berlinie, za co przez całą wojnę przebywał w obozie koncentracyjnym, skąd wróciła ze zmarnowanym zdrowiem. Mimo to stanęła do pracy na naszych ziemiach zachodnich. Wspomnę jeszcze o zamęczonym w obozie Wacławie Fabisiu, również działaczu tamtejszym. Córka jego Maria, dzisiaj Kwoczkowa – żona działacza na Opolszczyźnie prowadziła kursy gotowania i haftu na naszych terenach.

Wróćmy znów do Dąbrówki.

W październiku 1935 r. zdecydowałam się wyjść za mąż. Wtedy niestety musiałam pożegnać się z pracą nauczycielską, gdyż Niemcy nie zezwalali pracować mężatkom w szkolnictwie polskim. Tak samo zostały skrzywdzone Jadwiga Kalinowska, dzisiejsza Jaroszykowa i Janina Weberowa, żona nauczyciela Mazy. Z końcem grudnia 1935 wróciłam do Dąbrówki. Bramy szkolne były dla mnie mężatki zamknięte.

W tym czasie bywali u nas nauczyciele i inni działacze polscy. Przychodzili robotnicy i rolnicy z prośbami o różne porady o pisanie różnych wniosków. Niemcy to obserwowali i niebawem ukazał się w niemieckiej gazecie artykuł pt. „Ziegenbock im Garten”, w którym wymieniono nazwiska ludzi przebywających u nas i rozpisywano się szeroko o tajnych zebraniach, przez nas organizowanych. Było w tym dużo racji. O czym mieli mówić szykanowani na każdym kroku Polacy, jak nie o sprawach, tyjących się polskości, o naszych prawach i nienawiści do hitleryzmu? Śmiało wypełnialiśmy listę spisową wpisując w rubrykę „Volksguehörigkeit” sobie i dziesiątkom innych, którzy się wahali słowo „Pole”.

Tak jak Zakrzewo było ostoją polskości na ziemi złotowskiej, tak była nią w międzyrzeckim Dąbrówka. Nie usłyszano tutaj niemieckiego słowa. Raczej przeciwnie – Niemcy mówili po polsku, jak np. ks. Binder, kowal Ross, ogrodnik Grieser. Dąbrówka była dla hitlerowców solą w oku. Drażniły ich dąbrowieckie piosenki, obyczaje staropolskie, piękne tańce i stroje regionalne, które noszono z dumą.

Prawa Polaków w Niemczech malały z dnia na dzień. Nie wolno było Polakom nabywać ziemi, budować się. Zwalniano ich z lepszych prac. Zamknięto znów gdzieś szkołę. Wstrzymano podręczniki polskie. Władze nie zgodziły się na powołanie dalszych nauczycieli obywatelstwa polskiego. Nie zezwolono na przeprowadzenie planowanej uroczystości, czy zlotu. Za najmniejsze przewinienie karano surowo. Już przed wybuchem wojny wywłaszczono pierwszych Polaków ze wsi, o czym zresztą wspomniałam.

Po wybuchu wojny natychmiast zamknięto szkoły polskie. Na każdym kroku Niemcy ograniczali nasze prawa, ale obowiązki się zwiększały. Wyszło nowe rozporządzenie: każdy obywatel niemiecki do 60, czy 70 lat, nie pamiętam już dokładnie, musiał posiadać „Arbeitsbuch”, w której notowano kwalifikacje, zawód i jego umiejętności. Mój Arbeitsbuch miał następujące adnotacje:

Wyszktałcenie zawodowe – rubryka świeci pustką.

Inne kwalifikacje zawodowe – sprzedawczyni (widocznie dlatego, że pomagałam teściowej w sklepie.

Umiejętności rolnicze – kopanie i żniwowanie buraków, dojenie krów.

Specjalne umiejętności – znajomość języka niemieckiego i polskiego, pisanie na maszynie.

Nie wspomniano, że znam język francuski i angielski.

Hitlerowcy nie wstydzili się zabrać nam mężów, braci i synów do swego wojska. Wojsko niemieckie, które szło na Zbąszyń dokuczało niejednemu z mieszkańców Dąbrówki.

Krótko po napadzie na Polskę, 14 września 1939 r. rozpoczęły się masowe aresztowania. O świcie rozległo się w całej wsi szczekanie psów. Hitlerowcy stukali do drzwi i wyprowadzali nieszczęśliwych. Zaaresztowano wtedy: Jana Flejsierowicza, Wojciecha Gołka, Jana Gołka I, Jana Budycha IV, Wojciecha Budycha, Tomasza Seperanta, Wicentego Kleszkę, Teodora Pawelskiego, Marcina Bimka, Pawła Kwaśnego, Franciszka Niemca, Alfonsa Barczewskiego, Marię Świerszczównę, Franciszka Dybowskiego, Jana Muntko, Piotra Matysiaka, Andrzeja Marię, Walentego Berenta, Wicentego Młodystacha, Kaczmarka, Krzyżana i proboszcza Leona Bindera. Z wysiedlonych uprzednio do Berlina aresztowano, jak już wspomniałam Ludwika Kasprzaka i innych.

* * *

Kiedy wywieziono ze wsi naszych najdzielniejszych, płakaliśmy wspólnie jak wielka rodzina, staraliśmy się o ich powrót. Pisałam wnioski o zwolnienie z więzień, obozów koncentracyjnych do różnych kompetentnych urzędów, nawet do najwyższych instancji.

Pewnego wieczoru stałam przed domem przy płocie ogrodu. Było parno, z zachodu nadciągały ogromne, czarno-granatowe chmury. Nadchodziła ciężka burza. Od strony Zbąszynia nadchodziło dwoje młodych ludzi, dziewczyna i chłopak. Szli bardzo szybko, boso. Zniszczone obuwie zwiślało z ramion na plecy i na piersi. Chłopak dźwigał walizkę, dyszał ciężko. Na piersiach widniał kawałek żółtego płótna, a na nim znak „P”. Zatrzymałam ich i poprosiłam, by wstąpili, odpoczęli i poczekali aż burza przejdzie. Obawiali się, aby nie wejść w konflikt z policją, gdyż musieli jeszcze przed zmrokiem dojść do jednej z wiosek blisko Międzyrzecza, w której pracowali oboje w majątku obszarnika niemieckiego. Tego wieczora ogarnęła mnie złość i rozpacz. Złość dlatego, że Polacy wyrzuci z wszelkiego prawa muszą się niewinnie tułać po więzieniach, obozach koncentracyjnych, po niemieckich majątkach, harować od rana do wieczora za strawę, której by często pies nie jadł. Rozpacz dlatego, że byłam bezsilna i nie mogłam nic zrobić.

Siadłam i pisałam całą noc, cały dzień, o sytuacji w jakiej znaleźliśmy się, o obowiązkach, o nikłych prawach, niesprawiedliwości i cierpieniach.

Mijały tygodnie i miesiące. Wyczuwałam, że to cisza przed burzą. Komisarz Bürger oprowadzał po gospodarstwach Niemców. Oglądano i nasz domek, spisywano meble, mówiono znów o wysiedleniach.

Wybrałam się do Międzyrzecza do Landrata. Funkcję tę pełnił po dr. Iden, zażartym hitlerowcu, niejaki Daluge, Niemiec, lecz człowiek sprawiedliwy.

Ciekawy traf losu. Na jego biurku zobaczyłam mój list, pisany do władz hitlerowskich do Berlina, trzy miesiące temu. Wiele zdań podkreślono w nim czerwonym i niebieskim ołówkiem. Nawiązałam natychmiast do treści tego listu. Dowiedziałam się, że Landrat miał stwierdzić, czy stosunki przedstawiają się rzeczywiście tak, jak to wyłożyłam w liście. Ze wzruszeniem zapewniał mnie, że starał się wspólnie z Landratem powiatu sulechowskiego sprawę tę załatwić korzystnie dla tutejszych Polaków, niestety, mówił „pociąg już w szalonym pędzie i nie zdołaliśmy go zatrzymać”. Pokazał mi spis tych, którzy w najbliższym czasie mieli być wysiedleni. Pamiętam, że na spisie figurowały nazwiska Tomasza Kociołka, Katarzyny Flejsierowicz oraz Piotra Niemca i nasze nazwisko. Spis ten przesłało gestapo ze Świebodzina. Termin wysiedlenia miano podać telefonicznie. Daluge ubolewał nad naszym losem i mówił, że na fundamencie krzywd i okrucieństw Niemcy istnieć nie mogą. Przewidywał, że wojna jest dla Hitlera przegrana. Opowiadał dalej, jak okropnie przeżywał wieszanie Polaków w Polsce, tuż przy granicy, przy którym musiał być obecny. Żegnał mnie ze łzami w oczach. Podobnie wypowiedział się później przed Stanisławem Budychem.

Po powrocie z Międzyrzecza powiadomiłam natychmiast tych, nad głowami których wisiało nieszczęście. Pamiętam, że Katarzyna Flejsierowicz nie spodziewała się wysiedlenia. Posiadała przecież tylko mizerne pół chatki, któżby się łakomił na tę nędzną sadybę? Nie dowierzała więc moim słowom. Wszyscy powiadomieni mogli się zabezpieczyć, ukrywając lepsze rzeczy i przedmioty u znajomych i krewnych. Wkrótce ich wysiedlono. Nie za długo Daluge został zwolniony z obowiązków Landrata.

* * *

Zimą wstrzymano mi kartki żywnościowe i wezwano do gestapo do Świebodzina. Było to 8 lutego 1943 r. Osadzono mnie w więzieniu w Świebodzinie. Po trzech miesiącach wywieziono mnie do więzienia we Frankfurcie nad Odrą, następnie do więzienia w Berlinie. 22 maja tegoż roku przewieziono mnie do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, gdzie pozostałam do końca wojny. W Dąbrowce fala wysiedleń szalała dalej. W trzy tygodnie po moim aresztowaniu wywłaszczono moją rodzinę. W moim domu zamieszkał komisarz Bürger. Tu było mu wygodniej przyjmować interesantów, którzy pragnęli nabyć dąbrowieckie „Erbhöfe”. Wszyscy wywłaszczeni poniewierali się po niemieckich majątkach, rozsianych w Reichu, w więzieniach, w obozach. Tęsknili za rodzinnymi stronami, z sercami pełnymi wiary i nadziei w lepsze jutro.

Dzień i noc myślałam o Dąbrowce, o rodzinie, o dzieciach. Nieraz ogarniała mnie rozpacz. Nawet w obozie koncentracyjnym los nie oszczędził mi przykrych niespodzianek. Nieszczęście prześladowało mnie na każdym kroku. Już w lipcu 1943 r. dostałam wiadomość o śmierci matki. Nie doczekała się biedaczka powrotu jedyne dziecko. W pół roku później dotknął mnie drugi cios: dzieci leżały śmiertelnie chore w szpitalu. Drżałam o ich życie, rozpacz moja nie знаła granic.

W obozie o czwartej rano ryczały syreny. Wszystko trzeba było wykonywać w pośpiechu. Śniadanie – czarna kawa, skibka suchego chleba. Następnie apel, czasem kilkugodzinny. Kobiety mdlały, padały, a potem prowadzono nas do pracy. Maszerowało dwa tysiące kobiet w rzędach po pięć, krokiem wojskowym. Kazali – śpiewać – śpiewaliśmy, choć pierś rozdzierał ból. Niejedno słyhać było westchnienie, niejeden szloch. Miliony łez zrosiły drogę, po której chodziłyśmy. Z lewej jej strony była psiarnia, w niej tresowano psy dla SS-manów, którymi według hitlerowskiej metody kultury szcuto ludzi. Opodal ponure krematorium, którego kominy kopciły dniem i nocą. Po prawej stronie drogi leżało jezioro. W jesienne i wiosenne poranki unosiły się nad nim opary, jak groźne duchy. Więźniarki wykonywały różne prace w obozie, poza obozem, w lesie, w fabryce Siemens, w biurach, w kuchni. Za każde przewinienie karali surowo, bili, wsadzali do bunkra, do strafboku. Tego, który przetrzymał ten „uniwersytet hitlerowski”, chyba już nikt w życiu nie zdoła załamać. To była szkoła ponad szkoły. Przeszły ją dziesiątki tysięcy kobiet. Ostatnie numery dochodziły do stu pięćdziesiąt tysięcy. Spotkałam tam znajome, między nimi żonę

kolegi Grota, który kiedyś pracował w Podmoklach Małych, Eleonorę Bednarkiewicz i inne, nie z tych terenów.

Potem nadszedł 14 lipiec 1944 r., najnieszczęśliwszy dzień mojego życia. Jak grom spadła na mnie wieść o nagłej śmierci mego męża. Włókłam się, jak śmiertelnie zranione zwierzę. Straciłam to, co najcenniejsze na tym świecie: miłość matki i miłość męża. Życie traciło dla mnie urok. Cóż uczyniłam złego, że spadło na mnie tyle cierpień. Zdawało mi się, że tego nie przeżyję, lecz przed oczyma stanęły mi dzieci. Dla nich muszę przecież żyć.

Czas i praca zagoiły rany, choć pozostały głębokie blizny na całe życie.

* * *

Wreszcie nadeszła dla Polaków i wielu innych narodów wolność. Po uciążliwej podróży wróciłam do Dąbrówki. Bardzo wzruszające było spotkanie z moimi dziećmi. Były przez wiele miesięcy bez ojca i matki – sierotami.

Nadśluchowały, gdy wymówiłam pieśczośliwie ich imiona. Coś im się przypomniało. Patrzyły na mnie i nagle czworo rączek chwyciło mnie za szyję. Czworku oczu zabłysło radosnym szczęściem. Usta szeptały najdroższe dla dziecka słowo „mamo”. Był to dla nas bardzo szczęśliwy dzień. Dla mnie chyba najszczęśliwszy po powrocie z obozu. Miałam przecież dla kogo żyć i pracować.

We wrześniu 1945 roku rozpoczęłam pracę jako nauczycielka w Dąbrówce. Później zatrudniona byłam jako kierownik świetlicy w Dąbrówce, księgowa w Bukowcu, kierownik Wiejskiego Domu Kultury w Nowym Kramsku, nauczycielka w Bukowcu – ostatecznie znów uczyć w szkole w Dąbrówce, nadal z zamiłowaniem pracując społecznie.

Wychowuję już dzieci tych pokoleń, które uczyłam przed wojną, jako młoda, ambitna, ofiarna, rozmiłowana w swym zawodzie nauczycielka. Chociaż zmęczona przeżyciami, troskami i pracą, Chełkowska pracuje z tym samym zamiłowaniem, jak kiedyś młodzianka Pałuczakówna, później Niemcowa.

* * *

Przeminęły lata, lata przeplatane szczęściem i smutkiem, radością i cierpieniem. Nadeszła jesień życia. Dzieci wyfrunęły w świat jak ptaki z gniazda, chociaż często wracają pod rodzinną strzechę. Wieczorem, gdy zmrok zapada, gdy wicher gwizdże i huczy, kiedy deszcz bije o szyby, myślę o minionych czasach – o mężu, jaką niesie ludziom wojna. Wtedy rodzi się we mnie bunt, przeciw znów odradzającym się w Niemczech zachodnich tendencjom wojennym. Wszystko powinniśmy uczynić, co w na-

szej mocy, by zapobiec szaleńczym planom rewizjonistów, by raz na zawsze przekreślić ich zamierzenia. Idzie gra o wielką stawkę, o przyszłość naszych dzieci, o spokój i szczęście narodów.

DOKUMENTY

Prezydent Rejencji
I A O 5. ol Nr 5/30.5

Frankfurt nad Odrą, dnia 13 maja 1942

Do

**Pani Franciszki Kociolek
w Dąbrowce Wielkopolskiej
ulica Główna 25**

W załączeniu przesyłam odpis zarządzenia, którym na mocy ustawy o konfiskacie mienia wrogiego dla narodu i państwa, skonfiskowałem Wasze całe ruchome i nieruchome mienie na rzecz Rzeszy Niemieckiej. Konfiskata uprawomocnia się w stosunku do Was z dostarczeniem niniejszego pisma, a w stosunku do Waszego męża przez ogłoszenie w Niemieckim Państwowym Dzienniku Rzeszy i Prus. Przeciw temu zarządzeniu nie przysługują środki prawne. Wskutek tego, musicie się powstrzymać od dalszego rozporządzania wszystkimi przedmiotami, znajdującymi się dotąd w Waszym posiadaniu.

W zastępstwie

podpisał: Kothe

Uwierzytelniał

Fahrentholz

urzędnik kancelarii rejencji

Pieczęć okrągła

Zarządzenie konfiskaty

Na podstawie ustawy o konfiskacie mienia wrogiego dla narodu i państwa z dnia 14. 7. 1939 (Dziennik Ustaw Rzeszy I str. 479) łącznie z dekretem Führera i kanclerza Rzeszy z dn. 29. 5. 1941 (Dziennik Ustaw Rzeszy I str. 303) konfiskuje się niniejszym ruchome i nieruchome mienie rolnika Tomasza Kociołka, urodzonego dnia 15. 12. 1900 roku w Dąbrowce Wielkopolskiej, na razie niewiadomego miejsca pobytu oraz jego żony Franciszki z domu Golek, ur. 18. 8. 1903 r. w Dąbrowce Wielkopolskiej, zamieszkałej tamże, ul. Główna 25, na rzecz Rzeszy Niemieckiej, jako używane lub przeznaczone do popierania dążeń, które uważać należy według dochodzeń Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Rzeszy jako szkodliwe dla narodu i Rzeszy.

Frankfurt nad Odrą, dnia 13 maja 1942 r.

Prezydent Rejencji

w zastępstwie

Kothe

IJA 0 5. ol Nr 5 30.5

Starosta
powiatu międzyrzeckiego
L. dz. L. I. 905/42

Międzyrzecz, dnia 24 czerwca 1942 r.

Pieczęć okrągła

Do

**Pani Franciszki Kociołek
w Dąbrowce Wielkopolskiej
ul. Główna 25**

Na mocy udzielonego mi pełnomocnictwa w myśl § 1 ustawy o zabezpieczeniu granic Rzeszy i o środkach odwetowych z dnia 9. 3. 1937 (Dziennik Ustaw Rzeszy I str. 281) łącznie z §§ 1 i 4 zarządzenia Prezydenta Rzeszy w sprawie ochrony narodu i państwa z dnia 28. 2. 1933 (Dziennik Ustaw Rzeszy I str. 83) zakazuję Wam i Waszym małoletnim dzieciom: Janinie, Józefowi, Stanisławowi i Kajetanowi dalszego zamieszkiwania i pobytu na terenie granicznym i na włączonych terenach wschodnich, określonych w § 11 pierwszego zarządzenia wykonawczego do ustawy o zabezpieczeniu granic Rzeszy i o środkach odwetowych w ujęciu zarządzenia o zmianie z dnia 27. 2. 1939 (Dziennik Ustaw Rzeszy I str. 356). Musicie opuścić z dziećmi wspomniany teren graniczny w ciągu 8 dni, licząc od dnia doręczenia niniejszego zarządzenia. W wypadku nie wykonania tego zarządzenia lub wykonania go w innym czasie, mogą być wdrożone przymusowe kroki policyjne, ponadto podlegać będziecie karze.

Przeciw temu zarządzeniu dopuszczalne jest zażalenie do Pana Prezydenta Rejencji we Frankfurcie nad Odrą w ciągu 14 dni, licząc od dnia dostarczenia, które należy złożyć u mnie. Zażalenie nie ma mocy odraczającej.

podpis nieczytelny
W zastępstwie

Starosta
powiatu międzyrzeckiego
L. dz. A 203/41 g

Międzyrzecz, dnia 17 lipca 1941

Do

**Pana Tomasza Kociołka
Miejsce pobytu nieznanne**

Na mocy udzielonego mi pełnomocnictwa w myśl § 1 ustawy o zabezpieczeniu granicy Rzeszy i o środkach odwetowych z 9 marca 1937 (Dziennik Ustaw Rzeszy I str. 281) łącznie z §§ 1 i 4 zarządzenia Prezydenta Rzeszy w sprawie ochrony narodu i państwa z dnia 18 lutego 1933 (Dziennik Ustaw Rzeszy I str. 83) zabroniłem Wam dalszego miesz-

kania i pobytu na terenie granicznym, określonym w § 11 pierwszego zarządzenia wykonawczego do ustawy o zabezpieczeniu granicy Rzeszy i o środkach odwetowych w ujęciu zarządzenia o zmianie z dn. 27 lutego 1939 (Dziennik Ustaw Rzeszy I, str. 356).

Wydalenie z granic uzupełniam jak następuje:

Wydalenie z granic rozciąga się na włączone tereny wschodnie.

Podpis nieczytelny

Odpis

Kosieczyn, dnia 29 stycznia 1943

Obwodowy Komisarz Policji

L. dz. 239/A 3

Do

**Posterunku Policji Państwowej
w Świebodzinie**

Dot: wdowy Anny Pawelskiej i córki Marianny w Dąbrówce Wielkopolskiej.

Gdy dn. 26. 6. 1942 ustalona została szkodliwość zmarłego rolnika Teodora Pawelskiego z Dąbrówki Wielkopolskiej dla państwa i narodu, zarządził Pan Prezydent Rejencji we Frankfurcie nad Odrą dnia 23. 10. 1942 konfiskatę mienia rodziny Pawelskich a pan starosta wydał zarządzenie z dnia 29. 10. 1942 r. o wydaleniu z granic. Wdowa Anna Pawelska, z domu Budych, urodzona dnia 18. 7. 1895 odmówiła przyjęcia odnośnego zarządzenia, tak, że zarządzenie to dn. 3. 11. 42 zostało jej doręczone przez pozostawienie w mieszkaniu. Oświadczyła mi ona następnie, że nie wiedziała, gdzie miała wywędrować. Zaleciłam, jej aby się skontaktowała z Urzędem Pracy we Frankfurcie nad Odrą, gdzie przydzielą jej odpowiednie miejsce pracy. Jeżeli już przez odmowę przyjęcia zarządzenia o wywłaszczeniu i wydaleniu z granic – dowiodła, że zamierza robić trudności, to stało się to oczywistym, gdy 20. 11. doniesiono jej, że może otrzymać pracę w zarządzie majątku w Lossow pod Frankfurtem nad Odrą, lecz ona odmówiła przyjęcia tego miejsca. Podała, że jako 50-letnia kobieta (ma dopiero 47 lat) nie może więcej pracować. Dalej podała, że nie może się wyprowadzić bez pomocy swego syna, służącego jeszcze w wojsku. Syn miał być ranny (postrzał w głowę) i znajduje się w kompanii zdrowotnej w Gorzowie. Dalej syn Wojciech został następnie przeniesiony do Berlina i dnia 12 bm. zwolniony. Od tego czasu znajduje się tenże również w Dąbrówce Wielkopolskiej. O jego wydalenie z granic wniosłem do pana starosty.

Powiedziałem następnie kobiecie, że nie rozchodzi mi się o to, aby wyprowadziła się natychmiast z Dąbrówki Wielkopolskiej, ma jednak w każdym razie zniknąć z Dąbrówki Wlkp. Wyznaczyłem jej wtedy stanowczo ostateczny termin na dzień 21. 12. 42 w którym miała opuścić gospodarstwo w Dąbrówce Wlkp. Ponieważ także i tego wezwania nie wykonała, eksmitowałem ją dnia 22. 12. z jej mieszkania pod przymusem policyjnym. Pawelska wyjechała wtedy ze swoją córką Marianną, która również twierdziła, że nie może wykonywać żadnej pracy z powodu swej choroby ręki, najpierw do Bukowa do Wojciecha Budycha, również wydalonego z granic, a następnie powróciła przed kilku dniami do Dąbrówki Wlkp. Syn Wojciech przybył wówczas, dnia 25 lub 26 I. do mnie i sta-

rał się uzyskać dalszą zwłokę dla swej matki. Wtedy odpowiedziałem synowi, że daję matce ostatni termin do czwartku dn. 28. I. Jeżeli tego terminu nie dotrzyma, wtedy każę ją aresztować i odesłać do obozu koncentracyjnego, jak to już jej często groziłem. Na to przyrzekł syn, że spowoduje aby matka natychmiast opuściła Dąbrówkę Wlkp. Dziś przyniosła pani Pawelska załączone pismo Urzędu Pracy z Frankfurtu nad Odrą, że na razie nie może być zatrudniona w miejscu pracy. To zaświadczenie podpisane jest przez dr Doleczek lub podobnie. Dotychczasowe zachowanie się wdowy Pawelskiej i jej córki Marianny świadczy, że opierają się one swemu wydaleniu z granicy i dlatego proszę o podjęcie przeciwko nim kroków przez policję państwową, gdyż istniejące w mej dyspozycji środki przymusu i kary pieniężne – nie prowadzą do celu. Dziś kazałem obie aresztować i przekażę je dnia 30. I do sądu powiatowego w Świebodzinie do waszej dyspozycji. Małoletni i również wysiedlony z granic syn Stanisław, urodzony dn. 13. 11. 29 znajduje się u swej ciotki, wdowy Pałki w Dąbrówce Wlkp. ul. Mała i chodzi jeszcze do szkoły. O pobycie obu kobiet proszę mnie zawiadomić abym mógł później usunąć również syna Stanisława.

podpisano: Hagemann

Obwodowy Komisarz Policji
L. dz. 3172/42

Kosieczyn, dn. 22 grudnia 1942 r.

Do
Punktu Ziemskiego
do rąk pana radcy policji w stanie spoczynku
w Zbąszynku

Dot.: eksmisji wydalonej z granic i wywłaszczonej wdowy Anny Pawelskiej i jej małoletnich dzieci: Marianny i Stanisława w Dąbrówce Wielkopolskiej.

Ponieważ wdowa Pawelska wzbraniała się opuścić skonfiskowaną posesję w Dąbrówce Wielkopolskiej, bez udziału swego syna, służącego wówczas w wojsku, eksmitowałem dziś ją i jej dzieci z mieszkania przy współudziale naczelnika żandarmerii Becka i przewodnika chłopstwa Bemma. Jeszcze w dniu poprzednim zagroziłem jej przymusowym wydaleniem z mieszkania, ale nie zauważono żadnych przygotowań, aby rodzina miała pakować swój nieliczny dobytek, który mogła nieść. Dałem rodzinie pół godziny czasu na opuszczenie domu, lecz trwało to prawie całą godzinę. Pani Pawelska oświadczyła, że jest niezdolna do pracy i nie może się wyprowadzać do Lossow na wyznaczone jej miejsce pracy. Zagroziłem jej, że będzie umieszczona w obozie koncentracyjnym, jeżeli niezwłocznie, tj. do jutra południa, nie opuści Dąbrówki Wielkopolskiej.

Rodzina udała się prawdopodobnie najpierw do siostry pani Pawelskiej, wdowy Pałki w Dąbrówce Wielkopolskiej. Po usunięciu wezwałem tę siostrę do siebie i doradziłem jej, aby skłoniła siostrę do udania się do Lossow i zabrania w kilku dniach swoich mebli, pościeli itp. Widocznie moje zarządzenia pomogły, gdyż pani Pałka przybyła do mnie jeszcze raz, aby się dowiedzieć, czy pani Pawelska może się wpierv udać sama do Lossow, aby postarać się o mieszkanie. Na to odpowiedziałem, że nie mogę już

znieść, aby pozostała dłużej ze swoją córką w Dąbrowce Wielkopolskiej. Gdyby 12-letni Stanisław jeszcze kilka dni pozostał u ciotki w Dąbrowce Wielkopolskiej, nie będę przeciw temu występował.

Przy spisie pozostałości, który w załączeniu przekazuję, stwierdzono, że od czasu sporządzenia inwentury przez policję państwową sprzedano lub zabito następującą trzodę: 2 krowy, 2 warchlaki, 4 kaczki, 3 gęsi, 2 świnie, 2 owce, 9 królików i wszystkie 20 kur. Dom został zamknięty a klucze oddane na przechowanie do biura gminnego. Ponieważ jednak stajni itp. nie można zamknąć, należy niezwłocznie asadzić ludzi na posesji.

Hegemann

Starosta Powiatu Międzyrzeckiego

Międzyrzecz, dnia 3. 10. 1942

Do

**Pana Komisarza Obwodowego
w Kosieczynie**

ODPIS

**Prezydent Rejencji
J. A. Om 501**

Frankfurt nad Odrą, dn. 28 września 1942 r.

Do

Panów Starostów w Międzyrzeczu itd.

Dot.: przeprowadzenia konfiskaty mienia Polaków – obywateli Rzeszy.

Potwierdzając wywody mojego decernenta na sesjach w dn. 15 i 16 bm. z panami starostami w Sulechowie i Międzyrzeczu przy udziale kierownika Punktu Ziemskiego w Berlinie, wskazuję na następujące zasady przy przeprowadzaniu konfiskaty mienia mniejszości polskiej.

1. 1. Postępowanie przeciw wybitnym przywódcom i innym szczególnie aktywnym członkom polskiej mniejszości usprawiedliwiają się już z samych względów narodowo-politycznych, hańbiącym traktowaniem Volksdeutschów w Polsce tak przed wojną jak i podczas wojny.

2. Niemniej ważnym jest szczególnie bezpośrednie umacnianie niemieckiego stanu posiadania przez wywłaszczenie polskiego właściciela właśnie w zagrożonych gminach granicznych z wciąż jeszcze przeważającą ludnością polską.

3. Ponieważ wielokrotnie chodzi o dobre i duże dziedziczne zagrody, będące w polskich rękach a posiadacze niemieccy mają jedynie gorsze i niewystarczające wyżywienie z roli, przeniesienie posiadania polskiego w ręce niemieckie oznacza także z czysto gospodarczego stanowiska ważne oczyszczenie stanu posiadania w myśl znanego prawa o posiadłościach chłopskich.

4. Ponieważ do wywłaszczenia przewidziany jest obecnie tylko mały zakres o 46 wypadkach (później ok. 200) musi tym szybciej nastąpić ich przeprowadzenie. W tych wypadkach wybicie się przodującej warstwy ma pokazać pozostałej mniejszości stanowczość

Wielkiej Rzeszy Niemieckiej w stwarzaniu na tych terenach pogranicznych niemieckich zagród chłopskich. Przy szybkim przeprowadzeniu należy oczekiwać, że inni skłonią się do sprzedaży z wolnej ręki, co umożliwi wówczas dalsze pożądane usunięcie złych warunków posiadania niemieckich chłopów.

II. Z tych rozważań wynika, że akcję musi się przeprowadzić aż do osadzenia nowego niemieckiego kandydata włącznie, z właściwym pośpiechem i naciskiem – zwłaszcza, iż chodzi o zarządzenia polityczno-policyjne, o ile ich cel nie ma stać się iluzorycznym. Od strony polityczno-policyjnej, kompetentni są starostowie zwłaszcza dla doręczenia mej decyzji o konfiskacie i dla wykonania nakazu opuszczenia terezu przygranicznego o Urząd Ziemski dla użytkowania nieruchomości i innego mienia. Jeżeli w interesie przyspieszenia załatwienia oraz w celu uniknięcia zbędnej korespondencji, dopuściłem swego czasu do bezpośredniej korespondencji pomiędzy Urzędem Ziemskim i Obwodowymi Komisarzami, to mimo to rozumie się, że Starostowie, jako najniższa odpowiedzialna władza administracyjna, powinni nie tylko być informowani na bieżąco, ale i sami winni pod każdym względem aktywnie popierać w każdym poszczególnym wypadku w czynnościach tak Urząd Ziemski jak i Policję Państwową. Należy do tego zwłaszcza współdziałać w wyborze ubiegającego się.

III. Co się tyczy traktowania wojskowych z kół polskiej mniejszości, to zagadnienie to nie może być żadnym hamulcem, ponieważ zostało ono wyraźnie i wyczerpująco uregulowane przez oba znane tajne dekrety OKW i RMdI./OKW – Oberkommando der Wehrmacht – Główne Dowództwo Sił Zbrojnych, RMdI – Reichsministerium des Innen – (Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Rzeszy – przypisek tłumacza). Poza tym powołuję się na moje specjalne zarządzenie, wydane przed kilku dniami.

IV. Do sprawy o następstwach najnowszego dekretu Führera z dnia 28 lipca 1942 r. o uwarunkowanym przez wojnę ograniczeniu załatwiania spraw dotyczących obrotu posesjami podaję pod uwagę w zatwierdzeniu wywodów mojego decernenta co następuje: Według dekretu Führera należy w pierwszym rzędzie po prostu wstrzymać zmianę posiadania obojętną w normalnych warunkach. Natomiast przy działaniu prawnym, już w/w I 1 – 4 ze szczególnych względów należy pozytywnie popierać różnego rodzaju publiczne zadania, a poza tym doprowadzać jeszcze do pozytywnego wyniku najważniejszą zasadę narodowo-polityczną – umacnianie niemieckości w polskich gminach mniejszościowych. Tylko wówczas odmowa zatwierdzenia będzie usprawiedliwiona, jeżeli konkretne kandydatury miałyby dotyczyć w pojedynczych wypadkach żołnierzy frontowych. Zwracam uwagę także na rozprawę „Obrót wiejskimi posesjami w nowych ramach”, wydrukowaną „Recht des Reichsnährstands” z sierpnia 1942 zeszyt 16 str. 433.

V. Jest samo przez się zrozumiałe, że przy przeprowadzaniu wszystkich kroków przeciw polskiej mniejszości musi występować stała i szczególnie ścisła współpraca z placówkami Tajnej Policji Państwowej we wszystkich instancjach. Szczególnie już przy pierwszym wyborze kandydata należy w stosownym czasie włączyć Komisarza Obwodowego względnie Starostę obok powiatowej placówki chłopstwa także Policję Państwową, wydział zewnętrzny – Świebodzin, przez udzielenie personaliów i dotychczasowych miejsc zamieszkania kandydatów. Spowoduje ona później konieczne dane przy badaniu kandydatów przez placówki Tajnej Policji Państwowej we Frakfurcie nad Odrą według jej bliższych wskazówek. Jeżeli jeden lub więcej ubiegających się będzie przedstawionych jako konkretni kandydaci Urzędowi Ziemskiemu do formalnego zatwierdzenia, musi w każdym wypadku wynikać z akt stanowisko Policji Państwowej. To postępowanie zostało uzgodnione pomiędzy mną a placówką Tajnej Policji Państwowej we Frakfurcie nad

Odra i gwarantuje szybki i konieczny współudział Policji Państwowej przy wstępnym badaniu kandydata.

VI. O współudziale władz finansowych Rzeszy wydany został podstawowy dekret pana ministra finansów Rzeszy z dnia 9. 4. br. (Dziennik Ministerialny Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Rzeszy i Prus – str. 687). Aby przy bieżących pojedynczych wypadkach możliwie jak najszybciej bez wielkiej pisaniny zadośćuczynić wymaganiom zawartym pod liczbą II ust. 1 i 2, proszę starostów, aby z możliwym pośpiechem ustalali, czy i jakie przedmioty mienia z natury rzeczy mogą służyć wykonaniu zadań terenowym ciałom samorządowym (powiat, gmina, prowincja) lub zadaniom narodowo-socjalistycznym niemieckiej partii pracy i jej komórkom wzgl. pokrewnym organizacjom celem przekazania im do stosownego załatwienia. Ponieważ z reguły chodzi tu o posesje użytku rolniczego, zatem ze strony instytucji publicznych nie będzie istniało prawdopodobnie w żadnym wypadku roszczenie do posesji. Doniesienie starostów winno nastąpić oddzielnie dla każdego pojedynczego wypadku możliwie szybko, przede wszystkim w sprawach już bieżących. Z mojej strony przekażę wymagane informacje Panu Nadprezydentowi Finansów.

VII. Przy traktowaniu wypadków konfiskaty zwracam uwagę, że dla uniknięcia błędzenia spraw, należy podawać na przyszłość stale w każdym przypadku jako tytuł relacji lub zarządzenia – nazwisko, imię, miejsce zamieszkania danego osobnika przy podaniu bieżącego numeru wykazu z dn. 25. 3. 1942 a poza tym należy się powołać na zarządzenie i znak akt moich lub innych władz.

podpisano: Refardt

Przesyłam odpis do łaskawej wiadomości
z polecenia podpisał Haupt
pieczęć służbowa

Uwierzytelnione
podpisał: podpis urzędnik państwowy

3 materiały i źródła

ALFRED KUCNER

Wartość naukowa zasobu aktowego Woj. Archiwum Państwowego w Zielonej Górze

Przystępując do oceny wartości naukowej zasobu aktowego Wojewódzkiego Archiwum Państwowego, wypada na początku poświęcić słów kilka historii tego Archiwum.

Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Zielonej Górze utworzone zostało we wrześniu 1953 roku w związku z ustanowieniem województwa zielonogórskiego. Od chwili utworzenia zmagало się ono z trudnościami lokalowymi, nie posiadając odpowiedniego budynku. Zajęty w 1953 r. budynek w Sulechowie był za mały na potrzeby Wojewódzkiego Archiwum Państwowego. Z dniem 1 marca 1959 roku Wojewódzkie Archiwum Państwowe przeniosło się z Sulechowa do Starego Kisielina pod Zieloną Górę i zajęło na podstawie decyzji Ministerstwa Rolnictwa z dnia 9 października 1958 roku dawny budynek dworski.

Do czasu utworzenia województwa zielonogórskiego tereny obecnego województwa obsługiwały Archiwa Państwowe w Poznaniu i Wrocławiu, zabezpieczając zaraz po II wojnie światowej akta urzędów, instytucji, przedsiębiorstw, zakładów pracy, stowarzyszeń i organizacji, pozostawione przez władze niemieckie. Wskutek działań wojennych dużo materiału aktowego uległo zniszczeniu i to zarówno najstarszego, jak i z ostatnich lat przed zajęciem tych terenów przez wojska radzieckie. W wielu wypadkach przepadły wszystkie akta, w wielu zachowały się tylko szczątki, lub większe czy mniejsze fragmenty kancelarii urzędów, instytucji, przedsiębiorstw. Często ocalałe szczątki nie przedstawiają wartości dla badań naukowych.

Zniszczeniu uległy przeważnie akta landratur, istniejących do 1945 roku na terenie obecnego województwa zielonogórskiego, bardzo cenne wiadomości o stosunkach gospodarczych, politycznych i społecznych. Pozostały tylko szczątki z dawnego zasobu akt rejencji frankfurckiej. W szczątkowej formie zachowały się akta kościelne protestanckich

i katolickich parafii, stanowiące istotne źródło dla badań stosunków wyznaniowych i narodowościowych. Z akt sądowych zachowały się przede wszystkim akta sądów I instancji (Amtsgericht) zawierające wiadomości o organizacji sądownictwa, następnie o kwestii włościańskiej w aktach sądów patrymonialnych i księgi oraz akta gruntowe i hipoteczne. Ostatnie przedstawiają dużą wartość dla badań nad ogólnym stanem za-
możności ludności. Akta sądów II instancji (Landgericht) są znacznie mniej liczne i posiadają również niemniejszą wartość naukową.

Może najlepiej zachowały się akta miejskie, a zwłaszcza Gorzowa (265 mb), Szprotawy (69 mb), Drezdenka (50 mb), Zielonej Góry (47 mb), Świebodzina (36 mb), Sulechowa (32 mb) i Wschowy (22mb) oraz innych mniejszych zespołów akt miejskich. W tej grupie akt zachowały się też dokumenty pergaminowe, począwszy od XIII wieku, zawierające przywileje dla miast, cechów i korporacji miejskich i wyznaniowych, wiadomości o transakcjach dokonywanych przez mieszczan, szlachtę i duchowieństwo. Najstarszy dokument pochodzi z 1235 roku i jest przywilejem dla miasta Gubina, wystawiony przez Henryka, margrabiego Miśni. W łączności z aktami miejskimi występują dość liczne księgi, dokumenty i akta cechowe, złożone często w archiwach miejskich jako depozyt. Sięgają one do połowy XVI wieku. Najliczniej reprezentowane są akta cechowe pochodzące ze Wschowy, Międzyrzecza i Trzciela; mniej licznie z Babimostu i Kargowej. Wreszcie wymienić należy akta wytworzone przez wielkich właścicieli ziemskich oraz osoby prywatne. Na pierwsze miejsce wysuwają się akta podworskie Brühlów z Brodów, następnie Zakonu Maltańskiego ze Słońska, Archiwum Księstwa Żagańskiego. Zawierają one bogate wiadomości o gospodarce rolnej i leśnej wielkiej własności, stosunkach pańszczyźnianych i kwestii uwłaszczenia chłopów.

Poza tym z prywatnych kancelarii zachowały się akta notariuszy w formie szczątkowej. Pozwalają one zapoznać się ze stosunkami majątkowymi, zawieranymi transakcjami i czynnościami prawnymi, dokonywanymi przez właścicieli ziemskich, przemysłowców i kupców.

Kończąc ogólną charakterystykę zasobu akt Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Zielonej Górze zaznaczyć jeszcze należy, że w poszczególnych zespołach stan rzeczy przedstawia się różnie zarówno pod względem zawartości akt jak i zasięgu chronologicznego.

Wojewódzkie Archiwum Państwowe i podległe mu archiwa rejonowe przyjęły po 1945 roku także akta Polski Ludowej. Są to przede wszystkim akta zlikwidowanych zakładów pracy i instytucji. Akta polskie są przeważnie uporządkowane, ponieważ przejmowane były do archiwów na podstawie spisów zdawczo-odbiorczych.

Akta Polski Ludowej stanowią ważny materiał, który pozwala zapoznać się z polityką gospodarczą i początkami budowy państwa ludowego na ziemiach zachodnich.

Przechodząc do szczegółowego opisu zawartości zasobu archiwalnego Wojewódzkiego Archiwum Państwowego i podległych mu placówek wypada zaznaczyć, że blisko 70 proc. tego zasobu jest już opracowane i może być udostępnione dla badań naukowych. W następnych pięciu latach wszystkie dokumenty i akta zostaną opracowane i udostępnione.

Zasób archiwalny Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Zielonej Górze przedstawia się następująco:

I. Akta niemieckie administracji ogólnej.

Rejencja frankfurcka z lat 1835–1935 (zespół szczątkowy) oraz dawne landraty w Żarach, Krośnie Odr., Głogowie, Strzelcach Kraj. i Koźuchowie, wydziały powiatowe

(Kreisausschuss) z Żar, Krosna Odrz. i Zielonej Góry oraz zarządów gminnych z Dąbek, Prynika i Wysokiej. Wyżej wymienione akta pochodzą z końca XVIII wieku i sięgają do XX wieku, a dotyczą budowy dróg, mostów, kolei, gmachów publicznych, regulacji rzeki, opieki społecznej, administracji majątkiem komunalnym, spraw włościańskich, osadniczych i parcelacji oraz spraw podatkowych i policji. W aktach zarządu gminnego w Prynku zachowały się księgi ławnicze.

II. Administracja miejska – obejmuje akta magistratów następujących miast: Bytomia Odrz., Drezdenka, Gubina, Kargowej, Lub ska, Sławy Śląskiej, Sulechowa, Świebodzina, Szprotawy, Wschowy, Zielonej Góry i Żar. Księgi miejskie okresu starodawnego sięgają, zależnie od zespołu, od początku XV wieku, a pochodzą przeważnie z XVI–XVIII wieku. W zespole akt m. Gubina zachowały się liczne dokumenty pergaminowe, a wśród nich najstarszy z 1235 r. Również w zespole akt m. Gorzowa i Szprotawy mamy liczne dokumenty, ale już z nieco późniejszego okresu, najstarsze z XIV wieku. W zależności od zespołu mamy też dokumenty pergaminowe i papierowe z XVIII i z początku wieku XIX. Najstarsze akta z XV wieku pochodzą z Gorzowa i Gubina. Przeważnie zachowały się akta od połowy XVI wieku do czasów współczesnych.

Z ostatniej wojny ocalały akta miejskie wydziałów ogólnoadministracyjnego, opieki społecznej, budowlanego, finansowego i kasy miejskiej, wyznaniowego i szkolnego oraz urzędów stanu cywilnego. Rzadziej spotykamy protokoły posiedzeń rady miejskiej lub magistratu, korespondencję rady miejskiej, kroniki miejskie (Gubina, Lub ska, Sulechowa i Szprotawy), statuty miejskie, urbarze i wreszcie mapy i plany. Przy zespołach akt miejskich zachowały się często księgi i akta cechowe, o których już wspomniano.

III. Władze sądowe reprezentują: zespół akt sądu II instancji (Landgericht) z Głogowa oraz kilka zespołów akt sądów I instancji z Głogowa, Nowej Soli, Polkowic, Siedlisk, Słńska, Wschowy i Zielonej Góry. Chronologicznie wspomniane akta można umieścić w latach 1661–1945. W większości wypadków są to akta i księgi gruntowe, poza tym rzadziej znacznie spotykane są akta sądów patrymonialnych, akta testamentowe, spadkowe, opiekuńcze i procesowe. Istnieje też sporo akt generalnych zawierających wiadomości o organizacji sądownictwa. W sądach miejskich zachowały się niekiedy księgi ingrossacyjne i protokoły.

IV. Akta kościelne i szkolne, zachowały się tylko w stanie szczątkowym. Większy zespół tworzą akta kościoła parafialnego z Głogowa, obejmujące okres od XVIII–XX wieku. Pozostałe zespoły akt kościelnych, parafii ewangelickich ze Sławy Śląskiej, Zaborza, Żar i Żagania są zupełnie drobne, liczące po kilka jednostek archiwalnych. Akta kościelne dotyczą zarządu kościelnego, wydatków i dochodów urzędu parafialnego, fundacji, spraw budowlanych, wizytacji, spraw procesowych i majątkowych, stowarzyszeń religijnych i uroczystości kościelnych. Przeważnie zachowały się akta gospodarcze. Inne z wymienionych występują sporadycznie.

V. Akta podworskie posiada tylko WAP w Zielonej Górze, pochodzą one z kilku wielkich majątków ziemskich. Chronologicznie datują się od 1476 roku aż do 1946.

Największy zespół stanowią Brody z szeregiem folwarków, stanowiące niegdyś własność Brühlów. Przeważają jednak drobne, fragmentaryczne zespoły, liczące od kilkudziesięciu cm do kilkunastu metrów bieżących, a mianowicie majątki: Borowina (1829–1917), majorat Gaworzyce (1683–1940), dobra rycerskie Gralewa (1699–1856), Garbicz (XIX–XX), Klenica (1654–1912), Pszczew (1782–1843), majątek Zakonu Maltańskiego w Słonsku (1853–1941), Trzciel (1839–1913), oraz Archiwum Księstwa Żagańskiego (1476–

1946). Większość w wymienionych zespołach stanowią akta gospodarcze i administracji dóbr, następnie w mniejszej ilości zachowały się akta dotyczące tytułu własności i innych spraw prawnych, akta osobiste i rodzinne. W aktach podworskich ze Słońska posiadamy protokoły posiedzeń kapituły zakonu. Są też akta dotyczące uwłaszczenia chłopów i ilustrujące stosunki pańszczyźniane w Trzcielu. W Archiwum Żagańskim zachowały się akta rodowe. Bironów.

VI. Związki i stowarzyszenia niemieckie reprezentowane są przez dwa drobne zespoły: „Verein für Geschichte Sorau” – z lat 1907–1933 i „Deutsche Arbeitsfront” – z Nowej Soli z lat 1933–1945. W tej grupie mieści się także zespół „Kreissiedlungsgessellschaft” z Żar, obejmujący akta z pierwszej połowy XX wieku, dotyczące spraw osadniczych na polsko-niemieckim pograniczu.

Wymienione zespoły zamykają dział akt niemieckich.

Oddział II Wojewódzkiego Archiwum Państwowego obejmuje akta polskie państwa ludowego.

Akta administracji, instytucji i przedsiębiorstw polskich przejęte zostały przeważnie w wyniku likwidacji. W dziale tym znajdują się:

1. Akta Urzędu Wojewódzkiego – ekspozytury poznańskiej z lat 1948–1951.
2. Akta Starostwa Powiatowego w Kozuchowie z lat 1945–1950
3. Akta „Społem” z Głogowa, Świebodzina i Wschowy z lat 1945–48.
4. Akta Państwowej Centrali Handlowej z Zielonej Góry.
5. Akta Powszechnej Organizacji „SP” – Komendy Wojewódzkiej z lat 1950–55.
6. Akta Społecznego Komitetu Radiofonizacji Kraju z Zielonej Góry z lat 1948–1953.
7. Akta Związku Młodzieży Polskiej – Zarządu Wojewódzkiego z Zielonej Góry z lat 1950–1956.

Poza Wojewódzkim Archiwum Państwowym akta na terenie województwa zielonogórskiego przechowują: Oddział Terenowy i Powiatowe Archiwa Państwowe. Każde z nich obejmuje swym zasięgiem kilka powiatów. Na terenie województwa zielonogórskiego istnieje: Oddział Terenowy Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Gorzowie, obejmuje z okresu niemieckiego akta następujących zespołów:

1. „Amtsgericht” (sąd I instancji) z Gorzowa z lat 1666–1945. Zespół zinwentaryzowany posiada akta generalne, dotyczące organizacji sądownictwa, personalne, spraw cywilnych, hipoteczne, gruntowe, rejestry związków i zrzeszeń, przedsiębiorstw armatorów żegluga rzecznej.
2. Akta adwokatów i notariuszy z Gorzowa z lat 1839–1942. Zawierają one wyciągi katastralne, protokoły rozpraw sądowych, odpisy zawartych umów, sporządzonych testamentów i cesji. Akta są zinwentaryzowane.
3. „Magistrat – Landsberg” (Gorzów) z okresu XVII–XX wieku. Zespół znajduje się w opracowaniu. Akta dotyczą administracji miejskiej, sądu miejskiego, działalności poczty miejskiej i różnych wydziałów magistratu.
4. Akta m. Skwierzyny – z lat 1406–1854. Zespół zinwentaryzowany, zawiera księgi miejskie.
5. „Wasserbauamt” – Landsberg” (Nadzór dróg wodnych) – z lat 1839–1942. Zespół zinwentaryzowany. Akta obejmują sprawy dotyczące żegluga na Warcie, Noteci

i Drawie, budowy statków rzecznych regulacji rzek oraz eksploatacji i utrzymania rzek.

6. „Standesamt – Landsberg” – Urząd Stanu Cywilnego (z lat 1812–1944). Zespół zinventaryzowany zawiera wtórnik ksiąg metrykalnych.

Do działu administracji polskiej przejęte zostały od Oddziału Terenowego w Gorzowie po 1950 roku akta starostw powiatów, gorzowskiego, skwierzyńskiego i strzeleckiego. Akta te nie są uporządkowane. Następnie przejęto akta Urzędu Skarbowego i brygady ochrony skarbowej z Gorzowa oraz Urzędu Celnego z Kostrzyna, zarządów miejskich z Gorzowa i Strzelec Kraj., Szpitala Miejskiego i Inspektoratu Szkolnego z Gorzowa, Narodowego Banku Polskiego ze Skwierzyny i Gorzowa, Banku Rolnego z Gorzowa, rolniczych spółdzielni produkcyjnych, Gorzowskich Zakładów Włókien Sztucznych, Centrali Spółdzielni Spożyców „Społem” i Państwowej Centrali Handlowej w Gorzowie.

Akta polskich urzędów, instytucji i przedsiębiorstw są ujęte w spisach zdawczo-odbiorczych, zastępujących tymczasowo inwentarze.

Powiatowe Archiwum Państwowe w Świebodzinie posiada z okresu rządów niemieckich akta następujących zespołów, które zostały zinventaryzowane:

1. „Landgericht – Meseritz” sąd II instancji w Międzyrzeczu z lat 1801–1945.
2. „Amtsgericht – Driesen” (sąd I instancji w Drezdenku) z XIX i XX wieku.
3. „Amtsgericht – Meseritz” – z lat 1793–1944.
4. „Amtsgericht – Tirschtiegel” (Trzciel) z XIX–XX wieku.
5. „Amtsgericht – Drossen” (Ośno Lubuskie) z XIX–XX wieku.

Wymienione zespoły akt sądowych obejmują generalia, akta biura prezydalnego, akta przejęte w drodze sukcesji od dawnych sądów, jak „Land – und Stadtgericht” i „Kreisgericht”, akta testamentowe, upadłościowe, opiekuńcze, procesu cywilnego i karnego, akta i księgi gruntowe oraz akta notarialne.

Akta policyjne „Polizei-Distriktamt-Kuschten” (Kosieczyn) z XIX – XX wieku zawierają ewidencję ludności oraz wiadomości dotyczące życia Polonii w Niemczech.

Akta miejskie są nieliczne i pochodzą z następujących zespołów:

1. Magistrat – Meseritz (Międzyrzecz) z lat 1446–1939.
2. Magistrat – Tirschtiegel (Trzciel) z lat 1850–1942
3. Magistrat Drossen (Ośno Lubuskie) z XVI–XX wieku.

Poza tym w zasobie wymienionego Archiwum znajdują się księgi cechowe z Międzyrzecza – garncarzy, kuśnierzy z lat 1557 – 1901, bednarzy, piekarzy, stolarzy i tkaczy z lat 1617–1924, z Trzciela – krawców, mielcarzy, piekarzy, szewców, tkaczy z lat 1618–1763. W zespołach miejskich znajdują się dokumenty pergaminowe i starodawne księgi miejskie, akta kasy miejskiej, akta policji miejskiej, urzędu stanu cywilnego, akta dotyczące szkolnictwa i akta wydziału budowlanego.

Z akt kościelnych wymienić należy:

1. Dokumenty klasztorów w Bledzewie, Paradyżu i Międzyrzeczu.
2. Akta parafii ewangelickiej w Ośnie Lub. z XVIII–XX wieku, wśród których są księgi metrykalne.

Z okresu administracji niemieckiej zachowały się tylko szczątki zespołów. Zawarte w nich wiadomości posiadają też dość ograniczoną wartość dla badań naukowych.

Powiatowe Archiwum Państwowe w Świebodzinie przejęło również akta zlikwidowanych po 1950 roku urzędów, instytucji i przedsiębiorstw Polski Ludowej.

Powiatowe Archiwum Państwowe w Świebodzinie posiada w swoim zasobie następujące akta polskie:

1. Akta Starostwa Powiatowego z Gubina z lat 1945–1950.
2. Akta zarządów gminnych i prezydiów gminnych rad narodowych z powiatów: glogowskiego, gubińskiego, krośnieńskiego, międzyrzeckiego, nowosolskiego, sulechowskiego, świebodzińskiego, zielonogórskiego i żarskiego – lat 1945 – 1951.
3. Akta Urzędu Celnego w Rzepinie – z lat 1947–1949.
4. 35 zespołów akt rolniczych spółdzielni produkcyjnych z powiatów: glogowskiego, krośnieńskiego, lubuskiego, międzyrzeckiego, rzepińskiego, sulęcińskiego, świebodzińskiego i szprotawskiego – lat 1952–1958.
5. Zespół akt Gminnych Ośrodków Maszynowych z Trzciela z lat 1945–1957.
6. Akta Związku Zawodowego Prac. Handlu z Międzyrzecza – z lat 1945–1950.

Ze Starostwa Powiatowego w Gubinie przekazano do Archiwum akta następujących wydziałów: organizacyjnego, aprowizacji, przemysłowego, wojskowego oraz kultury i sztuki.

Akta zarządów gminnych zawierają sporo materiału o problemach organizowania polskiej władzy ludowej na ziemiach zachodnich.

Socjalistyczna gospodarka rolna znajduje odbicie w ciekawych aktach spółdzielni produkcyjnych.

Wartość jednak wymienionych akt polskich dla badań naukowych jest dość nierówna.

Powiatowe Archiwum Państwowe w Sulechowie posiada w swym zasobie wiele cennych akt z dawnych urzędów niemieckich, administracji państwowej, miejskiej, sądownictwa i księgi cechowe.

1. „Landratsamt” i „Kreisausschuss” z Krosna z lat 1812–1945
2. Magistrat zu Unruhstadt (Kargowa) – XIX i XX wiek.
3. Magistrat zu Schlawa (Sława Śląska) z lat 1795–1944.
4. Magistrat zu Schwiebus (Świebodzin) – z lat 1597–1945.
5. Magistrat zu Züllichau (Sulechów) z XIX–XX wieku.
6. Zachowało się sporo ksiąg cechowych i to:
Babimost – księgi cechów garncarzy, młynarzy i rzeźników – z lat 1646–1853,
Kargowa – księgi cechów krawców, piekarzy, sukienników i szewców – z lat 1615–1900.
7. „Amtsgericht – Konotop (sąd I instancji) – Konotop – z lat 1673–1945.
8. „Amtsgericht – Krossen” (sąd I instancji) – Krosno Odrz. – z lat 1819 – 1945.
9. „Amtsgericht – Unruhstadt” (sąd I instancji) – Kargowa – z lat 1796–1945.
10. „Amtsgericht-Züllichau” (sąd I instancji) Sulechów – z lat 1701–1945.

Wreszcie zachowało się kilka drobnych zespołów akt kościelnych i szkolnych.

Najbardziej wartościowe są akta miejskie, a wśród nich dokumenty i księgi starodawne. Księgi pochodzą z XV i XVI wieku.

Księgi i dokumenty gromadzą cenne wiadomości przede wszystkim o stosunkach gospodarczych i polityczno-społecznych. Interesującą jest kronika m. Sulechowa.

Z akt sądowych zachowały się przeważnie księgi i akta gruntowe, mające często praktyczne znaczenie, a poza tym i wartości naukowe do badań nad stosunkami gospodarczymi wsi i miasta.

W Powiatowym Archiwum Państwowym w Szprotawie najcenniejszym zespołem są „Akta Magistratu m. Szprotawy” z lat 1440–1944. Wśród nich zaciekawienie budzi kronika miasta w trzech tomach, spisana u schyłku XVIII wieku, a posiadająca wiadomości z IX i X wieku, które autor kroniki zaczerpnął z innych źródeł lub literatury i tradycji. Zachowały się również dokumenty pergaminowe. Następny zespół niewątpliwie wartościowy dla badań naukowych, choć bardzo szczątkowy, stanowią akta kościoła parafialnego w Szprotawie z lat 1450–1943. Znajdują się tu listy biskupów, księgi protokołów, zapisy i fundacje, inwentarze majątków ziemskich kościoła, akta dotyczące szkolnictwa kościelnego i korespondencja z władzami świeckimi i kościelnymi.

Nie można też pominąć bardzo fragmentarycznego zbioru ksiąg miejskich m. Brójce z lat 1572–1843. Mamy ich inwentarz, a księgi znajdują się w Archiwum Państwowym w Poznaniu.

Fragmentaryczny jest również zbiór ksiąg cechowych – 11 cechów m. Szprotawy. Są między nimi najstarsze księgi cechu sukienników, piekarzy, rzeźników i ślusarzy z XVI wieku.

Powyższy przegląd archiwaliów znajdujących się w Wojew. Archiwum Państwowym w Zielonej Górze i podległych mu placówkach jest oczywiście dość sumaryczny i na pewno pominięto nie jeden szczegół. Nie można było jednak w tym krótkim omówieniu wymienić wszystkich archiwaliów i każdy dokument lub akta, które mogą zainteresować naukowca.

Na pewno zachowany materiał archiwalny, w większości swej jednak fragmentaryczny, nie zawsze będzie mógł służyć za podstawę do rozwinięcia szerokich i zasadniczych problemów. W całości niemniej, stanowi bogaty zasób archiwaliów dla prac regionalnych, które niewątpliwie wzbogacą historiografię naszych Ziemi Zachodnich.

JERZY OLCZAK

Tymczasowe sprawozdanie z prac wykopaliskowych na stanowisku 1a (podgrodzie) w Międzyrzeczu Wlkp. w r o k u 1 9 5 8

Sprawozdanie niniejsze nosi charakter tymczasowy i zawiera jak najbardziej ogólne spostrzeżenia dotyczące badanego obiektu. Spowodowane to jest z jednej strony trwającymi nadal pracami wykopaliskowymi (sprawozdanie obejmuje okres od 2. VIII. 1958 r. do 30. IX. 1958 r.), a z drugiej niemożnością – w warunkach polowych – należytego naukowego opracowania wydobytych źródeł archeologicznych oraz wykonania odpowiedniej dokumentacji (czystorysy planów, rysunków itp.). Niemniej jednak uważamy za celowe podanie do szerszej wiadomości kilku informacji dotyczących nowoodkrytego wczesnośredniowiecznego podgrodzia w Międzyrzeczu Wlkp.

Prace wykopaliskowe na terenie podgrodzia (stanowisko 1a)¹ realizowane są w ramach szerszego planu badawczego ekspedycji archeologicznej w Międzyrzeczu nad dziejami Ziemi Międzyrzeckiej.

Już w 1954 roku postanowiono przebadać podgrodzie, wykonując w celu bliższego jego zlokalizowania wstępny sondaż architektoniczno-archeologiczny o wymiarach 2x2 m, przy murze zachodniego skrzydła budynku muzealnego. W sondażu tym stwierdzono warstwy nowożytnie o grubości ca 2,5 m. Do warstw kulturowych wcześniejszych, jak też do calca nie dotarto.

W następnym sezonie badawczym, tzn. w 1955 r. wykonano w tym samym celu cztery wiercenia geologiczne przy pomocy „szapy” o średnicy 15 cm.

Wiercenie nr 1 na dziedzińcu muzealnym (domniemane wewnątrz podgrodzia) między fosą okalającą Zamek a zachodnim skrzydłem budynku muzealnego, pozwoliło na stwierdzenie warstw kulturowych, lecz nie dostarczyło żadnych zabytków.

Wiercenie nr 2 między mostkiem przez Paklicę a zachodnim skrzydłem Muzeum, wykazało istnienie w tym miejscu bardzo grubej warstwy nasypowej z gruzem, a pod nią ilku i mułu rzecznego. Warstwy kulturowej wczesnośredniowiecznej nie stwierdzono².

Wiercenie nr 3 na cyplu między Obrą a Paklicą w części N-E terenu muzealnego dostarczyło jedynie ceramiki renesansowej i gruzu ceglanoego.

Wiercenie nr 4 w południowej części przypuszczalnego wału podgrodzia dało stosunkowo najbardziej pozytywne wyniki. Wydobyte spalone kawałki drewna oraz polepa zdecydowały o wytyczeniu w tym miejscu zwiadowczego wykopu (przekrój poprzeczny przez wał), który eksplorowano w 1956 roku. Na podstawie tych badań zdołano ustalić dwie fazy budowy wału, a mianowicie fazę A datowaną zespołem ceramiki, górą obtaczanej, na koniec X w. – XI w. oraz fazę B, której chronologie XI w. pocz. XII w. wyznacza zespół ceramiki górą i całkowicie obtaczanej.

To ostatnie wiercenie, przekop wału i wyniki wiercenia nr 1 utwierdziły nas w przekonaniu o istnieniu podgrodzia właśnie na terenie dziedzińca muzealnego i spowodowało rozpoczęcie tu prac w 1958 r. Badania wykopaliskowe zaczęto dnia 2. VIII. 1958 r. Personel stały ekspedycji składał się z jednego pracownika naukowego, dwóch technicznych oraz 6 pracowników fizycznych³. W miarę potrzeb, badania na podgrodzium zasilał personel naukowy i techniczny pracującym na stanowisku 1 (zamek)⁴. Należy w tym miejscu zaznaczyć, że prace wykopaliskowe na podgrodziu umożliwione zostały dzięki włączeniu się do badań nad historią Ziemi Międzyrzeckiej Katedry Archeologii Polski Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu⁵.

Wykopy wytyczono po osi W-E między korytem rzeki Paklicy a fosą Zamku, nawiązując je do siatki arowej, obejmującej cały teren Zamku jak i dziedzińiec muzealny z przyległościami⁶. Szerokość wykopu wynosiła 2 m, długość natomiast 45 m, z tym, że wydzielono ary i działki według numeracji przyjętej dla całego obiektu. Między działkami zostawiono świadki kontrolne 0,5 m szerokości. Rozmiary więc działek wynosiły 2x5 m. Postępując od fosy, ary i działki posiadały następującą kolejność: ar 288 dz. a, ar 308 dz. b i dz. a, ar 328 dz. b i dz. a, ar 348 dz. b i dz. a, ar 368 dz. b i dz. a.

Początkowo zamierzeniem naszym było szybkie przekopanie terenu podgrodzia po osi W-E oraz N-S, jedynie wąskimi 1 m względnie 1,5 m rowkami sandażowymi w celu uchwycenia stratygrafii, grubości warstw kulturowych oraz chronologii bez wykonywania dokładnej dokumentacji i wszystkich czynności związanych z normalną eksploracją archeologiczną. Projekt ten jednak zarzucono z uwagi na możliwość, przy takiej metodzie kopania, zniszczenia cenniejszych zabytków nieruchomych oraz nie uchwycenia czystego przemieszanego materiału ceramicznego, stanowiącego przecież w głównej mierze podstawę wniosków chronologicznych. W rezultacie przyjęto metodę stosowaną na wykopie głównym (stanowisko 1), tzn. wydzielanie warstw kulturowych według kryteriów przyrodniczych i ich eksploracji cienkimi warstewkami mechanicznymi. Materiał zabytkowy – ceramikę, kości, polepę – lokalizowano w ramach warstw i działek, natomiast inne zabytki w ramach warstw i metrów w działkach. Dokumentację rysunkową w większości wypadków wykonano w skali 1:20, rysunki profili w skali 1:10. Ciekawsze zabytki nieruchome jak też fragmenty warstw kulturowych fotografowano. Wykonano ponad 50 planów oraz tyleż samo zdjęć fotograficznych.

Ogółem w okresie od 2. VIII do 30. IX. 1958 r. przekopano 215 m³ ziemi. Zainwentaryzowano około 15 tysięcy skorup naczyń glinianych i 163 zabytków wykonanych z następujących surowców: z gliny – 17 szt., z rogu i kości – 20 szt., z kamienia – 17 szt.,

ze szkła — 2 szt., z żelaza — 63 sztuki, z brązu — 17 szt., innych — 27 szt. Oprócz tego zainwentaryzowano 33 próbki ichtiologiczne, 19 próbek botanicznych (zboże, groch, orzechy laskowe), 12 próbek skorup od jaj i 24 innych próbek szczątków organicznych. Łącznie 88 sztuk.

Z zabytków nieruchomych, poza wałem, o którym kilka słów piszemy oddzielnie, należy wymienić kilkanaście jam zasobowych(?) o średnicy 80–150 cm i głębokości ca 80 cm i płytszych, kilka śladów konstrukcji budynków drewnianych, toków glinianych (pierwotne podłogi chat) i bardzo często związanych z nimi palenisk glinianych względnie kamiennych.

Względy wymienione na wstępie niniejszego artykułu, nie pozwalają na pełne omówienie chronologii obiektu i należytej interpretacji poziomów osadniczych. Jedynie na podstawie obserwacji dokonanych w trakcie prac i dokumentacji polowej, możemy pokusić się o pewne hipotezy, które warto na tym miejscu zasygnalizować.

Na podgrodziu należy się liczyć najprawdopodobniej z istnieniem około 6–7 poziomów osadniczych. Wskazują na to układy warstw i ich zawartość, jak np. uchwycone ślady konstrukcji budynków drewnianych, paleniska gliniane i kamienne oraz gliniane toki chat. Także wstępna analiza materiału ceramicznego dorzuca materiał potwierdzający i te dane. Najstarszy poziom osadniczy, a co za tym idzie moment założenia podgrodzia, odpowiadałby mniej więcej warstwowi VIIIe i VIII d; oraz występującym w nich jamom zasobowym (niektóre z nich tkwiły w calcu). Charakter ceramiki znalezionej w tych warstwach, dość prymitywnej tylko górką obtaczanej, przemawiałby za datowaniem ich na koniec X w. lub początek XI w. Górą granicę chronologiczną podgrodzia wyznaczają warstwy IV i V, w których występuje ceramika prawie wyłącznie całkowicie obtaczana, z minimalną domieszką, górką obtaczanej. Warstwy te orientacyjnie możemy datować na koniec XII w., względnie początek XIII w. Zalegające powyżej ostatniego poziomu osadniczego (warstwy IV i V) warstwy I, II i III posiadają wyraźny charakter niwelacyjny bez śladów osadnictwa. Ceramika w nich znaleziona reprezentuje różne techniki wykonania od górką obtaczanej do stalowo-szarej.

Na arze 328 dz. b i a oraz częściowo na arze 308 dz. a odsłonięto wał podgrodzia biegnący w kierunku S-N. Wąski wykop utrudnia w pewnej mierze wszechstronną obserwację jego konstrukcji i kolejnych faz budowy, lecz mimo to udało się odtworzyć niektóre jego elementy. Był to więc wał ziemny posiadający najprawdopodobniej nieznaczne umocnienia drewniane, których ślady zachowały się w postaci warstw spalenizny (zniszczenie wału) oraz niewyraźnych konstrukcji przekładkowych na stoku łoża zewnętrznego. U podstawy, szerokość wału wynosiła ca 10 m. Zdołano uchwycić dwie fazy zniszczenia i odbudowy wału, odpowiadające chronologicznie fazom z przekopu w części południowej wału (por. wyżej). Dość problematycznie wygląda w obecnym stanie badań II faza wału, z którą wiązać by należało zanik podgrodzia (koniec XII w. lub początek XIII w.).

Niezwykle frapującym i posiadającym dużą wagę źródłową dla badań nad Międzyrzeczem jest, naszym zdaniem, znalezienie na wewnętrznym stoku wału (II faza) szkieletu człowieka, który zginął od ugodzenia strzałą z łuku i być może oszczepu. Szkielet ten znajdował się na pograniczu aru 308 dz. a i aru 328 dz. b, usytuowany w kierunku W-2. Leżał na wznak, twarzą zwrócony w kierunku wschodnim. Głowa opuszczona była na klatkę piersiową, ręce założone pod głowę. Żebra lewej części klatki piersiowej były zgniecione, a między żebrami prawej części klatki piersiowej tkwił żelazny grocik strzały z zadziarami. Przy lewej nodze leżał silnie skorodowany żelazny nóż w skórzanej pochwie

z brązowymi okuciami. W pobliżu szkieletu znaleziono silnie zniszczoną, pogiętą blachę żelazną, w przybliżeniu okrągłą (ca 30 cm średnicy) z dwoma dziurami, które powstały prawdopodobnie od uderzenia oszczepem. Przedstawione fakty wskazują zupełnie nie-dwuznacznie na śmierć poniesioną w walce. Występująca w sąsiedztwie szkieletu warstwa spalenizny oraz warstwa rumowiskowa, a ponad tym ślady odbudowy wału (III faza?), narzucają tu konieczność powiązania tych danych z jakimiś wydarzeniami wojennymi. Robocza analiza materiału ceramicznego, występującego w sąsiedztwie szkieletu i w warstwie spalenizny, wykazała poważną większość skorup naczyń glinianych całkowicie obtaczanych i niewiele tylko naczyń obtaczanych górą. Zespół tej ceramiki można datować na wiek XI i być może początek wieku XII⁷.

Można więc przyjąć jako rzecz wysoce hipotetyczną, że przedstawione fakty wiążą się z walką jaka miała miejsce w roku 1094 w czasie odbijania przez Bolesława Krzywoustego, Międzyrzecza z rąk Pomorzan⁸.

Niespodziewanie interesujących rezultatów dostarczył nam ar 348 dz. b, położony już poza wałem podgrodzia, w kierunku Paklicy. Pod nasypową warstwą próchniczną przemieszaną z gruzem ceglanym, grubości ca 2,70 m, zaczęła ukazywać się woda podskórna (może z Paklicy?), utrudniając dalszą eksplorację i obserwację niższych warstw. Mimo to udało się stwierdzić, że pod warstwą gruzu znajduje się czysta warstwa próchniczna oraz muł rzeczny z ilkiem i marglem bez wtrętów gruzu ceglanego. W warstwie tej tkwiły pionowo trzy słupy drewniane biegnące po osi N-S niewiadomego na razie przeznaczenia. Wydobyty materiał ceramiczny jest bardzo jednolity, reprezentowany przez prymitywne naczynia wykonane z gliny z domieszką gruboziarnistego piasku i tłuczonego kamienia. Kształty naczyń nie rozwinięte, brzegi nieznacznie odchylone na zewnątrz. Wszystkie noszą słabe ślady obtaczania w górnych partiach. Typologia jak też technika wykonania wiążąby mogła tę ceramikę z VIII w.

Oprócz skorup naczyń glinianych znaleziono tu fragment przeszlika glinianego i róg jelenia ze śladami obróbki.

Mieliśmy więc tutaj do czynienia z pozostałościami osadnictwa wcześniejszego od grodowego (IX w.)⁹ i podgrodowego (X/XI w.). W związku z tym nieodzownym postulatem badawczym na przyszłe lata jest przekopanie, niektórych chociaż części obszaru położonego poza wałem podgrodzia.

Stosunkowo niewielki areal odkrytego podgrodzia nie pozwala na wyciągnięcie szczegółowszych wniosków o wszystkich rodzajach zajęć ludności tu mieszkającej. Możemy jedynie stwierdzić na podstawie niektórych znalezisk, jak też znajomości szeregu innych osad tego typu, że mieszkańcy podgrodzia międzyrzeckiego trudnili się uprawą roli (sierp żelazny, ziarna żyta, pszenicy, prosa i jęczmienia), przeróbką zboża (żarna rotacyjne), być może hodowlą zwierząt (kości), rybołówstwem (łuski i kości rybie), tkactwem (przędliki) oraz garncarstwem (skorupy naczyń glinianych). Miejscową obróbkę rogu i kości, zapewne na potrzeby lokalne, sugerowałyby ich półfabrykaty, których znaleziono 6 sztuk.

O produkcji żelaza możemy się na razie tylko domyślać, w oparciu o żużle (30 szt.), aż do czasu kiedy zostaną wykonane analizy chemiczne i metaloznawcze niektórych zabytków i żużli, potwierdzające (lub negujące) miejscową przeróbkę żelaza.

Rezultaty dotychczasowych badań archeologicznych na podgrodziu ujawniły szereg ciekawych zagadnień, których pełne rozwiązanie jest nieodzowne dla prawidłowego odtworzenia całokształtu stosunków społeczno-gospodarczych zespołu osadniczego

w Międzyrzeczu, tzn. grodu i podgrodzia. Wydaje się jak najbardziej konieczne wszczęcie w przyszłych latach dalszych prac wykopaliskowych i to szeroko płaszczyznowych, które umożliwiłyby przebadanie następujących elementów podgrodzia:

- a) konstrukcję oraz zasięg wału,
- b) wnętrze podgrodzia
- c) stosunek fosy okalającej Zamek do warstw kulturowych podgrodzia,
- d) teren poza wałem, celem uchwycenia najwcześniejszego osadnictwa (VIII w.) występującego w dz. b. na arze 348.

Międzyrzecz, dnia 5. X. 1958 r.

PRZYPISY

¹ Opis położenia podgrodzia jak również grodu znajduje się w pracy St. Kurnatowskiego. Sprawozdanie z prac badawczych nad Międzyrzeczem i Ziemią Międzyrecką w latach 1954–58.

² W wyniku badań prowadzonych w roku 1958 okazało się, że jest to teren już poza wałem podgrodzia, najprawdopodobniej zalewowy.

³ Dzięki bardzo przychylnemu stosunkowi do prac archeologicznych, czterokrotnie w ciągu sezonu wykopaliskowego korzystaliśmy z pomocy wojska. Czujemy się w miłym obowiązku serdecznie podziękować w tym miejscu zarówno dowództwu jak i żołnierzom.

⁴ Pracami kierowali mgr St. Kurnatowski i mgr J. Olczak przy czasowym współudziale mgr J. Elantkowskiej, mgr E. Naumowicz, laboranta Muzeum Archeologicznego z Poznania W. Bromskiego i studenta II roku Archeologii Polski UAM L. Krzyżaniaka.

⁵ Sprawy organizacyjne i finansowe ekspedycji, szczegółowo omawia w swoim sprawozdaniu St. Kurnatowski, op. cit. s.

⁶ Por. plan sytuacyjny stanowiska 1 i 1a w sprawozdaniu St. Kurnatowskiego, op. cit. s.

⁷ Nie jest wykluczone, że systematyczne, gabinetowe opracowanie całości źródeł z badań podgrodzia w 1958 r. zmieniać nieco przedstawioną tu roboczą hipotezę chronologiczną.

⁸ Anonima tzw. Galla Kronika, czyli dzieje książąt i władców polskich, wyd. K. Maleczyński, Mon. Pol. Hist. N. S., t. II, Kraków 1952 r., s. 78, (księga II, rozdz. 14). Por. też, J. Nalepa, Międzyrzecz – studium historyczno-urbanistyczne, Poznań 1956 r. s. 12 (maszynopis w archiwum ekspedycji archeologicznej w Międzyrzeczu).

⁹ Mamy tu na myśli osadę przedgrodową na stanowisku 1 (Zamek) datowaną na koniec względnie II połowę IX w., por. St. Kurnatowski, op. cit. s.

WIKTOR LEMIESZ

O czym mówią księgi stanu cywilnego?

(Przyczynek do oceny procesów społecznych zachodzących w Zielonej Górze)

Bywają problemy, jak np. kierunek i tempo procesów integracyjnych na Ziemiach Zachodnich, które można ocenić nie tylko dzięki takim metodom badawczym jak sprawozdania czy ankiety. Metody te dostarczają wiele materiału do myślenia. Jednakże wyniki, jakie przynoszą ankiety, mimo, że wartościowe, noszą w pewnym stopniu znamię przypadkowości. Przede wszystkim sam krąg zapytywanych jest często dobierany subiektywnie. Poza tym nie wszyscy udzielają odpowiedzi na pytania. Zresztą jakąż jest gwarancja, że wypowiedzi w ankiecie są zawsze w pełni szczerze?

I dlatego wydaje się, że tak ważne dla nas procesy społeczne warto badać również przy pomocy innych metod, a więc np. tam gdzie się odbywają i w momencie powstawania. A in statu nascendi uchwycić je można przede wszystkim w punktach węzłowych.

Jednym z takich „punktów węzłowych” jest moment wyboru współtowarzysza czy współtowarzyszki życia innymi słowy zawarcie małżeństwa. Zakrepiłym zaś śladem tej decyzji jest kontrakt ślubny, są akta stanu cywilnego.

* * *

Do elementów hamujących proces integracji społeczeństwa na Ziemiach Zachodnich należy m. in. partykularyzm dzielnicowy. Jednym zaś z przejawów partykularyzmu dzielnicowego jest przewaga małżeństw zawieranych między osobami pochodzącymi z tego samego środowiska geograficznego czy dzielnicowego nad tzw. „małżeństwami mieszanymi”.

Natomiast dowodem przewyższania nieuzasadnionych przesądów opartych na wzajemnej nieznajomości i niechęci, dowodem rozwoju procesów integracyjnych, a więc rozszerzenia się platformy wspólnych zainteresowań najpierw gospodarczych, potem bytowych i kulturalnych, a wreszcie pogłębianie się na tej bazie wzajemnej sympatii, przeradzające się niekiedy w głębokie uczucie, jest rosnąca przewaga ilości „małżeństw mieszanych” nad związkami zawieranymi w ramach zamkniętych środowisk.

Przewaga „małżeństw mieszanych” przynosi już w pierwszym pokoleniu (a tymbar-dziej w drugim) wzrost przywiązania do ziem, które zamieszkuje powstała na tej pod-stawie rodzina i sprowadza więzy łączące ludzi ze stronami, w których się urodzili, do rozumnych, racjonalnych proporcji.

Wzrost ilości związków tego typu rodzi wzajemną tolerancję wobec odrębności ję-zykowych i obyczajowych, a jednocześnie stopniowo redukuje te odrębności. Wszystko to razem prowadzi do przyspieszenia procesu wytwarzania się patriotyzmu lokalnego w do-brym tego słowa znaczeniu. Patriotyzmu, który stanowi w ostatnich latach tak charakte-rystyczny rys społeczny na Ziemiach Zachodnich. Dlatego warto chyba zwrócić uwagę na charakter małżeństw zawieranych na Ziemiach Zachodnich i na zmiany zachodzące w tej dziedzinie.

* * *

Wybrałem dla swych rozważań przykład Zielonej Góry – miasta, które w połowie 1946 r. liczyło ok. 15.000, a dziś przeszło 50.000 mieszkańców.

Samo ustalanie kryteriów nastęrczało sporo trudności. Trzeba było przy opracowaniu metody badań podzielić klientów Urzędu Stanu Cywilnego według pochodzenia.

Postanowiłem, zdając sobie sprawę z dyskusyjności każdego rozwiązania, podzielić współmałżonków w zależności od miejsca urodzenia na 5 grup. A mianowicie: 1. uro-dzeni na terenie województwa poznańskiego, śląskiego i pomorskiego (w granicach z r. 1939), 2. urodzeni na terenie woj. łódzkiego, warszawskiego, kieleckiego krakow-skiego, rzeszowskiego, białostockiego, lubelskiego (w obecnych granicach), 3 urodzeni na tzw. terenach zabużańskich, czyli terenach przyłączonych do ZSRR, 4. ludność rodzi-ma zamieszkująca z dawien dawna na Ziemiach Zachodnich oraz 5. urodzeni na tere-nie innych państw.

Prawda, że podział tego rodzaju może być kwestionowany i że możnaby zapropo-wać szereg innych rozwiązań. Jednakże przy zastosowaniu i innych kryteriów (np. przy wyodrębnieniu dawnego zaboru austriackiego – a więc województwa krakowskiego i rze-szowskiego) – z a s a d n i c z y charakter badań i z a s a d n i c z y kierunek wniosków nie ulegnie istotniejszym zmianom.

Jako materiał badawczy posłużyły małżeństwa zawarte w II połowie 1945 r. (było ich w Zielonej Górze 98) oraz związki z I połowy 1959 r. (było ich 307).

IŁOŚĆ OSÓB WSTĘPUJĄCYCH W ZWIĄZKI MAŁŻEŃSKIE W ROZBICIU NA 5 GRUP

Zawarto małżeństw z osobami należą- cymi do:	Grupa I		Grupa II		Grupa III		Grupa IV		Grupa V		R a z e m	
	1945	1959	1945	1959	1945	1959	1945	1959	1945	1959	1945	1959
Grupa I	78	70	12	56	8	66	—	6	8	4	106	202
Grupa II	12	56	14	78	6	48	—	4	2	7	34	193
Grupa III	8	66	6	48	28	60	—	3	2	8	44	185
Grupa IV	—	6	—	4	—	3	—	—	—	1	—	14
Grupa V	8	4	2	7	2	8	—	1	—	2	12	20
R a z e m :	106	202	34	193	44	185	—	14	12	20	196	614
W tym osób zawie- rających mał- żeństwa mieszane	28	132	20	115	16	125	—	14	12	20	76	406

Z powyższej tabeli można wysnuć szereg wniosków. Ograniczmy się jednak do najważniejszych.

I. Ilość osób zawierających „małżeństwa mieszane” wzrosła z 76 w roku 1945 do 406 w r. 1959. W tym samym czasie ilość osób zawierających małżeństwa w ramach jednego środowiska dzielnicowego wzrosła ze 120 do 208. Oznacza to, że odsetek „małżeństw mieszanych” wzrósł z 38 proc. do 66 proc. Ten fakt ma zasadnicze znaczenie dla oceny procesów integracyjnych w Zielonej Górze.

II. Odsetek małżeństw zawieranych w ramach tego samego środowiska spadł w ciągu minionych 14 lat. Spadek ten nie występuje jednak w sposób jednakowy we wszystkich grupach. W grupie I np. zmalał z 73,6 proc. do 33 proc. W grupie II spadł z 43 proc. do 40,5 proc. W grupie III z 64 proc. do 33 proc.

Oznaczałoby to, że osoby pochodzące z b. zaboru pruskiego oraz repatrianci są jakoś bardziej skorzy do „małżeństw mieszanych”, niż osoby pochodzące z dawnej Kongresówki i Małopolski Zachodniej.

III. W roku 1945 nie zarejestrowano w zielonogórskich aktach małżeńskich ani jednego autochtona. Natomiast spośród 14 przedstawicieli ludności rodzimej, którzy pobrali się w roku 1959, ani jeden nie wybrał za partnera autochtona. Za to zawierali oni związki z osobami pochodzącymi z ziem należących do dawnego zaboru pruskiego (6), z terenów należących do tzw. grupy II (4), z ziem zabużańskich (3) oraz w jednym wypadku z Polakiem urodzonym w Rumunii. (Warto dodać, że spośród osób pochodzenia rodzimego, które zawarły związki, 8 pochodziło z woj. zielonogórskiego, 2 z Gdańska, a 4 z woj. olsztyńskiego). Liczby te stoją w wyraźnej sprzeczności z mitem o rzekomo wyjątkowej ekskluzywności środowisk autochtonicznych.

Należałoby może gwoili jasności dodać, że w grupie V mieszczą się dwa małżeństwa zawarte przez Kanadyjczyków polskiego pochodzenia, którzy w r. 1959 przyjechali po Laszki do kraju i śladem Budrysów uwieźli je do swej nowej ojczyzny. Pozostali uczestnicy tej grupy, to ludzie urodzeni we Francji (5), Rumunii (7), Wielkiej Brytanii (1), Niemczech (3) oraz w ZSRR na wschód od granicy z 1920 r. (2).

* * *

Zastanówmy się teraz nad innymi zagadnieniami. W jakim wieku są młodożeńcy? Czy granica wieku młodych małżeństw obniża się? Czy często żony starsze są od mężów? Czy tego rodzaju małżeństwa są trwałe? Oto pytania, na które otrzymać można najbardziej różnorodne odpowiedzi. Sądy wypowiedzane w tych tak istotnych zarówno dla jednostki jak i dla społeczeństwa sprawach, są najczęściej bardzo subiektywne i dlatego raczej niepewne.

Spróbujmy przeto odpowiedzieć na te pytania w oparciu o obiektywny materiał zawarty w księgach stanu cywilnego. Mimo, że i w tym wypadku odpowiedź nie zawsze będzie w pełni trafna, to jednak będzie na pewno bliższa rzeczywistości niż opinie wypowiedzane w sposób zupełnie dowolny.

Wiele mówi się i pisze o tym jakoby granica wieku młodożeńców uległa ostatnio w kraju naszym obniżeniu. Spóbuemy zbadać, jak te sprawy wyglądają przez pryzmat doświadczeń Zielonej Góry, która nie bez racji uchodzi w kraju za „młode miasto”.

W r. 1945 zawarto tu 98 związków małżeńskich. 52 proc. mężczyzn liczyło wówczas od 22 do 30 lat. Odsetek kobiet liczących od 22 do 30 lat był jeszcze wyższy – wynosił ok. 57 proc.

W pierwszej połowie 1959 r. zawarto w zielonogórskim Urzędzie Stanu Cywilnego 307 małżeństw. Okazuje się, że po 14 latach obraz uległ poważnym zmianom. Odsetek mężczyzn w tej grupie wzrósł do 72,1 proc., natomiast odsetek kobiet zlekka spadł – do 51,5 proc. Procent mężczyzn w wieku od 31 do 40 zmniejszył się bardzo znacznie (z 37 proc. w r. 1945 do 13,2 proc. w ub. r.). Pewien spadek zanotować trzeba również w grupie od 41 do 50 lat (z 6 do 4,2 proc.). Natomiast odsetek młodzieńców w wieku od 18 do 21 lat wzrósł z 3 proc. do 6,5 proc.

Wszystkie te zmiany świadczą, że **przeciętny wiek mężczyzn zawierających związki małżeńskie w Zielonej Górze uległ w ostatnich latach dość znacznej obniżce.**

Czy wśród kobiet zachodzą podobne zmiany? Sięgnijmy znowu do liczb. Jeśli w r. 1945 kobiety wychodzące za mąż w wieku od 22 do 30 lat stanowiły 57 proc. ogółu, to w r. b. odsetek ten zmalał do 51,5 proc. Za to w grupie liczącej od 18 do 21 lat odsetek ten wzrósł z 26 do 29,5 proc.

Jako swego rodzaju *signum temporis* uznać należy fakt, że w ub. r. 5 dziewcząt liczących mniej niż 18 lat wyszło za mąż za zezwoleniem... sądu. Najczęstszym motywem jest „dziecko już urodzone”.

Odsetek kobiet w wieku od 31 do 40 lat wzrósł nieco (z 11 do 13,2 proc.). Zwiększyły się również nieco szanse na zamążpójście u kobiet liczących więcej niż 40 lat (z 3 proc. do 4,3 proc.).

W sumie wydaje się, że w odróżnieniu od mężczyzn przeciętny wiek kobiet zawierających małżeństwo uległ na przestrzeni minionych lat stosunkowo niewielkim zmianom.

Jak często spotyka się stadła, w których żona jest starsza od męża? Częściej niż się wydaje. Wśród kobiet, które stanęły na „ślubnym kobiercu” w r. 1945 – 17,3 proc.

przyznało się w obliczu urzędnika Stanu Cywilnego, że są starsze od mężów. W pierwszej połowie ub. r. odsetek ten wzrósł do 20,3 proc. **Oznaczałoby to, że w praktyce starszy wiek partnerki stopniowo staje się mniejszą przeszkodą przy zawieraniu związku.**

Dodajmy, że różnice wieku bywają w takich wypadkach różne – od 1 czy 2 lat (najczęściej), do 8, 10, a nawet 12 lat.

Zastanówmy się także nad trwałością małżeństw zawartych w Zielonej Górze w r. 1945.

Dziś po upływie 15 lat uznać, należy, że w pewnym sensie przeszły już one próbę życia. Fakt, że tylko 6,1 proc. spośród tych małżeństwo rozeszło się na mocy wyroku sądowego, może już być uważany za swego rodzaju wskaźnik trwałości tych związków.

Rzecz jasna, że liczbie tej nie można ufać w sposób absolutny, gdyż jak wiadomo sporo węzłów małżeńskich mimo, że nie przeprowadzono rozwodu, wcale nie należy do trwałych. Jednakże nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że jak wskazuje zielonogórska praktyka, **małżeństwa, w których żona należy do starszych partnerów, są na ogół nie mniej trwale od pozostałych.**

* * *

Wiele zmian zaszło na przestrzeni ostatnich 15 lat w strukturze zawodowej i społecznej naszego kraju. Jeszcze bardziej zmienił się oczywiście charakter społeczeństwa zamieszkującego Ziemię Zachodnie.

Przeobrażenia te widoczne gołym okiem można także badać przy pomocy bardziej precyzyjnych metod.

Jedną z nich (oczywiście nie jedyną) może być również analiza ksiąg stanu cywilnego, w których obok różnych innych danych wpisuje się zawód osób wstępujących w związku małżeńskie. Wyniki tej analizy nie mogą się oczywiście równać z odpowiednimi danymi statystycznymi. Jednakże rzucają one charakterystyczny snop światła na zmiany zachodzące na Ziemiach Zachodnich. Porównanie pod tym kątem ksiąg stanu cywilnego w Zielonej Górze z drugiej połowy 1945 r. oraz pierwszej połowy 1959 r. prowadzi do charakterystycznych wniosków. Okazuje się bowiem, że skład zawodowy młodych małżonków, zarówno mężczyzn jak i kobiet, uległ pod wpływem postępu zachodzącego w naszej ekonomice i kulturze bardzo istotnym zmianom. Aby je bliżej określić, sięgnijmy do liczb.

Zacznijmy od mężczyzn. Spośród młodożeńców 38 (ok. 38 proc.) podało w r. 1945 ogólnikowo, że są robotnikami lub wymieniło szereg konkretnych zawodów jak tkacz, ślusarz, murarz, elektromonter itp. Trzech podało się za szewców, dwóch za krawców. Trudno oczywiście stwierdzić, czy chodziło w tym wypadku o robotników przemysłowych, czy też o rzemieślników. Mimo, że prowadzi to do pewnego zaciemnienia obrazu, uznajemy ich więc za „robotników”.

Drugą z kolei pod względem wielkości grupę stanowili – jak wówczas pisano – „urzędnicy”. Było ich 29, co stanowiło ok. 29 proc. z tym, że do grupy tej obok księgowych i referentów zaliczono także 4 milicjantów i 2 oficerów.

Trzecią pod względem wielkości grupę stanowili kupcy – było ich 13. Do tej samej grupy należałoby doliczyć jednego „przemysłowca”. Oczywiście wśród „kupców” byli obok prawdziwych handlowców i tacy, którzy swe „kupiectwo” wiązali ze ściśle

określonymi możliwościami, jakie w Roku Pańskim 1945 otworzyły się na Ziemiach Zachodnich przed najrozmaitszymi żywiołami. Liczebność tej grupy jest oczywiście charakterystyczna dla ówczesnej sytuacji na Ziemiach Zachodnich.

Do inteligencji twórczej należało trzech nauczycieli, 4 techników, jeden lekarz i jeden muzyk. Oprócz tego w związku małżeńskie wstąpiło 3 rolników, 2 ogrodników, jeden leśnik oraz jeden młynarz, a jedna osoba podała, że nie posiada zawodu.

Po 15 latach sytuacja uległa dość poważnym zmianom. Spośród 307 mężczyzn zawierających związek małżeński 151, a więc prawie połowę, należałoby określić jako robotników. Jednakże obok 19 ślusarzy, obok tkaczy, stolarzy, spawaczy, tokarzy, murarzy, znaleźć można w tej grupie 14 szoferów, 7 krawców, 4 rymarzy, 2 szewców, 2 piwowarów, 1 rzeźnika i 3 fryzjerów. A więc nadal dość duży i bliżej nieokreślony jest udział w tej grupie rzemieślników różnego typu.

Wzrost grupy „robotniczej” z 38 do ok. 49 proc., to obraz przemian, jakie zaszły w ekonomice miasta. Ilustracją tego samego zjawiska jest zwiększenie się ilości techników z 4 do 24 (czyli z ok. 4 proc. do 7,5 proc.). Dodajmy, że jeśli w r. 1945 nie zarejestrowano w aktach małżeńskich ani jednego inżyniera, to w r. b. ożeniło się aż 11 inżynierów. Łączny udział inżynierów i techników wśród młodożeńców wyniósł więc przeszło 11 proc.

Grupa pracowników umysłowych, który to termin zastąpił w słownictwie codziennym oraz w aktach „urzędników”, objęła 58 ludzi. Obok 44 osób, które podały, że są „pracownikami umysłowymi”, doliczono do tej grupy 11 księgowych oraz 4 oficerów.

Udział jej spadł z 28 proc. w roku 1945 do 16 proc. w r. ubiegłym.

Kategoria kupców uległa radykalnej redukcji – zmniejszyła się do dwóch osób. Natomiast wzrosła poważnie, wysuwając się na drugie miejsce, inteligencja twórcza, do której obok wymienionych wyżej 24 techników i 11 inżynierów doliczyć należy 10 nauczycieli, 4 lekarzy, 1 muzyka, 1 farmaceutę, 7 ekonomistów oraz 4 studentów. Do inteligencji twórczej należałoby więc łącznie zaliczyć 64 osoby.

Oprócz tego zarejestrowało się w r. b. 2 rolników i 1 ogrodnik.

Pozostaje jeszcze pokaźna grupa ludzi, którzy zawierając związek małżeński nie podali żadnego określonego zawodu. Było ich 24. W praktyce są to robotnicy niewykwalifikowani oraz młodzież uczącą się (studenci).

Jeszcze bardziej różni się od stanu aktualnego skład zawodowy kobiet, które przed 15 laty zawierały małżeństwo. Wśród 98 kobiet, które w 1945 r. stanęły przed urzędnikiem stanu cywilnego, (65 proc.) nie posiadało zawodu. Pracownic umysłowych było 15, z czego na siły biurowe wypadało 7 osób. Do grupy tej ponadto zaliczyć należy 1 kasjerkę, 2 maszynistki oraz 5 ekspedientek. Zawód robotnicy podały jedynie dwie kandydatki do stanu małżeńskiego, a zawód krawcowej 7. Należałoby tu jeszcze doliczyć jedną telefonistkę i jedną hotelową. Stanowiłoby to 11 osób. Inteligencję twórczą reprezentowały 2 nauczycielki oraz jeden magister farmacji. Ponadto zarejestrowano 2 pielęgniarki i 1 położną.

Po 15 latach obraz zmienił się radykalnie.

Największą grupę stanowiły pracownice umysłowe – 88 (wśród nich 13 księgowych), 87 kobiet nie podało żadnego zawodu. W tej kategorii nastąpił więc bardzo poważny spadek procentowy. Trzecie z kolei miejsce zajmują robotnice – 80. Dodajmy, że zaliczono do tej grupy 15 krawcowych, 3 kelnerki i 4 laborantki. Ogromny wzrost nastąpił w grupie inteligencji twórczej, do której należałoby zaliczyć 38 młodych mężatek

(a wśród nich 13 techników, 7 nauczycielek, a ponadto inżynier, 3 studentki, lekarka farmaceutka, mgr historii itp.). Poza tym wyszło za mąż 14 pielęgniarek i położnych – zawód jak widać dość rozpowszechniony wśród zielonogórskich kandydatek do stanu małżeńskiego.

Reasumując można z danych powyższych wyciągnąć kilka wniosków:

I. Odsetek robotników (i rzemieślników) wzrósł w ciągu minionych lat wśród mężczyzn z 38 do 49 proc., a wśród kobiet z 11 do 26 proc. Jest to jednym ze skutków szybkiego w ostatnich latach rozwoju przemysłu w Zielonej Górze.

II. Odsetek inteligencji twórczej wzrósł wśród mężczyzn z 9 do 21 proc., a wśród kobiet z 3 do 12,5 proc. Zmiany te świadczą o ogromnym wzroście liczebności, a więc i znaczeniu tej warstwy społecznej. Poza tym mówią one również o rosnącej wciąż roli kobiety we współczesnym zielonogórskim społeczeństwie.

III. Odsetek „pracowników umysłowych” zmalał wśród mężczyzn z 29 proc. do 16 proc. Natomiast wśród kobiet nastąpił wzrost z 15 do 28 proc. Zważywszy, że wśród mężczyzn nastąpił równocześnie duży wzrost w grupach robotniczej i inteligencji twórczej a wśród kobiet zmniejszenie osób bez zawodu, należy zjawisko to uznać za pozytywne.

IV. Wśród kobiet nastąpiło poważne zmniejszenie grupy „bez zawodu” – z 64 do 28 proc. Natomiast wśród mężczyzn grupa ta wzrosła z 1 do 8 proc. Nie powinno to nas jednak specjalnie niepokoić, gdyż w tym wypadku chodzi przede wszystkim o wzrost liczby studentów (która w skali całego kraju wzrosła w tym czasie prawie trzykrotnie).

V. Bardzo poważnej redukcji uległa grupa „kupców” (spadek z ok. 14 proc. do 0,5 proc.).

VI. Wszystkie te zmiany są żywą ilustracją procesu industrializacji kraju i zagospodarowania Ziemi Zachodnich. A dalej wzrostu przeciętnego poziomu wykształcenia i roli inteligencji oraz produktywizacja społeczeństwa.

Z a r c h i w u m Lubuskiego Towarzystwa K u l t u r y

Materiały i teksty źródłowe I

I.

Rozmowa przeprowadzona dnia 8 marca 1958 r. w Dębnie Lubuskim przez prezesa Lubuskiego Towarzystwa Kultury Wiesława Sautera z Janem Baczewskim, który reprezentował jako poseł mniejszość polską w parlamencie pruskim w latach 1922–28 i zorganizował szkolnictwo polskie w Niemczech w okresie międzywojennym, pełniąc funkcję prezesa Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech od 1922 do 1933 roku.

Sauter: Jako założyciel i wieloletni prezes Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech miał Pan z Berlina szerokie spojrzenie na sytuację we wszystkich ośrodkach polskich w latach międzywojennych. Chodziłoby mi o Pana ocenę ludzi i stosunków w Babimojszczyźnie. Czy uczestniczył Pan tam w otwarciu jakichś szkół?

Baczewski: Jako prezes ZPTSzk. uważałem za mój obowiązek być wszędzie tam, gdzie otwieraliśmy szkoły polskie. Jasne jest, że byłem i na terenie, o który Panu tak się rozchodzi. 11 czerwca 1929 r. otwieraliśmy szkoły polskie w Podmoklach Małych i Nowym Kramsku. Zapomniałem wspomnieć, że w Starym Kramsku już 1 maja 1929 r. otwieraliśmy szkołę polską. Poza tym szkołę polską otworzyliśmy w Babimoście w rok później, w 1930 roku.

Sauter: Kto Pana zdaniem najbardziej zasłużył się w akcji organizowania szkół w Babimojszczyźnie?

Baczewski: Zasłużeni przy organizowaniu, otwarciu, ale i przy utrzymaniu szkół polskich byli wszyscy rodzice, którzy posyłali dzieci swoje do szkoły polskiej. Łatwo dziś jest mówić – dziecko polskie należy do szkoły polskiej – ale nie za czasów, kiedy rządził nami hakatysta pruski. Rodzice narażeni byli na rozmaite szykany i właśnie tu widzę zasługę wszystkich tych rodziców, którzy twardo stali przy szkole polskiej. Jasne jest, ktoś musiał być na miejscu, kto rozpoczął tę pracę, wykonywał nasze zlecenia. To byli w każdej wiosce nasi mężowie zaufania czy też prezesi oddziałów Towarzystwa Szkolnego.

W Nowym Kramsku był takim mężem zaufania prezes Oddziału Związku Polaków Jan Cichy. On faktycznie sam, początkowo przynajmniej sam, rozpoczął organizację najpierw nauki języka polskiego, potem po uzyskaniu praw szkolnych krzątał się dokoła założenia szkoły polskiej. Później pomagali, włączyli się do wspólnej pracy: Bednarkiewicz, Obst, Fabiś i inni. Im wszystkim, całej gromadzie, przewodził Cichy, którego wszędzie zwano niekoronowanym „królem polskim”.

W Starym Kramsku pracowali i pomagali nam Franciszek Reimann, Jan Groszek, i Teodor Spiralski, który jako optant oficjalnie nie mógł nam pomagać, bo przecież posiadał obywatelstwo polskie, a tu się rozchodziło o Polaków obywatelstwa niemieckiego, bo dla nich ta szkoła była. Pomógł nam o tyle, że nie chciałbym mówić zmusił, ale wyjednał nam u syna swego oddanie lokalu szkolnego i właśnie dzięki temu mogliśmy w Starym Kramsku pierwszą szkołę w tej okolicy otworzyć. Było to 1 maja 1929 r. Ostatni raz spotkałem się z Teodorem Spiralskim 20 grudnia 1939 r. Wieźli nas bowiem tego dnia razem z więzienia berlińskiego do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Jeszcze dziś mam starego Spiralskiego przed oczyma, gdyśmy stali od rana do wieczora przed bramą obozu koncentracyjnego. Żegnając się powiedział do mnie: „Pewnie tego już nie wytrzymam!” I naprawdę, zaledwie za trzy, czy cztery tygodnie Spiralski zmarł, torturowany przez zbirów hitlerowskich w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen.

W Babimoście pracował Mrozek z Babimostu. On dał nam lokal na szkołę polską. Dojeżdżali z pomocą i radą Cichy i Reimann z Nowego Kramska, Taberski i Weimann z Podmokli.

W Podmoklach był opiekunem szkoły pan Weimann. Taberski dał lokal na szkołę polską. W Wielkich Podmoklach pomagał nam również Trocholepsz.

Sauter: Czy Jana Cichego znał Pan już uprzednio, czy poznał go dopiero przy zakładaniu szkół?

Baczewski: Jana Cichego, jak zresztą i wszystkich tamtejszych działaczy, poznałem już w 1924 roku podczas wyborów do sejmiku pruskiego. Wówczas przyjechałem tam z Berlina na wiece przedwyborcze. Jan Cichy odebrał mnie na stacji kolejowej: Kolesin. Niemcy to nazywali Goltzen, będzie to jakie 3 kilometry od Nowego Kramska. Jego furmanką przyjechałem do Nowego Kramska. Sam jechał ze mną i rozmawialiśmy o wszystkim. Podziwiałem w Cichym, bo to prosty chłop z wioski, ducha polskiego i niesamowitą, jak na chłopów, inteligencję. Odważny, gotów na każde poświęcenie. Miałem zebranie przedwyborcze w Nowym i Starym Kramsku. Później spotkałem Jana Cichego w 1939 r. już nie na wolności, ale w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Ostatni raz widziałem się z nim na zjeździe autochtonów w Warszawie w 1946 roku.

Sauter: Nie wiem, czy Panu wiadomo, że grupa dziennikarzy, w tym kilku młodych, czyni wysiłki, aby, że tak powiem, odbrać Cichego. Czy mógłby Pan wymienić działaczy Babimojszczyzny bardziej zasłużonych od niego?

Baczewski: Jak już poprzednio odpowiedziałem Panu, uważam wszystkich tamtejszych rodaków za zasłużonych. Jeden musi być najbardziej może zasłużony, ten który przewodzi. Aczkolwiek myśmy wówczas nie dawali ocen poszczególnym pracownikom. Ale jeżeli dziś mam powiedzieć, to muszę podkreślić, zresztą to wychodzić będzie z moich pamiętników, że Jan Cichy przewodził nie tylko w gromadzie, ale w całej okolicy życiu polskiemu. Dlatego też znany był w kołach niemieckich i w naszych kołach jako ten „król polski”. Dowiaduję się, że wysuwa się na tamtejszym terenie osobę śp. Spiralskiego Teodora. Bardzo słusznie. Spiralski Teodor aczkolwiek był optantem, przyczynił się, przez wyjednanie nam u syna lokalu na szkołę polską, do otwarcia tam pierwszej szkoły polskiej 1 maja 1929 r. Ale Spiralski jako optant nie mógł nam mimo najlepszej chęci pomagać oficjalnie. Inaczej praca nasza byłaby zagrożona. Przez złożenie opcji Spiralski stał się obywatelem polskim. Nie można porównywać osoby Cichego z osobą Spiralskiego, a raczej ściśle mówiąc ich pracy na tamtejszym terenie. Jan Cichy, obywatel niemiecki, mógł, miał możliwość, tak jak każdy inny czynnie współpracować, przewodzić życiu polskiemu. Jan Cichy miał prawo do głosowania przy wyborach, Spiralski natomiast, jako obywatel polski tego prawa nie miał i oficjalnie w życiu polskim na tamtejszym terenie udziału brać nie mógł.

Sauter: Bardzo bym prosił, by zechciał pan obszerniej podzielić się swymi wspomnieniami z otwarcia szkoły w Małych Podmoklach i Nowym Kramsku, dnia 11 czerwca 1929 roku.

Baczewski: W moim pamiętniku, który w tym roku wyjdzie w druku, właśnie wspomina o uroczystościach otwarcia szkół polskich, opisuję te uroczystości w Małych Podmoklach i Nowym Kramsku. Mówię tam, że właśnie te uroczystości głęboko mi się wryły w pamięć i tak jakbym je dziś miał przed moimi oczyma. Przyjechałem na tamtejszy teren z Wielkiej Dąbrówki, gdzie 10 czerwca 1929 r. nastąpiło otwarcie szkoły polskiej. Udaliśmy się w towarzystwie Jana Różyńskiego, kierownika Towarzystwa Szkolnego w Złotowie i Łydora Maćkowicza, kierownika dzielnicy V Związku Polaków w Niemczech, do Kargowej, siedziby inspektora szkolnego, bowiem jeszcze lokale szkolne w tych dwóch miejscowościach nie były naszym mężom zaufania przekazane. W tych dwóch miejscowościach bowiem mieliśmy wnet wszystkie dzieci zgłoszone do naszych szkół. Niemieckich dzieci w Podmoklach Małych na przykład pozostało dwoje. Tak zwana niemiecka Rada Szkolna składająca się z Polaków była gotowa nam niemieckie lokale szkolne do dyspozycji, oczywiście, za zezwoleniem władzy szkolnej oddać. Właśnie tego zezwolenia, czy zarządzenia niemieckiej władzy szkolnej Schulrat niemiecki w Kargowej jeszcze nie otrzymał i nam lokali przyznać nie mógł.

O tym, że jeszcze nie ma zezwolenia, dowiedziałem się już w Dąbrówce, bo nawet do odległej Wielkiej Dąbrówki przyjechali ludzie, mężowie zaufania z Nowego Kramska i Małych Podmokli. Prosiłem Schulrata o połączenie się telefoniczne z Rejencją w Pile, ażeby w ten sposób uzyskać to zezwolenie. Schulrat nie miał w swoim biurze telefonu, udaliśmy się więc do pobliskiego hotelu, by stamtąd zatelefonować do Rejencji w Pile. No, połączenie uzyskaliśmy tak może przy trzeciej butelce wina, bo trudno w restauracji siedzieć, nie korzystając z trunków. Przyznaję, że tam nie tylko przy winie było, bo tam i ostrzejsza wódka też była dobra. Uzyskawszy połączenie, Schulrat poprosił mnie do telefonu, przedstawiłem w Rejencji, że jestem tutaj, trudno mi wracać do Berlina próżno, ludność czeka i żeby uspokoić ludność i osobiście mnie pomóc, żeby tyle razy nie podróżować, prosiłem o wydanie telefonicznego, tymczasowego zezwolenia, a formalnego na piśmie nieco później. Rejencja w Pile na to zgodziła się i poleciła Schulratowi wydać lokale szkolne. Na tę dobrą wiadomość popiliśmy sobie jeszcze bardziej. Przybyli już

i nasi nauczyciele na rowerach, żeby się dowiedzieć, co się nam udało. Schulrat przy stole zastawionym kieliskami wypisywał zalecenie do nauczycieli, że zaraz mają lokale szkolne oddać nam do dyspozycji. Chłopcy nasi czekali już na rowerach na te zarządzenia i jeszcze wieczorem, a była godzina 9 lub 10, dotarli do Podmokli Małych i Nowego Krambska. Późną nocą, może o pierwszej, pożegnaliśmy się z Schulratem i poszedłem spać. Wczesnym rankiem trzeba było wstać, bo w Małych Podmoklach otwarcie szkoły wyznaczono na godzinę siódmą, a żeby zdążyć do Nowego Krambska, no i wieczorem do Berlina. Bardzo byłem zdziwiony, zaskoczony, że mając tak krótki czas i to porę nocną, ludność zdobyła się na przybranie nie tylko szkoły, nie tylko gmachu szkolnego, ale całej wioski w zieleni. Postawiono przed szkołą bramę tryumfalną z napisem „Serdecznie witamy!”, a droga prowadząca do szkoły wyprószona była zielenią, świerkami tak, że całość robiła nadzwyczaj miłe wrażenie. Lokal szkolny przepelniony naszymi rodzicami, dziećmi. Ale nie tylko rodzice i nie tylko wszyscy mieszkańcy całej gromady (prócz może nauczyciela niemieckiego i żandarma), ale i z okolicznych wiosek przybyli Polacy na otwarcie tej polskiej szkoły. Przemawiałem już dosyć razy i na otwarciu szkół, gdy tu zacząłem mówić, głos zaczął mi drżeć z tej radości, którą widziałem z ócz zebranych rodziców. Widziałem nawet ludzi takich, którzy już stronili od polskości, już się do niej nie przyznawali, ale z ciekawości przyszli na otwarcie szkoły polskiej i tak wzruszeni byli że wstępowali w szeregi Związku Polaków w Niemczech.

Proszę tylko zważyć, ludność polska, rodzima, tam wychowana przez tak długie lata, czekała na szkołę polską, nie opuściła tej swojej ziemi, nie uszła za może lepszym kawałkiem chleba do Polski, została, by trzymać ziemię polską w rękach polskich, by może raz kiedyś przyczynić się do prawa do tej ziemi ojczyzny naszej. W tych lokalach szkolnych, w których byliśmy zebrani, jeszcze wczoraj zakazywano mówić po polsku, a poprzednio zohydowano język polski. Dziś nagle przez tę noc nastąpił taki zwrotny moment, że mówimy po polsku w lokalu szkolnym. Nie do pomyślenia było to jeszcze wczoraj, że dzieci wygłaszają polskie wierszyki przystosowane do tej uroczystości. Naprawdę opisać taką uroczystość, to proszę Pana nie jest łatwym zadaniem, bo nie można wyrazić słowami tego, co ludność, ba, co my wszyscy tam przeżywaliśmy. Nie wstydę się powiedzieć, że dorośli ludzie płakali jak małe dzieci. Po skończonej uroczystości oczywiście gospodarz, mąż zaufania, prosił nas do siebie na skromne śniadanie. To „skromne śniadanie” tak się przedłużyło, że nie zdążyliśmy do Nowego Krambska, byliśmy tam dopiero o godzinie dwunastej. W Kramsku czeka nas niespodzianka jeszcze może większa niż w Małych Podmoklach. Miejscowa ludność, młodzież spaceruje po wiosce, wioska odświętnie ubrana, umajona. Rodzice i młodzież w ubraniach, że tak po wiejsku powiem niedzielnych, do pracy w tym dniu nikt nie poszedł. „To przecież nasze święto, bo otwieramy naszą szkołę polską”. Przebieg uroczystości podobny jak w Małych Podmoklach. Proszę Pana, dziś po tylu latach, to będzie 30 lat temu, gdy dokonywałem otwarcia tych szkół, stoją jeszcze te uroczystości przede mną, ci ludzie ucieszeni, uradowani. Można powiedzieć, że entuzjazm ich nie miał granic. Po dokonanej akcji nie mogłem się wydostać z Nowego Krambska. To samochód mi tam gdzieś schowali, to czegoś mi brak było i trzymali mnie tam do ostatniej chwili, aż już koniecznie musiałem zdążyć do pociągu, żeby dostać się do Berlina. Bo, proszę Pana, wtenczas moim łóżkiem był pociąg. Stale podróżowałem, stale uroczystości otwarcia, były trudności, trzeba było być w Berlinie, trzeba było kołatać w Ministerstwach, najbardziej w Spraw Wewnętrznych, żeby uzyskać zezwolenie na wjazd dla naszych nauczycieli. To była trudna praca, ciężka, a jednak proszę Pana przyjemna, może najprzyjemniejsza w moim życiu.

Sauter: A może pamięta Pan jakieś szczegóły z otwarcia szkoły w Babimoście?

Baczewski: W Babimostcie otwarcie nastąpiło nieco później, bo blisko rok później, 14 października 1930 roku. Ludzie tamtejsi koniecznie domagali się otwarcia szkoły i dziwnym zbiegiem okoliczności była to akurat 50 szkoła. Mimo, że tam 9 dzieci było zgłoszonych, pojechałem osobiście. Ażeby zapoznać tereny warmińskie z sukcesami naszej ludności na tych terenach, wydelegowałem do Babimostu Jana Boenigka z Olsztyna, obecnie jest on zastępcą przewodniczącego Prezydium WRN w Olsztynie. Przybył również i Różyński ze Złotowa. Do założenia szkoły polskiej w Babimostcie bardzo przyczynił się pan Mrozek. On też oddał nam lokal szkolny. Na uroczystość otwarcia przybył Jan Cichy z Nowego Kramaska i p. Taberski z Podmokli. Z tego widać już, wracając do poprzednich pytań, zainteresowanie Jana Cichego nie tylko swoją gromadą Nowym Kramskiem, ale i miastem Babimostem, jako takim.

Sauter: Mam jeszcze jedno pytanie – jaki jest Pana sąd o nauczycielach polskich szkół w Niemczech?

Baczewski: Myśmy nauczycieli sami w Polsce nie wybierali, wybrały nam i postawiły do dyspozycji Kuratoria szkolne, polska władza szkolna. Wiemy z przebiegu pracy tych nauczycieli, że naprawdę przysłali nam najlepsze siły. Także mogę powiedzieć, że wszyscy nauczyciele i z Polski przybyli i nauczyciele obywatele niemieccy należycie spełnili swój obowiązek, dobrze zrozumieli potrzebę szkoły polskiej i warunki ludności, rodzimej. Ale coś ja mam chwalić swoich, że tak powiem, nauczycieli, jako ich prezes, oto przytoczę głos Niemca, przeciwnika szkolnictwa polskiego Ewalda Stobera. On może najlepsze świadectwo szkole polskiej i nauczycielowi polskiemu w Niemczech wystawił. Napisał książkę o Złotowie w 1935 r. Niektóre zdania tak brzmią: „Trzeba też podkreślić, że Polacy zbudowali i utrzymują dobre szkolnictwo, które niemieckiemu zupełnie dorównuje, jeśli go nawet pod pewnymi względami nie przewyższa”. A o nauczycielu tak mówi: „Można powiedzieć, że Polacy otrzymali w młodych nauczycielach polskich, którzy prawie wyłącznie z Polski przybywają, swoich aktywnych przywódców, którzy ogromnie ożywiali ruch polski. Po stronie niemieckiej – pisze Stober – pod tym względem sprawy są bardzo zaniedbane. Poza nielicznymi wyjątkami materiał nauczycielski niemiecki jest mniej wartościowy niż polski i z tego powodu dzieci tak zwanej warstwy pośredniej są przyciągane nie przez niemiecką, ale przez polską szkołę i osobowość polskiego nauczyciela. Nauczanie odbywa się jednoznacznie w polskim duchu narodowym. Ono wychowuje młodych Polaków w dumie narodowej i w świadomej postawie”.

Faktycznie, że takimi byli nasi nauczyciele wszyscy, podkreślam, bez wyjątku.

Jeśli chodzi o moją ocenę, to mogę tylko powiedzieć, że każdy nauczyciel spełnił swój obowiązek jako Polak na zagrożonych terenach. Każdy nauczyciel przyczynił się do podniesienia polskości, do utrzymania polskości, do zahartowania duszy polskiej. To, że wywiązywał się ze swoich zadań, to że wykonywał zalecenia, to dla mnie samo się przez się rozumie, podkreślić atoli mi wypada, że poświęcił często nauczyciel polski swoje wakacje i pozostawał na miejscu nie wyjeżdżając do kraju, żeby w jego nieobecności wróg nie mógł mu rozproszyć jego owieczek. Ja mogę wyrazić tylko pełne uznanie i podziękować wszystkim za żmudną, ofiarną, a tak pożyteczną pracę dla naszego szkolnictwa. Po raz pierwszy mam możliwość mówienia po wojnie publicznie do całego narodu polskiego i dlatego prosilibym, ażeby ta nasza przeszłość połączona być mogła z teraźniejszością, z tymi właśnie ludźmi, którzy przybyli na odzyskane tereny, tu się osiedlić, żeby zechcieli zapoznać się z naszym życiem przedwojennym i żeby nabrali

przekonania, że to jest faktycznie polska ludność rodzima, zasiedziała od wieków na swojej ziemi.

Wybuch wojny zakończył szkolnictwo polskie w Niemczech. Władze niemieckie zamknęły wszystkie szkoły i nawet te dwa gimnazja polskie. Uczniów trzymano w izolacji do chwili zakończenia wojny z Polską, a nauczycieli i profesorów zamknięto w obozach koncentracyjnych. Wielu zginęło męczeńską śmiercią za sprawę polską. Mam przed sobą opracowane dosyć dokładnie dane z Warmii. Dlatego pozwolę sobie tu przytoczyć tamtejszych nauczycieli, a do spraw terenu babimojskiego powrócimy może później, gdy te prace również będą ukończone.

Za szkołę polską w Mikołajkach zginął ścięty toporem Maksymilian Golisz. Za szkołę polską w Starym Targu zamordowany został Franciszek Jujka. Za szkołę polską w Trzciance zginęli murarz Józef Lewicki i chłop Pacer. Za Uniszewo zginęli Bolesław Jeziółowicz i Jan Maza. Zginął Robert Grancicki, kierownik szkoły polskiej w Pluskach, zginął Franciszek Sarnowski, nauczyciel rodak ze Skajbot, Jan Pezala ze Skojbot także za szkołę polską w Skajbotach oddał życie. Zamordowano nauczyciela z Nowej Kaletki – Grota. Ryszard Knosala, kierownik polskiej szkoły w Olsztynie zginął w obozie koncentracyjnym w Dachau. Za szkołę polską w Gietrzwałdzie zginął nauczyciel Bronisław Chabowski. Nazwiska zamordowanych nauczycieli polskich wypełniłyby kilka stron, ale rzeczą Związku Nauczycielstwa Polskiego winno być uczczenie ich świetlanej pamięci w Polsce Ludowej.

(Tekst dosłowny)

Opracował: Wiesław Sauter

II.

Rozmowa przeprowadzona w lutym 1958 r. z p. Franciszkiem Taberskim z Podmokli Wielkich (pow. Sulechów) urodzonym w 1886 r., działaczem Związku Polaków w Niemczech w okresie międzywojennym.

Do druku przygotowano w oparciu o taśmę nr 6 po dokonaniu skrótów i nieistotnych zmian stylistycznych.

P. Do jakich organizacji pan przed wojną należał?

O. Przed wojną należałem do Kółka Rolniczego i do organizacji Związku Polaków w Niemczech.

P. Jaką funkcję pełnił pan w Związku Polaków?

O. W Związku Polaków – koło w Podmoklach, miałem funkcję sekretarza od 1935 roku do 1939.

P. Kto był prezesem tej organizacji?

O. Od założenia, był Jan Wolek, a od 1926 r. Franciszek Weimann.

P. Jak słyszałem, siedział pan w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu. Kiedy pana tam Niemcy zabrali?

O. Mnie wzięli Niemcy 11. 9. 1939 r., jak wszystkich. Wzięli wtedy działaczy z Nowego Kramska, obu Podmokli i Dąbrowki.

P. Może przypomni sobie pan jakieś przeżycie z obozu?

O. W obozie powodziło mi się bardzo kiepsko. Polacy z Niemiec przyszli do baraków „głodowych”. Niemcy mieli nas oraz Polaków z Gdańska na oku i bardzo nas męczyli. Pierwsze 14 dni musieliśmy biegać bez ustanku jak rekruci w wojsku. Legnąć, wstać, kulać się – godzinami. Byłem 6 lat żołnierzem i tak nie wyżyłem jak tam. Potem przyszło jeszcze gorsze. Zimą brali nas do strugania pyrek, nikt nie śmiał sobie nic wziąć, bo jak wziął, to zaraz na okno na mróz, napompowali mu w spodnie wody węzłem, aż taki gruby się zrobił. Wtedy na mrozie musiał stać, aż zmarł. A jak tak śniegu było na metr, tedy nocą przyszedł SS-man i kazał się kulać w tym śniegu, bez ubrania, w koszuli, a on sam siedł i niespodziewanie z tyłu w oczy nam ten śnieg butem śmigał.

P. W takich warunkach na pewno was dużo w obozie wymarło?

O. Tak, bardzo dużo. Pierwszy zmarł nauczyciel Sarnowski z Podmokli. On miał taką robotę, że na dachu koszar kładli dachówki – spadali w czasie wielkich mrozów jak muchy. Od mrozu.

P. Ilu ludzi dziennie ginęło w obozie?

O. My tak wyliczyliśmy, byłem nawet te trupy wynosić, że jak nie było mrozu to 40, w inne dni 50 i więcej.

P. Czy znał pan Sarnowskiego z Podmokli bliżej?

O. Znałem go, u mnie w domu była polska, prywatna szkoła i u mnie codzień był.

P. Co to był za człowiek?

O. To był bardzo porządný człowiek. On tutaj kulturę założył w Podmoklach, prowadził śpiewy, dbał o porządek, ludzie z nim wszyscy trzymali.

P. Słyszałem, że pan brał udział w organizowaniu szkoły polskiej w Babimoście, pamięta pan może, kto tę szkołę organizował, kto robił przygotowania?

O. Tę organizację prowadził Jan Cichy z Nowego Kramska, Reimann ze Starego Kramska, Weimann z Podmokli i ja. Na zebranie byli zaproszeni wszyscy rodzice. Cichy miał tam wykład i namawialiśmy rodziców, aby dzieci posyłali do polskiej szkoły. Nie wszyscy się zdecydowali i zabrakło dzieci.

P. Coście wtedy zrobili?

O. Aby władza niemiecka pozwoliła szkołę otworzyć, dostaliśmy jedno dziecko z Małych Podmokli. Gdy chodziło do szkoły, mieszkano u krewnych w Babimóście.

P. Pamięta pan zapewne, kto z ważniejszych osobistości przyjechał na otwarcie szkoły w Babimóście?

O. Na to otwarcie przyjechał pan Baczewski z Berlina, prezes szkół polskich w Niemczech, pan sekretarz ze Złotowa, p. Maćkowicz, w zastępstwie Weimanna z Podmokli ja, z Nowego Kramska Jan Cichy, nauczyciel Balcer i rodzice oraz dzieci z Babimostu.

P. Chciałem jeszcze zapytać, co pan myśli o Cichym z Nowego Kramska?

O. Cichego znam już od lat i mam go za dobrego Polaka przez to, że on się ważył nawet w Zbąszynku przemowę powiedzieć, kiedy żaden z nas na to się nie odważył.

P. Skąd on się tam wziął?

O. Jechał z wycieczką Polaków z Podmokli, Kramska Nowego i Starego, ze wszystkich stron – do Częstochowy.

P. Czy pamięta pan jeszcze coś więcej z działalności Cichego?

O. Pamiętam jeden wiec w Babimóście w domu św. Józefa. Cichy zwołał zebranie co do głosowania. Dużo ludzi nie przyszło, w Babimóście wszyscy drżeli od strachu, wypełniło się przeszło pół sali. Cichy mówił tam, że my żądamy głosów polskich dla nas, na polską listę, a Niemcy mają sobie swoich Niemców. Mówił: „My nie chcemy waszych głosów a wy nie zabierajcie nam naszych głosów”.

P. Słyszałem, że Cichy był też na wiecu w Podmoklach?

O. W Podmoklach był pan Cichy na wiecu u Dachwitza, w tej restauracji. Mówiło tam dwóch Niemców – katolików, którzy należeli do partii centrowców i wszystkie głosy chcieli mieć dla siebie. Pan Cichy prosił o głos i powiedział im tak: „Nie zabierajcie nam naszych głosów, bo my waszych też nie chcemy. Zatrzymajcie sobie wasze głosy, a dajcie nam nasze polskie głosy. My głosujemy na naszą polską listę”.

P. Dlaczego Cichy jeździł do Podmokli, do Babimostu?

O. No, bo tu takich ludzi nie było w Podmoklach, żeby taką odwagę mieli jak pan Cichy. Pan Cichy był nie tylko w Podmoklach, ale gdzie się dało wszędzie był, nawet w Berlinie. Cichy był wszędzie i wszystkim się interesował, a „gdzie nie szło, to tkoł” („gdzie nie szło, to tkoł” wyrażenie gwarowe określa, że wszędzie tam, gdzie nikt nie dał rady i nie miał odwagi, tam on tego się podejmował).

(Tekst dosłowny)

Opracował: Wiesław Sauter

Archiwum E r b t a

We wrześniu odnaleziono w Archiwum Państwowym w Lesznie wszystkie akta Amtskomisariatu Kargowa, którym kierował od roku 1924 znany polakożerca Jerzy ERBT. Ponieważ dokumenty te dotyczą ludności rodzimej Babimojszczyzny, będziemy niektóre z nich publikować. Umożliwią one bez wątpienia dokładniejsze poznanie sytuacji ludnościowej tzw. Pogranicza oraz umożliwią dokładne odtworzenie zabiegów germanizacyjnych, od r. 1885 konsekwentnie prowadzonych przez władze niemieckie.

W lutym 1938 roku landratyry Pogranicza rozesłały odpis ściśle poufnego zarządzenia, datowanego w Berlinie 28. I. 1938 r., a nadesłanego przez Landesbauernschaft Kurmark (Gesch. z I A 4/4b 3/1), w którym instytucja ta prosi o nadesłanie danych dotyczących się mniejszości polskiej i ziemi znajdującej się w rękach polskich. W aktach Erbta znajdują się na osobnych arkuszach dokładne dane dla każdej miejscowości, które stanowiły podstawę odpowiedzi na to pismo. Dane te stanowią ważny dokument świadczący o sytuacji ludnościowej Pogranicza tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej. Chciaż Niemcy w zestawieniu tym zaliczyli do narodowości niemieckiej tzw. warstwę pośrednią (Zwischenschicht) – tzn. Polaków, którzy posyłali dzieci do szkoły niemieckiej, można przypuszczać, że dość wiernie odbija ono rzeczywistość, gdyż dane zgromadzone poufnie i przekazane do Berlina miały służyć za podstawę dalszej akcji wynaradawiania i wywłaszczania Polaków. W takich wypadkach statystyki niemieckie odznaczały się raczej realizmem. Jeśli weźmiemy pod uwagę także tych Polaków, którzy posyłali dzieci do szkoły niemieckiej, a w domu posługiwali się językiem polskim i mimo wszystko uważali się za Polaków – gdyż w czasie ofensywy w 1945 żaden z nich nie opuścił Babimojszczyzny i do dziś dnia wszyscy tu pozostają – to należy liczbę ludności polskiej podwyższyć o jakieś 40 do 50 proc.

Materiały i źródła

A

Nazwa miejscowości	Liczba mieszk.		Mężczyźni	Kobiety	Język ojczysty		
	ogółem	przejsć.			niem.	polski	inny
Kargowa — miasto	1795	48	814	933	1728	66	1
Kargowa — wieś	711	7	346	358	656	53	2
Babimost	1876	30	874	972	1713	163	—
Nowe Kramsko	1161	151	489	521	220	941	—
Stare Kramsko	345	17	159	169	45	300	—
Wielkie Podmokle	313	3	168	142	98	215	—
Małe Podmokle	509	8	252	249	133	376	—
Spokojna	208	1	97	110	193	15	—
Łupice	566	8	289	269	558	8	—
Wojnowo	180	12	83	85	120	60	—
Świętno	949	40	446	463	944	5	—
Ciosaniec	847	76	378	393	839	8	—
Sreniawa	183	5	97	81	169	14	—
Droniki	249	35	101	113	243	6	—
Stary Jaromierz	448	7	230	211	442	6	—
Wielka Wieś	299	3	145	151	291	8	—
Chwalim	788	4	396	388	785	3	—
Nowy Jaromierz	156	—	81	75	152	4	—
Uście Nowe	197	4	93	100	197	—	—
Uście Stare	222	11	106	105	222	—	—
Kolonia k. Podmokli	169	—	93	76	169	—	—
Wilcze	112	—	55	57	111	1	—
Rudno	114	—	63	51	111	3	—
Bagno	313	20	154	139	313	—	—
Krzyż	264	7	133	124	264	—	—
Górny Folwark	172	3	86	83	172	—	—
Obra Dolna	310	5	157	148	308	1	1
Kaliska	206	4	105	97	205	1	—
	13.662	509	6.490	6.663	11.401	2.257	4

Materiały i źródła

B

Wyznanie			Ziemi ogółem (liczba gospodarstw i powierzchnia							
			do 5 ha		do 10 ha		do 20 ha		ponad 20 ha	
ew.	kat.	inne	ilość gosp.	ha	ilość gosp.	ha	ilość gosp.	ha	ilość gosp.	ha
1207	560	28	35	61,26	13	82,44	6	85,85	—	—
474	237	—	63	133,02	22	169,98	13	172,11	6	959,79
842	1014	20	62	111,42	22	158,06	29	399,88	44	1724,81
86	1074	1	58	113,53	10	71,85	35	525,16	20	597,65
38	307	—	15	30,24	13	104,61	15	210,11	4	115,46
56	257	—	9	11,88	4	30,95	9	137,69	19	525,69
98	411	—	31	50,77	15	98,39	27	414,53	12	318,60
36	172	—	10	28,89	5	18,90	5	76,85	15	383,33
54	512	—	30	77,82	28	213,37	20	284,05	16	473,58
71	109	—	3	4,28	2	13,70	—	—	11	803,83
840	109	—	77	175,64	26	196,42	33	485,55	10	4595,26
49	798	—	55	118,11	36	243,19	20	286,94	10	293,26
7	176	—	9	23,80	3	21,95	8	115,16	8	346,60
15	234	—	21	60,91	15	103,03	5	69,26	4	124,62
373	75	—	17	43,75	20	161,12	31	439,48	14	337,02
263	32	4	4	7,35	1	10,55	15	244,54	13	475,85
752	26	10	47	117,31	40	289,15	45	638,34	19	491,03
120	35	1	3	7,21	4	25,08	12	173,45	7	201,60
178	19	—	20	45,07	1	9,95	13	201,48	3	80,20
218	3	1	15	35,26	9	65,19	11	176,99	5	116,87
154	13	2	—	—	—	—	14	22,16	5	164,08
99	11	2	7	17,02	2	18,50	4	69,75	5	139,25
108	6	—	5	16,47	7	48,31	11	157,29	—	—
117	196	—	19	55,21	16	116,52	8	106,25	4	110,09
178	85	1	10	35,01	9	71,91	17	241,15	5	120,37
156	15	1	6	15,71	1	6,75	15	245,91	5	111,40
300	8	2	13	37,31	12	95,71	8	115,30	16	475,44
169	37	—	3	7,78	3	26,78	12	209,79	9	137,25
7.058	6.531	73	647	1.442,01	339	2474,36	441	6505,02	289	14.222,93

Materiały i źródła

C

Ziemia w rękach niemieckich							
do 5 ha		do 10 ha		do 20 ha		ponad 20 ha	
ilość gosp.	ha	ilość gosp.	ha	ilość gosp.	ha	ilość gosp.	ha
33	58,13	13	82,44	6	85,85	—	—
58	122,88	21	160,48	12	161,24	6	959,79
58	106,79	21	150,56	29	399,88	44	1.724,81
4	13,81	2	12,82	—	—	8	241,78
—	—	—	—	3	38,75	1	74,00
5	8,58	—	—	1	10,99	5	138,81
10	23,13	2	25,76	7	99,40	3	134,19
10	28,89	5	18,90	5	76,85	14	361,58
30	77,82	26	199,52	19	270,05	16	473,58
3	4,28	2	13,70	—	—	11	803,83
77	175,64	26	196,42	32	468,05	10	4.595,26
54	117,24	35	233,19	20	286,94	10	293,26
9	23,80	3	21,95	8	115,60	8	346,60
20	56,41	15	103,03	5	69,26	4	124,62
17	43,75	20	161,12	30	428,60	14	337,02
4	7,33	1	10,55	15	244,54	13	475,85
47	117,31	40	289,15	45	638,34	19	491,03
3	7,21	4	25,08	12	173,45	7	201,60
20	45,07	1	9,95	13	201,48	3	80,20
15	35,26	9	65,19	11	176,99	5	116,87
—	—	—	—	14	222,16	5	164,08
7	17,02	2	18,50	4	69,75	5	139,25
4	11,97	7	48,31	11	157,29	—	—
19	55,21	16	116,52	8	106,25	4	110,09
10	35,01	9	71,91	17	241,15	5	120,37
6	15,71	1	6,75	15	245,91	5	111,40
13	37,31	12	95,71	8	115,30	16	475,44
3	7,78	3	26,78	12	209,79	9	137,25
539	1.253,34	296	2.166,29	362	5.313,42	250	13.232,62

Materialy i źródła

D								
ziemia w rękach polskich								
do 5 ha		do 10 ha		do 20 ha		ponad 20 ha		Robotników
ilość gosp.	ha	ilość gosp.	ha	ilość gosp.	ha	ilość gosp.	ha	
2	3,13	—	—	—	—	—	—	96
5	10,14	1	9,50	1	10,87	—	—	61
4	4,63	1	7,50	—	—	—	—	—
54	99,72	8	59,03	35	525,16	12	355,87	182
15	30,24	13	104,61	12	171,36	3	41,46	15
4	3,30	4	30,95	8	126,70	14	386,82	28
21	27,64	13	72,63	20	315,13	9	184,41	22
—	—	—	—	—	—	1	21,75	—
—	—	2	13,85	1	14,00	—	—	8
—	—	—	—	—	—	—	—	45
—	—	—	—	1	17,50	—	—	38
1	0,87	1	10,00	—	—	—	—	79
—	—	—	—	—	—	—	—	3
1	4,50	—	—	—	—	—	—	28
—	—	—	—	1	10,88	—	—	10
—	—	—	—	—	—	—	—	17
—	—	—	—	—	—	—	—	19
—	—	—	—	—	—	—	—	3
—	—	—	—	—	—	—	—	7
—	—	—	—	—	—	—	—	15
—	—	—	—	—	—	—	—	3
—	—	—	—	—	—	—	—	3
1	4,50	—	—	—	—	—	—	1
—	—	—	—	—	—	—	—	9
—	—	—	—	—	—	—	—	5
—	—	—	—	—	—	—	—	8
—	—	—	—	—	—	—	—	4
—	—	—	—	—	—	—	—	—
108	188,67	43	308,07	79	1.191,60	39	990,31	

DANE STATYSTYCZNE

Zgromadzone z różnych wykazów dane dotyczące stanu zaludnienia we wsiach Babimojszczyzny o przewadze ludności polskiej oraz w Górnym Folwarku, osadzie niemieckiej, leżącej wśród tych osiedli za lata od 1910 do 1939 roku.

Rok	Górny Folwark	Wk. Podmokle	Mł. Podmokle	St. Kramsko	N. Kramsko
1910	155	360	486	341	1.017
1911	156	368	488	355	1.034
1912	161	344	490	359	1.058
1913	152	340	501	351	1.074
1914	150	327	507	337	1.097
1915	153	325	514	345	1.106
1916	150	322	508	342	1.103
1917	152	320	501	338	1.107
1918	154	314	497	336	1.097
1919	151	309	491	328	1.086
1920	161	315	501	331	1.097
1921	167	343	519	335	1.095
1922	168	359	527	320	1.109
1923	163	350	537	319	1.117
1924	162	342	536	318	1.124
1925	182	335	539	314	1.134
1926	177	338	533	315	1.136
1927	179	345	542	330	1.140
1928	187	344	536	333	1.148
1929	190	247	532	339	1.151
1930	191	332	526	330	1.159
1931	170	323	521	330	1.158
1932	168	321	521	326	1.179
1933	165	326	526	337	1.184
1934	163	333	528	343	1.183
1935	150	330	501	340	1.217
1936	157	353	—	333	1.221
1937	—	—	504	331	—
1938	—	—	496	—	1.241
1939	—	—	—	337	—

Cały powiat babimojski liczył w dniu 16 czerwca 1933 r. — 13.261 mieszkańców.

Distrikt Kargowa liczył w latach: 1885 — 6.036, 1890 — 6.070, 1895 — 6.052, 1900 — 5.867, 1905 — 5.980, 1910 — 6.260, 1919 — 6.034, 1925 — 6.054, 1933 — 5.920, 1934 — 5.926, 1935 — 5.983, 1936 — 5.919 i 1937 — 5.817 ludzi.

SPRAWY WYBORCZE

Dnia 12 marca 1933 r. odbyły się równoczesne wybory do sejmików prowincjonalnych, sejmików powiatowych i przedstawicielstw gmin (Provinziallandtag, Kreistag i Gemeindevorsteher). Są to odpowiedniki dzisiejszych rad wojewódzkich, powiatowych i gromadzkich. W czasie tych wyborów w całych Niemczech odniosła zwycięstwo lista hitlerowska oznaczona nr 1, co umożliwiło Hitlerowi opanowanie władzy w Rzeszy. Polacy wystawili własną listę nr 16, niestety w wyborach do rady powiatowej zdobyli tylko 1 mandat, jak to wynika z końcowego protokołu wyborczego. Brak w aktach wyników wyborów do rady prowincji (Posen Westpreussen), które należałoby odszukać w Dzienniku Urzędowym Rejencji w Pile za rok 1933, o ile taki się dochował. Zachowała się natomiast kartka wyborcza do rady prowincji (zbiory prywatne), z której wynika, że z listy polskiej nr 16 kandydowali: Grochowski, Budych IV, Cichy i Noryśkiewicz.

Akta Komisariatu w Kargowej. Teczka 31/124. Wybory do Rady Prowincjonalnej i Powiatowej (Akten des Distriktsamts Karge Fach 31 nr 124 Provinziallandtags — und Kreistagswahlen).

Odpis fragmentów protokołu ustalającego wyniki wyborów. W przekładzie brzmi on:

Dla Powiatowego Dziennika Urzędowego!

Dotyczy: Wyniki wyborów do rady powiatowej.

Na zasadzie § 113 ordynacji wyborczej do rady prowincjonalnej i powiatowej, wydział powiatowy (Kreisausschuss) ustalił na otwartym posiedzeniu w dniu 16 marca 1933 r. następujące wyniki wyborów z 12 marca 1933 r. do rady powiatowej, co podaje niniejszym do publicznej wiadomości.

Ogólna liczba ważnych głosów wynosi: 7.399

Z tej liczby przypada na listy wyborcze:

Nr 1	Narodowo-socjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza (Nazional-sozialistische Deutsche Arbeiterpartei-Hitlerbewegung)	3760 gł.
Nr 2	Socjal-demokratyczna Partia Niemiec (Sozialdemokratische Partei Deutschlands-SPD)	657 „
Nr 4	Niemiecka Partia Centrum (Deutsche Zentrumsartei)	1891 „
Nr 5	Front Walki Czarno-Biało-Czerwonych (Kampffront Schwarz-Weiss-Rot)	603 „
Nr 16	Lista Polska (Polenliste)	488 „

Spółród 20 mandatów przypada wobec tego na poszczególne listy:

Nr 1	Narodowo-socjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza	10 mandatów
Nr 2	Socjal-demokratyczna Partia Niemiec	2 „
Nr 4	Niemiecka Partia Centrum	5 „
Nr 5	Front Walki Czarno-Biało-Czerwonych	2 „
Nr 16	Lista Polska	1 „

Razem: 20 mandatów

Materiały i źródła

Według kolejności kandydatów na listach zostali wybrani do rady powiatowej:

- a) z listy nr 1... itd.
następuje wyliczenie wybranych kandydatów
- e) z listy nr 16 Polenliste (Lista Polska)
- 1. Cichy Jan — rolnik w Nowym Kramsku.

Sulechów, 16 marca 1933 r.

Przewodniczący Wydziału Powiatowego Powiatu Babimost
w. z. podp. Nethe, asesor rządowy.

Opracował: Wiesław Sauter

WIKTOR LEMIESZ

„Gesamtüberblicke über die polnische Presse“ i ich zastosowanie w p r a k t y c e

Władze niemieckie zarówno przed, jak i po pierwszej wojnie światowej pilnie śledziły treść prasy polskiej, ukazującej się na terytorium Niemiec i poza ich granicami.

Te zainteresowania zaspokajało wiele różnych wydawnictw, wśród których objętością i zasięgiem wyróżniał się wydawany od r. 1892 przez policję niemiecką „Gesamtüberblick über die polnische Tagesliteratur”.

Po klęsce wojennej Niemiec w 1918 r. już w kilka tygodni po zawarciu Traktatu Wersalskiego wydawnictwo to zostało wznowione pod nieco tylko zmienionym tytułem „Gesamtüberblick über die polnische Presse”. „Ogólny Przegląd Prasy Polskiej” ukazywał się przeciętnie dwa razy w tygodniu. Nie jest rzeczą przypadku, że ostatni numer wyszedł w dniu... 2 września 1939 r. — w chwili, kiedy los ówczesnego państwa polskiego był już w zasadzie przesądzony.

Pismo zawierało przedruki i streszczenia zamieszczanych w prasie polskiej materiałów mogących zainteresować władze niemieckie, a szczególnie policję i urzędy zajmujące się sprawami polskimi.

Materialy zamieszczane w tym przeglądzie pobudzały często władze niemieckie do różnych działań i czynności. W zbadanych niedawno przez autora dokumentach byłego komisarza dystryktu policyjnego w Kosieczynie — Hagemanna znajduje się obszerny poszyt pt. „Die Polnische Bewegung” (Ruch Polski)*. Zawarte w nim materiały z lat 1936–1939 rzucają wyraźny snop światła na stosunki, w jakich żyła ludność wsi autochtonicznej Dąbrówka Wielka położonej w województwie zielonogórskim.

* Powiatowe Archiwum Państwowe w Międzyrzeczu.

Poszyt zawiera, obok doniesień posterunku żandarmerii w Dąbrówce i obfitej korespondencji służbowej, instrukcje i okólniki władz wyższych ujawniające bez ogródek cele i metody polityki hitlerowskiej wobec ludności polskiej.

Obok tego znajduje się w zbiorze wiele dokumentów związanych z „Ogólnym Przeglądem Prasy Polskiej”. Dzięki temu można sobie w pewnym przynajmniej stopniu wyrobić pogląd na znaczenie tego wydawnictwa.

Z zachowanych akt wynika, że „Ogólny Przegląd Prasy Polskiej” służył władzom policyjnym przede wszystkim jako źródło informacji uzupełniającej wiadomości otrzymywane do sieci szpiegów śledzących każdy krok mniejszości polskiej w Niemczech.

I tak np. w dniu 14 grudnia 1935 r. prezydent rejencji w Pile wysłał landratowi (staroście) w Międzyrzeczu następujący odpis informacji zamieszczonej w jednej z polskich gazet ukazujących się w Niemczech.

Wyciąg z Nr 81 Ogólnego Przeglądu Prasy Polskiej z 22 listopada 1935 r.

„Głos Pogranicza i Kaszub” (Złotów nr 266 z 17 listopada 1935 r.) informuje, że miejscowa grupa Związku Polaków oraz szkoła polska zorganizowały obchód związany z wieczorem poświęconym Staszicowi.

Referent mówił o historii narodu polskiego w czasie okupacji oraz o walkach niepodległościowych. Inny mówca mówił o Staszicu, o którym powiedział, że trochę czytał się ogólne i zawodowe wykształcenie wszystkich Polaków i że w szczególności interesował się losem chłopów...

W piśmie przewodnim prezydenta rejencji czytamy „Proszę uprzejmie o wiadomość, kim był Staszic i jakiego rodzaju zasługi miał on dla polskości”.

Landrat, który nie bardzo się orientował w takich „zawiłościach”, przesłał pismo komisarzowi policji w Kosieczynie. Ten po zasięgnięciu opinii starszego wachmistrza żandarmerii Hofmanna rezydującego stale w Dąbrówce odpowiedział po kilku dniach:

„...Staszic był polskim uczniem. Miał się urodzić w Pile i teraz jeszcze w kościele św. Jana zachować się miała tablica pamiątkowa. Nie udało mi się jeszcze stwierdzić, czy urodził się w wieku XIX czy też w XVIII...”

Nie wiadomo, czy komisarzowi udało się koniec końców ustalić datę urodzenia Staszica. Wiadomo natomiast, że policja niemiecka interesowała się w miarę swych możliwości wszystkimi przejawami życia polskiego.

Prezydent rejencji powiadomił np. 13/XI — 35 r. landrata, że w „Polsce Zbrojnej” nr 278 z 9/10 — 35 r. ukazała się następująca notatka:

„Wystawa wędrowna polskiej książki”

Z inicjatywy sesji przyjaciół polskiej książki przy Światowym Związku Polaków z Zagranicy zorganizowana zostanie w grudniu br. wędrowna wystawa książki polskiej w większych polskich ośrodkach w Niemczech.

Zadaniem wystawy jest zapoznanie Polonii zagranicznej z osiągnięciami Macierzy w dziedzinie piśmiennictwa i nawiązanie kontaktów, które w przyszłości umożliwią Polakom zagranicą nabycie polskiej książki na wyjątkowo korzystnych warunkach”.

Starosta ze swej strony zlecił policji, by stwierdziła czy wystawa zawita i do Dąbrówki. 6 stycznia pisze prezydent rejencji do landrata:

Zwracam uwagę na artykuł zamieszczony w nr 84 Ogólnego Przeglądu Prasy Polskiej z 4 grudnia r. ub. pt. „O pielęgnowanie polskich tańców ludowych” i proszę o sprawdzenie czy podobne kursy odbyły się u pana.

W odpowiedzi na to przysłał Hagemann następujący raport przygotowany przez posterunek żandarmerii w Dąbrowce:

Sprawozdanie

Dotyczy: Nauki tańców mniejszości polskiej w Dąbrowce.

10, 11 i 12 stycznia r. b. odbył się w Dąbrowce kurs tańca. Nauka odbywała się w sali oberżysty Reimanna i w czytelni mieszczącej się w domu rolnika Mariana Kusiora. Kierownikiem kursu był obywatel polski — aktor Stefan Mathias, ur. 17 marca 1899 w Warszawie, zam. w Chojnicach ul. Szewska 1. Frekwencja na kursie była dobra... Ćwiczone krakowiaki, oberki i mazurki...

W marcu 1936 r. zwrócił się landrat do Kosieczyna z prośbą:

„o poinformowanie, czy wiadomo dlaczego nastąpiła reorganizacja Polskiego Związku Robotniczego w Dąbrowce Wielkiej. Kto jest w zarządzie i jaką opinią cieszą się dane osoby”.

W celu lepszego zorientowania swego podwładnego załączył landrat odpis fragmentu zamieszczonego w Ogólnym Przeglądzie Prasy Polskiej (nr 19 z 18/III – 1936 r.).

Głos Pogranicza i Kaszub (Złotów, nr 60 z 12/III – 1936 r.) informuje:

8 bm. w sali pana Weissa odbyło się walne zebranie Polskiego Związku Robotniczego. Po złożeniu wyczerpującego sprawozdania z dotychczasowej działalności zarządu Stowarzyszenia postanowiono jednomyślnie Stowarzyszenie rozwiązać. Zaraz potem odbyło się konstytucyjne walne zebranie, w którym wzięli udział wszyscy obecni członkowie rozwiązanej organizacji. Postanowiono jednomyślnie utworzyć nowe stowarzyszenie, które pod nazwą „Związek Robotników Polskich” jednoczyć będzie wszystkich polskich robotników z Dąbrowki Wielkiej.

Do zarządu nowego stowarzyszenia wybrano Kasprzaka, przewodniczący (dotychczasowy przewodniczący rozwiązanego stowarzyszenia), Flejsierowicza (skarbnik), Pawelskiego (skarbnik)...

W odpowiedzi na to sporządził Hagemann charakterystyki osób wybranych do władz Związku.

* * *

Polska gazeta „Głos Pogranicza i Kaszub” — czytamy w piśmie prezydenta rejencji z 16/7 — 35 r. — przynosi w nr 150 sprawozdanie ze święta polskiej młodzieży i Stowarzyszenia Śpiewaczego, które odbyło się 28/6 — 1936 r. w Dąbrowce Wielkiej.

„Dzieci odświętnie ubrane zebrały się wraz z nauczycielami, rodzicami i licznymi gośćmi przed szkołą... aby razem pomaszerować do ogrodu p. oberżysty Reimanna...”

W związku z tym prosił prezydent o dokładne podanie przebiegu uroczystości.

* * *

Ogólny Przegląd Prasy Polskiej docierał nie tylko do rejencji i landraty, lecz również do dołowych placówek Gestapo. Świadczy o tym fakt, że w listopadzie 1937 r.

Hagemann otrzymał od Gestapo w Świebodzinie wyjątek z nr 70 Ogólnego Przeglądu Prasy Polskiej:

„Naród” (nr 254 z 3/II – 37 r.) informuje:

Od dłuższego czasu przygotowują się nasze stowarzyszenia i organizacje do uroczystości związanych z 15-leciem istnienia Związku Polaków.

Tajna policja zażądała w związku z tym szczegółowego meldunku o przygotowaniach czynionych przez Polaków.

Podobne znaczenie miał wyciąg z Ogólnego Przeglądu Prasy Polskiej z 16 listopada 1938 r. (Nr 63).

Gazeta Olsztyńska (Olsztyn nr 260 z 10/11 – 1938 r.) zamieszcza artykuł Władysława Zachariasiewicza, w którym autor omawia imprezy Polonii Zagranicznej zaplanowane na rok 1939.

Mędzy innymi mają się odbyć:

III Zjazd Polonii Zagranicznej, II Igrzyska Sportowe, III Zjazd Polskiej Młodzieży z zagranicy...

Punktem szczytowym imprez przewidzianych na lato 1939 r. będzie spotkanie młodych i starszych uczestników w Krakowie.

Po otrzymaniu powyższego pisma Hagemann zażądał by posterunek żandarmerii w Dąbrówce powiadomił go o swych obserwacjach.

* * *

Ogólny Przegląd Prasy Polskiej zawierał jak widzimy dość często informacje bardzo cenne dla różnych ogniw administracji państwowej. Obok tego jednak był on także wykorzystywany przez policję dla tak zw. celów operatywnych. Materiały zamieszczane w Przeglądzie były niekiedy podstawą do wszczynania przez policję różnych konkretnych czynności.

20 lutego 1936 r. przesłała np. landratura Hagemannowi wyciąg z nr 12 Przeglądu:

Kurier Poznański (Poznań, nr 73 z 14/II – 1936 r.) informuje: 15 bm. o godz. 14,20 przybywa do Poznania wycieczka z Marchii Granicznej, a mianowicie z Nowego Kramska, Dąbrówki i Babimostu.

Wycieczkowicze pozostaną w naszym mieście w sobotę i niedzielę. W skład wycieczki wejdzie ok. 250 osób. Wśród nich znajdzie się wiele młodzieży polskiej z Niemiec płci obojga.

Należy oczekiwać, że społeczeństwo Poznania zjawiając się na dworcu i witając serdecznie swych rodaków z tamtej strony granicy, udowodni im raz jeszcze z jak wielką troską śledzimy za losami Polaków żyjących poza granicami Polski.

Przesyłając odpis do wiadomości – pisał Hagemann do posterunku żandarmerii – proszę o sprawdzenie, czy i jacy Polacy z Dąbrówki wzięli udział w tej uroczystości. Czy wiadomo coś o przebiegu?

Wobec znanej postawy ludności Dąbrówki Wielkiej nie było to łatwe zadanie. Nic dziwnego, że żandarmeria nie wiele się dowiedziała. Zameldowano więc jedynie, że na dworcu poznańskim czekała na gości orkiestra i że członkowie wycieczki czuli się w Poznaniu dobrze. Kierownik posterunku obiecywał w zakończeniu, że będzie jeszcze węszył za tą sprawą.

Innym razem pisała placówka Gestapo ze Zbąszynka do Hagemanna:

W oparciu o materiał zamieszczony w Ogólnym Przeglądzie Prasy Polskiej nr 11 z 27 lutego proszę o zameldowanie do 23 bm. kto spośród 15 absolwentów mieszka w waszym okręgu.

Do tego załączono fragment Przeglądu:

„Nowiny Codzienne” (Opole, nr 45 z 25 lutego 1937 r.) informują:

Tegoroczne egzaminy maturalne odbyły się w polskim gimnazjum w Bytomiu w dniach 15–19 lutego...

15 absolwentów uzyskało w wyniku egzaminów świadectwo dojrzałości (następuje 15 nazwisk).

9/IV – 1937 r. Hagemann odpowiedział:

Zaden spośród absolwentów polskiego gimnazjum w Bytomiu wymienionych w Ogólnym Przeglądzie Prasy Polskiej nie pochodzi z tutejszego dystryktu.

W sierpniu otrzymał Hagemann następujący fragment Ogólnego Przeglądu Prasy Polskiej (nr 43 z 14/7 – 1937 r.):

W czwartek 1/7 odbyło się walne zebranie Związku Polskich Studentów w Niemczech. Po wysłuchaniu sprawozdania udzielono zarządowi absolutorium. Do nowego zarządu wybrano m. in.... Tomasza Gółka (Marchia Graniczna) na zastępcę sekretarza....

Już po kilku dniach odpowiedział Hagemann landratowi:

Ogólny Przegląd Prasy Polskiej (Nr 43 z 14 lipca) zawiera notatkę o obradach Związku Polskich Studentów. Według niej wybrano na zastępcę sekretarza Tomasza Gółka (Marchia Graniczna). Gólek urodził się 30 sierpnia 1910 r. w Dąbrówce i od 2 kwietnia 1937 r. mieszka w Bonn, Talstrasse 26. Z uwagi na to, że prawdopodobnie studiuje w Bonn, tamtejsze władze policyjne powinny zainteresować się mniejszościową działalnością G.

Na tym nie koniec. 13 września 1937 r. raz jeszcze wraca Hagemann do sprawy:

Nawiązując do pisma z 27/8 zawiadamiam, że Gólek nie urodził się 30 sierpnia 1910 r., lecz 5 marca 1912 w Dąbrówce Wielkiej.

Sprostowanie daty urodzenia zgłoszono mi później, proszę przeto o usprawiedliwienie mego uchybienia.

Wyjaśnienie to świadczy o wadze, jaką przywiązywano w Niemczech do najdrobniejszych zdarzeń okoliczności.

* * *

Z przeglądu korzystały oczywiście i najwyższe władze III Rzeszy.

W sierpniu 1936 r. wysłało np. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych pismo do wszystkich prezydentów rejencji:

Powołując się na przedrukowane w Ogólnym Przeglądzie Prasy Polskiej nr 42 z 3 lipca r. b. wywody „Polski Zachodniej”, zamieszczone pod tytułem „Niedola lekarzy polskich na Śląsku Opolskim” proszę o imienny wykaz czynnych i mieszkających w Waszym Okręgu lekarzy należących do mniejszości polskiej, o podanie w jakich kasach chorych dopuszczeni są do pracy”.

Rejencja ze swej strony przesłała odpis do landrata, który przesłał go z kolei do Kosieczyna z następującym dopiskiem:

„Załączam odpis... Lekarzy, którzy nie należą bezpośrednio do mniejszości polskiej, lecz z uwagi na nazwisko lub pochodzenie uchodzą za Polaków, należy również zgłaszać”.

Wynika z tego, że wskutek interwencji prasy zaczęto tylko jeszcze baczniej przyglądać się polskim lekarzom.

Bywało niekiedy i tak, że władze niemieckie prostowały w korespondencji wewnętrznej nieścisłości, które zakradały się na łamy polskich gazet.

10 maja 1938 landrat posłał Hagemannowi notatkę z „Dziennika Poznańskiego” z 13 kwietnia 1938 r.:

„Niemiecki notariusz żąda 500 marek* za uwierzytelnienie tłumaczenia sztuki teatralnej „Przylączenie”, która miała być wystawiona w Dąbrowce Wielkiej. W ten sposób została faktycznie zabroniona”.

Hagemann odpowiedział na to:

„W kwietniu nie proszono mnie o zezwolenie na wystawienie sztuki teatralnej. Po rozmowie z panem radcą policyjnym Erbtem z Kargowej zorientowałem się, że miało w podobnych okolicznościach nastąpić niewystawienie sztuki w mieście Babimost.

Landrat z Sulechowa miał już o tej sprawie meldować prezydentowi rejencji...”.

Okazuje się więc, że podany przez prasę fakt istotnie miał miejsce. Tyle, że nie w Dąbrowce Wielkiej lecz w Babimost. A więc zgodnie z pruską rutyną urzędniczą wymagał odpowiedniego „sprostowania”. Co do meritum sprawy wszyscy byli oczywiście zgodni...

Niemieckie placówki dyplomatyczne w Polsce starały się „uzupełnić” Ogólny Przegląd Prasy Polskiej i za pośrednictwem niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych informowały Gestapo o treści niektórych publikacji w Polsce. Oto np. dokument wysłany 28 lipca 1936 roku przez niemieckiego konsula generalnego w Poznaniu do Berlina:

Dziennik Poznański (nr 172 z 26/7 r. b.) w sprawozdaniu omawiającym powrót polskich dzieci wysłanych na wakacje do Polski stwierdza z zadowoleniem, że dzieci te zmieniły się całkowicie w ciągu kilku tygodni. Gdy przyjechały do Polski, sprawiały wrażenie całkowicie zgermanizowanych. Teraz nie można ich poznać. Nabrały polskiej ogłady i zostały spolonizowane. Dzieci zostały obdarowane w chwili odjazdu polskimi książkami i czasopismami.

„Dziennik Poznański” zauważa także, że dzieciom towarzyszył przewodniczący Związku Polaków w Niemczech, który podał szereg ciekawych informacji o polskiej pracy kulturalnej.

Odpis tego pisma powędrował do wszystkich placówek policyjnych w miejscowościach zamieszkałych przez mniejszość polską. W odpowiedzi na to policja wszczęła wszędzie dochodzenia.

Hitlerowcy interesowali się nie tylko tym, co prasa polska pisała o sprawach mniejszości polskiej w Niemczech, lecz również tym, co pisała o Polsce.

3 maja 1937 r. np. powiadomiono Hagemanna, że:

* Była to równowartość ok. 1100 zł przedwojennych).

Materiały i źródła

W Gdyni ukazał się pierwszy numer nowego polskiego pisma „Kurier Bałtycki”, z którego wynika, że gazeta ma zamiar prowadzić bezwzględną walkę z niemiecką grupą narodowościową na Pomorzu...

Gdyby gazetę przywieziono do Waszego okręgu, proszę o natychmiastowe powiadomienie Gestapo w Pile i załączenie egzemplarza.

* * *

Bliższe zbadanie kompletów „Ogólnych Przeglądów Prasy Polskiej” wzbogaciłoby nie tylko naszą wiedzę o położeniu mniejszości polskiej w Niemczech, lecz także o treści i roli prasy polskiej w okresie międzywojennym.

Przy okazji warto nadmienić, że i dziś ukazują się w Niemieckiej Republice Federalnej dość liczne wydawnictwa zawierające przedruki i streszczenia rozmaitych materiałów zamieszczanych w prasie polskiej. Przedruki te, jeśli przeznaczone są dla szerszego kręgu odbiorców, nie zawsze są jednak dokładne, a streszczenia wypaczają niekiedy w złośliwy sposób myśli autorów. Szczególnie smutną sławę zdobyła sobie pod tym względem instytucja zwana „Göttinger Arbeitskreis”.

Okazuje się, że niektóre współczesne wydawnictwa tego typu ustępują znacznie swym poprzednikom sprzed I, a nawet sprzed II wojny światowej.

WIKTOR LEMIESZ

Na tropach zbrodni f a s z y z m u

Tajemnica śmierci 10.000 chorych w szpitalu obrzyckim

Obrzyce. Malownicze osiedle położone w pobliżu Międzyrzecza. Ogromny kompleks budynków pokrytych czerwoną dachówką.

Od kilkadziesiąt lat mieści się tu duży zakład dla nerwowo i psychicznie chorych. I dziś po starannie wygracowanych ścieżkach uwijają się sylwetki łżej chorych. Ciężko chorzy przebywają w pawilonach na leczeniu. Nie brak wśród nich nieszczęśników, którzy przebywają w szpitalu już od kilkunastu lat i jako chronicy pozostaną tu do końca dni swoich. Większość pacjentów wraca jednak po krótszym lub dłuższym leczeniu do swych rodzin i do pracy. Ludzie ci, zdobywają tu od nowa możliwość korzystania z życia oraz z radości, jakie ono przynosi, i stają się znowu pożytecznymi członkami społeczeństwa...

Fabryka śmierci

Tak działo się dawniej i tak dzieje się dziś. Ale tak nie było zawsze. Był taki straszny czas, kiedy szpital dla chorych umysłowo w Obrzykach przestał być zakładem leczniczym, a stał się jeszcze jedną **fabryką śmierci**.

Jest rzeczą znaną, że hitlerowcy jeszcze w latach przedwojennych realizowali zbrodnię zwaną „akcją Eutanazja”. Polegała ona na zadawaniu śmierci osobom nieuleczalnie chorym.

Jednakże na przełomie 1942 i 1943 roku nastąpiła wzmożona kampania przeciwko tak zwanym nieprodukcyjnym konsumentom („nutzlose Esser”). W owym to czasie na całym terenie Tysiącletniej Wielkiej Rzeszy Niemieckiej przystąpiono do masowego mordowania starców i osób chronicznie chorych, a zwłaszcza chorych umysłowo.

Domy starców i szpitale zamieniły się wówczas w katownie, w których setki tysięcy bezbronnych ludzi wszystkich niemal narodowości zamieszkujących Europę znalazły śmierć. Jedną z tych fabryk śmierci stał się szpital w Obrzycach.

Tak się złożyło, że po zbrodniach popełnionych w tej jednej z niezliczonych mordowni hitlerowskich pozostały materialne ślady. Na pobliskim cmentarzu zachowały się skromne mogiły wyglądające na pojedyncze groby. Gdy jednak rozkopano jedną z nich – grób nr 482, znaleziono w nim szczątki 17 zwłok rozrzuconych w sposób bezładny...

Dalszych prac ekshumacyjnych potem już nie przeprowadzano, bo prawdę mówiąc nie było i potrzeby. Rzecz bowiem w tym, że zachowały się, choć nie w pełnym komplecie księgi zgonów Urzędu Stanu Cywilnego w Obrzycach z lat 1942-1944.

Uporowany Urząd i fałszywe księgi

Rysem najbardziej charakterystycznym dla obozu w Obrzycach było to, że większość chorych stanowili Niemcy, choć nie brakło i pacjentów innych narodowości – Polaków, Rosjan, Francuzów, Holendrów, Belgów itp.

Temu chyba przypisać należy fakt, że hitlerowcy, chcąc zachować pozory legalizmu, prowadzili na niby księgi zgonów.

Trzeba przecież było wydawać rodzinom niemieckim, choćby dla otwarcia postępowania spadkowego, czy stwierdzenia zmian zaszytych w stanie cywilnym, odpisy aktów zgonu rodziców, dzieci, czy współmałżonków. Aby jednak nagły wzrost ilości zgonów w Międzyrzeczu nie zwrócił uwagi osób niepowołanych, urządzono się w ten sposób, że... w samych Obrzycach utworzono Urząd Stanu Cywilnego, obsadzony przez SS-owców.

Te właśnie księgi, stały się mimo woli faszystowskich oprawców dowodem zbrodni dokonywanych nad chorymi.

Straszliwe liczby

Dziś przebywa w szpitalu obrzyckim około 1800 chorych. Spośród nich umiera co roku przeciętnie od 40 do 50.

W czasie wojny ilość chorych osiągała około 2000, ale równocześnie w ciągu 10 miesięcy 1942 roku (a ściślej mówiąc 8 listopada, bo ostatnia księga zaginęła) zmarło 515 osób.

W roku 1943 ilość „zmarłych” wzrosła do 990. Natomiast w okresie od 1 stycznia do 19 września 1944 zapisano w sześciu grubych tomiskach aż 3241 osób, zmarłych rzekomo na najrozmaitsze choroby. Jeśli więc np. w styczniu 1942 r. zapisano do księgi zgonów 27 chorych, to w styczniu następnego roku liczba ta wzrosła do 76, a w styczniu 1944 roku do 408. Podobny wzrost zaobserwować można w przekroju i pozostałych miesięcy.

W styczniu 1944 roku były dni, w których umierało prawie tyle osób, co w ciągu całego stycznia 1942 r. kiedy śmiertelność wcale nie była mała. I tak np. 10 stycznia 1944 roku „zmarło” 21 osób a 11 stycznia – 23. Natomiast „dziwnym trafem” w dniu

1 stycznia (Nowy Rok) nie zmarł nikt, 2 stycznia 1 osoba, 9 stycznia 8 osób, a 16 i 23 stycznia po dwóch chorych. Dodajmy, że mowa tu o niedzielach kiedy to zbrodniarze woleli odpoczywać niż zabijać. Na uwagę zasługuje fakt, że akty zgonów wypełnione są w sposób jak najbardziej formalny. Podawane są imiona rodziców, daty i miejsca urodzenia oraz daty, a nawet godziny i minuty zgonu.

I tak np. pod datą 27 października 1943 r. wśród kilkunastu zmarłych figuruje pod numerem 1450 nazwisko Karoliny Kühn, która zmarła rzekomo o godz. 11.45. Następnego dnia 28 października nie zmarł nikt. Natomiast 29 października pierwszy zgon (Niny Hermann) zanotowano o godz. 7, następne — Emmy Konrad i Marii Müller o godz. 7.15, Anny Dauker o godz. 7.45 itd. Łącznie tego dnia zarejestrowano śmierć 14 osób mężczyźni i kobiet, starców i dzieci i to przeważnie w odstępach piętnastominutowych. Urzędnik prowadzący zapisy nie wykazywał więc w tej dziedzinie większej inwencji.

W aktach zgonu podawano również skrupulatnie rzekomą przyczynę zgonu. Pod tym względem rejestrator zdobył się na zdumiewającą pomysłowość. Podawał bowiem najprzeróżniejsze choroby: grypę, zapalenie płuc, uwiąd starczy, wyczerpanie, atak serca, choroby jelit, żołądka, nerek itp.

Zeznania naocznych świadków

Tymczasem w ogromnej większości wypadków, przyczyna zgonu była zupełnie inna. W języku personelu szpitalnego mówiono bowiem krótko o zmarłych, że zostali „abgespritzt” — co można przetłumaczyć na język polski jako zgon wskutek śmiertelnego zastrzyku.

I istotnie tak było.

Dziś jeszcze w szpitalu obrzyckim zatrudnionych jest dwóch pracowników, którzy w roku 1940 zostali tu skierowani na robotę jako jeńcy wojenni. Mieczysław Darmosz, dziś pomocnik elektryka, pracował w latach II wojny światowej jako palacz w kotłowni szpitalnej. Stanisław Szyszka — obecnie przewodniczący rady zakładowej przebywał wraz z innymi jeńcami polskimi i francuskimi na gospodarstwie przyszpitalnym. Zostali tu zesłani na roboty przymusowe.

Obaj opowiadają, że warunki, w jakich znajdowali się chorzy, pozostawiały od początku wiele do życzenia. Kiepskie wyżywienie, brak leczenia i brak właściwej opieki nad chorymi spowodowały już w latach 1940–1942 nienormalnie wysoką śmiertelność. Jednakże w końcu 1942 roku nastąpiło przekształcenie szpitala w obóz śmierci.

Katowski reżym

W owym czasie dyrektorem szpitala mianowany został niejaki Walter Dombrowsky, SS-owiec zatrudniony dawniej jako pisarz w jednej z komunalnych kas oszczędności. Dombrowsky przeszedł już „staż przygotowawczy” w Kaliszu, gdzie wymordował wszystkich chorych.

Dombrowsky zachowywał się butnie i jak stwierdza St. Szyszka potrafił strzelać do mieszkań pracowników, którzy nie zaciemniaли należycie swych okien. Po przybyciu do Obrzyca opracował bezlitosny regulamin, na mocy którego chary zdolni do roboty musieli ciężko pracować przy budowie dróg, rowów ochronnych i ta bez względu na pogodę. Otrzymywali przy tym nad wyraz nędzne wyżywienie, a obchadzono się z nimi brutalnie. Bicie i kary były na porządku dziennym. Część chorych — przede wszystkim

jeńcy cudzoziemscy oraz Niemcy zakwalifikowani jako „polityczni przestępcy” pracowali pod konwojem strażników uzbrojonych w karabiny, chętnie robiących z nich użytek.

Jako szczególny brutal zasłynął pielęgniarz Emil Schmidt zwany przez swoich i chorych „Revolverschmidt”. W archiwum szpitalnym zachowało się wspomnienie jednego z ocalałych lekko chorych, Niemca – Ralfsa, który pisze m. in. „Revolverschmidt” bił pewnego dnia polskiego jeńca kolbą karabinową po głowie tak, że zerwał mu szeroki pas skóry, a koszula i ubranie zalane zostały krwią. W dwa dni później został jeńiec „ausgemerzt” (wybrakowany, wyeliminowany). Schmidt zameldował, że Polak zaatakował go i chciał mu wyrwać karabin z ręki”.

Dyrektor Dombrowsky – przypominają sobie świadkowie – często mawiał, że „chorzy muszą być wyciśnięci jak cytryna, do ostatniej kropli”. I tak postępowano z nimi.

Gdy zaś pracujący pacjenci wpadali już w stan zupełnego wyczerpania, spotykał ich ten sam los, co ciężko chorych – Eutanazja, czyli „dobra” bezbolesna śmierć.

Eutanazja

Akcję Eutanazja przeprowadzali pracownicy narodowości niemieckiej. Medicinelrat doktor Mootz, naczelny lekarz szpitala wyznaczał na wniosek kierowników oddziałów chorych podlegających eksterminacji. Otrzymywali oni wieczorem w zupie jakiś preparat (prawdopodobnie dawkę skopolaminy wymieszanej z morfiną). Po jego zażyciu chorzy stawali się zupełnie bezwolni i pielęgniarze odprowadzali ich na noc do specjalnych bloków – mężczyzn do budynku 19, a kobiety do budynku nr 8. Tam, tego samego wieczoru lub rano otrzymywali zastrzyk, po którym w ciągu godziny lub dwóch umierali. Ze zwłok ściągano odzież, po czym kładziono je do grobów jedne na drugich w kilku warstwach. Czasem umieszczano je w papierowych workach, a niekiedy przykrywano tylko grubym nasyconym smołą papierem.

Rodziny powiadamiano o śmierci tak późno, że z reguły spóźniały się na pogrzeb. W poszczególnych wypadkach, gdy umierał jakiś bogaty pacjent, czy bardziej znana osobistość, zawiadamiano rodzinę w terminie. Gdy krewni przyjeżdżali, szpital sprzedawał im ozdobną i drogą trumnę i sprawiał zmarłym normalny pogrzeb. Ale po wyjeździe rodziny wyjmowano trumnę z ziemi, a zmarłego chowano po raz drugi. Tym razem już tak jak wszystkich. Trumnę natomiast sprzedawano jeszcze parokrotnie przy następnych „okazjach” rodzinom chorych Niemców.

Starsi mieszkańcy Międzyrzecza przypominają sobie, że w lipcu 1945 r. odbyła się w sali kina Świt przed Sądem Wojennym Armii Radzieckiej publiczna rozprawa. Toczyła się ona przeciwko pielęgniarce Armandzie Ratajczak i pielęgniarzowi Jeschke, którzy nie zdążyli uciec wraz z wojskami hitlerowskimi i w oparciu o zeznania świadków oskarżeni zostali o morderstwo. Ratajczak przyznała się do zamordowania przy pomocy zastrzyków około 1000 chorych, a Jeschke do uśmiercenia 120 pacjentów. Oboje zostali na mocy wyroku sądowego rozstrzelani, lecz potem do sprawy tej już nie wracano.

Śmiercionośne ampulki

Mieczysław Darmosz stwierdza, że kilka razy zjawiał się w kotłowni jakiś niemiecki pielęgniarz, który trzymał w ręku koszyk zawierający około 100 do 200 pustych ampulek po zastrzykach o pojemności ok. 2 cm³. Darmosz otwierał palenisko pieca na polecenie pielęgniarza, który własnoręcznie wrzucał do niego ampulki i po dłuższej do-

piero chwili odchodził. Te właśnie ampulki zawierały resztki trujących substancji, zapewne jakichś związków chloru, przy pomocy których mordowano pacjentów.

Nie zawsze zresztą uciekano się do tak wyszukanych metod. Pewnego dnia np. w końcu 1942 r. wywieziono 500 chorych, którzy zostali zamordowani w pobliskim lesie. Nie pozostał po nich żaden ślad...

* * *

Trudno oczywiście określić w sposób zupełnie ścisły, ile osób w latach drugiej wojny światowej zostało zgładzonych w obrzyckiej fabryce śmierci. Jednakże na podstawie zapisków owego osobliwego „Urzędu Stanu Cywilnego” w obrzyckim szpitalu oraz relacji o morderstwach dokonywanych poza obozem można ocenić, że ilość ofiar przekroczyła na pewno 10.000.

Za ich śmierć odpowiedziało dopiero dwoje morderców.

Co dalej?

A co dalej? Gdzie są pozostali: dr Mootz, nadpielęgniars Winter, pielęgniarz Erdmann i inni?

Gdzie podział się pielęgniarz Emil Schmidt zwany Revolverschmidt?

Czy zamiast odpowiedzieć gardłem za swe zbrodnie nie gardlują oni wraz ze swymi współnikami w zachodnio-niemieckim chórze rewizjonistycznym?

Czy nie krzyczą znowu o utraconej „Heimat” i o konieczności wznowienia walki o ich „Lebensraum”, a może raczej o ich „Totenraum”?

WŁADYSŁAW KORCZ

H E R B Zielonej Góry

Niniejszy szkic nie rości sobie pretensji do szczegółowego, z punktu widzenia naukowego, wyczerpującego omówienia problemu herbu Zielonej Góry. Składa się na to szereg istotnych przyczyn. Pierwszą i najważniejszą jest dotkliwy brak źródeł z zakresu sfragistyki i heraldyki Zielonej Góry. Nie znamy w tej chwili najstarszych pieczęci miejskich, które by mogły doprowadzić do rekonstrukcji i odtworzenia najstarszego herbu miejskiego. Po drugie, sam temat należy do dziedziny nauk pomocniczych historii, w szczególności (wymienionych już wyżej) sfragistyki i heraldyki.

Nie specjalista w tych dziedzinach może jedynie dojść na podstawie dostępnej literatury i ocalałych starszych herbów względnie pieczęci, do pewnych, nie zawsze ścisłych uogólnień, dalekich od wyczerpania samego problemu.

W ten sposób uzyskane, na pewno bardzo skromne wyniki stanowią mogą jedynie wstęp do szerszego, naukowego opracowania. Podejmując jednak, mimo tak zasadniczych zastrzeżeń temat sprecyzowany w tytule niniejszego opracowania, wychodzę z założenia, że istnieje paląca potrzeba, jeżeli nie rozstrzygnięcia samego problemu, to jego zasygnalizowania.

Sytuacja bowiem jest co najmniej paradoksalna. Posługujemy się, po 15 latach istnienia Polski Ludowej, herbem miejskim zatwierdzonym w roku 1786, najprawdopodobniej przez Fryderyka II na krótko przed jego śmiercią. Herb ten, twór niemieckiej, wmurowany w ścianę ratusza zielonogórskiego, władze polskie przejęły i upowszechniły z niepokojącą beztroską.

W świetle powyższego, potrzeba przeprowadzenia rewizji dotychczasowego stanu rzeczy, staje się niezbędną, nie pozbawioną przy tym politycznego aspektu koniecznością.

To jest zarazem wystarczającym uzasadnieniem genezy niniejszego opracowania. Niech więc ten cel któremu ma ono służyć, usprawiedliwi jego niedostatki, których w obecnej chwili badań na tym odcinku, niesposób było uniknąć.

1. Najstarszy herb Zielonej Góry

Najbardziej wiarygodnym źródłem dla poznania obrazu miejskiego godła, w jego plastycznej postaci jest najstarsza pieczęć miasta¹. Zdarza się często, że pieczęć miejska sięgająca samych początków miasta, jako wyraz jego samorządu zachowała obraz herbu w jego najbardziej pierwotnej i nieskażonej formie².

Od momentu otrzymania praw miejskich, miasto stawało się jednostką prawną, miało zatem prawo wystawiania dokumentów publicznych we własnej kancelarii. Z tą chwilą pojawiała się potrzeba pieczęci i „wtedy nadchodził moment wyszukania odpowiedniego godła i ustalenia napisu napieczętnego”³.

Pieczęcie miejskie zaczynają zjawiać się stosunkowo późno, w Polsce dopiero w drugiej połowie XVIII wieku po otrzymaniu przez miasta własnego samorządu. W większości wypadków na treść i postać plastyczną pieczęci, wywierał wpływ właściciel miasta, a więc książę lub możny. Stąd elementy herbu miejskiego niejednokrotnie upodabniają się do herbu książęcego lub prywatnego właściciela miasta. Nie jest to jednak zasadą, od której nie notujemy odstępstwa. Pod względem wyobrażeń napieczętnych panuje dość duża różnorodność „...stosownie do tego, z jakiego punktu widzenia dokonano pierwotnie wyboru. Jedne bowiem miasta dały sobie zrobić pieczęcie z wizerunkiem miasta, lub jego głównego budynku, inne wołały mieć wyobrażenie wotywne o treści religijnej, a jeszcze inne wzorem rycerskim wybrały godło heraldyczne. Nie tylko w XIII, ale w XIV w. a nawet i później, mieszają się równocześnie wszystkie trzy motywy na pieczęciach miast śląskich, tak samo zresztą jak i w innych miastach polskich owego czasu”⁴.

Najstarsza pieczęć miejska Zielonej Góry, której wizerunek podaje August Förster⁵ datowana jest przez tego autora na rok 1421 (rys. 1). Możliwość istnienia jeszcze starszej pieczęci wynika z rozważań prof. Mariana Gumowskiego nad pieczęciami śląskimi przy omawianiu elementów wizerunku napieczętnego w niektórych miastach śląskich. Wspominając o helmie na pieczęci Zielonej Góry znajdującym się pomiędzy wieżami miejskimi przedstawionymi na tej właśnie pieczęci, datę jej powstania określa M. Gumowski na XIV w.

Najstarsza pieczęć przypomniana nam przez A. Förstera przedstawia zamek o dwóch wieżach bocznych i symbolizuje siedzibę pana miasta, którego godło występuje na tarczy pośrodku. Analogię znajdujemy również w obrazie najstarszej pieczęci miejskiej na Śląsku – pieczęci miasta Nysy z roku 1260, która wyobraża zamek biskupi (domus episcopalis), rezydencję pana miasta, biskupa wrocławskiego.

Trzeba więc zgodzić się z uwagą autora „Pieczęci śląskich” który stwierdza, że wyobrażenia części murów lub wież „...odpowiadają rzeczywistości i są prawdziwym wyobrażeniem istniejących wówczas budynków...”⁶.

Choć mury miejskie otrzymała Zielona Góra dopiero po roku 1429 (Henryk IX ówczesny pan miasta zaczął je właśnie w tym roku budować) i co do tego zgodni są wszyscy autorzy prac o naszym mieście, to jednak motywy architektoniczne przedsta-



Rys. 1

wione w obrazie napieczętym, symbolizujące wprawdzie obraz miasta jako całości, nawiązują do zabudowań zamku książęcego a nie murów miejskich.

Jeżeli chodzi o przybliżoną datę powstania tej pieczęci, to analiza treści obrazu napieczętego oraz fragment napisu wskazują na początek XIV, a może nawet i na koniec XIII wieku. Pieczęć bowiem sprawiona w początkach XV wieku, gdyby przyjąć datę podaną przez A. Förstera, musiałaby posiadać napis wyrażony literami gatyckiej minuskuły, tymczasem zachowane litery napisu wskazują na typową majuskułę gotycką przełomu XIII–XIV wieku.

Również struktura rysunku motywów architektonicznych jest bardzo zbliżona do przedstawień tego typu występujących na pieczęciach innych miast śląskich, sporządzonych niewątpliwie w początkach XIV w. Możemy zatem uważać opisaną wyżej pieczęć za najstarszą pieczęć Zielonej Góry, oddaną do użytku najprawdopodobniej bezpośrednio po lokacji miasta, a więc gdzieś w okolicy roku 1315.

W świetle dochowanych archiwaliów należy dodać, iż Zielona Góra mogła posiadać własną pieczęć już wcześniej, skoro akt umowy dziesięciu miast śląskich z Głogowem na czele, zawartej w roku 1310 w obronie przed szalejącym wówczas na terenie księstwa głogowskiego rozbojem, uwierzytelnili swoją pieczęcią rajcy zielonogórscy, choć sama pieczęć nie dochowała się do naszych czasów. (por. Grünhagen Regesten Nr 3150, dokument z 29. VI. 1310 r.).

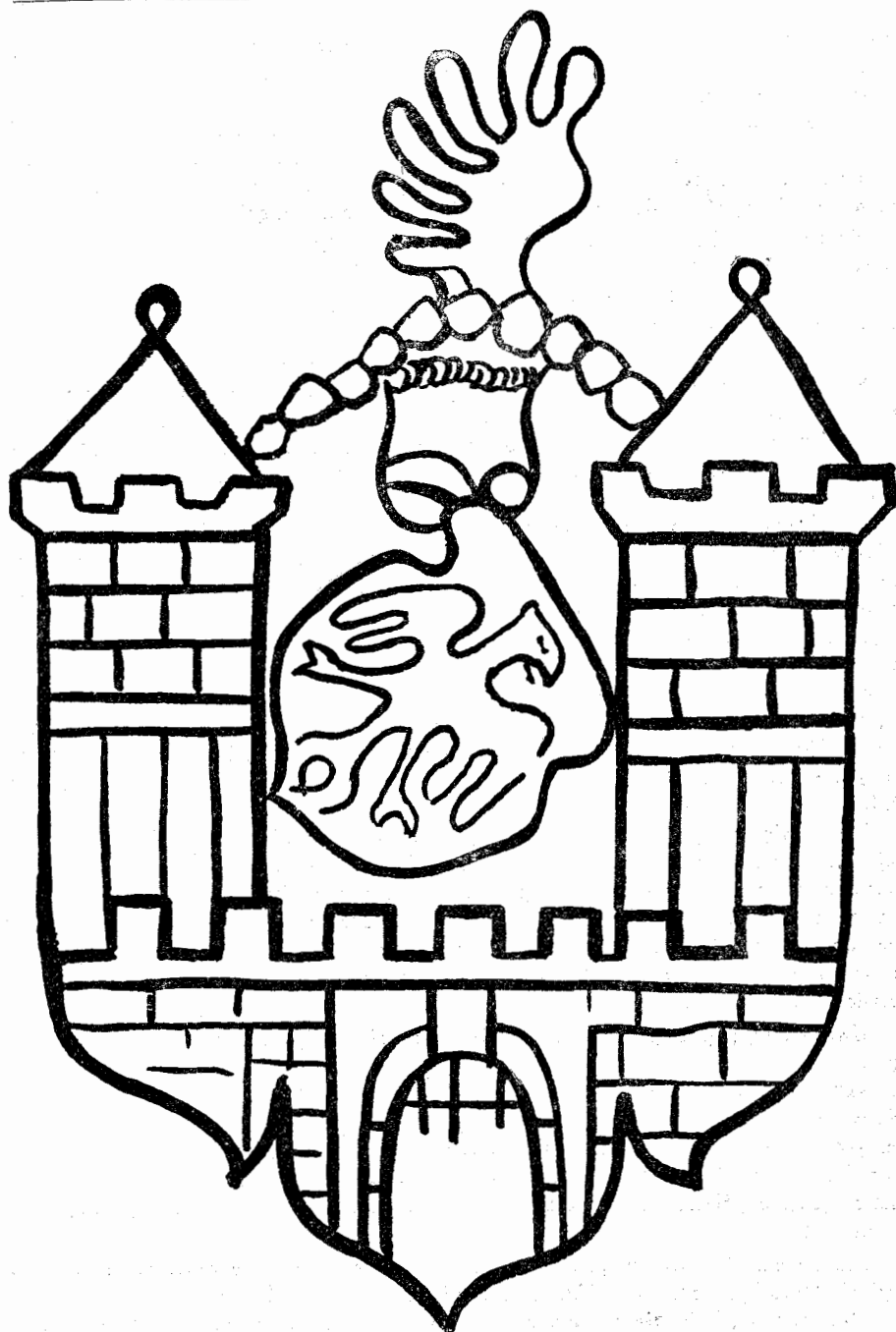
Analizując treść plastyczną omawianej pieczęci należy zwrócić uwagę, że dwie murowane wieże boczne z blankami u szczytu nakryte są spadzistym dachem zakończonym kulą. Widoczny fragment środkowy należy uważać za bramę, której sklepienie umacniają blanki fortecne, nie zaś za trzecią wieżę lub basztę.

„Mury (te) lub architekturę wyobrażono na pieczęciach tylko w skróceniu (w uproszczonym, schematycznym ujęciu – W. K.), a w pierwszej chwili to co najwięcej uderzało w oczy, a więc wieżycy kościelne i ratuszowe, baszty fortyfikacyjne i bramy miejskie. Zaznaczano przy tym w olbrzymich rozmiarach rozmaite szczegóły jak cegły, ciosy, kule i krzyże szczytowe, okna, blanki i bramy”⁷.

Pomiędzy basztami w środku pieczęci znajduje się godło herbowe ówczesnego pana miasta. Tarcza z orłem, ukośnie ułożona i nakryta hełmem zdobnym w labry i pióropusz (jedna z najczęstszych ozdób hełmów piastowskich na Śląsku). Labry – „to pierwotnie lekka powiewna materia, od hełmu w tył zwisająca, którą wprowadzili w modę jeszcze krzyżowcy, chroniąc w ten sposób kark i zbroję od palących promieni słońca na wschodzie. (...) Na Śląsk wprowadził ją pierwszy Bolesław, książę legnicki na pieczęci z roku 1310, a od tego czasu widoczna jest niejednokrotnie na pieczęciach książęcych XIV wieku”⁸.

Tarcza ze swoim motywem obrazowym jest podstawowym, istotnym elementem herbu, zaś hełm dopełnia jedynie treść heraldyczną. „Orzeł zaś jest herbem piastowskiego domu książęcego i z natury rzeczy znajduje się najczęściej na pieczęciach miast śląskich”⁹.

Należy zauważyć, że w podanym przez Förstera obrazie miejskiej pieczęci, orzeł nie jest utrzymany we właściwym charakterze. Trzeba bowiem przyjąć, że opisany wyżej herb Zielonej Góry jest bez wątpienia pochodzenia książęcego. Miasto przyjmując herb książęcy chciało podkreślić tym swoją przynależność. Uwzględniając fakt panowania nad Zieloną Górą książąt piastowskich, należałoby przyjąć na tarczy orła śląskiego. Ten, który podaje A. Förster zbliżony jest raczej do orła brandenburskiego. W rysunku, szczególnie



Rys. 2

zaś na pieczęciach, różnice są niewielkie i bardzo często zdarza się, że zapomina się o pewnym charakterystycznym szczególe. Orzeł śląski bowiem ma na piersiach półksiężyc, którego nie widzimy u brandenburskiego.

Wprowadzwszy to ważne uzupełnienie należałoby z kolei dla uzyskania pełnego obrazu herbu dopełnić brakujące na pieczęci części murów. Pomocną w tym może być zamieszczona u H. Schmidta¹⁰ reprodukcja wodnego znaku używanego przy produkcji papieru w leżącej niedaleko Zielonej Góry fabryce papieru w Krepie.

Na treść rysunku znaku wodnego składa się herb Zielonej Góry ze starej pieczęci miejskiej z roku 1599. (Rys. 2). Herb ten w zasadniczej swej treści pokrywa się z poprzednio omówionym. Różnice które rzucają się w oczy sprowadzają się do zupełnie innego hełmu, i co najważniejsze tarcza z orłem (również nie śląskim) przybrała odwrotne położenie w stosunku do herbu podanego przez Förstera.

Mając te różnice na uwadze, nie możemy zapominać o pozostałych elementach herbu ze znaku wodnego. Znajdujemy tu cenny rysunek murów i bramy. Brama pod swoim szczytowym łukiem posiada kratę i robi wrażenie bramy raczej zamkniętej. Orzeł na tarczy jest właściwie schematycznym zarysem, niewiele mającym wspólnego z orłem śląskim.

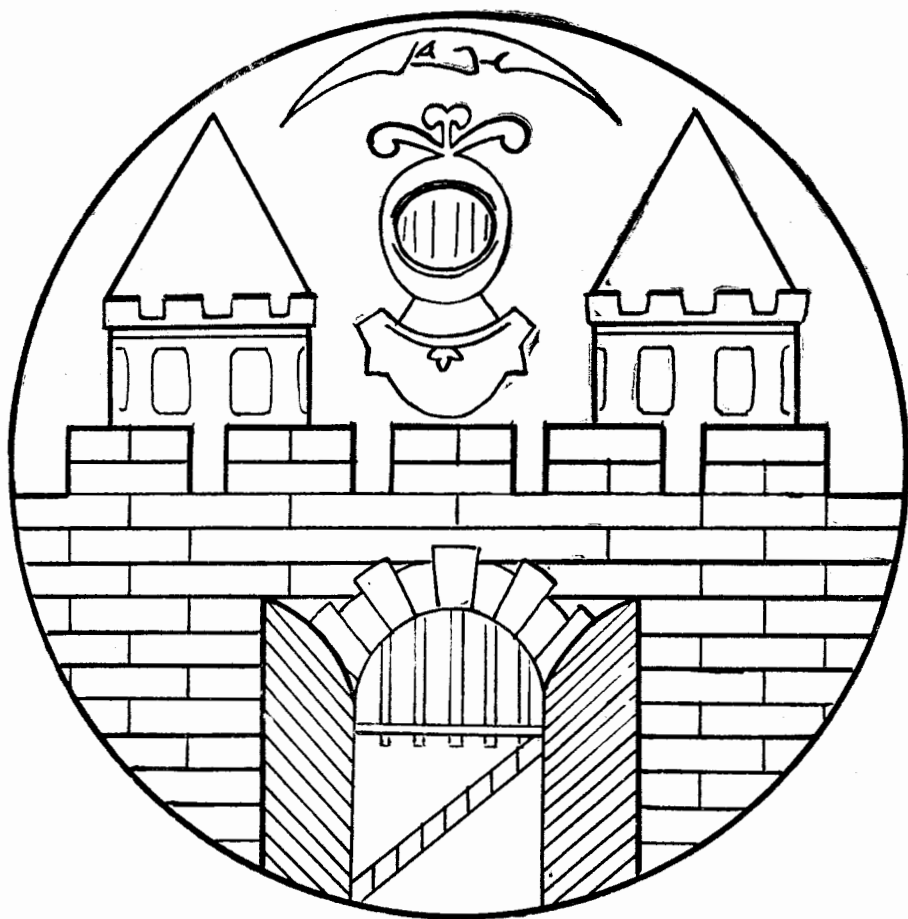
Zasadniczym elementem omówionych rysunków napieczętnych jest herb książęcy, tj. jak wyżej zaznaczyliśmy tarcza z orłem śląskim, uzupełniona hełmem z pióropuszem. Tego typu herb u książąt śląskich można spotkać częściej. Nie jest więc przypadkiem, ani wyjątkiem, że właśnie Zielona Góra taki herb otrzymała. Już na pieczęci z roku 1290 księcia Bolka Świdnicko-fürstenberskiego widzimy zwisającą spod hełmu tarczę z orłem, podobnie u Bolesława I, księcia opolskiego z roku 1294, u Władysława księcia kozielsko-bytomskiego, z roku 1317, Bolesława I, księcia niemodlińskiego z r. 1318, Władysława II księcia oświęcimskiego z roku 1317, Władysława księcia legnickiego z roku 1316, Mikołaja księcia ziembickiego z roku 1346, Wacława księcia niemodlińskiego z roku 1368, Henryka księcia niemodlińskiego z roku 1381, Alberta księcia wielkostrzeleckiego z roku 1321.

Widać więc z tego, że orzeł stanowił podstawowy herb piastów śląskich. Orzeł zajmuje „...uprzywilejowane stanowisko wśród wszystkich godel, jakie występują na tarczach książąt polskich w XIII wieku. To też pojawienie się orla w sfragistyce książęcej śląskiej w trzecim dziesięcioleciu XIII wieku, nie może być oceniane jako dowód obcych wpływów lub obcych związków, gdyż przeciwnie wiąże ono jak najściślej w jedną organiczną całość ówczesną heraldykę piastowską śląską z heraldyką książęcą innych dzielnic polskich tego czasu”¹¹.

Uwzględniając początki Zielonej Góry i dalszy jej rozwój w ścisłej zależności od książąt piastowskich, dolnośląskiej linii glogowskiej, wywodzącej się bezpośrednio od Henryka Pobożnego, należy uwzględnić bardzo charakterystyczny fakt, który na rysunek orla w herbie miasta wpłynął w sposób decydujący. Chodzi mianowicie o to, że synowie Henryka Pobożnego dokonali w godle herbowym swego ojca pewnej zmiany. Orzeł bowiem Henryka miał obok półksiężyca krzyż, synowie zaś Pobożnego odrzucili krzyż a zachowali jedynie półksiężyc. Stąd orzeł w herbie miejskim musi być orłem z półksiężycem na piersiach.

Drugi element omawianego herbu – hełm, nie jest wyłącznie właściwością herbów śląskich. Może być elementem składowym każdego herbu rycerskiego.

„Na dolnośląskich pieczęciach zjawia się taki hełm, naprzód w rękę niewiasty, zapewne księżnej, która stojąc na murze czy baszcie, podaje go idącemu na wojnę



Rys. 3

księciu. Scenę taką widzimy po raz pierwszy na pieczęci Konrada księcia głogowskiego z roku 1253, później bardzo podobną kompozycję na pieczęci jego brata, Henryka III, księcia głogowskiego z roku 1281¹².

Wzorowany początkowo na niemieckich hełm kublatego kształtu, z otworami na oczy uległ z czasem zmianie na hełm turniejowy, z wysuniętą przednią częścią, z otworami podłużnymi na oczy i małymi, okrągłymi na usta, taki, jaki często widzimy na licznych pieczęciach herbowych XIV wieku¹³. Do tak przedstawionego hełmu dochodzi wreszcie ozdoba pod postacią orla z podniesionymi skrzydłami, jako rodowego godła Piastów.

Najbardziej jednak charakterystyczną ozdobą hełmów piastowskich na Śląsku „to pióropusz w rozmaitych odmianach zwykle z piór pawich, czasem kogucich złożony i na szeregu pieczęci dokładnie zaznaczony”¹⁴.

I ten więc element herbów śląskich widoczny na herbie Zielonej Góry utwierdza nas w przekonaniu, że jego twórcami byli panujący nad miastem dolnośląscy książęta piastowscy.

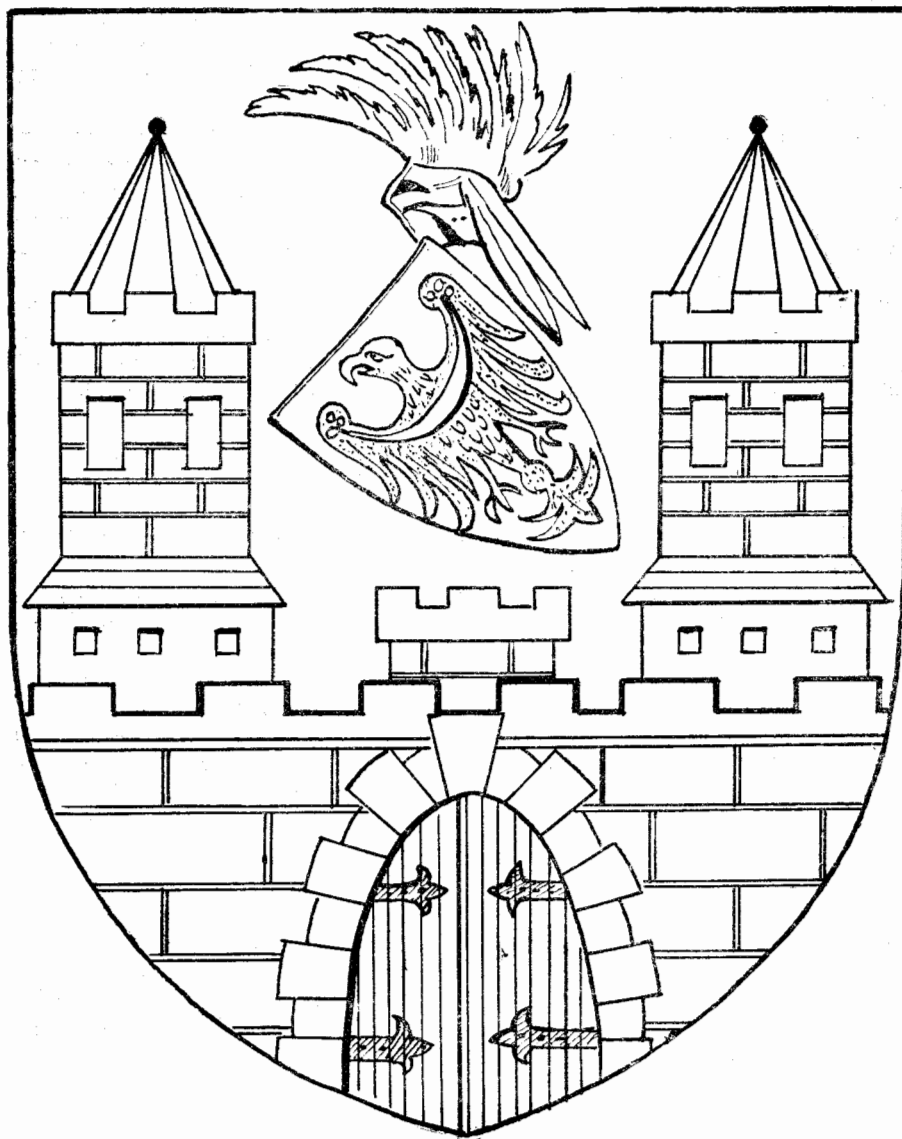
Po dokonaniu możliwie dokładnego opisu najstarszego ze znanych nam herbu miejskiego Zielonej Góry narzuca się jedyny logiczny wniosek. Czas najwyższy wrócić do tego herbu, odrzucając naleciałości niemieckie. „Dzisiejszy herb miasta domaga się bezwzględnie rewizji, będąc wytworem obcego ducha, który zadowolić mógł tylko życzenia i ambicje niemieckiego mieszczeństwa. (...) Historyczne uzasadnienie godła, jego zgodność z duchem polskiej heraldyki oraz nawiązanie do polskiej przeszłości miasta – to podstawowe dezyderaty, jakie winna spełniać heraldyka miejska na Ziemiach Odzyskanych”¹⁵.

Falszywe wersje herbu Zielonej Góry

Najbardziej dziś znany i niestety wciąż jeszcze upowszechniany i popularyzowany herb Zielonej Góry jest tworem pruskich władz z ostatniego roku panowania Fryderyka II nad Śląskiem. W postaci nadanej miastu w roku 1786, zasadniczo odbiega on od najstarszego herbu miejskiego, jak starałem się wyżej wykazać, wiążącego się z początkami miasta pod panowaniem piastowskich książąt śląskich. W wersji pruskiej (rys. 3) z dawnego piastowskiego herbu pozostały jedynie baszty, chociaż i tutaj dokonano małej redukcji. Dachy wież nie są zakończone kulami. Nawet w stosunku do wizerunku pieczęci z roku 1599, w rysunku murów wprowadzono bramę otwartą, z kratą u szczytu i poprzeczną belką z prawa w lewo w dół¹⁶.

Jeżeli zaś chodzi o najważniejszą część herbu, to z najstarszego nie pozostało właściwie nic. Śląski hełm z pióropuszem i labrą oraz zwisającą w prawo tarczą ze śląskim orłem, zastąpiono hełmem tzw. zawiasowym, z małą ozdobą na wierzchu, stojącym frontem pomiędzy basztami. Nad hełmem unosi się półksiężyc. W tak wyobrażonym herbie z trudem można doszukać się bardzo odległych reminiscencji śląskich i piastowskich elementów herbowych. Nie leżało w interesie władz pruskich w rysunku herbowym podtrzymywać tradycję przynależności Zielonej Góry do piastów śląskich, bez względu nawet na dość odległy okres tej przynależności. Narzuciwszy miastu nowy herb, władze pruskie chciały i tym sposobem przekreślić jego polską przeszłość. Czas więc najwyższy, aby pruska naleciałość została z naszego miasta zrzucana, a polska jego przeszłość znalazła swe odzwierciedlenie w powrocie do oryginalnego, polskiego herbu.

Sprawa herbu Zielonej Góry już po roku 1945, mimo faktycznego przyjęcia herbu pruskiego, co oczywiście wcale nie świadczy o znajomości przeszłości miasta, przynaj-



Rys. 4

mniej niektórych niepokoiła i zastanawiała. Wyrazem tego niepokoju była próba wprowadzenia innej wersji herbu miejskiego, tu i ówdzie dziś spotykanego jeszcze i używanego (np. na mundurkach harcerek), chociaż powiedzmy to od razu nie mającego żadnego uzasadnienia. Jedynym chyba uzasadnieniem to patriotyczna chęć zerwania z wersją pruską. Chodzi mianowicie o herb, w którym zachowano wizerunek murów z wersją pruskiej, ale wprowadzono pomiędzy baszty, normalne współczesne godło państwowe. Niestety i ten również herb nie może być uznany za właściwy i nie może zastąpić pruskiego.

Stworzenie herbu, który nie wynika z dziejów miasta, nie wiąże się z jego tradycjami historycznymi, będzie tylko rezultatem ingerencji władz administracyjnych. A przecież herb jest symbolem historycznej drogi rozwojowej miasta, jego przynależności politycznej, jego zależności od księcia jako organizatora samorządu miejskiego. Ponadto musi być zgodny z podstawowymi założeniami heraldyki i sfragistyki, w sumie musi stanowić całość logiczną i historycznie uzasadnioną. Problematyka badawcza w odniesieniu do najstarszych pieczęci miejskich i herbów, szczególnie na Ziemiach Zachodnich, wysuwa dodatkowy, ale ważny aspekt polskości tych ziem. „Tę polskość odkrywają przez archeologów w dziedzinie kultury materialnej, przez filologa zaś i historyka w dochowanych źródłach pisanych, odsłania nam w swej treści również dawna pieczęć miejska”¹⁵.

* * *

Jakież zatem ma być herb Zielonej Góry, do którego władze polskie winny co prędzej powrócić?

Z dotychczasowych wywodów zupełnie niedwuznacznie wynika, że jedynym który bez zastrzeżeń może być przyjęty, to opisany wyżej najstarszy herb Zielonej Góry. W postaci uwspółcześnionej pod względem wykonania plastycznego, przedstawia go **rysunek 4**. Wszystkie elementy najstarszego herbu są zachowane, z tym tylko, że umieszczony został nie w owalu przypominającym pieczęć, a zwyczajem na ogół przyjętym na tarczy. Jeżeli chodzi o kolorystykę herbu, to bez zniekształcenia jego podstawowej treści można przyjąć (mimo braku źródłowej dokumentacji); mur i baszty koloru raczej białego (ciosane kamienie zamkowe), tło zielone, orzeł czarny z białą przepaską (półksiężycem) na piersiach, hełm koloru stalowego, pióropusz ciemny, labra biała, dachy koloru stalowego, tło zaś tarczy żółte (są to bowiem barwy herbu dolnośląskich Piastów, a więc i książąt glogowskich).

Powrót do właściwego herbu, n. b. wskazanego nam przez Niemca (A. Förstera) staje się po 15 latach, bezkrytycznego posługiwania się wytworem obcego ducha, palącą koniecznością. Z murów zielonogórskiego ratusza winien co prędzej zniknąć symbol obcej władzy, a na jego miejsce rozpocząć panowanie stary herb Piastów śląskich, założycieli naszego miasta. To co mogło zadowalać ambicje i aspiracje miasta Grünberg, w żadnym wypadku nie może odpowiadać polskiej Zielonej Górze.

PRZYPISY

1. **Marian Haisig**, Herb miasta Świdnicy, Sobótka 1948.
2. **Marian Gumowski**, pieczęcie i herb Słupska, Zapiski koszalińskie Nr 4, 1959 Koszalin,
3. **Marian Gumowski**, Pieczęcie śląskie do końca XIV wieku, Historia Śląska. Tom III, Kraków 1936 PAU s. 366,
4. Tamże s. 369
5. **Aus Grünbergs** Vergangenheit, Grünberg 1900, s. 390
6. **M. Gumowski** j. w. s. 373
7. Tamże s. 370
8. Tamże s. 272
9. Tamże s. 387
10. **H. Schmidt**, Geschichte der Stadt Grünberg, Grünberg 1922.
11. **Sylwiusz Mikucki**, Heraldyka Piastów śląskich do schyłku XIV wieku, Historia Śląska t. III, PAU Kraków 1936 s. 537-538
12. **M. Gumowski** j. w. s. 268 i n.
13. **Marian Haisig** j. w.
14. Zdaje się, że otwartą bramę wprowadzono do herbu już wcześniej w roku 1759, jak wspomina o tym Erich Keyser w „Deutsches Städtebuch” t. I, Berlin-Stuttgart 1939, s. 766
15. **Mariān Haisig**, Studia nad legendą pieczęci miejskiej, Wrocław 1953 str. 6.

4 r e c e n z j e

ROMUALD JANUSZKIEWICZ

Omówienie robocze

Gdybym „Rocznik Lubuski”^{**} omawiał gdziekolwiek indziej, to pod adresem jego redakcji możnaby nie szczędzić pochwalnych słów. „Rocznik Lubuski” jest nie tylko cenną inicjatywą wydawniczą, ale również od strony merytorycznej wartość pomieszczonych w nim prac reprezentuje poziom, którego nie powstydziliby się każde środowisko zasobne – bardziej aniżeli Zielona Góra – w liczną grupę wytrawnych badaczy i uzdolnionych ludzi pióra. Pod względem zaś edytorskim „Rocznik Lubuski” po prostu zaskakuje i szkoda, że twórca tej jego strony pozostał anonimowy. Schludnie wydana, pomysłowo i przejrzysto zamakietowana, z trafnym rozłożeniem fotosów, wykresów i zestawień – stanowi ta publikacja przykład solidnej pracy edytorskiej, poprzez którą starano się uczynić wszystko, aby poważna i niekiedy trudna w odbiorze treść wydawnictwa miała ułatwione dotarcie do czytelnika. Słowem, to co czytelnik widzi na pierwszy rzut oka – okładka, „zadrukowane” stronicie zachęcają go do wglębnienia się w treść książki. Podkreślam tak silnie ten walor „Rocznika Lubuskiego”, gdyż z doświadczeń rynku księgarskiego wiadomo, jak często nieudolne opracowanie graficzne, zła jakość edytorska książki, utrudnia rozprowadzenie tego rodzaju pożytecznych publikacji wśród większej rzeszy ich potencjalnych czytelników.

Zastrzegłem jednak, że w tej recenzji ograniczę ilość całkowicie zresztą uzasadnionych wyrazów uznania pod adresem wydawców. Niestosowne jest właśnie w tym akurat miejscu rozdzielanie laurów. Obawiam się zresztą nawet, że znana skromność działaczy i twórców skupionych wokół LTK, wzięłaby mi to za złe. Dlatego też dalsze uwagi będą miały charakter roboczy.

Pod wpływem merytorycznym trudno jest omawiać wydawnictwa w rodzaju „Rocznika Lubuskiego”. Różnorodność tematyczna zawartych w nim prac nakazuje albo recenzowanie poszczególnych szkiców, albo też syntetyczne omówienie pod kątem poznawczej bądź systematyzującej wartości całej publikacji dla odbiorcy, do którego jest adresowana. Wybieramy rzecz jasna, obok zamiaru kreślenia uwag roboczych, tę właśnie drogę. Liczyć się bowiem należy z tym, że specjalistyczna ocena poszczególnych prac dokonana zostanie we właściwych czasopiśmie naukowych. Jakkolwiek bowiem wydawcy „Rocznika Lubuskiego” w krótkiej wstępnej nocy od redakcji piszą skromnie, że nie jest on wydawnictwem naukowym, a chce tylko w sposób jak najbardziej popularny przedstawić niektóre zagadnienia związane z przeszłością, teraźniejszością i przyszłością Ziemi Lubuskiej – to jednak właśnie jako nie mały plus tej książki należy podkreślić, to, że łączy ona w szeregu zawartych w niej szkicach odkrywczy element naukowy z zaletami popularyzatorskimi. Na „Rocznik Lubuski” składają się cenne przyczynki naukowe jak: Edwarda Dąbrowskiego „Badania archeologiczne na Ziemi Międzyrzeckiej”, Wojciecha Pasterniaka „Nazwy miejscowości powiatu sulechowskiego”, Zygmunta Rutkowskiego „Archiwum księstwa żagańskiego” lub Władysława Korcza „Procesy czarownic w Zielonej Górze w XVII wieku”. W większości nie tracąc nic na wartościach poznawczych są one równocześnie opracowane przystępnie nawet dla niespecjalistycznego w danej materii czytelnika. Właściwie trudno jest oddzielić, pomijając dział recenzji, kronikę kulturalną i kilka drobniejszych opracowań, jakie ze szkiców są typowymi pracami popularyzatorskimi, a które z nich znamionują typowe cechy prac badawczych. Chcę przez to powiedzieć, że redaktorzy „Rocznika”... wybrali właściwą drogę, skoro większość opracowań ma walory rzetelnych szkiców badawczych, opracowań przyczynkowo-naukowych; podobnie zresztą – jak potrafili zachować właściwe proporcje między dobrem materiałów historycznych a pracami wokół problematyki współczesnej i dziejów najnowszych. Te ostatnie przedstawiają trzy materiały wspomniane: Wojciecha Piweckiego „Wspomnienia z udziału w Powstaniu Wielkopolskim”, Józefa Stępczaka „Lata 1918/1920 w północno-zachodnim regionie powiatu Wschowa”, Leona Obsta „Moje wspomnienia” oraz szkic Tadeusza Kajana „Pierwszy wśród równych” i zapiski archiwalne Wiktora Lemiesza „Przyczynek do antypolskiej akcji bojowej”. Współczesności natomiast poświęcone są prace – Jana Engla „Biblioteki publiczne na Ziemi Lubuskiej” oraz Zygmunta Krzyżaniaka, Andrzeja Netzla, Władysława Hyły, „Problemy gospodarcze województwa zielonogórskiego”. Ta ostatnia stanowi wartościowy, systematyzujący – jeśli tak wolno powiedzieć przewodnik po całokształcie ekonomiki Ziemi Lubuskiej. Skoro już jesteśmy przy wyliczaniu pozycji „Rocznika...”, odno-

tować należy dwa typowe zapisy źródłowe: Zygmunta Rutkowskiego „Dokument opata Miastkowskiego” i Władysława Korcza „W sprawie bitwy kargowskiej”, bardzo przydatne dla dalszych opracowań tzw. „małego” (regionalnego) dziejopisarstwa. Zresztą podobnie rzecz ma się, w szerszym znaczeniu i z innymi pracami „Rocznika”. Wynika z tego prosty wniosek, którego można byłoby nawet nie wypisywać wprost, gdyż zawarty jest między wierszami dotychczasowych uwag, że tzw. historiografii regionalnej „Rocznik Lubuski” przysłużył się nad wyraz dobrze. Wydaje się więc, że temu oraz racjom popularyzatorskim powinny być podporządkowane prace nad dalszymi jego tomami. Z tego też powodu należy Komitetowi Redakcyjnemu przedłożyć pod rozagę kilka postulatów.

Najwięcej braków w obecnym tomie „Rocznika Lubuskiego” można się dopatrzyć od strony redakcyjnej. A więc rzetelniejsza adiustacja. Bardziej prawidłowo i konkretnie powinien zostać sporządzony zestaw treściowy publikacji. Wobec „Rocznika Lubuskiego” nie zastosowano tradycyjnego podziału w tego typu wydawnictwach, co nie wyszło mu na dobre. W obecnym układzie pierwsza część niejednolita. Obok rozpraw i szkiców, są w niej materiały pamiętnikarskie, zapiski źródłowe i archiwalne. W części zaś zatytułowanej „Materiały”, umieszcza się teksty kwalifikujące się do tej części jak i te, które powinny być zaszeregowane gdzie indziej, do np. not lub sprawozdań. Słowem układ redakcyjny jest nieprzejrzysty. Dlatego też wydaje się celowym, aby w następnych tomach „Rocznika Lubuskiego” wydzielono tradycyjne części w układzie np.: 1. rozprawy, szkice, artykuły, 2. materiały – pamiętnikarskie, źródłowe, 3. opracowania typowo popularyzatorskie, systematyzujące (w rodzaju „Wiadomości ogólnych o Związku Polaków w Niemczech” Franciszka Jenka), 4. zapiski, noty archiwalne, sprawozdania informacyjno-naukowe, 5. recenzje i omówienia, 6. zestawienia i zapiski bibliograficzne, 7. materiały kronikarskie.

Od strony redakcyjnej budzi także wątpliwość, celowość umieszczenia w publikacji tego rodzaju co „Rocznik...” kilku tzw. zapisków (felietonów) Wiktora Lemiesza – „Ruchy ludności na terenach województwa zielonogórskiego”. „Sterbebuch oskarża”, „Z tajników hitlerowskiego indeksu”, „Z zapisków więźnia świebodzińskiego”. Sprawiają one wrażenie odprysków warsztatowych przy ewentualnych szerszych pracach i w tym stanie nadają się doskonale do np. „Nadodrza”, gdzie mogłyby skutecznie spełniać swoją rolę polityczną, co mogliby na ich obronę podnieść zwolennicy ewentualnego umieszczenia w „Roczniku Lubuskim” podobnych materiałów.

Redaktorzy powinni także wnikliwiej porównywać prace dotyczące podobnych zagadnień. Np. są różnice rzeczowe w danych o ruchu polskim w Niemczech, w szkicach Franciszka Jenka i Tadeusza Kajana. Zrozumiało może być ewentualna dyskusyjność poglądów i sądów autorów, ale niedopuszczalne są różnice w datach, w relacjach fotograficznych, tym bardziej, kiedy kwestie te można jednoznacznie ustalić. A tak można było zrobić w przypadku artykułu Franciszka Jenka.

Na przykładzie zaś szkicu Tadeusza Kajana warto postulować, aby w kolejnych tomach „Rocznika...” ten typ publikacji – biografii politycznych działaczy zasłużonych dla polskich spraw narodowych na Ziemiach Zachodnich przed 1945 rokiem, zarówno tych na skalę wielkich przywódców (jak Jan Baczewski, o którym pisze T. Kajan) oraz tych na miarę regionalnych, lokalnych „królów Polaków” – był kontynuowany i jak najliczniej reprezentowany.

Najwięcej jednak zastrzeżeń pod względem redakcyjnym budzi opracowana przez Janusza Koniusza „Kronika kulturalna”. Skoro już poświęcono dla niej tak wiele miejsca (przeszło 35 stron druku), to powinna być przygotowana wyjątkowo starannie. Przede wszystkim nie kolejna numeracja, a daty. Mniejsza dowolność w kwalifikowaniu materiałów, właściwe proporcje i skrupulatność w relacjach. Więcej też miejsca powinno się znaleźć dla wydarzeń i imprez spoza Zielonej Góry.

„Rocznik Lubuski” zamyka zestaw bibliograficzny, przygotowany bardzo wnikliwie. W przyszłości na ten typ opracowań – ogólnych, szczegółowych, zagadnieniowych, tematycznych – nie powinno skąpić się miejsca. To jest bowiem także jedna z form, poprzez którą spełniają się zamierzenia popularyzatorskie.

* „Rocznik Lubuski” tom I, Lubuskie Towarzystwo Kultury – Zielona Góra 1959 r. stron 347+reprodukcje, nakład 2.400+40 egzemplarzy, cena 65 zł.

ANDRZEJ KWILECKI

„Nie damy pogrześć mowy...”

Pod tym sugestywnym i wielce wymownym tytułem ukazała się latem 1959 roku książka mówiąca o powstaniu i działalności szkół polskich na Ziemi Babimojskiej i Międzyrzeckiej w latach 1929–39. Zbiorek ten wydano w 30-lecie polskiej szkoły na tych terenach. Dzieje szkolnictwa polskiego wiążą się tu bezpośrednio z losami ludności rodzimej, z jej nieustanną walką o polskość, o zachowanie ojczystego języka. Publikacja zawiera relacje dotyczące 6 szkół powstałych w latach 1929–30: w Starym Kramsku (1.V.1929) – opr. Bogdan Kowalski, w Dąbrówce Wielkiej (10. VI. 1929) opr. Wanda Chełkowska w Podmokłach Małych (11. VI. 1929) i Podmokłach Wielkich (1. VII. 1929) – opr. Stanisław Knaak; w Nowym Kramsku (11. VI. 1929) – opr. Wiesław Sauter; w Babimoście (14. X. 1930) – opr. Leon Obst.

Poszczególne rozdziały zostały nakreślone na podstawie zachowanych kronik i akt szkolnych oraz wspomnień i przeżyć uczestników pracy oświatowej, zasłużonych nauczycieli tych szkół. Ogólne tło historyczne zarysował w obszernym artykule wstępnym pt. „Z walk o szkołę polską na Ziemiach Zachodnich”, Tadeusz Kajana. Artykuł Kajana jest poświęcony pamięci Jana Baczewskiego w pierwszą rocznicę jego śmierci. Postać Jana Baczewskiego – warmijskiego działacza plebiscytowego, współorganizato-

ra Związku Polaków w Prusach Wschodnich a następnie jednolitego Związku Polaków w Niemczech, od 1922–28 posła polskiej mniejszości narodowej do pruskiego Landtagu, niestrudzonego orędownika spraw polskich długoletniego działacza oświatowego – pojawia się często także w relacjach nauczycieli, autorów rozdziałów. Artykuł Kajana opiera się głównie na maszynopisie pracy Baczewskiego „Ze wspomnień warmińskiego działacza” oraz pracy tegoż autora „Sprawy polskie w Sejmie pruskim w latach 1922–28” (w rękopisie). Z ostatniego źródła szczególną wymowę posiadają przytaczane urzędowe stenogramy z posiedzeń pruskiego Landtagu. Największą zdobyczą uzyskaną drogą usilnych starań organizacji polskich i długotrwałych zabiegów parlamentarnych posła Baczewskiego była wydana 31. XII. 1928 r. przez pruską Radę Ministrów „Ordynacja regulująca sprawy szkolnictwa mniejszości polskiej” (rozporządzenia wykonawcze ukazały się 21. II. 1929 r.). Ordynacja składała na barki ludności polskiej całą odpowiedzialność za organizację szkolnictwa, a także ciężary finansowe. Władze i organizacje pruskie czyniły jednocześnie wszystko, aby pracę organizacyjną i działalność powstających szkół paraliżować.

Sprawą organizacji szkolnictwa zajął się Związek Polskich Towarzystw Szkolnych. W kwietniu 1929 r. powstają pierwsze szkoły na Warmii, na Żłotowszczyźnie, a następnie 1. V. 1929 r. zostaje otwarta pierwsza szkoła na Babimojszczyźnie – w Starym Kramsku. Pierwszy okres tworzenia szkół polskich stanowi nieprzerwany ciąg zmagania z podstępny przeciwdziałaniem władz (kwestionowanie programów nauczania, podręczników itd). Mimo tych trudności powstawały i rozwijały się szkoły, „kuźnie polskości”, które stanowią nieodparty dowód patriotyzmu ludności rodzimej. W 1932 szkolnictwo polskie obejmowało ok. 2 tysiące dzieci uczących się w 66 szkołach. Uroczyste otwarcia poszczególnych szkół były wymownymi manifestacjami polskości. Wielką rolę na silnie germanizowanym Śląsku odegrało założone w 1932 r. gimnazjum polskie w Bytomiu. Tu kształciły się kadry przyszłej rodzimej inteligencji.

Wraz z rozwojem polskich szkół wzmagala się walka prusactwa z ich działalnością. Wystarczy wspomnieć dramatyczne zajście w Mikołajkach i związane z tym epizodem postacie bohaterskich nauczycieli: Jana Bauera i Maksymiliana Golisza oraz tragiczne losy jedynej szkoły na Mazurach w Piasutnie i śmierć tamtejszego nauczyciela Jerzego Lanca.

Najwięcej ucierpiała szkoła polska w Niemczech w okresie hitlerowskim, kiedy to metody terroru, represji policyjnych i politycznych były na porządku dziennym. Szczegóły dotyczące tego okresu znajdujemy w artykułach omawiających losy szkół na Babimojszczyźnie i Ziemi Międzyrzeckiej.

B. K o w a l s k i w swej relacji pt. „Szkoła w Starym Kramsku” podaje szereg ciekawych informacji o powstaniu i działalności tej pierwszej na Babimojszczyźnie szkoły polskiej. Autor po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Rogoźnie Wlkp. w r. 1936 objął posadę nauczyciela w Starym Kramsku, gdzie pracował do lipca 1939 r., a następnie – po wojnie – od 1948 r. pracuje jako kierownik tej szkoły.

W. Chełkowska przedstawia dzieje szkoły w Dąbrówce Wielkiej w okresie międzywojennym i w Polsce Ludowej, mówi o bogatych tradycjach patriotycznych mieszkańców wsi i o znanych działaczach: ks. Józefie Braunie, Janie Budychu IV i Ludwiku Kasprzaku. Autorka uzupełnia swe relacje zestawieniem liczby dzieci polskich i niemieckich w poszczególnych latach szkolnych 1914–1930, wykazującym ogromną przewagę elementu polskiego w Dąbrówce. Artykuł zawiera także tabelę podającą stany liczebne uczniów i nauczycieli w latach szkolnych 1945–59 oraz spis imienny nauczycieli pracujących w Dąbrówce w okresie międzywojennym i powojennym.

St. Knaak – pierwszy nauczyciel szkoły polskiej w Podmoklach Wielkich – opisuje powstanie i działalność szkół w Podmoklach Małych i Podmoklach Wielkich. Autor podaje m. in. spis 17 działaczy polskich z Podmokli Wielkich, którzy za swą działalność patriotyczną wywiezieni zostali do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen.

W. Sauter w rozdziale pt. „Szkoła w Nowym Kramsku” na podstawie szczęśliwie uratowanej w czasie wojny kroniki i akt szkolnych odtwarza bogatą w wydarzenia historię szkoły w tej miejscowości. Być może, że właśnie dzięki dochowanej prawie kompletnej dokumentacji, relacja Sautera jest najobszerniejsza, zawiera dokładne opisy spraw, które zaledwie zaznaczone zostały w artykułach poprzednich.

W działalności poszczególnych placówek szkolnych możemy uchwycić szereg wspólnych momentów i pewną prawidłowość. Wszystkie one borykały się z mniej więcej podobnymi trudnościami, stwarzanymi przez Niemców w celu torpedowania polskiej działalności oświatowej i patriotycznej. Należy tu wspomnieć m. in.

1. Trudności z zapewnieniem szkole odpowiedniego lokalu; władze niemieckie zabraniały z reguły oddawania lokali publicznych na użytek szkół polskich, nauka odbywała się więc najczęściej w wynajętych izbach domów mieszkalnych, których właściciele szykanowani byli z kolei przez władze;
2. Trudności z angażowaniem i utrzymaniem nauczycieli polskich (nauczycielom z Polski pod ładą pretekstem odbierano prawo nauczania, przenoszono nauczycieli z miejsca na miejsce w celu uniemożliwienia stałego oddziaływania na środowisko, w którym pracowali itd.).

Trudnym problemem dla nauczyciela było utrzymanie w szkole stałej liczby dzieci. Niemcy przeznaczali wiele pieniędzy na szerzenie wrogiej Polsce propagandy i starali się wszelkimi sposobami odciągnąć dzieci od szkoły polskiej, stosując m. in. dotkliwe sankcje ekonomiczne wobec rodziców (zwalnianie z pracy, odmawianie zasiłków rodzinnych itp.). Dzieci uczące się w szkole polskiej pozbawiano możliwości dalszego kształcenia się (istniała tu tylko możliwość kontynuowania nauki w je-dynym do r. 1937 gimnazjum polskim w Bytomiu) i społecznego awansu.

Ostatni rozdział stanowi krótka relacja L. Obst a o dwuletniej działalności (1930–32) szkoły w Babimoście.

Całość zamyka alfabetyczny spis 38 nauczycieli pracujących w szkołach polskich na Ziemi Babimojskiej i Międzyrzeckiej w latach 1929–39 oraz wykaz źródeł i literatury.

O ile mi wiadomo, nakład książki, którą tu omawiamy, został niemal całkowicie wyczerpany i przyjdzie zapewne moment, gdy pomyśli się o następnym wydaniu. Sądzę, że takie wydanie należałoby wzbogacić i uzupełnić o niewykorzystane tu źródła dotyczące 6 szkół na Ziemi Babimojskiej i Międzyrzeckiej (np. o dokumenty niemieckie z b. komisariatów w Kosieczynie i Kargowej, naświetlające stosunek i politykę władz niemieckich wobec szkolnictwa i nauczycieli polskich). Miejmy nadzieję, że poszukiwania archiwalne doprowadzą do wykrycia jakichś interesujących nas materiałów w aktach przedwojennego polskiego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oraz niektórych kuratoriów szkolnych. Wskazane byłoby też staranniejsze opracowanie redakcyjne i techniczne (korekta!) ta uwaga odnosi się zresztą w pewnym stopniu i do niektórych innych wydawnictw LTK. Pewne usterki publikacji „Nie damy pogrześć mowy...” są pod tym względem dosyć przykre a przecież wydaje się, nie tak trudno jest ich uniknąć. Wymienię tu przykładowo błędy w brzmieniu i pisowni nazwisk (str. 90, 95), błąd w podliczeniu pierwszych polskich szkół zorganizowanych w r. 1929 (por. dane dot. szkoły w Starym Kramsku na s. 56 i 66) i in. Spis nauczycieli na s. 129–30 nie jest wydaje się, kompletny (zauważyliśmy brak nazwiska nauczycielki z Podmokli Małych, a następnie Starego Kramska – Marii Rozeńskiej. Błędy merytoryczne, których znalazłoby się kilka, są – w odróżnieniu od „technicznych” – w tego typu pionierskiej pracy opartej w znacznej mierze na wspomnieniach, stosunkowo łatwe do wyłuskania i chodzi tylko o to, by je skrupulatnie „wyłowić” i w przyszłości nie powtarzać.

Oceniając ogólnie zbiorek pt. „Nie damy pogrześć mowy...” trzeba powiedzieć, że zawiera on cenne przyczynki do historii szkolnictwa polskiego na Ziemiach Zachodnich. Dzieje walk o zorganizowanie i utrzymanie w latach międzywojennych szkół polskich, w których społeczny, zbiorowy wysiłek ludności rodzimej spletał się z inicjatywą i ofiarnymi wystąpieniami jej najaktywniejszych przedstawicieli i przywódców, należą do najpiękniejszych kart walki o utrzymanie tradycji i ducha polskiego na ziemiach polskich pod panowaniem niemieckim. Lubuskie Towarzystwo Kultury zasługuje na wyrazy szczerego uznania za podejmowanie wartościowych inicjatyw wydawniczych, które przyczyniają się do lepszego i głębszego poznania polskiej przeszłości środkowego Nadodrze. Przy okazji nasuwa się tutaj refleksja, że coraz bardziej potrzebne staje się syntetyczne opracowanie całości zagadnienia szkolnictwa polskiego na Ziemiach Zachodnich w okresie międzywojennym. Opracowanie i wydawnictwo tego rodzaju, (wykorzystujące relacje nauczycieli, organizatorów szkolnictwa i działaczy społeczno-kulturalnych oraz zachowane źródła archiwalne i dokumenty urzędowe polskie i niemieckie), powstać może jednak jedynie jako rezultat szeregu monografii szczegółowych, regionalnych (szkolnictwo na Opolszczyźnie, Ziemi Babimojskiej i Międzyrzeckiej, Złotowszczyźnie i in.). Książka „Nie damy pogrześć mowy...”, oceniana z tego punktu wi-

dzenia, przynosi podstawowe materiały dla przyszłego, jeszcze lepiej udokumentowanego opracowania tego zagadnienia w skali regionu, jak i dla późniejszej, szerokiej syntezy.

„Nie damy pogrześć mowy...” Przyczynki do dziejów szkolnictwa polskiego na Ziemiach Zachodnich. Zielona Góra 1959. Lubuskie Towarzystwo Kultury, s. 132

FELIKS FORNALCZYK

Dąbrówka w oczach hitlerowskiego żandarma

Z punktu widzenia metody naukowej książka ta może wzbudzać zastrzeżenia. Uczeń historycy, doszukujący się pełnej dokumentacji, wolą mieć do czynienia z pracą źródłową, która podawałaby pełne teksty dokumentów, gdzie komentarz autorski respektuje autonomię źródła i sam zajmuje określone, autonomiczne miejsce w książce, z reguły na początku publikacji bądź w przypisach. Lecz praca Wiktora Lemiesza nie stawiała sobie takich celów. Autorowi chodziło o szeroką popularyzację odkrytych przez siebie cennych dokumentów, której ściśle naukowe opracowanie nie byłoby w stanie zapewnić. Interesujący się tematem uczony-historyk może zaś i tak dotrzeć do oryginałów, rzecz przestudiować na miejscu. Książka Lemiesza spełni wówczas rolę przewodnika, dającego wystarczające informacje o charakterze i wartości merytorycznej zachowanego zbioru dokumentów.

W dotychczasowych recenzjach pracy Wiktora Lemiesza natrafiałem zwykle na zarzuty o zbędnym „stawianiu kropek nad i”, o dopowiadaniu uwag oczywistych, tłumaczących się jasno w cytowanych fragmentach dokumentów. Inaczej mówiąc, stawiano autorowi zarzut nadmiaru komentarza. Tymczasem sprawa wygląda akurat na odwrót. Największym man-

kamentem opracowania jest właśnie niedostateczny komentarz, jego widoczne braki, i to zarówno w zakresie koncepcji ujęcia jak i metodologii interpretacji. Dwa przykłady na dowód. Autor w różnych rozdziałach swej pracy mówi wprawdzie o komisarzu policji niemieckiej w Kosieczynie, Hagemannie, który jest „twórcą” owej cennej teczki akt policyjnych nr II/42/15/I ale to wszystko jest daleko niewystarczające – na temat Hagemanna chciałoby się dowiedzieć czegoś więcej, jego osoba zasługuje w kontekście pozostawionych przez niego dokumentów na osobny rozdział. I drugi przykład. Wiktor Lemiesz poświęca oddzielny rozdział omówieniu sytuacji politycznej, jaka oddziaływała na życie Polaków zamieszkujących Dąbrówkę, w następstwie określonych stosunków polsko-niemieckich w latach przedwojennych, lecz rozdział ten jest bodaj najbardziej powierzchowny, wykorzystujący zaledwie część przesłanek.

Tak więc w ostateczności stwierdzić wypadnie, że autor „Dąbrówki pod okiem hitlerowskiego żandarma” nie stworzył dzieła odpowiadającego wymaganiom pracy naukowej ale też i nie zawiódł oczekiwań w tym zakresie, jaki sobie wyznaczył. Książka ma bowiem wszystkie zalety czytelności, przejrzysty i logiczny układ, przekonujący wywód, znakomicie podparty trafnie dobranym materiałem ilustracyjnym i reprodukcjami najważniejszych dokumentów oryginalnych. Zalety te w zupełności wystarczają do zapoznania czytelnika niezorientowanego w problematyce polskiego Pogranicza, które po I Wojnie Światowej znalazło się pod władzą niemiecką, przez odkrycie wielu tajnych dokumentów książka ta wyjaśnia również niejedną sprawę znaną jedynie od strony skutków mieszkańcom Ziemi Międzyrzeckiej oraz stanowi ważne źródło dla publicystów i historyków, badających ogólny przebieg nowszej historii Polonii niemieckiej.

Wiktor Lemiesz reprezentuje w swej książce publicystykę, lecz jest to publicystyka ambitna, charakteryzująca się poważnym stosunkiem do tematu, dociekliwością poznawczą i unikaniem narzucającej się łatwej tendencji. To też było przyczyną rezygnacji z komentarza na rzecz wymowy faktów, wymowy zacytowanych dokumentów. Dobrał je autor na zasadzie tematycznej. Do dokonania wyboru ograniczył swe główne zadanie. Gdzie niegdyś tylko odwołuje się do wcześniejszych opracowań omawianych zagadnień. Do studium Adama Chomicza: „Walka wsi Dąbrówki o polskość w świetle tradycji miejscowej”, do wydanego przez K. Kolańczyka i W. Rusińskiego „Tajnego memoriału niemieckiego znalezionego w r. 1945 w Babimoście”, do wspomnień Henryka Małkowskiego i pracy K. Popiołka i W. Sobańskiego: „Ostatnia próba germanizacji Śląska Opolskiego”. Dokumenty, którymi dysponował Wiktor Lemiesz, pozwoliły mu sprostować omyłki poprzedników, a w każdym razie poszerzyć wiedzę o jednym z najważniejszych ośrodków polskich na b. Pograniczu.

Lecz autor pracy „Dąbrówka pod okiem hitlerowskiego żandarma” nie ograniczył się tylko do tego – tam gdzie to było możliwe starał się skonfrontować dane w niemieckich dokumentach z ludźmi, o których wspominały policyjne raporty lub którzy mogli udzielić potrzebnych wyjaśnień. Rozmawiał więc z Andrzejem Manią, Ludwikiem Kasprzakiem, Janem Budychem, Wiktorem Błochem, Wiesławem Sauterem, rodziną

Antoniego Kwaśniaka, Józefem Gołkiem I, Jankowiakiem i wieloma innymi mieszkańcami Dąbrówki oraz okolicznych miejscowości. Pozwoliło to z kolei sprostować błędy, jakich nie mało w aktach komisarza Hagemanna, błędy różnego rodzaju, od zniekształcenia nazwisk polskich poczynając, a na świadomych kłamstwach i wyolbrzymieniu niektórych spraw kończąc. Również i ta zszywka akt dowodzi celowego dążenia Niemców do wyolbrzymienia polskiego niebezpieczeństwa w rejonach pogranicznych. Również i tu dochodziły do głosu cele propagandy hitlerowskiej oraz system policyjnego unicestwienia co aktywniejszych Polaków. Wiktor Lemiesz co moment demaskuje kłamstwa, fałszerstwa faktów i dokładnie reżyserowane prowokacje. Typowe przykłady omawia osobno, jak na przykład sprawę Marianny Grychty, Antoniego Kwaśniaka czy też w ogóle sprawy inspirowane przez „Bund Deutscher Osten”.

W konsekwencji obserwujemy więc w tej książce nieustanne pasmo ludzkich dramatów, poznajemy ludzi, którzy mimo najgorsze obostrzenia i zakazy nie rezygnują z własnej odrębności narodowej, z poszukiwania jakiegoś modus vivendi we wrogim sobie państwie, systemie prawnym, administracyjnym i politycznym, które wszelkimi sposobami stara się rozbić jedność organizacyjną Polaków, unicestwić ich związki zwyczajowe, językowe, kulturalne, religijne, aby potem łatwiej pokonywać pojedynczych ludzi. I ciekawa a zarazem wspinała rzecz – oto ci osaczeni Polacy z Ziemi Międzyrzeckiej nie ustępują. Przeciwnie, wszystko zdaje się wskazywać – tę okoliczność potwierdzają przecież omawiane przez Lemiesza dokumenty niemieckiej policji – że w miarę narastania terroru ruch organizacyjny, świadomość odrębności narodowej potężnieje. Dochodzi do sytuacji, kiedy w rozwścieczonej wyobraźni hitlerowców roją się już nawet nie istniejące nigdy ogniwa organizacyjne Polaków. Znamiennym tego dowodem była heca rozpętana wokół nieistniejącego na terenie Niemiec Związku Bibliotekarzy Polskich.

Czy może być zatem mowa o całkowitej jedności wszystkich Polaków? Czy nie było w Dąbrówce renegatów? Ludzi o polskich nazwiskach i polskim pochodzeniu, którzy wysługiwali się policji? Nie – tacy ludzie byli. Tylko nie stanowili oni grupy o jakimś większym znaczeniu. W dodatku byli oni znani i izolowani od społeczności polskiej. Cóż więc stanowiło o trwaniu przy swoim i sukcesach? Przede wszystkim zasługa to rozważnych i mądrych przywódców, zasługa tym większa, że byli to prości ludzie, chłopci, rzemieślnicy, robotnicy, którzy niejednokrotnie odznaczali się wybitnymi zdolnościami, doświadczeniem życiowym, świetną znajomością miejscowych warunków oraz niezwykłą odwagą. W ostatnich latach dwudziestolecia międzywojennego mogli ich dopiero wspomóc nauczyciele miejscowi oraz własna, wykształcona w Polsce inteligencja. Nie bez znaczenia była również pomoc instruktorów z kraju oraz nigdy nie zerwana bezpośrednia łączność z Polską. Form tej łączności było wiele. Istniały paszporty przygraniczne. Stałe podróże Polaków przez granicę w obydwie strony. Szczególna zasługa przypadła w tym okresie Wielkopolsce. Kiedy zaś sytuacja zaostrzyła się niemożliwie, Pogranicze dysponowało już wówczas świetną organizacją oraz odpowiednio przygotowaną kadrą.

Obejmowała ona właściwie wszystkie dziedziny życia gospodarczego, społecznego, kulturalnego i nawet politycznego, chociaż akurat ta ostatnia dziedzina stanowiła wśród b. Polonii w Niemczech problem sam dla siebie, problem bardziej skomplikowany niż mogłoby się to wydawać na pozór. Wiktor Lemiesz znalazł w aktach komisarza policji w Kosieczynie dokumentację, pozwalającą sobie wyrobić pewne zdanie o prawie całości życia mieszkańców Dąbrówki. Omawia je więc w odniesieniu do zagród rolniczych, placówek przemysłowych, rzemieślniczych i handlowych, sytuacji robotników, roli banków, zapomóg finansowych, bojkotu ekonomicznego, sytuacji prawnej, organizacji rolniczych, spółdzielczości zaopatrzenia i zbytu, przedszkoli, szkolnictwa podstawowego, średniego i zawodowego, życia towarzyskiego i kulturalnego, działalności odczytowej, kółek tańca i śpiewu, amatorskiego teatru, bibliotek, działalności sportowej, organizacji młodzieżowych, religijnych.

Tak szeroki zakres zagadnień codziennego życia, znajdujący swoje odbicie w tajnych aktach niemieckich, wskazuje jak daleko sięgały zainteresowania policji i jak bardzo nadzorowana była działalność ośrodków polskich na terenie należącym do Rzeszy. Policja napewno nie wiedziała wszystkiego ale, jak można wnosić z relacji Wiktora Lemiesza, wystarczająco dużo. Analiza tych dokumentów ujawnia system organizacji policyjnej informacji, reagowania na każdy najmniejszy nawet sygnał, staranne wykonywanie poleceń władz zwierzchnich. Chociaż i tu jest kilka dowodów wzajemnych żandarmskich antagonizmów na tle ambicji zawodowej oraz tyleż przynajmniej dowodów wskazujących na objawy sympatyzowania Niemców z Polakami, nawet polonizowania się Niemców. Wszystko to rejestrowały z iście niemiecką systematycznością policyjne kartoteki. Żandarm był w takich Dąbrówkach panem życia i śmierci, interesował się wszystkimi przejawami działalności ludzkiej, opiniował i sugerował zmiany personalne, był swego rodzaju wyrocznią i nawet encyklopedią, jak świadczy anegdotyczne zdarzenie ze.. Staszicem.

Oto, w związku z informacją „Głosu Pogranicza i Kaszub” o zorganizowaniu uroczystości szkolnej w Dąbrówce Wielkiej ku czci Staszica, prezydent rejencji zwrócił się do landrata o wiadomości, kto to był Staszic. Landrat nie umiał odpowiedzieć na to pytanie i zwrócił się do komisarza policji Hagemanna a ten z kolei do żandarma Hofmanna – i w ten sposób ustalono w końcu, że „Staszic był polskim uczonym. Miał się urodzić w Pile.. Nie udało... się jeszcze stwierdzić, czy urodził się w wieku XIX, czy też w XVIII”. Jeśli chodziło o współczesne sprawy, żandarmi byli większymi specjalistami. Posterunek w Dąbrówce mógł się na przykład uważać za specjalistę w zakresie śledzenia wszelkich form polskiej oświaty rolniczej.

Wiktor Lemiesz przeprowadza w swej książce przewód dowodowy wielu tez. Najistotniejszy jest ten, że „mieszkańcy Dąbrówki nie kierowali się w swoim postępowaniu względami szowinistycznymi. Ich działalność nosiła charakter czysto obronny i wynikała z sytuacji, w jaką wpędzeni zostali przez akcję germanizatorów”. Całą zaś bogato udokumentowaną pracę Lemiesza należy powitać jako jeszcze jedno źródło, zbliżające nas

Recenzje

do poznania pełnej prawdy o życiu i działalności ośrodków polonijnych na terenie b. Rzeszy Niemieckiej. Prac tych ukazuje się ostatnio coraz więcej ale ciągle jeszcze daleko do zupełnego wyczerpania tematu.

Wiktor Lemiesz: „Dąbrówka pod okiem hitlerowskiego żandarma” (1935–1939). Wydawnictwo Poznańskie 1959, str. 177+3. Wyd. częściowo z zas. Lubuskiego Towarzystwa Kultury.

ZDZISŁAW NOWAK

Omówienie

Trzeci zeszyt Biblioteki Lubuskiej wzbogacił ją o cenną pozycję, mającą znaczenie nie tylko dla badań regionalnych Ziemi Lubuskiej, ale stanowiącą jednocześnie ważny przyczynek do ogólnej wiedzy o sytuacji gospodarczej i roli Ziem Zachodnich w b. gospodarce Rzeszy Niemieckiej. Uratowany od zniszczenia przez Ludwika Stępczaka a następnie po jego śmierci opracowany przez jego brata Józefa Stępczaka „Poufny memoriał niemiecki z roku 1937 o położeniu powiatu głogowskiego” obrazuje plastycznie rozpaczliwy stan tego powiatu, jako skutek narastającego w ciągu dziesiątek lat zastoju gospodarczego i kulturalno-społecznego. Wyrażało się to w trwałym procesie wyludniania się powiatu, w braku rozwoju choćby lokalnego przemysłu, co wywołało – mimo stałej ucieczki ludności – zjawisko bezrobocia i niską stopę życiową.

Od 1871 do 1937 r. opuściło powiat głogowski 40.233 ludzi. W przeliczeniu rocznym ubytek ludności wynosił 786 osób, co przekraczało wielkość przyrostu naturalnego wskaźnikiem 142,3 proc. Rezultatem szybszego odpływu ludności w porównaniu z przyrostem naturalnym był bezwzględny spadek zaludnienia powiatu głogowskiego. Gdy więc w 1880 r. obszar powiatu zamieszkiwało jeszcze 70.433 mieszkańców, to w 1937 r. liczba mieszkańców spadła do 61.908, obniżając gęstość zaludnienia powiatu do niezmiernie niskiego w tych warunkach geograficznych poziomu wynoszącego w 1937 r. 49,6 mieszkańców na km².

Autorzy „Memoriału” słusznie za główną przyczynę tego stanu rzeczy uważają brak przemysłu. W omawianym roku 1937, 64,6 proc. ludności powiatu było zatrudnionych w gospodarce rolnej i leśnej. Wiele istniejących poprzednio zakładów przemysłowych skapituowało na przestrzeni minionych lat. Następstwa tych wszystkich zjawisk musiały znaleźć swój efekt w stopie życiowej ludności. „Stopa życiowa na głogowskim obszarze granicznym jest dzisiaj w porównaniu do przeciętnej w Rzeszy tak niska, iż staje się rzeczą zrozumiałą, że ludność tego kraju dzisiaj masowo go porzuca, aby znaleźć w głębi Rzeszy łatwiejsze i lepsze warunki bytowe” (s. 44–45). W sumie gospodarka powiatu głogowskiego stanowiła typowe „błędne koło zacofania” – ludność uciekała w głąb Rzeszy, bo na miejscu brak było dostatecznie rozwiniętego przemysłu, zapewniającego zbliżony do pozostałych obszarów Rzeszy poziom życia, a równocześnie rozwinięcie w takim stopniu uprzemysłowienia było niemożliwe, między innymi z powodu braku odpowiednich rezerw siły roboczej.

Przy czytaniu „Memoriału” nasuwają się czytelnikowi szczególnie dwa zagadnienia. Czy sytuacja w powiecie głogowskim była zjawiskiem wyjątkowym na obszarach b. prowincji wschodnich? Na to pytanie odpowiada w zasadzie w bardzo interesująco napisanym wstępie B. Gruchman. „Na krótko przed ostatnią wojną w 60 wschodnich powiatach na łączną liczbę 169 zaznaczył się absolutny spadek ludności, większość zaś pozostałych powiatów wykazywała stan zastoju demograficznego”. Jak z tego wynika, powiat głogowski nie był pod tym względem wyjątkiem, (s. 6). Mówiąc o przyczynach tego procesu, charakterystycznego dla całego obszaru na wschód od Odry i Nysy, B. Gruchman wymienia reformę rolną dokonaną w I poł. XIX w., intensywny rozwój przemysłu, zwłaszcza w zachodnich Niemczech, a także rozdzielenie granicą wersalską obszarów stanowiących uprzednio zwartą całość gospodarczą. W tym kontekście przyczyn zacofania gospodarczego b. prowincji wschodnich nie uwzględniono, a przynajmniej nie uwypuklono dostatecznie silnie czynnika mającego istotne znaczenie dla tego procesu. Chodzi mianowicie o wzajemne związki zachodzące między uprzemysłowieniem a ilością ludności.

Proces uprzemysłowienia jakiegoś obszaru łączy się z reguły z równoczesnym znacznym wzrostem ludności na tym obszarze (chyba, że istniało tam uprzednio przeludnienie gospodarcze – co jednak nie miało miejsca w wypadku Niemiec). To też z chwilą, gdy rozpoczął się szybki proces uprzemysłowienia, lepiej zlokalizowanych pod względem bogactw naturalnych, jak i w ogóle znajdujących się w lepszych warunkach gospodarczych Niemiec Zachodnich tempo procesu uprzemysłowienia było decydująco zależne od odpowiedniego dopływu siły roboczej z innych znajdujących się w mniej korzystnej sytuacji obszarów. W rezultacie, biorąc ponadto pod uwagę fakt, że równocześnie z szybkim procesem uprzemysłowienia, stopa przyrostu naturalnego w Niemczech zaczęła gwałtownie spadać, pomyślny rozwój gospodarczy w okręgach zachodnich b. Rzeszy zamykał coraz bardziej wszelkie możliwości znaczącego postępu gospodarczego w byłych prowincjach wschodnich. Innymi słowy, przy istniejącej sytuacji demograficznej, Niemcy nie były w stanie rozwinąć gospodarczo i uprzemysłowić

wszystkich obszarów znajdujących się w jej granicach. Korzystniejsze warunki gospodarcze musiały ten dylemat rozstrzygnąć na korzyść zachodnich i częściowo środkowych obszarów b. Rzeszy, kosztem zacołania i narażania na całkowite załamanie gospodarcze b. prowincji wschodnich. Inne przyczyny np. przecięcie nową granicą obszarów, które uprzednio stanowiły zwarty organizm gospodarczy pogłębiły ten strukturalny i trwale się rozszerzający kryzys, nie miały jednak decydującego znaczenia na jego przebieg

Szczególne podkreślenie tego czynnika przez przedwojennych pisarzy niemieckich wypływało z kierunków ówczesnej propagandy niemieckiej, wykorzystującej każdą możliwą sposobność, aby uzasadnić, że przyczyną wszelkich niepowodzeń niemieckich jest fakt powstania Państwa Polskiego. O relatywnym wpływie takich zmian granicznych świadczy choćby obecny podział Niemiec, mimo którego oba państwa niemieckie wykazały niezmiernie potężny rozwój gospodarczy.

Drugie pytanie nasuwające się przy czytaniu „Memoriału” można by sformułować następująco: jeżeli kryzys gospodarczy na tych obszarach trwał od dziesiątek lat, dlaczego właśnie w 1937 r. opracowany został „Memoriał” i dlaczego potraktowano go jako „poufny”, jeśli sytuacja tych obszarów była ogólnie znana i niejednokrotnie publicznie dyskutowana?

Z treści „Memoriału” wyraźnie wynika, że jego autorzy zdają sobie doskonale sprawę z powagi sytuacji w powiecie głogowskim i praktycznie biorąc nie widzą drogi wyjścia z tego impasu. Do opracowania „Memoriału” skłonił ich słaby promyk nadziei, związany z państwowymi inwestycjami zbrojeniowymi w ramach tzw. „planu czteroletniego”. Autorzy „Memoriału” widzieli w tych warunkach szanse uzyskania państwowych funduszy inwestycyjnych, które mogły choćby zahamować trwający upadek gospodarczy powiatu. Że jednak treść „Memoriału” diametralnie odbiegała od propagandowych haseł nazistowskich, szczególnie od podstawowego sloganu „Volk ohne Raum”, mającego stanowić uzasadnienie ekspansji terytorialnej, bezpieczniej było ze względów politycznych potraktować „Memoriał” jako poufny i apelować do władz partii hitlerowskiej o podjęcie kroków likwidujących tę rozbieżność. Jest jednak b. wątpliwe, czy podjęcie szerokich inwestycji mogło jeszcze coś zmienić w tym impasie gospodarczym. Widzą ten problem autorzy „Memoriału” pisząc: „Gdyby nawet przystąpiono do uprzemysłowienia, a jedyna okazja, jaką nastęrcza budowa licznych fabryk w ramach planu 4-letniego, została dla wschodu w pełni wykorzystana, minie jeszcze sporo lat, zanim powstanie tu dostateczna liczba miejsc do pracy. W tym czasie trwać będzie tu wielkie niebezpieczeństwo, że siły robocze, dotąd jeszcze istniejące, a po większej części zatrudnione przez pośrednictwo poza powiatem, nie wywędrują ostatecznie tak, że później zabraknie ich przy urzeczywistnieniu projektów przemysłowych” (s. 74–75).

W nowych warunkach społeczno-gospodarczych, w ramach organizmu gospodarczego Polski obszary te uzyskały dopiero realne warunki rozwoju.

W obliczu ożywionej działalności rewizjonistycznej, skupiającej się w Niemieckiej Republice Federalnej, której jednym z oręży są próby fał-

szowania sytuacji i roli Ziem Zachodnich tak w gospodarce b. Rzeszy jak i w gospodarce Polski, publikowanie takich oryginalnych dokumentów, jak „poufny memoriał niemiecki z roku 1937 o położeniu powiatu glogowskiego”, stanowi b. ważny czynnik w demaskowaniu właściwego charakteru i celów tej propagandy. Dlatego też należą się gorące słowa uznania dla J. Stępczaka i wszystkich osób oraz instytucji, które przyczyniły się do jego wydania. Redakcji „Biblioteki Lubuskiej” należy serdecznie życzyć, by spełniły się jej nadzieje na zachęcenie tą drogą innych badaczy regionalnych do wyszukiwania i publikowania podobnie cennych dokumentów.

„Poufny memoriał niemiecki z roku 1937 o położeniu powiatu glogowskiego”, Polskie Towarzystwo Historyczne, Oddział w Zielonej Górze i Lubuskie Towarzystwo Kultury. Biblioteka Lubuska, Zeszyt Nr 3. Przetłumaczył i do druku przygotował Józef Stępczak. Wydawnictwo Poznańskie 1959 s. 85+5 wykresów w języku niemieckim i polskim.

WŁADYSŁAW KORCZ

Problematyka Nowej Marchii

Ukazanie się czwartego tomiku „Biblioteki Lubuskiej”, Wiktora Fenrycha „Nowa Marchia w dziejach politycznych Polski w XIII i XIV wieku”, należy powitać z dużym zadowoleniem. Fakt ten bowiem świadczy o rozwoju serii zapoczątkowanej dwa lata temu pod nazwą „Biblioteki Lubuskiej”, a mającej na celu w niewielkich kilkuarkuszowych publikacjach (nie tylko zresztą historycznych), omawianie ciekawych zagadnień naszego regionu.

Temat opracowany przez Wiktora Fenrycha należy nie tylko do najbardziej interesujących pod względem naukowym, ale bardzo potrzebnych z punktu widzenia współczesnej polityki. Uwzględniając dalej brak w języku polskim syntetycznego zarysu dziejów Nowej Marchii, nie przesadzimy w określeniu pracy W. Fenrycha jako w wysokim stopniu pionierskiej, przeznaczonej dla masowego czytelnika. Konieczność popularyzowania dziejów Ziemi Lubuskiej, nie tylko wśród jej mieszkańców, choć wśród tych ostatnich w szczególności, jest tak oczywista, że nie trzeba tego szerzej udowadniać.

Najbardziej predystynowanym do napisania zarysu obejmującego powstanie Nowej Marchii i jej rozwoju do końca XIV wieku, był właśnie Wiktor Fenrych. Dwie poprzednio opublikowane prace z dziejów Nowej Marchii („Próba nabycia Nowej Marchii przez Polskę w 1402 r., w świetle dokumentu Sędziwoja z Szubina i towarzyszy z dn. 14 lutego t. r. w Zeszytach Naukowych U.A.M. – Historia Nr 3, 1958 s. 69–113”, 2. „Zabiegi Polski o nabycie Nowej Marchii w latach 1402–1411”, w Opuscula Casimiro Tymieniecki septuagenario dedicata, Poznań 1959, s. 37–58), wskazują na poważniejsze zainteresowania naukowe autora tym, przez

naukę polską jeszcze niezbadanym odcinkiem dawnego pogranicza pomorsko-wielkopolskiego.

Celem najnowszej pracy W. Fenrycha, wedle jego własnego określenia „...jest pokazanie dziejów Nowej Marchii na tle procesu kształtowania się terytorium państwowego Polski”, w ścisłym powiązaniu z dziejami politycznymi najbliższych państw.

Praca, obok krótkiego wstępu, dzieli się na trzy zasadnicze części: część I nosi tytuł „Ziemie pogranicza wielkopolsko-pomorskiego przed inwazją brandenburską”, część II omawia „Podbój pogranicza wielkopolsko-pomorskiego przez Brandenburgię w czasach dynastii askańskiej (1249–1319)” i część III – „Czasy Wittelsbachów i Luksemburgów (1319–1402)”. Książkę kończą krótkie uwagi końcowe i obfite przypisy.

Autor swe rozważania wstępne rozpoczyna – i chyba słusznie – od sprecyzowania podstawowego pojęcia, co rozumieć należy pod określeniem „Nowa Marchia”.

„Nową Marchią zwano – formuluje Wiktor Fenrych – przez wieki tę część Brandenburgii czyli Marchii Brandenburskiej, która powstała w wyniku grabieży przez niemieckich feudalów ziem polskich leżących nad prawym brzegiem dolnej Odry, nad dolną Wartą, Notecią i dalej w górę tej rzeki aż po ujście Drawy (przejęciowo nawet Gwdy)”.

Ten dziwnego kształtu twór terytorialny, odgrywał od połowy XIII wieku specyficzną rolę w dziejach Polski. Tę rolę oświetla w sposób wyczerpujący autor w dwóch głównych częściach swej pracy, po scharakteryzowaniu sytuacji przed inwazją brandenburską. Do części pierwszej (zresztą najkrótszej), w której autor wykazuje kluczowe znaczenie Ziemi Lubuskiej, wśród słusznych i trafnych sformułowań, nie wywołujących żadnych zastrzeżeń, wkradł się niewielki błąd. Przy omawianiu współpracy polsko-niemieckiej, autor pisze:

„... w pewnym stopniu ułatwiała ona Mieszkowi I opanowanie ujścia Odry na krótko po roku 990” (str. 10). Fakt opanowania ujść Odry miał przecież miejsce w latach 973–979, jak przypuszcza to w swych „Studiach nad początkami państwa polskiego” prof. Gerard Labuda. Nie wdając się w zawilości długiej dyskusji na temat najstarszego podboju Pomorza Zachodniego, w żadnym wypadku nie da się utrzymać data „po roku 990”.

W części drugiej, w 7 rozdziałach, z których drugi poświęcony jest opanowaniu Ziemi Lubuskiej w 1249 r. przez Brandenburczyków, omawia autor na szerokim tle ogólnopolitycznym przełomowy moment w dziejach pogranicza północno-zachodniego, moment powstania Nowej Marchii, dochodząc do słusznej konkluzji, że „...Nowa Marchia pozostała do końca tego okresu (tj. d. r. 1319 – W. K.) tym, czym był na jego początku pierwszy skrawek ziemi zajętej przez margrabiów na prawym brzegu Odry – baza wypadowa do dalszych aneksji na ziemiach polskich”. (str. 43).

Część trzecia z kolei poświęcona czasom Wittelsbachów i Luksemburgów, również w 7 rozdziałach, zamykająca w sumie wiek XIV, omawia jedno z najistotniejszych spraw świeżo zjednoczonego państwa polskiego,

Łokietka i Kazimierza Wielkiego. Sprawy terytorialne bowiem, za panowania obydwu królów odgrywały bardzo ważną rolę w procesie wewnętrznego i zewnętrznego umacniania Polski. Wielki wysiłek polityczny zarówno Łokietka, jak i jego następcy Kazimierza skierowany był w stronę odzyskania utraconych ziem, wśród których były przecież terytoria nadodrzańskie i nadwarciańskie, stanowiące podstawę Nowej Marchii.

Autor pokazał w sposób zwięzły i jasny zabiegi Łokietka zmierzające do wydarcia Brandenburgii zagarniętych przez nią terenów. Wydaje mi się, że w tym miejscu warto było podkreślić, czego autor niestety nie zrobił, wartość tych sukcesów, które przyniosła Polsce wyprawa Łokietka na Brandenburgię. Mam na myśli wcielenie do Polski ziemi międzyrzeckiej i skwirzyńskiej. Choć niewątpliwie nie był to sukces na miarę zamierzeń, to jednak nie zasłużył na to, aby go pomijać. Z kolei wysiłki Kazimierza Wielkiego, dokonania zmian w rejonie nadwarciańsko-noteckim, które przyniosły Polsce poważne nabytki i to właśnie z terenu Nowej Marchii zostały szeroko omówione, ze szczegółami wykraczającymi niejednokrotnie poza charakter samej pracy, jako publikacji naukowo-popularnej. Powyższe uwagi dotyczą również okresu następnego po śmierci Kazimierza, co w sumie znacznie podnosi rangę publikacji.

Przez szczegółowe zrelacjonowanie zawiłych problemów ówczesnej polityki międzynarodowej, w kręgu której znajdowała się Polska, praca Wiktora Fenrycha wykracza w wielu miejscach poza najrzetelniej nawet pojętą popularyzację. Zupełnie niedwuznacznie autor odsłonił dojrzały warsztat historyka, swobodnie obracającego się w gąszczu faktów, z których umiejętnie i z wprawą dokonał cennego wyboru.

Z uwag końcowych wynika, dla nas zainteresowanych historią regionu jest to szczególnie ważne, że okres dziejów Nowej Marchii do roku 1455, panowania więc nad tą ziemią Krzyżaków, doczeka się osobnego opracowania. Życzyć by sobie należało, aby mogło się to stać możliwie szybko, pod postacią jednego z następnych tomików „Biblioteki Lubuskiej”.

W sumie praca Wiktora Fenrycha zasługuje na szerokie zapropagowanie jej wśród społeczności czytelniczej, przede wszystkim województwa zielonogórskiego. Równocześnie praca ta jeszcze raz udowadnia, że właściwie pojmowana historia wybranego regionu stanowi jeden z odcinków ogólnonarodowych dziejów, że swoim znaczeniem daleko wybiega poza granice tego regionu. Oceniając przydatność społeczną pracy Wiktora Fenrycha, trzeba podkreślić jeszcze raz jej pionierski charakter w odniesieniu do podjętej tematyki, rzetelność naukową i znawstwo materiału. Nawet dość suchy język autora nie powinien być przeszkodą w szybkim wyczerpaniu całego nakładu, pięknie przez Wydawnictwo Poznańskie wydanej publikacji.

Frapująca tematyka, odśladająca nieznany odcinek dziejów Ziemi Lubuskiej, ze wszystkimi daleko idącymi związkami politycznymi, zapewnią czwartemu tomikowi „Biblioteki Lubuskiej” poczytność, na którą w pełni zasługuje.

R O M A N C A Ł K A

Koźuchów i perspektywy

W publikacjach tego typu wyspecjalizowane są dotąd raczej inne wydawnictwa, zwłaszcza wrocławskie Ossolineum. Wydawnictwo Poznańskie, które zdecydowało się wydrukować pracę Stanisława Kowalskiego i Jana Muszyńskiego o Koźuchowie, zainicjowało tym samym niejako nowy rozdział swej działalności. Nazwać by go można monografistyką miast. Czas obecny sprzyja ukazywaniu się tego rodzaju opracowań, łączy się bowiem z lokalnymi obchodami 15-lecia wyzwolenia miast i regionów, z 15 -tu latami naszego nowego życia. Dokumentacji doprasza się tu zarówno owa najświeższa historia współczesna jak i dawniejsze dzieje, które dość często nie mogą wykazać się ani jednym opracowaniem polskim, ani jednym studium naukowym, dokonany z polskiego punktu widzenia.

Takie właśnie honorowe pierwsze miejsce w bibliografii prac polskich na temat Koźuchowa, miasteczka w pobliżu Odry, leżącego na dogodnym szlaku komunikacyjnym łączącym Wrocław z Bałtykiem i Poznaniem, zajmuje wspomniana już książka Stanisława Kowalskiego i Jana Muszyńskiego. Zaszczyt pionierstwa łączy się jednak zawsze w okolicznościach podobnych z ogromnym trudem gromadzenia faktów, żmudnego przedzierania się przez źródła i różnej wartości zapisy, i odpowiedzialnym zadaniem ich segregacji, wyboru, interpretacji. Nieodłączne są też wówczas pewne ograniczenia tematyczne i dowodowe, w pracy o Koźuchowie wyraźnie zresztą nazwane przez jej autorów.

We wstępie piszą oni o swoim zamiarze tak: „Praca niniejsza nie pretenduje do miana monografii. Ma ona jedynie wypełnić choć częściowo lukę w polskiej literaturze dotyczącej miast na Ziemiach Zachodnich i dać w przystępnej formie podstawowe wiadomości o dziejach i aktualnych problemach Koźuchowa. Jest to również pierwsza próba zarysowania genezy i rozwoju przestrzennego tego miasta”. Umowa ta została całkowicie dotrzymana. Książka, nie tracąc niczego z przystępności wykładu, reprezentuje poważne wartości naukowe. Autorzy osiągnęli to poprzez krytyczne oświetlenie źródeł niemieckich, relację najnowszych badań polskich oraz usytuowanie przedmiotu swego studium na tle szerszym, doszukującym się paralel z rozwojem innych naszych miast, a zwłaszcza Wrocławia.

Podstawowa teza autorów opracowania, przekonywująco zresztą przeprowadzona, sprowadza się do następującej formuły: „Czasy piastowskich rządów były dla Koźuchowa okresem największej świetności... Przejsie pod panowanie Habsburgów spowodowało upadek gospodarczy Koźuchowa oraz całkowity niemal zanik działalności artystyczno-budowlanej. Ten ekonomiczno-kulturalny kryzys miał związek ze stopniowym zmniejszaniem się roli czynnika polskiego w życiu miasta. Stan upadku pogłębił się jeszcze z chwilą nastania rządów pruskich, gdy zostały przerwane więzy gospodarcze z Polską”. Kowalskiego i Muszyńskiego interesują przede wszystkim trwale wytwory kultury miejscowej, lecz ich powstanie łączą jak najściślej ze znaczeniem handlowym i gospodarczym miasta, z zamożnością jego mieszkańców oraz z wyraźnie polskimi czynnikami aktywizacji Koźuchowa.

W czasach najdawniejszych miasto to spełniało rolę przygranicznej twierdzy polskiej, jakich wiele można doszukać się w miastach na zachodniej rubieży. W późniejszym okresie stanowiło własność piastowskich książąt głogowskich, przechodząc swój najświetniejszy rozwój. Uprzednie znaczenie strategiczne miasta ustąpiło z czasem na rzecz ważności czynników gospodarczo-handlowych, w połowie XIII wieku zajdzie nawet n.p. potrzeba rozbudowy koźuchowskiego osiedla targowego. Wpływało na to dogodne położenie, żyzność okolicznych gleb oraz rozwijające się rzemiosło. Początek upadku sprawił najazd tatarski. W bitwie pod Legnicą uczestniczyły wojska Księstwa Głogowskiego, a więc również rycerstwo koźuchowskie. Od tej pory datuje się napływ kolonistów niemieckich. Ostateczny cios zada miastu śmierć ostatniego z dynastów piastowskich na Głogowie, Przemka II. Koźuchów podzieli następnie los całego Księstwa Głogowskiego.

Kontakty z Polską nie uległy wprawdzie natychmiastowemu zerwaniu ale też coraz znacniejszą rolę poczyni odgrywać napływowe mieszczaństwo niemieckie. Znaczne straty zadawały miastu w różnych okresach pożary, epidemie oraz rozwielnione rozbójnictwo. Znamienne w dziejach Koźuchowa było to, że kres temu ostatniemu położył książę Zygmunt (późniejszy król polski, Zygmunt Stary), po objęciu Księstwa Głogowskiego z początkiem XVI wieku. Rządy księcia Zygmunta stanowiły okres największej świetności Koźuchowa, który trwał do czasu wojny trzydziestolet-

niej. Książę dbał o rozwój handlu i rzemiosła. W zakresie kultury duchowej i budownictwa upamiętnił się ten okres interesującymi zapowiedziami kierunku renesansowego. Wpływ Zygmunta skończył się jednak około roku 1505, w chwili objęcia przez niego tronu polskiego.

Autorzy omawiają dzieje Kozuchowa od najdawniejszych czasów, znajdujących udokumentowanie w źródłach, aż po dzień dzisiejszy. W drugiej części książki wybiegają nawet w przyszłość, formułując podstawowe wnioski z zakresu odbudowy i konserwacji zachowanych zabytków historycznych oraz sugerując założenia rozbudowy przestrzennej Kozuchowa. Z tej części opracowania wynika niedwuznacznie, że nadszedł kolejny okres rozwoju miasta, szczęśliwym wyrokiem historii decydują o nim znowu Polacy. Nie będzie to zadanie łatwe, jeśli zważyć, że miasto zostało zniszczone podczas działań wojennych w blisko 50 proc. Ale i na pewno wykonalne, skoro już dziś mieszka w Kozuchowie ok. 8000 ludzi, liczba nie spotykana w dotychczasowej historii tego miasta – w roku 1941 było 6000 mieszkańców. Podstawę ufnej nadziei daje rozbudowany na nowych zasadach przemysł lekki i maszynowy.

Z tego nawet punktu widzenia można mieć pretensje do autorów, że w końcowej części książki nie powiązali swojej koncepcji dalszego rozwoju Kozuchowa z funkcją przemysłowo-gospodarczą miasta – ich praca mogłaby mieć wówczas większe znaczenie praktyczne na dzień dzisiejszy i jutrzejszy. Jednakże mimo to mamy do czynienia z książką, która stanowi istotny przyczynek w prowadzonych po wojnie badaniach naukowych nad dziejami powstania miast polskich. Przyczynek tym ważniejszy, że przeprowadzony na obszarze nie będącym jeszcze w stałym polu widzenia współczesnych badań historycznych naszej nauki.

Stanisław Kowalski – Jan Muszyński: „Kozuchów”. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1959, str. 55+1 nlb oraz ilustracje. Wydano częściowo z zasiłku Lubuskiego Towarzystwa Kultury w Zielonej Górze.

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Baśnie nie baśnie

Zadanie, którego realizacji pojęła się Izabella Koniusz* posiada długą i dobrą tradycję literacką, sięgającą u nas czasów Oskara Kolberga. Zbieranie i opracowywanie wątków i baśni ludowych to nie tylko funkcja i obowiązek etnografa, literaturoznawcy, historyka i socjologa kultury – to przede wszystkim praca dla pisarza, eksploatującego wciąż jeszcze niewyzyskaną do końca fantazję i wyobraźnię człowieka. Nic innego nie czynił przecież klasyk baśni literackiej, Jan Christian Andersen, na którego fenomenalną twórczość złożyły się podania i bajki, powtarzane i przetwarzane przez wiele pokoleń ludowych duńskich gawędziarzy.

Przypuszczam (brak bowiem ścisłych wskazówek co do źródeł opowieści jest przykrą wadą zarówno redakcji tekstu, jak i przedmowy Eugeniusza Paukszty), że właśnie na podobnych przekazach i powtórzeniach oparła autorka fakturę swoich baśni, zwłaszcza ich motywy i wątki fabularne. Jeśli porównać je z motywami i wątkami legend z innych stron Polski, rejestrowanymi zwłaszcza przez wybitnego znawcę prof. Juliana Krzyżanowskiego – uderzyć musi wyzyskanie przez legendy lubuskie bodaj wszystkich, a zwłaszcza moralnych i społecznych, tendencji, rozwojowych polskiej baśni. I to jest bodaj najważniejszy argument za polskością „Złotej dzidy Bolesława”. Wiadomo bowiem, że o przynależności pewnej legendy do kultury tego czy innego narodu decyduje porządek filozoficzny i moralny, składających się na baśń realiów i wytworów fantazji, które poza tym mogą powtarzać się w podaniach różnych narodów. Wspólne

treści można przecież odnaleźć i w baśni polskiej i w „Pieśni o Nibelungach”, lecz ich wymowa etyczna i obyczajowa jest diametralnie odmienna i sprzeczna ze sobą.

Baśnie lubuskie, wybrane i opracowane przez Izabellę Koniusz, formują się chyba nie przypadkiem w ideowej i moralnej opozycji do germańskiego kręgu legend i podań. Nie myślę tu bynajmniej przede wszystkim o tych opowieściach, które, jak „Klucze Jadwigi” wyraźnie oświecają nastrój ludu regionu, atakowanego przez stulecia, przez zaborczy imperializm niemiecki. Nierównie ważniejsze i bardziej symptomatyczne są tutaj legendy odległe z pozoru od problemów narodowych, błyskające dowcipem i beztróskim humorem w rodzaju „Przygody kasztelana”, a jednak wyjątkowo twarde w swej tendencji moralno-dydaktycznej, że wspomnę „O mistrzach świebodzińskich”. Mimo mieszania się w nich pierwiastków moralitetu i anegdoty, humoreski nieledwie – właśnie w tych utworach uplastycznia się najpełniej polski temperament narodowy, sangwiniczno-choleryczny, prawy, krewki i lekkomyślny, niechętny dla brutalnego tragizmu, życzliwy dla drugich i świata, bez zresztą nadmiernej konsekwencji w tym względzie. Bez względu na to, ile stąd przypisać trzeba stylizatorskiemu wysiłkowi i kulturze literackiej autorki – otoczka psychologiczna i moralna wybranych przez nią legend lubuskich spoicie koresponduje z tym, co przywykliśmy uważać za polskie w baśniach i podaniach ludowych.

„Złota dzida Bolesława” oszczędnie i umiarkowanie sięga do tych regionów ludzkiej wyobraźni, gdzie fantazja zbyt wyraźnie i drastycznie ociera się o nieprawdopodobieństwo, nielogiczność sennego koszmaru, bądź o sztucznie absurdalną konstrukcję groteski – dwie główne tendencje współczesnej, co prawda literackiej, fantastyki. Opowieści Izabelli Koniusz są mocno zakotwiczone w ziemi, w realiach obyczajowych, w rysowanych oszczędnie, ale wyraziście sylwetkach bohaterów, ich psychice i temperamencie. I bodaj na tym zasadza się – w najlepszym znaczeniu tego po trosze zdyskredytowanego słowa – typowość omawianych baśni, ich reprezentatywność dla kultury i obyczajowości regionu, unicestwiająca podejrzenie, że mamy w nich do czynienia z jednorazowym, sporadycznym i wyjątkowym wyskokiem wyobraźni indywidualnej, a przeciwnie – dowodząca, iż podania lubuskie mają charakter zjawiska społecznego, którym musi być każda autentyczna legenda ludowa. Toteż wypada cenić poszczególne opowieści „Złotej dzidy Bolesława” za ich realizm – w znaczeniu, oczywiście autentyczności tła i prawdopodobieństwa przebiegu akcji, póki, najczęściej w poincie, nie zaczyna go kształtować nieodzwonny aktor baśni: deus ex machina.

Wspominałem już o różnorodności elementów filozoficznych, emocjonalnych i literackich, z których formują się poszczególne baśnie lubuskie. Ich niewielki zbiór prezentuje w gruncie rzeczy przekrój przez wszystkie niemal ludzkie zainteresowania, pasje i tęsknoty, jakie od wieków właśnie baśń, bodaj czy nie pierwszy gatunek literacki z którego rozwinęły się wszystkie inne, próbuje jakoś wyrazić, wyjaśnić, zaspokoić. W zwarcie rysowanych zdarzeniach, oszczędnie kreślonych sylwetek ich bohaterów, jak

np. w „Postępku mistrza Boręty”, zawiera się z reguły spora doza tej wiedzy o człowieku i świecie, jaką zwykliśmy nazywać mądrością ludową, formułowaną w bajce, baśni, przypowieści w sposób lapidarny, lecz dobitny. Właściwie większość z opracowanych przez Izabellę Koniusz legend mogłaby się stać – i chyba powinna się stać – załącznikiem bogatego utworu literackiego, kontynuującego zapomniane i nie odświeżane niesłusznie, tradycje „Starej baśni”. To też wypada traktować „Złotą dzidę Bolesława” także jako istotną, a poważną propozycję tematyczną: koncepcyjną, przedkładaną pod rozwagę współczesnym, zwłaszcza młodym pisarzom lubuskim, zresztą – nie tylko lubuskim.

Wydaje mi się jednak, że wszystkie określone powyżej walory ideowe i artystyczne „Złotej dzidy Bolesława” egzystowałby jedynie w załączkowym, bądź szczątkowym stadium, gdyby nie talent opracowującej legendy lubuskiej, autorki. Trudności i pokusy, atakujące Izabellę Koniusz, były przecież niemałe: konieczność nadania wybranemu wątkowi możliwie spójnego kształtu fabularnego groziła – zdawałoby się – puszczeniem wodzy własnej wyobraźni i fantazji pisarskiej, budowaniu przez nią na autentycznym temacie swojej już tylko konstrukcji, w której fikcja przysięgałaby i zdusiła pierwiastki ludowego autentyzmu. Otóż Izabella Koniusz wybrnęła z tych kłopotów nadspodziewanie szczęśliwie, obierając jednak nadzwyczaj trudną do zachowania dla debiutanta literackiego ascezę i dyscyplinę twórczą, daleką przecież od oschłej, kronikarskiej jedynie faktografii. Podawane przez pisarkę legendy są – którą to zaletę podkreśliłem już kilkakrotnie – lapidarne i zwarte, opowiadane spokojnie, bez – częściej u baśniopisarzy – pozy i minoderii, jednakże z zachowaniem szczególnie tu istotnego kolorytu emocjonalnego wywoływanych przez oczy czytelnika obrazów. Operowanie właśnie obrazami, a nie schematami dydaktyczno-moralizatorskimi, które uwodzą na manowce niejednego dzisiejszego adepta literackiej fantastyki – przekonuje o dobrym przygotowaniu autorki do podejmowanego przez siebie zadania, o tej kulturze artystycznej Izabelli Koniusz, co nie jest tylko erudycyjnym „oczytaniem się”, lecz wynika z intelektualnej refleksji nad mechanizmem ludzkiej twórczości i fantazji. Spodziewać się więc wolno, że „Złota dzida Bolesława” nie będzie jedyną książką Izabelli Koniusz...

I że nie będzie również samotną publikacją – jeśli nie liczyć zapowiedzianego przez Pauksztę w przedmowie, zbioru Heleny Rutkowskiej – Lubuskiego Towarzystwa Kultury z zakresu artystycznej twórczości ludu tego regionu, nie łatwej zapewne do wydobywania i opracowania, lecz równie ważnej i cennej jako dokument i jako przedmiot estetycznego wzruszenia. Ważnym argumentem za kontynuacją tej pracy są właśnie zgromadzone w „Złotej dzidzie Bolesława” baśnie, a zarazem dokumenty współtworzenia nie od dziś przez mieszkańców Ziemi Lubuskiej kultury i sztuki naszego narodu.

Izabella Koniusz: „Złota dzida Bolesława”. Zielona Góra 1959, Lubuskie Towarzystwo Kultury, s. 121, 2 nlb.

MARIAN KOWALSKI

Stacyjki wyobraźni

Dobłą tradycją Lubuskiego Towarzystwa Kultury staje się coroczne dokonywanie przeglądów dorobku pisarskiego. Co prawda forma tych „bilansów” jest bardzo skromna, bezpretensjonalna, ale i tak dająca przecież pochlebne świadectwo o żywotności twórców lubuskiego środowiska kulturalnego. Poprzednio „Miniatury”, w roku 1959 „Kartki wyobraźni” – niewielkie tomiki, które w pewnej mierze mają zastąpić poetyckie almanachy – nie tylko ukazują wzrastającą dojrzałość twórców, ale także do nazwisk znanych już czytelnikom poezji – dorzucają wciąż nowe. I to jest chyba najistotniejsza wartość „poetyckich bilansów”.

„Kartki wyobraźni” zawierają niewielką ilość wierszy dziesięciu poetów należących do różnych generacji, reprezentujących różne, ale nie przeciwstawne, zbliżone do siebie przez zneutralizowaną poetykę awangardy, warsztaty poetyckie. Łączy ich, jeżeli w ogóle można się tak wyrazić, wspólna koncepcja twórcza. Tomik lubuski (jak wszystkie tomiki wydawnictwa zielonogórskiego jest wydany w przyjemnej ujednolicającej kompozycyjnie i nastrojowo „obróbce” graficznej dokonanej przez Felchnerowskiego) – trochę swoim charakterem przypomina listopadowy poznański konkurs na najlepszy wiersz. „Trochę”, bo występ zielonogórski wydaje mi się o wiele poważniejszy od poznańskiego, „trochę”, bo trudności wystąpienia zielonogórskich poetów zawsze są związane z większymi komplikacjami, niż najbardziej niepoważne urządzenie jakiegokolwiek imprezy.

Zawsze, gdy mamy porównywać, oceniać, twórczość dwóch generacji: młodej i starej – zdajemy sobie sprawę z tego, że kryteria muszą być inne dla starszej generacji i inne dla młodszej. Porównanie zawsze wypada na niekorzyść jednej generacji.

W przypadku omawiania „Kartek wyobraźni” recenzent problemów tych nie ma. Z pełnym powodzeniem może stosować wobec jednych i drugich te same kryteria, a zestawienie „młodych” ze „starymi” nikomu nie ujmie. Poziom artystyczny tomiku jest wysoki i wyrównany, aż za wyrównany (nb. w tym duża zasługa redaktora tomiku Tymoteusza Karpowicza).

Przy lekturze lubuskiego tomiku czytelnika uderza przede wszystkim typ wyobraźni, jaki reprezentują autorzy. Poetycki obraz jest bezpośrednio uzależniony od estetycznego widzenia, przetwarzania świata rzeczywistego na literacki. Czynnikiem konstruującym jest wyobraźnia poety z indywidualnymi projekcjami poetyckich światów oraz poetyka, jako sposób połączenia autorskiej projekcji z estetycznym widzeniem. Artystyczne projekcje, światy wyobraźni, które oczekują wyrazu – uzależnia z kolei reprezentowany przez autora światopogląd filozoficzny. I dlatego można było mówić o wyobraźni realisty, naturalisty czy nadrealisty. Każdy okres literacki wypracowywał, obok indywidualnych, typ wyobraźni zbiorowej, która przyjmowała się jako moda sąsiadująca z manierami stylometrycznymi.

Ostatnio w Polsce często mówi się o wpływie poetyki nadrealistów, rzadziej akcentując jakie za sobą przynosi to konsekwencje. Są dziś w Polsce poeci, którzy od nadrealistów przyjęli tylko poetykę, nie znając wcale ich filozofii. Tych jest najwięcej i do tej grupy wliczyłbym także większość zielonogórskich poetów. Udzienia się wiersze czy jest to zgodne, czy niezgodne z typem wyobraźni reprezentowanym przez autora, zgodne czy niezgodne z projekcją poetycką. W ten sposób dochodzi się do zamierzonego automatyzmu, rzadziej do konstruktywizmu legitymującego się nieuzasadnioną metaforą. Witold Hussakowski w „Ojcu”, Zdzisław B. Morawski w „Jak ślad”, Irena Solińska w „Przystanku” – to poeci nadrealistycznie uduziwiający swą poetycką wizję nie bez popadania w niekonsekwencję, zdradzając się nie tylko z niezdecydowania w wyborze, ale i brakiem zajęcia jakiegokolwiek punktu obserwacji. Janusza Koniusza „Plaża” z pięknymi obrazami: „chmur przesypujących w piórach słońce”, „morza zanoszącego się światłem”, a także „Szklane dzbany” Romualda Szury z „szklanymi dzbanami porażonymi tęczą” – wyrosły z realistycznego punktu obserwacji, który przez mocno zneutralizowany wpływ nadrealizmu, mógł doprowadzić do konstruktywizmu. Zrodziło się z tego jakieś eklektyczne, poetyckie dziecko, trochę wynaturzone, ale bogatsze w wartości wewnętrzne. Do tej grupki może się dołączyć Bolesław Soliński z „Mandarynami”, które kontrastowymi zestawami barw przywołują na pamięć wiersz T. Micińskiego pt. „Migocą złote pomarańcze”.

Ingeborga Bieniek podlega realistycznej obserwacji świata. Jednak jej „Zima” z obrazowymi dyspozycjami do uduziwniania stawia jej realizm pod dużym znakiem zapytania. Papusza, Klejnowski i Szyłkin chyba najwyraźniej reprezentują tak zwany „czysty realizm” obserwacji, z pełnym artystycznym uzasadnieniem.

Trudno na podstawie kilku wierszy mówić zobowiązująco o którymkolwiek z autorów, zdobyć się na zakwalifikowanie typu jego wyobraźni do którejś z przygotowanych recenzenckich szufladek. Pozostańmy więc tylko przy głosie sygnalizującym.

Obojętnie do jakich grup zaliczymy wiersze zielonogórskich poetów, czy twórców nazwiemy realistami czy nadrealistami – wierszom tym nie można odmówić liryczności, lecz liryczności w sensie współczesnym. I to jest następna dodatnia cecha łącząca autorów wspólnego tomiku. Z dużą zasługą peiperowskiej awangardy przestano uliryczniać wiersze przez wprowadzanie podmiotu lirycznego w otokę przyrody. Tylko niektóre wiersze Papuszy i H. Szyłkina (Jesień, Widokówka z Łagowa) sięgają nie bez głębszego uzasadnienia po motywy przyrody, nie nowe, ale i nie pozbawione nowych wartości artystycznych.

*Mgła na wszystko pada,
jak srebrny mróz,
gdy przyjdzie jesienią
Na wszystko
liść pada złocony,
kiedy go wiatr poniesie
Liść to drogowskaz, co prowadzi
we wszystkie strony.*

(Papusza, *Liść*)

Lub:

*Las szumił majem: jedwabiste liście
Zbierały światło rozpostartą dłonią
Srebrny wąż w kwiatach mienił się perłście
Dzieląc dolinę, bratek kwitnął wonią*

(H. Szyłkin, *Widokówka z Łagowa*)

Pozostali poeci, zgodnie z poetyką postawangardową, nie są skorzy do bezpośredniego wynurzenia podmiotu lirycznego, a już zupełnie dalecy od sięgania po motywy przyrody. Liryzm jest dyskretnie zamaskowany, umiarkowanie rozrzucony w słownictwie, przemilczany, czający się w niedopowiedzeniu. Motyw przyrody ograniczony został do asocjacyjnych sygnałów:

*Wyschły korzenie źródeł
rozwiały się konary wiatrów
zgaś pień słońca
poderwie się skrzydełko kwiatu
i zatrzepocą rzęsy listka*

(J. Koniusz, *Śmierć drzewa*)

„Kartki wyobraźni” to dobra i pouczająca lektura. Niejednokrotnie sugerując się tytułem – chciałoby się prześledzić proces powstawania utworu od artystycznej projekcji, poprzez skojarzenia z realną rzeczywistością aż do ostatecznego kształtu.

Papusza, I. Bieniek, W. Hussakowski, H. Klejnowski, J. Koniusz, Z. B. Morawski, I. Solińska, B. Soliński, R. Szura, H. Szyłkin, „Kartki wyobraźni”, LTK Zielona Góra 1959. s. 48.

IRENA SOLIŃSKA

Rzecz o lubuskiej Milicji Obywatelskiej

„H^allo, tu 07” charakterem swym wylamuje się z dotychczasowego profilu wydawniczego Lubuskiego Towarzystwa Kultury; zresztą LTK jest współwydawcą tej pozycji, pospołu z Komendą Wojewódzką MO w Zielonej Górze. Publikacja, o której mowa nie jest bowiem ani zbiorem dokumentów, ani też nie pretenduje do miana zbioru opowiadań o tematyce milicyjnej. Jest w niej za to kilkanaście rozdziałów ukazujących na konkretnych przykładach, w zbeletryzowanej, bądź reportażowej formie, codzienną pracę funkcjonariuszy MO.

Mijałaby się z celem ocena całości, bądź poszczególnych prac, pod względem ich walorów artystycznych. Autorami są bowiem funkcjonariusze MO różnych stopni i różnych specjalności, a więc ludzie, którzy sięgnęli po pióro głównie po to, aby odtworzyć pewne zdarzenia i uchronić niektóre fakty przed zapomnieniem.

Trzeba pamiętać również, przy próbie oceny, że „Hallo tu 07”, jest wydawnictwem okolicznościowym i jako takie niewątpliwie wybija się korzystnie spośród różnego rodzaju broszur, czy laurkowatych publikacji, jakimi najczęściej kwituje się tzw. uroczyste okazje. Nie ma tu ani pompacyjnych podsumowań, ani też drętwej deklaratywności, a przecież książka w najważniejszych zarysach obrazuje całokształt pracy Milicji Obywatelskiej na przestrzeni 15-lecia. Chyba właśnie dzięki autorstwu ludzi spod znaku MO, materiał zyskał na bezpośredniości i szczerości. Posiada ową wartość dokumentu, o którą wydawcom chodzi.

Korzystnie przedstawia się również tematyczna rozpiętość materiału pozwalająca laikowi zorientować się potrosze w skomplikowanym mechanizmie służby MO. Widzimy funkcjonariuszy w walce zarówno z przestępstwami pospolitymi, jak też z podziemiem politycznym w pierwszych latach po wyzwoleniu. Z piratami drogowymi i z przestępstwami gospodarczymi. Reportaż K. Kondala wprowadza czytelnika do laboratorium. Osobny rozdział zapoznaje z wiernym sojusznikiem – psem Lekusem. Reportaż żagański Z. Mięrzala natomiast, pokazuje zwykły dzień jak codzień pewnego komisarzatu MO.

Zastrzeżenia budzić może jednak sam układ wewnętrzny książki. Całość zyskałaby na przejrzystości, gdyby obok siebie znalazły się materiały „wspomnieniowe”: sylwetki weteranów służby MO „Ludzie naszej służby”, „Sylwetka kapitana”, „Pierwsza”, „Cielecińskie kłopoty”, artykuł o ORMO „W jednym szeregu”, wreszcie materiał o szkoleniu kadr milicyjnych. Wówczas część drugą stanowiłby zwarty cykl opowiadań i reportaży z życia MO.

Wprawdzie wydawcy zaznaczają na wstępie bardzo wyraźnie, że ich zamiarem było wydanie książki dokumentu, a nie książki roszczącej sobie ambicje literackie, jednak przyznać trzeba, że dla szeregu rozdziałów tego rodzaju asekuracja nie jest konieczna. Niektóre napisane są z prawdziwą pasją i znajomością literackich chwytów. Można by tu wymienić „Ostatni strzał Lapka” J. Pizły, sylwetkę ORMO-wca oraz dwa dłuższe opowiadania R. Mroczkowskiego oparte na głośnych aferach gospodarczych „Lisy i pelisy” i „Skóra i pociąg”. Równie ciekawy jest „Człowiek w rogowych okularach” T. Zalewskiego oraz fragment dotyczący napadu na taksówkarza Piątkowskiego z rozdziału zatytułowanego „Obywatelu kapitanie, kompanie gotowe” St. Furmana. Szkoda, że ten właśnie fragment nie został przez redaktorów wyodrębniony jako oddzielne opowiadanie.

Dla miłośników literatury sensacyjnej „Halo tu 07” stanowi lekturę interesującą, a równocześnie pożyteczną. Czytelnik znający działalność organów MO jedynie z powieści zwanych kryminalnymi, otrzymuje niejako z pierwszej ręki serię sensacyjnych opowieści autentycznych, uwolnionych od banału i rekwizytorni taniej sensacji. Jest to również walor nie bez znaczenia.

„Halo tu 07”. Wydanie z okazji 15-lecia Milicji Obywatelskiej. Zielona Góra 1959.

Wydawcy: Lubuskie Towarzystwo Kultury i Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej w Zielonej Górze.

Autorzy: Henryk Piotrowski, Jan Klimowski, Zenon Smykowski, Kazimierz Łukaszewski, Mikołaj Sweryd, Ryszard Mroczkowski, Antoni Piotrowski, Józef Pizło, Krzysztof Kondal, Władysław Partyka, Tadeusz Zalewski, Jan Rajter, Leonard Dzik, Zenon Mięzał i Stanisław Furman.

Kolegium redakcyjne: Krzysztof Kondal, Janusz Koniusz, Ryszard Mroczkowski, Władysław Partyka, Henryk Piotrowski.

Okladkę i przerywniki projektował Witold Nowicki.

5 wydarzenia

(KRONIKA KULTURALNA – 1959)

STYCZEŃ

4. Koncert zielonogórskiej Orkiestry Symfonicznej z udziałem Alicji Dankowskiej i Paulosa Raptisa. Dyrygował Roman Urbanek. W programie utwory Stanisława Moniuszki. Sala PTZL.
5. Ukazanie się „Rocznika gospodarczo-statystycznego województwa zielonogórskiego 1958 r.”. Wydawca PWRN w Zielonej Górze.
11. Otwarcie wystawy prac plastyków krakowskich w salonie ZPAP w Zielonej Górze. Organizatorzy ZPAP i LTK.
18. „Rozbitý dzban” H. Kleista w wykonaniu sekcji dramatycznej Towarzystwa Miłośników Sceny w Nowej Soli. Reżyseria Medarda Plewackiego.
20. Koncert zielonogórskiej Orkiestry Symfonicznej z udziałem solistów Opery, Operetki i Polskiego Radia z Wrocławia: Ireny Kowalewskiej, Miry Przybylskiej, Jacka Murzyńskiego i Janusza Szymanieckiego. Dyrygował Zygmunt Hassa. Sala PTZL w Zielonej Górze.
23. Utworzenie Wojewódzkiej Komisji Koordynacyjnej. Przewodniczącym komisji został wiceprzewodniczący PWRN – Jan Koleńczuk.
25. Uroczystości poświęcone 166 rocznicy bohaterskiej obrony Kargowej przez oddział kpt. Więckowskiego. Odsłonięcie tablicy pamiątkowej na ścianie ratusza w Kargowej.
Publiczny pokaz krótkometrażowego filmu dokumentalnego „Była i jest nasza” zrealizowanego przez Klub Filmowy LTK. Scenariusz według reportażu Tadeusza Kajana napisali Tamara Janowska i Tadeusz Kajan. Reżyser: Tamara Janowska. Zdjęcia: Janusz Łomski.
29. Powstanie Klubu Przyjaciół Łagowa. Prezesem został mgr inż. Stanisław Babiński.
31. „Panna – mężatka” – Józefa Korzeniowskiego na scenie PTZL w Zielonej Górze. Reżyser: Aleksander Aleksy, scenograf: Jerzy Torończyk. Wystąpili: Janina Skalecka, Stanisław Cynarski, Medard Plewacki, Zbigniew Stokowski, Amelia Szymańska.
Ukazanie się „Dziejów Ziemi Lubuskiej w wypisach” – Michała Szczanieckiego i Władysława Korcza. Wydawca: PZWS w Warszawie.

LUTY

1. Otwarcie indywidualnej wystawy prac nowosolskiego plastyka – amatora Kazimierza Kołodzieja w Klubie DZM w Nowej Soli.
Uroczyste obchody 40 rocznicy Powstania na Babimojszczyźnie. Odsłonięcie tablicy ku czci poległych Powstańców w Babimoście. Organizatorzy: ZBoWiD i LTK.
5. „Arianie na Ziemi Lubuskiej” – prelekcja mgr Władysława Korcza w WiMBP w Zielonej Górze.
8. Posiedzenie Prezydium ZG TWP z udziałem profesorów Kuryłowicza, Linkego, Podkawiny i Zonna w Zielonej Górze. Referat o działalności TWP na terenie Ziemi Lubuskiej wygłosił sekretarz ZW TWP w Zielonej Górze – Wojciech Wajcht.
„Burza” – Szekspira w PTZL w Zielonej Górze. Inscenizacja i reżyseria Jerzego Zegalskiego. Scenograf: Jan Kosiński. Wystąpili: Ewa Nawrocka, Bogdan Proskurnicki, Mieczysław Galecki, Bogdan Sobiesiak, Zdzisław Giżejowski, Lucjan Ciupiński, Tadeusz Mroczek, Zygmunt Fok, Jan Miłowski, Stanisław M. Masłowski i inni.

12. „Powstanie na Babimojszczyźnie” – odczyt Wiesława Sautera w WiMBP w Zielonej Górze.
15. Otwarcie wystawy prac fotograficznych „Piękno i zabytki regionu międzyrzeckiego” – Marcelego Brychego w sali Powiatowej Biblioteki Publicznej w Międzyrzeczcu.
18. Koncert Zielonogórskiej Orkiestry Symfonicznej z udziałem solisty Cezarego Owerkowiaka (fortepian). W programie utwory Griega, Liszta i Webera.
21. Spotkanie delegacji kulturalnej województwa z przedstawicielami KC PZPR i rządu. W skład delegacji wchodził: Jan Engel, Michał Horowicz, Franciszek Kurkowiak, Wiesław Sauter. Podjęcie uchwały o wydaniu regionalnego miesięcznika społeczno-kulturalnego „Nadodrze”.

MARZEC

1. Rozpoczęcie prac przy budowie Powiatowego Domu Kultury w Lubsku.
4. Powstanie Zespołu Niemcoznawczego przy Radzie Okręgowej TRZZ w Zielonej Górze. W skład zespołu weszli historycy, dziennikarze oraz działacze społeczni zajmujący się problematyką niemiecką. Przewodniczącym Zespołu został Zygmunt Rutkowski.
6. Odczyt Edwarda Dąbrowskiego „Gliniane abecadło wieków” (O pracach archeologicznych na Ziemi Lubuskiej) w Klubie Dziennikarza w Zielonej Górze. Po odczycie został wyświetlony film produkcji Klubu Filmowego Lubuskiego Towarzystwa Kultury – „Była i jest nasza”.
7. Konferencja socjologów zajmujących się problematyką Ziemi Lubuskiej. Referaty wygłosili: dr Zygmunt Dulczewski „Badania socjologiczne w województwie zielonogórskim” i mgr Józef Konieczny „Kilka spostrzeżeń na marginesie badań socjologicznych w powiecie międzyrzeckim”. W dyskusji głos zabrali: mgr Adam Głapa (Poznań), Zygmunt Rutkowski, Tadeusz Kajan, Franciszek Jenek, Władysław Cieniak, mgr Henryk Korwel (wszyscy z Zielonej Góry), mgr Bożena Chmielowska, mgr Andrzej Kwilecki (Poznań) oraz Wiesław Sauter – prezes LTK.
Organizatorzy Konferencji: Lubuskie Towarzystwo Kultury, Urząd Spraw Wewnętrznych, Wydział Kultury WRN. Konferencja odbyła się w czytelni WiMBP w Zielonej Górze.
8. Powstanie Klubu Literackiego ZLP w Zielonej Górze.
20. Ogólnowojezdkie seminarium popularno-naukowe poświęcone omówieniu walk o utrzymanie i wyzwolenie środkowego Nadodrza. Odczyty wygłosili: mgr Benon Miśkiewicz (Poznań) „Obrona zachodniej granicy Polski w okresie wczesnofeudalnym”, dr Alfred Kucner (Zielona Góra) „Wojna polsko-niemiecka w roku 1109”, mgr Władysław Korcz (Zielona Góra) „Próby odzyskania Ziemi Lubuskiej po roku 1249”, Zygmunt Rutkowski (Zielona Góra) „Powstanie Wielkopolskie a Ziemia Lubuska”, płk. Włodzimierz Wołoszyn (Warszawa) „Wyzwolenie Ziemi Lubuskiej w roku 1945”.
Organizator: Wojewódzki Komitet Frontu Jedności Narodu w Zielonej Górze. Seminarium odbyło się w Punkcie Repatriacyjnym w Czerwieńsku.
- Konferencja naukowa archeologów pracujących na terenie województwa zielonogórskiego. W konferencji uczestniczyli m. in. doc. dr Bogdan Kostrzewski, doc. dr Józef Burszta, dr Zygmunt Dulczewski, mgr inż. Stefan Winiarski, mgr Edward Dąbrowski, Wiesław Sauter, Franciszek Kurkowiak. Przewodził Klem Felchnerowski. Organizatorzy: Pracownia Historii Kultury Materialnej Ziemi Lubuskiej przy PAN i Wydział Kultury WRN w Zielonej Górze.

22. „Fantazy” – Juliusza Słowackiego w PTZL w Zielonej Górze. Reżyser: Jerzy Krassowski. Scenograf: Ryszard Kuzyszyn. Wykonawcy: Zofia Friedrich, Ewa Nawrocka, Zyta Połomska, Karina Waśkiewicz, Hanna Lubodziecka, Bohdan Sobiesiak, Tadeusz Mroczek, Zdzisław Giżejowski, Stanisław Cynarski, Józef Powojewski, Rajmund Jakubowicz, Medard Plewacki, Józef Michalcewicz.

KWIECIEŃ

2. Odczyt mgr Mieczysława Mierzyńskiego „O podróżach międzyplanetarnych” w WiMBP w Zielonej Górze.
11. Przedstawienie „Burzy” Szekspira w PTZL w Zielonej Górze. Na przedstawieniu był obecny przewodniczący Rady Państwa – Aleksander Zawadzki.
12. Otwarcie indywidualnej wystawy prac plastyka – amatora Bolesławy Sidorskiej w Domu Kultury DZM w Nowej Soli.
15. Wizyta delegacji Kulturbundu z Frankfurtu nad Odrą w Zielonej Górze. Dyskusja o roli inteligencji w państwie socjalistycznym.
20. Otwarcie wystawy prac plastyków lubuskich w salonie „Ekranu” w Warszawie. Prace ekspozowali: Ignacy Bieniek, Klem Felchnerowski, Witold Nowicki, Kazimierz Rójowski, Marian Szpakowski, Alojza Zacharska.
21. „Wieczór poezji Słowackiego” w wykonaniu aktorów PTZL: Ludwiny Nowickiej-Krajewskiej, Kariny Waśkiewicz, Lucjana Ciupińskiego i Józefa Powojewskiego. Klub Dziennikarza w Zielonej Górze.
- Zakończenie wojewódzkich eliminacji Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w Zielonej Górze. Pierwsze nagrody otrzymali: Asia Łamtiugina z Zar, Leokadia Pławska z Gorzowa oraz Małgorzata Kołaczewska ze Świebodzina. Organizator konkursu: Wydział Kultury PWRN.
22. Sesja wyjazdowa Sekcji Ruchu Kulturalno-Oświatowego Rady Kultury i Sztuki w Zielonej Górze. Referat „O działalności regionalnych i lokalnych towarzystw kulturalnych”, wygłosił dyrektor Departamentu Pracy Kulturalno-Oświatowej i Bibliotek Ministerstwa Kultury i Sztuki – Czesław Kałużny. Informację o powstaniu i działalności Lubuskiego Towarzystwa Kultury w Zielonej Górze złożył prezes LTK – Wiesław Sauter.
- W dyskusji głos zabierali m. in. Władysław Korcz (Zielona Góra), Józef Korpała (Kraków), Waldemar Babnicz (Kielce), Stanisław Lejwoda (Lublin), Stefan Napierała (Koszalin), Witold Wroński (Warszawa), Antoni Łyżwański (Warszawa), Władysław Ogrodziński (Olsztyn), Marian Bieniek (Międzyrzecz).
- Koncert zielonogórskiej Orkiestry Symfonicznej z udziałem solistów Lidii Grychtolówny i Paulosa Raptisa w Hali Ludowej w Zielonej Górze.
24. Spotkanie przedstawicieli Warmińsko-Mazurskiego Towarzystwa Kulturalno-Społecznego i Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze” z członkami Lubuskiego Towarzystwa Kultury w sali KW PZPR w Zielonej Górze.
- Ukazanie się I numeru miesięcznika społeczno-kulturalnego Ziemi Lubuskiej „Nadodrze”. W numerze pisali m. in. Bolesław Soliński – wiersze, Ingeborga Bieniek – opowiadanie, Józef Bartoszewski, Tadeusz Jasiński, A. Mora, Tadeusz Podwysocki, Tadeusz Zimecki – reportaże, artykuły i recenzje oraz Janusz Łomski – zdjęcia.

25. „Rampsynit czyli przypowieść egipska” – Bogdana Wojdowskiego w PTZL w Zielonej Górze. Opracowanie i reżyseria: Jerzy Zegalski. Scenografia: Zbigniew Bednarowicz.
Wykonawcy: Halina Lubicz, Ludwina Nowicka-Krajewska, Mieczysław Galecki, Stanisław M. Masłowski, Bogdan Proskurnicki, Zbigniew Stokarski i inni.
26. Otwarcie wystawy prac plastyków – amatorów z Nowej Soli, Wschowy i Żar w salonie ZPAP w Zielonej Górze.
27. Koncert uczniów Szkoły Muzycznej w Zielonej Górze. Orkiestrą dyrygował Mieczysław Tomaszewicz. Sala PTZL.
28. Przyznanie red. Czesławowi Kwaśnemu z „Gazety Zielonogórskiej” nagrody młodych publicystów im. Juliana Bruna.

MAJ

3. Rozpoczęcie „Dni Oświaty, Książki i Prasy”. W programie m. in. kiermasze książek, wystawy artystyczne, spotkania autorskie.
Ogólnopolski festiwal orkiestr świetlicowych w Tarnowskich Górach. II miejsce zajął zespół ZZK ze Zbąszynka.
9. Otwarcie Wystawy Plastyki Ziemi Nadodrzańskich w Pałacu Sztuki w Warszawie. Prace eksponowali: Ignacy Bieniek, Stefan Brunne, Klem Felchnerowski, Witold Nowicki, Marian Szpakowski, Kazimierz Rojowski, Zygmunt Waldman, Alojza Zacharska.
Wieczór autorski Tadeusza Jasińskiego w Szlichtyngowej, pow. Wschowa. Organizator: LTK.
10. „Byliśmy tu, jesteśmy i będziemy” – manifestacja polskości w Santoku. W programie m. in. odczyt mgr Zofii Hołowińskiej „O dziejach Santoka”, występy zespołów artystycznych z Gorzowa i Łowicza.
Spotkania autorskie Eugeniusza Paukszy w Niedoradzu i Nowej Soli. Organizator: Woj. i Miejska Biblioteka Publiczna w Zielonej Górze.
Zlot czytelników i bibliotekarzy z powiatu świebodzińskiego. W programie m. in. występy zespołu „Harfa” ze Świebodzina. Organizator: PiMBP w Świebodzinie.
13. Spotkanie Redakcji „Nadodrza” z czytelnikami w Klubie MKiP w Zielonej Górze.
- 15-16. Sesja plenarna Komisji Społeczno-Kulturalnej Rady Naczelnej TRZZ w Międzyrzeczu. Referaty wygłosili: prof. dr Józef Chałasiński „O kształtowaniu się więzi społecznej na Ziemiach Zachodnich” i Czesław Kałużny – dyrektor Departamentu w MKiSZ „Problemy kulturalno-oświatowe na Ziemiach Zachodnich”. Organizator RO TRZZ w Zielonej Górze.
Wojewódzki Przegląd Szkół i Ognisk Artystycznych w sali PTZL w Zielonej Górze. Udział wzięły zespoły z Babimostu, Dąbrówki Wlkp., Gorzowa, Głogowa, Gubina, Kożuchowa, Krosna, Międzyrzecza, Nowej Soli, Sulechowa, Sławy Śląskiej, Słubic, Świebodzina, Szprotawy, Wschowy, Zbąszynka, Zielonej Góry i Żar. Organizator: Wydział Kultury PWRN w Zielonej Górze.
20. Ukazanie się tomiku wierszy Bronisława Suzanowicza pt. „Spowiedź liryczna”. Recenzent: Arnold Słucki. Okładka i przerywniki Mieczysława Orłowskiego. Wydawca: Lubuskie Towarzystwo Kultury w Zielonej Górze.
„Płyty” – Uniechowskiego i „Jest tam kto” – Saroyana w „Teatrze Miniatur” w Zielonej Górze. Reżyser: Zygmunt Fok. Premiera odbyła się w świetlicy MPRB.

26. Koncert zielonogórskiej Orkiestry Symfonicznej z udziałem solisty Zdzisława Butora (wiolonczela). W programie utwory Griega, Czajkowskiego i innych. Dyrygował Zygmunt Hassa.

Odczyt mgr B. Miśkiewicza „O bitwie pod Głogowem” w Klubie Dziennikarza w Zielonej Górze.

30. Inauguracja „Dni Ziemi Żarsko-Żagańskiej”. W programie m. in. zjazd historyków w zamku żagańskim, otwarcie wystawy prac plastyków – amatorów w Żarach, występy artystyczne.

CZERWIEC

3. Spotkanie autorskie Władysława Broniewskiego w Klubie „Palenisko” w Gorzowie. Organizator: Wydział Kultury MRN w Gorzowie.
4. Spotkania autorskie Władysława Broniewskiego w Zakładach „Lumel” w Zielonej Górze i w Domu Kultury „Odra” w Nowej Soli.
5. Koncert uczniów Szkoły Muzycznej w Zielonej Górze. W programie: popisy chóru, orkiestry oraz solistów. Sala PTZL.
7. Zakończenie „Dni Żarsko-Żagańskich”. W programie m. in. występy artystyczne. Organizatorzy: powiatowe komitety Frontu Jedności Narodu w Żarach i Żaganii.
10. Otwarcie wystawy malarstwa chińskiego w salonie ZPAP w Zielonej Górze. Organizator: Oddział TPP-Ch.
13. Ukazanie się książki „Nie damy pogrześć mowy...” Autorzy: Tadeusz Kajan, Bogdan Kowalski, Wanda Chelkowska, Stanisław Knak, Wiesław Sauter i Leon Obst. Konsultant: dr Zygmunt Dulczewski. Okładkę projektował: Klem Felchnerowski. Zdjęcia i reprodukcje: Janusza Łomskiego. Książkę wydało z okazji 30-lecia szkolnictwa polskiego na Ziemi Babimojskiej i Międzyrzeckiej – Lubuskie Towarzystwo Kultury z zasiłku Kuratorium Okręgu Szkolnego oraz Zarządu Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Zielonej Górze.
- 13–14. „Żakinada” w Zielonej Górze. W programie m. in. występy studenckich zespołów artystycznych z Poznania, Szczecina i Zielonej Góry.
14. Uroczystości poświęcone 30-rocznicy powstania szkolnictwa polskiego na Babimojszczyźnie i Ziemi Międzyrzeckiej w Nowym Kramsku (pow. Sulechów). W programie m. in. otwarcie wystaw oraz występy zespołów regionalnych z Dąbrówki Wlkp., Nowego Kramska i Sulechowa.
- Wojewódzkie zawody śpiewacze w Sulęcinie. I miejsce zajął chór im. Stanisława Moniuszki z Gorzowa, II – „Harfa” ze Świebodzina, III – chór z Sulęcina. Organizatorzy: Delegatura Związku Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych w Świebodzinie.
16. Otwarcie wystawy fotograficznej „Piękno Ziemi Lubuskiej” w czytelni WiMBP w Zielonej Górze. Opracowanie plastyczne Kazimierza Rojowskiego.
27. Występy zespołu „Harfa” ze Świebodzina w Skierniewicach. W programie: pieśni i tańce lubuskie.
28. V-lecie Oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków w Zielonej Górze. Członkowie: Ignacy Bieniek, Stefan Brunne, Adam Falkiewicz, Klem Feichnerowski, Anna Jelonk, Halina Karpowicz-Byszewska, Jan Korcz, Alf Kowalski, Julian Majerski, Witold Nowicki, Kazimierz Rojowski, Józef Roszak, Adam Stańkowski, Marian Szpakowski, Zygmunt Waldman, Alojza Zacharska.

LIPIEC

1. Wznowienie badań archeologicznych w Santoku koło Gorzowa. Kierownik ekipy archeologów mgr Zofia Hołowińska.
2. Rozpoczęcie miesięcznego kursu kulturalno-oświatowego dla nauczycieli w Gorzowie. Organizatorzy: Wydział Kultury WRN i Związek Teatrów i Chórów Ludowych.
11. Otwarcie wystawy prac plastyków lubuskich w salonie ZPAP w Zielonej Górze. Spotkanie plastyków lubuskich z plastykami NRD w Zielonej Górze.
Premiera sztuki „Ludzie są ludźmi” Grzymały-Siedleckiego w wykonaniu zespołu teatralnego im. Ludwika Solskiego przy PDK w Głogowie.
15. Zakupienie przez WiMBP w Zielonej Górze milionowego woluminu.
20. Otwarcie wystawy prac plastyków-amatorów z Nowej Soli, Wschowy i Żar w sali Muzeum w Gorzowie.
21. Ukazanie się I numeru „Rocznika Lubuskiego”. W „Roczniku” pisali m. in. Z. Krzyżaniak, A. Netzel, W. Hyla: „Problemy ekonomiczne województwa zielonogórskiego, Edward Dąbrowski, „Badania archeologiczne na Ziemi Międzyrzeckiej”, Wojciech Pasterniak „Nazwy miejscowości powiatu sulechowskiego”, Władysław Korcz, „Procesy czarownic w Zielonej Górze w wieku XVII”, Wojciech Piwecki „Wspomnienia z udziału w Powstaniu Wielkopolskim (1918/19)”, Józef Stepczak „Lata 1918/19/20 w północno-zachodnim rejonie pow. Wschowa”, Leon Obst „Moje wspomnienia”, Wiktor Lemiesz „Przyczynki do antypolskiej akcji bojkotowej”, Tadeusz Kajan „Pierwszy wśród równych”, Jan Engel „Biblioteki publiczne na Ziemi Lubuskiej”.
23. Wręczenie nagród lubuskim działaczom kulturalnym ufundowanych przez Ministra Kultury i Sztuki. Nagrody otrzymało 31 osób.
24. Koncert zielonogórskiej Orkiestry Symfonicznej z udziałem solistów Franciszki Kolaśńskiej (fortepian), Mieczysławy Łącznej (sopran), Henryka Garczaka (trąbka), Zdzisława Butora (wiolonczela) w sali PTZL w Zielonej Górze. Dyrygował Zygmunt Hassa. W programie m. in. utwory Gershwina, Jameza, Liszta, Rózyckiego.

SIERPIEŃ

6. Otwarcie Wakacyjnego Studium Naukowego Ziemi Lubuskiej w Ślawie Śląskiej. W Studium uczestniczyło 88 osób z województw zielonogórskiego, łódzkiego, poznańskiego i bydgoskiego. Organizatorzy RO TRZZ, LTK i Stacja Naukowa PTH.
9. Uroczystości związane z 850-rocznicą walk w obronie Krosna Odrzańskiego. W programie m. in. występy zespołów artystycznych oraz otwarcie wystaw. Organizatorzy: PKFJN i Koło Miłośników Ziemi Krośnieńskiej.
15. Otwarcie Klubu Śląskiego Towarzystwa Kultury w Ślawie Śląskiej.
16. Uroczystości związane z 850-rocznicą walk w obronie Bytomia Odrzańskiego. W programie m. in. odsłonięcie tablicy pamiątkowej, występy artystyczne. Organizator: PMRN w Bytomiu Odrzańskim.
- 26–30. „Dni Głogowa”. Uroczystości związane z 850-rocznicą walk w obronie Głogowa. W programie m. in. występy zespołów artystycznych z Jarocina, Ostrowa Wlkp., Skwierzyny, Sulęcina i Tomaszowa Mazowieckiego oraz sejmik nauczycieli i działaczy kulturalno-oświatowych z miasta i powiatu. Referaty wygłosili: mgr B. Miśkiewicz (Poznań) i mgr H. Korwel (Ziel. Góra).

WRZESIEŃ

1. Uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego 1960–61. W programie imprezy artystyczne, wieczornice nauczycielskie. Organizatorzy: Kuratorium Okręgu Szkolnego i ZNP.
 5. Sejmik nauczycieli i działaczy kulturalno-oświatowych Ziemi Krosieńskiej w Krośnie. Referaty wygłosili: mgr Wacław Korta (Wrocław) „Walki polsko-niemieckie w roku 1109 oraz mgr Józef Bojarski (Krosno) „O pracy kulturalno-oświatowej w środowisku”. W sejmiku uczestniczyło 200 osób. Organizatorzy: Koło Miłośników Ziemi Krosieńskiej, Inspektorat Oświaty i Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Krośnie.
 10. Powstanie samodzielnego Zespołu Pieśni i Tańca w Żarach.
 12. Zjazd artystów Ziemi Zachodnich we Wrocławiu. Lubuskie środowisko plastyczne reprezentowali Adam Falkiewicz i Marian Szpakowski.
 19. Spotkanie Redakcji „Gazety Zielonogórskiej z czytelnikami w Pszczewie pow. Międzyrzecz. W programie m. in. występy artystyczne z udziałem artystów Radia i Telewizji. Organizatorzy: Redakcja „Gazety Zielonogórskiej” oraz Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”.
- Podobne spotkania odbyły się również w Trzcielu, Iłowie Żagańskiej, Małomicach, Lubsku, Osiecznicy, Nowym Kramsku i innych miejscowościach województwa.
- „John Gabriel Borhman” – Henryka Ibsena w PTZL w Zielonej Górze. Reżyser: Jerzy Zegalski. Wystąpili: Stefania Błońska, Karina Waśkiewicz, Stanisław Cynarski, Józef Powojewski i inni. Scenograf: Kazimierz Wiśniak.

PAŹDZIERNIK

1. Ogłoszenie wyników konkursu „Mój dom nad Odrą” zorganizowanego przez Redakcję „Gazety Zielonogórskiej”. Nagrody otrzymali: Stanisław Karpiński z Górkowa pow. Głogów, Maria Dziurewicz z Głogowa, Władysław Czuchraj z Nowej Soli, Czesław Mróz z Gubina, Józef Budzyński z Nowej Soli i inni.
- „Historia Zielonej Góry” prelekcja mgr Władysława Korcza połączona z otwarciem wystawy obrazującej dzieje Zielonej Góry w czytelni WiMBP.
- Wieczór poetycki w Klubie Dziennikarza w Zielonej Górze. Wystąpili członkowie Klubu Literackiego ZLP.
3. Koncert zielonogórskiej Orkiestry Symfonicznej z udziałem solistek – Aleksandry Ablewicz i Barbary Sejduówny. Dyrygowa. Roman Urbanek. W programie utwory L. Różyckiego i J. Sibelijusa.
 4. Zakończenie „Dni Zielonej Góry”. W programie m. in. barwny korowód winobraniaowy, imprezy artystyczne.
 - 6–7 Występy Żarskiego Zespołu Pieśni i Tańca w Niemieckiej Republice Demokratycznej.
 7. Pokaz filmu krótkometrażowego „Operacja B” zrealizowanego przez Klub Filmowy LTK przy współpracy KW MO w Zielonej Górze. Scenariusz Tadeusza Kajana. Operator: Janusz Łomski.
- Ukazanie się „Hallo, tu 07” – tomu wspomnień i artykułów związanych z działalnością MO na Ziemi Lubuskiej. Wydawcy: Lubuskie Towarzystwo Kultury i KW MO w Zielonej Górze.

10. Zamknięcie wystawy prac fotografików lubuskich urządzonej w Domu Kultury Sanitarnej w Zielonej Górze. Nagrody otrzymali: Jerzy Czarowski, Adam Idziak, Witold Mazurkiewicz i inni. Organizator wystawy: zielonogórski Oddział PTF.
Plenarne posiedzenie ZG Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych w sali konferencyjnej PWRN w Zielonej Górze. Tematem obrad była m. in. analiza działalności Zjednoczenia na terenie województwa zielonogórskiego.
11. Uroczysty obchód 61 rocznicy powstania Towarzystwa Rzemieślników Polskich w Zielonej Górze.
Otwarcie wystawy prac fotograficznych Władysława Szymańskiego w sali klubowej Izby Rzemieślniczej w Zielonej Górze.
„Parady” Jana Potockiego w PTZL w Zielonej Górze. Opracowanie dramaturgiczne i reżyseria Marii Straszewskiej, scenograf: Zbigniew Bednarowicz, choreograf: Marcela Hildebrandt – Pruska, opracowanie muzyczne – Ryszarda Gardo. W rolach głównych wystąpili: Ewa Nawrocka, Zyta Polomska, Janina Skalecka, Barbara Wrońska, Stanisław Cynarski, Rajmund Jakubowicz, Lech Skolimowski.
12. Ukazanie się „Suity Lubuskiej” Stefana Bolesława Poradowskiego. Wydawca: Lubuskie Towarzystwo Kultury.
21. Otwarcie wystawy prac plastyków-amatorów z Nowej Soli: K. Bagińskiego, A. Hajduka, K. Kołodziej, B. Sidorskiej, E. Wieczorka i innych w czytelni WiMBP w Zielonej Górze.
29. „W szponach czarnego orła” prelekcja Tadeusza Kajana w WiMBP w Zielonej Górze.

LISTOPAD

3. Wojewódzka narada aktywu partyjnego poświęcona omówieniu zagadnień związanych z koordynacją wydatków przeznaczonych na działalność kulturalno-oświatową w województwie. Referat wygłosił sekretarz KW PZPR – Ludwik Siedlecki.
- 6-8 Występy zespołu PTZL w Szczecinie. W programie „Parady” Potockiego.
10. Powołanie Towarzystwa Miłośników Ziemi Krośnieńskiej. Prezesem Towarzystwa został Jerzy Fleszar.
12. Wizyta delegacji Lubuskiego Towarzystwa Kultury we Frankfurcie nad Gdą. Na czele delegacji stał prezes LTK Wiesław Sauter.
17. Koncert zielonogórskiej Orkiestry Symfonicznej z udziałem solisty T. Kuuzina (baryton) w sali PTZL w Zielonej Górze. Dyrygował Zygmunt Hassa.
19. Wizyta delegacji „Kulturbundu” z Frankfurtu nad Odrą w województwie zielonogórskim. Delegacja odwiedziła Zieloną Górę, Sulechów, Międzyrzecz i Sulęcín.
22. Otwarcie wystawy prac Koła Plastyków-Amatorów przy PDK we Wschowie. Prace eksponowali: Maria Chiciak, Józef Chiciak, Iwona Kondek, Onufry Kubicki, Marian Lorenz, Maria Mieczysława, Eugeniusz Stankiewicz, Franciszek Szela, Matylda Szymczakowska, Józef Witkowski.
- 28-29. „O dziejach Ziemi Lubuskiej”, odczyty mgr Władysława Korcza (dla młodzieży szkół średnich) w Łodzi i Piotrkowie.
29. Powstanie Komitetu Organizacyjnego Koła Przyjaciół Babimostu.
Powstanie Towarzystwa Miłośników Kultury w Tucznie. Prezesem Towarzystwa został mgr inż. Marian Cichoń.

30. Powstanie Strzelecko-Krajeńskiego Towarzystwa Kultury. Prezesem Towarzystwa został Bronisław Furdzyn.

Ukazanie się „Rocznika gospodarczo-statystycznego województwa zielonogórskiego 1959 r.” Kolegium Redakcyjne: Zbigniew Krzyżaniak – przewodniczący oraz Mikołaj Buszyński, Leonard Dramowicz, Władysław Hyla, Andrzej Netzel, Bronisław Piłat – członkowie. Wydawca: Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze.

GRUDZIEŃ

1. Zakończenie kolejnego etapu konkursu „Ziemia Lubuska piękna, gospodarna i kulturalna” zainicjowanego przez RO TRZZ. I nagrodę (100.000 zł) przyznano osiedłu Czerwieńsk (pow. Zielona Góra) II – (70.000) otrzymał Zagań. Ponadto nagrodzono: Drezdenko, Gorzów, Jasień, Kożuchów, Nowe Kramsko, Podmokle Małe, Toporów, Wężyka, Zbąszynek, Głogów, Zieloną Górę, Brenno, Lubsko, Malomice, Przyborowice, Sulęcín, Wschowę.
5. „Na dnie” – Maksyma Gorkiego w PTZL w Zielonej Górze. Reżyseria: Jerzy Zegalski, scenografia: Ryszard Kuzyśzyn. Wystąpili: Zyta Polomska, Halina Winiarska, Barbara Wrońska, Janina Małecka, Zofia Friedrich, Józef Powojewski, Stanisław Cynarski, Mieczysław Gałęcki, Zenon Nocoń, Tadeusz Mroczek, Zygmunt Nawrocki, Czesław Stopka, Henryk Machalica, Jan Czabanowski, Roman Kruczkowski, Zdzisław Grudzień, Zygmunt Fok.
6. Wielki kiermasz książki połączony z błyskawicznym konkursem „zgaduj-zgadula” oraz występami artystycznymi w Klenicy pow. Sulechów.
Organizatorzy: „Dom Książki”, LUL, TPPR i ZMW.
10. Ukazanie się tomu baśni i legend lubuskich Izabelli Koniusz „Złota dzida Bolesława”. Opracowanie graficzne: Alojza Zacharska. Przedmowę napisał Eugeniusz Pauksza. Wydawca: Lubuskie Towarzystwo Kultury.
Powstanie Towarzystwa Krzewienia Kultury w Czerwieńsku, pow. Zielona Góra. Prezesem Towarzystwa został Wiktor Walinowicz.
- 11-12. I seminarium młodych poetów Ziemi Zachodnich w Zielonej Górze. Prelekcje wygłosili: Bogusław Kogut „O młodej poezji na Ziemiach Zachodnich” i Marian Piechał „Tradycja a nowatorstwo”. Uczestniczyło 56 osób z Wrocławia, Poznania, Szczecina, Opola, Koszalina i Zielonej Góry. Organizatorzy: Klub Literacki ZLP, LTK i RO TRZZ w Zielonej Górze.
18. Koncert zielonogórskiej Orkiestry Symfonicznej z udziałem solisty Albina Berky’ego (wiolonczela) w sali PTZL. W programie utwory P. Czajkowskiego, A. Dworzaka i B. Smetany. Dyrygował Roman Urbanek.
20. Otwarcie wystawy sztuki ludowej w czytelní WiMBP w Zielonej Górze. Prace ekspozycji m. in. Marta Andrys z Babimostu, Ludwik Alojzy z Żar, Maria Chiciak ze Wschowy, Apolonia Krawiec z Nowego Kramska, Eugeniusz Szarzyński ze Wschowy i Stanisław Zbiciak z Nowej Soli. Organizator: Wydział Kultury PWRN w Zielonej Górze.
21. Ukazanie się pracy Stanisława Kowalskiego i Jana Muszyńskiego „Kożuchów”. Wydawcy: Wydawnictwo Poznańskie i Lubuskie Towarzystwo Kultury.
Ukazanie się pracy Wiktora Lemiesza „Dąbrówka pod okiem hitlerowskiego żandarma”. Wydawcy: Wydawnictwo Poznańskie i Lubuskie Towarzystwo Kultury.

Opracował: Janusz Koniusz

6 bibliografia

ANNA ŻYŻNIEWSKA

G o s p o d a r k a Z i e m i L u b u s k i e j

BIBLIOGRAFIA ZA LATA 1945 – 1960 (WYBÓR)

ZAGADNIENIA OGÓLNE

- Albinowski Stanisław:** Nasze miejsce w świecie. Po 15 latach – z gospodarczego punktu widzenia. *Gaz. Zielonog. R. 8:* 1959 nr 157 s. 3.
- Antoś Zdzisław:** Tam, gdzie zdumienie wychodzi na korzyść. (Zagospodarowanie województwa zielonogórskiego). *Tyg. Demokr. R. 6:* 1958 nr 36 s. 4–5.
- Barciński Florian:** Bogactwa naturalne Ziemi Odzyskanych i ich znaczenie gospodarcze dla Polski. Poznań 1947 *Polski Związek Zachodni* 16° s. 24, 1 nlb., Odb.: *Przegląd Zachodni* 1947 nr 1 s. 12–30.
- Biała Zofia:** Praca i osiągnięcia kobiet w województwie zielonogórskim. *Nasza Praca* 1954 nr 2–3 s. 11.
- Bogatsi o miliard.** Osiągnięcia i możliwości Ziemi Lubuskiej. (Sprawy gospodarcze). *Gaz. Zielonog. R. 8:* 1959 nr 86 s. 1–2.
- Bolewski Andrzej:** Gospodarcze znaczenie Ziemi Odzyskanych dla świata słowiańskiego. Poznań 1947 *Polski Związek Zachodni* 8° s. 37, 1 nlb.
- Derlatka Tadeusz, Szafrński Jan:** Polskie ziemie zachodnie i północne. Fakty i liczby. Warszawa 1960 *Zach. Agencja Pras. RN TRZZ* 4° s. 66, tabl. 1, rys., mapy.
- Fertliński Stanisław:** Wiecha nad śródmieściem. (O Gorzowie). *Nadodrże R. 4:* 1960 nr 1 s. 1, 6, ilustr.

- Gede T.:** Co nam dają Ziemie Zachodnie? (Gospodarcze znaczenie Ziem Odzyskanych dla Polski. Wykład popularny zaopatrzone w liczne tablice i wykresy). Warszawa 1946 „Książka” 8° s. 38.
- Glück Leopold:** Osiemnaście miesięcy pracy. (Na Ziemiach Odzyskanych). Poznań 1947 Wydawn. Zachodnie 8° s. 46, 1 nlb.
- Gomułka Władysław, Minc Hilary:** Nasza gospodarka na Ziemiach Odzyskanych. Warszawa 1947 „Książka” 16° s. 45, 1 nlb.
- Gorzów Wielkopolski.** Praca zbiorowa. (Kol. red. Henryk Ankiewicz i in.). Przewodnik. Informator. Plan miasta. (Gorzów) 1960 Gorzowskie Towarzystwo Kultury 16° s. 83, 11 nlb., tabl. 26 w tym portret, pl. 1, nuty, bibliogr.
- Hadyniak Feliks:** Księga adresowa. Życie gospodarcze Ziemi Wielkopolskiej i Lubuskiej (Mapki i ilustracje) w oprac... Poznań 1946 Wyd. Polska Agencja Pras. P. A. P. 8° s. 16 nlb, 303 mapka 1, tabl. 15.
- Idźcie za naszym przykładem – osiedlajcie się na Ziemi Lubuskiej.** Zielona Góra 1956 PWRN WZR – ZUR 16° s. 31.
- Informator gospodarczy województwa zielonogórskiego.** W-wa 1959 Wydawn. Przem. Lekkiego i Spożywc. 8° s. 223, ilustr., mapa.
- Informator o Studium Zagadnień gospodarczych Ziem Zachodnich.** Studium zaoczne w r. szk. 1959/60, W-wa 1959 Pol. Tow. Ekonom. i TRZZ 8° s. 10, 2 nlb.
- Informator wystawy z planem miasta Gorzowa.** (Okł. i ilustr. proj. Michał Puklicz). Gorzów 1959 TRZZ 16° s. 17, 13 nlb., ilustr., 1 mapa.
- I. B.:** Kobiety na Ziemi Lubuskiej (udział kobiet w osiągnięciach gospodarczych województwa zielonogórskiego). Kobietom w dniu ich święta. Jednodniówka. Zielona Góra 1960 s. 1, 5, ilustr.
- Kolipiński Juliusz:** Rola Ziem Odzyskanych w organizmie gospodarczym Polski. Prz. zach. R. 2: 1946 nr 6 s. 511-521.
- (Kozaczyńska J.):** Ziemia Lubuska w latach 1959-1965. (Okł. W. Nowicki). Zielona Góra 1959 WP. KW PZPR 8°, ilustr., tabl.
- Krygowski B. i Zajchowska St.:** Ziemia Lubuska. Opis geograficzny i gospodarczy. Poznań 1946 Instytut Zachodni, Biblioteczka Ziemi Lubuskiej nr 2, s. 287, 5 mapek, 4 tabl.
- Krzyżaniak Zbigniew:** Osiągnięcia gospodarcze i kulturalne województwa zielonogórskiego. Przegl. zach. R. 10: 1954 T. 3, nr 11/12, s. 402-424.
- Krzyżaniak Zbigniew, Netzel Andrzej, Hyla Władysław:** Problemy gospodarcze województwa zielonogórskiego. Roczn. Lubuski T. 1: 1959 s. 6-39, tab.
- Lipiński Herbert:** Przyjedź na Ziemię Lubuską: Zielona Góra 1956 PWRN 8° s. 31 1 nlb.
- Lembas Jan:** Lata wielkiego awansu. (Dziesięcioletni dorobek gospodarczy województwa zielonogórskiego). Gaz. Zielonog. R. 9: 1959 nr 173 s. 1, 4, ilustr.
- (Lipiński Herbert):** SFOS (Społeczny Fundusz Odbudowy Kraju i Stolicy) w odbudowie Ziemi Lubuskiej. Zielona Góra 1958 Kom. Wojew. OKiS 16° s. 49, 3 nlb., ilustr., portr., tabl.
- Lutosławski Roman:** Ziemie Odzyskane w wytycznych narodowego planu gospodarczego. Przegl. Zach. R. 2: 1946 nr 4 s. 371-373.

- Miedziński Florian:** Rządowa komisja dla rozwoju Ziemi Zachodnich. Zarys działalności w latach 1957-1958. *Przeg. Zach. R.* 15: 1959 nr 1 s. 191-199.
- Milobędzki Zbigniew:** Ziemia Lubuska. Zarys gospodarczy 14 powiatów Ziemi Odzyskanych włączonych do województwa poznańskiego. Poznań 1945 Izba Przemysłowo-Handl. 8°, s. 27.
- Misiorny Michał:** Sprawa do akt. (Problemy gospodarcze Ziemi Lubuskiej). *Walka młodych R.* 9: 1957 nr 13 (124) s. 2.
- Nasza droga...** (Zielona Góra) 1956 Wojewódzki Komitet Frontu Narodowego 8° s. 32, ilustr.
- Odbudowa Ziemi Odzyskanych.** W: Krzyżaniak Zbigniew. Ziemia Lubuska. Warszawa 1957 s. 131-198, ilustr., tabl. 7.
- Od Sudetów do Bałtyku.** *Rocznik ziem zachodnich i północnych.* W-wa 1960 TRZZ 8°, s. 366, 1 nlb., portr., mapy.
- Oni gospodarzą na wspólnym.** Zielona Góra 1954. Wojewódzki Komitet Frontu Narodowego 8°, s. 16, ilustr.
- O sytuacji gospodarczej województwa i realizacji uchwał II i III Plenum KC PZPR.** Fragmenty referatu sekretarza KW PZPR tow. M. Szymańskiego na Plenum KW w Zielonej Górze. *Gaz. Zielonog. R.* 8: 1959 nr 274, s. 3, 4.
- Podwysocki Tadeusz:** Porównanie. (Rozwój gosp. Ziemi Lub.). *Nadodrże R.* 3: 1959 nr 8, s. 1, 6-7, ilustr.
- Problemy rozwoju gospodarczego i demograficznego Ziemi Zachodnich w latach 1945-1958.** Prace zbiorowe pod red. B. Gruchmana i I. Ziółkowskiego. Poznań 1960 Instytut Zachodni 8°, s. 213, map. 5 i w tekście tabl., bibliogr.
- Program rozwoju województwa zielonogórskiego w latach 1961-1965.** Materiały na VII Konf. Spraw. Wyb. PZPR w Ziel. Górze. Zielona Góra 1959 KW PZPR Prezydium WRN 4°, s. 79, 2 nlb., tabl., wykry.
- Radowski Michał:** Punkt widzenia. (Życie gospodarcze i polityczne Zielonej Góry). *Polit. R.* 3: 1959 nr 44 s. 42.
- Rapacki Adam:** Z przemówienia... na wojewódzkiej konferencji partyjnej w Zielonej Górze Tryb. Ludu. *R.* 12: 1959 nr 47, s. 2.
- Rocznik Gospodarczo-Statystyczny województwa zielonogórskiego R. 1: 1958.** (Dane za rok 1957 oraz niektóre porównawcze od 1950 r.). (Red. Mikołaj Burzyński). — Zielona Góra 1958 PWRN (Ziel. Zakł. Graf.) tabl., mapy, err.
- Rocznik Gospodarczo-Statystyczny województwa zielonogórskiego R. 2: 1959** Zielona Góra 1959 Prezydium WRN 8° s. 497, 1 nlb., tabl., mapy, err.
- Rocznik Polityczny i Gospodarczy 1959** Kom. red. Tadeusz Galiński (i inni). Warszawa 1960 Pol. Wydawn. Gospodarcze 8°, s. 1251, tabl. mapy i 2 w tekście, tabl., err.
- Rozwój województwa zielonogórskiego w latach 1959-1965.** (Materiały na Konferencję Wyborczą Delegatów na III Zjazd PZPR) Zielona Góra 1959 KW PZPR 4°, s. 61, 2 nlb., 1 tabl.
- Skrobała Teresa:** Gorzów Wielkopolski po piętnastu latach *Przeg. Zach. R.* 16: 1960 t. 1, s. 153-161.
- Studium zagadnień gospodarczych dla działaczy Ziemi Zachodnich** *Gaz. Zielonog. R.* 8: 1959 nr 158 s. 2.

- Świadectwo naszej pracy.** Wystawa 10-lecia województwa. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 177 s. 3.
- Tuchółka Zbyszko:** Bilans osadnictwa na Ziemi Lubuskiej – Przegl. Zach. R. 3: 1947 nr 2, s. 142-146.
- U progu obchodów** Tysiąclecia Państwa Polskiego na Ziemi Lubuskiej. Materiały z uroczystej sesji WRN i plenum WKFiM (Wojew. Komitetu Frontu Jedności Narodu) w Zielonej Górze 3. 7. 1958 r. Zielona Góra (1958) Prezydium WRN 8°, s. 51, 4 nrb., ilustr., portr.
- Walką i pracą.** (Zielona Góra) 1956 Wojewódzki Komitet Frontu Narodowego w Zielonej Górze. 8° s. 47, 1 nrb., ilustr.
- Wielowiejska H.:** Wiosna w Gorzowie, (okł. proj. Jan. S. Miklaszewski). Warszawa 1952 „Czytelnik” 8° s. 89, nrb. 3. (Reportaż z życia miasta Gorzowa).
- Wilder Jan Antoni:** O racjonalną politykę gospodarczą na Ziemiach Odzyskanych. Przegl. Zach. R. 1: 1946 nr 4/5 s. 186-192.
- Wójtowicz Krzysztof:** Dokumenty i Fakty społecznego patriotyzmu Tyg. Zach. R. 5: 1960 nr 1, s. 4.
- Za kulisami uchwały 381.** Z problemów aktywizacji Ziemi Zachodnich. Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 279 s. 3.
- Ziemia Lubuska.** Praca zbiorowa (pod red. Michała Szczanieckiego i in.) W: Życie Gospodarcze. W-wa 1950 s. 457-494, ilustr.
- Ziemia Lubuska czeka na Ciebie!** (Zielona Góra) 1956 Prezydium WRN w Zielonej Górze. 8°, s. 31, 1 nrb.
- Ziemia Lubuska gospodarna, piękna i kulturalna.** Kurier Pol. R. 4: 1960 nr 10, s. 6.
- Ziemia Lubuska w latach 1959-1965.** Zielona Góra. 1959 Wyd. Propagandy KW PZPR w Zielonej Górze 8°, s. 24, ilustr.

GEOGRAFIA EKONOMICZNA

- Adamczuk Irena:** Miasto złotego lwa. (Skwierzyńska) – Nadodrza R. 4: 1960 nr 1 s. 6, ilustr.
- Barszczewski Jerzy:** „Monte Verde” czyli Zielona Góra. Tryb. Ludu R. 12: 1959 nr 243 s. 6.
- Braniecki Włodzimierz:** Socjalistyczna Góra Kalwaria. (Zielona Góra). Odnowa. 1958 nr 37, s. 1, 4, ilustr.
- Cabaj Grzegorz:** Notatki z Ziemi Lubuskiej. (O aktywizację gospodarczą). Orka R. 2: 1958 nr 7 s. 1-3, ilustr.
- Chudzyński Janusz:** Trzy kroki za Odrę. (Woj. zielonogórskie). Poprostu 1957 nr 26 s. 8-9.
- Czaplicka Eugenia:** Klucze do królestwa: Czarna seria nabiera barw – „Prywatna inicjatywa”. (Woj. zielonogórskie). Życie Warsz. R. 16: 1958 nr 224, 226, s. 3.
- Czerniejewski Edward:** Santoczno i piramidy. (O aktywizację gospodarczą powiatu gorzowskiego). Nadodrza R. 3: 1959 nr 8, s. 7.
- Drwicz Jacek, Rawski Zbigniew:** Odkrywca „ziemi niczyjej”. (Problemy gospodarcze, społeczne i kulturalne Zielonej Góry). Odra R. 3: 1958 nr 3, s. 11.
- Dzięki miedzi Głogów** liczyć będzie 35 tys. mieszkańców. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 89, s. 3.

- Grześczak Marian:** Zielonogórskie niedyskrecje. Tyg. Zach. R. 3: 1958 nr 4 s. 1-2.
- Jasiński Tadeusz:** Streep-tease starego miasta. (Żagań). Poglądy 1957 nr 20 s. 2.
- Jasiński T., Kolasiński J.** Dzień powszedni Sulechowa. Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 168 s. 1 i 3.
- Koniusz Janusz:** Łagów — perła odnaleziona. Odra R. 3: 1960 nr 2, s. 3.
- Krall H(anna):** Historia może się powtórzyć. (Sprawa Gubina). Życie Warsz. R. 16: 1959 nr 14, s. 3.
- Krzczkowski K(azimierz):** Dobra inicjatywa. (Sytuacja gospodarcza w Bytomiu Odrzańskim). Rada Nar. R. 14: 1957 nr 23, s. 8-9, ilustr.
- Kuczyński Witold:** Miasteczko odnalezione. (Gubin w Ziemi Lubuskiej). Tryb. Ludu R. 10: 1957 nr 150, s. 3.
- Kulisz Edmund:** Twoje miasto Zielona Góra. Zielona Góra 1958. Miejski Komitet Frontu Jedności Narodu w Zielonej Górze 8°, s. 59, 3 nlb., ilustr.
- Mak Anatol:** Bilans i wnioski. (Ziemia Lubuska): Poglądy 1957 nr 38 s. 3.
- Matuszyński Janusz:** 48 godzin na Ziemi Lubuskiej. Tyg. Zach. R. 3: 1957 nr 27, s. 3.
- Matuszyński Janusz:** Kostrzyńskie pytania. (Problemy odbudowy Kostrzyna). Tyg. Zach. R. 3: 1957 nr 36, s. 2.
- Miedziński Stefan:** Radźcie sobie ludkowie sami. (Ślubice). Przemiany 1957 nr 20, s. 3, ilustr.
- Mik:** Od Gorzowa do Żagania. (Ziemia Lubuska). Tryb. Ludu R. 12: 1958 nr 203 s. 6.
- Milczarek Władysław:** Skarby trzech dolin. (Gorzowsko-Warnickiej, Nadnoteckiej i Niwicko-Słońskiej). Orka R. 3: 1959 nr 1, s. 3, 7.
- Minkowski Aleksander:** Italia? (Reportaż z Zielonej Góry). Świat 1960 nr 1, s. 4-5, 10, ilustr.
- Misiorny Michał:** Stare i nowe kompleksy gorzowskie. (Życie gospodarcze i kulturalne w Gorzowie). Odra R. 1: 1958 nr 5, s. 5.
- Nowicki Florian, Suwała Kazimierz:** Po drugiej stronie marzeń: Gorzów Tyg. Zach. R. 4: 1959 nr 1-2 s. 9.
- Orkiszewski Edmund:** Wielkie kanty w małym mieście. (Świebodzin). Tyg. Demokr. R. 3: 1957 nr 32, s. 4.
- Pasikowski Tadeusz:** Zielona Góra i okolice. Warszawa 1953, Spółdz. Inst. Wydaw. „Kraj” 16°, s. 28, 2 nlb., ilustr.
- Paukšta Eugeniusz:** Ziemia za poznańską miedzą. (Ziemia Lubuska). Orka R. 3: 1959 nr 1, s. 3, 5.
- Podwysocki Tadeusz:** Czarownice ze Strzelc Krajeńskich. Odra R. 2: 1959 nr 42, s. 7, ilustr.
- Podwysocki Tadeusz:** Kozuchów miał kiedyś pecha... Portrety 15-lecia. Tyg. Zach. R. 4: 1959 nr 43, s. 9.
- Podwysocki Tadeusz:** Na przykład Szprotawa. Nadodrzie 1958 Wyd. spec. maj s. 11, ilustr.
- Podwysocki Tadeusz:** Miasto przywrócone życiu. (Kostrzyn). Odra R. 2: 1959 nr 42, s. 7, ilustr.
- Podwysocki Tadeusz:** Nowa Sól — miasto nad Odrą. Tyg. Zach. R. 4: 1959 nr 16, s. 5.
- Podwysocki Tadeusz:** Stracone złudzenia. (O aktywizacji Sulechowa). Poglądy 1957 nr 27, s. 1.

Bibliografia

- Podwysocki Tadeusz, Czott Henryk:** Wczoraj i dziś Przemkowa. Poglądy 1957 nr 18, s. 5.
- Polskie Ziemie Zachodnie** – Poznań (IV) 1959. Instytut Zachodni 8° s. 271, map. 5 i w tekście, tabl.
- Romanowski Zdzisław:** Żagań po roku. (Aktywizacja gospodarcza). Wyboje 1957 nr 36 s. 2.
- Rutkowski Zygmunt:** Zielona Góra fakty i perspektywy. Kierunki R. 4: 1959 nr 40, s. 5, ilustr.
- Rzemieniecki Karol:** Gorzów i okolice: Warszawa 1959 Spółdz. Inst. Wyd. Kraj. 16°, s. 31, 1 nlb., ilustr.
- Skąpski Mieczysław:** Notatki z pogranicza: Kostrzyn odradza się celulozą. Tyg. Zach. 1958 nr 18, s. 3, ilustr.
- Stańczyk Mieczysław:** Teraźniejszość i przyszłość Zielonej Góry. Rada Nar. R. 16: 1960 nr 4 str. 11, ilustr.
- Studia z geografii gospodarczej Polski.** W-wa 1958 SCPIŚ (Druk Zakł. Prod. Skryptów Politechn. Warsz.) 8°, 1 nlb., mapa 1 i w tekście, ilustr., portr., tabl., bibliogr., Rez., Sum.
- Szperkiewicz Jerzy:** Ósmy rozbiór Głogowa. (Sprawy gospodarcze). Życie Warsz. R. 14: 1957 nr 142, s. 4, 6.
- Tomiczek Eugeniusz:** Bytom odkrywa Bytom. Życie Warsz. R. 15: 1958 nr 231 s. 3.
- Wójtowicz Krzysztof:** My, obywatele. (Ziemia Lubuska). Nadodrże 1958 wyd. spec. s. 1, 15.
- Wójtowicz Krzysztof:** Z kim można kraść konie. (Z działalności Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich). Nadodrże 1958. wyd. spec. maj, s. 1, 15.
- Wróblewski Andrzej:** Na naszym zachodzie. (Uwagi z wypadu do Zielonej Góry i Gubina). Miasto R. 9: 1958 nr 2, s. 27-31, ilustr.
- Zimecki Tadeusz:** Tu diabeł nie mówi dobranoc. (Rozwój gospodarczy Zielonej Góry). Tryb. liter. R. 3: 1959 nr 19 s. 2, ilustr.
- Zatrybówna Alicja:** Eksperyment – dobra praca. (Komitet Powiatowy w Żarach). Tryb. Ludu R. 12: 1959 nr 5, s. 3.
- Zatrybówna Alicja, Rowiński Ryszard:** Śmierć i narodziny giganta. (O odbudowę kombinatu chemicznego w Krzystkowicach). Odra R. 1: 1958 nr 25 s. 11.
- Żelezik Janusz:** Odpowiedź staruszkowi z wąsami... (Zielona Góra, Sulechów, Gorzów, Kostrzyn, Żagań, Żary – sprawy gospodarcze). Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 276 s. 3.

GOSPODARSTWO WIEJSKIE

- Aleksandrowicz Franciszek:** Czego oczekujemy od lubuskiego rolnictwa. Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 13, s. 5.
- Aleksandrowicz Franciszek:** O właściwy rozwój wsi zielonogórskiej. Zielona Góra 1958 Woj. Zarząd Rolnictwa 8° s. 33, ilustr.
- Aleksandrowicz Franciszek:** Szanowny Towarzyszu Redaktorze. (Oświadczenie w związku z art. Zielone zagłębienie (V) Stacje pomp... i polemika). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 125, s. 5.
- Ankiewicz Henryk:** Lniarskie żniwa. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 230 s. 3.

- Bartoszek Kazimierz:** O dalszy rozwój kółek rolniczych i kół gospodyń wiejskich w województwie zielonogórskim. Zielona Góra (1959) Prez. Woj. Rady Narod. Wych. Roln. i Leśn. 8° s. 45, 3 nlb., ilustr.
- Bartoszewski Józef:** Przy butelce „Monte Verde”... na trzeźwo. (O uprawie winnic). Nadodrze R. 3: 1959 nr 7, s. 1, 6, ilustr.
- Bieżące problemy rolnictwa zielonogórskiego** w świetle VI Plenum KC PZPR. (Skrót referatu wygłoszonego przez I sekretarza Tadeusza Wieczorka na Plenum KW PZPR). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 239, s. 3, 4.
- Bogactwa naturalne Ziemi Głogowskiej.** Ziemia Głogowska. Jednodniówka wydana z okazji Dni Głogowa. Głogów sierpień 1959. By odłogi i ugory zakołysały się zbożem. Zielona Góra (1956) ZW ZWP 16°, s. 32.
- Chłopi** – osiedleńcy gospodarują na wspólnym w województwie zielonogórskim. Zielona Góra 1956 Woj. Zarząd Rolnictwa – Zakład Urzędzeń Rolnych 8°, s. 30, 1 nlb., ilustr.
- Co daje nam konkurs hodowlany.** Zielona Góra 1956 Związek Samopomocy Chłopskiej 8°, s. 46, 1 nlb.
- Coraz częściej zwierzęta padają ofiarą kłusowników.** (Zielonogórskie województwo). Tryb. Ludu R. 13: 1960 nr 21, s. 7.
- Czajkowski Franciszek:** Moje uwagi o hodowli drobiu. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 130 s. 3.
- Dalsze zalesienie Ziemi Lubuskiej.** Kurier Pol. R. 3: 1959 nr 245 s. 6.
- Dalszy rozwój naszego rolnictwa** tematem obrad Plenum KW PZPR w Zielonej Górze. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 238, s. 3.
- Dembecki E.: Mady.** (Gleby województwa zielonogórskiego). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 118 s. 3.
- (Dwadzieścia)** ton ślimaków do Francji z lasów zielonogórskich. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 129, s. 3.
- Englicht Władysław:** Polskie ziemie zachodnie i północne. Zagadnienia rolnicze. Poznań 1959 TRZZ 8° s. 50, ilustr., tab., mapy, ZAP Studia i Rozprawy z. 2.
- Fertliński Stanisław:** Kontrasty. (Problemy gospodarki rolnej w powiecie gorzowskim). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 236 s. 3.
- Fertliński St(anisław):** Wirus „C” zlikwidowany. (Sukces służby weterynaryjnej). Gaz. zielonog. R. 9: 1960 nr 181 s. 3.
- Gospodarstwo wiejskie** na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Materiały opracowane w latach 1946-1960. T. 1, T. 2. Warszawa 1960 Państw. Instytut Wydawn. Rolnych 8°.
- Gruźlica i motylca** plagą naszych abór. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 119, s. 5.
- Grzyb Zdzisław:** Egzamin maszyn i ludzi. (Kółka rolnicze). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 203, s. 5.
- Grzyb Zdzisław:** Kultura rolna a melioracja. Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 223 s. 5, 6.
- Grzyb Zdzisław:** Maszyny a konie... (O potrzebie mechanizacji rolnictwa w województwie zielonogórskim). Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 283 s. 4, ilustr.
- Grzyb Zdzisław:** Wkrótce Olimpiada Rolnicza. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 191 s. 6.

- Gucwa Julian:** Rozwój gospodarstwa rybnego w Przemkowie. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 143, s. 7, ilustr.
- Harla M(arian):** Jak zwiększyć mleczność krów. Zielona Góra (1956) Wojew. Zarząd Rolnictwa 8° s. 32, 2 nlb., ilustr.
- Harla Marian:** Konserwacja i kiszenie pasz. Zielona Góra (1956) Wojew. Zarząd Rolnictwa 8°, s. 24, ilustr.
- Kaszuba Mieczysław:** Winogrody. Winnice zielonogórskie). Nadodrze 1958 wyd. spec. lipiec s. 6.
- Korcz Władysław:** Dzieje uprawy zielonogórskiej winorośli. Zielona Góra – Poznań (1958) Wydawn. Poznańskie (PTH, LTK) 8° s. 54, 2 nlb, ilustr.
- Kwaśny Cz(esław):** Kółka rolnicze zdobywają wieś. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 161, s. 3.
- Kwaśny Czesław:** Nasze pierwsze miejsce w kraju. Wszystko o ziemniakach. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 95, s. 5.
- Kwaśny Cz(esław):** Portret lubuskiego rybaka. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 192, s. 3.
- Kw.(Kwaśny Czesław):** Optymizm u progu 5-latki i 17, 1 q zbóż z ha – zbiory jakich jeszcze nie było. (Sukcesy rolnictwa w woj. zielonogórskim). Gaz Zielonog. R. 9: 1960 – nr 272, s. 1, 2.
- Lipiński Herbert:** Co daje nam szkolenie rolnicze. Zielona Góra 1956. Wojew. Zarząd Rolnictwa – Zarząd Propagandy Rolniczej w Zielonej Górze. 8°, s. 21, 2 nlb., ilustr.
- Lipiński Herbert:** Jak pomagamy sobie w gospodarowaniu. Zielona Góra 1956 Wojew. Zarz. Roln. 8°, s. 43, 1 nlb., ilustr.
- Łusiak A.:** Nadodrzańskie Żuławy (Gleby wojew. zielonogórskiego). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 197, s. 5.
- Marciniak Kazimierz:** W zielonogórskim żyje nam się lepiej i dostatniej. Zielona Góra 1956 Woj. Zarz. Roln. – Zarząd Urzędzeń Rolnych 16° s. 28, 2 nlb.
- Mohr Artur:** Kilka uwag o działalności gospodarczej leśnictwa zielonogórskiego w latach 1945-1959. Las Pol. R. 33: 1959 nr 21, s. 1.
- Mróz Roman:** Wyniki doświadczeń i działalności Inspektoratu Doświadczalnictwa Masowego w woj. zielonogórskim za lata 1950 – 1953. Oprac. W-wa (II) 1959 Wydawn. Roln. i Leśne 8° s. 71 (s. 2 nlb., 707-775), tabl., mapa.
- Na wspólnym dorobku.** Zielona Góra. 1956. Wojewódzki Zarząd Rolnictwa – Zarząd Propagandy Rolniczej 8° s. 21, 1 nlb., ilustr.
- Największa wystawa hodowli elitarnej PGR w 15-leciu.** Osowa Sień ośrodkiem zainteresowania hodowców z kraju i zagranicy. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 100, s. 1, 2.
- Nosewicz Albin:** Jak rozwijać hodowlę. Zielona Góra 1956. Wyd. Wojew. Zarząd Rolnictwa – Zarząd Propagandy Rolniczej 8° s. 31, 1 nlb., ilustr.
- Nosewicz Albin:** Nowoczesne metody uprawy – drogą do wysokich plonów. Zielona Góra 1956 Woj. Zarząd Rolnictwa 16° s. 32, ilustr., portrety.
- Nosewicz Albin:** Ze wspomnień pracy w przysposobieniu rolniczym. Zielona Góra 1958 Woj. Rada Przysposobienia Roln. 8° s. 28, ilustr.
- Nowe osiągnięcia naukowców gorzowskiego IUNG-u.** (Nowa odmiana pszenicy). Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 271 s. 3.

- Od nas samych zależy** czy Ziemia Lubuska będzie jednym z przodujących regionów rolnych w kraju. Plenarne posiedzenie KW PZPR i WK ZSL w Zielonej Górze. Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 229, s. 2.
- Plantatorzy z Warki** z pełnym powodzeniem rywalizują ze swymi kolegami w Zielonej Górze. (Uprawa winorośli). Express Wiecz. R. 14: 1959 nr 249.
- Poważny rozwój oświaty** rolniczej w latach 1961-1965. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 233 s. 6
- Prezenty wiosny** – 106 tys. drzew – 73 tys. krzewów. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 3 s. 3.
- Próchnicki Wojciech**: Wiedza rolnicza kapitał wymienny. W 1965 r. pięćdziesiąt szkół rolniczych. (Woj. zielonog.). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 12 s. 5.
- Przyszłość gorzowskich instruktorów** rolniczych – tematem ożywionej dyskusji Prez. WRN. (Propozycja powołania Woj. Rol. Ośrodka Naukowo-Doświadczalnego). Gaz. Zielonog. R. 7: 1958 nr 295 s. 1, 6.
- Roman Józef, Strzeszyński Alfons**: Zasady organizowania i działalności spółdzielni produkcyjnych. (Zielona Góra 1959) Prez. WRN – Wydział Rolnictwa i Leśnictwa 16° s. 49, 2 nlb.
- (Sajal Tadeusz, Smyk Józef)**: Dbajmy o zdrowie zwierząt gospodarskich. Zielona Góra 1957 Woj. Zarz. Roln. – Zarząd Propagandy Roln. 16° s. 41, 7 nlb., ilustr.
- Sapkowski Józef**: Ludzie z Lubanic. (Praca Spółdzielni produkcyjnej). Słowo Żar. R. 2: 1959 nr 5 s. 2, 3, ilustr.
- Sim(ińska) H(alina)**: Serce Spółdzielni. (Spółdzielnia produkcyjna we wsi Górkowo pow. Głogów). Kobietom w dniu ich święta. Jednodniówka. Zielona Góra 1960 s. 4, ilustr.
- Sim(ińska) H(alina)**: Wśród łąk zielonego zagłębia... (Problemy zielonogórskiego rolnictwa). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 239 s. 2.
- Starczak E.**: Mechanizacja procesów to zadanie pierwszoplanowe. (W spółdzielniach prod. woj. zielonog.). Nowiny Spółdz. R. 5: 1959 nr 5 s. 2.
- Stonka ziemniaczana** twoim wrogiem. (Zielona Góra) 1956 Prez. WRN – Zarząd Propagandy Roln. Woj. Zarz. Roln. 16° s. 16, ilustr.
- Strug Karol**: Im głębiej w las tym więcej drzew. (Użytkowanie lasów Ziemi Lubuskiej). Nadodrze R. 4: 1960 nr 2, s. 2, ilustr.
- (Strzeszyński Alfons)**: Zielonogórskie spółdzielnie produkcyjne. Zielona Góra 1958 Woj. Zarząd Rolnictwa – Zarząd Oświaty Rolniczej 8° s. 18, 1 nlb.
- Tatka Halina**: Nasze sady. Zielona Góra 1957 Wojewódzki Zarząd Rolnictwa 8° s. 55, 4 nlb., ilustr.
- Tatka Halina**: Ogródek kwiatowy na wsi. Instrukcja do samokształcenia dla zespołów Przynasobienia Rolniczego. Zielona Góra 1957 Woj. Rada Przynasobienia Rolniczego 8° s. 44, 4 nlb., ilustr.
- Tatka Władysław**: Dlaczego przynasobienie rolnicze? (Zielona Góra 1959) Prez. Woj. Rady Nar. (Wydział Rolnictwa i Leśnictwa) 8° s. 26, 1 nlb., ilustr.
- Tatka Władysław**: Jak gospodarują w Radoszynie... Zielona Góra 1957 Woj. Zarząd Roln. – Zarząd Propagandy Roln. 8° s. 24, ilustr.
- (Tatka Władysław)**: O czym radzili spółdzielcy na swoich zjazdach. Zielona Góra 1956 Woj. Zarząd Roln. – Zarząd Propag. Roln. 8° s. 24, ilustr.

- Trznadel Adolf:** „Czerwony kur” niszczy nasze lasy. *Gaz. Zielonog.* R. 9: 1960 nr 149 s. 5.
- (Trznadel Adolf):** Wspólnym wysiłkiem. (Zielona Góra 1956) *Woj. Zarząd Rolnictwa – Zarząd Propagandy Rolniczej* 8° s. 25, 1 nrb., ilustr.
- Węzłowe zadania rozwoju rolnictwa woj. zielonogórskiego w latach 1960 – 1965.** Uchwała Plenum KW PZPR i WK ZSL w Zielonej Górze z dnia 24. 9. 1959. *Gaz. Zielonog.* R. 8: 1959 nr 229, s. 3, 4.
- Wschowa, Świebodzin, Głogów** – najlepiej pracujące wydziały rolnictwa i leśnictwa. *Gaz. Zielonog.* R. 9: 1960 nr 6, s. 5.
- Wyniki doświadczeń Zakładu Doświadczalnego Małyszyn Wielki i Oddziału IUNG w Gorzowie Wlkp. z lat 1954-1955.** (Oprac. Wacław Boguszewski i in.). Warszawa Państw. Wydawn. Roln. i Leśne 8° s. 331, tabl. 2 i w tekście.
- Za ich przykładem możesz nabyć gospodarstwo rolne w województwie zielonogórskim.** Zielona Góra 1960 Prez. Woj. Rady Nar. – Wydział Rolnictwa 8° s. 21, ilustr., port., tabl.
- Za mało produkujemy warzyw i owoców, drobiu i ryb** – stwierdziło Plenum Komitetu Woj. PZPR. *Gaz. Zielonog.* R. 9: 1960 nr 213, s. 1, 2.
- Zagadnienia rolnictwa w latach 1959-1965.** (Referat S. Ignara prezesa NK ZSL wygłoszony na IX Plenum NK w dniu 22 czerwca br.). *Gaz. Zielonog.* R. 8: 1959 nr 149 s. 3.
- Ziemie Zachodnie i Północne tworzą zwarty, zrośnięty organizm gospodarczy...** (Przem. I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki w 15 rocznicę powrotu Polski na Ziemię nad Odrą i Nysą...) *Gaz. Zielonog.* R. 9: 1960 nr 109, s. 2, 3.

PRZEMYSŁ

- Adaszek Jerzy, Dyniewski Tadeusz:** Odkrywamy Ziemię Lubuską. (Działalność i rozwój rad robotniczych). *Rada Rob.* R. 2: 1958 nr 5 s. 6–7, ilustr.
- Aż do Syrii zawędrowały zielonogórskie szczotki,** *Gaz. Zielonog.* R. 9: 1960 nr 93 s. 3.
- Balut A.:** Produkcja maszyn odlewniczych wymyka się z naszych rąk. (Dolnośląskie Zakłady Metalurgiczne w Nowej Soli). *Głos Metal.* R. 6: 1/60 nr 1 s. 2.
- Ciszek K.:** Pozytywny Rok. (F-ka „Polska Wełna” w Zielonej Górze). *Włóknierz* R. 3: 1960 nr 1 s. 2.
- Czuczelo Bronisław:** Reorganizacja zakładu przemysłowego z pozycji kosztów własnych. (Lubuska Fabryka Zgrzeblarek Bawełnianych w Zielonej Górze). *Ekon. Org. Pracy* R. 10: 1959 z. 1 s. 32–34.
- Duchniak St.:** Kronika Zakładów Metalurgicznych. (W Przemkowie). *Życie Szprotawy* Wyd. spec. 1960 s. 3.
- Dylemat.** (Gubińskie Zakłady Obuwnicze). *Gaz. Zielonog.* R. 9: 1960 nr 226 s. 3.
- (Dziesięć tysięcy)** kuchenek chce produkować Zakład M-12 w Świebodzinie. *Gaz. Zielonog.* R. 9: 1960 nr 111 s. 3.
- Fertliński St.(anisław):** Polska folia. (Gorzowskie Zakłady Włókien Sztucznych). *Gaz. Zielonog.* R. 9: 1960 nr 136 s. 3.
- Fertliński St.(anisław):** Symbol XV-lecia na miarę naszych czasów. (Przemysł Ziemi Lubuskiej). *Gaz. Zielonog.* R. 9: 1960 nr 114 s. 4.

- Golański Zygmunt:** Przemysł między Wartą a Odrą. (Zakłady Przemysłu Metalowego im. M. Nowotki w Zielonej Górze). Tryb. Ludu R. 11: 1958 nr 203 s. 6, ilustr.
- Gorzowskie ciągniki** zdobywają rynki zagraniczne. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 118 s. 3.
- Gruchman Bohdan:** Udział Ziem Zachodnich w produkcji przemysłowej kraju. Przeg. Zach. R. 14: 1958 nr 3–4 s. 233–242.
- Gruchman Bohdan:** Rozwój przemysłu Ziem Zachodnich w planie pięcioletnim. (1956–1960). Przeg. Zach. R. 13: 1957 nr 5–6 s. 230–239.
- Grzyb Zdzisław:** Daleka droga glogowskich maszyn. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 236 s. 3.
- G(rzyb) Z(dzisław):** Poprawa jakości i nowe prototypy w Świebodzińskiej Fabryce Mebli. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 203 s. 3.
- Janicki Jerzy:** Gorzów, Nowe Tychy, Lublin. Warszawa 1952 K i W 8° s. 142, 2 nlb. (Cykl: na budowach sześciolatki).
- Jarecki Józef:** Uczyniliśmy krok naprzód. Wywiad. Gazety Zielonogórskiej z I sekretarzem KW PZPR tow. Tadeuszem Wieczorkiem. (Kordy w Iłowej, tkaniny dekoracyjne w Żarach, F-ka Mebli w Żukowie pow. Nowa Sól, Lub. Zakłady Garbarskie w Lesznie Górnym – powstaną w 1950 r.). Gaz. Zielonog. R. 8: 1958 nr 2 s. 5.
- Jasiński Tadeusz:** Tu jasność bierze początek. (Kozuchowskie Zakłady Wytwórcze Aparatury Teatralnej i Oświetleniowej). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 9 s. 3, ilustr.
- Juszczak Józef:** Świdrem w głąb Ziemi Żarskiej. (Węgiel brunatny). Słowo Żar. R. 3: 1960 nr 3 s. 2, ilustr.
- Kubicka Irena:** Świat zna nasze zgrzeblarki, wagony, woltomierze, materiały i dywany. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 13 s. 3.
- Kucharski Tadeusz:** Na przykład – farba. (O oszczędną gospodarkę w Zakładach im. M. Nowotki w Zielonej Górze). Zastalowiec R. 7: 1960 nr 9 s. 3.
- Kwilecki Andrzej:** Wystawa rozwoju przemysłu gorzowskiego. Przeg. Zach. R. 14: 1958 nr 3 s. 397–400.
- Lemiesz Wiktor:** Produkcja to jeszcze nie wszystko. Głos Pracy R. 10: 1960 nr 1 s. 3.
- Liżniewicz Tadeusz:** Żarska wełna usprawnia i modernizuje produkcję. Słowo Żar. R. 3: 1960 nr 8 s. 3, ilustr.
- Lubin czy Głogów?** (Eksploracja miedzi). Gaz. Zielonog. R. 7: 1958 nr 220 s. 3.
- Malinowski Stefan:** Rozbudowa zakładowego węzła energetycznego. (Nadodrzańskie Zakł. Przemysłu Lniarskiego w Nowej Soli). Wrzeciono R. 3: 1960 nr 4 s. 2, 3.
- Mierniki na upał „Lumel”** wypełnia żądania odbiorców. (Lub. Zakł. Aparatów Elektrycznych „Lumel” w Zielonej Górze). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 123 s. 3, ilustr.
- Na Ziemi Lubuskiej** ruszyła wzorcowa fabryka przędzalnicza zatrudniająca 900 osób. Express Wiecz. R. 15: 1960 nr 4 s. 2.
- Nafta w Głogowie?** Gaz. Zielonog. R. 15: 1959 nr 65 s. 1.
- Nowa elektrownia** na Ziemi Lubuskiej. Kurier Pol. R. 3: 1959 nr 251 s. 6.
- Nowe typy wagonów** w Zielonej Górze. Kurier Pol. R. 3: 1959 nr 256 s. 6.
- Od Albanii do Iranu.** Głogowska fabryka eksportuje urządzenia. Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 136 s. 3.

- Od 1-go sierpnia br.** Głogowska fabryka będzie bogatsza o nowy zakład. (Sulechowskie Zakłady Przemysłu Jedwabniczego). Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 165 s. 1.
- Oficjalne otwarcie** zakładu produkcji tkanin dekoracyjnych w Żarach. Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 267 s. 1, 4.
- P(awłowska) E(ugenia):** Kora—Laura. W Lubuskiej Wytwórni Win. (Zmiana nazwy). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 195 s. 3.
- Plutecki Z.:** Nasze żeliwo. (Wzrost produkcji w zakł. Metalurg. w Przemkowie). Odlewnik przemk. R. 1: 1958 nr 1 s. 2, wykresy.
- Podwysocki Tadeusz:** Kosztrzyn? (Sprawa Kostrzyńskiej Fabryki Celulozy i Papieru). Nadodrze 1957 wyd. specj. s. 8, 9.
- Poważne oszczędności** i zwiększona produkcja eksportowa w Zakładach Szczecińskich w Nowej Soli. Kurier Pol. R. 3: 1959 nr 253 s. 3.
- Poznańska nauka** zielonogórskiemu przemysłowi. (Konferencja z inicjatywy Politechniki Poznańskiej i KW PZPR w Zielonej Górze). Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 125 s. 1, 2.
- Przemysł zielonogórski** przygotowuje się do wrocławskiej wystawy. Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 126 s. 4.
- Ropa naftowa**, gaz, miedź, węgiel brunatny, cynk, ołów; wyniki odkryć poszukiwaczy skarbów. (Wspaniałe wyniki badań geologicznych na Ziemi Lubuskiej). Gaz. Zielonog. R. 7: 1958 nr 251 s. 5.
- Rośnie głogowska fabryka witamin.** Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 191 s. 7.
- Różalski K.:** Wszystko zależy od orzeczenia... Szukamy milionów. (Zakłady Tkanin Technicznych „Eskord” w Iłowej). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 191 s. 3.
- (Siedemdziesiąt)** typów maszyn produkcji DZM w Nowej Soli. (DZM — Dolnośląskie Zakłady Metalurgiczne). Gaz. Zielonog. R.: 1960 nr 200 s. 3.
- Ślubicka „Odzieżówka”** rozrasta się w duży zakład. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 77 s. 3.
- Śłodka produkcja.** (Pierwsza kampania Cukrowni Głogów). Ziemia Głogów. Jednodniówka wydana z okazji „Dni Głogowa” sierpień 1959.
- Solińska Irena:** Wszystko co słodkie z „Dąbrówki”. (Fabryka cukierków w Kargowej). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 311 s. 4.
- Suwała Kazimierz:** Wydział folii filmowej. (O produkcji folii w Gorzow. Zakł. Włók. Sztucznych). Stilon Gorzow. R. 2: 1959 nr 12 s. 5, ilustr.
- Toś M.:** Ciągłe nowoczesna (Elektrownia w Dychowie). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 204 s. 3—4, ilustr.
- Trzciniowe meble** jadą ze Zbąszynka do Szwecji, Kanady i Czechosłowacji. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 153 s. 5.
- W rejonie Lubin Legnicki** — Głogów powstaną 3—4 kopalnie. Zagłębie rud miedzi — nowym okręgiem przemysłu. Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 112 s. 4, ilustr.
- W Sulęcinie** rośnie nowy zakład produkcyjny. Ruszyła już produkcja wyrobów plastikowych i gumowych. Ambitne plany eksportowe. Gaz. Zielonog. (mutacja ABC) R. 9: 1960 nr 201 s. 5, ilustr.
- Wicepremier Zenon Nowak** przeciął symboliczną wstęgę. Uroczyste otwarcie Żagańskiej Czesalni. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 176 s. 2.

- Wielkie perspektywy „metalů”.** (Wzrost produkcji w przemyśle metalowym województwa zielonogórskiego). Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 3000 s. 5.
- Wschowskie sery** konsumują Egipcjanie i Marokańcy. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 89 s. 3.
- Wyjść naprzeciw** (Gozdnickie Zakłady Ceramiki Budowlanej – Gozdnicza osiedlem czy miastem?). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 8 s. 3.
- Wyróżnienie młyna** w Szprotawie i Lubuskiej Wytwórni Win w konkursie „Dobre – ładne – poszukiwane”. (Wino gronowe Monte Verde dorównuje importowanemu). Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 65. s. 5.
- Wystawa przemysłu** północnych powiatów Ziemi Lubuskiej. Głos Pracy R. 10: 1960 nr 15 s. 6, ilustr.
- Zatrybówna Alicja:** Lepiej i trochę inaczej. (Stocznia w Głogowie została przerobiona na Fabrykę Maszyn Budowlanych). Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 172 s. 3.
- Zatrybówna Alicja:** Przed drugą batalią. (Świebodzińska Fabryka Mebli). Gaz. zielonog. R. 9: 1960 nr 242 s. 3.
- Zielonogórski przemysł** przygotowuje się do Targów. (XXIX w Poznaniu). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 119 s. 1.
- Żary** – największym ośrodkiem włókienniczym na Ziemi Lubuskiej. Kurier Pol. R. 3: 1959 nr 167 s. 3.

RZEMIOSŁO

- Dzień przemysłu i rzemiosła** pod znakiem wystaw. (W Zielonej Górze). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 233 s. 1.
- Eysymontt Wiktor:** Reportaż z dedykacją. (Rzemiosło w województwie zielonogórskim). Tyg. Demokr. R. 7: 1/59 nr 22 s. 3.
- Informator usług** na codzień. Województwo zielonogórskie. Warszawa 1958 Biuro Wydawn. Centr. Zw. Spółdzielcz. Pracy. 8° s. 108, ilustr.
- Jarecki Józef:** Usługi w prostym zwierciadle. (Placówki usługowe i drobni rzemieślnicy). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 121 s. 3.
- (k):** Rzemiosło na Ziemach Zachodnich. Tyg. Demokr. R. 7: 1959 nr 10 s. 5.
- Lenartowicz Z.:** Na wsi lubuskiej brakuje usług. (Rzemieślniczych). Tyg. Demokr. R. 2: 1954 nr 24 s. 4.
- O 250 proc.** wzrośnie produkcja Spółdzielni Stolarzy w Babimoście. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 184 s. 3.
- Rzemiosło i jego kłopoty.** (W województwie zielonogórskim). Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 251 s. 5.
- Sim(ińska) H(alina), Kw(aśny) Czesław:** Wieś – teren niezdobyty przez rzemiosło. Usługi bliżej rolnika. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 221 s. 6.
- Skiba Zdzisław:** Spółdzielczość pracy województwa zielonogórskiego w rok po II Zjeździe CZSP. Spółdz. Pracy R. 4: 1958 ar 1/2 s. 58.
- Spółdzielczość Lubuska** zarabia i oszczędza dewizy. Kurier Pol. R. 3: 1959 nr 255 s. 6.
- (t):** Blaski i cienie drobnej wytwórczości województwa zielonogórskiego. Prz. Drobnej Wytwórcz. R. 9: 1959 nr 9 s. 19–21, ilustr. tab.

- Trojanowski T.:** 10 lat działalności zakładów szczecińsko-szczotkarskich spółdzielni pracy w Zielonej Górze. Spółdz. Pracy R. 2: 1956 nr 6 s. 43, ilustr.
- Trojanowski Henryk:** W królestwie papieru i tektury. (Introligatorska Spółdzielnia w Zielonej Górze). Nowiny Spółdzielcz. R. 6: 1960 nr 2 s. 4, ilustr.
- (Trzecia) Wystawa** Rozwoju Rzemiosła i Przemysłu w Gorzowie. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 114 s. 1, 2, ilustr.
- Zakład Doskonalenia** Rzemiosła powstanie w Zielonej Górze. (Czyn Tysiąclecia). Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 29 s. 3.

GOSPODARKA KOMUNALNA I ZAGADNIENIA MIESZKANIOWE

- Bielawski Wiktor:** Każda forma oszczędności jest dobra. Dyskusja o budownictwie. (W Zielonej Górze). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 213 s. 3.
- Budownictwo mieszkaniowe** na ziemiach zachodnich i północnych przedmiotem narady w Urzędzie Rady Ministrów. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 190 s. 1.
- Chojewski Stanisław:** Problemy gospodarki mieszkaniowej w miastach Ziem Zachodnich. Warszawa 1958 Arkady 8° s. 11. Instytut Budownictwa Mieszkaniowego.
- Dereszewski Stanisław:** Dwa tysiące izb – jak za darmo, ale jak? Dyskusja o budownictwie. (W Zielonej Górze). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 197 s. 3.
- Duża budowa** dworca kolejowego w Gorzowie. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 13 s. 2.
- Godziński Zbigniew:** Budownictwo bez budowlanych. (Sprawa województwa zielonogórskiego). Fund. R. 3: 1958 nr 51/52 s. 13, ilustr.
- Gospodarka komunalna i mieszkaniowa** pochłonie 70 proc. budżetu miasta. (Z sesji M.R.N. w Zielonej Górze). Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 220 s. 5.
- G(rzyb) Z(dzisław):** Młodzieżowe spółdzielnie mieszkaniowe wybudują 210 izb. (W Zielonej Górze, Żaganiu i Gubinie). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 205 s. 3.
- Konieczny Józef:** Z zagadnień odbudowy Kostrzyna nad Odrą. Przegl. Zach. R. 14: 1958 nr 3–4 s. 338–347.
- Krajewski Wacław:** „Kwiatki z budowlanej ląki”. Dyskusja o budownictwie. (W Zielonej Górze). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 199 s. 3.
- Krzyżaniak Zbigniew:** Mieszkania – temat nadal aktualny. (Miasta województwa zielonogórskiego). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 98 s. 3.
- Łusiak A.:** Budynki starzeją się. (Narada przedstawicieli województw północno-zachodnich w Ślawie Śląskiej – w sprawie budownictwa wiejskiego). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 233 s. 5.
- Możliwości są** być chęci. Dyskusja o budownictwie na finiszu. (Na łamach Gazety Zielonog.). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 247 s. 3.
- Myśleć nowocześnie** lecz realnie liczyć. (Problemy budownictwa zielonog.). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 203 s. 3.
- Na gospodarkę komunalną** 31 mln. zł (dla województwa zielonogórskiego). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 18 s. 4.
- Nad budową rurociągu** naftowego radzą eksperci CSR, NRD, Węgier, Polski i ZSRR. Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 124 s. 2.

- Ogólnopolska konferencja** prasowa na tematy budownictwa w Zielonej Górze. Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 223 s. 1, 2.
- Otwinowski Daniel:** Proponuję komitet do walki z marnotrawstwem. Dyskusja o budownictwie. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 230 s. 4.
- Problemy gospodarki** mieszkaniowej w miastach Ziem Zachodnich. Warszawa 1958 „Arkady” 4° s. 11, 1 nlb.
- (rom):** Narada wojewódzka w Zielonej Górze. (Gospodarka mieszkaniowa). Miasto R. 9: 1958 nr 9 s. 35–36.
- Różalski K.:** Kątem we własnym domu. (Gospodarka lokalowa). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 70 s. 3.
- Solińska Irena:** Architekci lubuscy i kwadratura koła. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 206 s. 3, 4.
- Toś Michał:** Nieznany kształt aktywizacji. (Spółdzielnie mieszkaniowe). Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 295 s. 3.
- Toś Michał:** Nieznany kształt aktywizacji. (Spółdzielnie mieszkaniowe). Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 203 s. 3.
- Usprawienie pracy** rad narodowych w zakresie gospodarki komunalnej, tematem obrad sesji WRN w Zielonej Górze. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 75 s. 2.
- Zatrybówna Alicja:** Sen o własnym mieszkaniu. (Gospodarka komunalna w województwie zielonogórskim). Nadodrże 1958 wyd. spec. s. 3.
- Ziemie Odzyskane.** Na budowach Zielonej Góry. Prz. budowl. R. 29: 1957 z. 9 s. 359–362.

RÓŻNE

- Chrzanowski M.:** Troszczą się o zaopatrzenie ludności (w Zielonej Górze). Rada Nar. R. 16: 1959 nr 35 s. 10–11, ilustr.
- Duże sanatorium** przeciwgruźlicze powstaje w Torzymiu. Gaz. Zielonog. R. 8: 1959 nr 127 s. 3.
- Informator.** Dni Zielonej Góry 1960. Zielona Góra 1960 Kom. Obch. „Dni Zielonej Góry” 8° s. 20, 7 nlb., ilustr.
- Informator gospodarczo-turystyczny** województwa zielonogórskiego. Dni Winobrania. Zielona Góra 1957. (Kom. Org. TRZZ...) 16° s. 65, 31 nlb., ilustr., mapa, pl.
- Informator szkolnictwa** Zawodowego województwa zielonogórskiego na rok szkolny 1959/1960. Zielona Góra 1959 Kurat. Okr. Szkol. 8° s. 23.
- Jantos Henryk.:** (Zielonogórska służba zdrowia). Czego nie zakryją brody Bolesławów. Tyg. Zach. 1957 nr 14 s. 1, 5.
- Komunikacja.** Transport. Łączność. Wielomilionowe inwestycje. (Przewidziane dla województwa zielonogórskiego). Gaz. Zielonog. R. 9: 1969 nr 12 s. 3.
- Kubicka Irena, Zatrybówna Alicja:** Zabawa w chowanego. Co kryje się za fasadą zielonogórskiego handlu. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 12 s. 3.
- Lemiesz W(iktor):** Kto i jak ma inwestować. Głos Pracy R. 9: 1959 nr 253 s. 3.
- Liczba mieszkańców Gorzowa** przekroczyła 55 tysięcy. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 255 s. 3.
- Litwiniec Bogusław:** Resztki na wietrze. (Problem bezrobocia w Zielonej Górze). Poglądy 1956 nr 6 s. 2.

Bibliografia

Plan gospodarczy i budżet województwa zielonogórskiego na rok 1959. Zestawienie podstawowych wskaźników. (Wydanie powielane). Zielona Góra 1959 Prez. Woj. Rady Nar. 16° s. 162.

Poradnik Urzędu Spraw Wewnętrznych w Zielonej Górze. (Kwart.) Prez. Woj. Rady Nar. Red. Kol. Zielona Góra R. 1: 1956 nr 1 s. 80, 2 nlb.

Wieczorek Tadeusz: Utrwalimy zdobycze przełomu październikowego. Zielona Góra 1957 FJN 8° s. 13. 1 nlb., port. 1.

Wieczorek Tadeusz: Zbliżamy się do załóg. Życie Partii 1957 nr 7 s. 6.

Wykaz miejscowości województwa zielonogórskiego. Zielona Góra 1955 Zarz. Okr. PTTK 8° s. 54, ilustr., + mapa.

Zielona Góra miastem 50-tysięcznym. Gaz. Zielonog. R. 9: 1960 nr 177 s. 5.

SPIS TREŚCI

1 ARTYKUŁY I ROZPRAWY

Henryk Korwel	
Szkola a życie	6
Wanda Tetzlaff	
Najstarsze dzieje Gorzowa i jego okolicy	22
Zygmunt Rutkowski	
Nadodrzańska osada warzelników soli	48
Władysław Korcz	
Z dziejów wschowskich cechów pod koniec XVIII wieku	64
Hieronim Szczegółka	
Z przeszłości Szprotawy	88
Tadeusz Kajan	
Pruska ordynacja praw szkolnych dla mniejszości polskiej z 1928 r.	114
Wiesław Sauter	
Jan Cichy	138
Barbara Kołodziejska	
Badania kultury ludowej Ziemi Lubuskiej	152

2 PAMIĘTNIKI I WSPOMNIENIA

Kazimierz Szwarzenberg-Czerny	
Moje wspomnienia	168
Stanisław Knak	
Fragmenty pamiętnika	188
Wanda Chełkowska	
Wspomnienia	212

3 MATERIAŁY I ŹRÓDŁA

Alfred Kucner	
Wartość naukowa zasobu aktowego	
Woj. Archiwum Państwowego w Zielonej Górze	246
Jerzy Olczok	
Tymczasowe sprawozdanie z prac wykopaliskowych na stanowisku 1a	
(pogrodzie) w Międzyrzeczu Wlkp. w roku 1958	253

Wiktor Lemiesz	
O czym mówią księgi stanu cywilnego	258
Z archiwum Lubuskiego Towarzystwa Kultury	265
Archiwum Erbta	273
Wiktor Lemiesz	
„Gesamtüberblicke über die polnische Presse” i ich zastosowanie w praktyce	281
Wiktor Lemiesz	
Na tropach zbrodni faszyzmu	288
Władysław Korcz	
Herb Zielonej Góry	293
4 RECENZJE	
Romuald Januszkiewicz	
Omówienie robocze	306
Andrzej Kwilecki	
„Nie damy pogrześć mowy...”	310
Feliks Fornalczyk	
Dąbrówka w oczach hitlerowskiego żandarma	315
Zdzisław Nowak	
Omówienie	320
Władysław Korcz	
Problematyka Nowej Marchii	324
Roman Calka	
Kozuchów i perspektywy	327
Zbigniew Pędziński	
Baśnie nie baśnie	330
Marian Kowalski	
Stacyjki wyobraźni	333
Irena Solińska	
Rzecz o lubuskiej Milicji Obywatelskiej	337
5 WYDARZENIA	
Kronika kulturalna — 1959	340
6 BIBLIOGRAFIA	
Gospodarka Ziemi Lubuskiej	
(Bibliografia za lata 1945–1960, wybór)	350